

ZŁO TAK PIĘKNE, AŻ ZAPIERA DECH

FRANCK
THILLIEZ

ZDARZYŁO SIĘ
DWA RAZY

CZARNA OWCA

FRANCK THILLIEZ

ZDARZYŁO SIĘ
DWA RAZY

Przełożyła Monika Szewc-Osiecka

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

Strona tytułowa

Spis treści

Strona redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53

54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83

EPILOG

OD AUTORA

Przypisy końcowe

Redakcja: Gabriela Niemiec
Korekta: Alicja Laskowska, Maciej Korbaśiński
Projekt okładki: Magda Kuc

Published originally under the title *Il était deux fois*
© 2020 Fleuvé Éditions, département d'Univers Poche
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023
Copyright © for the Polish translation by Monika Szewc-Osiecka, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-017-0

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czar-naowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*To, co braliście za moje dzieła,
To były tylko odpady mnie samego,
Strużyny mojej duszy,
Nie do przyjęcia dla normalnego człowieka.*

Antonin Artaud

Cel to rzecz najgłówniejsza we wszystkim.

Arystoteles, *Poetyka*,
przeł. Stanisław Siedlecki

Posepny hotel Falaise leżał w wąskim, skalistym leju doliny Arve, trzy kilometry na wschód od Sagas. Za liczącym czterdzieści sześć pokoi ośrodkiem wznosiła się wapienna ściana o wysokości stu dziesięciu metrów, która nawet latem w trzech czwartych pozostawała w cieniu, porośnięta wątłą roślinnością i zasłonięta od słońca przez białe i szare szczyty Alp Sabaudzkich. Panował tam wieczny chłód, niesiony przez prąd lodowatego powietrza zstępujący z ośnieżonych szczytów – szczególnie dotkliwie dało się to odczuć w kwietniu dwa tysiące ósmego roku, kiedy wiosna spóźniła się z nadejściem.

Zbliżała się dwudziesta trzecia trzydzieści, kiedy porucznik Gabriel Moscato pojawił się w zapyziałej recepcji o ścianach obitych szorstką brązową wykładziną. Kolekcja świątków ustawiona na półkach nadawała temu miejscu wygląd niezbyt godnego polecenia starego zajazdu. Żandarm znał właściciela dwugwiazdkowego przybytku: Romuald Tanchon przez dwa lata z rzędu zatrudniał tu latem jego córkę i przyjął ją na staż.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Gospodarz nie widział Gabriela już od jakiegoś czasu. Potężny funkcjonariusz żandarmerii – Moscato miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu – wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat. Od jak dawna nie spał?

– Przykro mi z powodu pańskiej córki – powiedział Romuald Tanchon. – Mam głęboką nadzieję, że ją pan odnajdzie.

Już od miesiąca Gabriel Moscato cierpliwie wysłuchiwał takich słów w Sagas, trzynastotysięcznym miasteczku wciśniętym między góry przez jakiegoś fundatora, w każdym zaułku, w każdym sklepie, do którego wszedł. Miał tego dość, ale z grzeczności zmusił się, by skinąć głową. Ostatecznie jego rozmówcy chcieli mu tylko okazać współczucie.

– Odwiedzam miejsca noclegowe dla przyjezdnych w okolicy Sagas. Proszę właścicieli o użyczenie mi do wglądu listy klientów, którzy się u nich zatrzymali w okresie zaginięcia mojej córki. Jeżeli odmawiają, co potrafię zrozumieć,

zapraszam ich na posterunek, ale wiąże się to z wieloma procedurami i komplikacjami. Jeśli się zgadzają, załatwiamy sprawę po cichu na miejscu i wszyscy na tym zyskują.

Romuald Tanchon wyjął segregator z komody znajdującej się za ladą.

– Zapomnijmy o poufności. Jeśli tylko mogę pomóc...

Położył segregator przed Gabrielem, a sam wystukał coś na klawiaturze komputera.

– Mamy dwa tysiące ósmy rok, a ja wciąż nie zdołałem w pełni przejść na system informatyczny. Nadal zapisuję rezerwacje odręcznie, w starym, dobrym rejestrze. Mam w nim wszystko: nazwisko, imię, datę przyjazdu i wyjazdu, sposób płatności.

Zdjął ze ściany jeden z nielicznych kluczy. Większość przyjezdnych przybywała do Sagas, by odwiedzić więźniów w położonym na peryferiach miasta zakładzie karnym, w którym w koszmarnych warunkach gniły ponad dwa tysiące osób. Turystyka tutaj nie istniała. Zamiast ośrodków narciarskich w Sagas znajdowały się więzienie, szpital, sąd rejonowy i posterunek żandarmerii.

– Będę w recepcji do północy – dodał Tanchon. – Może pan zająć pokój dwadzieścia dziewięć na tak długo, jak będzie potrzeba. Jeżeli mnie nie będzie, proszę przed wyjazdem wrzucić klucz do koszyka i zostawić segregator na ladzie.

– Dziękuję, Romualdzie.

Na ustach właściciela pod gęstym czarnym wąsem z lekko już widoczną siwizną – czterdziestka nikogo nie oszczędza – na chwilę pojawił się grymas niepokoju.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. Bardzo lubię Julie. Coś takiego nigdy nie powinno się zdarzyć. Niech pan złapie tego drania. – Wskazał palcem na drzwi za swoimi plecami. – Gdyby mnie pan potrzebował, proszę dzwonić.

Gabriel wszedł na drugie piętro. Pachniało politurowanym drewnem i wilgocią. Nawet specjalista od psychologii pozytywnej, nocując w takim miejscu, dostałby depresji. Za oknem pokoju numer dwadzieścia dziewięć w odległości zaledwie dwudziestu metrów znajdowała się urwista ściana. Gabriel spojrzał w górę, ale nie zobaczył ani jednej gwiazdy. Tylko nieprzenikniony czarny mur, zza którego słyszał krzyki swojej córki.

Trzydzieści dwa dni piekła i ciągle nic. Tamtego popołudnia Julie nie wróciła do domu. Nazajutrz, dziewiątego marca rano, na skraju modrzewiowego lasu porastającego górski stok znaleziono jej rower MTB. Julie trenowała trzy razy w tygodniu, przygotowywała się do zawodów w Chamonix, które miały się odbyć w lipcu. Według ekspertów dziewczyna miała gwałtownie wyhamować po

zjeździe na zboczach między Sagas a Albion, w odległości pięćdziesięciu metrów od zwirowego parkingu. Jej rower stał oparty o drzewo, powyżej było widać ślady hamowania.

Owczarki belgijskie z psiej jednostki straciły trop na wysokości parkingu. Julie, córka żandarma i pielęgniarce domowej. Prosta góralka, miłośniczka szachów, przyrody i kina, zawsze z aparatem fotograficznym lub kamerą cyfrową w ręku. Śmigłowce oraz dziesiątki pieszych funkcjonariuszy zlustrowały las, strome zbocza i płaskowyże. Płetwonurkowie przeszukali dno rzeki, przeszkody, karpy, pniaki, żelastwo – wszystko, na czym mogły się zatrzymać unoszone z prądem zwłoki.

Poza poszukiwaniami w terenie powołano grupę żandarmów – należał do niej Gabriel – która przesłuchiwała przyjaciół Julie i kolegów z klasy. Odtwarzali jej rozkład zajęć z tamtego dnia, gromadzili nagrania z monitoringu, linijka po linijce analizowali wykaz połączeń z jej telefonu. Wieczorami w wolnym czasie Gabriel na własną rękę odwiedzał pensjonaty, zajazdy i hotele. Przepytывał gospodarzy albo prosił ich o listy gości, które przepisywał do swojego notesu. Porywacz – o ile to było porwanie – mógł pochodzić stąd, mieszkać gdzieś w lesie albo na hali, ale mógł też być podróżnym szukającym okazji. Nie można było pomijać żadnego tropu.

W pokoju numer dwadzieścia dziewięć panowały spartańskie warunki. Jedno krzesło, brak stołu, telefon połączony z centralą, ciemne zasłony, żenująca łazienka z muszlą klozetową przy samym prysznicu. Nie widział telewizora, ale małe lodówka była sownie zaopatrzona w alkohol. Julie w tym ośrodku przygotowywała śniadania, odkurzała tę starą wykładzinę. Gabriel wyobraził ją sobie, jak składała bieliznę pościelową i ręczniki. Nie była to najlepsza robota na świecie, ale pozwalała zarobić na kieszonkowe i zakup kamery. Którą skądinąd zarekwirowano przed dwoma tygodniami jako dowód w sprawie. W urzędzeniu nie było karty pamięci, ale to nie Gabriel ją wyjął. To pewnie mało istotne, Julie mogła zgubić kartę albo ją wyrzucić, bo była uszkodzona. Tak czy inaczej, brakowało jej, i ten fakt należało przynajmniej odnotować. W sprawach o zaginięcie każde odchylenie od normy może się stać polem do interpretacji. Każda hipoteza skłania do stawiania kolejnej, pochłania czas, środki i zasoby ludzkie.

Gabriel Moscato zaciągnął zasłony, usiadł na łóżku i z ulgą zdjął buty. Mały palec u jego prawej stopy krwawił – to skutek pieszego przemierzania Sagas. Wysłał do żony esemesa, żeby ją poinformować, że wróci późno. Wiedział, że – otumaniona antydepresantami – i tak go nie przeczyta. Pożądliwie spojrzał na barek, ale uznał, że tego wieczoru lepiej będzie nie pić. Wyczerpany, pomasażował gałki oczne, a następnie otworzył spis gości na piątym marca, trzy dni przed

tragedią. Skrupulatnie przepisywał wszystkie dane dotyczące następnych siedemdziesięciu dwóch godzin: sprawdzi w kartotekach i jeśli okaże się to konieczne, skontaktuje się z wybranymi osobami. Mrówcza, niewdzięczna praca – ale trzeba było przez to przejść.

– Znajdę cię, Julie. Przysięgam, że cię znajdę.

Gdzie jest jego córka? Skąd to gwałtowne hamowanie na zboczu, pięćdziesiąt metrów przed parkingiem? Czyżby spotkała jakiegoś znajomego? Czy ktoś przywiązał do jej zwłok balast i wrzucił je do jeziora? A może przetrzymuje ją w ciemnej piwnicy setki kilometrów stąd? Gabriel znał mrożące krew w żyłach statystyki zaginięć. Upływający czas działa zabójczo, łamie wolę i pozbawia nadziei nawet najtwardszych. Możliwe, że po upływie kilku miesięcy czy lat jego córka będzie już tylko imieniem wykrzyczanym w sercu gór.

Gdy zapisał czarnym maczkiem trzy strony, zmogło go zmęczenie. Na próżno się opierał, wreszcie wyciągnął się na narzucie łóżka. A potem płakał, tak jak robił to prawie każdego wieczoru – czasem przytulony do żony, innym razem skulony w jakimś kącie.

Czy tyle samo czasu poświęcamy na myślenie o naszych dzieciach, kiedy są one z nami? Czy kochamy je tak samo jak wtedy, gdy ich zabraknie? Gabriel nie wiedział, jego wcześniejsze życie już nie istniało. A przyszłe miało być jedną wielką gehenną. Niezależnie od wyniku poszukiwań ich życie na zawsze pozostanie zmienione, złamane, wysuszone od nadmiaru wylanych łez. Rozmyślając o smutnych minionych dniach, zamknął oczy. Otworzył je, obudzony głuchym dźwiękiem. Coś uderzyło o szybę.

Wstał niepewnie, kręciło mu się w głowie. Powłókł się do uchylonych przeszklonych drzwi. Co się z nim dzieje? Nic nie rozumiejąc, przeszedł przez nie – zgodnie z wszelką logiką na drugim piętrze nie powinno być drzwi wychodzących na zewnątrz – i znalazł się za hotelem, na poziomie parkingu.

Nagle poczuł przeszywający ból w lewym ramieniu. Ptak, który w niego uderzył, leżał roztrzaskany na asfalcie z półotwartym żółtym dziobem. Gabriel nie pojmował tego, co widzi. Kawalek dalej zobaczył innego ptaka, który wyglądał jak nędzny worek z piór.

Wtem rozległy się kolejne uderzenia o blachę samochodów i dachówki. Opatuleni w szlafroki ludzie wyskakiwali z pokoi i podnosili ku niebu zaspane oblicza. Z ciemności dziesiątkami wylatywały czarne zwarte pociski i rozbijały się pośród odgłosów miażdżonego ciała. Oszołomiony Gabriel wycofał się do pokoju, a w jego uszach rozbrzmiewał głos sąsiada: „Widział pan? Widział pan? To apokalipsa!”. Tak, Gabriel widział. Oczywiście, że widział. Deszcz martwych ptaków.

Intensywny sen minionej nocy sprawił, że Gabriel długo nie mógł się dobudzić. Uniósł powieki. W ustach czuł nieprzyjemny smak jak po przepiciu. Jego patykowate ciało leżało w poprzek łóżka w rozgrzebanej pościeli, na brzuchu, z rozkrzyżowanymi ramionami. Oblizął usta i z trudem odwrócił głowę. Radiobudzik po jego lewej ręce wskazywał jedenastą jedenaście.

Jęknął w poduszkę wciąż przesiąkniętą oparami koszmaru. Te martwe ptaki spadające z nieba, rozbijające się na betonie i maskach samochodów... Zadrżał na tę myśl. Od czasu zaginięcia Julie miał szalenie mocne, realistyczne sny. Wstał i poczuł, że ma ciężką głowę, jakby spłynęła do niej krew z całego ciała.

Musiało upłynąć jakieś dwadzieścia sekund, zanim sobie przypomniał, gdzie jest. Hotel. Pokój dwadzieścia dziewięć, spis gości. O szyby stukał drobny deszcz zapowiadający kiepski dzień. Rozejrzał się dookoła. Nie znalazł ani swojego telefonu, ani segregatora, ani notesu. Na podłodze leżała torba z męskimi rzeczami, które do niego nie należały. Przez oparcie krzesła przewieszona była skórzana kurtka, a na szafce nocnej zauważył okulary w czarnej oprawie. Gdzie położył ciemnogrnatową parkę? Dlaczego miejsce solidnych skórzanych kowbojek zajęły wojskowe glany?

Na zewnątrz rozległ się warkot silnika. Gabriel podszedł do okna i z przerażeniem stwierdził, że jego koszmarne sen był jawą. Asfalt usiany był dziesiątkami, a może nawet setkami martwych ptaków. Podobnie jak w nocy pchnął balkonowe drzwi – które, swoją drogą, wciąż były uchylone – i schylił się, by czubkiem palca dotknąć ptaka leżącego najbliżej. Małeńkie ciało było lodowate, oczy zaszyły szarawą błoną. Pełen niedowierzania wstał.

I w tej samej chwili uświadomił sobie, że znajduje się na parterze, dwa piętra niżej niż poprzedniego dnia. Przez drzwi, które właśnie przekroczył, do pokoju można było się dostać bezpośrednio, z pominięciem recepcji, jak w motelach. Rzucił się do szafki nocnej, na której leżał klucz z dużym brelokiem. Na wierzchu białej kuli widniał numer siedem.

Okej, okej, bez pośpiechu, pomyśl. Najwyraźniej był w cudzym pokoju. Zasnął u siebie, pod numerem dwadzieścia dziewięć, a obudził się w pokoju obcego człowieka. Może lunatykował? W stanie zamroczenia był świadkiem niezrozumiałej hekatombi – widowiska rodem z filmów Hitchcocka – a potem znowu zasnął.

Sprawdził zawartość barku: nietknięta. Czyli nie pił. A może dał w palnik w swoim pokoju, a potem błądził korytarzami i otworzył pierwsze lepsze drzwi? Nigdy niczego podobnego nie przeżył, ale od wielu dni koledzy mówili mu, żeby zwolnił. Zaginięcie córki, przepracowanie, brak snu mogły spowodować zwarcie w jego mózgu – ale jedno było pewne: musiało istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie tej sytuacji.

Zamyślony, bosy wszedł na drugie piętro. Jeśli on spędził część nocy pod siódmką, to gdzie się podziewa osobnik, który powinien tam być? Dlaczego kowboj porzucił swoje rzeczy? Znajdujące się na końcu korytarza drzwi z numerem dwadzieścia dziewięć były zamknięte na klucz. Zapukał. Nic. Zapowiadał się kolejny trudny dzień.

Wrócił do pokoju na dole i wybrał numer partnera, z którym pracował od zawsze. Włączyła się poczta głosowa. Nagrał wiadomość: „Tak, Paul, to ja. Nie uwierzysz. Przysnąłem w hotelu Falaise, a w nocy spadł deszcz martwych ptaków. Sypały się z nieba setkami jak grad! W każdym razie za jakieś pół godziny powinienem być na posterunku. Jeśli uda mi się odzyskać rzeczy. Wszystko ci wyjaśnię. *Tschüss, tschüss*”.

Zaraz potem zadzwonił do żony. Automat odpowiedział mu, że numer nie istnieje. Spróbował jeszcze raz, uważnie wciskając właściwe klawisze. Skutek był taki sam.

– Co jest, kurwa?

Ruszył korytarzem w stronę recepcji, gdzie kobieta, na oko czterdziestoletnia, rozmawiała przez telefon. Rozłączyła się i nie omieszkała zerknąć na jego bose stopy.

– Nie tylko u nas był deszcz ptaków – powiedziała, ciągle jeszcze spanikowana. – Spadały wszędzie dookoła hotelu aż do wiaduktu przy wjeździe do Sagas. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Musiały przylecieć z kolonii.

– Jakiej kolonii?

– Na pewno ją pan zauważył, jadąc tu wczoraj. Nie? Kolonia szpaków stacjonująca nad brzegami Arve. – Na widok wytrzeszczonych oczu Gabriela pośpieszyła z wyjaśnieniami: – Specjaliści twierdzą, że około siedmiuset osobników przyleciało tu z Europy Północnej w drodze do Hiszpanii. Trzy dni temu zrobiły sobie przerwę w Sagas. Lecące stado układa się na niebie w niesamowite kształty, a jego śpiew słychać w promieniu kilkuset metrów. Jeśli

pan wyjdzie i dobrze się wsłucha, sam pan usłyszy. – Zauważyła, że Gabriel nie rozumie, ale nie nalegała. – W czym mogę panu pomóc? Zatrzasnął pan pokój, a klucz został w środku?

– Nie, nie o to chodzi. Wczoraj wieczorem, około godziny... nie wiem już, w każdym razie późno, pan Tanchon dał mi klucz do pokoju dwadzieścia dziewięć. A obudziłem się w siódemce z nieswoimi rzeczami. Pomyślałem, że może lunatykowałem czy coś w tym stylu.

Kobieta odwróciła się w stronę tablicy z kluczami i zdjęła jeden z nich.

– To znaczy, że nieświadomie zszedł pan z drugiego piętra na parter z rękami wyciągniętymi przed siebie jak zombie? I wszedł pan do innego pokoju?

– Nie widzę innego wyjaśnienia.

– A gdzie w takim razie jest klient spod siódemki? W dwudziestcedziewiątce?

– Możliwe.

– Niemożliwe, ponieważ klucz jest tutaj. Chyba że go oddał, a ja nie zwróciłam uwagi. Przepraszam, ale ta historia z ptakami mną wstrząsnęła.

Gabriel był coraz bardziej zagubiony. Nie zapamiętał na przykład, że świątki na półce są takie brzydkie i że jest ich tak dużo. Miał pewność, że nigdy nie widział tego tandetnego zegara z obrazu Salvadora Dalego *Trwałość pamięci*, który spływał z narożnika lady jak roztopiony ser. Monitor komputera był jakby większy i nie tak masywny jak poprzedniego dnia.

Te szczegóły sprawiły, że poczuł się nieswojo. Wszystko wydawało mu się znajome, a zarazem inne, jakby stąpał po granicy między dwoma światami. Kobieta położyła przed nim klucz od pokoju dwadzieścia dziewięć i wystukała coś na klawiaturze. Zerknęła na ekran, a potem popatrzyła pytająco na Gabriela.

– Nie, nie, zdecydowanie coś tu nie gra, jak mówią. Pokój, w którym się pan obudził, został zarezerwowany na jedną noc przez niejakiego Waltera Guffina, który jeszcze się nie wymeldował. To znaczy, że albo jeszcze jest w hotelu, albo wyszedł zobaczyć, co się dzieje z ptakami, ale wróci. Nie mam za to rezerwacji pokoju, za który pan, jak twierdzi, zapłacił.

Gabriel przebierał palcami stóp na zimnej posadzce. Chciał już tylko jednego: jak najszybciej opuścić to piekielne miejsce i wrócić na posterunek. Za nim czekała w kolejce jakaś klientka. Młoda, ciemnowłosa, cała w tatuażach. Na pewno przyjechała odwiedzić kogoś z więźniów.

– Bo pan Tanchon nie wpisał mnie do rejestru ani do komputera. Po prostu wypożyczył mi pokój dwadzieścia dziewięć na kilka godzin. Miałem odłożyć klucz do koszyka, ale zasnąłem.

– Wypożyczyć pokój? Romuald? Łatwiej namówiłby pan weganina do zjedzenia antrykotu.

– Proszę pani, nie będziemy przecież dyskutować o tym przez cały dzień. Niech mi pani da ten klucz, zabiorę swoje rzeczy. Za pięć minut go pani oddam.

Czterdziestolatka niechętnie podała mu klucz i zwróciła się do kobiety, która zaczynała się już niecierpliwić. Gabriel cały w nerwach wszedł na górę. Co ona opowiada? „Weganina”? Ten hotel zaraz przyprawi go o szaleństwo.

Otworzył drzwi i wszedł do pokoju dwadzieścia dziewięć. Pusto, zaścielone łóżko, zaciągnięte zasłony. Pachniało detergentami i odświeżaczem powietrza. Podeszedł do okna. Urwisko. W dole czarne i czerwone plamy po martwych ptakach. Wczoraj, zanim położył się spać, znajdował się dokładnie w tym miejscu, był tego pewien. Usiadł na materacu ze spisem gości i skrupulatnie przepisywał ich dane do notesu.

Rzucił okiem na łóżko, zajrzał do szuflady w szafce nocnej, na wypadek gdyby sprzątaczką włożyła tam jego rzeczy. Gdzie ten cholerny notatnik? Gdzie jego mundur? Co zrobili z jego kowbojkami? Gdy wszedł do łazienki, ujrzał w lustrze swoje odbicie i zdębiał. To nie był on.

S tał bez ruchu przed lustrem, wpatrując się w swojego dublera. Nie, to był on – ale inny on. Głowa ogolona na zero, szpakowata bródka, kurze łapki w kącikach oczu i trzy poprzeczne zmarszczki przecinające czoło. Przyłożył dłonie do policzków, jego palce zsunęły się na podbródek, gdzie skóra lekko zwisała aż do szyi pokrytej rzadkim srebrnoszarym zarostem. To był on, ale o wiele starszy.

Poczuł, że uginają się pod nim nogi, i przytrzymał się umywalki, by nie upaść. Nigdy nie widział granatowego wełnianego swetra, który miał na sobie. Jego dzinsy miały inny krój. Ciało było szczuplejsze, smuklejsze, miał wystające obojczyki i widoczne ścięgna na szyi. Oszołomiony, zrobił kilka kroków w tył i w absurdalnym odruchu zaczął szukać swoich włosów w koszu na śmieci i odpływie prysznic. Gdzie ogolił głowę? Dlaczego? Co się stało z jego ciałem?

Nie mógł się powstrzymać i znowu podszedł do lustra. Zaczął naciągać skórę, by pozbyć się zmarszczek. Oczy w kształcie migdałów, blad różowe usta należały do niego. Nie śnił. To było zbyt realistyczne, miał pełną świadomość wszystkiego. Był w pełni obudzony, a mężczyzna, któremu patrzył w oczy, to był on.

Przerażające. Uniósł dolną krawędź swetra, spojrział na swój brzuch z lekko naciągniętą skórą i na wystające kości biodrowe. Własna anatomia budziła w nim przestraszanie. Zauważył, że na szyi ma sznurek, na którym wisiał klucz o skomplikowanym ząbkowaniu. Dotknął go, usiłował sobie przypomnieć, z jakich powodów nosi ten przedmiot na piersi. Na próżno. W panice wrócił na korytarz i zaczepił mężczyznę pchającego wózek obładowany praniem.

– Czy sprzątał pan pokój numer dwadzieścia dziewięć? Był tam notes, telefon komórkowy, służbowa kurtka w barwach żandarmerii z moimi papierami w środku.

Mężczyzna wyglądał na zbitego z tropu. Około czterdziestki, łysy, z czołem płaskim jak dno garnka. Jego ręce rugbysty były wyjątkowo owłosione. Miał na

sobie biały T-shirt z rysunkiem czerwono-białej gitary elektrycznej. Spojrzał na swojego rozmówcę, odsłaniając siekacze.

– Co pan tu odstawia?

– A czy my się znamy?

Facet, wzrostem równy Gabrielowi, ale potężniejszy, spojrzał na jego bosa stopy, a potem znowu na twarz. Jego oczy były jak czarne chmury na burzowym niebie. W końcu odwrócił głowę i popatrzył na swój grafik dyżurów.

– Tak, znaliśmy się. Zdziwiasz mnie. I nie, nie byłem w pokoju numer dwadzieścia dziewięć, tej nocy nie był zajęty.

Pochylił się i odszedł ze swoim wózkiem, po czym zniknął za jakimiś drzwiami. Nie spojrzał więcej na Gabriela i nie powiedział już ani jednego słowa. Skąd to chmurne spojrzenie i pełen pretensji ton? Powiedział: „Znaliśmy się”. W czasie przeszłym.

Gabriel zszedł do pokoju, w którym się obudził, żeby przeszukać sportową torbę. Majtki, skarpetki, jednolity niebieski T-shirt, kosmetyczka i więcej nic. W jednej z kieszeni skórzanej kurtki znajdowała się zapalniczka z wygrawerowaną głową wilka, w innej – brelok z guzikiem i przyczepionymi trzema kluczami, w tym jednym od samochodu. Niemiecka marka. Schylił się do butów. Czterdzieści cztery, prawie jego rozmiar: nosił czterdzieści trzy. Drżącą ręką sięgnął po okulary. Pasowały doskonale, ale nie miały żadnego wpływu na jego wzrok. Widział czysto zarówno w nich, jak i bez nich.

To wszystko nie miało żadnego sensu. Musiał usiąść. Zaraz się obudzi i ucieknie z tego długiego, obłądnego tunelu. Krążył po nim jak w najgorszych horrorach. W rzeczywistości nie było żadnego deszczu ptaków. Może nawet jego córka nie zaginęła. Czeka na niego w domu. Zagrają razem w szachy albo pójdą pojeździć na rowerze po górskich ścieżkach i lasach.

Spróbował jeszcze raz zadzwonić do Paula, a potem do żony – na próżno. „Nie ma takiego numeru”. Jasne. To było w pakiecie z obłądem. Dalsze przemierzanie tych korytarzy na bosaka nie wchodziło w grę. Włożył wyciągniętą z torby parę skarpet i ohydne, ale wygodne buty. Ciężka skórzana kurtka z barankowym kołnierzem była odrobinę za duża, ale uznał, że jest okej. Odda te ciuchy właścicielowi, kiedy lepiej rozezna się w sytuacji.

Minutę później podreptał do recepcji ze ściśniętym gardłem i dwoma kluczami w dłoni.

– Znalazł pan w końcu swoje rzeczy? – zapytała kobieta.

– Czy Walter Guffin nadal się nie pojawił?

– Nie.

– Muszę porozmawiać z Romualdem Tanchonem.

– Przykro mi, wyjechał na cały dzień do Lyonu na spotkanie w sprawie platformy do rezerwacji online. Musimy się otworzyć na inną klientelę oprócz rodzin osadzonych. Wiem, Sagas to paskudne miasto, ale okolice są ładne. Poza tym ośrodki nar...

– Proszę pani – przerwał jej – nazywam się Gabriel Moscato i jestem porucznikiem żandarmerii w Sagas. Znam pana Tanchona, moja córka pracowała w tym ośrodku w czasie wakacji w ubiegłym roku i dwa lata temu. Przyjechałem tu wczoraj wieczorem, wziąłem spis gości i...

– Gabriel Moscato? To pan jest ojcem tej dziewczyny, której nigdy nie odnaleziono?

– Zmobilizowaliśmy wszystkie siły, poszukiwania trwają. Minął dopiero miesiąc, znajdziemy ją.

Kobieta pokręciła głową i popatrzyła na niego zdziwiona.

– Miesiąc? Ale... Jaki dzień dziś mamy pana zdaniem?

Zastanowił się.

– Dziewiąty, może dziesiąty. Tak, dziesiąty kwietnia. Jest czwartek, dziesiąty kwietnia.

– Dziesiąty kwietnia. A którego roku?

– Dwa tysiące ósmego.

Przyglądała mu się przez dłuższy czas bez mrugnięcia. Wreszcie odpowiedziała – głosem, który zazgrzytał mu w uszach twardo jak diament.

– Ale dziś jest szósty listopada dwa tysiące dwudziestego roku. Od zaginięcia pańskiej córki minęło dwanaście lat.

Aby nie rozjeżdżać martwych ptaków, jechał wolno slalomem, ale i tak nie był w stanie ich ominąć. Pod wiszącym nisko niebem w kolorze cementu zaparkował samochód żandarmerii przed międzygminną oczyszczalnią ścieków, na rozległym ziemnym placu, z którego w dole widać było zabudowania zakładu utylizacji odpadów. Hałdy w kolorze brązu, ochry i szarości, przypominające gigantyczne sutki, zasłaniały rzędy sosen i olch na brzegu Arve. Ze szczytów na ostatnim planie zstępowały chmury, wpełzając grubymi lśniącymi wstęgami między górskie ściany. Wydawało się, że niebo jest w zasięgu ręki, co burzyło nadzieję na ładną pogodę. W Sagas słońce potrafiło nie świecić przez kilka tygodni. Mieszkańcy nazywali ten przedłużający się brak światła „czarną śmiercią”. Czarna śmierć podkopywała morale i drastycznie podnosiła wskaźnik samobójstw w dolinie, zwłaszcza jesienią. Potwierdzały to oficjalne statystyki.

Kapitan Paul Lacroix wysiadł z samochodu w towarzystwie Louise, o ćwierć wieku młodziej od niego żandarmki. Rozejrzeli się po okolicy i zobaczyli zatrzęsienie martwych ptaków.

– Ornitologowie twierdzą, że kolonia wystraszyła się czegoś w środku nocy – wyjaśnił Paul. – Jeśli im wierzyć, te ptaki w ciemności prawie wcale nie widzą. Podobno setki tysięcy spanikowanych osobników zrywały się z gałęzi i zderzały ze sobą w powietrzu na powierzchni wielu hektarów. Zeznania różnych świadków wskazują, że stało się to między drugą dziesięć a drugą dwadzieścia.

Podeszli do chorążego Martiniego, zastępcy szefa grupy. Mężczyzna czekał na nich z rękami zaplecionymi na piersi i dygotał. Z czubka nosa kapąca mu woda. Listopadowy wiatr i deszcz chłostały twarze i przenikały przez warstwy ubrań. Uścisnęli sobie dłonie, po czym Benjamin Martini – przypominający Toma Hanksa czterdziestodwulatek o potarganych kręconych włosach – wskazał na zarośla.

– Tam znaleźli ciało. Chodźcie za mną.

Miał bezbarwny głos i woskową cerę, jak większość mieszkańców doliny. Trójka żandarmów ominęła hałdy i powolnym tempem kapitana, który utykał na prawą nogę, ruszyła między drzewa. Mężczyzna rozłożył chusteczkę higieniczną i podał Louise.

– Szpacze gównu na lewym łokciu.

– No nie... A to świnia!

Patrzył, jak kobieta z obrzydzeniem wyciera biały kleks.

– Jesteś pewna, że dasz radę? Wiesz, że mogę ci oszczędzić dalszego ciągu?

Louise zwinęła chusteczkę w kulkę i wsunęła ją do kieszeni kurtki.

– Podobno jak przez to przejdę, będę ochrzczone.

Młoda kobieta wyprzedziła go marszowym krokiem. Sposobem poruszania się, wyprostowaną postawą i uniesionym dumnie podbródkiem chciała pokazać, jak bardzo jest zdeterminowana. Korzystając z chwili samotności, Paul rozmasował sobie kolano. Kiedy w powietrzu była wilgoć – czyli prawie zawsze – cholernie bolały go stawy.

Martini podał im lateksowe rękawiczki.

– Zwłoki zauważyła około dziewiątej dziesięć niejaka Isabelle Davigny, kajakarka. Pochodzi z Albion. Spływała Arve i fotografowała martwe ptaki na brzegach. Kiedy zobaczyła ciało, od razu zadzwoniła na posterunek. Brunet, Tardieu i ja przyjechaliśmy około dziesiątej dwadzieścia i od razu zadzwoniliśmy do ciebie.

Paul zauważył kajak leżący na brzegu kawałek dalej.

– Gdzie jest Isabelle Davigny?

– Zaczęła wymiotować do wody, naprawdę była w kiepskim stanie. Tardieu zabrał ją na posterunek.

Z wyściełanej sosnowymi igłami ziemi weszli na kamienisty lewy brzeg Arve. Tu i ówdzie leżały martwe szpaki i Paul miał wrażenie, jakby znalazł się w scenerii z filmu postapo. Podniósł wzrok. Trzysta metrów nad nimi, tuż pod warstwą chmur, niebo pokrywały straszliwe figury geometryczne. Jakby jakaś niewidzialna paszcza wydmuchiwała gigantyczne obłoki czarnego piasku, które następnie wpadały w wir. Mimo nocnej masakry szpaki znowu tańczyły swój niesamowity balet.

Paul uważnie rozejrzał się dookoła. Rzeka była w tym miejscu szeroka i rwąca, a woda miała zimny, niebieski odcień. Bystry nurt przyciągał wielu kajakarzy. Nad Arve bez trudu można było się dostać pieszo – albo od strony zakładu, albo drogą gminną, która przez kilka kilometrów wiodła wzdłuż brzegu. Ruszyli w kierunku Bruneta. Żandarm fotografował zwłoki telefonem komórkowym i czuwał nad tym, by nikt się do nich nie zbliżał.

Jedenasta dziewiętnaście. Zadzwoił telefon Paula. Nieznany numer. Odrzucił połączenie, szybko wyłączając niestosowną melodię *I Will Survive*, i stanął w odległości przepisowego kroku od ofiary. Louise trzymała się na dystans.

Kapitan przykucnął. Oto jeden z tych dni, o których długo będzie się mówić w Sagas. Grad szpaków. I brutalne morderstwo, którego ofiarę porzucono na wpół nagą na brzegu rzeki. Wspaniały kąsek dla Chamarlaine'a, lokalnego dziennikarza, który zaraz się tu pojawi ze swoim notesem. W małych miastach informacje szybko się rozchodzą.

Przyglądał się zwłokom, usiłując zachować zimną krew. Prowadził z Martinim wiele postępowań w sprawie samobójstw i tajemniczych zgonów – ale nigdy nie były to sprawy kryminalne. Uspokoił oddech, uruchomił w smartfonie funkcję nagrywania i przystąpił do wstępnych ustaleń. Oględziny miejsca zbrodni miał przeprowadzić jeszcze raz w obecności techników, ale uznał, że ważne są wrażenia, jakie odniósł na gorąco, w pierwszym zetknięciu z ofiarą.

– Godzina oględzin: jedenasta dwadzieścia dwie, szósty listopada dwa tysiące dwudziestego roku. Ciało kobiety rasy białej, wiek niemożliwy do określenia, ale powiedziałbym, że między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, zostało znalezione przez Isabelle Davigny z Albion podczas wycieczki kajakiem. W powietrzu wilgoć, rano mżyło. Ofiara leży na plecach na lewym brzegu rzeki Arve, w osi północ-południe, na wysokości stacji uzdatniania wody i bystrzyn, dwa kilometry na południe od miasta. – Pochylił się niżej nad zwłokami. –

Prawe ramię wykręcone na wysokości barku pod kątem ponad dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do tułowia. Na części prawego uda leży szpak, widać krwawy ślad powstały wskutek uderzenia. Prawdopodobnie zgon nastąpił więc przed deszczem ptaków, który miał miejsce tej nocy. – Odsunął się o krok. – Trochę krwi na lewej dłoni, na wysokości paznokci. Włosy ciemny blond, jakieś trzydzieści centymetrów długości. Rysy nie do rozpoznania z powodu wybroczyn. Na pierwszy rzut oka widać, że prawy łuk brwiowy jest rozbity, kości policzkowe prawdopodobnie są połamane i stąd pochodzi opuchlizna. Nos również złamany. Zważywszy na obrażenia, możliwe, że uderzano ją w twarz dużym otoczakiem lub innym kamieniem, których dookoła jest pełno. W ustach czarna tkanina użyta jako knebel. Prawdopodobnie są to skarpetki, tym bardziej że ofiara ma bose stopy.

Zerknął na Louise. Dziewczyna mrugnęła na znak, że wszystko w porządku. Stała obok i zapisywała w notesie każde jego słowo. Mówił dalej:

– W bezpośrednim pobliżu ciała nie ma śladów jej butów. Liczne skaleczenia na stopach. Prawa stopa ustawiona pod nienaturalnym kątem do nogi, być może kobieta złamała sobie kostkę. Dżinsy i majtki opuszczone poniżej kolan. Siniaki

w górnej części ud po wewnętrznej stronie i... ekhm, możliwe krwawienie z waginy.

Wcisnął guzik i zrobił przerwę. Dziewczyna na pewno została zgwałcona, a następnie zmasakrowana. Spróbował nie dopuszczać do siebie tych czarnych myśli, zrobił wdech i mówił dalej:

– Ubrana w kurtkę zapiętą pod szyję na suwak. Materiał kurtki przedziurawiony w co najmniej dwóch miejscach, uszkodzenia typowe dla broni palnej. Czekamy na techników i zakład pogrzebowy, by rozebrać ciało na miejscu i dokonać oględzin przed odjazdem do kostnicy.

Wyłączył nagrywanie i przez chwilę trwał bez ruchu nad biedną dziewczyną, porzuconą na brzegu rzeki jak zwykły śmieć. Jaka bestia mogła ją tak sponiewierać, zamordować z takim okrucieństwem? Wstał z grymasem na ustach, ciężko opierając dłonie na udach. Miał pięćdziesiąt dwa lata, a czuł się, jakby go zamurowano w ciele starca. Odwrócił się w stronę Martiniego, który rozmawiał przez telefon, a potem Louise.

– A jeśli to strzały przstraszyły w nocy kolonię ptaków? Przerażone hukami szpaki zrywają się z drzew. Zderzają się ze sobą, a jeden z nich spada na świeże zwłoki.

Louise nie odpowiedziała. Oczami wielkimi jak bilardowe kule wpatrywała się w szybko poruszający się długopis, którym robiła notatki.

– Nagrywałem – westchnął Paul. – Nie musiałś zapisywać.

Dziewczyna schowała sprzęt do kieszeni i znowu zainteresowała się trupem.

– Tak, to bardzo możliwe – odparła. – W takiej sytuacji znalazłbyśmy dokładną godzinę zabójstwa.

– Druga w nocy, z dokładnością do kilku minut. Zobaczymy, co powie patolog, ale wydaje mi się, że to sensowna hipoteza. A ty co powiesz?

– Sprawca wepchnął jej skarpetki do ust, żeby nie mogła krzyczeć. Na pewno została zgwałcona i zamordowana tutaj, na miejscu.

– Dlaczego tak uważasz?

– Ma opuszczone spodnie. Poza tym to jest świetnie osłonięte miejsce. Jasne, górą biegnie droga, ale po zachodzie słońca nie da się tu nikogo zobaczyć. Nie ma oświetlenia ani żadnych budynków dookoła. Szum wody zagłusza głos tłumiony przez knebel. Zresztą o drugiej w nocy mogła sobie krzyczeć do woli, w okolicy i tak nie ma żadnych ludzi.

– A bose stopy? Jak to wyjaśnisz?

– Nie mam pojęcia. Stan jej stóp wskazuje na to, że szła, a może nawet biegła bez butów. Może ktoś ją przetrzymywał w bagażniku samochodu albo w kamperze i udało jej się uciec. Skaleczyła się, ale szła dalej. Czy chciała wskoczyć do Arve, żeby uciec przed napastnikiem? Bo nie bardzo widzę, dokąd

mogłaby pójść. Zwichnęła kostkę: zważywszy na kąt ustawienia stopy, uraz jest poważny. I od razu upadła, w tym miejscu. A potem nastąpił dalszy ciąg. Ta dzika bestia ją dopadła.

Taki scenariusz był prawdopodobny. W jaki sposób ofiara znalazła się w okolicy? Skąd się tu wzięła? Przywieziono ją samochodem, jak sugerowała Louise?

– Abstrahując od ptaków, dziwna sprawa z tymi skarpetkami w ustach – dodała młoda kobieta.

– Hm?

– Skoro biegła boso, to znaczy, że napastnik miał jej skarpetki przy sobie. Kto spaceruje ze skarpetkami ofiary? Nie brzmi to zbyt logicznie. Tak mi się przynajmniej zdaje.

– Wiesz, sprawy kryminalne są logiczne tylko w telewizji. Poza tym może jednak uciekała w skarpetkach? Skarpetki jakoś szczególnie nie chronią. Podobnie z twoim wnioskiem, jakoby do napaści seksualnej doszło tutaj: możliwe, że została zgwałcona gdzie indziej, a sprawca przeniósł zwłoki w to miejsce i dopiero wtedy zsunął z niej spodnie. Albo jeszcze inaczej: zgwałcił ją już martwą.

– Okropny jesteś.

– Tak, jestem okropny. Nigdy nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Dlatego w moim sprawozdaniu poprzestałem na faktach.

– Dziękuję za nauki, kapitanie – odparła oschle.

Paul odwrócił się w stronę grupy.

– Zawiadomię zastępcę prokuratora. W ciągu najbliższych godzin i dni będziemy mieli kupę roboty. To oznacza, że jesteście dyspozycyjni w weekendy i nikt się nie urywa w ciągu dnia, żeby odebrać dzieciaki ze szkoły. Nie chcę, żeby ludzie znowu uznali żandarmów z Sagas za niepoważnych. Benjamin, przekażesz reszcie?

Mężczyzna w milczeniu skinął głową. W oczach Bruneta, który robił zdjęcia, Paul zauważył błysk podniecenia. Młody żandarm nawet się uśmiechnął.

– Uważasz, że to miła odskocznia od codzienności, co? – warknął Paul. – To jest martwa dziewczyna, a nie jakaś pieprzona rozrywka. Zakonotuj to sobie we łbie i przestań się śmiać.

Brunet się zaczerwienił i spuścił głowę. Był jednym z początkujących żandarmów w samodzielnej brygadzie terytorialnej w Sagas, złożonej z trzydziestu czterech osób – w tym trzech techników – i obejmującej zasięgiem obszar ponad dwudziestu tysięcy hektarów, podzielony na osiem gmin. Ze względu na liczne szczyty o wysokości powyżej tysiąca ośmiuset metrów jednostka nosiła nazwę brygady górskiej i była upoważniona między innymi do

prowadzenia spraw kryminalnych. I oto pod kierownictwem Paula miało ruszyć drobiazgowo śledztwo. A on bynajmniej się z tego nie cieszył.

– Zanim pojawią się technicy, sprawdzimy okolice. Byłoby dobrze, gdybyśmy znaleźli łuski i kamień, którym napastnik zmasakrował twarz ofiary.

Zadzwoił do prokuratora, a następnie odsłuchał wiadomość głosową, która kilka minut wcześniej przyszła na jego pocztę głosową.

„Tak, Paul, to ja. Nie uwierzysz. Przysnąłem w hotelu Falaise, a w nocy spadł deszcz martwych ptaków. Sypały się z nieba setkami jak grad! W każdym razie za jakieś pół godziny powinienem być na posterunku. Jeśli uda mi się odzyskać rzecz. Wszystko ci wyjaśnię. *Tschüss, tschüss*”.

Paul myślał, że to jakaś pomyłka, do chwili gdy usłyszał ostatnie słowa. Odsłuchał jeszcze raz. Ten głos, ta intonacja. I to „*tschüss, tschüss*”. Tylko jedna osoba używała takiego pozdrowienia: Gabriel Moscato. Ale to było ponad dwanaście lat temu.

Błady, wyłączył nagranie. Ten telefon w jednej chwili przywołał najgorsze wspomnienia z jego życia. Utykając jak inwalida wojenny, wrócił nad rzekę.

– Miałeś dziwną minę, jak rozmawiałeś przez telefon – zauważyła Louise. – Co się dzieje?

Nagle Paul innym wzrokiem popatrzył na pokiereszowaną twarz, blond włosy rozsypane na kamieniach i udęczone ciało. A jeśli... Czy to mogła być ona? Julie Moscato? Pokręcił głową i spojrzał na Louise.

– To był duch. Rozmawiałem z duchem.

Rozpaczliwie przetrząsał zakamarki swojej pamięci, ale nic się nie pojawiało. Nic po dziesiątym kwietnia dwa tysiące ósmego roku. A przecież gdyby przeżył choć jedne urodziny, jedną gwiazdkę bez córki, jak mógłby o tym zapomnieć? Dlaczego jeszcze nie znalazł Julie? Co przyniosło śledztwo? I co robił przez te wszystkie lata?

Kartkował gazetę w hotelowym lobby, pochłaniał artykuł za artykułem. Był oszołomiony. Obcy na własnej planecie. W jego głowie na topie był Obama, wciąż słyszał jego przemówienie transmitowane przez wszystkie telewizje świata, jego: *Yes we can*. Kim więc jest ten pyzaty olbrzym w jaskrawoczerwonym krawacie, o włosach w kolorze siana? Dlaczego ogłaszają piątą rocznicę zamachów, do których doszło w Paryżu w dwa tysiące piętnastym roku? Czym są Uber i Deliveroo? Opisywany świat nie był jego światem. Ta enigmatyczna technologia, niezrozumiałe słowa, fotografie nieznanymi osobami...

Gabriel raz po raz powtarzał datę publikacji gazety. Szósty listopada dwa tysiące dwadzieścia. Niemożliwe. „To pan jest ojcem tej dziewczyny, której nigdy nie odnaleziono?” Kłamstwa! Julie zaginęła dopiero przed miesiącem. Siły żandarmerii prowadzą wytężone poszukiwania. Przywiozą ją z powrotem do Sagas i wszystko wróci na swoje miejsce.

Dziesiąty kwietnia dwa tysiące osiem, dziesiąty kwietnia dwa tysiące osiem, dziesiąty kwietnia dwa tysiące osiem... Może zwariował. Może cała ta maskarada była wytworem jego umysłu, koszmarem tak dopracowanym, że choć zdawał sobie z niego sprawę, nie potrafił uciec. Przepalił mu się mózg.

Wyszedł z hotelu z oczami utkwionymi w rozplaszczonych na betonie pierzastych kulkach. Ruszył przed siebie – bez papierów, bez wspomnień, w ciuchach Waltera Guffina. Przychodziły mu do głowy różne dziadostwa: amnezja albo, co gorsza, alzheimer. Wyobraził sobie, że z tą spapraną pamięcią zbiegł ze szpitala, schronił się w tym mizernym hotelu, a wszyscy go szukają.

Zdecydowanie musi wrócić do domu. Porozmawiać z żoną. Zrozumieć, co się z nim stało.

Pogrzebał w kieszeni bluzy i wcisnął guzik na pudełeczku dołączonym do kluczy. Zamrugały światła i rozległ się pojedynczy dźwięk. Znał ten model mercedesa z początku pierwszej dekady dwudziestego wieku – był to jeden z najczęściej kradzionych wozów – ale większość marek dookoła nic mu nie mówiła. Nie było już saxo, peugeotów 206, golfów. Same dziwne modele o kształtach jak z klocków Lego, w żywych kolorach, z dziwnymi tablicami rejestracyjnymi.

Mimo obrzydzenia chwycił za ogon dwa ptaki, które upadły na maskę mercedesa, i położył je na ziemi. W miejscach uderzeń blacha była wgnieciona. Zajrzał do bagażnika: pusto. Usiadł za kierownicą i spojrzął na swoje odbicie w lusterku. Wciąż był w ciężkim szoku. Zmarszczki, srebrzysty zarost na policzkach. W jednej chwili się postarzał. O dwanaście lat. Jakby odbył brutalną podróż w czasie, jak Marty McFly w *Powrocie do przyszłości*.

Siedząc w samochodzie, usiłował chwycić się jakiegoś wspomnienia: z nadzieją na déjà vu popatrzył na fotele. Na próżno. Odwiązał sznurek, który miał na szyi, przyjrzał się kluczowi. Co to za klucz? Od drzwi wejściowych? Od jakiejś skrzynki?

W schowku znalazł latarkę, żarówki i paczkę papierosów. Wyjął jednego, powąchał i w zamyśleniu wetknął sobie w usta. Wypluł go z obrzydzeniem, ale tytoń pozostawił na jego języku znajomy smak. To znaczy, że palił. Od kiedy?

Włączył silnik i skierował się do wyjazdu z parkingu – nie był w stanie omijać chrupiących pod kołami samochodu ptasich trucheł – a znalazłszy się na drodze prowadzącej wąską doliną, ruszył prosto na południe. Spojrzał na tonące w chmurach czarne szczyty i strome zbocza. Nic się nie zmieniło, urwiska i lasy odpowiadały obrazom zgromadzonym w jego pamięci. Rozpoznał zapachy sosen i wilgotnej gleby: to go uspokoiło.

Gdy ujechał kilometr, jego oczom ukazał się niesamowity widok ptaków tańczących na niebie. A więc to jest ta słynna kolonia szpaków! No, teraz już trochę pomniejszona. Przyglądał się figurom, w jakie układały się zwierzęta – czasem zwartym, czasem rozciągniętym – w pewnym momencie miał wrażenie, że widzi pulsujące serce.

I wtedy trafił na posuwający się wolno trzydziestometrowy sznur samochodów. Zrozumiał, co się dzieje: poniżej, na brzegu Arve, dostrzegł grupkę gestykułujących ludzi w mundurach. Żandarmi. Z miejsca, w którym się znajdował, nie był w stanie ich rozpoznać. Chłopcy rozłożyli biały namiot, by ukryć coś przed wzrokiem ciekawskich. Zważywszy na zastosowane środki, musiało chodzić o zwłoki. Trup w Sagas.

Gabriel mocno zacisnął dłonie na kierownicy. Od razu wyobraził sobie Julie leżącą na antracytowych otoczkach, z obrzmiałą białą twarzą jak u topielca. Wreszcie ją znaleźli. Martwą. Jego córkę. Wcisnął klakson, niebezpiecznie wyprzedził kilka samochodów, po czym gwałtownie skręcił, ocierając się o barierki. Ale musiał wiedzieć.

Droga wiła się stromym zboczem. Dalej majaczył cień Sagas, jakby osadzonego w skalnym gnieździe. Betonowe gminne miasto, niecka zanieczyszczona przez nieprzerwany ruch ciężarówek na autostradzie A40. Mieszkańcy sąsiednich miejscowości – oraz eskortowani przez żandarmów więźniowie – przyjeżdżali tam jedynie do lekarza lub do pracy. Szpital, ostatnia oznaka cywilizacji przed Lyonem, był obok zakładu karnego największym pracodawcą w dolinie.

Skręcił w pierwszy zjazd z ronda, na którym stał drewniany posąg niedźwiedzia – mimo że żadnego niedźwiedzia nigdy w okolicy nie było, o czym Gabriel doskonale wiedział – wjechał na kamienny wiadukt i ruszył w kierunku, z którego przyjechał, jednak drugim brzegiem Arve, drogą gminną prowadzącą do zakładu utylizacji odpadów. Również tutaj leżało mnóstwo martwych ptaków, a setki tysięcy żywych wirowały nad jego głową, wydając z siebie ostre piski przypominające odgłos, jaki powstaje przy pocieraniu o siebie dwóch kawałków szkła. Głośno, ze wszystkich sił pomodlił się, by ciało wyrzucone przez rzekę nie należało do jego córki.

Zobaczył co najmniej cztery samochody żandarmerii, nie licząc zgrabnych furgonetek techników kryminalistyki. Przejechał przez otwartą bramę i zaparkował obok nich. Wielkimi susami wbiegł między kolorowe hałdy i jego serce zaczęło walić jak szalone. Szybko się zmęczył i zaczął dyszeć, tak że musiał zwolnić. Dwa tysiące dwudziesty... Kurwa, pięćdziesiąt pięć lat!

Spomiędzy drzew wyszła korpulentna kobieta na krótkich nogach i bojowym krokiem ruszyła w jego stronę.

– Żandarmeria Narodowa. Przepraszam pana, ale tutaj nie można wchodzić. Jest pan na terenie...

Nie dokończyła zdania, tylko schyliła głowę, nagle pojmując znaczenie słowa „duch”, którego wcześniej użył jej ojciec.

– Gabriel?

– Niemożliwe... Louise? Louise Lacroix?

Nie była już upartą siedemnastoletnią licealistką, buntowniczką z rozczochranymi włosami i wyzywającym makijażem, ale kobietą z długim warkoczem i pełnymi policzkami, ubraną w mundur żandarmerii ze spodniami wpuszczonymi w solidne wypastowane glany. Louise została żandarmką? Gabriel nie mógł w to uwierzyć. Początkowo wyglądała na tak samo zszokowaną jak on, ale po chwili się pozbierała.

– Co ty tu robisz? – zapytała zdecydowanie nieprzyjaznym tonem.

Gabriel nie wiedział, co powiedzieć. W jego umyśle nakładały się na siebie dwie Louise. Wyciągnął szyję. Między drzewami pojawiały się i znikwały niebieskie kurtki żandarmów.

– Jechałem drogą i zobaczyłem mundury. Co się dzieje?

Louise, która stała z rękami w kieszeniach, wsunęła brodę za kołnierz kurtki.

– Nie jestem upoważniona do udzielania informacji.

– Nie jesteś upoważniona? Żartujesz?

– Jeśli chcesz się spotkać z moim ojcem, wybrałeś nie najlepszy moment. Wierz mi, nie jest w nastroju. Ptaki, zwłoki i dziennikarz, który nie chce się odczepić. Nie mogę cię przepuścić. Przyjdź później na posterunek.

– Louise, nie kpij sobie ze mnie. To Julie? To jej ciało?

Ponieważ nie odpowiedziała, postanowił iść dalej. Spróbowała zagrozić mu drogę, ale odsunął ją stanowczym gestem. Za szpalerem jodeł było widać więcej: kamieniste brzegi, czarno-czerwone plamy po roztrzaskanych szpakach, szybki nurt rzeki, ledwie widoczny we mgle wiadukt, a powyżej stado ptaków. Po prawej, w pobliżu namiotu, uwijała się grupka ludzi. Z miejsca, w którym stał, widział leżący na ziemi kształt. Goście w białych kombinezonach rozebrali ciało i wsunęli jego dłonie do przezroczystych torebek. Kiedy Gabriel zauważył jaskrawobiałe kobiece piersi, zrobiło mu się niedobrze.

Po ożywionej wymianie zdań z Louise Paul Lacroix rozprostował potężne cielsko i ruszył jej z odsieczą. Potężny ojciec drobnej córki. Zanim Gabriel zobaczył jego twarz, zauważył, że Paul kroczy jak kukła. Każde nowe spostrzeżenie było dla niego jak cios pięścią w twarz. Dawny kolega, szczupły czterdziestolatek o profilu wyciosanym z najlepszej skały, poruszał się teraz z wdziękiem brnącego w mule buldożera. Jego niegdyś czarne, kręcone włosy były teraz szare, rzadkie i ledwie pofalowane. Mimo pagonów na mundurze świadczących o awansie do szarży kapitana była to popsuta wersja Paula, z którym rozstał się przecież poprzedniego dnia. Jak można się do tego stopnia zmienić w ciągu dwunastu lat?

– Co ty tu robisz?

Taka sama niechęć jak u jego córki. Gabriel przyjrzał się zwróconym w jego stronę twarzom żandarmów, którzy nagle umilkli. Wszyscy młodzi, o wrogich spojrzeniach. Poza chorążym Martinim nie rozpoznał nikogo. Gdzie się podzieli jego koledzy, Solenne i reszta?

– Nie mów mi, że to ona. Nie mów, że to moja córka.

Paul otaksował go wzrokiem, jakby on także zobaczył w nim innego człowieka. Najlepsi koledzy, wychowani na jednej ulicy, razem w gimnazjum i liceum. Zaprzyjaźnili się, przez dwadzieścia lat dzieląc jeden pokój i dwa razy w tygodniu chodząc na kawę do lokalnej kafejki. Teraz jednak stali naprzeciwko siebie jak obcy ludzie.

– Nie wiadomo. Rysy twarzy są nierozpoznawalne, poza tym... w ciągu dwunastu lat człowiek się zmienia. W tej chwili wiemy tylko, że chodzi o kobietę około trzydziestki, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa została zgwałcona. Więcej nie mogę ci powiedzieć. W kostnicy pobiorę próbki DNA i od razu prześlę je do naszego laboratorium.

– Chcę zobaczyć ciało.

– Nie.

– Paul, słuchaj, stało się coś niezrozumiałego. Wczoraj przeglądaliśmy razem faktury za telefon Julie, przesłuchiwalismy ludzi. Wieczorem poszedłem do hotelu Falaise, żeby zobaczyć spis gości. Psiakrew, powiedz mi, że pamiętasz!

– Nie, nie bardzo. I to na pewno nie było wczoraj. Ani w zeszłym roku. Ani nawet pięć lat temu.

– Dla mnie to było wczoraj! W nocy na moich oczach te ptaki spadają na parking, na samochody, jakieś szaleństwo. Wszyscy wychodzą ze swoich pokoi. Potem czarna dziura. A rano budzę się łysy z gębą pięćdziesięciolatka. Ktoś mi mówi, że jest dwa tysiące dwudziesty rok. Twoja córka postarzała się o dwanaście lat, ty również. Nic z tego nie rozumiem, wierz mi, to jest dla mnie kurewsko trudny dzień. Więc pozwól mi zobaczyć to ciało.

Paul skinął w stronę dwójki żandarmów.

– Tego pana nie powinno tutaj być. Odprowadźcie go do jego auta.

Gabriel usiłował przejść mimo to. Kiedy jeden z funkcjonariuszy chciał go złapać za nadgarstek, odepchnął go ze złością.

– Proszę mnie nie dotykać. Jestem członkiem tej brygady. Tak samo, kurwa, jak pan!

Podbiegli inni mężczyźni i zdołali go okiełznać. Gabriel nie miał już sił, by się wrywać: energia uszła z niego jak powietrze z dziurawej opony. Paul stanął przed nim, tak że ich twarze dzieliło dziesięć centymetrów.

– Nie wiem, co wciągałeś albo piłeś, ale nie zmuszaj mnie do zastosowania procedur. Nie jesteś tu już mile widziany. Wynoś się z tego miasta.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do zwłok. Gabriela odprowadzono na parking i dopilnowano, by wsiadł do samochodu. Nie pozwolili mu podejść do miejsca zbrodni, wygonili go: jego, kolegę z brygady. Gabriel widział nienawiść w oczach Paula, wyrzut w spojrzeniu Louise. Co się wydarzyło? A przede wszystkim – kiedy?

Gdy wjeżdżał mercedesem na most, trzęsły mu się ręce, a pod czaszką pulsowała krew. Utworzony przez kolonię ptaków gigantyczny kształt na niebie, czarny jak otchłań, rozszerzał się i kurczył. Gabrielowi zakręciło się od tego w głowie. Za rondem minął magazyny i przejechał jeszcze dwa kilometry. Jego mózg wypełniało brzęczenie owadów. Zamknął oczy, otworzył je, zobaczył jadący z naprzeciwka samochód i szybko skręcił kierownicą. Zaparkował na poboczu i gwałtownie otworzył drzwi. Przeszedł po trawie jakieś dziesięć metrów, zataczając się, trzymając dłonie przy szyi, jakby chciał rozwiązać niewidoczny szalik.

Zatrzymał się jakiś samochód.

– Coś nie tak? – zapytał kierowca, podbiegając do niego.

Gabriel chwycił go za ramię.

– Szpital... Niech mnie pan zawiezie do szpitala.

Czekając na rezonans magnetyczny na oddziale neurologicznym, na drugim piętrze szpitala w Sagas, Gabriel uświadomił sobie, że nie ma obrączki z białego złota, którą od dwudziestego piątego roku życia nosił na palcu serdecznym. Znalazłszy się w tubie, spanikował i trzeba było kilku podejść, zanim udało się zrobić zdjęcia jego mózgu. Po ósmej wieczorem, po niekończącej się serii badań, umieszczono go wreszcie w spokojnej sali i zaserwowano posiłek na bazie niemożliwych do zidentyfikowania warzyw.

Nikt jeszcze nie przyszedł, żeby z nim porozmawiać: najpierw badania. Prowadzono go z jednej pracowni do drugiej. Z jego dokumentacji medycznej wynikało, że raz leczył się w szpitalu Lille w związku z dyskopatią. Lille? Co on robił na północy? Nic poza matką nie łączyło go z tym regionem. Co ciekawe, stracił wspomnienia z dwunastu lat, ale potrafił wyrecytować z pamięci numer swojego ubezpieczenia. System Ameli obsługujący ubezpieczenia zdrowotne przechowywał jego dane. A zatem w roku dwa tysiące dwudziestym Gabriel Moscato istniał.

Umieszczono go na oddziale opieki krótkoterminowej. Usiadł na łóżku i obejrzał prawe przedramię, przesunął dłonią po białych śladach. Według jednej z pielęgniarek była to pozostałość po laserowym usunięciu tatuażu. Przyglądając się uważnie, mógł jeszcze odróżnić litery, które układały się w słowo „Julie”. Wydziarał sobie imię córki, a potem je wymazał. Chwycił się oburącz za głowę. Wariował od tej niewiedzy.

Wybrał numer telefonu stacjonarnego matki. Czuł potrzebę kontaktu z rodziną. Odebrał jakiś nieznamy, który wyjaśnił mu, że przed czterema laty odkupił dom i jeśli dobrze pamięta, poprzednia właścicielka mieszka w jakimś domu seniora, nie wiedział jednak gdzie.

Odłożył słuchawkę: nagle stała się ciężka jak z ołowiu. Matka musiała mieć osiemdziesiąt jeden lat. Po śmierci ojca Gabriela nie chciała opuścić swojego domku na peryferiach Douai. „Umrę tutaj”, powtarzała. Dlaczego musiała

zmienić zdanie? Z powodu pogorszenia stanu zdrowia? Czy w ogóle jeszcze żyje? Czy może Gabriel już przeżył jej śmierć i będzie musiał się z nią skonfrontować po raz drugi?

Przez dłuższy czas trwał w bezruchu. Oczami duszy widział matkę w swoim domu w Albion, w pokoju gościnnym. Przyjechała z północy Francji ze starymi torbami, by ich wesprzeć po zaginięciu Julie. Pomogła Corinne nie popaść w całkowitą rozpacz, podczas gdy on poruszał niebo i ziemię, by odnaleźć córkę. To było dwa tygodnie temu. Nie, dwanaście lat temu.

Powlókł się do okna. Na zewnątrz światła Sagas migotały jak zmęczone gwiazdy. Patrząc na zachód, na podstawie linii prostych i rozmieszczenia lamp można było rozpoznać zabudowania zakładu karnego z wieżyczkami strażniczymi, w których czuwały uzbrojone cienie. Inne światła lśniły na górskich zboczach jak zagubione w przestrzeni bursztynowe punkciki.

Jeden z tych punktów, na samej górze, to był jego dom. Dom, w którym urodziła się i wychowała Julie. W którym od siedemnastu lat – nie, teraz już od dwudziestu dziewięciu – mieszkał z Corinne. Doliny nikt nie lubił, ale tak naprawdę nikt się z niej nie wyprowadzał. Reszta świata była za daleko. Ludzie kisili się i starzeli, uwięzieni w objęciach jej szarych ścian. „Wynoś się z tego miasta”, warknął na niego Paul. Ostry głos kolegi wciąż rozbrzmiewał w uszach Gabriela.

Weszła pielęgniarka, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Tak, na zewnątrz wszystko było w porządku. Ale w środku panowało spustoszenie jak po przejściu huraganu. W jego głowie raz po raz wyświetlał się obraz zwłok leżących na brzegu w otoczeniu martwych ptaków, obraz białych piersi, które mogły być piersiami jego córki. Cierpiał na myśl, że jego córka może mieć dwadzieścia dziewięć lat, że mogła przeżyć dwanaście długich lat bez niego i matki. Jeśli to było jej ciało, to gdzie się podziewała przez cały ten czas? Przez co przeszła? A jeżeli to zwłoki nieznajomej kobiety, to gdzie jest jego córka?

Gabriel podrapał się po nieistniejącym tatuażu. Julie, choć nieobecna, była tu, wryta w jego skórze. Wyobraził sobie, jak wchodzi do gabinetu specjalisty i prosi o wywabienie imienia córki. Człowiek usuwa tatuaże, żeby zanegować, zapomnieć, postawić krzyżyk na przeszłości – wtedy, gdy ogień, który pchnął go do wystawienia się na ból wbijanej pod skórę igły z tuszem, ucichł.

A utentycznie się ucieszył, kiedy przyszedł neurolog. Doktor Zulan, dryblas około czterdziestki w okularach w drewnianej oprawie, usiadł na skraju jego łóżka. Przekartkował dokumentację przypiętą do barierki, po czym przeniósł wzrok na pacjenta.

– Jak się pan czuje?

– Staro.

Lekarz przelotnie się uśmiechnął.

– Kardiolog widział pana wyniki. EKG, echo serca i ogólne parametry są w normie, od tej strony wszystko jest w porządku. Jeśli chodzi o badania neurologiczne, również nie widzę żadnych nieprawidłowości. Na podstawie objawów, które pan opisał na izbie przyjęć, od razu pomyślałem o AIT, przemijającym ataku niedokrwinnym. To coś w rodzaju mikroudaru, którego przyczyną jest nagłe zatrzymanie krążenia w jakiejś części mózgu. W zależności od tego, w której części mózgu doszło do AIT, może się on objawiać paralizem kończyny, zaburzeniami widzenia, równowagi albo, jak w pańskim przypadku, amnezją. Dlatego zleciłem rezonans. Ale niczego nie znalazłem, co jest raczej pocieszające, ponieważ AIT często jest zwiastunem udaru. Pozostają zatem dwa tropy... – Zulan szybko zerknął na telefon komórkowy, który trzymał w dłoni, i wrócił do pacjenta. – Pierwszy to udar amnestyczny, czyli całościowa amnezja, która może wymazać wspomnienia z okresu wielu miesięcy czy nawet lat. Może się przydarzyć każdemu i w każdym momencie, nie mamy na to naukowego wyjaśnienia. Najczęściej dotyka osoby powyżej pięćdziesiątego roku życia, a więc jest pan dobrym kandydatem. Zasadniczo taka utrata pamięci trwa od czterech do ośmiu godzin. W tym okresie pacjent jest zdezorientowany i z trudem przyswaja nowe wspomnienia. W kółko powtarza te same pytania: Kim jesteś? Kim ja jestem?

– To nie mój przypadek. Mogę panu dokładnie opisać przebieg tego dnia od samego rana. Problemem nie jest to, co było później, ale to, co się zdarzyło

przedtem.

– I dlatego skłaniam się ku drugiej hipotezie. I niestety nie jest ona najradośniejsza.

– Doktorze, proszę...

– Zdziwiło mnie to pana niewiarygodne wrażenie ciągłości czasowej. Odległa przeszłość wyskakuje nagle, jakby dopiero co się wydarzyła. Gdyby popytać przypadkowych ludzi, nikt nie będzie umiał powiedzieć, co robił przed dwoma tygodniami, a co dopiero dwanaście lat temu! A jednak w obu wypadkach większość rzeczy znajduje się tutaj, jest przechowywana w którejś części mózgu. Wspomnienia mogą być trochę poszatkowane albo już nie do końca odpowiadać rzeczywistości, ale gdzieś są, rozproszone, przyczajone, czekają na ożywienie. Tylko albo nie wiemy, jak je odnaleźć, albo nie czujemy takiej potrzeby, ponieważ są bezużyteczne, nieciekawe. – Zauważył, że Gabriel wpatruje się w jego nowoczesny telefon, więc schował go do kieszeni. – U pana powstał mechanizm, który ustanowił pomost pomiędzy pana życiem z kwietnia dwa tysiące ósmego roku a dzisiejszym, zasłaniając przy tym wszystkie zdarzenia, zarazem osobiste, jak i semantyczne, które rozegrały się w ciągu ostatnich dwunastu lat.

– Semantyczne?

– Mam na myśli zapamiętywanie informacji pochodzących ze świata zewnętrznego. Pamięta pan Sarkozy'ego, ale nie Macrona. Nazwa Czarnobyl coś panu mówi, ale nie wie pan nic o katastrofie nuklearnej, do której doszło w Japonii. Nie pamięta pan też, że nie żyją Michael Jackson i Whitney Houston.

Każde słowo neurologa brzmiało dla Gabriela jak atak. Siedział bez ruchu, nie był w stanie zobaczyć dna tej przepaści.

– Innymi słowy, utknął pan w tym hotelowym pokoju, w którym zasnął pan w noc z dziewiątego na dziesiątego kwietnia dwa tysiące ósmego roku. Został pan uwięziony w przeszłości.

– Jak to możliwe? I dlaczego mi się to przytrafiło?

– Jak dla mnie wszystko wskazuje na to, że cierpi pan na zaburzenie, które w naszym żargonie nazywamy atypową amnezją psychogenną. Jest niesłychanie rzadka, pewnie równie rzadka jak deszcz martwych szpaków, a jednak się zdarza. Uderza w oba rodzaje pamięci, o których panu mówiłem. Jak większość pozostałych amnezji oszczędza pamięć proceduralną, czyli ruchową: jeżeli na przykład w ciągu ostatnich dwunastu lat nauczył się pan jeździć na rowerze albo pływać, to pan tego nie zapomni. Nigdy nie spotkałem się z tą jakże spektakularną odmianą amnezji, ale przypadki podobne do pańskiego istnieją. –

Wyjął z kieszeni kilka złożonych kartek i podał Gabrielowi. – Wydrukowałem panu kilka artykułów z sieci.

– Z jakiej sieci?

– Przepraszam, z internetu. To prawda, w dwa tysiące ósmym internet nie był jeszcze aż takim centrum świata. Dziś w sieci jest wszystko i wszystko jest ze sobą połączone. Telefony, komputery, telewizory. Ludzie na ulicy wyglądają, jakby mówili do siebie, ale to dlatego, że rozmawiają przez słuchawki połączone z telefonem. Można wręcz powiedzieć, że nasz świat streszczają teraz cztery litery: GAFA. Google, Apple, Facebook i Amazon.

Amazon. Nazwa niewiele Gabrielowi mówiła. Przelotnie zerknął na kartki. Neurolog kontynuował:

– W dwa tysiące piętnastym roku Naomi Jacobs, lat trzydzieści dwa, obudziła się pewnego ranka w skórze piętnastolatki. Zapomniała siedemnaście lat swojego życia.

– Siedemnaście lat!

– W swojej głowie chodziła jeszcze do liceum, mieszkała z rodzicami. Studium opublikowane we wrześniu dwa tysiące siedemnastego opisuje pięćdziesiąt trzy przypadki przebadane na przestrzeni prawie dwudziestu lat w londyńskim Saint Thomas Hospital. Ludzi, u których, tak jak u pana, doszło do pominięcia całego wycinka ich życia. Nie istnieje medyczne wytłumaczenie tego zjawiska, jest ono czysto psychiczne: jest to sposób na ucieczkę od jakichś niemożliwych do zniesienia faktów, od traumatycznych zdarzeń. Od czegoś niesłychanie bolesnego, co w określonym momencie pańskiego życia skłoniło pana umysł do zatrzęsnięcia drzwi, żeby pana ochronić.

Zdjął okulary i przetaił szkła ściereczką. Z wyglądu przypominał Gabrielowi doktora Greena z *Urgences*: nie przepuścił ani jednego odcinka tego serialu.

– Pielęgniarki opowiedziały mi o pańskiej córce. Skończyłem studia w Lyonie, ale o sprawie było bardzo głośno w mediach. Julie Moscato, zaginiona w Sagas. Przykro mi, że muszę o tym wspomnieć, ale myślę, że może istnieć jakiś związek... Zdarzenie, które wywołało amnezję, może być powiązane z tą tragedią, która wtedy panem wstrząsnęła. Ale to oczywiście tylko jedna z wielu hipotez.

Mimo przerażającej otchłani, która zdawała się otwierać pod jego stopami, Gabriel widział małe światełko w tunelu: nie cierpi na żadną chorobę neurodegeneracyjną ani nie zwariował. Jego przypadłość ma swoją nazwę.

– Kiedy odzyskam pamięć?

– Co do tego nie ma reguły i wolę być z panem szczery: równie dobrze może to potrwać miesiące, jak i lata. Niektórzy z opisanych chorych nie zdołali odzyskać wspomnień. To naprawdę zależy od przypadku, od kontekstu, od głębokości traumy. Musi pan jednak wiedzieć, że hipnoza się tu nie sprawdziła,

nie istnieje też żadne leczenie farmakologiczne. Niektórzy zalecają psychoterapię. Osobiście nie uważam, żeby to mogło pomóc.

– Potrafi pan podnieść na duchu.

– Najważniejsze są pana więzi z otoczeniem. Pana bliscy i przyjaciele są gwarantami pańskiej pamięci. Byli przy panu przez te dwanaście lat. Niech pan z nimi rozmawia, słucha ich. Odpowiedzi, których będą udzielać na pańskie pytania, mogą ożywić wspomnienia i pomóc panu iść naprzód. Czy zdążył pan kogoś powiadomić?

– Jeszcze nie. Moja matka nie mieszka już tam, gdzie powinna, do żony nie jestem w stanie się dodzwonić. Mój kolega, delikatnie rzecz ujmując, nie wyglądał na zachwyconego moim widokiem. To wszystko stało się tak szybko...

– Tak czy owak, nie ma powodu, żeby pana przetrzymywać w szpitalu, jutro zostanie pan wypisany. Dam panu jednak zwolnienie z pracy. Zgodnie z tym, co zgłosił pan moim kolegom, jest pan żandarmem, lepiej więc będzie, jeśli weźmie pan tydzień wolnego i oszczędzi sobie dodatkowego stresu. Czy ma pan dokąd pójść?

Wpatrując się w pustkę, Gabriel dotknął palca serdecznego lewej ręki.

– Tak, do siebie. Mieszkam w Sagas.

– Mieszka pan w Sagas, a spał pan w hotelu?

– Tak, bo...

Zamierzał powiedzieć, że sprawdzał spis gości, ale zmienił zdanie. Neurolog miał rację: po co wrócił do hotelu Falaise ponad dwanaście lat po zaginięciu Julie? Co robił w tym ponurym miejscu? W następstwie jakiego dramatu po przebudzeniu nie pamiętał całego wycinka swojego życia? O jakim traumatycznym zdarzeniu mówił lekarz?

Wstał z łóżka i ruszył w stronę krzesła, na którym leżały jego ubrania.

– Nie zostanę tu i nie będę spokojnie czekał na wschód słońca. Wracam do domu.

Zulan również wstał.

– Wiem, co pan czuje, ale odradzam. Ma pan za sobą bardzo wyczerpujący dzień, utoczyliśmy panu dużo krwi do badań. Byłoby lepiej, gdyby spędził pan spokojną noc pod obserwacją i...

Gabriel podszedł do niego ze swetrem w rękę.

– Nie rozumie pan, doktorze. Jestem zamknięty w ciele innym niż to, które znałem. Dwanaście lat mojego życia wyparowało. Mówią mi, że moja córka nie została odnaleziona, a przecież jestem jednym z żandarmów zaangażowanych w śledztwo. Szlag mnie trafi, jeśli zostanę w tym pokoju choćby godzinę dłużej. Muszę znaleźć odpowiedzi.

Leżący w zachodnim skrzydle, niewidoczny z pomieszczeń oddziału ratunkowego mieszczącego się po przeciwnej stronie, instytut medycyny sądowej zajmował pomieszczenia dawnej kostnicy, powstałej w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku wraz ze szpitalem. Oddział tanatologii zajmował się sekcjami zwłok, badaniami żywych pacjentów – zwłaszcza ofiar przemocy fizycznej i wypadków – oraz odbieraniem zwłok ze wszystkich miejsc podlegających miejscowej żandarmerii. Jeśli śmierć była wynikiem przestępstwa bądź budziła podejrzenia wymagające otwarcia postępowania sądowego, dwaj pracujący w nim lekarze formułowali też zastrzeżenia medyczno-prawne na kartach zgonu.

Paulowi towarzyszył David Esquimet, chłopak Louise. Trzydziestopięcioletni kierownik kostnicy wraz z innym pracownikiem przywieźli ciało leżące na brzegu. Esquimet prowadził jeden z dwóch zakładów pogrzebowych w Sagas i regularnie współpracował z żandarmerią. Jego ojciec osiemnaście lat wcześniej zorganizował pochówek żony Paula, zmarłej na stwardnienie rozsiane. David pchnął metalowe drzwi.

– To paskudne, co przytrafiło się tej kobiecie. Człowiek zawsze myśli, że takie rzeczy dzieją się gdzie indziej. Zwyrondnialcy są wszędzie.

Paul szedł przed siebie w milczeniu. Od popołudnia nie wypowiedział ani słowa, ograniczył się do uruchomienia procedur. Rozmyślał o obecności Gabriela Moscato na miejscu zbrodni i jego dziwnym zachowaniu. Był zbity z tropu, gdy ujrzał go łysego, z pobrużdżoną twarzą, w tak ciężkim stanie – w dniu, w którym z nieba spadł grad martwych ptaków, a Sagas stało się świadkiem haniebnej zbrodni.

Wzdłuż wybetonowanego korytarza ciągnęły się rury, przewody i kanały technologiczne. Blask okratowanych żarówek przebijał mrok i wydobywał zeń stare szafki szpitalne na kółkach oraz wózki inwalidzkie, których nie wyrzucono

na złom. Brak personelu, niski budżet. Z trudem leczono żywych, nic dziwnego, że zmarłymi nikt się nie przejmował.

Weszli do prosektorium. Zimno jak w psiarni. Paul zasunął zamek kurtki. Jedyne nowe elementy wystroju stanowiły płytki z tworzywa sztucznego na podłodze. Lampa bezcieniowa pamiętała lata osiemdziesiąte, reszta wyposażenia była jeszcze starsza: pożółkłe kafelki, popękany zlew, staroświeckie igłowe wagi prosektoryjne. Mimo ciemnego otworu w suficie, pełniącego funkcję wentylacji, w powietrzu i tak wisiał ciężki trupi odór.

Na miejscu była już Louise: fotografowała zwłoki i czuwała nad tym, by próbki zostały prawidłowo pobrane. Spojrzała przelotnie na ojca, a następnie na mężczyznę, z którym spotykała się od trzech miesięcy. Lekarz medycyny sądowej Alfred Andrieux oglądał w świetle lampy zdjęcia rentgenowskie. Miał siedemdziesiąt lat, zdawał się zrosnięty ze szpitalem i wciąż odmawiał przejścia na emeryturę. Swoją drogą, nikt go nie wyrzucał. Kto zgodziłby się zająć jego miejsce w tej dziurze? Jak często mawiał: „Pewnego dnia przeprowadzę sekcję sam na sobie”.

David Esquimet podszedł do blatu, by przygotować sprzęt. Z powodu braku personelu regularnie asystował lekarzowi, a sam Andrieux, prawdę mówiąc, coraz mniej zwracał uwagę na regulamin. W małych miastach każdy orze, jak może i najczęściej odchodzi się od zbyt ograniczających protokołów.

Paul próbował przyciągnąć wzrok córki. Chciał się dowiedzieć, czy rozpoznała Julie Moscato. Louise wzruszyła ramionami. Podszedł do nagiego ciała, leżącego płasko na stalowym blacie z rękami wzdłuż tułowia i rozszerzonymi nogami. Andrieux ogolił kobiecie czaszkę, czyniąc ją w ten sposób jeszcze bardziej anonimową. Usiłował zmyć krew z pokiereszowanej twarzy. Żandarm przyjrzał się uszom pozbawionym biżuterii, spojrzął na szeroko otwarte, wytrzeszczone, zamglone niebieskie oko, po czym jego wzrok przesunął się w stronę brzucha, w którym znajdowały się dwa otwory o średnicy eurocentówki.

– Kiedy w naszej okolicy mieliśmy po raz ostatni do czynienia z prawdziwym morderstwem? – zapytał Andrieux. – No wiesz, ta historia z gościem, który przyłapał w swoim łóżku żonę ze szwagrem i zmasakrował ich odłamkiem szkła z butelki pastisu... Kiedy to było?

– Ze dwa lata temu. Może trzy – odparł Paul.

Andrieux skinął głową.

– Tak, no właśnie. Czas tak szybko leci. Dobrze, wróćmy do naszej sprawy... Razem z twoją córką pobraliśmy dwadzieścia cztery zeszkrobiny z miejsc możliwego kontaktu ze sprawcą, czyli z wewnętrznej i zewnętrznej powierzchni obu rąk, spod paznokci lewej ręki, bo prawdopodobnie podrapała napastnika,

z szyi, na której widać ślady duszenia, z okolic ust, odbytu i pochwy. Do badań toksykologicznych pobraliśmy próbki ciała szklistego, paznokci i kosmyk włosów. Zabezpieczyliśmy też materiał z okolic ran postrzałowych.

– Majtki i skarpetki, które były w ustach, również zostały zabezpieczone – uściśliła Louise.

– Z tym że na skarpetach prawie nie było śliny – dodał patolog. – A przecież z tkaniną w ustach powinna była się mocno ślinić.

Paul znowu spojrzął na ofiarę, zauważył pieprzyk na lewej piersi i drugi w pobliżu pępka. Za małe, by traktować je jako znaczące. Przypomniał sobie, że po zaginięciu Julie Moscato jej rodzice nie wspominali, żeby miała jakieś znaki szczególne. Żadnych znamion, blizn czy tatuaży. Julie nie przeszła żadnej operacji, była w szpitalu tylko raz czy dwa z powodu upadku z roweru. Popatrzył na Louise.

– Pieprzyki. Zrobiłaś zdjęcia?

Skinęła głową. Patolog wskazał na dwa tatuaże na lewym ramieniu denatki. Przedstawiały różnokolorową matrioszkę oraz czarno-czerwonego diabła z rogami kozła, kłami i rozwidlonym językiem. Stary mężczyzna przywołał Esquimeta i we dwóch odwrócili ciało. Środek pleców zajmował wytatuowany kowboj o ostrych rysach, długich kręconych włosach i w kapeluszu na głowie. W każdej dłoni trzymał broń wycelowaną w obserwatora. Louise sfotografowała rysunek. Po odwróceniu zwłok z powrotem na plecy Andrieux rozszerzył szczęki kobiety i odciągnął opuchniętą dolną wargę.

– Niektóre zęby ocalałe podczas uderzenia są luźne, zauważyłem też tak zwaną próchnicę Lowenthala. Widziałem ją już u heroinistów. Ta kobieta brała narkotyki, ale moim zdaniem rzuciła już dość dawno, może nawet kilka lat temu.

– Dlaczego?

– Badanie nie wykazało żadnych śladów po wkłuciu. Żyły heroinistów są popalone, wystające. Tutaj żyły są sine, ale to nie jest świeża sprawa. Jeśli rzuciła stosunkowo niedawno, toksykolog będzie w stanie określić czas na podstawie analizy włosów.

Przesunął się lekko, zgarbiony. Drżała mu jedna ręka. Jakie to szczęście, że jego pacjenci są martwi, pomyślał Paul.

– Zbadaliśmy i obfotografowaliśmy rany postrzałowe, w sumie dwie. Rany penetrujące bez perforacji. Strzały padły z bliska, większość prochu i gazów spalinowych pochłonęła odzież. Ślady po duszeniu, rany na dłoniach świadczące o tym, że ofiara się broniła, widoczne uszkodzenia narządów płciowych pochodzące sprzed zgonu, zważywszy na obfite krwawienie. Liczne złamania kości twarzy widoczne na zdjęciu rentgenowskim są pośmiertne.

– Zgwałcił ją, zabił i oszpecił nie do poznania. Chciał, żeby nie można jej było zidentyfikować.

– Albo był wściekły. Na podstawie różnych pomiarów i braku zeszywnienia pośmiertnego szacuję, że śmierć nastąpiła ostatniej nocy między północą a czwartą nad ranem.

– Naszym zdaniem została zabita dokładnie w połowie tego czasu, o drugiej – uściślił Paul. – Sądzymy, że to odgłos strzałów przestraszył szpaki, które zerwały się i zderzały ze sobą. Zresztą jeden z nich spadł na udo ofiary.

Patolog skinął głową.

– Brzmi sensownie. Poza tym ciało nie było przenoszone. Błede plamy na karku, plecach i tylnej części ud odpowiadają pozycji, w jakiej została znaleziona. Okej, zapiszę to wszystko w raporcie. Przejdźmy do poważnych spraw. – Nie miał na nosie maseczki, ale dał znak Louise, by włożyła swoją. – Będzie śmierdzieć jak w lodówce, którą na kilka miesięcy zostawiłaś wyłączoną z kontaktu. Oddychaj przez usta, to ci pomoże.

Z pomocą Esquimeta przystąpił do badania wewnętrznego. Paul naciągnął maseczkę pod same oczy i patrzył na córkę z pewnym niepokojem. Widział, że się opiera, stawia czoło okrutnej rzeczywistości. Chciała brać udział w sekcji, choć mogli się tym zająć Martini czy Brunet. Po co sobie fundować takie widowisko? Uważał, że cała sytuacja jest niestosowna: ojciec, córka i jej chłopak razem oglądający śmierć w jej najgorszej postaci, gdy tymczasem inni poszli do restauracji albo na kręgle. Jakież piękne spotkanie rodzinne!

Patolog nacinał, odcinał, ważył. Wyjął dwa pociski i włożył je do torebek na dowody. Następnie pobrał z pochwy próbki spermy, oświadczył obojętnym głosem, że do stosunku doszło za życia ofiary i że zważywszy na pewne obrażenia wewnętrzne, do pochwy bez wątpienia wprowadzono jeden lub więcej przedmiotów, w tym z całą pewnością gałąź, na co wskazują drobne kawałki kory. Napastnik nie zatroszczył się o usunięcie własnych śladów biologicznych. Zabrakło mu zdrowego rozsądku czy po prostu nigdy nie miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości? Może wiedział, że badania utkną w martwym punkcie?

Lekarz opisał drogę pocisków w ciele, uszkodzenie śledziony, wątroby i licznych naczyń krwionośnych w obszarze od miednicy do jamy brzusznej. Otwierając żołądek, by zbadać treść pokarmową, oświadczył bez cienia wątpliwości, że zgon nastąpił wskutek krwotoku, który spowodowały liczne obrażenia po postrzałach z broni palnej. Odór stał się w tej chwili tak nieznośny, że Louise zrobiło się niedobrze.

– Z biegiem czasu człowiek się przyzwyczaja – powiedział Andrieux. – Pewnie już zauważyłaś, że David nie czuje różnicy między przyjemną wonią

cynaderek a zapachem chryzantem.

Louise tylko wzruszyła ramionami. Później sobie porozmawia z Davidem, który najwyraźniej plotkował z patologiem o ich związku. Nie da się ukryć, że dwaj mężczyźni przez cały czas przebywali razem. Nagle Andrieux zmarszczył brwi: na dnie żołądka zauważył jakiś przedmiot. Wyjął go pęsetą i wytarł w papierowy ręcznik.

Przedmiot okazał się figurą szachową o długości pięciu centymetrów. Konkretnie – drewnianą białą wieżą. Louise wymamrotała ledwie słyszalne „przepraszam” i zrywając maseczkę z twarzy, wypadła z prosektorium. David ruszył za nią. Kapitan żandarmerii spojrzał na nich, a następnie poprosił lekarza, by zabezpieczył dowód. Andrieux włożył żołądek do wiadra, w którym czekały już próbki przeznaczone do badań patomorfologicznych.

– Figura szachowa to nie jest coś, co człowiek połyka przez pomyłkę.

Paul bez słowa wpisał na torebce numer i datę, po czym umieścił ją obok pozostałych. Dziesięć minut później zdjął lateksowe rękawiczki, wyrzucił je do kosza i zabrał wszystkie dowody.

– Dokończ sam. Zajmiesz się tym wiadrem?

– Możesz na mnie liczyć. Wiesz, mam dwie wnuczki śliczne jak aniołki, Mélisę i Ambre. Poważnie myślę o przejściu w przyszłym roku na emeryturę, żeby spędzać z nimi więcej czasu. – Wycelował w Paula ostrze skalpela. – Mam pietra na myśl, że gość zdolny do czegoś takiego może mieszkać w okolicy i spacerować po tych samych parkach co one. Więc zrób mi tę przyjemność i zapuszkuj skurwysyna.

Ekspozycja na śmierć w tak okrutnym wydaniu wyczerpała także Paula. Mężczyzna podszedł do swojej córki i Davida na szpitalnym parkingu. Ona opierała się o samochód, a on stał przodem do niej i obejmował ją w talii. David miał całkiem przyjemną powierzchowność, ubierał się zawsze poprawnie i rozwinął w sobie prawdziwy talent do biznesu – działalność w branży pogrzebowej od zawsze była w okolicy intratna. Zgodnie z informacjami, które posiadał Paul, mężczyzna zajmował mieszkanie na piętrze nad siedzibą swojej firmy. Praktyczne: żeby znaleźć się w pracy, wystarczyło pokonać jedne schody i człowiek od razu trafiał w sam środek akcji, by tak rzec...

David pocałował partnerkę, krótkim gestem pozdrowił żandarma i żwawo wrócił do kostnicy. Paul zaczekał, aż zostanie z córką sam na sam.

– Nie podoba mi się, że on bierze udział w sekcjach.

– Nic ci się nie podoba, jeśli chodzi o Davida.

– To nie jest jego praca i nie powinien mieć dostępu do szczegółów śledztwa. Niedługo postawię na swoim i wprowadzę zasadę: żandarmi w kostnicach, grabarze przy trumnach.

Louise nie podjęła tematu. Jej ojciec był sztywniejszy niż całe prawo razem wzięte. Zmieniła temat.

– Rozmawiałam z Martinim. Odjechali godzinę temu, niczego więcej nie widzieli. Nie znaleźli nic na brzegach ani w okolicy miejsca zbrodni. Ani broni, ani łusek, ani zakrwawionego kamienia. Zakład utylizacji odpadów i oczyszczalnia ścieków zostały zamknięte wczoraj o dziewiętnastej, w nocy nikogo tam nie było.

Paul nie odpowiedział. Anonimowa ofiara, brak świadków: bieda! Usiadł za kierownicą i spojrzął na córkę. Oparła głowę o szybę – odpływała.

– Jeśli chcesz, możesz przenocować w domu.

– Dam sobie radę. Przypominam, że nie jestem już małą dziewczynką i mam faceta. David przyjedzie do mnie wieczorem.

– Powiedziałem to, żebyśmy razem zjedli, porozmawiali w przytulniejszym miejscu niż ten samochód. Sekcja zwłok to nie jest banalna czynność. To niszczące poszukiwanie prawdy, które sprawia ból. Nawet mnie, możesz mi wierzyć. Takie morderstwa nie zdarzają się często, zwłaszcza tutaj.

– Zdążyłam zauważyć. Tutaj mamy tylko pijaków, więźniów i włamywaczy.

– I tak jest dobrze. I dlatego jeśli zdarzy się okrutna zbrodnia, możemy mieć potrzebę o tym porozmawiać, niekoniecznie z gościem, który całymi dniami balsamuje trupy.

– Z gościem! Wyobraź sobie, że żywię wobec tego gościa pewne uczucia. I wcale całymi dniami nie balsamuje. Ma pracowników.

– Super.

Zaczęła chuchać w zmarznięte dłonie. Paul podkreślił ogrzewanie do maksimum, ale zanim w samochodzie zrobi się ciepło, dojadą na miejsce.

– Julie Moscato była twoją najlepszą koleżanką – powiedział. – Odwiedzałyście się wieczorami, byłyście nierozłączne. Nikt nie znał jej lepiej niż ty. Czy to ciało... to może być ona?

– Tato, minęło dwanaście lat, co mam ci powiedzieć? Nie mam pojęcia. Ale byłeś tam tak samo jak ja, widziałeś, co Andrieux wyjął jej z żołądka. Ta wieża to jednak nie może być przypadek. Julie uwielbiała szachy.

– Wiem.

Zamilkła na kilka sekund i wpatrywała się w znikające pod kołami linie na jezdni.

– Ofiara może być w jej wieku. Może w tym czasie, kiedy jej nie było, ktoś podawał jej narkotyki i siłą wytatuował? Może kontrolowała ją jakaś siatka sutenerska? Drań, który ją wtedy porwał, postanowił zrobić sobie tę przyjemność i wrócić do źródeł, żeby ją zabić i oddać nam. Co o nim wiemy?

Louise nadal wbijała wzrok w asfalt. Jechali w dół stromym zboczem, wzdłuż cmentarza. Samochodowe reflektory oświetlały krzyże stojące pod cisami. Tu i ówdzie ostatkiem sił czuwały na grobach solarne znicze. Louise spojrzała na pogrążoną w ciemności dalszą część cmentarza, gdzie spoczywała jej matka.

– Najdziwniejsza w tym wszystkim jest obecność Gabriela Moscato – dodała. – Zniknął z radaru osiem lat temu. I pojawia się dziś rano, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wyglądał, jakby był kompletnie zagubiony, zbity z tropu. Kiedy przyszedł na brzeg, był przekonany, że chodzi o Julie, choć jeszcze nie widział ciała.

Paul minął korty tenisowe, włączył kierunkowskaz i skręcił na parking przed posterunkiem. Louise zajmowała jeden z lokali pracowniczych – dwupokojowe mieszkanie w dwupiętrowym szaro-czerwonym budynku, ponurym, ale praktycznym. Większość żandarmów mieszkała na miejscu z rodzinami. Paul

wielokrotnie widywał tu Davida Esquimeta. Wkrótce gołąbeczki zamieszkają razem.

Zabrał torebki z dowodami i rzucił okiem na betonowy klocek, który stał na lewo od budynku głównego i wyglądał jak wykonany z prefabrykatów. Nazywali go „schronem”, a tak naprawdę mieściło się w nim ich laboratorium kryminalistyczne, które zajmowało się prostymi badaniami śladów DNA i linii papilarnych.

– Laboratorium jest zamknięte, jutro rano przekażę im próbki do pilnego zbadania. Wyślę pociski i zebrany proch do Écully. Tymczasem włożę wszystko do sejfu. Szybko się dowiemy, czy to Julie Moscato oraz czy ten pieprzony morderca jest notowany.

– Jest w Sagas jeden drań – zauważyła Louise, która niosła dwie torebki.

– Podejrzewam, że masz na myśli Eddy’ego Lecointre’a.

– Dlaczego jeszcze do niego nie pojechaliśmy? Żeby na przykład zapytać go, co robił ostatniej nocy?

– Ponieważ śledztwo dopiero się zaczyna. Zaczekajmy na DNA, okej? Pośpiech i dobijanie się do wszystkich drzwi nic nie da. Jasne, Lecointre ma niezbyt chwalebny przeszłość, ale odsiedział wyrok, a kiedy Julie zaginęła, nie było żadnych poszlak, które wskazywałyby na niego. Wszystko w swoim czasie. Nie chcę też mieć na karku sędziego Cassoreta. Aktualnie jesteśmy w dość dobrych stosunkach, więc nie przerywajmy tej sielanki.

– Z tobą zawsze trzeba czekać. Wszystko tak długo trwa. To męczące.

– To nie ja jestem powolny. To wymiar sprawiedliwości.

Paul westchnął. Jego córka nie popadła jeszcze w rutynę. Miała w sobie młodzieńczą werwę i chciała chodzić na skróty.

– Jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia: coś, co powiedział lekarz.

– Co znowu?

– Ofiara nie zaśliniła skarpet. To by znaczyło, że morderca wepchnął je do jej ust po śmierci. Po co kneblować dziewczynę, która i tak nie będzie krzyczeć?

– A jak uważasz?

– Dopiero co mówiłeś, że w sprawach kryminalnych często nie ma logiki. Ale mam wrażenie, że za tym morderstwem kryje się jednak jakaś logika. Ktoś chciał, żebyśmy myśleli, że zakneblował tę kobietę, żeby nie mogła krzyczeć, kiedy ją gwałcił i wkładał w nią, ekhm, gałąź. – Uniosła jedną z torebek. – Widziałam te skarpetki, nie były zniszczone ani brudne, a to znaczy, że podczas ucieczki ofiara nie miała ich na stopach. Zabójca miał je przy sobie. Zaplanował, że włoży je do jej ust po tym, jak ją zgwałcił i zamorduje. Innymi słowy, głęboko przemyślał swoje działanie.

– No i? Jaka w tym logika?

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że kiedy kogoś gwałcisz i masakrujesz mu twarz, za bardzo się nie zastanawiasz. Działasz instynktownie, a gdy już jest po wszystkim, myślisz przede wszystkim o ucieczce, a nie o zbieraniu łusek. Zwłaszcza że musiał się już zaczynać deszcz ptaków. Wyobrazasz sobie tę scenę? Musimy rozszyfrować logikę, która stoi za użyciem tych skarpet. Ale jedno jest pewne: morderca nie spanikował.

– Rozszyfrować, tak. Jak w tych twoich cholernych *Kryminalnych zagadkach Las Vegas*. Szybko zrozumiesz, że nie na tym polega życie, kochana. Jedni zabijają, inni umierają. A my jesteśmy między nimi, jak dupki, jak pionki albo jak bezpieczniki: wybór należy do ciebie. Próbuje powkładać rzeczy do odpowiednich przegródek, ale nawet mimo najlepszych chęci to nie zawsze działa.

Po dwudziestej pierwszej posterunek wyglądał jak kostnica, z której właśnie wyszli. Powitał ich dyżurny. Jarzeniówki oświetlały korytarze pomalowane na brudny beż z posadzką z kremowego linoleum, które skrzypiało pod butami i odklejało się przy progu każdego pokoju. W powietrzu unosił się zapach środka czystości i pleśniejącego drewna. Paul stanął z ręką na kłamce i odwrócił się do córki.

– Cholera, Louise, mogłaś pracować na komendzie w Lyonie albo mieć jakąkolwiek inną robotę poza tą dziurą. Miałaś do tego wszelkie predyspozycje. Dlaczego przyjechałaś dziś rano? I dlaczego chciałaś oglądać wyciąganie wnętrzności z brzucha tej kobiety?

– Tato, proszę.

– Czemu zabujałaś się w tym... sprzedawcy trumien? Czemu nie wyjechałaś z Sagas, kiedy miałaś okazję? Pomógłbym ci, zrobiłbym wszystko, żebyś się rozwijała, wiesz o tym. Tutaj nic nie ma. Chyba nie chcesz się tym zajmować przez całe życie jak twój stary ojciec?

Wetknęła mu do rąk torebki z dowodami.

– Jestem zmęczona. Do jutra.

– I dlaczego, do cholery, nie odpowiadasz na moje pytania? Dlaczego nigdy nie możemy porozmawiać?

Zniknęła w zimnym korytarzu. Paul czekał w bezruchu na trzaśnięcie drzwi. Nie układało mu się z Louise, było wręcz coraz gorzej. Być może zatrudnienie jej w swojej grupie z nadzieją, że się do siebie zbliżą, ostatecznie było kolosalnym błędem.

Bez papierów, bez pieniędzy, bez pamięci Gabriel szedł do samochodu stojącego na poboczu cztery kilometry dalej. Rozmyślał o fatalnej chorobie, która go trawiła i nie pozwalała powrócić do ostatnich lat. Jakie traumatyczne zdarzenie mogło przysłonić część jego życia i przenieść go dokładnie do okresu, w którym zaginęła Julie? Dlaczego dwa tysiące ósmy, a nie dwunasty albo piętnasty? Czy to przypadek, czy też niewiarygodna sztuczka jego umysłu, który chce mu coś powiedzieć? Jakkolwiek by było, nawet jeśli jego mózg chce go chronić, jak twierdził lekarz ze szpitala, to i tak naraża go na przeżywanie piekła.

Kiedy już usiadł za kierownicą starego mercedesa, ruszył w stronę północnej części miasta. Ptasia hekatomba oszczędziła te okolice. Prowadził swobodnie, nie musiał się zastanawiać, jak uruchomić światła. Choć zawsze miał małe samochody, okazałe rozmiary mercedesa nie robiły na nim wrażenia. Lekarz wspomniał coś o pamięci do czynności automatycznych. A zatem z pewnością był to jego samochód.

Nabierał coraz silniejszego przekonania, że urzędowo jest Walterem Guffinem, duchem z hotelu. Poprzedniego dnia stawił się w recepcji – łysy, w fałszywych okularach korekcyjnych – i wynajął pokój numer siedem. Po co, do cholery?

Na peryferiach miasta wjechał na stromą drogę prowadzącą do Albion. Trzy kilometry zakrętów przy nachyleniu powyżej dziesięciu procent – zimą jeżdżenie wtedy było niebezpieczne. W połowie drogi w blasku świateł ukazała się ścieżka między drzewami prowadząca do okrągłego parkingu, z którego zniknęła Julie.

Potwór z lasu porwał mu córkę. Niewidzialna wściekła bestia przyczajona w mrocznych oparach Sagas, która pozostawiła po sobie rozpacz, gniew i niezrozumienie. I możliwe, że po dwunastu latach ta bestia znowu pojawiła się na brzegu rzeki.

Dom Gabriela był starą, drewnianą górską willą na kamiennej podmurówce. Odnowił go własnoręcznie, przybił każdą deskę, poprawił mocowanie każdego

kamienia. Nigdy nie chciał mieszkać w pracowniczych klitkach. Obydwoje z Corinne chcieli mieć własne gniazdko poza granicami miasta-więzienia. Albion, miejscowość licząca sześćset dusz, było idealne. Kończyło się ślepym zaułkiem i przecinała je tylko jedna droga – ta, która prowadziła do Sagas. Tu, na górze, jeśli człowiek spojrział we właściwą stronę, na zachód, szarość miasta zostawała w tyle, a otwierał się zapierający dech w piersi widok na płaskowyż i szczyty. Jesienią i wiosną często było widać kozice.

Przez zasłony w salonie przebijał niebieskawy blask telewizora. Gabriel wreszcie poczuł ciepło domowego ogniska, bezpieczne miejsce, do którego mógł się udać w poszukiwaniu wspomnień. Pokonał trzy stopnie prowadzące na ganek i nacisnął na klamkę. Zamknięte. Zastukał, odczekał chwilę, podrapał łuszczący się lakier na futrynie. Budynek nie był już tak starannie utrzymany jak wcześniej. W zamku zazgrzytał klucz, w uchylonych drzwiach ukazała się twarz. Wizja jak z horroru. Gabriel na kilka sekund zaniemówił.

– Paul? Co ty tu...

Nie dokończył zdania. Paul Lacroix stał przed nim w T-shircie i majtkach, na stopach miał ocieplane kapcie.

– Jest po jedenastej. Czego chcesz?

– Czy ty... bzykasz moją żonę?

Paul zasłonił całą szparę w drzwiach swoją masywną sylwetką i rzucił okiem na zaparkowanego w alejce mercedesa. Podobnie jak rano Moscato nie wyglądał na całkiem przytomnego. Skąd on się tu wziął o tej porze?

– Byłą żonę. Przypominam ci, że się rozwiedliście.

Gabriel sądził, że już dotknął dna. Ale z każdą upływającą godziną otwierała się pod nim coraz głębsza przepaść.

– Chcę z nią porozmawiać. Pozwól mi się zobaczyć z Corinne.

– Jeszcze nie wróciła. Pracuje do późna. Pielęgniarka domowa, sam wiesz. Od lat mówię jej, żeby się zatrudniła w mniej wymagającym miejscu, ale znasz ją. Wykańczająca praca pozwala mniej myśleć.

Gabriel zapadał się coraz głębiej i nie widział żadnej deski ratunku. Dokąd pójdzie, jeśli zamkną mu przed nosem drzwi jego własnego domu? Wpadł w panikę. Stojąc w progu, błagał Paula, by tym razem go wysłuchał. Opowiedział mu ze szczegółami cały ten zwariowany dzień – od pobudki w hotelu do popołudnia w szpitalu. Przytaczał słowa neurologa, mówił o amnezji psychogennej, o tym, że zatrzymał się na dziesiątym kwietnia dwa tysiące ósmego roku i że okres od tamtego dnia do chwili obecnej to w jego głowie pustka. Paul nie okazał mu żadnych oznak współczucia, ale odsunął się, żeby go wpuścić.

– Trudno mi uwierzyć w to, co opowiadasz – powiedział, przynosząc dwa piwa – ale wygląda na to, że mówisz szczerze, a przede wszystkim jesteś kompletnie odklejony.

– Gorzej.

– Dużo się pozmieniało, nie myśl sobie, że będę cię tu niańczył. Pijesz piwo, zadajesz pytania i spadasz.

Gabriel nie wiedział nawet, od czego zacząć. Dawny kolega i przyjaciel najwyraźniej obecnie go nie znosił i miał głęboko gdzieś jego rozpaczą.

– Te zwłoki, które dziś znaleźliście...

– Jeszcze nie wiadomo – odparł natychmiast Paul. – Jutro pod wieczór będziemy mieć wyniki badań DNA. Poproszę chłopaków, żeby potraktowali sprawę priorytetowo. Ofiara zginęła od dwóch pocisków. Sądzymy, że to huk wystrzałów spowodował śmierć ptaków.

– A od kiedy ty i Corinne...?

– Rozwiedliście się osiem lat temu. Na komendzie dla nikogo nie było tajemnicą, że wam się nie układa, i to o wiele dłużej niż od zaginięcia Julie. To chyba sobie przypominasz, bo to było przed twoją rzekomą utratą pamięci, nie? Mówiłeś mi, że ze sobą nie sypiacie, że nic już między wami nie ma. Ale nie rozstawaliście się ze względu na Julie, postanowiliście skupić się na niej. Myślałeś, że ten dramat was połączy, ale przepaść między wami tylko się pogłębiła.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Paul umoczył wargi w piwie. On nie tknął swojego.

– Zaczęliśmy się spotykać na rok przed waszym rozstaniem.

Gabriel zacisnął palce na puszcze.

– Jadałeś u nas – powiedział ostro. – Czasami spędzałeś tu całe weekendy. Po śmierci Marilyn byłem przy tobie, pomogłem ci się pozbierać. I za moimi plecami pieprzyłeś moją żonę?

– Nie mieszaj wszystkiego. Dopóki wszystko się między wami nie popsuło, do niczego nie doszło. Nigdy cię nie było, nocowałeś poza domem, spędzałeś więcej czasu w stowarzyszeniach pomocy rodzicom, które straciły dzieci, niż z Corinne. Chciałeś, żeby sprawy zaginionych szły do przodu, ale to była walka z wiatrakami, żadnego z nich nie uratowałeś. Robiłeś wszystko, żeby być jak najdalej od domu, od twojej żony. A ona w tym czasie powoli odchodziła tu, w Albion, nafaszerowana tabletkami.

– A ty w tym czasie ją pieprzyłeś. Chryste, najlepszy przyjaciel bzyka żonę kumpla, jak w kiepskim filmie. I to ja mam się wynosić z Sagas? Mówisz, że to ja nie jestem mile widziany w moim mieście?

Paul wstał, pogrzebał w jakiejś szufladzie i rzucił mu na kolana zdjęcie rentgenowskie.

– Masz tu pamiątkę.

Gabriel odstawił puszkę na stolik i obejrzał kliszę. Złamana kość piszczelowa. Pogruchothane kolano. Następnie spojrzął na nogi Paula. Na prawej zobaczył blizny.

– Tak – odparł ostro tamten. – Zrobiłeś ze mnie inwalidę do końca życia.

To było przed ośmioma laty. Pewnego dnia przyłapał ich na gorącym uczynku – na cudzołóstwie.

– Miało cię nie być. Tak przynajmniej mówiłeś. Wiedziałeś o nas, perfekcyjnie przygotowałeś zasadzkę, zawsze lubiłeś ciosy poniżej pasa. Wieczorem ósmego marca dwa tysiące dwunastego, w rocznicę zaginięcia twojej córki, wpadłeś do sypialni pijany, z kijem bejsbolowym w ręku.

Podniósł zdjęcie rentgenowskie i włożył je z powrotem do koperty.

– Od tamtego czasu nie mogę normalnie chodzić. Zdaje się, że mam prawą nogę o siedem milimetrów krótszą od lewej. To nic wielkiego, ale wystarczy, żeby uprzykrzyć mi życie, mimo że przeszedłem kilka operacji i noszę buty na specjalnej podeszwie. To jak ziarnko piasku w mechanizmie zegara.

Gabriel, oszołomiony, opadł na sofę.

– Ale ja...

– Zamknij się – uciął Paul. – Twoje gadanie nic nie zmieni. Co się stało, to się nie odstanie. Zrobiłeś, co zrobiłeś. Byłeś groźny, w sprawach wyrównania rachunków zawsze poruszałeś się po krawędzi. Ile razy cię powstrzymywałem, kiedy chciałeś tłuc podejrzanych? Ty i te twoje pięści. Byłeś dobrym detektywem, ale nie nadawałeś się do służb. A przynajmniej nie do tej służby.

Upił kilka łyków i zacisnął dłonie na puszcze.

– Chciałem cię wsadzić za kratki, ale Corinne ubłagała mnie, żebym nie wnosił sprawy. Udało mi się załatwić formalności i zawarliśmy kompromis. Miałeś złożyć wypowiedzenie i bez rozgłosu opuścić region. Zrobiłeś to. Wtedy Corinne złożyła pozew rozwodowy. Zachowała dom i spłaciła ci twoją połowę.

Wygnany jak parias. Gabriel przypomniał sobie nienawistne spojrzenie Louise. Wrogość spotkanych na miejscu zbrodni funkcjonariuszy, których nawet nie rozpoznawał. Wszyscy wiedzieli, co zrobił. To była jedna z tych historii, które ludzie opowiadają sobie rano przy ekspresie do kawy.

– I dokąd wyjechałem?

– Na północ, w okolice, w których mieszkała twoja matka. Ale powód, dla którego tam pojechałeś, był inny. Tak przynajmniej myślę. W tamtej okolicy znaleziono też szarego forda. Byłeś samotnym wilkiem, jestem pewien, że prowadziłeś tam własne śledztwo, sprawdzałeś wszystkie drogi, pukałeś do każdych drzwi.

– Co to za szary ford?

W pełnych smutku oczach Gabriela Paul zobaczył absolutną szczerość: jego były kolega rzeczywiście wszystko zapomniał. Wstał.

– Zaraz wracam.

Ciągnąc za sobą prawą nogę, ruszył korytarzem w kierunku garażu. W tym momencie Gabriel zrozumiał, że jego przeszłość to niekończący się zwój drutu kolczastego, który będą przed nim rozwijać. Nikt mu nie opowie o radościach, śmiechu, chwilach wytchnienia. Będzie tylko o cierpieniu i śmierci.

Na próżno szukał na sofie psiej sierści; spojrzął na jadalnię, na niewiarygodnie wielki telewizor, tak płaski, że przypominał obraz, na rzeczy Paula leżące tu i tam, na wystrój: to już od dawna nie był jego dom. Jego dom, budynek, który odnowił własnymi rękami, o nim zapomniał.

Zerknął na kuchnię, w której Julie pijała czekoladę na gorąco, delikatnie obejmując dłońmi filiżankę. Popatrzył na schody i przypomniał sobie, jak schodziła po nich krokiem gwiazdy filmowej. Miała się zapisać do sekcji audiowizualnej na uniwersytecie w Lyonie. Nigdy nie będzie robić filmów.

Paul postawił u jego stóp jakiś karton.

– Ulotki i materiały stowarzyszenia, które założyłeś dla swojej córki. Adresy rodziców ofiar, z którymi czasem się kontaktowałeś, portrety innych porwanych dzieci w Breście, w Tulonie, wszędzie. Są tu też odbitki dziewięciuset stron akt sprawy, aż do roku dwa tysiące dwunastego, kiedy wyjechałeś. Nie wróciłeś po to pudło, ale jest twoje. Możesz je zabrać.

Gabriel rozchylił lekko wilgotne brzegi kartonu. Pogrzebał wśród lodowatych karetek. Rozpoznał swój podpis na protokołach z przesłuchań i ustaleń. Daty. Kwiecień, maj, czerwiec dwa tysiące ósmego.

– A po dwa tysiące dwunastym?

– U sędziego. Na komendzie. Ale to już ciebie nie dotyczy.

– To moja córka!

Paul nie usiadł, z pewnością chciał zakończyć spotkanie.

– Po dwa tysiące dwunastym nie wydarzyło się już nic ponad to, co masz tutaj. Żadnych nowych tropów, nic ciekawego. W dwa tysiące piętnastym sprawę przejął nowy sędzia, Cassoret, trzeci z kolei. Lantier przeszedł na emeryturę, a d’Alembert wyjechał do Bordeaux. Cassoret definitywnie zamknął sprawę w dwa tysiące szesnastym. Ponad cztery lata temu.

Gabriel zapadał się w sobie. Imię wykrzyczane pewnego dnia w górach: oto czym stała się jego córka. Duchem, sprawą odłożoną wraz z innymi nierozwiązanymi przypadkami na dno metalowej szafy, która nigdy więcej nie zostanie otwarta.

– Czyli odpuściliście? Nawet ty przewróciłeś kartkę i zapomniałeś? Ty?

– Spędziliśmy osiem niekończących się lat na poszukiwaniach, sprawdzaniu każdego tropu, wysłuchiwanie zeznań, weryfikowaniu najdrobniejszej wskazówki. Ktoś rzekomo widział twoją córkę w porcie Boulogne-sur-Mer, ktoś widział, jak zebrała w Montpellier, jak jechała autobusem we Włoszech. Jeden gość był przekonany, że spotkał ją w Egipcie, gdzie pracowała jako instruktorka nurkowania, więc zwróciliśmy się o międzynarodową pomoc prawną. To oczywiście nie była ona i straciliśmy mnóstwo energii i czasu na próżno. W sprawę zaangażowali się też radiesteci z całego kraju, każdy ze swoją gadką. Udało ci się nagłośnić śledztwo, a oni, a jakże, chcieli sobie zrobić reklamę. Ogłupili nas.

Opuścił zmęczoną rękę. Gabriel miał wrażenie, że ma przed sobą niedźwiedzia, który dopiero się obudził z zimowego snu. Sagas, sprawa Julie, jego błędy – wszystko to sprawiło, że jego dawny kolega przedwcześnie osiwił.

– Ale koniec końców zobacz, gdzie jesteśmy. Jest tylko pustka. Goniliśmy za chimerami. Nie wiemy, gdzie jest Julie ani dlaczego zniknęła. Przez pierwsze cztery lata sprawdziliśmy wszystko, nie było nic więcej do zrobienia. To, że śledztwo tak bardzo się przedłużało, zawdzięczamy sędziemu d’Alembertowi, który potrafił słuchać. Ale kiedy zastąpił go nowy sędzia, jego pierwszą decyzją było zakończenie sprawy. Przyjechał z zewnątrz i nie chciał mieć wlokącego się postępowania, które kosztowało czas, środki, pieniądze i prowadziło donikąd. Przykro mi, możesz mi wierzyć albo nie.

Gabriel nie potrafił zaakceptować takiego stanu rzeczy. Wstał. Nawet nie tknął swojego piwa. Nie czuł głodu, nie czuł pragnienia, jedyne, czego chciał, to uciec od tego koszmaru. Chwycił karton i przycisnął do tułowia.

– Dla mnie to nie jest koniec. Będę jej szukał dalej. Do końca moich dni, jeśli będzie trzeba.

– Być może robiłeś to przez ostatnie dwanaście lat.

Gabriel spojrział ze smutkiem na mężczyznę, który kiedyś był jego najlepszym przyjacielem. Chciało mu się płakać, aż dławiło go w gardle. Paul pogrzebał w swoim portfelu. Wcisnął mu do ręki dwa banknoty po piętnaście euro.

– Na hotel. Jest późno, jesteś w kiepskim stanie. Jeszcze by tego brakowało, żebyś się zabił po drodze. Bo zakładam, że nie wiesz nawet, gdzie mieszkasz?

Gabriel pokręcił głową.

– Nie mogę się skontaktować z matką. Nie mam portfela, nic nie mam.

Paul stanął w progu.

– Przyjedź jutro na posterunek, znajdziemy twój adres.

– Dzięki.

– Żeby było jasne, nie robię tego dla ciebie, ale dla Corinne. Między wami było bardzo źle. Po rozwodzie nie chciała cię więcej widzieć, zmieniła numer telefonu. W pewnym momencie chciała nawet wyjechać z miasta. Dokąd? Sama nie wiedziała. Ona cierpi, tak jak ty. Jak myślisz? Czy zapomniała o swojej córce? Nie ma dnia, żeby o niej nie wspomniała. Zadręcza się i to nas niszczy. Kiedy wróci po niekończącym się dniu wkłuwania się w tyłki starych ludzi, będę musiał jej powiedzieć o naszym odkryciu nad rzeką. Więc nie pogarszaj sytuacji. Jutro dam ci adres i się stąd wyniesiesz.

Gabriel przytaknął.

– Prosiłbym jeszcze, żebyś sprawdził, kim jest niejaki Walter Guffin.

– Po co?

– Proszę, zrób mi tę przysługę. A Malbrouk? Kiedy umarł?

– Trzy lata temu. Któregoś ranka znaleźliśmy go martwego w jego koszyku. Nie cierpiał i miał najlepsze życie, jakie może mieć pies.

Gabriel smutno pokiwał głową i oddalił się, niosąc w zwykłym zbutwiałym kartonie bolesne wspomnienia z okresu śledztwa w sprawie zaginięcia córki. Kiedy opuszczał swój dom, miał wrażenie, jakby zostawiał za sobą swoje życie i swój cień.

Paul zamknął drzwi. Wziął długi, palący oddech. Nadal nie rozumiał, dlaczego Gabriel Moscato przyjechał do Sagas, ale czuł się tak, jakby miasto rzuciło go dwanaście lat wstecz, by go skonfrontować z najgorszym momentem jego życia.

Pomyślał wtedy o mitycznym Syzyfie, który był zmuszony wiecznie wtaczać swój kamień na szczyt góry. Kiedy tylko był pod szczytem, kamień spadał do punktu wyjścia i syn Eola musiał zaczynać wszystko od zera.

Rano i wieczorem hotel Falaise. Jak pierwszy i ostatni akt niekończącego się dnia. Gabriel obudził się w nim i znowu miał w nim zasnąć, po dwunastoletniej eskapadzie. Jutro będzie rok dwa tysiące trzydziesty, a ja będę miał sześćdziesiąt pięć lat, pomyślał z gulą w żołądku.

Z kartonem pod pachą ruszył do wejścia. Martwe ptaki zniknęły. Za recepcyjną ladą od razu rozpoznał Romualda Tanchona. Ten sam wąs, choć teraz zupełnie siwy, stary wełniany sweter w kolorach identycznych z tymi, które nosił przed dwunastu laty. Tanchon podniósł głowę znad czasopisma motoryzacyjnego, spojrzął na gościa, odwrócił się w stronę zegara, a następnie wyciągnął szyję, jakby chciał dostrzec coś za plecami Gabriela, na parkingu.

Były żandarm postawił pakunek na blacie i wyjął plik banknotów. Poniżej świątków wisiał cennik: pięćdziesiąt dwa euro za nocleg ze śniadaniem. Ceny poszybowały w górę, ale też Gabriel nie wiedział, ile średnio kosztuje doba hotelowa w dwa tysiące dwudziestym roku.

– Wezmę pokój. Ale najpierw prosiłbym, żeby mi pan wyjaśnił, co się wydarzyło wczoraj wieczorem, kiedy tu przyjechałem. Powiedziano mi, że był pan w recepcji. Walter Guffin, pokój numer siedem. Czy to byłem ja?

– Słyszałem o pana dziwnym zachowaniu dziś rano. Ta historia z pokojami numer siedem i dwadzieścia dziewięć... To niezrozumiałe. Nie wynajęliśmy nikomu dwudziestki i dziewięć. Cóż, jeśli dobrze zrozumiałem, nie przypomina pan sobie naszej wczorajszej rozmowy, tak?

Gabriel miał ochotę mu powiedzieć, że nie pamięta ostatnich dwunastu lat, ale tylko przytaknął.

– Przyjechał pan około dwudziestej trzeciej trzydzieści, podobnie jak dzisiaj. Niedługo miałem zamykać. W pierwszej chwili pana nie rozpoznałem. Łysina, duże okulary, broda... i ten wygląd mordercy. Przypominał pan Waltera White'a. Gościa z *Breaking Bad*.

Gabriel stał bez ruchu, więc Tanchon uściślił:

– No wie pan, ten nauczyciel chemii, który produkował metamfetaminę i został jednym z największych dilerów w Nowym Meksyku. Wszyscy oglądali ten serial. A to imię Walter, które pan podał, musiało nawiązywać do Waltera White'a, prawda?

– Czego chciałem? Przenocować?

– Jak większość osób, które tu przychodzą. Powiedział pan, że nie jest pan sam, że ktoś czeka na pana na parkingu. A co najważniejsze, poprosił mnie pan, żebym udawał, że nigdy pana nie widziałem. Zameldował się pan jako Walter Guffin, wyszedł pan po bagaże i wrócił w towarzystwie jakiejś kobiety.

Każde słowo padające z ust Tanchona było dla Gabriela jak kolejny cios.

– Twierdzi pan, że zarezerwowaliśmy jeden pokój?

– Tak, siódmkę.

– Niech mi pan opisz tę kobietę.

– Naprawdę nic pan nie pamięta? Nawet jej?

– Nie.

– No cóż, niewiele mogę powiedzieć, bo nie widziałem jej twarzy. Miała nos zasłonięty kołnierzem płaszcza, nie podeszła do lady. Powiedziałbym, że była około trzydziestki, może starsza, blondynka. Nie sprawiała wrażenia zadowolonej, że tutaj jest. To z pewnością efekt Sagas.

W głowie Gabriela kłębiło się zbyt wiele pytań, zbyt wiele niewiadomych. Miał ochotę wyjąć swój mózg, położyć go na podłodze i pęsetą wydłubać z niego wszystkie wspomnienia.

– A potem? Wyszliśmy?

– Nie mam pojęcia. Zamknąłem za wami drzwi wejściowe i poszedłem spać. Ale po zamknięciu goście nadal mogą się przemieszczać. Pokoje na parterze mają bezpośrednie wyjście na zewnątrz. Więc nie wiem, co się działo później. Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, żeby wyjść na dwór o tej porze, trzeba mieć poważny powód. Sagas o północy jest wymarłe jak zapyziała dziura na głębokiej Syberii.

Gabriel czuł, że jego trzewia trawi tępy strach, a od wewnętrznego ognia wyszło mu w ustach. Nagle w chwilowym przebłysku wrócił do niego obraz ciała pilnowanego na brzegu przez żandarmów.

– Z tym że ta noc była jednak wyjątkowa – mówił dalej Tanchon. – Te ptaki, które o drugiej spadały z nieba jak meteoryty... Słyszał pan walenie o dach? To było naprawdę szalone, pierwszy raz w życiu widziałem coś takiego. Na szczęście straty nie są zbyt wielkie. Szpaki nie są jak grad, są miększe. Za to potem trzeba było posprzątać, i to wcale nie było przyjemne.

Gabriel wskazał na wieszak z kluczami.

– Numer siedem... Czy na tę noc mógłby mi pan znowu dać ten pokój?

Właściciel położył przed nim klucz z dużym, okrągłym białym brelokiem. Następnie schylił się i wyjął spod lady sportową torbę.

– Nawet o tym pan zapomniał. Przyniósł ją tu człowiek z serwisu sprzątającego. Okulary są w środku. – Odwrócił się do komputera. – Na jakie nazwisko pana zameldować? Walter Guffin czy Gabriel Moscato?

– Gabriel Moscato.

Romuald zapisał dane.

– A, jeszcze coś, zdaje się, że znaleźli jakieś zwłoki – powiedział, podnosząc głowę. – Trzy kilometry stąd, na brzegu Arve. Z tego, co słyszałem, żandarmi rozstawili namioty, żeby zasłonić widok, i przez cały dzień przeczesywali okolice zakładu utylizacji odpadów. Mówi się nawet, że to huk wystrzałów spowodował tę historię z ptakami.

– Trudno było o tym nie usłyszeć. Ale wiem tyle co pan. Od dawna już nie jestem żandarmem.

Spojrzał właścicielowi w oczy, ale niczego z nich nie wyczytał. Facet stracił już zainteresowanie i nawet nie wspomniał o Julie. Jego córka należała do przeszłości. Gabriel odszedł w stronę swojego pokoju, ale po chwili zawrócił.

– Przepraszam, jeszcze jedno. Czy pamięta pan, jak przyjechałem tu dwanaście lat temu? To był kwiecień, późny wieczór, tak jak teraz. Poprosiłem pana o listę gości, żeby przepisać sobie nazwiska osób, które nocowały w hotelu wtedy, gdy zaginęła moja córka.

Romuald zajrzał w głąb swojej pamięci i skinął głową.

– Tak, papierowy rejestr. Segregator, w którym notowało się wejścia i wyjścia. Mój Boże, kiedy się z informatyzowaliśmy, wszystkiego się pozbyłem. To było tak dawno! Jeśli dobrze pamiętam, zaoferowałem panu nawet pokój gratis.

– Tak jest, słynny numer dwadzieścia dziewięć. Czy pamięta pan, co było potem? To znaczy: czy pan wie, czy wyszedłem jeszcze wieczorem, czy następnego dnia? Spałem tutaj?

– Nie bardzo kojarzę. Ale...

– Ale?

– Potem wrócił pan tu jeszcze z kolegą. Jeżeli dobrze pamiętam, dwa razy. Za pierwszym razem miało to związek z naszym panem sprzątającym, Eddym.

Olbrzym z wózkiem na bieliznę, pomyślał Gabriel. Skinął głową, zachęcając go, by mówił dalej.

– Bardzo dawno temu Eddy miał jakiś drobny zatarg z prawem. To stara historia i nie mam ochoty tego wywlekać. To dobry pracownik, wykonuje swoją robotę, nie ma z nim żadnych problemów. Wystarczająco cierpiał z tamtego powodu, my zresztą też, w pewien sposób.

Z pewnością akta sądowe powiedzą Gabrielowi więcej.

– A drugi raz?

– To było sześć, może siedem miesięcy później, na ulicach leżał już śnieg. Przyjęła was moja żona. Mówiła mi, że rozmawialiście z nią o tym słynnym wieczorze, kiedy dałem panu spis gości. Wypytywaliście ją o jednego z klientów, którego nazwisko miał pan zapisane w notesie.

– O jakiego?

– Och, tego już nie pamiętam. W końcu to było dwanaście lat temu.

– Chciałbym porozmawiać z pana żoną.

Wskazał na drzwi za swoimi plecami.

– Przykro mi, ale osoba, którą spotkał pan dziś rano, to nowa pani Tanchon. Z Jackie jesteśmy po rozwodzie od... od jakiegoś czasu. Nie wiem, gdzie jest, od kilku lat nie mam od niej żadnych wieści.

Gabriel mu podziękował i tym razem oszczędził już na dobre. Kiedy znalazł się w pokoju, odstawił karton na podłogę i otworzył sportową torbę. Wziął do ręki okulary, założył je na nos i poszedł się przejrzeć w lustrze. Walter Guffin. Skąd wziął to nazwisko? Walter White, powiedział Romuald, postać z serialu. Ale Guffin? Gabrielowi przyszedł do głowy raczej MacGuffin Alfreda Hitchcocka, słynny, mgliście opisany tajemniczy przedmiot lub motyw bez rzeczywistego znaczenia, wprowadzony wyłącznie po to, by film mógł zaistnieć: ukradzione pieniądze w *Psychozie*, tajemniczy projekt w *39 krokach*, uran w butelkach z winem w *Oślawionej*. I parka nierozłączek w *Ptakach*. Walter Guffin...

Usiadł na łóżku. Aby nie mnożyć pytań, nie drażył w rozmowie z Romualdem tematu nieznanego. Jedno wszak było pewne: choć wprowadził się do tego pokoju z kimś, to w trakcie zdarzenia ze szpakami obudził się sam, zasnął i znowu się obudził – z pokiereszowaną pamięcią, bez śladu po kobiecie i po jej rzeczach. Kim była? Dokąd mogła pójść? Czy miała własny samochód i wyjechała w środku nocy?

Gabriel zmagał się ze scenariuszem, który w sposób oczywisty pojawił się w jego głowie: a jeśli jego towarzyszką to martwa kobieta znaleziona na brzegu? Wiek, jasne włosy... Wydarzyła się jakaś tragedia, która rozerwała jego pamięć na drobne kawałki. Pod jego powiekami tańczyły rozbłyśki światła. W uszach dźwięczał mu poważny głos Paula. „Byłeś groźny, zawsze poruszałeś się po krawędzi”. Przypomniawszy sobie rentgenowskie zdjęcie złamanej kości. Kij bejsbolowy! Obrazy napływały jeden za drugim, a kiedy zobaczył siebie, jak idzie brzegiem rzeki, nie wiedząc, czy jest dzień, czy noc, zerwał się jak oparzony. Nie, nie mógłby zrobić czegoś takiego. Oczywiście, że nie. Zresztą podczas ptasiej hekatombi był w hotelu.

Podszedł do barku – jedyne miejsce z napojami w tym przybytku – i sięgnął po piwo, ale zanim to zrobił, obalił jednym haustem dwie małe porcje whisky. Nie miał już rodziny, nie miał żony, córki, przyjaciół. Miał tylko dziurę w głowie, wielką jak strusie jajo. Julie z całą pewnością nie żyła – pobita, zgwałcona, zamordowana. Chyba w takich okolicznościach mam prawo się nawalić, pomyślał.

Zachciało mu się palić. Pieprzony mózg! W samochodowym schowku była paczka papierosów, postanowił jutro ją wyrzucić, żeby go nie kusiła. Nigdy nie zapali. Spojrzał na pudło, które dał mu Paul, i wyjął z niego gruby plik papierów, poszukując notatnika z zapiskami ze śledztwa. Na próżno. To by było zbyt piękne. Ale jeżeli wrócił do hotelu w związku ze sprawą zaginięcia córki sześć albo siedem miesięcy później i zauważył jakiś istotny fakt, informacje muszą być w aktach.

To nagromadzenie faktów i oświadczeń było jednocześnie rajem i piekłem. Światłem, które miało mu pomóc w posklejaniu pokawałkowanej pamięci, ale też mrokiem na nowo rozwierającym rany w jego wnętrzu. Zaczerpnął powietrza, jakby na długo miał wstrzymać oddech, i zaczął czytać.

Akt miało mu starczyć na całą noc. Wydobył z pudła ulotkę ze zdjęciem Julie i wpatrywał się w nie ze smutkiem.

Poszukiwana dziewczyna, lat 17,5, wzrost 163 cm, szczupła, wysportowana sylwetka, długie włosy w kolorze ciemny blond, niebieskie oczy. W prawym uchu nosi złote kółko, a na szyi posrebrzany wisiołek w kształcie książki.

Książki – tak bardzo je lubiła. Zwłaszcza kryminały. Czytała je, odkąd skończyła trzynaście lat, mroczne serie z biblioteczki ojca. Mawiała, że śledztwo przypomina partię szachów: przeciwnicy próbują nawzajem przewidzieć swoje ruchy. Gabriel zastanawiał się, jak teraz wygląda jej pokój. Czy po tych wszystkich latach Corinne zachowała go w nietkniętym stanie, czy też Paul przekonał ją do oczyszczenia wspomnień? Jak przebiegła sprawa rozwodowa? Z pewnością towarzyszyły jej ból i rozdarcie dwóch zdruzgotanych istot. Trudno postawić krzyżyk na ponad dwudziestu latach wspólnego życia. Nie byli w stanie pogodzić się ze straszliwym dramatem, jakim było zaginięcie jedynej córki. Ich rodzina rozpadła się na zawsze.

Trafił na nowsze ulotki, od których jego żołądek zacisnął się w supeł. Przygnębiające tytuły: „Zaginiona od 2008 roku”, „Trzy lata bez wieści”, „Tylko wy możecie nam pomóc”. Zdjęcie postarzone cyfrowo. Julie wciąż się uśmiecha, jej wizerunek musiał być pozytywny, budzić natychmiastową sympatię. Z innych papierów Gabriel dowiedział się o istnieniu stowarzyszenia noszącego imię jego córki: „Stowarzyszenie Julie”. Solenne Peltier, koleżanka z żandarmerii i chrzestna Julie, była jego prezeską, on skarbnikiem. Imię Corinne nigdzie się nie pojawiało. Gabriel pamiętał, że pierwsze tygodnie jego żona spędziła w łóżku, otumaniona antydepresantami.

Czytając, musnął miejsce po tatuażu na prawym przedramieniu. W jednym z zeszytów znalazł spis różnych działań z ich datami. Gabriel wyobraził sobie z jednej strony śledztwo prowadzone w ramach brygady, a z drugiej to, któremu oddawał się prywatnie. Nie pozwalał sobie na odpoczynek, żeby nie myśleć. Produkcja banerów, koszulek, plakaty w sklepach wielkopowierzchniowych, na postojach przy autostradzie, łańcuch wsparcia za pośrednictwem poczty elektronicznej, pozyskiwane dotacje. Na kolejnych stronach jego odręczne pismo: „Gdzieś tam ktoś coś wie”. Skrupulatna dokumentacja wzmianek w mediach: „Le Dauphiné Libéré”, RTL, France 3... Powstała specjalna linia telefoniczna dla każdego, kto miałby jakiegokolwiek informację. Z hotelowego telefonu Gabriel spróbował zadzwonić na podany numer: okazało się, że już nie istnieje.

Zdjęcie Julie obiegło całą Francję za sprawą członków stowarzyszenia – przyjaciół jego córki i wspierających go mieszkańców Sagas, którzy w roku dwa tysiące ósmym, dziewiątym i dziesiątym jeździli do Paryża na organizowane tam dni poświęcone zaginionym dzieciom. Przed oczami miał listę adresów rodziców przeżywających podobne tragedie. Niczego nie pamiętał. Żadnej postaci, żadnej twarzy, nie wiedział nawet, jaki był cel tego wydarzenia.

Kontynuował lekturę. W roku dwa tysiące jedenastym i dwunastym nic. Zgodnie z notatkami w ramach urlopu Gabriel pojechał do Londynu, a potem do Montrealu, by spotkać się z członkami organizacji Missing Children. Statystyki wskazywały na dużą skuteczność tego stowarzyszenia: było prawdziwą machiną wojenną, przykładem do naśladowania. Popatrzył na niebieskie wydruki z twarzami nastolatków, którzy pewnego dnia wyparowali. Dzieci nicości. W każdym roku ginęły ich tysiące.

Z biegiem czasu intensywność działań osłabła. Z ośmiuset członków w pierwszych dniach w dwa tysiące jedenastym pozostało tylko dwadzieścia troje. Brak postępów, ograniczony budżet – w zeszycie stopniowo zaczęły się pojawiać puste strony. Gabriel wyobraził sobie rozczarowanie tych dobrych ludzi, ich zmęczenie, życie osobiste, które w końcu brało górę, nieubłagany czas, który zdmuchnął płomyk nadziei. Skorzystali ze swojego prawa, by więcej nie konfrontować się ze strachem. „Gdzieś... ktoś coś...” – zaimki wyłącznie nieokreślone. Doskonałe podsumowanie ich bezsilności. Gabriel ze smutkiem dopił piwo. Ich walka była daremna. Fakt, że teraz siedział w tym hotelu i pił, tylko to potwierdzał.

Przystąpił do czytania akt. Sześćset osiemdziesiąt dwa dokumenty obejmujące prawie tysiąc stron – i to tylko z okresu pierwszych czterech lat śledztwa. Szczegółowe opisy, które miały ukazać postępy poszukiwań dzień po dniu.

Symbolem C1 oznaczono początek śledztwa, które wszczęto rankiem dziewiątego marca dwa tysiące ósmego roku. Gabriel pamiętał, jak jego koleżanka sporządzała notatkę, którą teraz miał przed oczami:

9 marca 2008 o godz. 8.30 rodzice Julie Moscato stawili się na posterunku żandarmerii w Sagas. Od poprzedniego dnia nie mieli kontaktu z córką. Julie zawsze wracała z przejażdżki rowerowej późnym popołudniem, około 17.00. Wszczęto poszukiwania jakichkolwiek wskazówek, które pozwolą ustalić przyczyny tego zaginięcia.

Gabriel: ojciec i żandarm w jednej osobie. Ofiara i detektyw. Wszystko to było w jego głowie całkiem świeże. Rower pod drzewem, ślady opon, przeczesywanie lasów w dolinie. Jego ówczesny szef próbował go odsunąć od śledztwa. Na próżno. Gabriel nie ustąpił i przełożony w końcu się poddał.

Protokoły z przesłuchań bliskich i przyjaciół. Ostatnią osobą, która widziała Julie, była Louise: w sobotę rano w domu państwa Lacroix na obrzeżach Sagas dziewczyny odrobiły lekcje, zjadły quiche z mikrofalówki, po czym o czternastej Julie wsiadła na rower i odjechała. Jak w każdą środę, sobotę i niedzielę po południu wybrała się na wycieczkę rowerową. Gabriel był na posterunku, a Corinne u pacjenta, czternaście kilometrów dalej. Nawet oni musieli dostarczyć dowody z miejsc, w których przebywali. W przypadku zaginięć dzieci pierwszymi podejrzanymi są zawsze rodzice.

Szybko przerzucał kartki, by dojść do okolic daty, kiedy pojawił się w tym hotelu, a przyjechał tu wieczorem dziewiątego kwietnia dwa tysiące ósmego roku. Wszystkie późniejsze informacje były mu nieznane: musiał zapełnić tę czarną dziurę.

Gabriel poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Siedemnasty kwietnia dwa tysiące ósmego. Siedemnastego kwietnia dwa tysiące ósmego roku prowadził poszukiwania na podstawie kryteriów geograficznych w FIJASV, cyfrowej bazie sprawców przestępstw seksualnych i przemocy. Ograniczył wyszukiwanie do swojego regionu i otrzymał wynik: Eddy Lecointre, lat trzydzieści dwa, miejscowy, w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym, kiedy mieszkał w Chambéry, sądzony za usiłowanie napaści seksualnej. W jednym z barów jakaś młoda kobieta odrzuciła zaloty Lecointre'a. Poszedł za nią i zaczepił w drodze do domu. Dziewczyna podniosła głos, a on zaczął jej grozić i pchnął ją do jakiejś klatki schodowej, zatykając jej usta dłonią. Rozdarł jej spódnicę i bluzkę, a kiedy natknęła się na nich grupa wracająca z jakiejś

imprezy, uciekł. Policja bez trudu dotarła do jego miejsca zamieszkania, gdzie został przesłuchany.

Po trzech latach odsiadki gość opuścił Chambéry i przeniósł się do Orniac, dziesięć kilometrów od Sagas. Początkowo pracował w elektrowni wodnej nad jeziorem Miroir, następnie został zatrudniony w hotelu Falaise jako złota rączka.

Gabriel bez trudu wyobraził sobie, jak bardzo musiał być podekscytowany tym odkryciem – nawet teraz poczuł przypływ emocji. Żandarmi, a w pierwszej kolejności on sam, z pewnością rzucili się na tego człowieka jak pies na kość. Lecointre znał Julie, na pewno pracowali razem w hotelu, a przynajmniej spotykali się w korytarzach. Dwudziestego kwietnia dwa tysiące ósmego roku jego dom został przeszukany.

Gabriel pochłaniał raporty. Mimo drobiazgowego śledztwa nie udało się ustalić, jakoby Lecointre miał coś wspólnego z zaginięciem Julie. Analizy jego połączeń telefonicznych i maili nie wykazały niczego podejrzanego. Żaden klient nie skarżył się na uchybienia w jego zachowaniu. Z notatek wynikało, że w dniu tragedii pracował do dwudziestej. Nie mógł więc porwać Julie.

Czytał dalej. Powtórne przesłuchania, podsumowania, syntezy, ekspertyzy. W zeznaniach powracały słowa o „uroczej, sympatycznej dziewczynie” albo „lasce, która czasem lubi zadzierać nosa”. Nauczyciele uważali ją za dobrą uczennicę, mimo że w pierwszym trymestrze ostatniej klasy, jesienią dwa tysiące siódmego, miała wyniki grubo poniżej swoich możliwości. Twierdzili jednak, że przed samą tragedią była już piąta w klasie. Zawarte w aktach wypowiedzi osób, które przebywały z nią na co dzień, obnażyły Julie z wszelkich tajemnic.

Dokument za dokumentem – pokryty czarnym drukiem papier był świadectwem długich, żmudnych poszukiwań. Sprawdzonoienne harmonogramy wszystkich więźniów, którzy opuścili zakład karny w okolicach daty zdarzenia. Wiele miesięcy śledztwa, które miało ugrzęznąć w ślepej uliczce.

Whisky i piwo zaczęły mu szumieć w głowie. Przerzucając kartki, Gabriel miał dwa cele: dowiedzieć się czegoś na temat szarego forda, o którym mówił Paul, oraz odkryć powód swojego powrotu do hotelu jesienią dwa tysiące ósmego roku.

Na pierwszy ślad samochodu trafił pod datą dwudziesty trzeci maja dwa tysiące ósmego. Dwa miesiące po porwaniu żandarmeria przejrzała nagrania zarejestrowane siódmego i ósmego marca przez kamery monitoringu na bramkach autostrady A40, dziesięć kilometrów od Sagas. W dniu zaginięcia Julie szary ford przejechał przez bramki o czternastej czterdzieści osiem w kierunku Sagas, a o siedemnastej pięćdziesiąt siedem – w kierunku Lyonu. Samochód miał fałszywe tablice rejestracyjne, jego kierowca opłacił przejazd gotówką.

Gabriel przyjrzał się kiepskiej jakości zdjęciu dołączonemu do akt. Trzęsła mu się ręka. Ujęcie zostało zrobione z perspektywy żabiej, tak że nie dało się rozpoznać postaci za przednią szybą. Fałszywe tablice, szybki przejazd tam i z powrotem, przyciemniane szyby. Gabriel nie miał wątpliwości: osoba lub osoby podróżujące tym samochodem porwały jego córkę.

Jednym haustem dokończył piwo. Klęcząc na podłodze, energicznymi ruchami rozłożył kartki. Poukładał je w kupki, przebiegł każdą z nich wzrokiem i zebrał te, na których znajdowały się informacje na temat szarego forda. Sporządzono rysopis i rozesłano list gończy po całej Francji – za późno. Trop urwał się ósmego marca na bramkach wyjazdowych w kierunku Lyonu. Posypały się telefony i zeznania prowadzące na manowce. Tyle błędnych ścieżek do zbadania, tyle zawiedzionych nadziei!

Aż do dziewiątego lipca dwa tysiące dwunastego roku, pięćset stron dalej. Po czterech latach tego samego szarego forda znaleziono spalonego w szczerym polu w okolicach Lille. Znowu na fałszywych numerach. W bagażniku pod wykładziną, w miejscu koła zapasowego, leżały trzy inne tablice, w tym ta, którą zarejestrowały kamery monitoringu w dwa tysiące ósmym. W ten sposób ustalono związek ze sprawą.

Według informacji z protokołu sporządzonego przez kryminalnych w Lille sprawców namierzono dzięki jednemu możliwemu do zbadania odciskowi linii papilarnych na bagażniku. Okazali się nimi dwaj młodzi mieszkańcy Roubaix, wcześniej już notowani, którzy twierdzili, że ukradli samochód w biały dzień z parkingu centrum handlowego w Ixelles – belgijskiej gminie graniczącej z Brukselą.

Samochód porywacza Julie ukradziony w Belgii, a następnie spalony we Francji przez dwóch chłopaków z marginesu. Gabriel przypomniał sobie słowa Paula na swój temat: miał opuścić Sagas, by zamieszkać na północy. Wyobraził sobie, w jakim był wówczas stanie. Cztery lata śledztwa bez żadnych efektów, rozpacz. Potem ten błogosławiony zwrot akcji. Czy przemierzał Ixelles i okolice belgijskiej stolicy samotnie, w cywilu, by dobrać się do skóry właścicielowi samochodu? Czy przeciwnie – porzucił wszystko, pogrzył się w depresji i staczał po równi pochyłej z dala od Sagas i tych pieprzonych gór?

Druga trzydzieści w nocy. Podłoga była usłana kartkami, kręciło mu się w głowie. Gabriel chodził wte i wewte po pokoju ze zdjęciem forda w ręce. Próbował sobie wyobrazić jakiś scenariusz. Samochód zjechał z autostrady i po trzech godzinach z powrotem na nią wjechał. Tamtego popołudnia Julie jeździła na rowerze po zalesionych zboczach. Miała swój rytuał, zawsze zaczynała i kończyła w tym samym miejscu: na parkingu przy drodze do Albion. Gdy wjeżdżała z powrotem na tę drogę, została porwana. Może kierowca szarego

forda wszedł do lasu. Zmusił Julie, żeby się zatrzymała. „Halo! Przepraszam panią! Chciałbym o coś zapytać!” Julie gwałtownie zahamowała i oparła rower o drzewo. Facet zaciągnął ją siłą do samochodu albo przekonał, by za nim poszła.

Gabriel wyobrażał sobie przerażenie córki. Gdy zamknęły się za nią przesuwne drzwi, wpadła w otchłań niepewności. Czy została pobita, ogłuszona? Czy wzywała pomocy? „Tato, ratuj mnie! Potrzebuję cię!” A jego tam nie było.

Przykucnął i wpatrywał się w stosiki papierów. Nie dawał rady czytać. Był wykończony. Podciągnął się na łóżko i z ulotką w dłoni padł na materac. Julie uśmiechała się do niego z palcami zahaczonymi o wisiołek w kształcie książki. W okresie, gdy wszystko się układało, mógł z nią spędzać więcej czasu. Więcej jeździć z nią na rowerze, każdego dnia cieszyć się jej obecnością, mówić jej, że ją kocha. Nigdy jej tego nie powiedział.

Gabriel obiecał, że ją znajdzie, ale po dwunastu latach wrócił w tym ponurym hotelowym pokoju do punktu wyjścia. Być może amnezja miała mu uświadomić, jak tragiczną poniósł porażkę.

Stał przed siedzibą swojej brygady. To byli jego ludzie, jego dusza, jego przeszłość. Wszedł do środka. Nikt z nim nie rozmawiał. Słyszał co najwyżej „dzień dobry”, unikano go. Idąc korytarzem, zaglądał przez szyby do pomieszczeń. Nic się nie zmieniło. Zapachy, skrzypiące linoleum, uchylona narciarnia, w której na pierwszy śnieg czekały rakiety, kije i plecaki. Zajrzał tam, by poszukać szafki ze swoim nazwiskiem, ale po chwili uświadomił sobie absurdalność tego kroku. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Na miejscu Solenne Peltier siedziała inna, nieznamiona osoba. Na chwilę zatrzymał się przed swoim dawnym pokojem. Przez listewki żaluzji widział Louise, a naprzeciwko niej postać zwróconą do niego plecami. Kiedy się obróciła, na moment stanęło mu serce. Corinne... Kobieta, która jak za pstryknięciem palców z małżonki stała się eksmałżonką.

Jej również nie oszczędził czas, była jednak tą samą Corinne, którą zapamiętał: z szerokim czołem, wysokimi kośćmi policzkowymi, oczami jak lodowcowe jeziora – kiedyś, dawno temu, te oczy podbiły jego serce.

Podniosła do ust chusteczkę higieniczną. W jej oczach nie było wrogości, ale nie wykonała w jego stronę żadnego ruchu. Paul musiał jej mówić o jego powrocie, ale co konkretnie powiedział? Odwróciła się z powrotem ze spuszczoną głową. Z pewnością wiedziała o zwłokach znalezionych poprzedniego dnia na brzegu. Oczekiwanie na wyniki badań, które mają wskazać, czy ciało należy do twojego dziecka – czy może być coś gorszego?

Gabriel czuł ciężar w sercu. Nie odważył się z nią skonfrontować. Co zresztą miałyby jej powiedzieć? Nie kochał jej. Paul miał rację, ich małżeństwo już wcześniej wegetowało. Wyobraził sobie, jakie piekło musiała przeżyć tamtego wieczoru, kiedy spuścił koledze lanie. Nie chciała go więcej widzieć, rozwiedli się. Skończone.

Ruszył dalej, po drodze wymienił tylko spojrzenie z Benjaminem Martinim. On i te jego marzenia o awansie na szefa grupy. Zawsze drugi. Dalej nowa

kserokopiarka, dystrybutor z wodą. W głębi korytarza znalazł biuro Paula. Wszedł bez pukania. Meble takie, jak zapamiętał, tylko bardziej zniszczone. Ten sam płaczący się sznurek przy żaluzjach. Tylko komputer wyglądał na nowocześniejszy.

Za plecami byłego kolegi, obok okna wychodzącego na „schron”, biała tablica usiana magnesami. W rynience Gabriel zauważył plik zdjęć ustawionych rewersem w stronę pokoju: z pewnością zostały odczepione przed jego przyjściem. Położył teczkę z aktami śledztwa na drewnianym stole.

Paul miał na sobie regulaminowy ciemnogrnatowy sweter z pagonami. Gdy zdejmował okulary, wyglądał jak wypalony urzędnik. Po dawnym, pełnym życia żandarmie z iskierkami w oczach nic już nie zostało.

– Rano rozmawiałem z twoim neurologiem – zaczął od razu Paul. – Wygląda na to, że ten twój problem z pamięcią to nie jest jakiś mały pryszcz. To najbardziej porąbana rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Jeśli nie liczyć deszczu ptaków, który też jest niezły.

– Musiałeś węszyć tym swoim nochalem w szpitalu. Niech żyje poufność.

– Znasz mnie, człowiek się nie zmienia. Chciałem zrozumieć, co ci dokładnie jest. Ta amnezja psychocośtam. To... szokujące.

– Tak, szokujące. Powiedz mi lepiej, co wiesz na temat Wandy Gershwitz.

Paul poszedł nalać sobie wody, zaproponował również Gabrielowi, ale ten odmówił. Z powrotem usiadł na starym krześle na kółkach, otworzył ampułkę z witaminą D i wlał jej zawartość do kubka.

– Wanda Gershwitz... Oczywiście spędziłeś noc na czytaniu akt. Domyślałem się, że jeśli ci je oddam, zwalisz się tu z pytaniami. Cholera, to stara historia. Nawet nie wiem, o kim mówisz.

Gabriel pochylił się do przodu i oparł o blat. Zegar nad stołem wskazywał czternastą.

– Odświeżę ci pamięć.

– I kto to mówi...

– Dziewiątego kwietnia dwa tysiące ósmego roku wieczorem jadę do hotelu Falaise, żeby spisać dane gości zameldowanych tam między piątym a dziewiątym marca. Na liście jest niejaka Wanda Gershwitz, która zarezerwowała pokój od dwudziestego czwartego lutego do ósmego marca. Dwa tygodnie w tej mysiej dziurze, opłacone gotówką.

Paul zanurzył wargi w wodzie o smaku pomarańczowym, zaskoczony pamięcią człowieka, który stracił pamięć.

– Mija sześć miesięcy, zanim z braku tropów zdecydujecie się sprawdzić zawartość mojego notesu, odszukać dane podróżnych przebywających w Sagas w chwili zaginięcia Julie, sprawdzić ich kartoteki w nadziei, że gdzieś zapali się

czerwona lampka. I pojawia się owa Wanda Gershwitz, która nigdzie nie istnieje. Fałszywa tożsamość.

Ruchem palców Paul pchnął teczkę w kierunku Gabriela.

– Przecież domyślasz się, że to do niczego nie doprowadziło. Jestem pewien, że w głębi duszy o tym wiesz. Kierownictwo hotelu nie pamiętało tej kobiety. Jak mogłoby pamiętać po tak długim czasie, skoro zawsze mają pełne obłożenie? Jedną spośród wielu klientek, która po prostu podała fałszywe nazwisko. To częste w takich ośrodkach: ludzie, którzy z różnych powodów nie chcą zostawiać po sobie śladów.

Gabriel otworzył teczkę i wskazał na zdjęcie szarego forda.

– Przejdźmy do tej części. Ósmego marca o czternastej czterdzieści osiem autostradą od strony Lyonu nadjeżdża szary ford na fałszywych tablicach. Zaledwie trzy godziny później rusza tą samą autostradą w przeciwnym kierunku. Z moją córką w środku.

– To tylko przypuszczenia. Nigdy ich nie potwierdzą...

– Czytałem: sprawdziliśmy wszystkie nagrania z kamer na bramkach w Sagas dwa miesiące wstecz. Przez dwa pieprzone miesiące ten samochód się tam nie pojawił. Skąd zatem jego właściciel wiedział o tym parkingu? Julie zaczęła treningi w tym miejscu kilka tygodni wcześniej. Jakim sposobem porywacz mógł się zatrzymać przy trasie na Albion, przejść ścieżką prowadzącą do parkingu i trafić na moją córkę bez precyzyjnych informacji, gdzie i kiedy ją znaleźć? Jeśli chciał niezauważenie uderzyć w biały dzień, to nie było lepszego miejsca. Porywacz lub porywacze znali zwyczajnie Julie lepiej niż ja. Ktoś musiał się tu z nimi spotkać, Paul. – Oparł palec wskazujący na blacie. – Są dwie oczywiste możliwości. Pierwsza: Eddy Lecointre. Pracował w hotelu, widywał Julie. Z raportów wynika, że gość był samotnikiem, jego kontakty telefoniczne ograniczały się do rozmów z matką i córką. W jego komputerze nie było nic podejrzanego, od wyjścia z za kratki żadnych zatargów z prawem, żadnych skarg ze strony klientów. Nic.

– Doskonale podsumowałeś sytuację. Lecointre był czysty.

– Jest też druga możliwość: Wanda, która przebywa tu od piętnastu dni, płaci gotówką i jakby przez przypadek znika w dniu porwania.

Kapitan zaczął układać obok siebie wszystkie długopisy, które miał na biurku. Nic się nie zmieniło, pomyślał Gabriel. Wciąż ta piekielna obsesja porządku.

– Nigdy nie udało się ustalić związku między Wandą Gershwitz a szarym fordem, którego nikt nie widział – odparował Paul. – Nasza robota polega na znajdowaniu powiązań, a przy takim śledztwie widzimy powiązania tam, gdzie ich nie ma. Szukamy korelacji w zwykłych zbiegach okolicz...

– Skończ z tą ściemą. Czy ty wierzysz choćby w jeden procent tego, co wygadujesz? Spójrz mi w oczy i powiedz, że uważałeś, że to był zwykły zbieg okoliczności.

– To był zwykły zbieg okoliczności.

– Kłamiesz. Nigdy nie wierzyłeś w takie rzeczy. Nie uznajesz istnienia przypadków.

– To był przypadek. Sprawa zamknięta. – Podał mu jakąś kartkę. – Proszę, tu jest twój adres. Blok w Lille, w robotniczej dzielnicy Wazemmes. Mieszkaś tam od trzech miesięcy. Zlokalizowaliśmy też rezydencję dla seniorów, w której mieszka twoja matka. Niedaleko Arras, około czterdziestu kilometrów od ciebie. Operator naszej centrali znalazł jej numer, jest zapisany na samym dole, pod twoim. Jeśli zgubiłeś komórkę, kup sobie nową w sklepie na rue Blanche, przeniosą ci stary numer na kartę SIM.

Gabriel wpatrywał się w kartkę. Co on robił w dzielnicy robotniczej, skoro jego matka mieszkała pół godziny stamtąd? Czy to ma jakiś związek z fordem? Paul wręczył mu inną kartkę.

– A to jest potwierdzenie oświadczenia o kradzieży dowodu osobistego. Wszystkim się zająłem, wystarczy, że to podpiszesz. Z tym kwitkiem będziesz mógł załatwić podstawowe rzeczy. Na przykład wyjąć pieniądze z banku. Podejrzewam, że twój samochód nie jeździ na powietrze i będziesz potrzebował benzyny, żeby wrócić.

Gabriel podpisał, złożył kartki i wsunął je do kieszeni kurtki.

– Domyślam się, że powinienem ci podziękować.

Paul wstał. Z założonymi rękami obserwował chmurę ptaków, która niestrudzenie wirowała jakiś kilometr dalej.

– Drą się od trzech dni i srają, gdzie popadnie, a jednocześnie mnie fascynują. Widziałeś? To jest jak dzieło sztuki. Czasem widzę, jak układają się w doskonały matematyczny symbol nieskończoności. Odwieczny cykl nowych początków, powtarzających się zdarzeń. Dziwne to. – Przez chwilę stał tak, zamyślony, rozważając własne słowa, po czym mówił dalej: – Są tak zgrane, jakby tworzyły jeden byt, reagują wszystkie niemal w tej samej chwili. A jednak nie mają szefa jak inne stada wędrownych ptaków. Wystarczy, że jeden osobnik skręci i zmieni prędkość, a cała reszta robi to samo. Wyglądają, jakby były ze sobą połączone. Stąd ta wczorajsza katastrofa. Po ciemku nie miały szans. – Paul wziął głęboki wdech, oparty ramieniem o ścianę. – My, ludzie, tacy nie jesteśmy. Nawet jeśli tworzymy grupę, pozostajemy indywidualistami. Egoistami. Twoje pojawienie się nie sprawi, że wszyscy zmienimy kierunek, i nie zmieni świata. Wiesz, jak działa wymiar sprawiedliwości. Cokolwiek byś zrobił czy powiedział, nie ma sposobu, żeby ponownie otworzyć tę sprawę. Jest zakończona – powtórzył.

I wtedy Gabriel zrozumiał, że były kolega nie odpowie na jego pytania. Spojrzał na fotografię w ramce stojącą na lewo od komputera: Corinne i Paul przy stole w ogrodzie na tyłach domu, uśmiechający się do obiektywu. Kto zrobił to zdjęcie? Pewnie Louise. Urocza rodzinka.

Paul opuścił roletę. Część pokoju pograżyła się w ciemności.

– A teraz ja cię o coś zapytam. Posprawdzałem tu i tam. Może pogadamy o Walterze Guffinie?

— **K**to to jest? Mów – Paul bez ogródek przypuścił atak na Gabriela, który wyglądał na zamyślonego.

– Nie wiem. Po prostu jego nazwisko przyszło mi do głowy. Może to jakiś gość, którego znałem, i mi się przypomniało. Nie mam pojęcia.

Paul zamknął drzwi. Wcisnął włącznik i zaskwierczała jarzeniówka.

– Gość, którego znałeś. To zabawne, ponieważ dla zakładu ubezpieczeń i skarbówki Walter Guffin nie istnieje. Duch. Jedyne miejsca, w których się pojawia, to baza kierowców i rejestr pojazdów. Guffin jest właścicielem kremowego mercedesa, dokładnie takiego jak twój.

Kapitan obrócił monitor w jego stronę. Gabriel miał przed sobą własne zdjęcie na prawie jazdy. Łysa czaszka, okulary, bródka i zacięta twarz.

– Fałszywe papiery wykonane zgodnie z regułami sztuki – dodał Paul – ale nie posunąłeś się do całkowitej zmiany tożsamości. Walter Guffin nie ma konta bankowego ani paszportu, a jego adres domowy jest taki sam jak twój. Faktycznie, te twoje ciuchy, te okulary... Wygląda na to, że miałeś potrzebę podać się za kogoś, kim nie jesteś. Rozumiem, że pytanie cię o powód nie ma sensu?

Gabriel z przestachem patrzył na swoją podobiznę. Zdjęcie wykonano niedawno. Dokumenty zostały wystawione przed trzema miesiącami. Wtedy, kiedy sprowadził się do Wazemmes.

– Wiem tylko, że przedwczoraj zameldowałem się w hotelu pod tym nazwiskiem – tłumaczył się Gabriel. – Mieli to zapisane w komputerze.

Paul zmrużył oczy, jakby układał kostkę Rubika.

– I co ja mam teraz zrobić? Ja, kapitan żandarmerii, oficer brygady kryminalnej, który ma przed sobą osobnika posługującego się fałszywymi papierami, byłego żandarma z rozwaloną pamięcią, który nie wiadomo po kiego diabła wrócił do Sagas.

– Zrób, jak uważasz. Proszę cię tylko, daj mi czas, żebym mógł się cofnąć o kilka dni. Chcę skumać, co się dzieje.

Paul posłał mu znużony uśmiech.

– Nie zrozumiałeś. Chcę, żebyś wyjechał. Żebyś się wynosił z Sagas razem ze swoimi problemami i więcej tu nie wracał. Skontaktujemy się z tobą w sprawie zwłok na brzegu. Jeśli będzie taka konieczność.

– Chciałeś powiedzieć: jeśli to moja córka?

Kapitan pozamykał otwarte okienka na ekranie, jakby go nie słyszał.

– Powiedzmy, że w tej chwili mam na głowie pewne paskudne morderstwo, które nie pozwala mi szperać w innych sprawach. Ale nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę i dobrze ci radzę, zniknij stąd. Nie będę mógł zawsze usuwać z pamięci twoich wybryków.

Paul zamilkł, wstał i skierował się ku drzwiom. Gabriel zabrał teczkę i podszedł do niego.

– Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żebym wyjechał z miasta? Dlaczego nie chcesz mi dać całych akt, chociaż dałeś mi dziewięćset stron? Poinstruowałeś wszystkich przed moim przyjściem, jak się mają zachowywać. Uciekają przede mną jak przed zadumionym. Znam cię. Coś przede mną ukrywasz.

– Żadne gadanie nie sprawi, że Julie wróci. Czas minął, Gabriel, zakonotuj to sobie. A teraz przepraszam cię, mam robotę.

Paul był jak grób. Gabriel nie miał już nadziei, że cokolwiek z niego wydobędzie.

– Dorastaliśmy razem. Byliśmy partnerami. Jak mogliśmy się znaleźć w tym punkcie?

Wobec braku odpowiedzi Paula, pogrążonego już w papierach, wyszedł bez pożegnania.

Musił stawić czoło formalnościom. Tuż po wizycie na posterunku odwiedził swój stary bank. Zgodnie z informacjami konsultanta w dwa tysiące dwunastym, czyli w tym samym roku, w którym rozstał się z żoną, przeniósł swoje środki do placówki tej samej grupy w Lille. Na jego głównym koncie było ponad trzydzieści tysięcy euro, ogromna suma, za to jego ubezpieczenie na życie z chwilą rozvodu zostało zamknięte. W dwa tysiące trzynastym otrzymał przelew w wysokości ponad stu dwudziestu tysięcy euro – z pewnością za połowę domu.

Na wyciągach z trzech ostatnich miesięcy widniały tylko wydatki. Żadnych wpływów. Gotówkę wybierano wielokrotnie w Lille i Brukseli. Kto to robił? Gabriel Moscato czy Walter Guffin? Pomyślał o fałszywych papierach: musiały kosztować fortunę.

W salonie operatora telefonii komórkowej kupił najprostszy model smartfona, który i tak był dla niego zbyt skomplikowany. Sprzedawca sprawdził jego tożsamość i po wykonaniu kilku operacji informatycznych po zaledwie dwudziestu minutach podał mu komórkę ze starym numerem. Wyjaśnił, jak działają aparat fotograficzny i GPS. Gabriel znalazł się w innym wymiarze. Niedługo te telefony będą robić kawę, pomyślał.

Wyszedłszy z salonu, wystukał bezpośrednio na ekranie numer matki – była to dla niego rewolucja, choć jednocześnie czuł, że te gesty są mu jakoś znajome. Drżący głos w poczcie głosowej przyprawił go o gęsią skórkę. Zostawił wiadomość: „Mamo, tu Gabriel. Zadzwoń, jak będziesz mogła. U mnie wszystko w porządku. I... dobrze cię słyszeć”.

Jak bardzo zmieniły się kryminalistyka, prawo, techniki śledcze? – zastanawiał się za kółkiem, gdy mijał zakład karny. Był opóźniony w każdej dziedzinie. Mieszkaniec roku dwa tysiące ósmego rzucony w przyszłość przez wehikuł czasu z najgorszym bagażem, jaki mógł mu się przytrafić. Nieświadomy ocaleniec.

Ujechał dwa kilometry i skręcił do dzielnicy willowej wybudowanej na zboczu. Domy wzniesiono rzędami na kilku tarasach – te położone najwyżej były najdroższe. Zastukał do drzwi prostego budynku w pierwszym rzędzie, otynkowanego na kremowo sześcianu o oknach obstawionych doniczkami z czerwonymi i fioletowymi pelargoniami. Miał wielką nadzieję, że Solenne Peltier nadal tu mieszka.

Na jej widok tak się ucieszył, że wziął ją w ramiona. Następnie zrobił krok w tył i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Jego dawna koleżanka nigdy nie troszczyła się o wygląd i z biegiem lat nic się nie zmieniło. Siwiejące włosy opadały jej bez ładu na peruwiańskie ponczo z alpaki, usta miała suche i pomarszczone jak daktyle.

Przy wtórze kaszlu zaprosiła go do środka. Jakiż to wiatr przywiał go do świeżo – bo przed miesiącem – upieczonej emerytki? Gabriel po raz kolejny odtworzył płytę z zapisem koszmaru ostatnich godzin, pomijając wątek kobiety, z którą przyjechał do hotelu. Solenne wiedziała o zwłokach znalezionych na brzegu Arve, czytała o tym w gazecie. Włożyła mu do ręki kieliszek brandy Vieille Prune, po czym jednym haustem opróżniła własny. A potem długo mu się przyglądała, jakby chciała zajrzeć do jego głowy.

– Czasem do mnie dzwonisz – rzuciła, odstawiając kieliszek na stół. – Pytasz, co słyhać, chcesz wiedzieć, czy śledztwo idzie do przodu.

Zastukał do właściwych drzwi, Solenne Peltier była jedyną nicią łączącą go z Sagas. Pił swój trunek drobnymi łykami. Od poprzedniego dnia miał wrażenie, jakby był uzależniony od alkoholu. Czyżby kolejny paskudny prezent od jego drugiego ja?

– Oczywiście Paul zabronił udzielania ci informacji, gdybyś próbował się z nami kontaktować. Musisz wiedzieć, że nigdy nie pochwalałam tego, co mu zrobiłeś, ale... Julie była moją chrześnicą, poza tym pracowaliśmy razem dwadzieścia lat. Zawsze byłeś w porządku, mimo że parę razy cię poniosło. Ale powiedz mi, komu w naszym zawodzie nigdy się to nie zdarzyło? To była twoja córka, miałeś prawo być na bieżąco.

Nalała sobie jeszcze jeden kieliszek. Na fotelach narzuty usłane kocimi kłakami, ubrania porozwieszane na oparciach krzeseł: Gabriel wyobraził sobie jej pustelnicze życie. O ile wiedział, chrestna Julie nigdy nie była z żadnym mężczyzną. W brygadzie nazywali ją Żelazną Damą.

– Wspominasz o tej Wandzie, o szarym fordzie. To najpoważniejsze tropy, jakie mieli. To jasne, że kobieta przyjechała tutaj na zwiady, była powiązana z kierowcą samochodu. Paul i cała reszta grupy byli o tym święcie przekonani.

Zacisnął pięści. Czyli były kolega go okłamał.

– Wygląda na to, że nic ci nie świta – stwierdziła Solenne. – Nic dziwnego, wtedy to też ja znalazłam związek.

– A co mi miało zaświtać?

– Wanda Gershwitz: nic ci to nie mówi?

Pokręcił głową.

– To ta laska z filmu *Rybka zwana Wandą*, z lat osiemdziesiątych. Pamiętasz? Grała ją Jamie Lee Curtis.

Jedyny obraz, jaki pojawił się w jego głowie, to mężczyzna usiłujący wyłowić z akwarium czerwoną rybkę, żeby ją zjeść.

– Jak przez mgłę.

– Wanda bierze udział w kradzieży diamentów razem ze swoimi współnikami: to ona wszystko ukartowała. Oglądałeś ten film tak jak wszyscy i tak jak wszyscy pamiętałeś tylko imię bohaterki. Wanda. Wanda Gershwitz. Nikt nie zwrócił uwagi na fałszywą Wandę, ponieważ zrobiła wszystko, żeby pozostać niezauważona. Nie korzystała ze śniadań wliczonych w cenę noclegu, zamówiła pokój z bezpośrednim wyjściem na parking, dzięki czemu nie musiała widywać obsługi. Anonimowa postać. Prawdopodobnie przez dwa tygodnie obserwowała Julie. Może nawet zaczęła ją na ulicy, w sklepie czy na basenie. Kto by się obawiał kobiety? Wiedziała, że w tamtą sobotę po południu Julie pójdzie na rower. Poinformowała o tym współnika lub współników w szarym fordzie, którzy przyjechali nie wiadomo skąd i zajęli się porwaniem. Następnie Wanda opuściła miasto. Bezbłędny, czysty, celny strzał. Taki scenariusz podejrzewaliśmy. Niestety pomimo wysiłków utknęliśmy w ślepym zaułku. Było za późno. Upłynęło sporo czasu, nikt już niczego nie pamiętał. – Z westchnieniem spojrzała na swój kieliszek. – To śledztwo do niczego nie doprowadziło. Zakładam, że wiesz o sprawie Lecointre’a?

– Tak. Wczoraj spotkałem go na korytarzu, ale go nie rozpoznałem. Dziś rano chciałem z nim porozmawiać, ale w soboty nie pracuje.

– W ten trop też wierzyliśmy. Był niezły. Miejscowy chłopak, który w dziewięćdziesiątym siódmym w Chambéry pod wpływem impulsu o mało nie zgwałcił kobiety. Gość miał wtedy niespełna dwadzieścia lat, ale bestia pozostaje bestią. Takie jest przynajmniej moje zdanie. Ty też tak uważałeś.

– I dalej tak uważam.

– Ale to nie on, bo w chwili porwania był w pracy. Prześwietliliśmy jego życie, przetrząsnęliśmy dom, każdy centymetr kwadratowy ogrodu, piwnicy: bez skutku. Co się stało z Julie? Dlaczego ona? Kim była ta Wanda? Nikt tego nie wie. Nie wyobrażasz sobie, jak smutno mi było, kiedy w dwa tysiące piętnastym stowarzyszenie się rozwiązało. Jeff nie chciał już być sekretarzem, ty byłeś za daleko, nie było już energii, ochoty. Na koniec została nas tylko czwórka. Nie

mieliśmy już nadziei. Minęło siedem lat. Odeszłam ze służby z ciężarem tej porażki. Julie była moją chrześnicą. Dla żandarma nie ma nic gorszego niż nie być już w grze i musieć żyć z czymś takim do końca swoich dni.

Gabriel usiadł obok koleżanki i objął ją z tyłu. Zawsze żywił wobec niej ciepłe uczucia.

– Solenne, wiem, że dałaś z siebie wszystko. Nie masz sobie nic do zarzucenia.

Spuściła wzrok. Gabriel poczuł mrowienie w karku.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

Podeszła do okna, wzięła na ręce kota i pogłaskała go czule.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze: to było na kilka tygodni przed moim przejściem na emeryturę, pod koniec sierpnia tego roku. Zadzwoiłeś do mnie z prośbą, żebym pogrzebała w bazie śladów genetycznych i wysłała ci mailem profile genetyczne Julie i jeszcze jednej kobiety, Mathilde Lourmel.

– Profile genetyczne? Po co?

– Nie chciałeś nic zdradzić. Powiedziałeś, że nie chcesz mnie w to mieszać. W twoim głosie było coś dziwnego, jakiś strach, który czułam na odległość. Najwyraźniej znalazłeś jakiś trop, który zaprowadził cię do Brukseli. Mówiłeś, że jak to wszystko się skończy, to mi opowiesz.

– Ale co? Co miało się skończyć?

– Nie mam pojęcia. W pierwszej chwili ci odmówiłam. Wejścia do bazy śladów genetycznych są rejestrowane, nie chciałam problemów. Ale po kilku dniach ostatecznie do ciebie oddzwoniłam. Zrobiłam to dla Julie, dla ciebie.

– Ale dlaczego Mathilde Lourmel? Kto to jest?

– Przejrzałam internet: zaginiona dziewczyna, dwudziestolatka z Orleanu. To się stało w dwa tysiące jedenastym, trzy lata po Julie. Wygląda na to, że zniknęła z dnia na dzień i od tego czasu nie dała znaku życia.

– Tak jak Julie.

– Tak, tak jak Julie. Ale więcej nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, że w naszych aktach nigdy nie widziałam jej nazwiska i wolałam nie drążyć, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Gabriel nic z tego nie rozumiał. Po co mu był profil DNA jego córki i nieznanym kobiety? Do czego miały służyć te wykresy, które w takiej postaci niewiele mu mówiły, a przede wszystkim były nieczytelne? I co on sam robił w Brukseli? Z pewnością miało to związek z szarym fordem ukradzionym przez złodziei w Belgii. Tak czy owak, prośba, z którą zwrócił się do Solenne, nie była przypadkowa: niewątpliwie znalazł jakiś ważny trop.

– Mówiłaś o dwóch informacjach – przypomniał jej.

– Tak, tak. Od dawna korciło mnie, żeby ci o tym powiedzieć, ale wparowałbyś tu z buciarami, a to na pewno zrujnowałoby moją karierę. Paul by mnie zabił. Cóż, dziś mogę robić, co chcę, mam to gdzieś. Poza tym sprawa od czterech lat jest zamknięta. Być może jest zamknięta dla prokuratury, ale jesteś tutaj, przede mną, z pamięcią ostrygi, więc...

Gabriel bez tchu zerwał się z fotela. Solenne spojrzała na jego odbicie w oknie. Wskazała podbródkiem w stronę widocznego poniżej miasta.

– Widziałeś tę chmurę ptaków i rzeź wczoraj w nocy? Wysłałam pooglądać te trupki, to było szalone. Przypomniało mi się dziesięć plag egipskich: „wyszły żaby i pokryły ziemię egipską”, Księga Wyjścia, rozdział ósmy, werset drugi. Pomyślałam też o biblijnym opisie Sodomy i Gomory, na które spadł deszcz ognia, bo ich mieszkańcy zgrzeszyli. Być może Bóg chciał ukarać Sagas za tragedie, które się tu wydarzyły.

Kot mruczał. Gabrielowi zrobiło się przyjemnie ciepło. Alkohol, podkrecone do maksimum ogrzewanie i mistyczne dziwactwa Solenne. Od zawsze była wierząca i co niedziela modliła się w kościele.

– To pasterze różowe, szpaki, które przyleciały, zdaje się, z ukraińskich stepów. Przed ostatnią długą prostą do Hiszpanii zatrzymują się na nocleg na obrzeżach miast, żeby się nie narażać na ataki drapieżników. Nigdy w życiu nie widziałam takiego zjawiska. Wirują i wirują, czasem wyglądają jak tornado. Bundy siedzi tutaj i ogląda je całymi dniami. Wczoraj aż się ślinił. Brak skrzydeł musi go doprowadzać do szału.

Odstawiła kota i odwróciła się ze stanowczą miną.

– Przyjechałeś autem?

Potrząsnął kluczykami. Wypiła ostatni kieliszek i zdjęła z wieszaka krótki płaszczyk, który nosiła już przed dwunastu laty. Komiczna mieszanka w zestawieniu z peruwiańskim ponczem.

– Jedziemy – rzuciła.

– Dokąd?

– Do starej elektrowni nad jeziorem Miroir.

Auto szybko wjechało na przeciwległe zbocze. Między jodłami szumiały wodospady, droga wyglądała na tle skał jak cienka asfaltowa bruzda. Gabriel musiał zapalić reflektory. Wjeżdżali w warstwę chmur, ponad pięćset metrów nad miastem.

Tablice wskazujące wjazd na teren elektrowni zniknęły wiele lat wcześniej. Trzeba było dobrze znać teren, by w odpowiednim momencie skrócić z drogi na szczyt w niewidoczny przesmyk prowadzący przez las. Gabriel jechał ostrożnie, uważając na korzenie przebijające się przez asfalt na dawnej alejce dojazdowej. Zdaniem Solenne w dwa tysiące dziewiątym EDF zaczęła prace przy rozbiórce z zamiarem wybudowania nowocześniejszego zakładu. Elektrownia nad jeziorem Miroir pochodziła z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego i była jedną z pierwszych elektrowni szczytowo-pompowych we Francji. Rozbiórka została przerwana po sześciu miesiącach, w środku zimy, i nigdy jej nie wznowiono. Nikt nie wiedział dlaczego.

Za pagórkem pojawiło się jezioro Miroir. Swoją nazwę – „lustro” – zawdzięczało wierności, z jaką jego wody odbijają otaczające je granitowe ściany, wspaniały kompleks urwisk w odcieniach od głębokiej szarości po mleczną biel. Przy pięknej, słonecznej i bezwietrznej pogodzie stojący na brzegu człowiek miał wrażenie, że skacze w otwór bez dna wydrążony w górach.

Tego dnia jezioro było jednak tylko ciemną raną otoczoną oparami mgły. Gabriel ujechał jeszcze kilometr i zatrzymał samochód na parkingu, na tyłach budynku o wysokich, w dużym stopniu przeszklonych stalowych ścianach i tarasowym dachu w całkiem jeszcze dobrym stanie. Infrastruktura naziemna – słupy i przewody elektryczne – została rozebrana. Ze skalistego zbocza w dalszym ciągu wychodziły trzy gigantyczne rury doprowadzone z górnego zbiornika, które kawałek dalej wbijały się w betonowy mur. Osiemdziesiąt metrów wyżej majaczyła kamienna zapora. Gabriel pamiętał, że kiedy zakład działał, rozpędzone wody z górnego zbiornika – jeziora Noir, usytuowanego

powyżej kotła – uwalniane przez zastawki, wpadały do rur, umożliwiając jednocześnie działanie czterech turbin, i w ten sposób zaopatrywały w energię elektryczną część ludności Sagas.

– To się dzieje w środku – obwieściła Solenne.

Nie chciała mu nic powiedzieć, wołała, żeby miał niespodziankę. Podczas rozbiórki kierownictwo prac zamknęło metalowe drzwi głównego bloku na kłódki – te jednak od dawna były rozwalone, prawdopodobnie przez eksploratorów opuszczonych budynków.

Wejście wieńczył fronton, na którym widniał znak firmowy budowniczych elektrowni. Popękane ściany były wyłożone kolorowymi kaflami – część z nich została jednak zniszczona bądź rozkradzona. Kawalek dalej minęli komory turbin przypominających gigantyczne ślimaki połączone potężnymi prądnicami. W jakimś kącie kapała woda, a jej plaśnięcia niosły się echem jak w jaskini. Budynek w agonii jeszcze oddychał.

– Nic nie widać – stwierdziła Solenne. – Powinnam była zabrać jakąś lampkę.

– Zawsze miej przy sobie lampkę w okresie czarnej śmierci.

– Powiedział człowiek bez pamięci. W dodatku się rymuje.

Włączyła latarkę w telefonie. Gdy korytarz się skończył, ruszyli po krętych schodach z przerdzewiałej kratownicy. Gabriel wyobraził sobie, jak trudno było tu pracować zimą: pośród ogłuszającego szumu wyrzucanej pod ciśnieniem wody, w samotności i przenikliwym chłdzie. Gdy dotarli do górnej hali, nagle w twarz uderzył ich lodowaty strumień jakiejś substancji. Solenne krzyknęła, zasłaniając oczy dłońmi. Gabriel zgiął się wół, płonęło mu gardło. Gaz łązawiący.

Dudnienie kroków na metalowych stopniach: ktoś zbiegał po schodach. Gabriel, krztusząc się, uczeplił się poręczy. Pulsowało mu w głowie, miał wrażenie, że w rogówkę powbijają mu się opiłki żelaza, zdołał jednak dostrzec w dole czubek ciemnego kaptura. Odwrócił się do Solenne. Klęczała na podłodze, z ust ciekła jej ślina.

Zataczając się, z gardłem świszczącym przy każdym oddechu, zaczął schodzić. Gdy przełykał ślinę, czuł się, jakby to była garść gwoździ. Odgłos własnych kroków na schodach rozsadał mu bębenki. Nareszcie na zewnątrz, świeże powietrze. Otworzył szeroko oczy, przez co pieczenie jeszcze się wzmogło. Postać szybkim krokiem szła brzegiem jeziora, już spowijała ją mgła. Puścił się za nią biegiem, jego wściekłość była większa niż ból. Ale czuł, że pali go w piersi. Po stu metrach stanął i oparł dłonie na kolanach: prawie się dusił. Minutę później od strony lasu dobiegł go dźwięk silnika, który po chwili ucichł.

Gabriel przez jakiś czas dochodził do siebie. Splunął, by pozbyć się chemicznego smaku, i wrócił do elektrowni. Postawił barankowy kołnierz

i wsunął nos za zamek kurtki. Solenne siedziała w kącie z policzkami mokrymi od łez. Gabriel oszacował straty: miała oczy jak piłki do ping-ponga.

– Tylko nie dotykaj oczu, nie trzymaj. Widziałaś coś? Może twarz?

– Nic. A ty?

– Niewiele. Komin, kaptur, rękawiczki. Gość jest sprytny. Musiał zostawić samochód gdzieś przy drodze, którą przyjechaliśmy.

Wstał, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co się stało. Wszystko wydarzyło się tak szybko.

– Solenne, co my tutaj robimy?

Kobieta skrzywiła się i wycelowała palec w ogromną przestrzeń hali.

– Tam, na ścianie...

Noga za nogą, ostrożnie przesuwał się po kładce poprowadzonej nad generatorami, pod płataniną belek i metalową konstrukcją dachu. Przez wysokie okna widział czarne wody jeziora lodowcowego i drogę prowadzącą brzegiem. Napastnik miał mnóstwo czasu, by przygotować zasadzkę. Nagle jego oczom ukazał się wymalowany na ścianie między dwiema betonowymi kolumnami czerwony napis:

WIEM, GDZIE ONA JEST

Poniżej starannie wykonany rysunek wielkości około pół metra, w tym samym kolorze. Gabriel rozpoznał przedstawiony w powiększeniu wisiorek Julie: książkę w ozdobnej oprawie, o eleganckich krzywiznach. Odwrócił się do Solenne, która stała oparta o poręcz.

– Wyjaśnij mi to.

W dalszym ciągu z trudem łapała oddech.

– W połowie dwa tysiące siedemnastego twoja była żona dostała anonimowy list wysłany z Saint-Gervais. W kopercie była wyrwana kartka z książki. Na stronie zaznaczono słowa, które układały się w zdanie. To była strona sto dwunasta, do tej pory pamiętam. Kartka pochodziła z *Dziesięciu Murzynków* Agathy Christie. A zdanie brzmiało tak: „Klucze do intrygi znajdują się w zakładzie nad jeziorem Miroir”. Przyjechaliśmy więc tutaj i zobaczyliśmy to. Pozostałe napisy, które znajdują się dalej na tej ścianie, pojawiły się z czasem. W kwietniu dwa tysiące osiemnastego, w lutym dwa tysiące dziewiętnastego...

Gabriel, zszokowany, uszedł kilka kroków. Rozumiał teraz, dlaczego Paul tak bardzo się śpieszył, żeby się go pozbyć, dlaczego nie chciał jego spotkania z Corinne i nie udostępnił mu reszty akt. Między innymi betonowymi

kolumnami znajdowały się słowa zapisane jedno pod drugim. Przeczytał od góry do dołu:

– „Laval”, „noyon”, „abba”, „xanax”. Co to znaczy?

Solenne podeszła bliżej. Opuszką palca wskazującego dotknęła liter ostatniego słowa. Jej palec pokrył się czerwienią.

– Xanaxu nie było. Ktoś go dopisał.

Gabriel pociągnął nosem. Farba była świeża.

– To palindromy, słowa, które można czytać od przodu i od tyłu. Nie wiadomo, dlaczego autor przyszedł tu kilka razy, żeby je zapisać, to kompletnie bez sensu. „Laval” i „Noyon” to nazwy miast, „Abba” to zespół muzyczny. A „xanax” jest lekiem przeciwłękowym, jeśli dobrze kojarzę.

– Próbowaliście wymieszać te litery, odtworzyć zdanie?

– Nic z tego nie wychodzi. I nic dziwnego, skoro lista jest niekompletna.

– A odciski palców?

– Zero. Kontaktowaliśmy się nawet z policją w Laval i Noyon, pytaliśmy, ale bez skutku. Moim zdaniem te palindromy opisują jakąś postać. Gość, który lubi Abbę, ma jakieś związki z Noyon i Laval. Możliwe też, że choruje na depresję albo ma coś z głową. Czyli każde z tych słów zbliżałoby nas do niego o krok. Taka historia.

Gabriel ponownie odczytał listę.

– Uważasz, że miałyby to wskazywać na profil porywacza?

– A bo ja wiem?

Odsunął się na prawo i jeszcze raz spojrzął na zapisane zdanie. Zmroziło go.

– „Wiem, gdzie ona jest”. Napisał to jakieś trzy lata temu. I przyszedł tu dzisiaj, nazajutrz po znalezieniu zwłok na brzegu Arve, żeby nam zostawić kolejne wskazówki.

Gabriel zacisnął pięści. I o mało go nie złapali! Solenne oparła się o poręcz.

– Kurwa, trafił we mnie. Jak wyglądam?

– Jakbyś włożył głowę do mikrofalówki.

Delikatnie pomasowała powieki.

– Powinieneś wiedzieć coś jeszcze. Twoja eksmałżonka dostała jeszcze pięć innych anonimów. Wysłanych z różnych miast. Chamonix, Cluses, Annecy... Przypuszczalnie to ta sama osoba. Najwyraźniej ktoś stąd.

Gabriel poczuł, że jego serce bije coraz szybciej.

– Znowu kartki z książki?

– Tak, ze starych kryminałów. Conan Doyle, Agatha Christie, Maurice Leblanc... Tuzy gatunku, mistrzowie manipulacji i pozorów. I nie była to obojętnie która strona. Sprawdziliśmy: zawsze chodziło o stronę poprzedzającą ostateczne rozwiązanie.

Wykształcony świr, pomyślał Gabriel.

– Louise uwielbiała takie książki.

– Wiem.

– I wszędzie zaznaczał litery?

– Tak, niebieskim długopisem. Po zestawieniu litery zawsze układały się w zdania podobnego typu: „Wiem, kto jest sprawcą”, „Odpowiedź znajduje się wśród tych linijek”, „Ona cierpi przez waszą ignorancję”. Na kartce z *Wydrążonej iglicy* Leblanca podkreślił jeszcze zdania: „Czemuż ja się boję?... Coś mnie przygniata... Czy przygoda z Wydrążoną Iglicą jeszcze się nie skończyła? Czy los nie zgadza się na rozwiązanie, które wybrałem?”¹.

Znała te zdania na pamięć. Gabriel poczuł, że jego ciało pokrywa gęsia skórka. Nietrudno sobie wyobrazić, w jakim stanie była Corinne po przeczytaniu tych dziwnych listów. Przypomniawszy sobie, jak siedziała na posterunku, schylona, z oczami pełnymi strachu. Te listy sprawiały, że myślała tylko o Julie. Nie mogła zapomnieć.

– Oczywiście sprawdziliśmy klientelę księgarni w Sagas, ale to również do niczego nie doprowadziło. Wciąż usiłuję to zrozumieć. Prokuratura nie powiązała sprawy wydartych kartek i palindromów z porwaniem Julie.

– Niemożliwe.

– W momencie gdy to się zdarzyło, sprawa zaginięcia od ponad roku była zamknięta. Imię Julie nie pada w tych tekstach. Zawsze jest „ona”. Autor mógł spokojnie narysować wisiołek na podstawie ulotek, które wcześniej były rozdawane. Corinne mogła tylko złożyć skargę na nieznanego o nękanie. Wiesz, co to oznacza. Ta sprawa nigdy nie była priorytetowa, zepchnięto ją na dalszy plan wobec całej przestępczości, która drąży tę dolinę.

Gabriel nie mógł znaleźć słów. To było absurdalne.

– Wiem, Gabriel, wiem. Ale wymiar sprawiedliwości cechuje się inercją, nie działa na pstryknięcie palców. Trzeba by prawie złapać natręta, a on musiałby dostarczyć mocnych dowodów w sprawie porwania twojej córki, żeby sędzia Cassoret ewentualnie pozwolił wyjąć akta z szafy. Ale Paul mimo wszystko walczy, nie odpuścił. Znasz go. Kiedy tylko ma wolną chwilę, także po pracy, zajmuje się tą sprawą. Woli przesiadywać w biurze niż w domu. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że między nim a Corinne się nie układa.

Gabriel nic nie powiedział, ale rozumiał, że jego żona nie będzie w stanie się pozbierać, dopóki się nie dowie, co się przytrafiło Julie.

– Więc Paul doskonale wie, tak jak my wszyscy, że te sprawy są ze sobą powiązane, i szuka. Naprawdę szuka, wierz mi.

Oczami wyobraźni Gabriel zobaczył Paula w biurze i w domu. Te jego westchnienia, ten wygląd starego, sflaczałego ślimaka to były tylko pozory.

Wciąż miał w sobie instynkt myśliwego, silny jak za dawnych lat. Dobrze się kamuflował.

Solenne wskazała na ścianę.

– Facet jest graczem. Kiedy mówi o „kluczach do intrygi”, wskazuje, że traktuje całą sprawę jak cholerną zagadkę do rozwiązania, jak w kryminałach. Jakby rzucał nam wyzwanie, wołał: „Jesteście silniejsi ode mnie?”. Ale o ile palindromy jeszcze do niczego nas nie doprowadziły, o tyle rysunek wisioraka owszem, dostarczył nam kilku informacji.

– To znaczy?

Solenne miała tak napuchnięte powieki, że widziała tylko przez dwie poziome szparki.

– Po odkryciu rysunku chcieliśmy się dowiedzieć więcej o tym przedmiocie. Julie powiedziała Louise, że kupiła go w sklepie jubilerskim Złota Gwiazda w centrum Sagas. Louise nie pamiętała, kiedy to było, ale z albumów ze zdjęciami, które przechowuje twoja była żona, wynika, że po raz pierwszy pojawia się on na szyi waszej córki we wrześniu dwa tysiące siódmego. Poprzednie zdjęcie w albumie pochodzi z kwietnia tego roku i Julie jeszcze wtedy go nie nosi. Prawdopodobnie więc kupiła go w okresie między tymi dwiema datami.

– Latem dwa tysiące siódmego.

– Tak. W dwa tysiące osiemnastym zakład jubilerski już nie istniał, ale Paul zrobił wszystko, żeby przesłuchać ówczesną właścicielkę. Stwierdziła, że nigdy nie miała w swoim sklepie ani nie sprzedawała takiego wisioraka. Wygląda na to, że Julie skłamała.

Gabriel nigdy nie zwrócił uwagi na tę błyskotkę. Julie ciągle coś kupowała. Zacisnął dłonie na poręczy i popatrzył na gigantyczne turbiny w dole.

– Co może pchnąć młodą dziewczynę do kłamstwa na temat pochodzenia biżuterii?

– Kradzież? A może znalazła ten wisiorak i nikomu nie powiedziała? Może był wartościowy? A może to był prezent, ale wolała mówić, że go kupiła? Jakaś historia miłosna? Nie mam pojęcia. W każdym razie, po pierwsze, autor tego rysunku wskazał na punkt, którego żadne z nas nie dostrzegало, a po drugie, Julie miała tajemnice, którymi z nikim się nie dzieliła.

– I nawet te elementy nie wystarczyły, żeby powiązać skargę przeciwko nieznanemu ze sprawą zaginięcia mojej córki?

Solenne pokręciła głową i otarła mokre od łez policzki.

– Sędzia Cassoret to materialista, chce dowodów. Jego zdaniem po dziesięciu latach sprzedawczyni mogła czegoś nie pamiętać.

– Bzdura.

– Tak. Ale od czasu tego odkrycia wierzę, że te słowa są prawdziwe – powiedziała, wskazując na ścianę. – Łajdak, który spryskał nas gazem łzawiącym, naprawdę wie, gdzie jest twoja córka. Gdyby tak nie było, po co miałby być taki zawzięty? Czy jest w to zamieszany? Współwinny? A może jest tylko świadkiem? W każdym razie wie. Ten drań wie, jest tutejszy i sobie z nami pogrywa. Z Corinne i Paulem. Chce ich doprowadzić do obłądu.

Gabriel sięgnął po nową komórkę. Sfotografował obie połacie ściany.

– A Eddy Lecointre dziwnym trafem pracował w elektrowni – powiedział.

– Wyobraź sobie, że zauważyliśmy ten fakt. Ale czy sądzisz, że gdyby to on wysyłał te listy, to byłby na tyle głupi, żeby przychodzić tutaj, wiedząc, że ilekroć w Sagas ktoś coś nabroi, zawsze to on jest pierwszym podejrzanym?

– Nie znam go.

– Znałeś. Czepiłeś się go jak rzep psiego ogona. Gość ma IQ osła, to nie jest facet, który wymyślałby zagadki albo czytał kryminały. Możliwe natomiast, że ktoś, kto za tym stoi, chce nas skierować na trop Lecointre’a, żebyśmy się zamotali, ugrzęzli. To część jego gry. Kiedy pojawiły się te zagadki, wróciliśmy zresztą do Lecointre’a i dla formalności zadaliśmy mu kilka pytań. Ale to nie on.

– A przeszukanie?

– Kolejne przeszukanie u Lecointre’a? Żartujesz? Sędzia Cassoret na to nie pozwolił, jeszcze nas opieprzył. Po raz kolejny stanowczo nam przypomniał, że to dwie odrębne sprawy. I że co do Lecointre’a nie dysponujemy „poważnymi i spójnymi przesłankami winy”. Jest jednym z tych sędziów, którzy cechują się niezłomnym przywiązaniem do poszanowania wolności osobistych, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Brak poważnych i spójnych przesłanek winy – powtórzył Gabriel. Chwycił Solenne za rękę i pociągnął ją w stronę schodów. – Może to zbieg okoliczności, a może nie, ale dziś Lecointre nie pracuje w hotelu. Podaj mi jego adres.

– Nie, Gabriel. Nawet tutaj nie powinno nas być.

– I tak go zdobędę, ale stracę więcej czasu. Więc podaj mi go, wpadnę tam i rzućę okiem. Napastnik musiał się przestraszyć jak cholera. Od razu rozpoznam, czy Lecointre jest spanikowany.

– No nie wiem...

– Cokolwiek się stanie, nie spotkaliśmy się dzisiaj. Nie było nas tutaj. Odstawię cię do domu. Nie będziesz mieć problemów.

– Mam gdzieś problemy, martwię się o ciebie. Wiem, jaki jesteś, i...

– Gorzej już być nie może.

Uległa wobec jego determinacji i wyjawiała mu, że Lecointre mieszka cztery kilometry od kamieniołomów, przy drodze departamentalnej po stronie Ornyax. Kiedy usiadła na fotelu pasażera i zobaczyła, jak jej kolega rusza z piskiem

opon, z tą samą miną tropiciela co przed dwunastu laty, pożałowała, że powiedziała mu prawdę. Dziki zwierz wypuszczony na arenę. To się musiało źle skończyć.

Nareszcie. Po kilku dzwonekach ktoś podniósł słuchawkę i Gabriel usłyszał drżące „halo”.

– Mama? To ty?

Wraz z zapadnięciem zmroku mgła zgęstniała. Zdał się na wskazania nawigacji w swojej komórce – precyzja tych urządzeń była zadziwiająca! Zatrzymał się na poboczu, na wysokości kamieniołomu wydrążonego w litej skale. Samochodowe światła lizały sylwetki koparek, dźwigów i kamiennych bloków wyrwanych z wnętrza Ziemi i poukładanych w stosy. Gdy usłyszał głos matki, zrobiło mu się cieplej na duszy. Pytała, gdzie jest, czy wszystko u niego w porządku.

– Mamo... Nie martw się, to nic poważnego, ale mam mały problem z pamięcią. Zapomniałem sporo rzeczy, nie pamiętam, dlaczego wróciłem do Sagas. Bo dzwonię do ciebie z Sagas.

– Sagas? Problem z pamięcią?

Gabriel ograniczył się do powtórzenia słów neurologa na temat amnezji. Powiedział, że obudził się bez pamięci. To nic poważnego, może potrwać kilka dni, ale potrzebuje jej pomocy w odzyskiwaniu wspomnień. Na jednym oddechu zapytał o jej zdrowie. Tak sobie. Zdecydowała się na zamieszkanie w rezydencji dla seniorów, bo często się przewracała, w ubiegłym roku w wyniku upadku złamała biodro. Gabriel się zmartwił, ale nic nie powiedział.

– Nie odzywałeś się do mnie od wielu tygodni – wyjaśniła. – Nie odbierasz telefonu. Zaczekaj...

Usłyszał, że matka z kimś rozmawia. Może z pielęgniarką. Rozległo się trzaśnięcie drzwi.

– Ostatni raz widziałam cię, nie wiem, dwa, trzy miesiące temu? Przyjechałeś, żeby zamontować sejf na dnie mojej szafy. Przykręciłeś coś do podłogi i zalałeś cementem, żeby nie dało się go wyrwać. Następnego dnia przywiozłeś jakieś pakunki i włożyłeś je do środka.

– Wiesz, co w nich było?

– Nie powiedziałaś mi. Nie mogę otworzyć sejfów, bo nie mam klucza. To solidna skrzynka. Stark coś tam.

Gabriel wziął do ręki klucz, który miał na szyi.

– Co jeszcze wiesz? Czy spotykam się z jakąś kobietą?

– Z kobietą? Nie mam pojęcia, nic mi już nie opowiadasz o swoim życiu. Musiałeś się wplątać w jakąś niezbyt czystą sprawę, skoro ukryłeś u mnie te rzeczy. Twoja nowa fryzura okropnie mi się nie podobała, miałeś takie ładne włosy. Powiedziałeś mi tylko, że może wreszcie znajdziesz odpowiedzi. Że dowiesz się, co się stało z moją wnuczką.

Gabriel poczuł ciepło w żołądku. Czyli nie odpuścił. Zaciśnął dłoń na kluczu.

– Nigdy nie przestałeś szukać właścicieli tego słynnego szarego forda. Przez tyle lat... W tygodniu imasz się różnych prac, bo trzeba z czegoś żyć. W weekendy, odkąd się dowiedziałeś, że samochód skradziono z parkingu centrum handlowego w Belgii, jeździsz tam, krążysz po drogach, po okolicach Brukseli, po pobliskich miastach. Nocujesz w hotelach albo w samochodzie, rozmawiasz z ludźmi, zbierasz nagrania z monitoringu, pokazujesz zdjęcia. Nie masz już życia, Boże mój.

Gabriel wyobraził sobie siebie biegnącego między sklepami w parku handlowym Ixelles, przemierzającego jedną po drugiej wszystkie alejki w przekonaniu, że porywacz czai się za rogiem. Skierował wzrok na jedną z koparek, a następnie na znikającą w ciemności drogę.

– Czy imię i nazwisko Mathilde Lourmel coś ci mówi? Opowiadałem ci o niej? To dwudziestoletnia dziewczyna, która zaginęła w dwa tysiące jedenastym.

– Nic a nic.

– Dziękuję, mamo. Klucz do sejfów mam przy sobie. Niedługo przyjadę.

Porozmawiali jeszcze chwilę, po czym się rozłączył. Każdy element jego przeszłości był jak kafelek puzzli, który zamiast rozjaśniać mu w głowie, wprowadzał jeszcze większy zamęt. Co takiego schował w sejfie, skoro zdecydował się na tak radykalny środek? Dlaczego ukrył go u matki, a nie we własnym mieszkaniu?

Po przejechaniu dziesięciu kilometrów znalazł się w Ornyax. Linia domków w otoczeniu górskich łąk, ledwie widoczne światła w oknach. Skręcił w stronę górskiego zbocza, zdając się na kobiecy głos w telefonie, który prowadził go przez mżawkę. Od drogi po obu stronach odchodziły nitki umożliwiające dojazd do pojedynczych domostw. Gabriel skręcił w jedną z nich. Kiedy GPS powiedział mu, że znajduje się dwieście metrów od miejsca docelowego, zatrzymał samochód.

Gdy wysiadł, poczuł przenikliwy chłód. W gardle wciąż czuł pieczenie gazu łązającego. Palindromy go intrygowały. Dlaczego ktoś wspomniał o Noyon i Laval, a nie o Sagas – przecież tę nazwę również można czytać w obie strony? Skąd pomysł, żeby ujawniać te dziwne słowa stopniowo?

Zauważył podjazd prowadzący do zamkniętego garażu. Powyżej wznosił się dom z bali z drewnianymi schodami i balkonem. Antena zdawała się oskarżycielsko celować w jego stronę.

Światła były pogaszone. Gabriel okrążył budynek i podszedł bliżej od strony ogrodu. Pod ścianami piętrzyły się stosy drewna i sprzęt ogrodniczy. Rozejrzał się za puszkami z farbą, nie dotykając szyby, zajrzał przez balkonowe okno. Wewnątrz panowały absolutne ciemności. Na wszelki wypadek zastukał. Nikogo. Naciągnął rękaw swetra na dłoń, próbował rozsunąć panele. Zablokowane. Wrócił do tylnego okna: podstawowy model, wystarczyło trochę siły, by klamka odskoczyła.

Minutę później był w salonie.

I znowu te słowa: porwanie, uwięzienie, morderstwo. Wirowały w głowie Gabriela jak szpaki.

Czyżby po dwunastu latach poszukiwań wreszcie zbliżył się do prawdy? Czyżby istniał jakiś związek między Julie a inną porwaną dziewczyną, Mathilde Lourmel? Przemierzając po omacku salon Eddy'ego Lecointre'a, czuł napięcie w mięśniach, jakby jego ciało dostrzegało coś, czego nie domyślała się głowa. Wyglądało na to, że doszedł tutaj za sprawą serii wydarzeń, jakby podążał za rozsypanymi białymi kamyczkami.

Z powodu uszkodzonej klamki nie mógł zamknąć okna i do domu wpadało lodowate powietrze. Nagle pośród panującej ciszy rozległ się ostry dźwięk jego telefonu. Numer Paula. Odrzucił połączenie. Uznał, że były kolega może się z nim kontaktować tylko z jednego powodu: otrzymał wyniki badań DNA zwłok znalezionych na brzegu. Ze ściśniętym gardłem, czekając, aż wiadomość zostanie nagrana na pocztę głosową, przeszukiwał salon. Na aluminiowej suszarce wisiały slipy i skarpetki. Na stoliku butelka whisky i pusta szklanka. Obok drzwi wejściowych kaptcie. Prywatna przestrzeń samotnika, którego dni wypełniało zbieranie pościeli w anonimowych pokojach i czyszczenie kibli.

Podszedł do szafki pod telewizorem, otworzył ją. Poustawiane równo płyty DVD z widocznymi okładkami. Gabriel poświecił sobie ekranem telefonu, by odczytać tytuły. Horrorzy, filmy wojenne, kryminały. Wyciągnął kilka pudełek i odkrył drugi rząd. Porno. Stare klasyki, ale też długometrażowa egzotyka, jeśli sądzić po okładkach: lateks, uległe kobiety, dominacja.

Wstał i na próżno szukał biblioteczki lub w ogóle jakichś książek. Jak mówiła Solenne, nie był to gość, który czytałby kryminały. Ale Lecointre mógł ukrywać swoją grę, podobnie jak w przypadku filmów. Gabriel sprawdził wewnątrz szuflad i wszedł do holu, gdzie odkrył schody prowadzące do garażu. Nie odrywał oczu od wyświetlacza telefonu, na którym wreszcie pojawił się sygnał nagranej

wiadomości. Zatrzymał się u stóp schodów, wziął głęboki wdech i włączył odtwarzanie.

„Tu Paul. Kontaktowała się ze mną Solenne Peltier. Wiem, że byliście w elektrowni, wiem o napaści na was i nowym napisie. Powiedziała mi też, że zamierzasz wpaść do Lecointre’a, nie tylko z pozdrowieniami. Boi się o ciebie. Nie rób tego głupstwa i oddzwon do mnie”.

Gabriel był wściekły na Solenne. Rozejrzał się dookoła. Na ścianie zobaczył rower szosowy, wąż ogrodniczy, sekator. Na środku garażu stały kosiarka i wykaszarka. Widać było, że Lecointre nie wjeżdża tu samochodem i wykorzystuje to miejsce raczej jako magazyn. Gabriel uniósł plandekę okrywającą stos drewna, zauważył żelazne garnki różnych rozmiarów. Bejca, lakier, biała farba. Pędzle moczące się w benzynie lub w mętnej wodzie – ale nie czerwonej. Podszedł do stołu warsztatowego z licznymi narzędziami, znajdującego się po lewej. Błat pokryty był kurzem i trocinami, podobnie jak podłoga. Wyjątek stanowiła bezpośrednia okolica metalowej komody z dużą liczbą szuflad: wokół niej widać było liczne ślady kroków. Ktoś dreptał, dokładnie w tym miejscu.

Sięgnął po ogrodowe rękawice i włożył je, po czym przyjrzał się uchwytnemu szuflad: na tym przy czwartej z nich było mniej kurzu. Przyciągnął go do siebie i przysunął telefon, żeby lepiej widzieć. Jego oczom ukazała się twarz Julie.

Gabriel wyjął trzy ulotki wydrukowane przez jego stowarzyszenie wieki temu. Usiłował opanować nerwy. W tamtym okresie rozdawano je prawdopodobnie w całym mieście, wykładano w sklepach. Lecointre musiał wziąć kilka i włożyć je tutaj. Ale to nie wyjaśniało świeżych śladów na podłodze. Dlaczego gość otworzył tę szufladę dwanaście lat po zaginięciu jego córki?

Nagle usłyszał warkot samochodu. W wąskiej szparze między drzwiami garażowymi a podłogą zatańczyły promienie białego światła. Zgrzyt zaciąganego hamulca ręcznego, cisza po wyłączeniu silnika. Lecointre wejdzie przez główne drzwi na końcu schodów. Gabriel nie zdąży uciec przez salon, tak jak tu wszedł. Czy ma dyskretnie wyjść przez garaż? A może wyskoczyć na gospodarza i zapytać go o ulotki?

Niespodziewanie pięć metrów od niego rozległ się chrzęst zamka i Gabrielowi zaparło dech w piersi: Lecointre zamierzał wejść przez piwnicę. Były żandarm skoczył w głąb pomieszczenia, ukrył się za stosem drewna i pośpiesznie naciągnął plandekę. Przez szparę pod dużą plastikową płachtą mógł obserwować sytuację.

Na podłodze naprzeciw niego rozpostarł się wielki cień. Rozbłysło światło warsztatowej lampki. Lecointre wyglądał tak samo jak w hotelu: miał zgarbione

plecy i głowę wciśniętą między szerokie barki. W kurtce wydawał się jeszcze potężniejszy, przypominał Gabrielowi ogra. Mężczyzna zamknął za sobą harmonijkowe drzwi i – wyraźnie zaniepokojony – zatrzymał się obok szafy. Gabriel wstrzymał oddech. Czyżby gospodarz zauważył jego ślady na zakurzonej podłodze?

Wyglądało na to, że Lecointre nie zwrócił na niego uwagi. Stanął do niego plecami, przodem do warsztatu. Otworzył jedną z szuflad stalowej komody i przez kilka długich sekund stał przed nią bez ruchu. Gabriel niewiele widział, ale był przekonany, że olbrzym wziął do ręki ulotkę. Rozległ się zgrzyt metalu i Lecointre zamknął szufladę, a następnie znowu ją otworzył. Chodził w międzyczasie wte i wewte jak zamroczony. Szalenie. Co go tak poruszyło? O czym myślał? Po pięciu minutach tego obłędu w końcu zgasił światło i ruszył po schodach, przechodząc zaledwie metr od plandeki. Wreszcie na piętrze rozległa się jakaś muzyka.

Gabriel opuścił kryjówkę. Właściciel domu dziwnie się zachowywał: czyżby odkrycie zwłok na brzegu wywołało w nim takie wzburzenie? Gabriel znowu podszedł do komody, a wtedy zrozumiał nerwowość Lecointre'a. Delikatnie przyciągnął do siebie szufladę. Światło jego telefonu odbiło się od jakiegoś przedmiotu. Wziął go do ręki i o mało nie zemdlął.

Łańcuszek z zawieszka w kształcie niewielkiej książki. Wisiorek Julie.

Energicznie zacisnął dłoń na przedmiocie. Łańcuszek był przerwany. Do jego głowy zaczęły napływać drastyczne obrazy. Zobaczył, jak Lecointre leży na jego córce na brzegu Arve i zdejmuje jej majtki. Wyobraził sobie, jak mężczyzna ją gwałci, dusi, napierając na tchawicę, zabija dwoma strzałami, a następnie zrywa jej naszyjnik i porzuca zwłoki w lodowatą noc, pośród nawałnicy szpaków. Zachował sobie wisiołek jako trofeum. Ilekroć ten potwór zamykał się tutaj, w piwnicy, przeżywał swoje wyczyny na nowo.

Gabriel czuł, jak od klatki piersiowej po policzki płonie w nim ogień: Lecointre to morderca jego córki. Odłożył przedmiot, spojrział na warsztat, sięgnął po młotek. Odetchnął głęboko, zrobił dwa kroki w kierunku stopni, popatrzył na czarną klatkę schodową prowadzącą na piętro. I ruszył przed siebie, świadom, że to wtargnięcie może się skończyć w potokach krwi: w takich sytuacjach tracił nad sobą kontrolę.

W uszy uderzyły go zbyt mocno podkreślone dźwięki gitary, od których drżały ściany. Im był wyżej, tym światło stawało się żywsze. Palcem wskazującym pchnął drzwi do przedsionka i ruszył korytarzem, trzymając młotek przed sobą. Gdy doszedł do progu salonu, nagle jakieś tsunami rzuciło go na ścianę. Uderzenie było tak potężne, że Gabriel wypuścił młotek. Ledwie zdążył zrozumieć, co się dzieje, a otrzymał cios pięścią prosto w twarz. Drugie uderzenie trafiło w górną część czoła i ześlizgnęło się po czaszce. Z pochyloną głową, na wpół ogłuszony, rzucił się przed siebie z krzykiem, uderzył napastnika w przętyk i powalił go na plecy. On również się przewrócił, zwałił na pierś olbrzyma, przy okazji uderzając Lecointre'a w podbródek. Mężczyzna krzyknął.

Gabriel tłukł bez zastanowienia, walił pięściami bez żadnego porządku. A mimo to jego ciosy prawie za każdym razem osiągały celu. Sam również obrywał, ale nie zważał na ból.

– Zabiłeś moją córkę! Zabiłeś moją córkę! Dlaczego? Dlaczego?!!!

Lecointre poddawał się jego ciosom. Odsłonił pokryte czerwoną warstwą zęby.

– Ty... nic nie zrozumiałeś.

Gabriel zobaczył, że metr od niego po lewej leży młotek. Zdołał go chwycić. Tymczasem Lecointre podniósł się na kolana i wymierzył mu potężny cios łokciem w kark. Później były już tylko rejwach i wrzaski. Gabriel zauważył niebieskie kurtki i surową twarz Paula, po czym został przygwożdżony do podłogi. Zobaczył metaliczny blask sig sauera nad swoją głową. Skuto go w kajdanki, delikatnie podniesiono i postawiono pod ścianą. Paul z całych sił napierał dłońmi na jego ramiona.

– Kurwa! W co ty pogrywasz?

Kawałek dalej Louise i dwaj inni żandarmi zajmowali się Lecointre'em. Podtrzymując go, podprowadzili go do sofy. Bez kajdanek. Do uszu Gabriela docierały jakieś słowa. Włamanie. Włamywacz. Bójka. Wzięli Lecointre'a za ofiarę. Otarłszy o kołnierz kurtki strużkę krwi, która płynęła mu z ust, wyartykułował z wysiłkiem między dwoma oddechami:

– Trzeba go... zatrzymać. To on... ją zabił... Zabił... Julie.

Paul odwrócił się do kolegów, którzy skinęli na znak, że sytuacja jest pod kontrolą. Louise oglądała okno balkonowe wskazane przez Lecointre'a. Dłonią w rękawiczce sprawdziła stan zamka. Kapitan popatrzył na Gabriela.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? Mówiłem ci, żebyś spadał. Kurwa, nie pozostawiasz mi wyboru. Jesteś zatrzymany za włamanie.

– Znalazłem w garażu... wisiołek... Wisiołek Julie.

Paul zmarszczył brwi. Gabriel znał to spojrzenie, w przeszłości wiele razy je widział. Zerknął na Lecointre'a. Mężczyzna obserwował ich bez słowa, przykładając do ust papierową chusteczkę.

– Pilnujcie ich. Sprawdzę coś na dole.

Lecointre zerwał się na równe nogi.

– Ich? To ja tu jestem ofiarą. To do mnie...

– Radzę panu się zamknąć – odparował Paul. – Niech nam pan nie przeszkadza w wykonywaniu naszej pracy, okej?

Dyskretnie podniósł młotek i wsunął go do kieszeni swojego płaszcza. Ruszył w stronę schodów. Łokciem wcisnął włącznik światła. Odruchowo uniósł niebieską plandekę. Do głowy napłynęły mu obrazy. Dwanaście lat wcześniej, rewizja. Przeszukiwali to miejsce razem z Gabrielem. Przypomniawszy sobie, jak ze ściśniętym żołądkiem ostukiwali ściany i oglądali podłogę w poszukiwaniu jakiejś klapy, kryjówki. Niczego jednak nie znaleźli.

Gdy zbliżał się do stołu warsztatowego, jego puls przyśpieszył. Zrozumiał, że Gabriel się nie mylił. Na warstwie kurzu połyskiwał jakiś przedmiot. Położył

młotek w kącie i dłonią w rękawiczce delikatnie chwycił wisiołek.
– Niemożliwe.

Znalazłszy się na posterunku, Gabriel musiał złożyć odciski palców i oddać przedmioty osobiste, w tym sznurek z kluczem. Patyczkiem pobrano mu wymaz z jamy ustnej do badania DNA, a lekarz osłuchiwał go pod czujnym okiem Paula. Medyk nie stwierdził żadnego złamania ani poważnego uszkodzenia ciała. Mercedes został odstawiony na parking posterunku. Adwokat z urzędu miał przyjechać dopiero nazajutrz rano na przesłuchanie.

Od ponad trzech godzin Gabriel oddawał się rozmyślaniom w jednej z dwóch cel zatrzymań. Jak dawniej – deska pełniąca funkcję ławki i łóżka, metalowe drzwi, a w nich okienko z pleksiglasu, jedyny łącznik z zewnętrznym światem. I nikogo, kto by przyszedł udzielić mu informacji. Iluż to przestępców, piratów drogowych, zawianych typów on sam zamykał w tej norze? Dziś znalazł się po niewłaściwej stronie drzwi.

Pomasował obrzmiały lewy policzek, wciąż wstrząśnięty swoim odkryciem. Eddy Lecointre będzie musiał wyjaśnić, skąd wziął się wisiołek w jego garażu. Pomimo tego, co się wydarzyło, ufał Paulowi i nie potrafił mieć do niego pretensji o to, że go zamknął: z pewnością dzięki temu Gabriel uniknął najgorszego. Paul jako doskonały detektyw, sprawny i drobiazgowy, z pewnością będzie umiał złamać olbrzyma. Wydobędzie prawdę na światło dzienne.

Jego ekspartner przyszedł otworzyć drzwi tuż przed dwudziestą drugą. Na twarzy kapitana widać było napięcie, włosy miał w nieładzie. Jego podkrążone oczy lśniły jak dwa onyksy po obu stronach ostrego nosa. Gabriel nie był już zszokowany tak jak wtedy, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Przyzwyczał się do twarzy kolegi, który choć się postarzał, w głębi duszy wciąż był tym samym twardym wojownikiem co kiedyś.

– Czy masz ochotę na tête-à-tête? Tylko ty i ja, bez adwokata na karku, jak dwóch starych kolegów, którzy kiedyś się szanowali?

Gabriel bez słowa ruszył za nim. W milczeniu weszli na parter. Pokoje opustoszały. Gabriel zauważył, że jedna ze świetlówek pod sufitem się nie pali.

W innych okolicznościach by się uśmiechnął: pamiętał, że była uszkodzona od zawsze; jedna z tych drobnych usterek, których się nie naprawia. Kawałek dalej, w małej kuchni, Louise ze spuszczoną głową czekała na wrzątek. Gabriel odczuwał głęboki ból, ilekroć ją spotykał: zawsze się spodziewał, że gdzieś obok niej pojawi się Julie.

– Gdzie jest Lecointre? – zaczął, gdy znaleźli się w biurze Paula.

Tamten poprosił go, by usiadł. Po lewej stronie komputera Gabriel zauważył opasłe, zakurzone teczki. Najwyraźniej akta sprawy zaginięcia Julie zostały wyjęte z szafy. Tym razem kapitan nie pofatygował się, by odzepić zdjęcia z białej tablicy. Wisiały tam idealnie równo, tworząc coś na kształt nieskazitelnej szachownicy. Zbliżenie pokiereszowanej twarzy, krwiaki na udach, tatuaże. Szersze plany, ukazujące całe ciało na rzecznych kamieniach, martwego ptaka na prawej nodze. Gabriel był przekonany, że Paul chciał mu je pokazać.

– Na wolności.

Kapitan zajął miejsce naprzeciw niego. Stanowczym gestem wyciągnął przed siebie rękę, zanim Gabriel zdążył otworzyć usta.

– Taki jest deal. Nie wniesie na ciebie skargi o pobicie.

– Deal? Wchodzisz w układy z tym draniem?

– Pozostaje sprawa włamania, na którą nie możemy przymknąć oczu, ale pogadam z prokuratorem. Utrata pamięci, to, że nie do końca byłeś sobą. Wyjdiesz z tego ze zwykłym pouczeniem. Oczywiście nie wspomnę o młotku, którym z pewnością zamierzałeś mu pogruchotać kolano. Które tym razem? Lewe czy prawe?

Gabriel czuł się jak w koszmarnym śnie. Paul wycelował palec wskazujący w kierunku tablicy.

– Wczesnym wieczorem przysły wyniki badań DNA zwłok znalezionych na brzegu. To nie Julie. Na tym etapie śledztwa nie znamy jeszcze jej tożsamości.

Gabriel przycisnął do ust rękę zwiniętą w pięść. Czyli jest jeszcze nadzieja. Niewielka, ale jest.

– Niczego to nie rozwiązuje, ale wiedz, że Corinne też ulżyło. Nareszcie odrobina tlenu w tym morzu cierpienia, bo tak naprawdę nic nie jest już w stanie jej ukoić. W każdym razie chciała, żebym cię o tym szybko poinformował. Co niniejszym czynię.

– Dziękuję.

– Taaak, odkąd wróciłeś, nic tylko dziękujesz, nie masz takiego wrażenia? – Wierzchem dłoni strzepnął trochę kurzu z jednej z teczek. – A teraz próbki DNA zabezpieczonego na zwłokach. To jest bardziej skomplikowane. Spermę pobrana z pochwy należy do osobnika, który nie figuruje w bazach. Innymi słowy, gdybyś miał co do tego jakieś wątpliwości, Eddy Lecointre nie ma nic

wspólnego z tą ohydłą zbrodnią. Nie zgwałcił tej kobiety. Swoją drogą, kiedy się na niego rzuciłeś, wracał z kina, jeszcze miał przy sobie bilet. Sprawdzimy to, ale jeśli rzeczywiście był w kinie, to nie mógł być w elektrowni. Tak czy owak, skorzystaliśmy z twojego włamania i trochę się u niego rozejrzeliśmy, skoro była okazja. Oczywiście niczego nie znaleźliśmy, tylko parę płyt DVD z pornografią. Nic groźnego. – Paul odwrócił się półprofilem do tablicy. – Pobraliśmy też ślady DNA spod paznokci i z dłoni ofiary. Broniła się, jak umiała, podrapała napastnika głęboko: znaleźliśmy naskórek i krew. To samo DNA znajduje się w okolicach siniaka między udami. Sęk w tym, że to DNA, którego również nie mamy w bazach, jest inne niż DNA ze spermy.

Gabriel przechylił głowę, nie całkiem pewien, czy zrozumiał.

– To znaczy, że napastników było dwóch?

Paul pokręcił głową.

– W przypadku gwałtu powinniśmy pobrać materiał genetyczny sprawcy z siniaka. To on używa siły, żeby odbyć stosunek z ofiarą. Tak by przynajmniej wskazywała logika. Osoba trzecia mogła ją ewentualnie trzymać za kostki, ale nie zostawiłaby śladów w takim miejscu, tak blisko genitaliów. Poza tym inne powody, których tutaj nie przedstawię, każą mi odrzucić hipotezę podwójnego gwałtu.

– Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem.

– Rodzi mi się w głowie pewna teoria na ten temat, ale na razie zachowam ją dla siebie. W każdym razie badania trwają, zobaczymy. Jeśli chodzi o strzały z broni palnej, które spowodowały zgon, laboratorium w Écully twierdzi, że chodzi o pociski kalibru siedem przecinek sześćdziesiąt pięć milimetra, mniej popularne niż kaliber dziewięć milimetrów, ale eksperci od balistyki nie wyciągnęli z tego żadnych ważnych wniosków. – Odczepił fotografię pokiereszowanej twarzy i przyjrzał się jej. – Na razie w sprawie tożsamości ofiary tkwimy w martwym punkcie. Mimo artykułów Chamarlaine'a w lokalnej gazecie i radiu nikt nie zgłosił żadnego zaginięcia. Ta kobieta prawdopodobnie nie jest stąd.

– A wisiołek? – zapytał Gabriel, kierując rozmowę na tor, który uważał za najistotniejszy. – Skąd Lecointre mógł wziąć wisiołek, który moja córka miała na szyi w dniu porwania?

Paul położył zdjęcie przed Gabrielem.

– Ach, wisiołek. Właśnie miałem o tym mówić. Oddałem go do laboratorium jako przedmiot powiązany z twoim włamaniem. Zapisałem, że był w twojej kieszeni: to jedyny sposób, żeby uzyskać solidne badanie DNA. To tylko taki wewnętrzny przekręciak, nikt nie będzie w tym grzebał. Jeśli Julie go nosiła, to być może nawet po latach znajdziemy na nim jej materiał genetyczny, pod

warunkiem że nie został wyczyszczony. W każdym razie, z czysto obiektywnego punktu widzenia, obecnie nic nie wskazuje na to, żeby to była biżuteria twojej córki.

– I ty ośmielasz się coś takiego mówić?

Paul pomasaował sobie skronie.

– Żyjemy w epoce dowodów. Zeznania, przypuszczenia, te głupie zgadywanki, które uprawialiśmy kiedyś, to już historia. Twój dzisiejszy wyskok wystarczy, żeby spieszyć wszystkie procesy sądowe, które moglibyśmy wytoczyć Lecointre'owi. Mógłby na przykład powiedzieć, że to ty przyniosłeś ten wisiołek i włożyłeś do jego szuflady, żeby go wkopać. Takie buty, rozumiesz? Ale nie posunął się tak daleko, to prostak. Chcesz, żebym ci powiedział, jaka jest jego wersja w sprawie pochodzenia tego wisiora?

Paul wyciągnął szyję. Przy biurku w sąsiednim pokoju właśnie usiadła Louise.

– Nie rozumiem, dlaczego ona nie pójdzie się położyć jak inni. Popatrz na nią, siedzi z tą swoją herbatką z werbeny czy z czego tam... Ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Trzy miesiące temu powiedziała mi, że się z kimś spotyka. Pomyślałem: nareszcie, byłem zadowolony. A wiesz, kim jest ten gość? Syn Esquimeta, właściciel zakładu pogrzebowego, facet, który zawsze kręci się w pobliżu, kiedy ktoś popełni samobójstwo albo umrze jakiś staruszek. Nieoficjalny asystent patologa. – Paul zasunął rolety. – Kurwa, ona ma jakiś pociąg do niezdrowych rzeczy, nie może być inaczej. Sądziłem, że z wiekiem staniemy się sobie trochę bliżsi. Nie wiem... Jakby ciągle miała do mnie pretensje o śmierć matki, jakbym nie zrobił wszystkiego. To było pieprzone stwardnienie rozsiane, co ja mogłem?

Gabriel nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Paul wzruszył ramionami.

– Dobra, do rzeczy. Lecointre powiedział, że wczoraj rano minął cię na korytarzu w hotelu Falaise, ale go nie rozpoznałeś. To prawda?

Gabriel skinął głową. Zmarszczył brwi.

– On za to doskonale cię rozpoznał, pomimo... – Wskazał na jego fryzurę. – Według niego byłeś skołowany. Myślałeś, że nocowałeś w pokoju dwadzieścia dziewięć, ale w rzeczywistości spędziłeś noc pod numerem siódmym, zameldowany jako wspomniany Walter Guffin.

– Do czego zmierzasz?

Nienawidził tego wzroku: Paul patrzył na niego z miną pokerzysty, który zagrywa ostatnią kartą i zgarnia całą stawkę.

– Mówi, że znalazł ten wisiołek, kiedy sprzątał pokój numer siedem: twój pokój.

Gabriel miał wrażenie, że znowu spada na niego grad ciosów, tym razem w postaci słów. Usiłował nie zemdleć.

– Wisiorek był w moim pokoju?

– Tak jest. Leżał pod łóżkiem, łańcuszek był przerwany. Jakby został zerwany z czyjejsz szyi. O tak. – Wykonał stosowny gest.

– I uwierzyłeś Lecointre’owi?

Żandarm puścił pytanie mimo uszu.

– Wiesz, że... Nie, wróć. Jakiś ciemny zakątek w twojej głowie wie, że Lecointre nie jest aniołkiem. Gość twierdzi, że zabrał ze sobą ten wisiorek, ponieważ go rozpoznał i chciał sprawdzić, czy rzeczywiście chodzi o przedmiot, cytuję, „dziewczyny, której nigdy nie odnaleziono”. Pamiętał, że trzyma w szufladzie stare ulotki, tak jak ludzie przechowują niepotrzebne wycinki z gazet. Wszyscy mamy w piwnicach, drewnianych skrzynkach, na półkach takie śmieci, które mogą posłużyć za podpałkę. No więc porównał naszyjnik z tym ze zdjęcia i stwierdził całkowite podobieństwo. Powiedział, że zanim się na niego rzuciłeś, zastanawiał się, czy nam go przywieźć.

Gabriel przypomniał sobie dziwne postępowanie faceta w piwnicy. Jego spacery tam i z powrotem obok metalowej komody. Czy zachowywał się tak, bo miał wątpliwości?

– No i? Co sądzisz o jego wersji? – zapytał żandarm, który teraz stał.

– Żałosna.

– A ja uważam, że zważywszy na okoliczności, nawet trzyma się kupy.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, miałbym rzekomo być w posiadaniu wisiora, który miała na szyi moja córka dwanaście lat temu, kiedy ci dranie zabrali ją do samochodu?

– Ty albo kobieta, z którą tamtego wieczoru wynająłeś pokój.

Po celnym prawym sierpowym nastąpił hak. Paul nie próżnował, oczywiście węszył wszędzie i wypytywał. Podniósł głowę, by skonfrontować się z byłym

kolegą, który wisiał nad nim, opierając dłonie o blat.

– Dlaczego mi o niej nie powiedziałeś? – zapytał Paul, poirytowany.

– Bo równie dobrze mogła to być Matka Teresa, a ja bym się nie zorientował. Kiedy się obudziłem, nic nie wskazywało na to, żeby w pokoju był ktoś jeszcze. Ale może to ona ukradła mi portfel i papiery, a potem zabrała swoje rzeczy, wsiadła do auta i związała?

– Dokąd? Na północ? Przyjechaliście do Sagas osobnymi samochodami, żeby kilka godzin później mogła wyjechać?

Gabriel wzruszył ramionami. Miał wrażenie, że wokół szyi zaciska mu się lasso. Paul miał rację, to było bez sensu. Żandarm odczepił zdjęcie znalezionych na brzegu zwłok wykonane w szerszym planie i rzucił je na biurko.

– Na pewno ty też o tym pomyślałeś.

Gabriel wziął do ręki prostokąt lśniącego papieru i przyjrzał mu się z nadzieją na jakiś przebłysk, choćby drobny promyk światła w mgławicy swojego mózgu. Odsunął zdjęcie.

– Masz moje DNA. To ważniejsze niż wszystkie odpowiedzi, jakich mógłbym ci udzielić. Wygląda na to, że mój wypad do Lecointre'a i zatrzymanie ci pasują. I jeszcze ten adwokat, który ma przyjechać dopiero jutro. Świetnie zagrane!

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, następnie Paul odwiesił zdjęcie na miejsce. Przypiął je tak, by bokami dokładnie stykało się z innymi.

– Mylisz się, nie wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia zaginięcie twojej córki wciąż mnie zżera. To zdarzenie zmieniło nasze życie. Definitywnie.

Wcisnął włącznik starego ekspresu do kawy – jednego z tych przedmiotów, które towarzyszą człowiekowi przez całą karierę – i stał bez ruchu przed napełniającym się powoli szklanym dzbankiem.

– Każda pieprzona kartka wyrwana z kryminału, którą dostajemy, niszczy Corinne i mnie jeszcze bardziej. Nie rozumiemy, czego ten człowiek chce. Co ma z tym wszystkim wspólnego Agatha Christie? Dlaczego ten drań to robi? Każdy boży dzień coraz bardziej pograża twoją byłą żonę w bólu i wyrzutach sumienia. Ona z tego nie wyjdzie, dopóki nie pozna prawdy, kumasz? –

Odwrócił się do byłego kolegi. – Ponury głosik w mojej głowie szeptał mi z nadzieją, że ciało znalezione nad Arve to twoja córka. To by było trudne, ale przynajmniej poznalibyśmy odpowiedź. – Westchnął. – Gabriel, ty wpadłeś na jakiś trop. Dowodzi tego obecność wisiorka. No i jest jeszcze to... – Wyjął z kieszeni zapieczętowaną torebkę na dowody, w której znajdowało się czarne pudełeczko z magnezem. – Po tym, jak cię tu sprowadziliśmy, poprosiłem dwóch moich ludzi, żeby rzucili okiem na twój samochód. Znaleźli to urządzenie, przyłączone pod fotelem pasażera. Lokalizator GPS.

– Ktoś mnie śledzi?

– Na to wygląda. To standardowy gadżet. Nie odkryliśmy na nim żadnych odcisków palców, jego właściciel był bardzo ostrożny. Nie wiem, w co sięopakowałeś, ale najwyraźniej udało ci się ruszyć sprawę, w której dwanaście lat temu zderzyliśmy się ze ścianą. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Zjawiasz się w elektrowni i prawie nakrywasz palindromistę. Wpadasz do Lecointre'a i znajdujesz wisiołek. – Paul napełnił dwa kubki kawą, która właśnie spłynęła do dzbanka. – Gabriel, nie jesteś mordercą. Możesz komuś zrobić krzywdę, ale nie zgwałcić kobietę i wepchnąć jej gałąź do pochwy, a potem zabić dwoma strzałami w klatkę piersiową. Poza tym ofiara się broniła. Przyglądałem ci się, kiedy badał cię lekarz, nie masz śladów zadrapań na ciele ani na twarzy. Kiedy szpaki zaczęły spadać z nieba, byłeś w pokoju, tak?

– Tak, myślę, że przysnąłem. Obudziłem się, kiedy usłyszałem hałas. Byłem sam. Wyszedłem i zobaczyłem te ptaki. Na zewnątrz były też inne osoby, goście hotelowi, którzy być może to potwierdzą. Jeden facet mówił coś o apokalipsie. A potem nie wiem. Musiałem znowu zasnąć.

Paul skinął głową na potwierdzenie jego słów.

– Twój sąsiad z pokoju obok to potwierdził. Wyszedł na zewnątrz w tym samym momencie co ty, dziesięć po drugiej.

Gabriel poczuł głęboką ulgę. Zobaczył, jak Paul wrzuca dwie kostki cukru do jednego z kubków. Dawniej pił niesłodzoną.

– Ale nawet jeśli mówisz prawdę, wiem, że masz coś wspólnego z tym pierdzielnikiem. Noc przynosi radę, jak mówią, więc będę się zastanawiał. I jeśli ta pieprzona noc rzeczywiście przyniesie mi odpowiedzi, właściwe odpowiedzi, z radością cię uwolnię.

Oparł palec wskazujący na blacie.

– Niech ten wilk, którym zawsze byłeś, wydobędzie z twojej chorej czaszki wszystkie informacje. Miałeś przy sobie ten wisiołek, do cholery! Co to znaczy? Znalazłeś córkę albo jej porywaczy? Chcę, żebyś kontynuował poszukiwanie sprawców i przekazywał mi wszystko, na co trafisz, żebym mógł ponownie otworzyć to śledztwo, a potem raz na zawsze je zakończyć. Z całego serca: niczego innego nie pragnę.

Po raz pierwszy Gabriel poczuł, że jego położenie nie jest całkiem beznadziejne. Paul wskazał na jego kubek.

– Jak zwykle czarna?

– Jak zawsze taka ohydna?

Kapitan uśmiechnął się blado.

– Bez dwóch zdań najohydniejsza w całym regionie. Co nie przeszkodziło nam pić ją litrami. A mimo to żyjemy.

Gabriela ogarnęła nagła tęsknota za tamtymi czasami. Upił łyk kawy: ciepło rozchodzące się po przełyku dobrze mu zrobiło.

– Technicy właśnie badają wacik z twoim DNA. Poprosiłem ich, żeby w nocy popracowali nad pobranymi próbkami i wisiorkiem. Nie protestowali. Trzeba przyznać, że w Sagas nie co dzień dzieją się takie rzeczy. Tymczasem cię tu zostawię. Spożywczy na rogu jest otwarty do północy, przyniosę ci kanapkę. Tuńczyk z majonezem, jeśli moja pamięć nie szwankuje.

– Nie szwankuje. W każdym razie nie tak jak moja.

– O tej porze majonez nie będzie zbyt świeży, ale pewnie ujdzie. Wrócisz na dół i tam sobie odpocznesz. Wiem, nie ma wygod, ale znasz ten lokal: daliśmy ci apartament deluxe.

Intensywnie rozmyślając przed komputerem, Paul usiłował poukładać na swoje miejsca elementy układanki z Gabrielem Moscato w roli głównej. Była już prawie trzecia, a on od czasu znalezienia zwłok niewiele spał. Od lat zresztą nie sypiał dobrze.

W świetle lampki, w okularach do czytania na nosie, po raz kolejny przebiegał wzrokiem kartkę ze skrupulatnie sporządzonymi notatkami. W ciszy słychać było trzaskanie rur i szum wody w kaloryferach. Paul lubił ciszę i ograniczoną przestrzeń biura. Były jak kokon, który chronił go przed światem zewnętrznym.

Skupił się. Gabriel przyjechał do hotelu Falaise przed dwoma dniami. Według właściciela, co potwierdziły nagrania z monitoringu, wylegitymował się jako Walter Guffin. Następnie wyszedł na parking, by wrócić w towarzystwie tajemniczej nieznajomej. Romuald Tanchon nie potrafił jej opisać. Prawdopodobnie blondynka, około trzydziestki – podobnie jak ofiara znad rzeki – ale wycofana, dyskretna, nie odezwała się ani słowem. Nie wyglądała na zachwyconą, że tam jest. No cóż, to Sagas.

Czy po zainstalowaniu się w pokoju Moscato i ona wychodzili na zewnątrz? Czy przyjechali na dwa samochody? Tego na razie nie był w stanie się dowiedzieć. Dwaj żandarmi, którzy przyprowadzili mercedesa Gabriela, próbowali szukać w nim włosów lub innych śladów obecności kobiety, a trafili na lokalizator GPS.

Dlaczego zatrzymali się w hotelu Falaise? W okolicy były przyjemniejsze miejsca. Jasne, nie jakieś luksusowe, ale lepsze od tej starej, otynkowanej rudery z widokiem z jednej strony na parking, a z drugiej na wapienną ścianę. Co więcej, Gabriel domagał się właśnie pokoju numer siedem. Tego albo żadnego innego.

Narzucił się prosty wniosek: Gabriel Moscato, podając się za kogoś innego, przybył do Sagas z konkretnym pomysłem w głowie. Z pomysłem, który według

wszelkiego prawdopodobieństwa oraz opinii neurologa sprawił, że jego były kolega stracił głowę.

Paul po raz kolejny otoczył długopisem nazwę „Hotel Falaise”. Ten sam hotel, w którym przed dwunastu laty jego przyjaciel zasnął, spisując dane gości obecnych tu w okolicach daty zaginięcia jego córki. Miejsce, w którym znalazł wzmiankę o niejkiej Wandzie Gershwitz.

W jego głowie rozległ się dzwonek alarmowy, ale Paul nie potrafił określić, skąd pochodzi. Zaczął więc przeglądać te strony akt śledztwa, na których była mowa o sprawdzaniu list gości. Od lat nie zaglądał do tej części dokumentów, ale jego ciało pamiętało ekscytację, jaką dzielił wtedy z Gabrielem, kiedy przeglądając te listy, uświadomili sobie, że Wanda Gershwitz nie istnieje. Otworzył się wtedy nowy trop. Nowa nadzieja na odnalezienie Julie. Znalazł ten fragment:

Wanda Gershwitz. Wynajęła pokój numer 7 w okresie od 24 lutego do 8 marca, dnia zaginięcia Julie. Płatność gotówką.

Pokój numer siedem. Paul miał wrażenie, że trzyma w ręku otwieracz do puszek Pandory. I w tej samej chwili w oczy rzuciła mu się kolejna oczywistość. Szybko wybudził monitor i jeszcze raz wyświetlił zdjęcie fałszywego dowodu osobistego Gabriela.

Walter Guffin. Wanda Gershwitz. Te same inicjały. Ten sam hotel, ten sam pokój. I obydwój zameldowani na fejkowe dane.

Poczuł przyływ adrenaliny. Sięgnął po komórkę i popatrzył na zdjęcie wisiorka znalezionego u Eddy’ego Lecointre’a. Zerwany łańcuszek. Szarpanina. Wisiorek wpada pod łóżko. Film przesunął się przed jego oczami w przyspieszonym tempie, tak że Paul prawie nie zauważył, jak w drzwiach stała Louise. Trzymając się dłońmi za policzki, odchylił się na fotelu. Czy to możliwe, że...

Podniósł wzrok na córkę.

– Co się dzieje?

– Mam coś, chodź zobaczyć – powiedział, przywołując ją energicznymi gestami.

Ale ona już odchodziła.

– Louise, Louise, zaczekaj chwilę. Przemyślałem coś. Czy potrafiłabyś mi powtórzyć, co dokładnie mówiłaś o tych skarpetkach i logice w sprawach kryminalnych?

Louise popatrzyła na ojca. Miał przed sobą kupkę zdjęć z miejsca zbrodni. W półmroku wypełniającym pokój wyglądał jak zając w norze. Jego oczy skrzyły się jak ognie bengalskie.

– Aha, teraz cię interesuje moja intuicja rodem z *Kryminalnych zagadek Miami*? Okej, według mnie za faktem, że morderca wepchnął skarpetki w usta ofiary po jej śmierci, musi stać jakaś logika. I uważam, że to my powinniśmy ją odkryć. Powiedziałam, że aby coś takiego zrobić, morderca nie mógł być spanikowany mimo tego, że z nieba spadały martwe ptaki. Że musiał zachować cholernie zimną krew.

Wyszła. Paul ruszył za nią, zostawiając wszystko tak, jak leżało. W głowie miał bardziej niż precyzyjny obraz przebiegu zdarzeń. To było szalone.

Niebieskie światło monitora odbijało się w zaczerwienionych ze zmęczenia oczach Louise, która po wymianie zdań z ojcem szybko wróciła na swój fotel.

– Jak się miewa Moscato? – zapytała.

– Siedzi w celi zatrzymań z mózgiem w kawałkach, jakby dostał z bliska z czterdziestkiczwórki. Więc jak ma się miewać twoim zdaniem?

Louise była zbyt wykończona, żeby mu powiedzieć, by darował sobie niemiłe komentarze. Kliknęła myszką.

– Zanim się położę, chciałam ci pokazać, na co trafiłam. Szukałam informacji o tatuażach ofiary.

– A czy to nie mogłoby zacze...

– No więc, szlag, nie jest to nic oryginalnego – mówiła dalej, nie zważając na jego wtręt. – Upadły anioł, symbol zła, konotacje biblijne, takie tam bzdety. Jest na przedramieniu, doskonale widoczny. Chciała, żeby ludzie od razu wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Paul dyskretnie zerknął na córkę, która otworzyła teraz na ekranie powiększenie drugiego rysunku, znajdującego się na lewym bicepsie. Zastanawiał się, czy Louise była już kiedyś w pracowni tatuażu. Wyobraził ją sobie z rysunkiem węża owiniętego wokół krzyża na pośladku albo gdzie indziej. Pod koniec okresu dojrzewania przeżywała młodzieńczy bunt – obydwójce darli się na siebie od rana do wieczora, jakkolwiek dialog był niemożliwy.

– Słynna rosyjska matrioszka. Na pierwszy rzut oka nic szczególnego. Modny tatuaż, wszyscy sobie takie robią i nie znaczy to, że mają jakieś związki z Rosją. Jeśli się bliżej przyjrzeć, widać, o tu, wkomponowany maleńki pistolet. A tutaj, na płątku kwiatu, trupią czaszkę.

Paul rzeczywiście dostrzegł te szczegóły: niewiele mu jednak mówiły. Jego córka wyświetliła ostatni tatuaż, który zajmował dużą część pleców.

– Ten jest największy – powiedziała. – Kowboj z dwoma rewolwerami, jednym wycelowanym w nas. Niewidzialny, kiedy jest ubrana, ale duży, a zatem ważny dla niej. Tatuaze zawsze mają jakieś znaczenie dla właściciela.

– Do rzeczy, daruj sobie tę lekcję. Jest trzecia w nocy.

Louise westchnęła.

– Dajże mi dokończyć. Na początku nie bardzo wiedziałam, gdzie szukać. Ale matroszka mnie zachęciła, żeby trochę poszperać w rosyjskiej symbolice.

Wyświetliła zdjęcie gościa o obnażonym torsie i napakowanych mięśniach: Paul nie chciałby go spotkać w korytarzu. Całe ciało faceta pokrywały tatuaze, a na twarzy miał rysunek pajęczyny. Louise wskazała na kowboja na jego prawej piersi, podobnego do tatuazu, który miała denatka.

– Takie tatuaze noszą członkowie bratwy, rosyjskiej mafii – szepnęła.

Kapitan poczuł lodowaty dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Te słowa, wypowiedziane w ciemną noc w przypadkowym biurze górskiej brygady żandarmerii, w samym środku Sabaudii, brzmiały dziwnie, nieprawdopodobnie. Louise błysnęła wiedzą i odczuwała z tego powodu pewną dumę.

– Bratwa to gigantyczna ośmiornica złożona z kilku tysięcy grup przestępczych rozsianych po całej Europie. Działają we wszystkich branżach, które pozwalają wygenerować brudne pieniądze. Handel...

– Wiem. Handel narkotykami, bronią, ludźmi, morderstwa, porwania, cyberprzestępczość. Grupy często działają autonomicznie, po dwie, trzy osoby, wtapiające się w tłum w Rosji i za granicą. Niemożliwe do namierzenia. – Paul wisiał pochylony nad córką, jakby zamierzał ją połknąć. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Hipoteza, która przed kilkoma minutami powstała w jego głowie, się potwierdzała. – Co symbolizuje kowboj?

– Oznacza, że członek deklaruje gotowość podjęcia ryzyka za pieniądze. Inaczej mówiąc, jest szeregowcem, który idzie na front.

– Najemniczka.

Louise opadła na oparcie, poruszała głową w górę i w dół, by ulżyć spiętym mięśniom karku i ramion. Następnie zebrała skórki jabłka porzucane na biurku i spakowała je do plastikowej torebki – pewnie dla kur sąsiada, który mieszka za blokiem żandarmerii.

– Co robiłby w Sagas członek rosyjskiej mafii? Ostatnio mieliśmy tu sporo włamań, ale to raczej domena innych krajów Europy Wschodniej.

Zadzwoił telefon Paula. Kapitan odebrał. Uniósł wzrok na wysokość okna i zauważył żarzącą się w ciemności końcówkę papierosa. Technik z laboratorium kryminalistycznego pomachał do niego ręką. Paul odwzajemnił jego pozdrowienie, dając znak, że już idzie, i się rozłączył.

– Czego chciał? – zapytała Louise, zasuwając zamek kurtki.

– To w związku z wisiorkiem, zajmuję się nim. Idź do swojego mężczyzny. Miłej końcówki nocy. Jutro zapowiada się długi dzień.

Została przed monitorem. Jej ojciec stwierdził, że w tym świetle, z cieniami pod oczami postarzającymi ją o kilka lat, Louise wygląda jak wierna kopia matki.

Absolutne szaleństwo, sen, a zarazem nie-sen: Gabriel śmiało schodzi po stopniach prowadzących pod ziemię – tak głęboko, że ich końca nie widać. Płomień czarnej zapalniczki z wygrawerowaną głową wilka otacza go słabą bursztynową poświatą: mężczyzna czuje się jak milczący nurek w otchłaniach oceanu. Blask odsłania skalne ściany lśniące jak pokłady węgla.

Obraca się dookoła, zafascynowany. Dzieje się coś niesamowitego: wie, że śpi. Jest w pełni świadom, że leży teraz na ławce w celi zatrzymań na posterunku żandarmerii w Sagas. Słyszy nawet własny oddech. Nigdy nie przeżył takiego doświadczenia. To niemożliwe, myśli. To wszystko wokół niego jest zbyt prawdziwe. Wsuwa dłoń w środek płomienia, który ani drgnie. Nie odczuwa najmniejszego bólu. Czyli rzeczywiście śni.

Gabriel nie wie, dlaczego znalazł się w tych ciemnościach ani co powinien zrobić. Z pewnością ma to związek z jego uszkodzonym mózgiem i problemami z pamięcią. Jakiś błąd w systemie. Urzeczony zdolnością własnej podświadomości do odtwarzania szczegółów i odczuć – rozpoznaje zapalniczkę ze schowka w mercedesie, czuje, jak jego twarz oblepia wszechobecna wilgoć – postanawia iść dalej.

Przestrzeń między ścianami jest coraz ciasniejsza, a stopnie coraz węższe i wyższe, tak że musi z nich zeskakiwać. W jego mózgu rozbrzmiewają odgłosy stukania podeszew o posadzkę. To szalone, myśli, i wie, że myśli tak poza snem, leżąc na ławce, a kiedy otworzy oczy, będzie o wszystkim pamiętał. Wie, ponieważ widzi to dokładnie i w pełni świadomie.

Musi to wykorzystać. Być może to doświadczenie jest sposobem na obejście muru amnezji, na to, by zajrzeć na drugą stronę, niezauważony przez niewidzialnych strażników, którzy na jawie zwalczają wszelkie formy ingerencji. Może strażnicy śpią.

Wreszcie staje na jakiejś jednolitej płaskiej powierzchni przypominającej czarny piasek. W górze rozpościera się ciemne sklepienie, z którego zwisają

korzenie drzewa uwięzione w nierównościach wilgotnej skały. Dłonie Matki Ziemi, które usiłują wczepić się w jego włosy. Najwyraźniej znalazł się pod lasem.

W ścianach lśnią elementy przypominające kość słoniową. Gabriel przysuwa bliżej zapalniczkę i uświadamia sobie, że to kawałki kości. Fragmenty piszczeli, kości udowej, czaszki, nadludzką siłą wtłoczone w skałę. Wie, że nic mu tutaj nie grozi, a jednak czuje, jak ogarnia go strach. Jego oddech trochę przyspieszył, ale śpiący mężczyzna stara się zachować spokój. Absolutnie nie chce, by strażnicy podświadomości wypędzili go ze swojego terytorium. Chce zbadać tunel do końca. Powtarza sobie: „Jesteś bezpieczny, jesteś bezpieczny...”.

W ciemności, daleko przed sobą, słyszy nieokreślone dźwięki. Brzmią jak ciche miauczenie, ale im jest bliżej, tym bardziej przypominają ludzkie głosy. Miauczenie przeradza się w przeciągłe, rozpaczliwe, ostre jęki. Takie odgłosy mogą wydawać z siebie tylko kobiety albo dzieci. Po jego lewej stronie miejsce ułamków kości zastąpiły puste ramy, bez płótna, bez obrazów, po prostu cztery kawałki drewna ułożone w prostokąt i nie wiadomo jakim sposobem przytwierdzone do ściany. W jego głowie pojawia się myśl, że we śnie gwoździe są niepotrzebne.

Teraz głosy go przyzywają. Niebezpieczny, rozdzierający syreni śpiew, w którym powtarza się jego imię z rozciągniętą ostatnią samogłoską: „Gabrieeeeeeeeel..., Gabrieeeeeeeeel...”. Da się rozróżnić dwie różne tonacje i teraz Gabriel jest pewien: jeden z głosów należy do jego córki. Nie słyszał jej od ponad dwunastu lat. Ale ona tutaj jest. Woła go.

Zaczyna biec. Ogarnia go przemożne poczucie uwolnienia, ale jednocześnie jakiegoś ucisku. Nic go nie zmusza, by biegł w stronę czarnej jamy, z której dobiegają dźwięki, ale jednak rzuca się w tamtą stronę. Chce się dowiedzieć, co skrywa przed nim jego amnezja. Wszystko jest dojmująco realistyczne. Czy zobaczy Julie? Czy będzie mógł ją przytulić?

Rytm jego serca – prawdziwego serca – jeszcze przyspiesza. Gabriel czuje każde jego uderzenie, krew intensywnie pulsuje w skroniach. Boi się na myśl, że sen mógłby nagle zostać przerwany. Nie jest w stanie powiedzieć, jak długo tam jest, sekundy zdają się rozciągać. Dwadzieścia sekund, minutę, dziesięć?

Schyla się, by przejść przez tunel, i nagle staje przed wielkim okrągłym lustrem zamykającym wylot. Kiedy przybliży płomień do jego powierzchni, widzi w srebrzystej tafli odbicie Julie i drugiej, nieznaney młodej kobiety.

Zalewają go emocje. Po drugiej stronie lustro Julie wyciąga do niego rękę, która jest teraz tuż-tuż, kilka centymetrów od dłoni Gabriela, nie może jednak jej dotknąć. Choć jego córka nadal ma na sobie sportowy strój, widać, że przybyło jej lat, pofalowane włosy opadają jej na ramiona, linia zuchwy jest bardziej

kanciasta, a rysy twarzy ostrzejsze. Dłonie ma czarne od brudu. Błaga go, żeby jej pomógł, wyrwał ją z więzienia. Jej rozpaczliwy krzyk rani Gabriela w samo serce. Jeszcze raz mężczyzna uświadamia sobie, że śni. Kiedy otworzy oczy, wszystko wyparuje. W prawdziwym świecie nie będzie przy nim Julie. Ale nie może tak stać i nic nie robić.

– To ty musisz mi pomóc – szepcze, jakby ktokolwiek go słuchał. – Pomóż mi się odnaleźć. Gdzie jesteś? Kto cię uwięził?

Kobieta przykłada dłoń do lustra i odsuwa ją, pozostawiając purpurowy ślad: po srebrnej tafli od strony Gabriela ścieka krew, mężczyzna czuje ją pod palcem. Nagle druga dziewczyna, do tej pory zwinięta w kłębek, wstaje – ma na sobie tylko długą, sięgającą kolan kurtkę – i ciągnie Julie do tyłu.

– Zostaw ją! – wrzeszczy Gabriel. – Julie, nie! Zostań ze mną! Powiedz mi, kto ci to zrobił!

Julie jakby go już nie słyszała. Odwraca się plecami, odciągana przez tamtą. Odbicia postaci znikają, zamknięte w tafli o grubości zaledwie kilku milimetrów. Gabriel krzyczy, chce przytulić swoje dziecko, poczuć zapach jego ciała, chce je zabrać i wyrwać z tego koszmaru. Rzuca się na lustro i wbrew wszelkim oczekiwaniom okazuje się, że przebija się na drugą stronę. Czuje, że spada w otchłań, niesiony własnym ciężarem.

Gabriel obudził się na bezdechu. Po kilku chwilach jego nagłośnia się otworzyła i mógł zaczerpnąć powietrza. Spojrzał na wnętrze swojej dłoni – tej, która dotykała krwi Julie. Właśnie doświadczył czegoś najbardziej niewiarygodnego w całym życiu. Snu, podczas którego był absolutnie świadomy i który doskonale zapamiętał. Potarł oczy, rzucił się do drzwi i zaczął ze wszystkich sił wzywać Paula.

W oddali trzasnęły drzwi. Za okienkiem ukazała się Louise, miała na sobie kurtkę.

– Ojciec właśnie wyszedł. Co się dzieje?

– Chciałbym cię o coś poprosić. Masz przy sobie telefon?

– Tak, ale nie ma mowy, żebyś z niego gdzieś dzwonił. Jesteś...

– W telefonie masz internet, tak?

Skinęła głową. Nie wiedziała, do czego Gabriel zmierza.

– Potrzebowałbym, żebyś coś znalazła.

Jej oczy zalsniły jak topazy.

– Okej? A co?

– „Mathilde Lourmel”. Takie imię i nazwisko przyszło mi do głowy we śnie. Jeśli znajdziesz jej twarz, chciałbym ją zobaczyć.

Spełniła jego prośbę. Zmarszczyła brwi.

– Jest sporo artykułów w prasie. Zaczekaj. Ta dziewczyna zaginęła... Wygląda na to, że w dwa tysiące jedenastym. Dlaczego się nią interesujesz?

– Mówiłem ci, przyśniła mi się. Nic więcej nie wiem.

Spojrzała na niego nieufnie i zaczęła szukać dalej. W końcu pokazała mu wyświetlacz.

Gabriel nie wierzył własnym oczom: to była ona, druga dziewczyna uwięziona w lustrze. Wymamrotał podziękowania i oszołomiony usiadł na ławce. To, co mu się przyśniło, nie było wyłącznie wytworem jego umysłu. Nie, jego mózg wyrzucił z siebie fragment autentycznych wspomnień.

Był teraz przekonany, że w prawdziwym życiu miał przed sobą obie te twarze, prawie ich dotykał. Twarz Julie, starszej o cztery, pięć, może więcej lat. To po części wyjaśniało, dlaczego prosił Solenne Peltier o profile DNA. Może udało mu się pobrać materiał biologiczny obu kobiet w jakiejś piwnicy? Ale kiedy? Czyżby zaledwie przed trzema miesiącami, kiedy znowu nawiązał bliższy kontakt z dawną koleżanką?

Oparł się o mur celi i chwycił się za głowę. Znowu miał przed oczami ten ponury wystrój, kości wtopione w ściany, korzenie drzew przebijające się przez sklepienie. Kryjówka jakiegoś szaleńca. Księcia ciemności, którego ofiarą padła być może niejedna dziewczyna.

Skupił się ze wszystkich sił. Zanurzył się w głąb siebie, ale nie znalazł tam nic poza paskudnym ziarnem wątpliwości, które sen zasiał w jego mózgu. Czyżby Julie i Mathilde wciąż żyły, zamknięte w jakimś odrażającym miejscu, z którego nie był w stanie ich wyciągnąć?

— Łyk lungo dla pana, dzielny robotniku nocnej zmiany. Pomyślałem, że nie zaszkodzi, zwłaszcza w taki ziąb.

Paul podszedł do czekającego na zewnątrz technika z dwoma parującymi kubkami kawy. Aby się utrzymać na nogach, przyjmował jedną dawkę kofeiny za drugą. Poprzedni dzień i ta noc zdawały się nie mieć końca.

Cédric Daméus zgniótł papierosa i krzywiąc się, upił łyk ciemnego napoju. Ilekroć Paul go spotykał, myślał o Morganie Freemanie. Technik był jedynym czarnoskórym w brygadzie, podobnie jak jego dzieci były jedynymi czarnoskórymi uczniami Szkoły Podstawowej imienia Suzanne Blin w Sagas, a jego żona jedyną czarnoskórą pracowniczką szpitala, w którym była zatrudniona jako salowa. Cédric wyrzucił w połowie pełny kubek do kosza i poprowadził Paula do budynku.

Siedziba techników nie miała w sobie nic z perły architektury, ale była funkcjonalna. Korytarz wyłożony beżowym linoleum prowadził do dwóch sal i trzech laboratoriów, w tym do pracowni badań genetycznych: przed nim znajdowała się specjalna śluza, która służyła za przebieralnię. Przechodząc przez to ciasne pomieszczenie, żandarm zauważył wiszące majtki i spodnie ofiary, których odcięte części znajdowały się w dużym przezroczystym pojemniku. Na blatach stały pracujące pełną parą amplifikatory DNA i termocyklery.

— Nie mówiłem panu o tym przez telefon, ale w majtkach znaleźliśmy sporą ilość spermy. Tej samej, którą pobraliśmy w wymazie z pochwy i ud.

Paul, zamyślony, stanął przed szybą.

— Jakby ofiara po stosunku wciągnęła na siebie majtki?

— Tak, możliwe, że tak było.

Ruszyli dalej. To nowe spostrzeżenie nie pasowało do hipotezy gwałtu na brzegu, po którym nastąpiły strzały. Majtki, znalezione na wysokości kolan ofiary, nie mogły zostać ubrudzone spermą, chyba że gwałcieciel po stosunku naciągnąłby je z powrotem, a następnie zdjął, co nie miało żadnego sensu. Paul

był coraz bliższy myśli, że do stosunku doszło wcześniej. Że seks i okrutne morderstwo były odrębnymi zdarzeniami.

– Jutro, czyli praktycznie rzecz biorąc: zaraz, podam panu profile DNA osób, które miały kontakt z wisiorkiem – powiedział Daméus. – Oparłem się wyłącznie na pozostałościach organicznych, którymi był zabrudzony.

– A próbka DNA Gabriela Moscato?

– Jest w maszynach. Mówił pan, że to priorytet, więc będzie gotowa o świcie. A co się właściwie dzieje z Moscato? Dołączyłem do zespołu zaraz po tym, jak odszedł z żandarmerii, i w sumie go nie znałem, a słyszałem, że... no, że poszło o pana nogę.

– To skomplikowane – uciął Paul.

Daméus nie nalegał. Skręcili do pomieszczenia, w którym w metalowych szafach piętrzyły się stosy dużych zapieczętowanych kopert: zawierały próbki do analizy pochodzące z całej okolicy, takie jak ułamki szkła z miejsc włamań. Były tam też inne sprzęty: próbkówki, zapakowane komplety odzieży ochronnej, rolki worków na śmieci. Na stole leżały szczęki i kości zwierzęce – od niepamiętnych czasów do żandarmerii zgłaszano otrucia psów i kotów – a na jego drugim końcu, na kawałku białej gazy, interesujący ich wisiołek.

Paul włożył lateksowe rękawiczki, które wyjął ze stojącego obok pudełka.

– Nie trzeba – oświadczył Daméus. – Jak panu mówiłem, pobrałem już materiał genetyczny. Wisiołek jest do pana dyspozycji.

Technik uniósł przedmiot za łańcuszek i złożył na dłoni Paula. Książka miała mniej więcej trzy na dwa na jeden centymetr. Mężczyzna podał mu lupę.

– Ten wisiołek jest niesamowity. Jeśli chodzi o materiał, nic szczególnego: srebrny łańcuszek, mosiężno-cynowa zawieszka. Jest oryginalny ze względu na konstrukcję. Oglądając go przez lupę, przez czysty przypadek trafiłem na pewien szczegół w jednym z okrągłych motywów na grzbiecie książki. Proszę spojrzeć.

Paul wykonał polecenie. Mimo szkła powiększającego niczego szczególnego nie zauważył. Pokręcił głową. Technik sięgnął po ołówek automatyczny i metalową końcówką wcisnął kółko, które odrobinę się zapadło i już nie wróciło do poprzedniej pozycji.

– Jakiś mechanizm? – zdziwił się Paul.

– Nie wiem, czy pan zna zasadę działania japońskich sekretnych pudełek. Chodzi o pięknie zdobione skrzyneczki, które otwiera się za pomocą serii złożonych, tajemniczych ruchów. W jednym miejscu trzeba nacisnąć, w innym pociągnąć. Służą do chowania różnych przedmiotów. Najbardziej zaawansowane mechanizmy mogą wymagać nawet siedemdziesięciu konkretnych ruchów, które trzeba wykonać w określonym porządku. Ma pan przed sobą nie tylko

miniaturkę książki, ale zmyślny system inspirowany mechanizmem tych japońskich pudełek.

– I udało się panu ją otworzyć?

Daméus przytaknął z uśmiechem.

– Kiedy byłem dzieciakiem, całymi dniami łąziłem po sklepach z tandetą i szukałem łamigłówek. A ten wisiołek wcale nie jest taki skomplikowany, na jaki wygląda. W każdym razie jeśli się wie, że czegoś tam trzeba szukać. Wystarczą cztery ruchy. – Odwrócił zawieszkę, nacisnął na rysunek na okładce, w innym miejscu pociągnął i posługując się ołówkiem, wcisnął ostatni mikroskopijny guzik z tyłu książki. – Piękna robota, niesamowicie precyzyjna, zważywszy na niewielkie rozmiary – podkreślił. – Żeby powiedzieć, jak działa ten mechanizm, trzeba by rozmontować książkę, ale wygląda na to, że nie udałoby się tego zrobić bez zniszczenia jej. Takich rzeczy nie kupuje się w sklepie. Jest rzadka, moim zdaniem kosztowna, takie mają tylko kolekcjonerzy. Mój syn powiedziałby, że to prawdziwy skarb. Żeby zademonstrować, zostawiłem na miejscu przedmiot, który był w środku.

– Co to za przedmiot?

– Nie chcę zepsuć efektu zaskoczenia.

Gdzie Julie zdobyła taką błyskotkę? Dlaczego skłamała w sprawie jej pochodzenia? Paul był zafascynowany i jednocześnie zniecierpliwiony. Miał wrażenie, jakby oczekiwał na końcową scenę horroru Hitchcocka, a ten wisiołek był słynnym MacGuffinem w filmie *Straszliwe i krwawe przygody Julie Moscato*.

Rozległo się kolejne kliknięcie. Okładka lekko się odsunęła. Oczom technika ukazał się ukryty schowek. Palcem wskazującym i kciukiem Daméus chwycił przedmiot, który Julie najprawdopodobniej włożyła tam dwanaście lat wcześniej i którego istnienia nikt nie odkrył aż do tej nocy. Kartę pamięci.

Miał wrażenie, że śni. Coś się ruszyło. Wreszcie coś się, kurwa, ruszyło. Z powodu wypitych kaw i nerwów Paulowi tak bardzo drżały palce, że włożenie karty microSD do czytnika było dla niego nadludzkim wysiłkiem. Kiedy w końcu mu się udało, podłączył urządzenie do komputera. Siedział zamknięty w biurze, z opuszczonymi roletami. Oprócz dyżurnego żandarma w recepcji był na posterunku sam.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa dostał kartę pamięci z kamery cyfrowej Julie Moscato, tę kartę, której nie znaleźli – teraz wiadomo dlaczego! Daméus powiedział, że nie próbował jej odczytać, ponieważ bał się, że ją uszkodzi.

Na monitorze otworzyło się okno katalogu. Na karcie znajdowały się dwa nagrania wideo, jedno z trzynastego września dwa tysiące siódmego roku, drugie z czwartego lutego dwa tysiące ósmego, czyli miesiąc przed zaginięciem. Paul od razu skopiował oba pliki na swój twardy dysk, przerażony myślą, że mógłby utracić dane. Wstrzymał oddech, dopóki belka ukazująca postęp ładowania nie dobiła do stu procent. Wyglądało na to, że kopiowanie przebiegło bez problemów.

Przełknął ślinę, a następnie włączył filmik z września dwa tysiące siódmego. Karta znajdowała się w wisiorze dwanaście lat i mogła zostać uszkodzona na tysiąc sposobów. Po chwili jednak przed oczami Paula zaczął się przesuwać kolorowy filmik i jego twarz się rozjaśniła.

Kamerę ustawiono na siodelku roweru. Po lewej widać było lekko rozmyty kawałek kierownicy. Jej góral, pomyślał Paul. Pogoda była bezchmurna, obraz przecinały pnie sosen. Szum wiatru wśród gałęzi. Krzyk jakiegoś ptaka. Kamera się poruszyła i po chwili w obiektywie ukazała się Julie z plecakiem w ręku. Paulowi ścisnęło się serce. Wyobraził sobie, jak poruszony byłby Gabriel, gdyby tak nagle zobaczył córkę.

Julie miała na sobie kolarski strój złożony ze spodenek i niebieskiej koszulki oraz żarówiaste trampki. Rozłożyła małą kempingową saperkę i wykopała dołek o głębokości czterdziestu centymetrów. Z plecaka wyjęła pojemnik przypominający metalowy kuferek i umieściła go w ziemi. Następnie zdjęła z szyi wisior – tan sam, który teraz leżał obok klawiatury. Uklękła i pochyliła się nad dołkiem z łańcuszkiem przewieszonym przez palce. Płakała. Jej przerywany szloch przypominał Paulowi popiskiwanie jakiegoś zwierzęcia.

Wyglądało jednak na to, że wypuszczenie wisiora z ręki ją przerosło. Z powrotem zapięła go na szyi i zasypała dołek z pudełkiem, przykryła go ziemią i rozsypała z wierzchu sosnowe igły. Na drzewie, pod którym stała, ostrzem scyzoryka wydrapała w korze dobrze widoczny krzyż. Następnie wróciła do kamery i zrobiła ujęcie panoramiczne. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, drzewa. Kawalek dalej stroma ścieżka. Ciąg wysokich bloków skalnych, z których ostatni, w kształcie menhiru, musiał mieć ze dwa metry. Zrobiła zbliżenie na skały, a następnie znowu panoramę, kierując obiektyw w stronę miejsca, w którym kopała. Nagrywała drogę. Koniec filmu.

Żandarm zamarł w bezruchu przed monitorem. Oto wyraźnie pogrążona w rozpacz nastolatka przed ponad trzynastu laty zakopuje w ziemi metalową puszkę. Jest bliska włożenia do niej wisiora, ale postanawia go zachować i ukryć w nim film, który pomoże jej odnaleźć kryjówkę.

Co takiego powierzyłaś lasowi, Julie? Może dziewczyna chciała się pozbyć jakichś rzeczy, ale tak naprawdę nie była w stanie? Upewniła się więc, że kiedyś będzie mogła je odzyskać. Na wszelki wypadek. Na wypadek czego?

Włączył drugi filmik, z czwartego lutego dwa tysiące ósmego roku. W dole po prawej wyświetlała się godzina: dwudziesta trzecia pięćdziesiąt pięć. Zmiana nastroju. Deszcz, ciemności. Skaczący obraz, tańcząca kamera. Osoba, która filmowała, znajdowała się na dworze, nagranie było bez dźwięku. Obraz mąciły drobne krople deszczu. Na chwilę wizję przesłoniła ściereczka, po czym obraz stał się czystszy. Obiektyw skierowany był w stronę okna, zza którego mimo zaciągniętych zasłon przebijało światło. Było za ciemno, a ujęcie zrobiono ze zbyt małej odległości, by Paul mógł rozpoznać szczegóły.

Po minucie jedna z zasłon się odchyliła i ukazało się pasmo światła. Osoba z kamerą się wzdrygnęła. Paul zmarszczył brwi. Obiektyw wsunął się w przestrzeń między zasłonami, przez chwilę tańczył, a potem zatrzymał się na nagich plecach. Na szybie perliła się woda, nie przeszkadzało to jednak dostrzec długich włosów w kolorze platynowy blond, opadających aż do pośladków dziewczyny. Siedziała na łóżku, okrakiem, na postaci, której z powodu pozycji i kąta widzenia nie dało się rozpoznać. Ale był to mężczyzna. Słaba pomarańczowa poświata musiała pochodzić od lampki nocnej.

Jej plecy były wygięte w łuk, włosy tańczyły, a ciało – ewidentnie bardzo młodej dziewczyny – kręciło ogniste arabeski. Mężczyzna wczepiał się prawą dłonią w pościel. Nagle platynowe włosy jakby oderwały się od czaszki i zsunęły do tyłu. Dziewczyna złapała je w ostatniej chwili i z powrotem umieściła na miejscu. Peruka.

Wtem w szybie odbiły się dwa białe światła. W polu widzenia była teraz tylko ziemia. Operator kamery szybkim krokiem szedł po żwirku. Schylił się i zatrzymał. W rogu pojawiły się koła samochodu. Wreszcie białe odbłaski zniknęły. Po jakiejś minucie obiektów został uniesiony i skierowany na wprost. Kiedy Paul zobaczył ogólny widok miejsca, zaparło mu dech w piersi. Scena rozgrywała się w hotelu Falaise. W jednym z pokoi na parterze, z oknami wychodzącymi na parking.

Żandarm zaciskał palce na myszy. Osoba, która filmowała, najwyraźniej została spłoszona przez przybycie klienta, ale po chwili znowu zajęła stanowisko przy oknie. Za szybą dwie osoby uprawiały seks. Deszcz, podrzędny hotel, podglądanie przez szparę między zasłonami – wszystko to napełniało grozą. Paul czuł dyskomfort, ale nie uronił ani sekundy. To nagranie mogło w sobie kryć część zagadki sprzed dwunastu lat.

Dziesięć minut później młoda kobieta o lśniących plecach wstała i wyszła z kadru. Żandarm siedział z nosem przyklejonym do ekranu. Zwrócił uwagę, że dziewczyna uważa, by nie pokazać twarzy. Czyżby to była słynna Wanda Gershwitz? A może to Julie? Czyżby to ten mężczyzna podarował jej wisiołek? A może Julie trzymała kamerę? Przez ułamek sekundy pomyślał, że po drugiej stronie obiektywu mogła stać Louise. Odegnął od siebie ten ohydny pomysł.

Nagle w pokoju rozbłysło jaśniejsze światło. Mężczyzna siedział na materacu, podpierając się z tyłu na rękach, miał spocone czoło i szeroki uśmiech na czerwonej twarzy. Dwu-, trzysekundowe zbliżenie na niego i koniec filmu. Ekran znowu zrobił się czarny.

Paul był w szoku. Tym mężczyzną był właściciel hotelu. Romuald Tanchon.

Ostrożnie wjechał na koniec hotelowego parkingu, zatrzymał samochód u stóp urwiska i zgasił światła. Przybytek otwierał swoje podwoje o szóstej trzydzieści. Paul płonął z niecierpliwości, ale nie chciał zgrywać kowboja i zwałać się Tanchonom na głowę w niedzielę w środku nocy. Miał świadomość, że i tak działa na granicy prawa: zatrzymanie Gabriela, wciągnięcie wisiorka w sprawę włamania i skopiowanie plików na własny komputer bez wiedzy kolegów ani przełożonych. W tym momencie z proceduralnego punktu widzenia karta pamięci nie istniała.

Okrył się kurtką i zamknął oczy. Mimo przyjętej dawki kofeiny podbródek prawie natychmiast opadł mu na piersi. W jego głowie zaczęły wirować obrazy. Pokierszowana twarz kobiety na brzegu. Błędny wzrok Gabriela Moscato. Szloch Julie nad dołem wykopanym w lesie. Wyginające się ciało, taniec sztucznych platynowych włosów. I szeroki uśmiech Tanchona.

Nagle usłyszał trzaśnięcie zamykanego bagażnika i otworzył oczy. Ktoś wsiadł do samochodu i odjechał. Paul odczytał godzinę na tarczy obok kierownicy: siódma trzydzieści pięć. To znaczy, że zasnął. Nad doliną wisiało ołowiane niebo. Wapienne urwisko po prawej lśniło bladą bielą i wilgocią, jego szczyt ginął we mgle. Paul wysiadł z samochodu z poczuciem, jakby siedział zamknięty w konserwie. Strzeliło mu w plecach. Oparł się o mokrą karoserię i z zaciśniętymi zębami pomasaował bolące kolano. Był stanowczo za stary na takie głupstwa.

Ruszył do recepcji, tak jak poprzedniego dnia, kiedy przyszedł tu, by wypytać o Gabriela. W nozdrza połaskotała go woń czekolady na gorąco. Usłyszał szcęk noży i widelców dochodzący z sali za jego plecami. Romuald siedział przy komputerze. Zdziwił się, ujrzawszy rozczochranego żandarma w wymiętym mundurze.

– Chciałbym z panem porozmawiać – rzucił Paul prosto z mostu. – W jakimś bardziej dyskretnym miejscu, jeśli można.

Romuald poszedł dać znać żonie, która była w trakcie wydawania śniadań, że zaraz wróci, i zabrał Paula do salonu w przylegającym do hotelu domu: wchodziło się tam przez drzwi za ladą. Nie poprosił żandarma, by usiadł; sam również stał.

– Domyślam się, że chodzi o Eddy’ego? Dzwonił do mnie wczoraj wieczorem, żeby wziąć wolne. Ktoś próbował się do niego włamać.

– Nie, nie o Eddy’ego. Tym razem chodzi o pana.

Romuald był szczerze zaskoczony. Paul włączył tablet, kątem oka obserwując rozmówcę.

– Znał pan Julie Moscato, prawda?

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Julie Moscato? No... tak, pracowała w hotelu raz czy dwa w czasie wakacji. Dlaczego zadaje mi pan takie pytanie o siódmej rano? To było co najmniej trzynaście lat temu i...

– Wiem, kiedy to było. Pracowała u pana w lipcu dwa tysiące szóstego i w lipcu dwa tysiące siódmego, a także w lutym dwa tysiące szóstego w ramach stażu w drugiej klasie. Rozumiem, że musiała być dobrą pracownicą, skoro darzył ją pan takimi względami.

– Względami? Nie wiem, o czym pan mówi, ale mam robotę. Więc gdyby pan był tak dobry...

– Chciałbym, żeby pan obejrzał ten film, ale najpierw proszę mi powiedzieć, gdzie pan był wczoraj około szesnastej.

O tej porze Solenne i Gabriel zostali zaatakowani gazem łzawiącym.

– Tutaj, a gdzie miałem być? Przypominam, że wczesnym popołudniem był pan tu i wypytywał mnie o Moscato. Rozmawiał pan nawet z klientami. Nie ruszałem się stąd. Klienci, którzy meldowali się w okolicach tej godziny, mogą to potwierdzić.

Paul wcisnął mu w rękę tablet.

– Okej, wierzę panu.

Kiedy Romuald włączył odtwarzanie, jego grdyka gwałtownie podniosła się i opadła. W jednej chwili zbladł. Pełnym rezygnacji gestem zatrzymał film i Paul zrozumiał, że mężczyzna już go widział.

– Skąd pan to ma?

– Wideo ma datę czwartego lutego dwa tysiące ósmego roku i najprawdopodobniej zostało zarejestrowane kamerą Julie Moscato. Czwartego lutego, czyli na miesiąc przed jej zaginięciem. Na tym filmie jakiś mężczyzna odbywa stosunek seksualny w jednym z parterowych pokoi pana hotelu z młodą kobietą w peruce, w pełni świadomą, że jest nagrywana. Potwierdza pan, że chodzi o pana?

Tanchon potwierdził ledwie widocznym skinieniem głowy.

– Okej, współpracuje pan, to raczej na pana korzyść. Na tym etapie mamy dwie możliwości. Pierwsza jest taka, że tu i teraz wyjaśni mi pan, co tam się wydarzyło, w cztery oczy, a ja się zastanowię, co zrobić z tą naszą nieformalną rozmową. A druga, że wrócę tutaj za dwie godziny, zostanie pan zatrzymany w związku ze sprawą Julie Moscato i uruchomimy maszynę sądową. Wybór należy do pana.

Paul blefował, ponieważ sprawy Julie Moscato już nie było, w ogóle nie było żadnej sprawy, ale Tanchon o tym nie wiedział.

– Moja żona... Ona o niczym nie wie – wyjąkał.

– W takim razie radzę panu wybrać pierwszą opcję.

– Nie wiem... Nie wiem, co panu powiedzieć. Mój Boże, to było tak dawno temu.

Wyglądał, jakby miał zemdleć. Paul pomógł mu usiąść. Sam wolał stać.

– Pozwoli pan, że odświeżę panu pamięć. Na początek niech mi pan powie, kim jest dziewczyna w peruce. Czy to Julie Moscato?

Romuald Tanchon ścisnął dłonie między rozstawionymi nogami. Jego policzki znowu delikatnie się zaróżowiły.

– Pan też powinien wziąć sobie krzesło.

Paul pochylił głowę. Spojrzenie, jakie posłał mu rozmówca, otworzyło otchłań pod jego stopami.

– Julie trzymała kamerę. Dziewczyna w peruce to pana córka.

Z radością rozwaliliby mu głowę. Chciał to zrobić, bo raz, że drań na pewno kłamał w sprawie tożsamości dziewczyny, a dwa – mimo wszystko przespał się z nastolatką. Bo w ogóle istniał ten film. Bo również w tamtym czasie Romuald Tanchon nieźle ukrywał swoją grę podczas rozmów z żandarmerią w ramach śledztwa: na miesiąc przed zaginięciem Julie nagrała jego nikczemne czyny.

Paul zapanował nad sobą, stał nieruchomo z pięściami zwieszonymi wzdłuż ciała. Tanchon jeszcze bardziej się skulił, przypominał teraz chorego starego psa. Wreszcie postanowił mówić:

– Tamtego ostatniego lata, w dwa tysiące siódmym, pana córka często przyjeżdżała po Julie na rowerze. Czekala na nią przy ladzie, troszkę rozmawialiśmy. Potem obie odjeżdżały, widać było, że się przyjaźnią, wyglądały na nierozłączne. Po jakimś czasie Julie zaczęła mi dawać do zrozumienia, że... ekhm...

– Mów dalej.

Lodowaty ton. Przejście na ty. Romuald wyrecytował swoją historię.

– ...że wpadłem jej koleżance w oko. Nie pilnowałem się, dałem sobie zawrócić w głowie. Śliczna szesnastoletnia dziewczyna zainteresowana takim gościem jak ja! Potem Louise zaczęła mówić do mnie miłe słowa, podrywała mnie. Z tym swoim punkowym wyglądem sprawiała wrażenie starszej, ale była nieletnia, a ja żonaty. Nie chciałem, żeby to się posunęło za daleko. – Przebierał palcami jak dzieciak przyłapany na kradzieży cukierków. – Potem Louise wyjechała z panem na wakacje, myślę, że to była połowa lipca, nie widywałem jej więcej i w głębi serca czułem ulgę. Ale w styczniu następnego roku złożyła swoje CV, mówiąc, że ona też chciałaby latem trochę zarobić. Kapitanie, ona mnie jawnie uwodziła, przysięgam panu.

– Nie przysięgaj.

– To CV to był tylko pretekst. Na dole strony był dopisek, że przyjdzie tu następnego wieczoru około północy. Miałem tylko otworzyć jej drzwi. I tak to się między nami zaczęło, w tę mroźną zimę na początku dwa tysiące ósmego.

Paul wciąż nie mógł w to uwierzyć, ale czuł, że jego rozmówca nie kłamie. Czy to możliwe, żeby on, ojciec, niczego nie podejrzewał? Te wszystkie noce, które Louise spędzała, jak twierdziła, u rodziny Moscato... Nigdy nie wspominała o hotelu ani tym bardziej o tym, że zamierza tam pracować.

– Jak długo to trwało?

– Przyszła sześć czy siedem razy. Zaczynałem do niej coś czuć, ale... Dałem się wkręcić jak szczeniak. Widział pan to nagranie, rozumie pan, co się stało. Ona i ja, a na zewnątrz druga dziewczyna filmująca mnie bez mojej wiedzy.

Paul skinął głową, zachęcając go, by mówił dalej, i przeganiając wyobrażenia tego wąsatego oblecha uprawiającego seks z jego córką.

– Z początku niczego nie podejrzewałem, ale tydzień później dostałem anonimowego maila z załącznikiem, jak w filmie szpiegowskim. W załączniku było to nagranie. – Wskazał na tablet Paula. – To pieprzone nagranie. Gówniary. Pana córka i Julie Moscato, którą zatrudniałem na wakacje przez dwa lata z rzędu, nazywały mnie wieprzem, żądały kasy, groziły, że o wszystkim powiedzą mojej żonie. Domagały się pięciu tysięcy euro! Pięć tysięcy euro, wyobraża pan sobie?

Paul wreszcie postanowił usiąść. Strzykało mu w prawym kolanie.

– Wymieniliśmy kilka maili, w końcu zgodziłem się zapłacić dwa tysiące euro, pod warunkiem że dostanę oryginalną kartę pamięci i że wszystkie kopie nagrania tej słynnej nocy zostaną zniszczone. Wiem, to idiotyczne, nie miałem żadnej gwarancji, że dotrzymają warunków umowy, ale... No cóż, krótko mówiąc, historia nie miała dalszego ciągu.

– Julie zniknęła, zanim pan zapłacił.

Przytaknął.

– Miałem jej przekazać pieniądze w ciągu miesiąca. Po jej zaginięciu Louise się więcej nie odezwała. Moim zdaniem pana córka też się boi, że ta sprawa wypłynie.

W jednej chwili Paul zdał sobie sprawę, że to wszystko prawda. Wróciły odczucia, wspomnienia. Słowa hotelarza rzucały światło na zachowanie Louise w minionych latach.

Po raz pierwszy Tanchon wytrzymał jego spojrzenie.

– Może mi pan nie wierzyć, ale niech pan zapyta córkę, zobaczy pan, że nie kłamie. Najwyraźniej nigdy panu o tym nie mówiła, pewnie pogrzebała tę tajemnicę w sobie, bo też nie ma się czym chwalić. Kiedy przyszedł pan tutaj w związku z tamtym śledztwem, pomyślałem, że będzie mnie pan pytał o maile,

w których byłem szantażowany, że przejrzał pan komputer Julie. Ale wiadomości z pogrozkami, które otrzymywałem, były wysyłane z innego urzędnika. Może gdyby pan rzucił okiem na komputer swojej córki...

Wstał. Paul nadal siedział. Sytuacja się odwróciła. Żandarm czuł, jak wzbiera w nim lawa. W trakcie poszukiwań Louise była godzinami przesłuchiwana. Jak mogła nic nie powiedzieć?

– Ta historia mnie wewnętrznie rozwaliła – mówił dalej Tanchon. – Byłem przerażony. Bałem się, że pan tu przyjedzie i mnie aresztuje. Dziewczyna, która mnie szantażuje, miesiąc później nagle znika. Czy istniał lepszy podejrzany?

Paul nic nie odpowiedział. Oczywiście sprawdzili Tanchona, podobnie jak wszystkich bliższych i dalszych znajomych Julie. Ale w sobotę, kiedy zaginęła, ani właściciel hotelu, ani jego ówczesna żona, ani nawet Eddy Lecointre nie opuszczali hotelu.

– Przez to wszystko przeszedłem kryzys i nie zdołałem utrzymać pierwszego małżeństwa. Oczywiście, mam sobie wiele do zarzucenia, ale te dwie dziewczyny, zwłaszcza razem, nie były aniołkami, o nie.

Drzwi w głębi salonu się otworzyły i stanęła w nich zniecierpliwiona małżonka. Nie nadążała z wydawaniem śniadań i obsługą recepcji. Paul skinął do hotelarza, że rozmowa dobiegła końca, i wstał. Zaczekał, aż kobieta zamknie drzwi, i groźnie wycelował palec w Tanchona.

– Mundur, który mam na sobie, nie pozwala mi dać ci w mordę. Ale mogę tu niedługo wrócić. W charakterze klienta.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, chciało mu się wrzeszczeć, ale zachował swój gniew dla córki.

Esquimet junior otworzył mu drzwi. Jeden but miał na stopie, a drugi trzymał w dłoni. Był ubrany w spodnie z beżowego lnu i idealnie wyprasowaną białą koszulę. Uperfumował się, kruczoczarne włosy zaczesał do tyłu.

– Paul?

– Muszę porozmawiać z córką.

Wszedł jak do siebie. Była dziewiąta rano. Louise, mimo że położyła się spać późno, już siedziała w kuchni z widokiem na parking posterunku i pochłaniała grzanki z masłem maczane w kawie. Z radia na baterie, które stało między mikrofalówką a koszem z owocami, płynął jakiś kawałek Elvisa Presleya. Kiedy jej ojciec wyłączył dźwięk, spojrzała na niego pytająco.

– Muszę z tobą porozmawiać. W cztery oczy.

– Kurczę, tato, jest niedziela, dopiero dziewiąta! Nie możesz w ten sposób zwałać się ludziom na głowę i...

– Okej – ostudził ją David, kończąc wzuwać mokasyn. – I tak wychodziłem.

Spojrzał na Paula z wyrzutem, a następnie pochylił się nad Louise, by ją pocałować.

– Do zobaczenia wieczorem. Dziś twoja kolej na spanie w domu.

Louise posłała mu blady uśmiech. Mężczyźni pożegnali się uściskiem dłoni. Chłodnym. David wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Dlaczego go nie lubisz? – zapytała Louise, gdy już byli sami. – David to dobry facet, ciągle się stara, żeby ci wyjść naprzeciw. W końcu mu się znudzi.

– Nie chodzi o niego, problemem jest ten jego zakład pogrzebowy. Przekazuje go swoim dzieciom, tak jak ten biedak, jego ojciec, przekazał go jemu. Trudno mi sobie wyobrazić, że moje potencjalne przyszłe wnuki do końca życia będą się zajmować pakowaniem mieszkańców Sagas do trumien, rozumiesz?

– Ty i te twoje wizje.

– Dobra, nie to jest powodem moich odwiedzin. Wracam z hotelu Falaise. Widziałem się z Tanchonem.

Zignorowała tę uwagę i głośno wgrzyła się w grzanekę. Paul oparł się dłonią o stół. Kubek z kawą zadrżał. Louise popatrzyła na otwartą książkę na srebrnym łańcuszku, którą podetknął jej pod nos.

– W środku była karta z kamery Julie. Czy muszę ci opowiadać o jednym z dwóch filmów, które się na niej znajdują?

Louise natychmiast przerwała przeżuwanie. Zrobiła się czerwona jak piwonia. Powolnym ruchem przyciągnęła do siebie wisiołek, wsunęła palce do tajnego schowka.

– Kto... kto go widział? – wyjąkała.

– Nikt oprócz mnie i Tanchona. Na razie.

Zerwała się z miejsca. Odwróciła się do ojca plecami i oparła o blat. Nie była w stanie udźwignąć jego spojrzenia. Paul nic nie mówił i stali tak jakieś trzydzieści sekund, które trwały wieczność. To on postanowił przerwać milczenie.

– Dlaczego? – zapytał po prostu.

Louise zrobiła głęboki wdech i stanęła przodem do niego.

– Dlaczego? Bo byliśmy siedemnastoletnimi dziewczynami mieszkającymi w Sagas. Dlatego. W Sagas, tato, nie w Lyonie, nie w Chamonix, nawet nie w Cluses, ale w Sagas. W Sagas, z jego więziami, fabrykami i depresyjnymi mieszkańcami. Z tą jego pieprzoną czarną śmiercią, przez którą musimy łykać witaminy, jeśli nie chcemy skończyć na wózku z osteoporozą. Dlatego.

– I uważasz, że to usprawiedliwia twoje działania? Nie chodzi mi o to, że nie mając osiemnastu lat, sypiałaś ze starszym mężczyzną. To jeszcze mógłbym przełknąć, nawet jeśli to dla mnie nie do zniesienia... A swoją drogą, ciekawe, czy David by to pochwalił. Ale szantaż? Wyłudzenie pieniędzy?

Wytarła wilgotne oczy rękawem swetra.

– Wiem, że to niczego nie zmienia, ale... to był jej pomysł.

– Oczywiście. Nie będzie mogła zaprzeczyć.

– Na początku nie chodziło o film, to przyszło później. Najpierw to był po prostu, ekhm, eksperyment. Chciałam tylko...

Umilkła i zabrała się do sprzątanía stołu, jakby jej ojciec nagle zniknął.

– Co chciałaś? Rozbić rodzinę? Zabawić się z dorosłym facetem, którego żona była dwa pokoje dalej? Ukarać mnie za to, że próbowałam cię wychować najlepiej, jak umiałem? Co to było, co? No już, mów!

Zacisnęła pięść na łyżce tak mocno, aż jej palce zbieleły.

– Zrobić to, co ona. Chciałam tylko zrobić to, co ona.

Paul potrzebował chwili na przyswojenie nowej informacji.

– Chcesz powiedzieć, że Julie spotykała się z kimś, kiedy zaginęła?

– Nie, nie wtedy. To było rok wcześniej, przed wakacjami dwa tysiące siódmego.

Siedziała teraz na krześle. Podobnie jak Paul wyglądała na zdruzgotaną.

– Tak, tato, Julie kogoś poznała. Gość był starszy, może koło pięćdziesiątki. Nie powiedziała mi, ile dokładnie miał lat, ale nie wiem czemu, zawsze myślałam, że coś koło tego.

Paul również usiadł. Już same wyznania jego córki zmieniały kierunek śledztwa.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co mi teraz opowiadasz?

– A jak myślisz? Właśnie dlatego milczałam. W tamtym czasie miałam związane ręce. Przez tę historię z szantażem Tanchona tak bardzo się bałam! I wstydziłam! Poza tym nie sądziłam, że... Przecież Julie przeżyła tamtą historię rok wcześniej, to było dawno, zbyt dawno, żeby to powiązać z jej zaginięciem. Kiedy zniknęła, ani przez sekundę nie myślałam, że to może mieć jakiś związek.

– Pokręciła głową. – Musiałam dorastać, dusząc to w sobie. Nie wyobrażasz sobie, ile razy chciałam ci o tym powiedzieć. Ale... to było za trudne. Zbyt upokarzające. Nie zniósłbyś tego.

Paul pochylił się do przodu. Ściszył głos, jakby się obawiał, że ktoś ich usłyszy.

– Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. Absolutnie wszystko.

Pokręciła głową.

– Niewiele więcej mam ci do powiedzenia. Nic nie wiedziałam o tym mężczyźnie: ani kim był, ani skąd się wziął. Nigdy go nie widziałam. A cała reszta to tylko stare, nic niewarte wspomnienia. To nie przywróci Julie.

– Mów.

Louise nieobecny wzrokiem wpatrzyła się w jakiś odległy punkt.

– To było w dwa tysiące siódmym, na początku lipca. Julie pracowała w hotelu Falaise. Tak się nudziłam, że prawie codziennie przyjeżdżałam tam na rowerze i mniej więcej godzinę czekałam w recepcji, aż skończy pracę. Ty

zawsze miałeś kupę roboty na posterunku, żegnałeś się ze mną rano i wracałeś wieczorem, nawet nie pytając, co robiłam całymi dniami. Miałeś to gdzieś.

– Nie zrzucaj winy na mnie.

– Taka prawda. Ale nie o tym rozmawiamy. Kiedy wyjechaliśmy na miesiąc na wakacje do dziadków, od połowy lipca do połowy sierpnia, między mną a Julie było jeszcze okej. Byliśmy razem w Argelès, pamiętasz?

Paul skinął głową.

– Niecierpliwie czekałam, żeby znowu się z nią spotkać. Miała skończyć pracę, mogliśmy razem spędzać czas przed powrotem do szkoły. Ale wszystko się zmieniło. Spotykała się z jakimś nieznanym facetem i nie chciała mi nic powiedzieć. Domyślałam się tylko, że gość nie jest z naszej szkoły, że jest o wiele starszy i że mogłaby mieć kłopoty, gdyby zaczęła o nim mówić. Był dla niej jak drogocenna tajemnica, tabu, zakazany owoc. Myślę, że bardzo jej na nim zależało.

Paul nie chciał sobie wyobrazić, w jakim stanie byłby Gabriel, gdyby się o tym dowiedział. Słuchając córki, kapitan zastanawiał się, jak sobie poradzi z tym pierdzielnikiem.

– Spotykała się z nim w ciągu dnia. Kiedy rodzice pytali ją, czym się zajmuje, mówiła, że jest ze mną albo że jeździ w górach na rowerze. W ten sposób nikt się niczego nie domyślił.

– On był z Sagas? Z okolic? Co tutaj robił? Gdzie Julie się z nim spotykała?

– Mówiłam ci, nie mam pojęcia. Strzegła go pilniej niż skarbu. Pod koniec sierpnia już się nie spotykałyśmy, była bardzo na dystans. A potem, we wrześniu, po rozpoczęciu roku szkolnego, uświadomiłam sobie, że musieli ze sobą skończyć. Kiedy poruszałam ten temat, była agresywna. Zamknęła się w sobie, okropnie się opuściła w nauce, tak że jej ojciec został nawet wezwany do szkoły. – Jej źrenice zrobiły się węższe. – Ale tak jak wszyscy niczego nie podejrzewał, zrzucił to na stres związany z końcem szkoły. A my więcej o tym nie rozmawialiśmy. Potem wszystko się ułożyło, z czasem znowu stała się taka, jaką znałam ją wcześniej.

Paul przypomniał sobie film nakręcony w lesie, łązy Julie.

– Ten wisiołek to prezent od niego?

Potwierdziła.

– Nosila go już, kiedy wróciliśmy z Argelès. Uwielbiała go. Powiedziała mamie, że kupiła go w sklepie jubilerskim Złota Gwiazda w Sagas. Nie wiedziałam, że ma jakiś mechanizm, a tym bardziej że schowała w nim kartę. Przez te wszystkie lata bałam się, że któregoś dnia ktoś znajdzie ten film.

Paul wstał i podszedł do ekspresu do kawy. Wsunął kapsułkę i wcisnął guzik. Próbował sobie wyobrazić zakazany związek między szesnastoletnią dziewczyną

a pięćdziesięcioletkiem. Nieznajomego, który umawia się z nastolatką z Sagas, obiecuje jej cuda-niewidy, daje prezenty. Oczami wyobraźni widział, jak ten drań zapina łańcuszek na szyi Julie, jak jej ściemnia, że będą razem na wieczność i inne tego typu bzdety, w które mogą uwierzyć znudzone dziewczęta w dziurze zabitej dechami. Co było potem? Wyjechał nagle? Rzucił ją?

– Szlag, Louise. Nie przyszło ci do głowy, że ten gość był klientem hotelu? Przyjezdnym spotkanym podczas sprzątanego pokoju czy wydawania śniadań, który ją uwiódł? Może gdybyśmy się o tym dowiedzieli od razu, moglibyśmy przejrzeć papierowy rejestr gości Tanchona z lipca dwa tysiące siódmego. Przesłuchać jego i jego żonę. Poznać tożsamość tego nieznajomego. A teraz już tego wszystkiego nie ma. – Paul sięgnął po swoją filiżankę, wciąż pogrążony w myślach. – A jeżeli ten gość miał coś wspólnego z szarym fordem i Wandą Gershwitz? A jeżeli był kluczem do naszego śledztwa? Gdybyś tylko nam powiedziała! Ta sprawa niszczy nas od dwunastu lat. A ty...

Nie odezwała się, strzepnęła tylko okruszek z palca. Paul położył przed nią tablet i włączył odtwarzanie drugiego filmu.

– Wiesz, co jest w tym metalowym pudełku? Poznajesz to miejsce?

Louise uważnie popatrzyła na przesuwane się obrazy, po czym pokręciła głową.

– Przykro mi. Może to jedna z tych ścieżek w górach, po których jeździła na rowerze? Powinieneś zapytać jej ojca, zdarzało im się jeździć razem.

Zadzwoił telefon Paula. Na wyświetlaczu ukazało się nazwisko Daméus. Nie odebrał. Jednym haustem wypił kawę, a kiedy odstawiał filiżankę, uświadomił sobie, jak bardzo trzęsą mu się ręce.

Uspokój się, nakazał sobie, a przede wszystkim przestań w siebie wlewać tę kawę albo zejdziesz na zawał. Spojrzał na córkę. Była przestraszona. Gdyby Corinne dowiedziała się o całej sprawie, nie wybaczyłaby mu. Jego małżeństwo mogłoby się rozsypać na dobre. A co do sprawy Moscato, to jeśli zostanie ona wznowiona i istnienie tego filmu wyjdzie na jaw, Louise wyleci z żandarmerii. A wszystko przez cholerny seks sprzed odległych dwunastu lat!

Sięgnął po tablet, przytrzymał ikonkę, aż pojawił się krzyżyk. Chwilę później filmik nakręcony w hotelu zniknął w cyfrowej otchłani. Louise zacisnęła usta i patrzyła na niego bez słowa. Zastanawiała się, jak wiele ten gest kosztował jej ojca.

– Zajmę się też kartą pamięci – powiedział cicho. – Wrócę do Tanchona, żeby mieć pewność, że będzie milczał. Tak czy owak, jest to w jego interesie. A ty nigdy więcej nie możesz wspominać o tym, co mi przed chwilą powiedziałaś. Nikomu.

Louise powoli pokiwała głową. Z jej ust nie padło ani jedno słowo.

– Jeśli kiedyś historia związku Julie z tamtym mężczyzną wyjdzie na jaw, nic o niej nie wiedziałas. Spędzaliśmy wakacje w Argelès, niewiele ją widywałas tego lata, była skryta. A w ogóle to już nie pamiętasz, to było zbyt dawno. Sprytnie ukrywałas tę tajemnicę przed nami przez tyle lat. Wystarczy, że będziesz to robić dalej.

Spuściła wzrok. Paul ruszył do wyjścia. Z ręką na klamce spojrzał na nią ostatni raz i rzucił chłodno:

– Nie masz pojęcia, jak okropnie mi wstyd.

Przesłuchanie Gabriela w obecności adwokata z urzędu poszło szybko i zakończyło się przed trzynastą. Pod koniec Paul obwieścił, że sprawa włamania do domu Eddy'ego Lecointre'a będzie miała dalszy ciąg w sądzie, i zakończył czasowe zatrzymanie. Poprosił Moscato, by zaczekał w jego biurze, a sam odprowadził adwokata do wyjścia. Kiedy wrócił, zastał Gabriela stojącego przed tablicą ze zdjęciami.

– Nawet się nie odezwał – powiedział Paul, rozbawiony. – Żandarm w roli oskarżonego: takie przypadki nie zdarzają się codziennie. Siadaj.

Gabriel wykonał polecenie. Po nocy spędzonej na ławce bolały go plecy. Był tak oszołomiony doświadczeniem świadomego snu, że później nie zmrużył już oka. Gdy zamykał powieki, nadal widział twarz córki i słyszał jej głos. Zachował to dla siebie i zerknął w prawo: pokój Louise był pusty, podobnie zresztą jak prawie wszystkie inne. Na pewno nie powiedziała ojcu o jego osobliwej nocnej prośbie związanej z Mathilde Lourmel.

– Rano wpadłem do domu sędziego Cassoreta i zdałem mu relację z przebiegu śledztwa w sprawie zwłok na brzegu – poinformował go Paul. – Niedziela nie jest idealnym dniem, ale od kiedy wytłumaczyłem mu, jak wybierać muchy do wędkowania, ma wobec mnie dług wdzięczności. Musieliśmy podjąć decyzję co do twojej osoby. Był gotów rzucić ci się do gardła jak rozwścieczony buldog, ale przedstawiłem mu ze szczegółami prawdopodobny scenariusz tego, co się wydarzyło w noc morderstwa. Cassoret potrafi mnie słuchać i ma do mnie względne zaufanie.

Gabriel potarł zarosnięty podbródek. Policzki Paula również porastała szczecina: nie ogolił się nawet na spotkanie z sędzią i wyglądał jak zdjęty z krzyża.

– Wyniki badań DNA nasienia pobranego z ciała ofiary przyszły wczesnym rankiem. Nie ma wątpliwości: to twoja sperma.

Moscato osunął się na krześle.

– Wiesz, jaką moc ma DNA. To król dowodów – mówił dalej Paul. – Niektóre stany USA się nie obcyndalają i na jego podstawie nadal skazują ludzi na strzykawę. Ale czy materiał biologiczny znaleziony na miejscu zbrodni albo na zwłokach automatycznie wskazuje na mordercę? Oto jest pytanie. Od tego jesteśmy my, detektywi. Oddzielamy prawdę od fałszu, gromadząc ślady, które pozwalają odtworzyć wypadki sprzed śmierci.

Odczepił wszystkie zdjęcia od tablicy i ułożył z nich stosik na biurku.

– Ty, były żandarm, zostawiasz swój materiał genetyczny na miejscu zbrodni: to nie ma sensu. Wiem, że straciłeś pamięć, ale nie stałeś się kretynem. Przynajmniej tak mi się zdaje. – Sięgnął po marker i wielkimi literami napisał na tablicy: „Wanda Gershwitz”. – Dałbym sobie rękę uciąć, że to ona jest bezimienną ofiarą znaną nad rzeką. Wyjaśnię ci hipotezę, która od wczoraj zaprzęta mi głowę. Trzymaj się, bo to jest prawdziwa bomba. A na trop naprowadził mnie Walter Guffin.

– Walter Guffin – powtórzył Gabriel, oszołomiony.

– Nie wiem kiedy i jak, ale wyobraź sobie to: pewnego dnia wreszcie znajdujesz kobietę zamiesznaną w porwanie twojej córki, Wandę Gershwitz, której szukaliśmy przez tyle lat. Na pewno może ci udzielić jakichś odpowiedzi. Ale czy wie dokładnie, gdzie jest Julie? Czy jest tylko pomocniczką, zwykłym trybikiem w maszynie? Upłynęło sporo czasu, co nie pomaga w dojściu do prawdy. Masz dwa wyjścia. Pierwsze: dopadasz ją i bijesz z nadzieją, że uzyskasz jakieś informacje, ale jest duże prawdopodobieństwo, że ci się nie uda. Sposób działania Eddy’ego Lecointre’a, rozumiesz. I drugie, bardziej na miękko: wpełzasz do jej świata jak wąż, który owija się dookoła ofiary. – Paul podał mu zdjęcie nagich pleców denatki. – Dziewczyna ma tatuaż bratwy, rosyjskiej mafii. Kowboj oznacza, że jest najemniczką specjalizującą się w brudnej robocie. Bardzo możliwe, że nie znała całego planu; właśnie dlatego te grupy tak trudno rozpracować. Możliwe też, że po dwunastu latach organizacja już nie istnieje. W takich sytuacjach grupy się rozdzielają, a ich członkowie wracają do uporządkowanego życia i nie mają ze sobą żadnego kontaktu. Zanim przeszedłeś do działania, musiałeś zasięgnąć informacji, ponieważ wybrałeś drugą opcję. Bicie jej na pewno nic by nie dało.

Rosyjska mafia. Słuchając tych rewelacji, Gabriel czuł się jak okładany ciosami worek treningowy. Dlaczego tacy bandyci zainteresowali się jego córką? Dokąd zabrali Julie? Dla kogo pracowali?

Nad napisem „Wanda Gershwitz” Paul umieścił kolejny: „Walter Guffin”.

– Nie mogłeś sobie pozwolić na zaczepienie jej pod prawdziwym nazwiskiem. Możliwe, że widziała cię w dwa tysiące ósmym, kiedy śledziła Julie, a może w telewizji albo w gazecie, kiedy sprawa trafiła do mediów.

Stworzyłeś sobie więc nową tożsamość. Ogoliłeś głowę, wywabiłeś tatuaż z imieniem córki, zapuściłeś brodę, założyłeś oszukane okulary i twoja gęba wyglądała zupełnie inaczej. Jesteś o dwanaście lat starszy, nie ma szans, żeby cię rozpoznała. Przeprowadziłeś się do robotniczej dzielnicy w Lille, może żeby się do niej zbliżyć, a może dla jeszcze lepszego kamuflażu. Trzy miesiące temu załatwiłeś sobie fałszywe papiery i zostałeś Walterem Guffinem, z inicjałami takimi samymi jak Wanda Gershwitz, żeby ją ograć w jej własną grę. Ryzykowne, ale ty bardzo lubisz ten rodzaj ryzyka. Wyruchała nas wszystkich, teraz więc ty wyruchasz ją. Pod każdym względem.

Gabriel podniósł się z krzesła. Stali teraz naprzeciw siebie, zamyśleni jak za dawnych czasów.

– Czyli że niby wszedłem w związek z jedną z osób, które brały udział w porwaniu mojej córki.

– Tak. Jasne, to gorsze niż strzelić sobie w stopę, ale na pewno właśnie tak zrobiłeś. To był jedyny sposób, by przeniknąć do serca organizacji.

– Infiltracja.

– Tak, coś w tym stylu, stąd fałszywe papiery, na wypadek gdyby ktoś cię namierzył albo za twoimi plecami grzebał ci w dokumentach. Nie da się jeszcze wypełnić dziur między tym okresem a twoim przyjazdem do Sagas, ale nadszedł taki moment, kiedy postanowiłeś zabrać tę kobietę w miejsce, gdzie wszystko się zaczęło. Może jej naściemniałeś o romantycznym weekendzie w górach? Tylko wy dwoje, jedziecie sobie spokojnie mercedesem: autostrada, drogi krajowe. I nagle w środku nocy zajeżdżasz pod ten sam hotel, wynajmujesz ten sam pokój, w którym mieszkała lata temu. Czy kiedy zobaczyła tablicę „Sagas”, zorientowała się, że to pułapka? Czy podczas ostatnich kilometrów usnęła? Bez trudu mogę sobie wyobrazić jej minę, kiedy zrozumiała, gdzie jest!

Gabriel nie był w stanie niczego potwierdzić, ale wiedział, że Paul dobrze to wymyślił. Wszystko doskonale trzymało się kupy.

– Czy bzykaliście się, zanim wjechaliście do Sagas? Przed wyjazdem? A może w aucie, na postoju przy autostradzie, jak zakochani? Świeża sperma ma długą datę ważności, podczas sekcji nie da się dokładnie określić pory stosunku seksualnego, jeśli odbył się w ciągu ostatnich dwunastu godzin. No dobra... –

Paul otworzył drzwi metalowej szafy i wyjął z niej wisiołek z zamkniętą książką. – Wreszcie nadchodzi chwila konfrontacji.

Oczy Gabriela załśniły.

– Miała to na szyi, tak? Przez te wszystkie lata nosiła wisiołek mojej córki. Dlatego Lecointre wyciągnął go spod łóżka.

Paul z przekonaniem pokiwał głową.

– Tak jest. Zaczęliście się kłócić. Zerwałeś łańcuszek, przyparłeś ją do muru. Nie wiem, co ci konkretnie powiedziała albo co zrobiła, ale może właśnie wtedy upadłeś na łóżko. Wisiolek, hotel, Wanda: to musiało być za dużo dla twojego mózgu. Czy zemdlałeś? Czy byłeś świadomy, ale kompletnie zdezorientowany? Jak Wanda zinterpretowała to, co się działo? Czy zdała sobie sprawę, że doznałeś amnezji? Jedno jest pewne: musiała się zmyć. Zabrała rzeczy, ukradła ci portfel i uciekła przez drzwi wychodzące na parking.

– Drzwi były otwarte. Kiedy wstałem, żeby popatrzeć na ptaki, były otwarte.

– Ale dlaczego nie zabrała twoich kluczyków? Jak zamierzała się wydostać z miasta? Myślę, że wzięta z zaskoczenia, po prostu straciła głowę. W pośpiechu podejmowała niewłaściwe decyzje. I to nas prowadzi do pary skarpet, którą miała w ustach.

Gabriel zmarszczył brwi. Pogrzebał w kupce zdjęć, przyjrzał się zbliżeniu pokiereszowanej twarzy i tkaninie wciśniętej między wargi.

– Wyjaśnij mi to.

– Ktoś wcisnął jej skarpetki do ust po śmierci. Moim zdaniem sadysta, który ją zabił, chciał zwalić to morderstwo na ciebie.

Gabriel pokręcił głową

– Nie nadążam.

Paul położył torebkę z lokalizatorem GPS koło wisiora.

– Właściciel tego urządzenia... Żeby nie przedłużać: śledził was, odkąd wyjechaliście z północy, kręcił się w pobliżu. Czy został na parkingu, żeby was pilnować? W każdym razie kiedy ty odleciałeś, on przejął Gershwitz. Może to ona mu o wszystkim opowiedziała, a może od dawna wiedział, kim naprawdę jesteś, nie mam pojęcia. Następnie zabrał Gershwitz do własnego samochodu, mówiąc jej, że ją z tego wyciągnie. Rusza i zaczyna się rozglądać za odludnym miejscem. Przyjeżdża pod zakład utylizacji odpadów. Grożąc Gershwitz bronią, każe jej zdjąć buty i skarpetki i wysadza ją bosą na kamienie.

– Dlaczego miałyby coś takiego zrobić?

– Bo jest jebnięty? Bo go to śmieszy i chce się zabawić, zanim ją wykończy? Zrobiłem wywiad, goście z rosyjskiej mafii są kompletnie stuknięci, to psychopaci. Kobieta biegnie, wykręca kostkę, jest bezbronna i nie może dalej uciekać. Tamten zmusza ją do połknięcia szachowej wieży, może dlatego, że szachy były ulubioną grą twojej córki, a może po prostu dlatego, że go to bawi. Zabija ją dwoma strzałami, a potem pozoruje gwałt: knebel, zdjęte ubrania, siniaki na udach, krwawienia wewnętrzne wskutek penetracji gałęzią, które mają sugerować brutalny stosunek. W tym momencie z pobliskich drzew podrywają się ptaki i zaczynają się zderzać w locie. Jest około drugiej w nocy.

Gabriel z trudem wyobrażał sobie tę scenę: gość wpychający gałąź do pochwy ofiary pod gradem martwych ptaków. Szpaki nie przeszkodziły mu dopieścić zbrodni, ale być może przez nie musiał się śpieszyć i dlatego popełniał błędy.

– Ty byłeś w hotelu. Wyszedłeś z pokoju. Mówiłem ci już, że dysponuję wiarygodnymi zeznaniami twojego sąsiada, więc jesteś niewinny. Możesz podziękować tym ptakom. Gdyby nie one, miałbyś o wiele większy problem. –

Paul na kilka sekund jakby powędrował myślami gdzie indziej, po czym kontynuował wątek: – Widzę tylko jeden powód, dla którego morderca Gershwitz nie zamordował też od razu ciebie: wiedział, że nic nie wiesz. Odnalazłeś Wandę, ale to wszystko. A trop Wandy prowadzi donikąd. Dowodzi tego fakt, że wróciłeś do Sagas, ponieważ nie miałeś już innych pomysłów. Morderca o tym wie i zostawia nam jej ciało, choć mógłby to urządzić tak, że nigdy byśmy go nie znaleźli.

– Zamiast mnie zlikwidować, wysłała mnie na resztę życia do więzienia. Ponieważ na ofierze są ślady mojej spermy, nie mam praktycznie szans się wywinąć. – Gabriel odrzucił głowę do tyłu. – Łał.

– Cassoret powiedział coś podobnego. Chce więcej szczegółów, sprawozdań i dowodów na taki przebieg zdarzeń, ale psiakrew, Gabriel, są całkiem spore szanse, że to wszystko: morderstwo, wisiołek, nowa wiadomość pozostawiona w elektrowni, pozwoli skojarzyć te sprawy i ponownie otworzyć śledztwo w sprawie Julie. Myślę, że trzeba będzie wysłać kogoś do elektrowni, żeby porobił zdjęcia ostatniego napisu.

Gabriel potrzebował chwili, żeby uporządkować nowe informacje. Przypomniał sobie słowa, które wypowiedziała przez telefon jego matka: „Powiedziałeś mi tylko, że może wreszcie znajdziesz odpowiedzi. Że dowiesz się, co się stało z moją wnuczką”. W co on się wplątał? Spojrzał na leżący przed nim lokalizator GPS i zadrżał. Odruchowo dotknął szyi. Klucz na sznurku, skonfiskowany na czas zatrzymania... Sejf ukryty u matki. Czyżby miał przecucie, że jest obserwowany? Z zamyślenia wyrwał go głos Paula.

– Będziemy musieli odtworzyć przebieg ostatnich tygodni. Dowiedzieć się, kim jest ta dziewczyna i w jaki sposób do niej dotarłeś.

Gabriel skinął głową.

– Cassoret się pienił, kiedy mu powiedziałem o twoich fałszywych papierach, ale jest gotów na razie nie zajmować się twoim wybrykiem. Nie oznacza to, że o nim zapomni, ale priorytetem jest rozwikłanie tego pierdzielnika, który od ponad dwunastu lat zatruwa miasto. Muszę jeszcze podpisać kilka papierków, ale potem będziesz mógł stąd wyjść jak wolny człowiek. Byłoby idealnie, gdybyś pozostał do naszej dyspozycji i dostarczał nam wszystkich potrzebnych

informacji, w charakterze kogoś w stylu świadka koronnego. Dasz nam wgląd do twojego konta w banku i abonamentów na internet i telefon. Jutro wrócisz do Lille, rzucisz okiem na papiery, które tam masz, i przekażesz nam wszystko, co mogłoby pomóc w śledztwie. Oczywiście jeśli coś ci się przypomni, chcielibyśmy być o tym poinformowani jako pierwsi. Wchodzisz w to?

– Jeszcze pytasz. Jeśli to może pomóc w odnalezieniu Julie...

– Świetnie.

Gabriel z wdzięcznością popatrzył na eksprzyjaciela i ekspartnera.

– Po raz kolejny uratowałeś mi tyłek. Nie musiałeś.

– Nie chodzi o współczucie, ale o prawdę. Nie robiłem niczego innego poza szukaniem prawdy – rzucił i spuścił wzrok, z pewnością po to, by Gabriel nie zobaczył pęknięć w jego pancerzu. – Masz za sobą paskudną noc i sporo emocji od rana, ale chciałbym ci pokazać jeszcze jedną rzecz.

Pod uważnym spojrzeniem Gabriela wykonał serię ruchów niezbędnych do otwarcia książki. Oczom osłupiałego mężczyzny ukazał się tajny schowek.

– Czy to jest... karta pamięci?

– Tak jest. Odkrycie tej przegródki zawdzięczamy technikowi z naszego laboratorium.

Wsunął ją do czytnika i odwrócił monitor.

– Był na niej tylko jeden film. Twoja córka uwieczniła na nim trasę do miejsca, w którym najprawdopodobniej zakopała ważny dla siebie przedmiot. I z założenia nie chciała, żeby ktokolwiek znalazł tę kryjówkę.

Gabriel obejrzał film w milczeniu, pochylony, z dłońmi wspartymi o biurko. Kiedy ujrzał Julie taką, jaką ją zapamiętał, o mało się nie rozplakał. Patrzył na jej smutek, jej łzy, które były dla niego jak dźgnięcia w samo serce.

Gdy zobaczył ujęcie panoramiczne, wstał, na chwilę zapominając o zdarzeniach minionych godzin.

– Wiem, gdzie to jest.

– Gdzie?

Pokręcił głową.

– Myślisz, że pozwolę ci tam pojechać beze mnie? Chcesz wiedzieć? To mnie tam zabierz.

– Okej. Ale nie będziemy się bawić w Starsky’ego i Hutch’a. Nawet jeśli jest tu niewiele ludzi, nie chcę, żeby widywano nas razem. Odbierzesz z depozytu swoje rzeczy i zmyjesz się stąd razem z samochodem. Za godzinę czekaj na mnie jakieś sto metrów od hotelu Falaise. Odkopimy przeszłość.

Ostatnie domy w Albion, które oznaczały koniec cywilizacji na tym zbocz, znajdowały się na jedenastym kilometrze. Minąwszy je, terenówka Paula wjechała na drogę gruntową. Sunęli teraz płaskowyżem porośniętym porudziłą już trawą, w której krzątały się tłuste świstaki gromadzące zapasy na zimę. Gabriel spojrzął na górskie szczyty, które cięły niebo jak nożyce przy dźwiękach *House of the Rising Sun* płynących z samochodowego radia.

– Johnny nie żyje. Jakie to smutne. Wyobrażam sobie, jaki wstrząs musiałem przeżyć, kiedy dotarła do mnie ta wiadomość. A teraz po trzech latach znowu ją słyszę. Podwójny ból.

Paul skręcił w kierunku wskazanym przez pasażera. Samochód ruszył w dół ku nieregularnej granicy modrzewiowego lasu: drzewa miały barwę butelkowej zieleni i onyksu.

– Działy się też weselsze rzeczy, jak nasze zwycięstwo w pucharze świata w dwa tysiące osiemnastym. Hmm... Faktycznie, więcej nie pamiętam. Nigdy nie pokazują, co idzie dobrze. Za to złym wiadomościom nie ma końca. Na okrągło zamachy, katastrofy naturalne, ocieplenie klimatu, kryzysy społeczne. No i polityka, jedno gówno. Cóż, pod tym względem wiele nie straciłeś, wcześniej było tak samo.

Gabriel zastanawiał się, dokąd zmierza ten świat.

– Czuję się zagubiony. Jestem jak podróżny bez bagażu: ktoś wysadził mnie przy wjeździe do Sagas i kazał sobie radzić. Nie ma we mnie nic, żadnych wspomnień, żadnych odczuć, które odsyłałyby mnie do tych lat trudu i cierpienia, przez jakie musiałem przejść. Jak to jest przeżywać rocznicę zaginięcia własnej córki? Nie mieć grobu, nad którym można by płakać? Jak można było coś takiego zapomnieć?

Oparł głowę o szybę, zobaczył swoje odbicie i pomyślał o lustrze z nocnego koszmaru. Czekając w hotelu na Paula, szukał w internecie informacji na temat snów. W końcu trafił na to, co go interesowało: świadome śnienie. Podczas

takiego doświadczenia świadomość przenika do nieświadomości i drzwi całego wypieranego na jawie świata się otwierają. Gabriel był pewien, że ostatniej nocy przekroczył tę granicę i miał dostęp do zdarzenia, które przeżył i zakopał głęboko na dnie swojej pamięci.

– Jedyne, czego jestem pewien, to że nigdy nie przestałem szukać Julie – powiedział. – Czuję to w trzewiach. Jakby... jakby to płynęło w moich żyłach. Ale poza tym? Kim jestem? Jak wygląda moja codzienność? Czy któregoś dnia odzyskam pamięć? Będę miał normalne życie?

Paul nie potrafił mu odpowiedzieć. Były kolega wpadł do jego świata bez uprzedzenia, jak meteoryt.

– W końcu sobie przypomnisz.

Po jakimś kilometrze Gabriel wskazał na prześwit wśród drzew, za którym można było się domyślać ścieżki.

– Jeździliśmy tędy na rowerach, kiedy Julie chciała mnie wykończyć. Była taka pełna energii. Jeśli te wspomnienia, które mi jeszcze zostały, nie kłamią, ścieżka prowadzi stromo pod górę, wypłaszcza się, a potem biegnie prosto do grzbietu. Skały widoczne na filmiku są przed samą granią.

Paul rzucił okiem na podejście: jakieś trzysta metrów, do wytrzymania. Zaparkował i sięgnął do bagażnika po plecak. Niebo wisiało nad nimi jak całun w kolorze rtęci, ale nie padało.

– Dasz radę z tą nogą? – zaniepokoił się Gabriel.

– Ślepi widzą, a chromi chodzą, jak mówi nie pamiętam już kto w Biblii. Więc dlaczego ja miałbym nie dać rady?

Żandarm zarzucił plecak na ramiona, kiedy w kieszeni rozdzwonił mu się telefon. Cédric Daméus skończył wreszcie badania DNA materiału zebranego na wisiorku. Paul wysłuchał go, a następnie przekazał Gabrielowi, że nie udało się niczego ustalić: ślady były niewystarczające.

Ruchem podbródka zachęcił byłego kolegę, by go wyprzedził. Weszli w chłodny las i ruszyli pod górę, wpatrując się w cieniutką ścieżkę prowadzącą po ziemi, kamieniach i korzeniach. Gabriel odwracał się co pewien czas: Paul włókł się, ale szedł za nim bez słowa skargi, choć patrząc na jego ściągniętą twarz i na to, jak przy wejściu na każdy kamień opierał dłonie na kolanie, można było się domyślić, że cierpi.

Ścieżka nie miała nazwy i nie była oznakowana, ale Gabriel wiedział, że już tutaj był. To na niej Julie nauczyła go, jak jeździć w poślizgu albo odchyłać się do tyłu, żeby przenieść punkt ciężkości na stoku.

Po około pięćdziesięciu minutach dotarli do skały w kształcie menhiru. Wyrównali oddech, napili się wody z jednej butelki. Ich czoła ociekały potem.

Doszedłszy do siebie, Paul wyjął z plecaka tablet i włączył odtwarzanie filmiku, by znaleźć miejsce, z którego Julie zrobiła ujęcie panoramiczne.

Gabriel pierwszy zauważył drzewo. Pełen emocji pogładził palcami wycięty w korze krzyż – bliznę, która miała go w jednej chwili przenieść do września dwa tysiące siódmego roku. Wyobraził sobie Julie stojącą tuż przed nim i nacinającą drzewo szwajcarskim scyzorykiem. Słyszał jej oddech. Niemal czuł jej zapach. Dlaczego płakała?

Chwycił składaną saperkę przytroczoną do plecaka, gotów – jak się wyraził Paul – odkopać przeszłość. Jego były kolega włożył lateksowe rękawiczki. Po pięciu minutach sztych natrafił na jakąś twardą powierzchnię. Przy następnym pociągnięciu mężczyźni ujrzeli błysk metalu.

Tajemniczy przedmiot sprzed dwunastu lat. Gabriel uklęknął i dokończył kopanie dłońmi. Z najwyższą ostrożnością chwycił stalowe pudełko, otrzepał je z ziemi i postawił przed sobą. Było kompletnie zardzewiałe, ale jeszcze nie dziurawe, istniała więc szansa, że zawartość będzie nienaruszona.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, jakby się zastanawiali, co zrobić. Paul sfotografował pudełko telefonem i również przyklęknął. Ujął w palce niemal sproszkowany maleńki zatrzask i pociągnął. Następnie uniósł pokrywkę i ich oczom ukazała się gruba torebka strunowa przypominająca woreczek na mrożonki. Wyjął ją na zewnątrz.

W środku znajdował się notatnik w zniszczonej oprawie. Wyglądało na to, że mimo plastikowej osłony upływ czasu dokonał dużych spustoszeń. Paul podał Gabrielowi rękawiczki. Tamten włożył je i dotknął notatnika.

– Ostrożnie – przestrzegł go Paul. – Jeżeli papier się pokruszy albo podrze, to będzie koniec.

Kartki były posklejane, niektóre zrobiły się twarde jak papirus. Julie najwyraźniej pisała piórem wiecznym: niebieski atrament rozlał się lub wyblakł. Pierwsze strony – poza kawałkami słów albo urywkami zdań – były nieczytelne. Udało się jednak odcyfrować niektóre daty na górze.

– Siedemnasty lipca dwa tysiące siódmego, dwudziesty pierwszy lipca... O, a tutaj dwudziesty trzeci – szepnął Gabriel. – Może to coś w stylu pamiętnika, który założyła latem dwa tysiące siódmego. Wygląda na to, że pisała w nim co dwa, trzy dni.

Paul wyciągnął rękę.

– Daj. Zaniosę go technikowi z laboratorium. Nadal nie mamy specjalnej jednostki do badania śladów technologicznych i dokumentów, ale może spróbują na to zerknąć. Jeśli trzeba będzie czegoś więcej, wyślemy to do Écully.

Gabriel starał się odczytać słowa widoczne spod rozlanego atramentu i plam wilgoci.

– „...przy nim...”, „...z niecierpliwością na spotkanie...”, „...odgadnąć, co lubi, jest tajemni...”. – Podniósł oczy na żandarma. – Jezu, Paul, ona się z kimś spotykała.

Kapitan, który tego ranka wysłuchał rewelacji Louise, niczego po sobie nie pokazał.

– Pewnie jakaś wakacyjna miłość? – rzucił. – Ktoś z liceum, jakiś kolega z Sagas. W tym wieku to normalne.

Gabriel pokręcił głową. Siedział oparty o drzewo.

– Nie, Julie miała już chłopaków i zawsze nam ich przedstawiała... Swoją drogą, często za szybko. Tamtego lata tak nie było. Za to w zeszycie raz po raz pojawia się słowo „hotel”, częściowo zamazane, ale widać, że o nie chodzi. Julie pracowała w hotelu Falaise przez cały lipiec dwa tysiące siódmego. Może mężczyzna, o którym mówi, był klientem? Bo jak inaczej by go poznała? –

Kiedy podniósł wzrok na korony drzew poruszane wiejącym w górze wiatrem, jego oczy się rozjaśniły. – No i ten wisiorek. Twierdziła, że go kupiła. Teraz jestem pewien, że to on go jej dał. Dlatego skłamała. Spotykała się z kimś i nikt o tym nie wiedział. Przegapiliśmy to, Paul.

Znowu zaczął przeglądać zeszyt. Szelest pożółkłego papieru. Na wyciętej kartce naklejonej na jedną ze stron znalazł rysunek pozycji szachowej – z szachownicą i starannie odwzorowanymi figurami. Poniżej podpis: „Nieśmiertelna Kasparowa”.

– To nie jest pismo mojej córki – szepnął.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. To nie ona napisała „Nieśmiertelna Kasparowa”.

Paul stwierdził, że jego były kolega ma rację. Inaczej niż na poprzednich stronach pismo było staranne, eleganckie i regularne, a atrament czarny.

– Julie opowiadała o „nieśmiertelnych” partiach szachów – przypomniał sobie Gabriel. – To najbardziej spektakularne rozgrywki wielkich graczy, które przeszły do historii.

Przeglądał dalej. Trafił na serię wykonanych z talentem szkiców czarnym tuszem. Pierwszy przedstawiał istotę złożoną z dwóch męskich postaci, bliźniaków – jeden się uśmiechał, drugi miał przerażający wyraz twarzy i czarną bródkę, jak diabeł – zrosniętych na wysokości mostka. Poniżej podpis wykonany tym samym nieznanym charakterem pisma: „xiphopagus”. Kolejne strony pokrywały niesłychanie skomplikowane labirynty, które ktoś próbował pokonać: niepewna niebieska kreska błędziła wąskimi korytarzami, skręcała, zawracała. Dalej Julie kilkaset razy skopiowała to samo zdanie: „Jak wyjaśnić obrazy martwemu zającowi?”.

– Co to ma być?

Kawałek dalej Gabriel znalazł kolejne szkice: przedstawiały Julie nagą z wisiorkiem na szyi, w prowokujących pozach. Leżącą na łóżku z rozłożonymi nogami. Na czworakach. Z opaską na oczach, z otwartymi namiętnie ustami. Tusz, z pewnością dobrej jakości – może chiński – oparł się upływowi czasu.

– To ona. To moja szesnastoletnia córka. Co za pierdolony zbok mógł narysować coś takiego? Co za łajdak ośmielił się ją tknąć?

Paul milczał. Pochylony nad Gabrielem, zaglądał mu przez ramię. Były żandarm nie zatrzymał się dłużej nad tymi nieznośnymi obrazami. Kiedy przewrócił kartkę, ukazała się lista słów zapisanych przez dwie różne osoby, na przemian, jakby chodziło o zabawę, w której uczestnicy przekazują sobie długopis po każdej odpowiedzi. Julie napisała „anna”, on „łamał”, ona „pop”, on „towot”, ona „radar”, on „owocowo” i tak dalej.

– Palindromy.

Paul spojrzał w górę zbocza, aż do odległego miejsca, gdzie drzewa wyglądały jak czarna, nieprzenikniona ściana.

– Jak w elektrowni. Kurwa, co to wszystko ma znaczyć?

Gabriel się zamyślił. Paul miał rację, to było niepojęte. Słowa z zeszytu i te zapisane na ścianie hali dzieliło ponad dziesięć lat.

– To znaczy, że latem w dwa tysiące siódmym moja córka poznała mężczyznę, który miał coś wspólnego z jej porwaniem. Faceta, który tak jak ona kocha szachy, ma piękne pismo, zaprasza ją do zabaw intelektualnych, daje zadania do rozwiązania. Pasjonata skomplikowanych mechanizmów i logiki, a przy tym łajdaka, który rysuje ją w poniżający sposób. Czy ten zwyrol zmuszał ją, żeby to robiła? Zmuszał ją do stania na czworakach? Do uległości?

– To tylko rysunki. Nie wiemy tego.

– Nie rób ze mnie idioty. „Jak wytłumaczyć obrazy martwemu zającowi?” Kurwa, jak można przepisywać coś takiego na kilku stronach? Dlaczego to zrobiła? Za karę?

Gabriel przyjrzał się rysunkowi podwójnej postaci bliźniąt syjamskich i wyobraził sobie intelektualny wpływ dojrzałego mężczyzny na młodą dziewczynę: jak mógł nią manipulować, omotać ją, zwabić w swoją sieć. Wrzało w nim na myśl, że ktoś taki mógł zbrukać niewinność jego dziecka. Musiał się dowiedzieć, kim jest ten typ.

Przeglądał zeszyt dalej, trafił na kolejne listy tworzone na zmianę przez dwie osoby, tak jak pierwsza. Lista bohaterów powieści detektywistycznych, lista słynnych kryminalistów, lista narzędzi tortur, lista śmiertelnych broni, lista sposobów zabijania. On: „powieszenie”, ona: „utopienie”, on: „uduszenie”, ona: „otrucie”. Następna lista wywołała w nim odruch wymiotny: obejmowała

sposoby na pozbycie się zwłok. Ona: „zakopanie”, on: „spalenie”, ona: „rzucenie na pożarcie świniom”, „on: „Sodebin”.

– Sodebin? Wiesz, co to jest?

Paul pokręcił głową. Gabriel przeczuwał, że tamten gość to taktowny, wykształcony, dominujący mężczyzna, uwodziciel zdolny zahipnotyzować Julię. Co za mroczna osobowość mogła skłonić młodą kobietę do udziału w takich ponurych zabawach?

Wpisy obejmowały okres od lipca do sierpnia. Mimo stanu papieru Gabriel odcyfrował ślady namiętnego, ale toksycznego związku zbudowanego na uległości i manipulacji. Czyżby Julię zobaczyła w tym mężczyźnie sposób na transgresję?

Szukał nadaremnie, jego córka nigdzie nie wspomniała o jakimś konkretnym miejscu czy imieniu. Zawsze nazywała go zaimkiem: „on”, „jemu”. Jakby się bała, że ktoś w końcu znajdzie ten zeszyt. Chciała go chronić. Gdzie się spotykali? Jak często? Jak zdołała ukryć tę relację?

Pod koniec ton się zmienił. Gabriel w myśli uzupełniał brakujące fragmenty. „Zachowuje się coraz dziwniej...”, „Chciałby, żebym rzuciła wszystko i wyjechała razem z nim...”, „Jestem sama...”, „Przeraża mnie...”.

I ostatnie czytelne linijki zeszytu: „Ciągle i ciągle nowe zagadki do rozwiązania. Oszalał z tymi labiryntami. Opowiada mi o morderstwach, o sposobach opisu rozkładających się zwłok. Ma na tym punkcie obsesję. Nie chcę go więcej widzieć...”. Wpis pochodził z września dwa tysiące siódmego. Data dzienna była nieczytelna, ale Julię musiała zanotować te słowa tuż przed zakopaniem pudełka.

Położył sobie zeszyt na kolanach, oparł głowę o pień i podniósł wzrok na czarne korony modrzewi.

– To on, Paul. Jestem pewien, że to on za tym wszystkim stoi. Chciał ją zabrać i nie mógł znieść tego, że z nim nie pojechała. Dopadł ją kilka miesięcy później. Szary ford, Wanda Gershwitz. Mówiłeś o najemnikach. Oni działali na jego rozkaz.

Paul zaczął chodzić wte i wewte po wypłaszczeniu, tam gdzie przed dwunastu laty Julię postawiła swój górski rower i kamerę.

– Żadnych pochopnych ruchów, okej? Nic o nim nie wiemy.

Gabriel nie słuchał, pogrążony we własnych dociekaniach.

– Solenne mi mówiła, jakie zdania odtworzyliście na podstawie anonimowych listów. „Wiem, kto jest sprawcą”, „Wiem, gdzie ona jest”. Gość jest poinformowany o palindromach, wisiorce i całym kryminalnym uniwersum tego zeszytu. Te pieprzone palindromy mają nas doprowadzić do tego człowieka, ale jak?

Przypomniał sobie listę: Laval, Noyon, Abba, xanax. Chińszczyzna.

– Może widział ich razem tamtego lata? Wtrącił się w ich związek? Może zapoznał się z treścią pamiętnika? W każdym razie zamiast nam pomagać, postanowił nas jeszcze bardziej pognębić. Co może stać za takim działaniem? Gniew? Chęć zemsty? – Pytająco spojrzął żandarmowi w oczy. – Może Louise coś wie? To jej najlepsza koleżanka. Były nierozłączne.

Paul udał, że się zastanawia, po czym pokręcił głową.

– Nigdy mi o niczym nie mówiła, przecież gdyby było inaczej, drażyłbym ten trop. Pamiętam, że dużą część lata dwa tysiące siódmego spędziliśmy z Louise u moich rodziców w Argelès. A jeśli Julie była w... ekhm, skomplikowanym i dziwnym związku z dojrzałym mężczyzną, na pewno o tym nie rozpowiadała. Zresztą sama pisze, że się go boi, a jednak nie przyszła z tym do ciebie, do własnego ojca. To była tajemnica, z którą nie mogła się zdradzić.

Miał rację. Gość mógł ją zastraszyć, narzucić milczenie.

– Mimo wszystko zapytaj ją – odparł Gabriel. – Trzeba też będzie przesłuchać Tanchona. Nie ma już papierowych spisów gości z tamtego okresu, to było dawno, ale może mu się przypomni jakiś szczegół. I...

Paul wyciągnął rękę po zeszyt.

– Wiem, co mam robić.

Umieścił notatnik z powrotem w plastikowej torebce, zamknął ją i włożył do plecaka. Wstając, zauważył błękitne prostokątne kartoniki, które wysypały się na modrzewiowe igły między nogami Gabriela.

– Co to jest? – zapytał Paul.

– Bloczek biletów autobusowych, musiały być w pamiętniku. – Gabriel przyjrzał im się uważnie. – „Przystanek Sapinière”. Zostały cztery bilety.

– Sapinière, Sapinière... – powtórzył Paul, próbując przywołać wspomnienie. – To był chyba ostatni przystanek w drodze na przełęcz, jakieś dwa kilometry za elektrownią. W dwa tysiące dziewiątym czy dziesiątym, krótko po zamknięciu zakładu, zlikwidowali całą linię autobusową. Z końcowego przystanku można było dojść nad jezioro Noir, zbiornik powyżej tamy. To mniej więcej piętnaście kilometrów stąd. Po co Julie miałyby tam jeździć? Tam absolutnie nic nie ma.

– Coś musiało tam być. Może odpowiedź na wszystkie nasze pytania.

Kroczyli w milczeniu śladami Julie, ponad siedemset metrów powyżej Sagas, krętą drogą, którą zasnuwała czarna śmierć. Gabriel wyobrażał sobie, że jego córka idzie przed nimi, widział jej delikatną sylwetkę, długie nogi; była tu, właśnie wysiadła z autobusu, który odjeżdżał z sapaniem tłoków po wykonaniu zawrotki na poboczu. Ruszyła w drogę, sama. Dokładnie tutaj, ale dwanaście lat wcześniej.

Uważnie przyjrzał się temu miejscu, z którego teraz pozostał tylko pas żwirku między asfaltem a zielenią. Po lewej górskie zbocze, po prawej las, ciągnąca się kilometrami nieokiełznana przyroda. Dokąd szłaś, Julie? Sto metrów dalej między modrzewie zagłębiała się wąska ziemno-żwirowa droga, zagrodzona metalową tablicą przeżartą przez rdzę, na której znajdował się na wpół wytarty napis „Własność prywatna”. Gabriel wyobraził sobie, że delikatna postać skręca właśnie tam.

Mężczyźni nie rozmawiali. Kiedy wrócili do samochodu, znowu zapanowało między nimi milczenie. Gabriel widział, z jaką trudnością jego były kolega schodził ścieżką. Kilka razy miał ochotę mu powiedzieć, jak bardzo żałuje tego, co mu zrobił tamtej nocy. Ale czy człowiek może żałować czegoś, czego nawet nie pamięta? Przeszłość to przeszłość i przeprosiny niczego tu nie wymażą. Dziura w pamięci nie zmieni go jako człowieka.

Lodowaty uchwyt listopada przeobraził niekończący się las w festiwal ponurych cieni. Stłoczone czarne pnie zamykały samochód we wrogiej, dzikiej bańce tajemnicy.

Gabriel widział, jak jego córka idzie poboczem z plecakiem i w trampkach – taka, jaka mu się przyśniła. Zrywała sosnowe igły, wachała je, dmuchała na nie i ruszała w dalszą drogę. A więc tak spędzałaś tutaj dni, a potem wracałaś do domu i zamykałaś się w swoim pokoju jak każda nastolatka. I tam, w ukryciu, pisałaś pamiętnik.

Kawałek dalej droga prowadziła krawędzią lodowego kotła, który znajdował się po lewej stronie. Widoki zapierały dech w piersi. Osiemdziesiąt metrów niżej mieniło się jezioro Miroir. Dalej widać było pogrążoną w szarówce dolinę.

Po dwóch lub trzech minutach, kiedy z powodu kamieni i dziur nie dało się jechać szybciej niż dziesięć kilometrów na godzinę, zobaczyli zdewastowany dom przycupnięty na końcu zarośniętej alejki. Brakowało drzwi, okiennice i okna były rozbite, dach częściowo pozbawiony pokrycia.

– Kto tu mieszka? – zapytał Gabriel.

– Nie mam pojęcia. Nie wiedziałem nawet, że tutaj jest jakiś dom.

Dla spokoju sumienia podeszli, by rzucić okiem na porzucone domostwo. Pokoje były puste, podłogi zniszczone, sufit groził zawaleniem. Szybko wyszli i zostawili samochód. Julie musiała pokonywać drogę od przystanku Sapinière pieszo. Miejsce, które odwiedzała, z pewnością znajdowało się niedaleko, Gabriel miał nadzieję, że to nie była ta rudera.

Szli więc dalej. W pewnym momencie otworzyła się przed nimi panorama na jezioro Noir, zaporę z kamienną podmurówką i sześcienny budynek gospodarczy. Odchodziły stamtąd rury prowadzące do starej elektrowni. Jeśli abstrahować od tych niechlubnych śladów działalności człowieka, okolica emanowała pięknem i swobodą. Zbiornik okalały góry, łagodnie opadające ku jego brzegom i z pierwszymi promieniami wiosennego słońca zasilające go roztopiającym się lodem. Między jodłami śpiewały bystre wody potoku.

Paul odetchnął pełną piersią, opierając ręce na biodrach, i wskazał palcem na dom z bali, w lesie, jakieś dziesięć metrów od jego granicy. Droga gruntowa prowadziła właśnie do niego, była to zatem jedyna ludzka siedziba w okolicy. Pokryty łupkiem dach sięgał niemal do samej ziemi. Okiennice były zamknięte. Mężczyźni podeszli bliżej. Na prawo od głównego budynku stała szopa na narzędzia z jedynym oknem, tak zakurzonym, że nie dało się zajrzeć do środka.

Paul zastukał do drzwi. Jego towarzysz był cały w nerwach. Oczami wyobraźni widział obsceniczne rysunki, nagość swojej córki utrwaloną na papierze chińskim tuszem, labirynty, które kazał jej rozwiązywać ten szaleniec. Czy istniał choćby cień szansy, że autor tych potworności mieszka w tym miejscu?

Nikt się nie pojawił. Paul zastukał jeszcze raz, tym razem bokiem pięści.

– Żandarmeria Narodowa! Proszę otworzyć!

Gabriel zauważył, że kłódka na skoblu szopy nie jest zamknięta, i wszedł do środka. Łokciem wcisnął włącznik. Pod sufitem rozbłysła naga żarówka. W przejściu wałały się jakieś narzędzia i rower wyścigowy bez kół. Uniósł matową plandekę leżącą na podłodze i jego oczom ukazała się zamknięta, ale już używana puszka czerwonej farby: na brzegu widać było krwistoczerwone

zacieki. Jeszcze świeże. W pojemnikach wykonanych z rozciętych plastikowych butelek moczyły się pędzle. Tam woda również była czerwona.

Następnie dostrzegł stół warsztatowy. Na korkowej tablicy wisiały pożółkłe, częściowo wyblakłe zdjęcia rodzinne. Mężczyzna, kobieta i niespełna dwuletnie dziecko; uśmiechy, babki z piasku na brzegu jeziora. Były ich setki, nakładały się na siebie, tworząc plataninę nie do rozwikłania, wymieszane z artykułami z gazet i ulotkami informującymi o zaginięciu Julie. Tytuły zapisane wielkimi literami: „Tragedia w Sagas wciąż bez rozwiązania”, „Rok później, sprawa się ślimaczy”, „Co się stało z Julie Moscato?”. Właściciel szopy wszystko powycinał, zebrał, podkreślił niektóre zdania, obsesyjnie obrysował twarz dziewczyny.

Gabriel wstrzymał oddech. Znał tę rodzinę. Za jego plecami skrzypnęły drzwi. Teraz do środka wszedł Paul: zauważył puszkę z farbą, a potem nagromadzone zdjęcia.

– No nie – szepnął zszokowany. – To David, chłopak mojej córki!

Oszołomiony, oparł się o brzeg warsztatowego blatu. Przez otwarte drzwi dostrzegł ukryty za domem samochód grabarza. Nie było żadnych wątpliwości: ich anonimowym palindromistą był chłopak Louise. Prawdziwy cios w plecy.

Gabriel przeglądał teraz album w twardej oprawie, który znalazł na dnie stojącego naprzeciw niego plastikowego pudła. Na każdej stronie znajdowały się wsunięte w rowki kolorowe, doskonałej jakości zdjęcia na błyszczącym papierze. Pierwsze przedstawiało mężczyznę, którego górną część ciała okrywało niebieskie prześcieradło, takie jak te, których używa się podczas operacji lub sekcji zwłok. Usta utrzymywała w pozycji zamkniętej poplamiona opaska z elastycznego plastra obejmująca usiany czarnymi ranami podbródek. Ledwie widoczna dolna część nosa przybrała fioletową barwę. Gabriel pomyślał, że to pewnie względnie świeża ofiara wypadku.

Przewracał strony przedstawiające zbliżenia ran na udach i ust, które zdawały się krzyczeć. Tu męska stopa cała w fioletowawych aureolach, wystająca spod białej tkaniny. Tam udo kobiety ze znamieniem w kształcie końskiej głowy. Młoda dłoń z pomalowanymi paznokciami i zwisająca z metalowego stołu ręka z podciętymi żyłami: samobójstwo.

Skąd pochodziły te zdjęcia? Czy David Esquimet fotografował zmarłych powierzonych zakładowi pogrzebowemu? Ciała były pozakrywane w sposób niemal pruderyjny. Nie dało się ich zidentyfikować.

– Co za zwyrol! – zawołał Paul.

Zamknął album i ruchem głowy dał Gabrielowi znak, że powinni szybko wyjść. W chwili gdy przekraczali próg szopy, David Esquimet zeskoczył z dwóch schodków, które prowadziły na ganek domu, i pędem rzucił się prosto

przed siebie. Paul na moment uchwycił jego spojrzenie i cały jego świat się zawalił. Wycelował broń.

– David! Nie bądź dupkiem!

Uciekinier zignorował inwektywę. Ubrany w stary dres, bluzę z kapturem i czarne trampki, wielkimi susami wbiegł między drzewa.

A tomy wiszącej w powietrzu wilgoci osiadały kroplami na ich ubraniach niczym diamenty. Gabriel szybko wyprzedził Paula. Otworzył usta na całą szerokość i wdychał świeże powietrze; choć jego klatka piersiowa płonęła, tym razem nie zamierzał odpuścić pościgu. Uciekający drań to napastnik z elektrowni. Wiedział, gdzie jest Julie, może to nawet on ją skrzywdził. Gabriel widział w nim jedyną szansę na poznanie losów córki, więc gotów był raczej wyzionąć ducha niż pozwolić mu uciec.

Esquimet pędził slalomem między modrzewiami. Gabriel skakał, odpychał się rozłożonymi dłońmi od pni, ślizgał na martwych igłach. Wtem jego oczom ukazały się ciemnoniebieskie wody jeziora, jak oko otwarte na nicość. Postać, którą ścigał, skręciła w prawo i ruszyła po zwirowym zboczu, aż dotarła do brzegu wysypanego szarymi kamyczkami. Odwróciwszy się, Esquimet zobaczył, że ścigający go mężczyzna zyskał przewagę i zbiega ze szczytu, nie schodząc na brzeg. Poczul, że jest w potrzasku. Widział tylko jedno rozwiązanie. Puścił się pędem wzdłuż brzegu jeziora.

Gabriel zrozumiał: cel kierował się w stronę zapory. Paul, który pozostał w tyle, wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe zdania, napływ krwi do skroni i dźwięk kroków w jego uszach tłumili wszystkie inne odgłosy. Posuwał się naprzód bolesnymi drobnymi kroczkami, a potem zaczął zjeżdżać po skalnym żwirku, który toczył się pod jego stopami. Przewrócił się na pośladki, wstał i mimo że paliły go mięśnie, znowu ruszył przed siebie.

Pięćdziesiąt metrów dalej uciekinier wspiął się po krótkiej metalowej drabince. Na kolanach, a później na stojąco, z rozłożonymi ramionami, chwiejąc się jak niewprawny linoskoczek, posuwał się po betonowej opasce o szerokości dziesięciu centymetrów. Cienki pas betonu oddzielający życie od śmierci.

Szczeble drabinki były lodowate. Znalazłszy się na górze, Gabriel stanął i zaczął wymachiwać rękami, by utrzymać równowagę. Krok za krokiem. Po

prawej stronie przepaść; w dole widział trzy maleńkie rury opadające ku elektrowni.

Esquimet obejrzał się za siebie. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Mężczyzn dzieliło teraz jakieś dziesięć metrów.

– Spieprzaj! – zawołał. – Ani kroku dalej, bo skoczę.

Gabriel cofnął się, zdyszany. Krajobraz wokół niego zdawał się falować – to efekt zawrotów głowy. Esquimet nie mógł uciekać drugim brzegiem, ponieważ tama dochodziła aż do górskiego zbocza. Paul, ledwie żywy, dotarł nad jezioro. Zatrzymał się w takiej odległości od drabinki, by mieć Esquimeta w polu widzenia.

– Odsuniemy się, okej? Cokolwiek... cokolwiek zechcesz. Tylko nie rób głupstw.

Żandarm skinął na Gabriela, który na nogach z waty opuścił się po drabince i podszedł do byłego kolegi. Jednym ruchem Paul przesunął go za siebie. Esquimet zaczął panikować i niebezpiecznie się kołysał.

– Nie chcę iść do więzienia.

Płakał. Nawet z tej odległości Paul widział, że mężczyzna cały się trzęsie.

– Nie pójdziesz do więzienia – odparł policjant, łapiąc oddech. – Znajdziemy jakieś rozwiązanie, okej?

– Jakie rozwiązanie? Będziecie tak uprzejmi i pozwolicie mi odejść?

– Czemu nie? Trochę farby na murach, jakieś kartki z książek wysyłane pocztą. Co w tym złego? Pomyśl o Louise. Pomyśl o mojej córce.

Esquimet pokręcił głową.

– Twoja córka nie ma z tym nic wspólnego. – Popatrzył na Gabriela. – Przepraszam cię. Do ciebie nic nie mam.

Kiedy Gabriel zobaczył, jak tamten na zgiętych nogach, z dłońmi wyciągniętymi przed siebie powoli przechyla się w stronę otchłani, zawołał pełen rozpacz:

– Powiedz mi, gdzie ona jest! Błagam cię! Powiedz, gdzie jest moja córka! Szukam jej od dwunastu lat. Gdzie jest jej ciało?

Mężczyzna już ich nie widział, może nawet nie słyszał. Przeżegnał się i skoczył. Gabriel wydał z siebie przeciągły okrzyk, który zmieszał się z krzykiem Esquimeta. Ich głosy poniosło echo, po czym góry znowu spowiła cisza. Paul wszedł na drabinkę i spojrzał w dół.

David Esquimet był już tylko powyginanym ciałem leżącym na skałach u stóp urwiska, kilka metrów od elektrowni.

Las znowu szumiał, jakby nic się nie stało. Ale stało się. Paul potrzebował dobrej minuty, żeby zejść z betonowej opaski. To, co zobaczył, było po prostu potworne. Drżał na całym ciele. Zaczął chodzić wte i wewte z oczami wlepionymi w ziemię. Chwycił Gabriela za kołnierz i odepchnął od siebie.

– Co myśmy zrobili? Co myśmy zrobili?

– Nic nie zrobiliśmy, my tylko...

– Zamknij się. Daj mi pomyśleć.

Usiadł na kamykach, chwycił głowę obiema dłońmi, wyobrażając sobie horror, który nastąpi, kiedy będzie musiał zakomunikować Louise, co się stało. To był koszmar. Objął wzrokiem łuk zapory, las, modrzewie. W uszach świstał mu lodowaty wiatr, a na jego ramionach niczym koc z igieł osiadł śmiertelny całun. Otoczony absolutną ciszą bezkresnych przestrzeni, wstał i wykonał pełny obrót wokół własnej osi, patrząc na przyrodę, która nagle ukazała mu swoje wrogie oblicze. Byli sami na szczycie lodowcowego kotła, gdzie teraz, jesienią, nikt się nie zapuszczał. Tablica z napisem „Własność prywatna” znajdowała się kilometr dalej. Nie było świadków.

W jednej chwili, nie oglądając się na Gabriela, ruszył zdecydowanym krokiem w stronę zwirowego zbocza. Dotarli do drewnianego domu. Dłonią w rękawiczce Paul zamknął drzwi.

– To tutaj Julie przychodziła w dwa tysiące siódmym! – zawołał Gabriel. – Esquimet jest w to zamieszany. Trzeba wejść i się rozejrzeć.

Paul znowu chwycił go za kołnierz.

– I wszędzie zostawić nasze DNA? Oszalałeś? Kurwa, chłopak mojej córki nie żyje! Nie jesteś żandarmem, jesteś cywilem, żadne śledztwo nie zostało otwarte. Jeśli ktoś się dowie, że byłem tutaj poza wszelkimi legalnymi procedurami, ściągnę sobie na głowę komisję dyscyplinarną i będę mieć poważne problemy, które skończą się zwolnieniem i zrujnąją mi końcówkę

kariery. Louise się ode mnie odwróci. Nie mam ochoty wszystkiego stracić przez twoje wariackie pomysły.

Odsunął się od niego i popatrzył na samochód Davida Esquimeta. Zamiast się zamykać w szopie, powinien był po przyjeździe obejść całą działkę. Dał ciała.

– Później tu przyjadę, oficjalnie. Zrobimy wszystko po kolei. Ale muszę obmyślić najlepszy sposób na wyciągnięcie nas z tego bagna.

Wrócił do szopy, znalazł jakąś szmatę i powycierał miejsca, w których mogli zostawić ślady.

– Postaram się, żeby technik był w tym miejscu mniej drobiazgowy.

Gabriel poszedł w jego ślady. Starym ręcznikiem stał stół warsztatowy, przetaił strony albumu i wyszedł jako drugi. Paul założył kłódkę tak, jak wisiała, kiedy tu przyszli, i obaj szybko ruszyli w drogę powrotną przez las. Kiedy dotarli do samochodu, żandarm wyjął z bagażnika torebkę strunową.

– Nie może istnieć nic, co pozwoliłoby do nas dotrzeć. Jeżeli zaniosę ten pamiętnik na posterunek i w końcu ktoś w nim znajdzie jakiegokolwiek powiązania z tym domkiem albo z Esquimetem, na pewno pojawią się podejrzenia. Pozbędę się go.

Gabriel wyrwał mu zeszyt z rąk.

– Nie ma mowy. Ja go przechowam. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby zaginął.

Paul zrobił głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze. Za wszelką cenę musiał się uspokoić.

– Okej, okej. Ale nie wolno ci puścić pary z ust na temat jego zawartości. Daj mi przynajmniej bilety. Do niczego ci się nie przydadzą, muszę się ich pozbyć. Ostatecznie to dzięki nim trafiliśmy na Sapinière, a dzięki Sapinière trafiliśmy w to miejsce.

Gabriel sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, położył bilety na ziemi i je podpalił. Spojrzał na rysunek wilczej głowy na zapalniczce i na ułamek sekundy wrócił do swojego snu.

– Co ty wyprawiasz?

Pokręcił głową, rozgarnął popiół stopami i wszedł do samochodu.

Paul ruszył ze ściśniętym gardłem. Zerkał we wsteczne lusterko w strachu, że nagle znikąd pojawi się jakiś turysta i ich zauważy.

– Wysadzę cię niedaleko hotelu. Weźmiesz mercedesa i pojedziesz na płaskowyż. Musisz zasypać dziurę. Wyrównaj wszystko, przysyp sosnowymi igłami. Żeby nie wyszło na to, że coś ukrywamy, film będzie musiał trafić do rąk śledczych. Być może ktoś w końcu zidentyfikuje to miejsce, ale jeśli będą kopać, niczego nie znajdą. Ja muszę się czymś zająć, żeby nie zwariować. Wrócę na posterunek i zrobię porządek z papierami, na które wcześniej nie miałem czasu.

A ponieważ jeszcze nie wysłałem ludzi do elektrowni w sprawie napisów, zrobię to jutro. Jest późno, więc...

Jechał za szybko i przytarł podwoziem o jakiś kamień.

– Kurwa!

Zatrzymał samochód, sprawdził stan opon i usiadł z powrotem za kierownicą.

– Chyba się nie rozkraczyliśmy. Bogu dzięki. – Błady jak ściana, znowu skupił wzrok na drodze. – Zwłoki będą widoczne zza budynku elektrowni. Kiedy chłopcy tam przyjadą, znajdą Esquimeta i wydedukują, że wszedł na tamę, żeby popełnić samobójstwo, co skądinąd jest prawdą. Tak właśnie było. Pchnęły go do tego wyrzuty sumienia.

– Tak, wyrzuty sumienia. Samobójstwo – powtórzył Gabriel.

– Przyjedziemy do niego, przeszukamy ten jebany domek i odkryjemy, że to on był palindromistą, a może i coś jeszcze.

Paul spojrzał na Gabriela. Jego były kolega wiedział, co oznacza „coś jeszcze”.

– Powiedz mi, że to się trzyma kupy. Że ten sklecony na kolanie plan może zadziałać.

Gabriel postanowił go pocieszyć:

– Może zadziałać. Esquimet wyszedł z domu, zamknął drzwi, wszedł na krawędź tamy i skoczył.

Dojechali do głównej drogi. Paul ruszył w stronę Sagas. Jeszcze raz spojrzał w lusterko. Nikogo. Rozluźnił uścisk dłoni na kierownicy.

– Kiedy wrócisz z Albion, zamkniesz się w swoim pokoju w hotelu. Pamiętaj: ten zeszyt nie istnieje, więc nie istnieje też mężczyzna z dwa tysiące siódmego, o którym wspomina Julie. Nie ma historii miłosnej i nie ma kochanka, zrozumiano?

– Tak.

– Jutro rano wrócisz na północ popłacić rachunki i tak dalej. Nie wysyłaj do mnie żadnych wiadomości ani niczego, skontaktuję się z tobą za dzień lub dwa. Najważniejsze, żebyś odsunął się ode mnie i od tego miasta, zanim obaj wylądujemy w pace.

Gabriel skinął głową.

– Zrobię tak, jak mówisz. Ale chcę wiedzieć wszystko na temat śledztwa. Masz mnie informować nawet o najdrobniejszych postępach. To także moje śledztwo.

– Co to ma być? Szantaż?

– Raczej współpraca. Masz dużo do stracenia, ja nie mam nic. Chcesz czy nie, od teraz jesteśmy drużyną.

I diota. Skrewił na całej linii. Wykończony, zamknął się w swoim biurze. Było mu niedobrze. Czuł się jak ryba złapana w sieć. Chłopak jego córki, winny czy nie, zginął przez niego. Wcześniej Paul usunął z karty pamięci materiał dowodowy, zniszczył najważniejsze ślady, naraził swoją karierę. A wszystko to w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin.

Na szczęście nikt nie wiedział o jego nieobecności na posterunku przez część popołudnia, ponieważ oprócz dyżurnego nikt nie pracował. Poza tym przecież był weekend, każdy mógł sobie przyjść i wyjść, kiedy chciał. Nikt też nie kontaktował się z żandarmerią, by zgłosić upadek z zapory. W całym tym chaosie Paul radził sobie prawie znakomicie.

Zadzwoiła Corinne z pytaniem, kiedy wróci. Jak zwykle wykręcił się nawąłem pracy i usiadł do papierów, dręczony wspomnieniem upadku i krzyku – prawdziwego łabędziego śpiewu – Esquimeta. Mężczyzna zajmował mieszkanie nad swoim zakładem pogrzebowym, ale był właścicielem całego budynku. Do kogo w takim razie należał dom niedaleko jeziora Noir? Chodziło o rodzinną posiadłość? Ojciec Esquimeta zszedł z tego świata kilka lat wcześniej z powodu alkoholu. Matka zmarła, gdy David był chłopcem.

Choć zżerała go ciekawość, nie zaczął wyszukiwać informacji na temat domku, w którym latem dwa tysiące siódmego roku najwyraźniej bywała Julie. Nie mógł zostawić śladów. Tak czy owak, dowie się o tym nazajutrz. Cierpliwości.

Pomyślał o zeszytach Julie, o grach, szkicach, dziwnych zdaniach. Przypomniał sobie rysunek postaci o dwóch twarzach i podpis widniejący poniżej: „xiphopagus”. Sięgnął do szafy po stary słownik.

Termin z dziedziny teratologii. Xiphopagus: potwór powstały w wyniku połączenia dwóch osobników na wysokości dolnego krańca mostka aż po wspólny pępek. Jest to jeden z rodzajów braci syjamskich.

Xiphopagus. Co autor szkicu chciał przekazać? Z jednej strony dobro, z drugiej zło? Czy kochanek Julie miał dwa oblicza? Z jednej strony mężczyzna ze świetną sytuacją finansową, dobrym zawodem, doskonale zintegrowany ze społeczeństwem, a z drugiej najgorszy perwers, zdolny porwać młodą dziewczynę i odebrać ją rodzicom?

Zamyślony, opadł na fotel. Louise będzie płakać, ale zakochała się w łajdaku. W mężczyźnie, który od lat torturował Corinne, wysyłając jej anonimowe listy, nieustannie rozbudzając wspomnienia o zaginionej córce. W mężczyźnie, który być może od początku miał klucz do tej zagadki, ale zostawił tę straszliwą tajemnicę dla siebie.

W głowie żandarma rozbrzmiewały w zapętleniu jego ostatnie słowa. „Do ciebie nic nie mam”, powiedział Gabrielowi przed skokiem. Co miał na myśli? Czy wyłączając Gabriela, chciał powiedzieć, że ma pretensje do Corinne? Dlaczego? Skąd David wiedział o palindromach, a więc także o zeszytach? I co go łączyło z mężczyzną, z którym spotykała się Julie, bo ten był z pewnością sporo starszy od niego? Czy chodziło o jego ojca?

Po chwili namysłu uznał hipotezę o ojcu Davida za absurdalną. Już na kilka lat przed śmiercią Esquimet senior nie był ani trochę atrakcyjny. Zniszczony przez alkohol, nie mógł być gościem, który by rysował labirynty. Julie nie zabujałaby się w takim mężczyźnie.

Paul wrócił do Albion około dwudziestej drugiej z głową pełną mrocznych treści. Miał wielką chęć wypytać Corinne o Esquimeta i o przeszłość, ale nie mógł wzbudzić jej podejrzeń. Bez apetytu usiadł za stołem.

Zona nie czekała na niego, leżała na sofie z nogami pod kocem i oglądała jakiś serial. Jego pierś z kurczaka i groszek były zimne. Kiedy powiedziała, że idzie się położyć, nie próbował do niej podejść. Po pięciu minutach wróciła bez słowa. Stała w progu.

– Prawie się nie widzimy. Spędzasz dni i noce w biurze, jest jeszcze gorzej niż wcześniej, a gdy jesteś tutaj, nic nie mówisz.

– W tej chwili jest dość ciężko, to przez to morderstwo.

Końcem widelca turlał po talerzu ziarnko groszku.

– Nie chodzi o tę chwilę, to trwa kilka miesięcy – odparowała.

Zaczekała w nadziei na jakąś reakcję, na odpowiedź, ale ponieważ Paul się nie ruszył, odeszła. Rzucił widelec na stół. Miał dość.

Poszedł się położyć na sofie, zapatrzył się na płomienie w kominku. Ich małżeństwo umierało – tak jak one. Corinne nigdy się nie wyleczy z tęsknoty za córką. Nieobecność Julie była jak posępny rak, który powoli i nieubłaganie ją zabijał, a pośrednio niszczył też jego. Życie z sumieniem obciążonym tajemnicą,

której nigdy nie będzie mógł jej wyjawic, prawdopodobnie oddali ich od siebie jeszcze bardziej. Paul wyrzucał sobie, że już nie potrafi walczyć.

Od powrotu Moscato na powierzchnię zaczęły wychodzić stare, śmierdzące sekrety Sagas. Julie i jej tajemniczy kochanek, Tanchon i jego skoki w bok, Louise i jej ohydny szantaż. A teraz Esquimet. Kto był następnym na liście?

Rozmyślał przez całą noc. Louise zostanie przesłuchana, podobnie jak pracownicy denata. Śledczy będą pytać o stan psychiczny Esquimeta w ostatnich tygodniach, a Louise zaświadczy, że nie miał tendencji samobójczych, że planowali wspólne życie. Ale Paul miał linię obrony: Esquimet był palindromistą, fotografował trupy, to mógł być powód jego zachowania. Nie potrafił już żyć w ten sposób, żałował swoich czynów i takie tam... Skończenie ze sobą było dla niego jedynym wyjściem. Paul nie miał wątpliwości, że sędzia Cassoret uzna te argumenty za wystarczająco solidne. On sam będzie zdecydowanie kierował śledztwem, starając się najlepiej jak potrafi ochronić córkę, która otrzyma podwójny cios: dowie się, że jej partner był autorem anonimowych listów i napisów w elektrowni oraz że jej partner nie żyje.

O szóstej trzydzieści Corinne wstała do pracy. Odczekał, zwinięty pod kocem, aż żona w samotności zje śniadanie i wyjdzie. Nienawidził siebie w tej chwili.

Przyjechał o ósmej na posterunek, gestem przywitał się z córką, która już była na miejscu, i usiadł w swoim biurze. Louise na pewno próbowała się dodzwonić do Davida, ponieważ miała u niego nocować. Jego milczenie musiało ją niepokoić.

Dopiero o dziewiątej zaczął wcielać w życie swój podły, ale konieczny plan: razem ze swoim zastępcą Benjaminem Martinim ruszył w kierunku jeziora Miroir. Cédric Daméus jechał za nimi własnym samochodem, by zebrać ewentualne odciski palców pozostawione przez autora napisów. Louise o nic nie pytała ani nie chciała z nimi jechać, uniknął więc wyklócania się z nią. Za wszelką cenę musiał jej oszczędzić widoku tej jatki.

Zaparkował przed budynkiem elektrowni. Pozwolił, by kolega ruszył przed nim, a sam pokręcił się dłużej przy bagażniku, z którego wyjął aparat fotograficzny. Daméus niósł walizkę ze sprzętem. Kapitanowi zależało na tym, by zwłoki odkrył jeden z jego współpracowników.

I strategia zadziałała. Martini zawołał go, gdy tylko znalazł się na tyłach budynku. Paul nadbiegł, nabuzowany adrenaliną. Przyjrzał się roztrzaskanemu ciału, które uderzyło o skałę z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Rozbita głowa, kończyny powyginane pod niemożliwymi kątami, dookoła litry rozlanej krwi. I najlepsze: zaraz zadzwonią do Esquimeta, żeby zabrał szczątki, a ten nie odbierze telefonu. Nie bez powodu.

Martini był zdruzgotany. Daméus postawił walizkę na ziemi i zamarł. Paul ostrożnie podszedł do zwłok. Makabryczny widok rodem z obrazu Pollocka. Żandarm podniósł wzrok w górę, gdzie widać było krawędź zapory.

– Udało mu się.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w niego, wydychając obłoki pary. Paul musiał uważać, żeby nie zrobić ani nie powiedzieć za dużo. Żadnej nadgorliwości, żadnych aluzji, trzymać się procedur. Wrócił do nich i sięgnął po telefon.

– Dzwonię do prokuratora.

– Dwie śmierci w ciągu trzech dni – rzucił Martini bezbarwnym głosem. – Myślisz, że to może mieć związek z morderstwem na brzegu?

– Mamy w dolinie poziom samobójstw, którego nikt nam nie zazdrości, zwłaszcza w czasie czarnej śmierci. Wszystko wskazuje na to, że gość skoczył, ale nie wyprzedzajmy wypadków. Przynieś taśmę. Zabezpieczymy miejsce i zanim dotrą posiłki, szybko zrobimy to, po co tu przyjechaliśmy. Zdjęcia ścian, jeśli będzie trzeba, to próbki. Kiepski moment, ale znasz to przysłowie: nieszczęścia zawsze chodzą parami.

Kiedy żandarmi zabrali się do pracy, kapitan informował kogo trzeba. Lekarz stwierdził przeszkody medyczno-prawne do pochówku, zostanie przeprowadzona sekcja zwłok, badania toksykologiczne i tak dalej. Zakończył ostatnią rozmowę i spojrzął na krwawą scenę. Stwierdził, że właśnie przeżywa najgorszy i najbardziej porąbany tydzień w swoim życiu.

Szybkim krokiem Paul podszedł do Louise, która zakutana w parkę, wysiadła na parkingu z Brunetem i resztą grupy. Wskazał palcem na górną krawędź zapory.

– Gość na pewno skoczył stamtąd. Rozejrzymy się tam. Chodźcie.

Louise odwróciła głowę w stronę miejsca tragedii. Technicy i jeszcze jeden żandarm szli na tyły budynku elektrowni w towarzystwie chorążego Martiniego, który miał koordynować akcję. Kiedy zobaczyła, że ojciec już czeka przy swoim samochodzie z otwartymi drzwiami, powściągnęła ciekawość i usiadła z tyłu. Brunet zajął miejsce pasażera i ruszyli w drogę.

– Kto to jest? Masz jakiś pomysł? – zapytała Louise.

Paul podkreślił ogrzewanie do maksimum. Od wilgotnego wiatru wiejącego od szczytów przemarzył do kości, ale jeszcze bardziej mroziły go własne kłamstwa.

– Żadnego. Upadek z wysokości osiemdziesięciu metrów nie wybacza.

Wrócił na główną drogę i skręcił w stronę przełęczy. Chciało mu się rzygać. Dyskretnie zerknął we wsteczne lusterko. Louise z poważną miną stukała w telefon. To dobrze, że niepokoi się brakiem wiadomości od Esquimeta, być może dzięki temu na dole będzie lżej. Dwa albo trzy kilometry dalej poprosił ich, żeby się rozglądali za drogami lub ścieżkami, którymi można dotrzeć do kotła od góry. Brunet pierwszy zauważył napis „Własność prywatna”.

Paul minął porzucony dom i zaparkował jakieś sto metrów dalej, ponieważ jego samochód nie był przystosowany do takich dróg. W milczeniu ruszyli ścieżką prowadzącą do jeziora Noir, aż dotarli do drabinki. Paul chwycił za poręcz.

– Rękawiczki! – zawołała Louise, potrząsając przed ojcem parą lateksowych rękawic i patrząc na niego z wyrzutem.

Paul sięgnął po nie, ale włożył je dopiero na górze. Wyciągnął rękę w stronę aparatu fotograficznego, który trzymał Brunet.

– Daj mi go.

Ustawił obiektyw, wcisnął guzik: drabinka, betonowa krawędź tamy, roztrzaskane ciało w dole, wokół którego krzatali się śledczy wielkości mrówek. Zszedł i zaczekał, aż każde z jego towarzyszy obejrzy tę scenę.

– Co o tym sądzisz? – zapytał córkę, kiedy skończyła.

Stała z dłońmi w kieszeniach i zastanawiała się dłuższą chwilę. Od lasu odrywały się pasma mgły i kładły na czarnych wodach jeziora.

– Wszedł na opaskę, pokonał około dziesięciu metrów do miejsca, w którym ściana jest najbardziej pionowa, i skoczył. Jedno jest pewne: nie chciał tego schrzanić.

– Byliście poinformowani, że tutaj dochodziło już do samobójstw? – wtrącił się Brunet.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Paul. – Na pewno łatwiej się rzucić z jakiegokolwiek mostu w dolinie niż wspinać się nad jezioro Noir. Trzeba znaleźć drogę, która tutaj prowadzi, i ostatni odcinek pokonać pieszo. Czyli być cholernie zdeterminowanym, żeby ze sobą skończyć. Chyba że ten człowiek mieszka w okolicy?

Louise postawiła kołnierz kurtki, tak że zasłaniał jej pół twarzy. Bez słowa skierowała się w stronę domku, który zauważyła w oddali za drzewami. Paul w milczeniu poszedł za nią. Buty ciążyły mu, jakby były z ołowiu. Ruszył nieuchronny ciąg zdarzeń.

Louise zastukała do drzwi. Jej ojciec chwycił klamkę dłonią w rękawiczce i otworzył.

– Jest tu kto?

Zapach żaru. Trzaskanie drewna. Pośrodku salonu królował stół wycięty z jednego olbrzymiego pnia. Na podłodze skóry zwierząt, po obu stronach kominka zwierzące popiersia, rozwieszona w charakterze dekoracji stare strzelby. Najbardziej uderzające były jednak książki. Wiele metrów kwadratowych pokrywały ściśnięte kolorowe grzbiety, ustawione na półkach biblioteczki z masywnego drewna zajmującej dwie ściany od podłogi do sufitu.

Jednak to nie na kolekcję książek zapatrzyła się Louise. Jej wzrok przykuła sofa, na której leżały biała koszula, spodnie z beżowego lnu i para mokasynów. Paul zobaczył, że jej twarz pochmurnieje jak burzowe niebo. To była taka chwila, w której człowiek ma wrażenie, że przeszywają go tysiące miniaturowych igieł; kiedy jedna jego część już wie, a druga jeszcze nie chce uwierzyć. Louise podniosła jedno z ubrań i powąchała. Jego zapach. Jego perfumy.

Nie mogła powstrzymać napływających łez. Cofnęła się oszołomiona, uderzyła o stół na środku pokoju, na którego blacie leżała kupka papieru,

niebieski długopis, koperty i pudełko lateksowych rękawiczek. Sprzęt doskonałego palindromisty.

– Mój Boże – szepnął Paul.

Louise zaczęła kręcić głową i bełkotać:

– Nie, nie, to nie może być on, nie on, nie on.

Rozszlochana, wypadła na zewnątrz i ruszyła biegiem przez las.

– Louise, zaczekaj!

Nie słuchała go. Kapitan podał kluczyki do samochodu Brunetowi, który kompletnie nie rozumiał, co się dzieje.

– Biegnie na dół, żeby zobaczyć ciało. Jedź obok niej samochodem i uważaj na nią. Powiedz Martiniemu i Daméusowi, żeby tu przyszli. To tutaj musimy szukać.

Czysty zen. Za wszelką cenę pozostań zen.

Kiedy Paul został sam, podszedł do stołu i przyjrzał się kupce lekko pożółkłych kartek w formacie A4. Były zapisane wąskim, eleganckim odręcznym pismem. Bez cienia wątpliwości było to pismo kochanka Julie, które Paul znał z jej zeszytu. Na kartce leżącej na górze kupki, z boku po lewej stronie widniał numer „424”. Niektóre litery były obwiedzione tuszem, tym razem niebieskim. Esquimet zamierzał wysłać do Corinne kolejny list.

Czekając na przybycie reszty, na wszelki wypadek zrobił szybki obchód pozostałych pomieszczeń. Lodówka w kuchni była włączona, w środku znajdowało się jedzenie. W salonie nie było telewizora ani komputera. W łazience – niezbędne przybory toaletowe, absolutne minimum. Dwa pokoje na końcu korytarza pachniały stęchlizną, ale były posprzątane, łóżka zaścielone. Paul domyślił się, że Esquimet niedawno spał w jednym z nich – tym, nad którym wisiał krzyżyk – ponieważ pościel była z niego zdjęta i leżała w torbie na brudną bieliznę.

W szafie walały się ubrania: stare dzinsy, dresy, koszule w kratę. Chwilę dłużej zatrzymał się nad zdjęciem w ramce na szafce nocnej, jedynym osobistym akcencie w tym pokoju. Blondynka, około trzydziestki, można było u niej dostrzec podobieństwo do Davida. To musiała być jego matka.

Paul w dalszym ciągu nie wiedział, czy dom należy do Esquimeta. Może go od kogoś kupił? A może był to domek wakacyjny otrzymany w spadku po ojcu? Nie wiedział też, kto spotykał się w tym miejscu z Julie w dwa tysiące siódmym roku. Wrócił do salonu w chwili, gdy w progu stanęli Cédric Daméus, Benjamin Martini i brygadier około trzydziestki.

– Gdzie moja córka? – zapytał.

– Brunet się nią zajmuje. Jest załamana. Nie bardzo rozumiemy. Co się właściwie stało?

– Stało się to, że samobójca to prawdopodobnie David Esquimet.

– Ten David Esquimet? Z zakładu pogrzebowego?

– Ten sam. I najwyraźniej również on jest naszym palindromistą.

Mężczyźni popatrzyli po sobie zaskoczeni. Kiedy wiadomość do nich dotarła, Paul poprosił chorążego o zajęcie się formalnościami, a brygadiera Juliena Bergera o zabezpieczenie przedmiotów, które mogłyby ich zainteresować.

Pod rozkazami Martiniego, który wszystko notował, Daméus zdjął odciski palców z klamki po obu stronach drzwi, a następnie skupił się na przedmiotach leżących na stole. Postawił trzy żółte tabliczki z numerami – jedną przed kartkami, jedną przed kopertą i jedną przed długopisem – porobił zdjęcia, zapakował długopis, a następnie delikatnie wsunął kartkę z góry stosiku do przezroczystej foliowej koszulki, by zabezpieczyć ewentualne odciski palców.

Kapitan tymczasem przeglądał biblioteczkę. Szybko rozpoznał kryminały, których była tu znakomita większość. Ile ich było? Tysiące? A przecież Paul nigdy nie spotkał Esquimeta z książką w ręku. Chłopak jego córki nigdy nawet słowem nie wspomniał o swoim zamiłowaniu do czytania ani do tego konkretnego gatunku. Ukrywał swoją grę z diabelną skutecznością.

Książki były poukładane według nazwisk autorów, w porządku alfabetycznym. Paul zrobił krok w tył i spojrzał na literę „L”. Maurice Leblanc. Wyciągnął *Wydrążoną iglicę*. Okładka ukazywała Arsène’a Lupina z poważną miną przyglądającego się sekretnemu kodowi zapisanemu na kawałku pergaminu. Przekartkował do strony sto osiemdziesiątej siódmej – tej, którą otrzymała pocztą Corinne. Nie było jej, podobnie jak strony sto dwunastej w *Dziesięciu Murzynkach* znalezionych dalej, pośrodku imponującej kolekcji książek Agathy Christie.

A więc to tutaj urzędował David Esquimet. W tym pokoju przygotowywał anonimowe listy, by później wysyłać je z odległych miast. A równolegle sypiał z Louise. Czy żeby zdobyć informacje na temat rozwoju sprawy, można zrobić coś lepszego niż zachowywać się jak wilk w owczarni? Posłużył się nią, nigdy jej nie kochał. „Twoja córka nie ma z tym nic wspólnego”.

– Kapitanie?

Daméus i Martini skinęli na Paula, żeby do nich podszedł. Technik podał mu kartkę w plastikowej koszulce.

– Jeśli zestawić ze sobą zaznaczone litery nowego listu, otrzymujemy zdanie: „Ta książka daje odpowiedź na wszystkie wasze py”. Sądzę, że zamierzał napisać „pytania”.

– Dziwne, że nie dokończył zdania – skomentował zaskoczony Martini. – Dlaczego zatrzymał się w pół słowa?

– W głowie faceta gotowego roztrzaskać się o skały muszą się kryć różne dziwactwa. Strona czterysta osiemdziesiąta szósta... Co to jest? Fragment

jakiegoś rękopisu?

Daméus skinął głową.

– Tak, wygląda na to, że to ostatnia strona. Finał historii, który rozgrywa się na klifach Étretat, niedaleko słynnej iglicy.

– *Wydrążona iglica* – wymamrotał Paul.

– Mamy tu siedemnaście stron napisanych odręcznie, ponumerowanych od czterysta siedemdziesiątej do czterysta osiemdziesiątej szóstej. To końcówka jakiejś książki.

– Pierwsze czterysta sześćdziesiąt dziewięć stron musi być gdzieś w tej chałupie.

Paul przebiegł wzrokiem kartki. Zauważył słowo podkreślone na czarno, pewnie przez samego autora. „Xanax”. Jeden z palindromów namalowanych na ścianie w budynku elektrowni.

Z powątpiewaniem odłożył plik. Pomyślał o wisiorcu Julie w kształcie książki. Tajemniczy kochanek był autorem tego tekstu. Czy miał jakieś związki ze środowiskiem literackim? Był pisarzem?

Z uwagą przeczytał ostatnią stronę. Atmosfera, opisy i wyjątkowo tragiczne zakończenie. Wyglądało to na kryminał. Esquimet był w posiadaniu oryginalnego rękopisu, który być może znajdował się w tym domu. „Ta książka daje odpowiedź na wszystkie wasze pytania”.

Zadzwoił do niego brygadier Berger znajdujący się na zewnątrz. Paul poprosił Daméusa, by kontynuował, a sam w towarzystwie Martiniego pobiegł do szopy, której drzwi były otwarte.

Berger stał przed mozaiką zdjęć przyklejonych do korkowej tablicy. Paul udał, że widzi ją po raz pierwszy, przedstawił swoje wnioski i polecił brygadierowi, żeby sfotografował całość, a następnie wszystko poodczepiał. Obejrzał też album ze zdjęciami denatów.

Martini, który stał obok, wyglądał na głęboko zniesmaczonego.

– Fotografować zmarłych. Co za świr!

– Zabieramy to – postanowił Paul i wcisnął album w ręce zastępcy. – I nie przejmujcie się odciskami w tym miejscu. Mamy wystarczająco dużo dowodów na to, że to Esquimet był naszym palindromistą. Teraz potrzebuję potwierdzenia, że ta posiadłość należała do niego.

Martini skinął głową bez cienia sprzeciwu. Kiedy Paul stał już w progu, Berger zawołał:

– A to było przypięte pod artykułem z gazety.

I podał mu jakąś fotografię. Paul przyjrzał jej się z uwagą: dziesięć pielęgniarek pozujących przed oddziałem ratunkowym szpitala w Sagas. Jedna z nich trzymała w ręku tabliczkę, na której widniał napis: „czerwiec 1989”.

Esquimet wyżył się na podobiznie kobiety stojącej na lewym skraju. Miała tak zabazgraną twarz, że w jej miejscu w lśniącym papierze pozostała tylko prostokątna dziura.

– Z tyłu są imiona i nazwiska – szepnął młody Berger.

Paul poczuł, jak zaciska mu się gardło. Odwrócił zdjęcie i stracił dech w piersi. Jedno z nazwisk na liście było obwiedzione na czerwono. Numer, który się przy nim znajdował, odpowiadał miejscu, w którym stała kobieta o podziurawionej twarzy. „Corinne Jourdin”. Nazwisko panięńskie jego żony.

I w końcu wysokie czarne kształty w lusterku wstecznym zniknęły. Miejsce gór zajęły doliny, a po jakimś czasie pojawiły się ponure, zmęczone pola.

Gabriel wyjechał z Sagas przed świtem. Zaczął się bać. Tym razem nie miał świadomego snu. Nie było już uskoku w jego podświadomości, która znowu zamknęła się na cztery spusty, tak że krótka noc przypominała nieprzenikniony czarny mur. Całe jego życie ograniczało się teraz do tego samochodu i prawie pustej sportowej torby. Wokół niego była pustka, nieznane, świat, który przesypywał mu się między palcami jak piasek. Sagas było, jakie było, jak stara panna z innej epoki, ale Gabriel czuł się tam swobodnie, nawet pozbawiony pamięci.

W drodze do Lille postanowił zrobić przerwę w Orleanie, mieście, w którym dziewięć lat wcześniej zaginęła Mathilde Lourmel. Grzebiąc nocą w papierach zgromadzonych w kartonie, trafił na kartkę z adresami rodziców ofiar, którzy również zawiązali stowarzyszenia albo brali udział w Dniach Dzieci Zaginionych.

Byli wśród nich Pierre i Josiane Lourmel. Przejeżdżając przez Lyon, zadzwonił na numer telefonu komórkowego, który również widniał w spisie, okazało się jednak, że ten nie istnieje. Gabriel miał nadzieję, że będzie miał więcej szczęścia, jeśli uda się prosto na miejsce – pod warunkiem że Lourmelowie się nie wyprowadzili. Musiał zrozumieć, dlaczego poprosił o wyszukanie profilu DNA ich córki oraz gdzie wcześniej widział twarz ze swojego snu.

Zatrzymał się w punkcie obsługi pasażera przy autostradzie, by zatankować do pełna. Na widok kosmicznej ceny w kasie zapytał, czy to nie pomyłka; następnie w kabinie samochodu spałaszował również kosmicznie drogiego croissanta.

Do granic Orleanu dotarł o dziesiątej. Jeśli wierzyć nawigacji, małżeństwo mieszkało w zachodniej części miasta, zaledwie kilkaset metrów od Loary, przy

jednokierunkowej ulicy z domami o kremowych fasadach i różnokolorowych okiennicach.

Zaparkował i stanął przed ciężkimi drewnianymi drzwiami. Na papierowej wizytówce przyklejonej do dzwonka widniał napis: „Josiane & Pierre Lourmel” – drugie imię przekreślono czerwonym długopisem. Gabriel wcisnął guzik. Spodziewał się, że o tej porze zostanie zamknięte drzwi, ale usłyszał jakieś dźwięki dochodzące ze środka. Nikt jednak nie otwierał, więc ponowił próbę.

– Wynocha! – rozległ się nagle żeński głos.

Gabriel usłyszał szuranie odsuwanego krzesła i podgłośniony dźwięk telewizora. Zastukał, a ponieważ nic to nie dało, przystawił usta do futryny.

– Nazywam się Gabriel Moscato – zawołał. – Jestem ojcem Julie Moscato, która zaginęła ósmego marca dwa tysiące ósmego roku w Sagas.

Nastała cisza, a potem w zwolnionym tempie uchylły się drzwi, w których ukazała się twarz o zapadniętych policzkach i oczach nabiegłych krwią. Mimo że kobieta miała rozczochrane blond włosy i matową, poszarzałą twarz, nie umknęło mu, że kiedyś była piękna. Nagle wydała się zakłopotana. Próbowwała stać prosto, z uniesioną głową, ale najwyraźniej piła od świtu.

– Czego pan chce?

– Zadać pani kilka pytań. Na temat Mathilde.

Po błysku w oku Josiane Lourmel Gabriel poznał, że już się kiedyś spotkali. Wpuściła go i powłokła się, by wyłączyć telewizor. W powietrzu unosił się smród papierosów i brudnych naczyń. Na stole w salonie królowała do połowy opróżniona butelka wódki. Leżał tam też talerz z resztkami posiłku z poprzedniego dnia, aluminiowymi blistrami po tabletkach i rozgniecionymi niedopałkami. Na meblach i na ścianach Gabriel zauważył wiele zdjęć młodej kobiety. Jego wzrok przykuła oprawiona w ramki sentencja powieszona nad kominkiem: „Gdzieś tam ktoś coś wie”. W prawym dolnym rogu narysowano niebiesko-żółty kwiat. Odwrócił się do madame Lourmel.

– To zdanie...

Kobieta stała na środku pokoju z założonymi ramionami, jakby jej było zimno.

– Podkradłam je panu. Każdego dnia, nawet dzisiaj, chcę myśleć, że ktoś wie, co się stało. Jakaś osoba, mężczyzna czy kobieta, która ma w tej chwili jakieś życie, jakiś dom, jakąś pracę.

Gabriel popatrzył na tę matkę, na jej rozpacz i powolną erozję czasu, która ściągała ją na dno nałogu. Czy on sam w ostatnich latach również był w takim stanie? Czy i on zapadł się do tego stopnia, że zamknął się w domu? Kiedy człowiek wszystko stracił, często zatracą też samego siebie.

– A pana córka? Ciągle nic? – zapytała Josiane Lourmel, zapalając papierosa.

– Nic. To już dwanaście lat.

– U mnie dziewięć lat i dziewięć miesięcy. Pod tym względem bije mnie pan na głowę. – Chciała się roześmiać, ale zakasłała. Papieros wypadł jej z ust, podniosła go. – Przepraszam za ten burdel. Nie spodziewałam się gości.

– Jestem tutaj, ponieważ mam poważny problem z pamięcią – wyjaśnił Gabriel. – Szczerze mówiąc, nie wiem już nawet, czy się znamy. Na ile to możliwe, próbuję uzupełnić luki w mojej przeszłości i gromadzić wszystkie informacje, które w ten czy inny sposób przywrócą mi jeśli nie córkę, to przynajmniej wspomnienia.

Kobieta popatrzyła na Gabriela ze współczuciem. Poszła przygotować dwie mocne kawy. Następnie usiedli na sofie zaplamionej tłuszczem albo jakimś sosem. Josiane Lourmel uważnie przyjrzała się jego twarzy. Wpatrywała się w niego na tyle długo, że oboje poczuli się zakłopotani, więc skupiła się z powrotem na kawie. Upiła łyk, jej dłoń z filiżanką drżała.

– Pamięć, mówi pan... Co to jest? Jakaś choroba?

– W sumie to nie. To neurologiczne. Skomplikowana sprawa.

Wskazała na telefon stacjonarny.

– Nie wiem, co jest gorsze: pozostawać więźniem przeszłości czy zapomnieć. Niech pan zobaczy, zostawiłam sobie nawet stary telefon. Minęło już tyle czasu, a ja wciąż myślę, że może jeszcze zadzwoni, że po drugiej stronie słuchawki może być Mathilde.

Koło ratunkowe. Szalupa. Nadzieja zrozpaczonych.

– Żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie: tak, znamy się – kontynuowała. – To znaczy można tak powiedzieć. Spotykaliśmy się raz w roku na Dniach Dzieci Zaginionych w Paryżu. Całą grupą jeździliśmy ścieżką niezapominajki do lasu Saint-Germain, tam gdzie nikt ich nie zerwie. *Forget me not* to angielska nazwa tych kwiatków, które były symbolem manifestacji. To pan chyba pamięta?

Gabriel pokręcił głową.

– Kiedy widzieliśmy się ostatni raz?

Przez kilka sekund Josiane Lourmel raz po raz nerwowo zaciągała się papierosem.

– Myślę, że w dwa tysiące piętnastym. Przestałam jeździć na te pieprzone spędy. Te wszystkie zdjęcia z twarzami ofiar, listy z setkami imion, a wśród nich imię mojej córki. To niczemu nie służyło, nie mogło zwrócić nam dzieci.

Gabriel nie wiedział, czy on też zrezygnował z jeżdżenia do Paryża.

– A wie pani, czy między zaginięciami pańskiej córki i mojej ustalono jakiś związek? – zapytał. – Czy ktoś wspominał o elementach, które mogłyby łączyć te dwie sprawy?

– Nigdy. Komu jak komu, ale chyba panu nie muszę mówić, ile osób ginie w każdym roku. Dlaczego pana zdaniem między tymi sprawami miałby istnieć jakiś związek?

Gabriel spojrział na zdjęcie za plecami Josiane: okrągłe policzki, skrzące się zielone oczy i szczery uśmiech młodej kobiety tryskającej życiem. Identycznej z tą w jego śnie, może trochę młodszej. Znowu popatrzył na jej matkę, która gorączkowym ruchem rozgniała niedopałek, nagle jakby nieufna.

– Trudno mi to wyjaśnić, ponieważ, jak już mówiłem, nie pamiętam – mówił dalej Gabriel. – Ale kiedy otworzyłem pudło ze wszystkimi papierami dotyczącymi tej sprawy i działań, jakie podejmowałem w przeszłości, w pewnym momencie pojawiło mi się w głowie wasze nazwisko: pani i pani córki. Tak jakby, nie wiem, jakby zaginięcie pani córki było dla mnie szczególnie istotne.

Oczy madame Lourmel załśniły.

– Trafił pan na jakiś trop?

Gabriel nie chciał jej robić nadziei. Sam nie wiedział, czego szuka.

– W związku z utratą pamięci w tej chwili tego nie wiem. Ale prosiłbym, żeby mi pani opowiedziała o Mathilde. Może pani historia sprawi, że coś mi zaświta. Musimy spróbować.

Kobieta odstawiła filiżankę. Przez kilka chwil oblizywała usta, jakby przeszkadzał jej jakiś niewidzialny owad. Nagle wstała i sięgnęła po butelkę z wódką.

– Nalać panu?

Gabriel odrzucił propozycję. Kobieta wyglądała na zawiedzioną. Napełniła swoją szklanekę i upiła łyk. Jej twarz się rozluźniła.

– Mathilde właśnie skończyła dwadzieścia lat. Była... Zawsze była w dobrym humorze. Wszyscy ją lubili, tak, mówię o tym nie dlatego, że jestem jej matką. To była naprawdę dobra dziewczyna.

Gabriel nic nie powiedział. Zabolalo go, że jego rozmówczynie mówiła o córce w czasie przeszłym.

– Studiowała prawo w Orleanie i mieszkała jeszcze tutaj, z nami. Nie mieliśmy środków, żeby wynająć jej stancję w mieście, poza tym po co, skoro mogła codziennie wracać? To był dobry powód, żeby ją jeszcze zatrzymać, zanim wyfrunie na dobre. Mój mąż zawsze się obawiał tego dnia, kiedy córka się wyprowadzi.

Obracała szklanekę między dłońmi. Nie patrzyła już na Gabriela tak jak na początku ich rozmowy. Może była skrepowana.

– Często biegała nad rzeką, co najmniej trzy razy w tygodniu, latem i zimą. Wieczorami zabierała latarkę, nic nie mogło jej powstrzymać. – Rozgorączkowanym wzrokiem wpatrywała się w swoją szklanekę. – Trzeciego

lutego dwa tysiące jedenastego roku wyszła pobiegać około siedemnastej. Padał mokry śnieg, ale to jej nie zniechęciło. Byłam w domu, mąż w firmie, jest informatykiem. Więcej jej nie widzieliśmy.

Łyk wódki. Moment zaginięcia – wszystko, co było tuż przed i tuż po – to jeden z tych, które najsilniej odciskają się w pamięci bliskich. Ostatni uśmiech, ostatni gest, ostatnie słowo: ostatnie wspomnienia.

– Sprawą zajmowało się kolejno czterech sędziów śledczych i kilkudziesięciu detektywów, wszyscy połamali sobie na niej zęby. Śledztwo zostało zamknięte w październiku dwa tysiące piętnastego na podstawie artykułu sto siedemdziesiątego piątego kodeksu karnego. Kilka linijek, które dają urzędnikowi prawo do pogrzebienia nas żywcem. Kartka zostaje przewrócona i nic nie można zrobić. To było jak wbicie noża w otwartą ranę. Oznaczało po prostu, że dla wymiaru sprawiedliwości moja córka już nie istnieje. Jak zagubiony przedmiot.

Cztery lata postępowania i koniec. Gabriel wciąż nie wiedział, jak był w stanie to znieść. Skinął głową na znak, że rozumie.

– Czyli śledztwo nic nie dało? Nie pojawił się żaden poważny trop?

– Nic a nic. Przesłuchali jednego czy dwoje świadków, którzy tamtego wieczoru rzeczywiście widzieli, że ktoś biegał nad rzeką z migającą lampką, ale to wszystko. Było zimno i ciemno, a w dodatku padał ten cholerny mokry śnieg. Policjanci początkowo mówili o przypadkowym upadku do Loary: sprawdzili brzegi na odcinku wielu kilometrów, całymi dniami przeszukiwali wszystkie odnogi rzeki, ale nie wyłowili ciała. – Zrezygnowana, pokręciła głową. – Najgorsze to nie wiedzieć, co się stało. Wypadek? Morderstwo? Porwanie? Czy zrobili jej krzywdę? Nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. Ci, którzy odbierają nam dzieci, stają się naszymi grabarzami.

Przechyliła szklanke i opróżniła ją do dna. Przy całej potworności tego, co się zdarzyło, Gabriel i jego grupa mieli się przynajmniej czego chwycić – postaci Wandy Gershwitz, szarego forda – natomiast w przypadku Mathilde śledczy trafili na absolutną pustkę.

– Zawsze miała tę samą trasę? – zapytał. – Chodzi mi o trasę do biegania.

– Co to za idiotyczne pytania? Jakie to ma znaczenie, czy biegała tą samą trasą? Czego pan właściwie chce? Nigdy nie byliśmy u was w Sabaudii. Te dwa zaginięcia dzieli odległość pięciuset kilometrów i trzech lat. Naszych córek nie łączyło nic poza sportem, jeśli mówić o jakichś wspólnych elementach. Widzieliśmy się wszystkiego cztery razy, a pan nie pamięta nawet, że sialiśmy niezapominajki, więc co takiego w pańskiej głowie skłoniło pana, żeby tutaj przyjeżdżać? Co pan odkrył?

Gabriel rozniecił w oczach matki Mathilde groźne płomienie. Żałował, że tu przyjechał i poruszył stare błoto. Nie mógł tutaj znaleźć niczego, co pomogłoby mu ustalić, dlaczego domagał się od Solenne profili DNA, ani co wyjaśniałoby jego koszmar. Wstał zakłopotany.

– Przykro mi, że panią niepokoiłem.

Josiane Lourmel również wstała.

– Tak, przykro panu. Wszystkim jest przykro.

Weszła do kuchni i na samoprzylepnej karteczce zapisała swój numer telefonu. Przykleiła ją do otwartej dłoni Gabriela, zamknęła jego rękę w swojej, a następnie spojrzała mu głęboko w oczy. Zacisnęła mocniej delikatne palce. Gabriel poczuł dziwne ciepło w brzuchu, a jego puls przyśpieszył. Stał bez ruchu.

– Jeśli pan chce, niech pan jeszcze trochę zostanie. Moglibyśmy pogadać.

– Muszę wracać do siebie.

W końcu cofnęła rękę, skrupowana.

– Oczywiście, ale może pan do mnie dzwonić bez względu na porę. Gdyby pan miał jakąkolwiek informację, gdyby przypomniało się panu coś w związku z moją córką, chcę, żeby mi pan o tym powiedział. Niech mnie pan nie zostawia, dobrze? Błagam, niech mnie pan wyrwie z tego piekła.

Gabriel wsunął karteczkę do kieszeni, poruszony iskrą, która przeskoczyła między nimi. W końcu pośpiesznie pokonał odległość dzielącą go od drzwi. Obok wieszaka zauważył zdjęcie w ramce: Mathilde pozowała na nim w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym na brzegu odkrytego basenu, uśmiechnięta, w lekko zsuniętych okularach lustrzankach, za którymi widać było śliczną, psotną twarz. Na opalonej skórze jej lewego uda widać było znamię. Gabriel podszedł bliżej.

– To znamię – powiedział, wskazując na nie palcem. – Czy to plama urodzeniowa?

Josiane Lourmel ostrożnie zdjęła zdjęcie ze ściany.

– Bardzo lubiła być fotografowana, zawsze pozowała jak gwiazda. Tutaj musiała mieć siedemnaście lat. To chyba było w Porto-Vecchio. Porto-Vecchio...

– westchnęła. – Dziś to wszystko wygląda tak nierealnie. Jakby nigdy nie istniało. Ale dlaczego nagle zainteresowała pana plama urodzeniowa?

– Bo... przywołała pewne wspomnienie. Moja córka też miała takie znamię – skłamał. – Na prawej łopacie. W kształcie Gwadelupy, motylka.

Madame Lourmel skinęła głową.

– My nazywaliśmy znamię córki Ourasi, na cześć pewnego słynnego kłusaka, czterokrotnego zdobywcy Prix d'Amérique. Na tym zdjęciu bardzo dobrze to widać, to była wypisz wymaluj głowa konia.

— **E**h, wreszcie jesteś. Proszę, zamknij drzwi.
Corinne przyjechała na prośbę Paula w trakcie przerwy na lunch. Mąż poprosił ją, żeby usiadła. Natychmiast zrozumiała, że coś się stało. Opadła na krzesło. Paul postanowił nie owijać w bawełnę.

– David Esquimet nie żyje. Skoczył z zapory na jeziorze Noir.

Corrine się wzdrygnęła i odwróciła głowę w stronę pokoju po prawej. Za opuszczonymi do trzech czwartych żaluzjami zobaczyła Louise opartą na łokciach i pogrążoną w swoich myślach.

– Niemożliwe...

– Taka jest smutna rzeczywistość – odparł Paul, wędrując wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Jak ona się ma?

– Powiedziałem jej, żeby wracała do siebie, ale woli zostać tutaj. Może to i lepiej, będzie mniej roztrząsać. Była do niego przywiązana, ale spotykali się dopiero od trzech miesięcy. Jest silna, pozbiera się. Sprawa może się skomplikować, kiedy zda sobie sprawę, że sypiała ze swoim najgorszym wrogiem.

Corinne zastanawiała się, kogo właściwie ma przed sobą. Ojca, męża czy zimnego żandarma formalistę, dla którego chodzi tylko o kolejne samobójstwo.

– Co masz na myśli?

– David Esquimet to nasz palindromista. Miał siedzibę w domku w okolicach jeziora Noir, o której najwyraźniej nikomu nie mówił.

Corinne powinna poczuć ulgę, ale napięcie w kręgosłupie utrzymywało ją w stanie czujności. Jakby za sprawą jakiejś tajemniczej intuicji od zawsze wiedziała, kto jest sprawcą.

– Na ścianie jego kanciapy z narzędziami wisiało mnóstwo artykułów na temat zaginięcia Julie wymieszanych z rodzinnymi zdjęciami. David Esquimet jako dziecko z ojcem i matką. Potwierdza to hipotezę, że sprawy palindromisty

i porwania Julie są ze sobą powiązane: David Esquimet coś wiedział. Nie wiemy jeszcze skąd ani dlaczego, ale rozmawiałem już z sędzią Cassoretem. W świetle wszystkich nowych informacji postanowiłem rozważyć ponowne otwarcie śledztwa w sprawie Julie.

Corinne zasłoniła usta obiema rękami. Miała łzy w oczach.

– Dzięki temu będziemy mieć budżet, środki. To dobra wiadomość.

Skinęła głową, ocierając kącik oka.

– Tak, tak. To dobra wiadomość.

Paul nie pozostawił żonie wiele czasu na cieszenie się chwilą. Przesunął w jej stronę zdjęcie zapakowane w plastikową koszulkę.

– W jego kanciapie znaleźliśmy też to.

Corinne przyjrzała się fotografii. Pielęgniarki, szpital, tabliczka z napisem tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć i jej zabazgrana twarz. Nagle poczuła, jakby bańka przeszłości wypłynęła z głębin jej pamięci i pękła na powierzchni umysłu.

– Boże... To było ponad trzydzieści lat temu. Nie, nie może o to chodzić.

Paul pochylił się do przodu.

– Z całą pewnością chodzi właśnie o to. Tylko wyjaśnij mi o co.

– Włączysz to, co mówię, do akt?

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie.

Wahała się dłuższą chwilę, obgryzając paznokcie.

– Miałam dwadzieścia lat, dopiero zaczęłam pracę, to było, zanim jeszcze poznałam Gabriela. Byłam pielęgniarką na bloku operacyjnym, na chirurgii ginekologicznej. Mój Boże, nigdy o tym nikomu nie mówiłam.

W pokoju znowu na nieskończenie długie sekundy zapadła cisza.

– Corinne, to jest ważne.

– Asystowałam profesorowi, który miał na nazwisko Chardeau – zaczęła w końcu. – Patrick Chardeau. Pracował w Sagas od kilkudziesięciu lat i trzymał swój oddział żelazną ręką. Wszyscy się go bali, to był taki typ zarozumiałej gwiazdy, który jednym pstryknięciem palców może wypromować albo zniszczyć czyjąś karierę. Modelowy przykład gościa, który odniósł sukces i pogardza całą resztą. – Miała rozszerzone źrenice. Była tam, na bloku operacyjnym. – Tamtej nocy miał przeprowadzić histerektomię, usunięcie macicy, u Catherine Esquimet. Chardeau nie był w najlepszej formie. Spóźnił się, co było do niego niepodobne, wrzeszczał na nas. Wszystkim nam się obrywało. Był tak spięty, że nie mógł operować. Później się dowiedzieliśmy, że miał konia wyścigowego, który po nieszczęśliwym upadku został uśpiony właśnie w dniu operacji. To była dla niego wielka strata.

– Ale operacja mimo wszystko się odbyła.

– Tak, w okropnej atmosferze. Wyglądało jednak na to, że wszystko przebiega prawidłowo. Ale podczas wywożenia pacjentki z bloku na OIOM jej tętno zaczęło przyspieszać. Kiedy to się stało, Chardeau przebierał się już w cywilne ciuchy. Szybko ją otworzył i stwierdził poważny krwotok. Krew była wszędzie. Minęło zbyt dużo czasu, zanim ustalili, że źródłem problemu jest jelito cienkie. Zostało przebite, prawdopodobnie w trakcie operacji. Oszczędzę ci szczegółów technicznych, ale Catherine Esquimet zmarła piętnaście minut później z powodu zatrzymania akcji serca.

Jej głos drżał z emocji. Poprosiła Paula o szklankę wody. Podał jej. Stał przy oknie, oparty o ścianę. Na dworze nie było już szpaków. O świcie jego koledzy widzieli, jak olbrzymi czarny kształt poderwał się do dalszej podróży i odleciał na zachód.

– Chardeau polecił nam, żebyśmy zostali na bloku do późnej nocy, do czasu przyjazdu dyrektora szpitala. Wszystko działało się bardzo szybko. Dał nam do zrozumienia, że w naszym interesie jest mówić, że wszystko przebiegło w stu procentach zgodnie ze sztuką, ale zaistniały komplikacje, które doprowadziły do zgonu pacjentki. W żadnym razie nie było nam wolno wspominać o strasznym zdenerwowaniu chirurga. – Pokręciła głową. – Minęło tyle czasu, a ja ciągle pamiętam jej męża czekającego w pokoju, z dzieciaczkiem na kolanach. David Esquimet nie miał nawet pięciu lat. Ojciec był kompletnie zagubiony, kiedy ten łądak Chardeau ze smutną miną zakomunikował mu, co się stało. Claude Esquimet nie rozumiał, że zobaczy swoją żonę dopiero na stole w zakładzie pogrzebowym.

Paul wyobrażał sobie tę straszną scenę. Mężczyzna balsamujący własną żonę. Na pewno odkrył straty spowodowane przez chirurga, kiedy przeprowadzał tanatopraksję.

– Próbował wnieść skargę o nieumyślne spowodowanie śmierci, ale było za późno – mówiła dalej Corinne. – Przed komisją wszyscy jak prymusi trzymaliśmy jeden front, powtarzaliśmy tę samą ściemę. Oszczędzę ci tej szpitalnej gadki, w wyniku której ostatecznie orzeczono „niezawiniony błąd chirurgiczny”.

„Niezawiniony błąd chirurgiczny”: Paul nie bardzo wiedział, jak to rozumieć. Orzeczenie to musiało być równie spójne jak twierdzenie, że można w sposób nieintencjonalny nacisnąć na spust pistoletu.

– Po tej sprawie Chardeau opuścił Sagas i wyjechał robić karierę gdzie indziej, całkowicie bezkarny. Claude Esquimet nie dostał ani grosza. A ja musiałam żyć z tą śmiercią na sumieniu. Ale co miałam zrobić? Ujawnić omertę, która panowała w szpitalu? Byłam młoda, chciałam utrzymać pracę. Poza tym to była nierówna walka. – Oddała mu zdjęcie. – Nigdy ani przez chwilę nie

przeszłoby mi przez myśl, że te listy mogą mieć związek z tamtym zdarzeniem. Minęło ponad trzydzieści lat! – powtórzyła.

Żandarm z doświadczenia wiedział, że ostatecznie karma zawsze wraca, nawet jeśli człowiek czuje się bezpiecznie. On także któregoś dnia będzie musiał zapłacić rachunek.

Opadł na krzesło.

– David Esquimet wychowywał się bez matki – szepnął. – Przez lata widział, jak jego ojciec stacza się w alkoholizm i powoli umiera: przyczyną choroby na pewno był ten dramat. Zaginięcie Julie stało się dla niego okazją do wyładowania swojej nienawiści. Pechowo właśnie ty zostałeś wytypowana jako obiekt zemsty. Płacisz za wszystkich pozostałych.

Jego słowa i ton zmroziły Corinne. Patrzyła na niego teraz tak, jak się patrzy na łódź z zerwaną cumą, miotaną prądami, wobec której nie da się nic zrobić. Wiedziała, że ich małżeństwo tego nie przetrwa. Źle jest żyć z sekretami, ale jeszcze gorzej jest je ujawnić.

– Co on zrobił mojej córce?

– Na razie niewiele wiadomo. Ale w swoich listach zawsze twierdził, że wie, gdzie ona jest. Sądzymy, że to prawda.

– Jak to możliwe?

– Być może wtedy coś zobaczył i zachował to dla siebie. Jakaś twarz, czyjeś dane, tablicę rejestracyjną, cokolwiek, co mogłoby nas naprowadzić na jakiś trop. Wszystko to okazało się dla niego zbyt wielkim ciężarem. Dlatego ze sobą skończył.

Westchnął. A w konkursie na największe kłamstwo zwycięża... – pomyślał sarkastycznie.

– W tej chwili przeszukujemy domek i próbujemy zrozumieć, co łączyło Esquimeta z twoją córką. Jedno jest pewne: miał pociąg do niezdrowych klimatów. Zabraliśmy stamtąd album ze zdjęciami, były na nich zbliżenia części ciała denatów: rąk, nóg, torsów. Ofiary wypadków, samobójcy... Być może fotografował ich w sali do balsamowania zwłok.

– Boże...

– Zabezpieczyliśmy też ostatnie strony rękopisu książki, która wygląda na kryminał i prawdopodobnie nie jest jego autorstwa. Zamierzał nam wysłać ostatnie zdanie z kolejną wiadomością, w której twierdził, że odpowiadzi na wszystkie nasze pytania znajdując się w tym słynnym rękopisie. Szukamy pozostałych stron, powinno ich być ponad czterysta sześćdziesiąt.

Corinne nieznacznie skinęła głową. Pomyślała o przekłętą, złowróbną książkę, ze szczegółami opisującej męki, jakim poddawano jej córkę. Wstała i sięgnęła po torebkę. Paul wyszedł zza biurka i przytulił ją.

– Dziękuję. Byłaś bardzo dzielna, że wyciągnęłaś tę starą historię na światło dzienne. Przynajmniej teraz posuwamy się naprzód.

Zrobiła krok do tyłu.

– Dręczyło mnie to przez lata, aż w końcu prawie o tym zapomniałam. Mówią, że czas jest lekarstwem na wszystko, że potrafi wyleczyć wszelkie rany.

Być może kiedyś wyleczę się także z nieobecności Julie. – Zerknęła na zegarek.

– Muszę już iść. Powiedz ode mnie Louise, żeby się trzymała. Gdyby chciała, może przez jakiś czas nocować w domu.

– Na pewno jej przekażę.

Wychodząc, odwróciła się w progu.

– Może mógłbyś wrócić wcześniej...

Patrzyli na siebie ledwie sekundę, ale to wystarczyło, by Corinne otrzymała odpowiedź. Zrobiła w tył zwrot i zniknęła.

Gabriel zatrzymał się na pustej drodze przy skraju upraw, dziesięć kilometrów za Orleanem. Ulżył sobie w rowie, zdruzgotany niedawnym odkryciem.

W albumie Davida Esquimeta znajdowało się zdjęcie znamienia w kształcie końskiej głowy na kobiecym udzie. Trudno sobie wyobrazić, że mogło chodzić o zwykły zbieg okoliczności. Jakkolwiek niezrozumiałe mogło się to wydawać, Esquimet miał do czynienia ze zwłokami Mathilde Lourmel, zaginionej w dwa tysiące jedenastym roku w Orleanie. Ułożył je na makabrycznym stalowym blacie i tak do kolekcji podobnych okropności trafiła kolejna fotografia.

Podniósł się z trudem. Wyobraził sobie Davida Esquimeta pochylającego się nad martwą Mathilde, by uwiecznić fragment jej ciała. Co robiły jej zwłoki w jego zbiorach? Czy po wszystkim ją pochował? Podał kremacji?

Nie ośmielił się brnąć dalej w rozmyślenia i szybko wsiadł za kierownicę. Gaz do dechy. Naprzód, żeby nie umrzeć ze strachu, żeby mieć jakiś cel. Pomyślał o Josiane Lourmel, o jej błaganiach, o jej życiu i rodzinie, które zostały na zawsze zniszczone. Pozostawało jej tylko czekać na telefon, który miał nigdy nie zadzwonić. „Nie wiem, co jest gorsze: pozostawać więźniem przeszłości czy zapomnieć”, powiedziała. Gabriel nie chciał skończyć tak jak ona. Wszystko, tylko nie to. Wbrew instrukcjom Paula wybrał jego numer. Odezwała się poczta głosowa, na której zostawił tylko jedno słowo: „Oddzwoń”.

Okolo piętnastej jego oczom ukazała się wielka bryła Lille, jak betonowa fala nacierająca na przednią szybę samochodu. Wysokie centra handlowe uwięzione między dworcami kolejowymi, kręte ulice zapchane samochodami, z każdej strony trąbienie klaksonów. Gabriel kompletnie nie znał tego regionu. Jego matka osiadła na północy po tym, jak ojciec został tam przeniesiony zawodowo, on zamieszkał w tym czasie z Corinne w Sagas. Podobno po rozwodzie sam przeprowadził się do stolicy Flandrii, ale teraz na jej widok czuł tylko wielką pustkę.

Dzielnica Wazemmes. Eksplozja kolorów. Szyldy chińskich restauracji, zapach kebabów, małe kafejki wciśnięte między salony sprzedaży telefonów komórkowych albo sklepy spożywcze. Na straganach pod gołym niebem piętrzyły się warzywa, jakiś facet pośród szczęku metalu kroił mięso maczetą. Ludzie nawoływali się nawzajem, w tle słychać było nieprzerwany warkot samochodowych silników. Paul czuł się obco w tym wirze, w tej mieszance ludzi o żółtej, szarej, czarnej i białej karnacji, ale pomyślał, że gdyby chciał pozostać niezauważony, rzeczywiście wybrałby tego typu miasto.

Wynalazł jakieś miejsce do parkowania, wysiadł i ze sportową torbą w rękę ruszył przed siebie ulicą. Przyciągnął spojrzenia grupki rozmawiających kolesi, jakaś starsza pani z torbą na zakupy kiwnęła mu głową na znak powitania. Prowadzony przez nawigację w telefonie, Gabriel czuł się napastowany, śledzony. Czy on zna tych ludzi? Czy już z nimi rozmawiał?

Wciąż nie było wieści od Paula. Wszedł do holu w starym bloku i włożył do zamka jeden z kluczy spiętych w pęk. Zadziałało. Według adresu, który otrzymał od byłego kolegi, jego mieszkanie znajdowało się pod numerem dwadzieścia trzy. Zajrzał do skrzynki na listy i zadrżał, gdy przeczytał „Walter Guffin” na białej wizytówce. Wyjął ze środka plik gazetek reklamowych, po czym wyrzucił je do kosza. Wszedł na pierwsze piętro i pełen lęku zbliżył się do swoich drzwi. To było dziwne, miał wrażenie, jakby wdzierał się w prywatne życie nieznanego człowieka.

Wsunął do zamka inny klucz. Wchodził doskonale, ale nie chciał się prawidłowo obracać. Przez pięć minut mocował się z zapadką, zanim wreszcie zdołał otworzyć drzwi. Kiedy zobaczył, jak wygląda wnętrze, zrozumiał swoje trudności. Ktoś się włamał do jego mieszkania.

Omiótł wzrokiem salon. Wszystko było przewrócone do góry nogami. Szuflady na ziemi, poduszki zrzucone z sofy, stół na boku. Gabriel, oszołomiony, wszedł do sypialni. Taki sam bałagan. Dwupokojowe mieszkanie wyglądało jak po przejściu tornada, ale telewizor stał na swoim miejscu, podobnie nagłośnienie i komputer w kącie. Nie chodziło zatem o klasyczne włamanie. Osoba lub osoby odpowiedzialne za ten chaos szukały czegoś konkretnego.

Gabriel usiadł na sofie i ścisnął kluczyk, który nosił na szyi. Następnie wyjął z kieszeni pamiętnik córki i w milczeniu przerzucał zniszczone kartki. Ponowny widok ordynarnych rysunków sprawił, że zawrzała w nim krew. Przyjrzał się labiryntom, które Julie usiłowała rozwiązać, i rysunkowi bliźniaków – słynnego xiphopagusa. Oczami wyobraźni ujrzał Julie i Mathilde uwięzione w lustrzanym odbiciu, na dnie odrażającej groty. I siebie: prawie ich dotykał, ale nie był w stanie im pomóc. To wszystko było niezrozumiałe, szalone.

Nagle wstał i z całej siły rzucił o ścianę radiobudzikiem. Wydał z siebie przeciągły krzyk. Potem przez ułamek sekundy myślał, że wyskoczy z okna. O ileż wszystko byłoby prostsze. Zamiast walczyć z wiatrakami, raz na zawsze z tym skończyć. Zaczął chodzić wte i wewte, wściekły na siebie i swój mózg, który ukradł mu dwanaście lat życia i nie chciał oddać.

Gdy kryzys minął, Gabriel zczekał, aż jego serce się uspokoi, i zaczął się zastanawiać. Nie było mowy o dzwonieniu po gliny: gdyby się dowiedzieli o jego fałszywej tożsamości, nie byliby tak wyrozumiali jak Paul. Poza tym jak mógłby im wyjaśnić piekło ostatnich dni i nie wylądować potem w więzieniu albo w psychiatryku? Musiał sobie radzić sam.

Postanowił dokonać bardziej drobiazgowych oględzin wnętrza. Mieszkanie było niewielkie, najwyżej trzydzieści metrów kwadratowych. Żadnych dekoracji ani osobistych akcentów. Z pewnością wynajął umeblowany lokal. Trochę posprzątał, postawił stół, rzucił okiem na paczki papierosów i napoczęte butelki

z alkoholem – whisky i rumem, pozbierał papiery. Nic szczególnego, faktury na nazwisko Guffin i niestety ani śladu po dowodzie osobistym. Włączył komputer. Bezskutecznie usiłował wpisywać różne hasła. Nadaremnie liczył na łut szczęścia. Zawartość twardego dysku była dla niego tak samo niedostępna jak jego pamięć.

Wszedł do maleńkiej kuchni, otworzył drzwi lodówki. Wyjął paczkę szynki, przyjrzał się datom na kubkach z jogurtem. Nic nie było przeterminowane. Wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście mieszkał tu w dniach poprzedzających wyjazd do Sagas. Kiedy odwiedziono jego mieszkanie? Przed śmiercią Wandy Gershwitz czy później?

Szafa w sypialni również została przetrząsnęta. Zrobił w niej porządek i zauważył obecność damskich ubrań. Koronkowa bielizna, biało-różowa piżama. Powąchał je. Wanda była tutaj, musiała spać w tym łóżku.

Ucieszył się, gdy znalazł jednolity niebieski T-shirt, antracytowy golf, czyste slipy i skarpetki. Wszedł do łazienki. Ślady obecności kobiety widać było również tutaj – dwie szczoteczki do zębów w jednym kubku, szampon do włosów farbowanych. Żył z kobietą, która zrujnowała mu życie. Ledwie mógł sobie wyobrazić, co czuł, ilekroć ją przytulał. Pewnie miał wrażenie, jakby tańczył z diabłem.

Nie odrywając wzroku od lustra, umył twarz. Na głowie odrastały mu siwiejące włosy, zarost wokół ust sterczał na wszystkie strony, nadając mu wygląd recydywisty. Sięgnął po maszynkę i piankę do golenia i zgolił brodę. Jego oczom ukazała się głęboka bruzda na podbródku, przypominająca bliznę po cięciu nożem. Tak, to był on. Gabriel Moscato, lat pięćdziesiąt pięć. To rzeczywiście był on.

Przesunął opuszkami palców po szczupłej, pociągłej twarzy, na dnie swoich oczu zobaczył znak firmowy mężczyzny, którym zawsze był: ojca gotowego przenosić góry. Nigdy nie zarzuci swoich poszukiwań. Zrobi wszystko, by dojść do prawdy, by namierzyć człowieka czy ludzi, którzy skrzywdzili Julie. To pewnie ci sami, którzy przetrząsnęli to mieszkanie, dzikie bestie, które porzuciły zwłoki na brzegu Arve i próbowały zwalić winę na niego. Pomyślał o Davidzie Esquimecie, o jego zdjęciach, o palindromach na ścianie elektrowni. Gdzie było miejsce poszczególnych elementów tej łamigłówki?

Podszedł do okna, dyskretnie odchylił zasłonę i popatrzył na ulicę, na samochody, na ludzi, którzy ją przemierzali, dzierżąc w ręku własny los. A pomiędzy ich trasami on – zagubiony w mgławicy zapomnienia, niezdolny, by się wyrwać z własnego koszmaru, zdecydowany, by walczyć aż do końca. Nie miał pojęcia, dokąd go to wszystko zaprowadzi, ale wiedział jedno: poszukiwania na północy musi zacząć u matki.

Na ulicy przyległej do cmentarza, między kawiarenką a warsztatem szewskim, znajdował się zakład pogrzebowy Esquimeta. Był to wysoki kamienny budynek, którego parter zajmowały pracownia kamieniarska i dom pogrzebowy. David Esquimet mógł się dostać do swojego mieszkania od tyłu, bez potrzeby przechodzenia przez zakład.

Paul znalazł pęk kluczy w jego kurtce. Otworzył drzwi wejściowe i w towarzystwie Bruneta pokonał ciąg schodów – pozostała część grupy wciąż przeszukiwała domek. Poprosił pracownika firmy, żeby zaczekał na dole: zamierzał mu zadać kilka pytań.

Innym kluczem otworzył drzwi mieszkania na piętrze. Mieli przed sobą starokawalerskie lokum o skrzypiącej podłodze, niemodnych tapetach, drewnianych meblach w rustykalnym stylu, tak masywnych i potężnych, że przetransportowanie ich w to miejsce musiało graniczyć z cudem. Po śmierci ojca David Esquimet nie zadbał szczególnie o wystrój tego miejsca.

Paul omiótł wzrokiem salon. Nie zauważył biblioteczki. Wszedł do przedpokoju, minął łazienkę. Pierwszy pokój został przerobiony na biuro. Na ścianie wisiał miszmasz zdjęć: rodzice Davida, on sam we wczesnej młodości, wspólne zdjęcia z Louise zrobione nad rzeką i w czasie spaceru za miastem. Najwyraźniej Esquimet nie zostawił tu żadnych materiałów, które mogłyby go zdradzić, i zrobił wszystko, by Louise nie odkryła jego drugiej twarzy.

Kapitan sięgnął po aparat fotograficzny leżący obok komputera. Piękny model, canon z górnej półki. Przejrzał zdjęcia na karcie pamięci. Tutaj również niczego nie znalazł. Esquimet wymazał swoje potworności.

Odwrócił się do podwładnego.

– Zabierz komputer, aparat i komórkę. Trzeba będzie przejrzeć twarde dyski.

Wszedł do drugiego pokoju, zobaczył łóżko i poczuł dreszcz, gdy wyobraził sobie, że Louise sypiała tutaj z tym szaleńcem. Podszedł do okna wychodzącego na cmentarz i wśród szarych pomników w oddali poszukał wzrokiem grobu

pierwszej żony. Można powiedzieć, że Esquimet spędzał dni i noce w towarzystwie zmarłych. Jakie to wszystko smutne.

Zajrzał do szafy, zauważył metalowe pudła pełne papierów. Wszystko było starannie powpinane w segregatory z zakładkami. Po chwili trafił na zeznania podatkowe. Tak jak się spodziewał, wynikało z nich, że David rzeczywiście był właścicielem posiadłości nad jeziorem Noir.

– Zajmij się też tymi papierami! – zawołał. – Przejrzyj wszystko dokładnie. Musimy znaleźć ten cholerny rękopis. Idę na dół.

Podszedł do pracownika zakładu pogrzebowego, który czekał na niego przy schodach. Mężczyzna nazywał się Denis Huron, był tanatopraktykiem i miał około sześćdziesiątki. Pracował dla Esquimetów – najpierw dla ojca, potem dla syna – od ponad ćwierćwiecza i wydawał się wstrząśnięty niespodziewaną śmiercią młodego szefa.

– To się stało tak nagle – powiedział, wsuwając dłonie do kieszeni. – Wczoraj tutaj był, a dziś już po nim. Dlaczego to zrobił?

– Będziemy się starali to ustalić w ramach śledztwa. Czy wiedział pan o tym, że David ma domek niedaleko zapory?

Minęło kilka chwil, zanim Huron otrząsnął się z zamyślenia i odpowiedział.

– Tak, wiedziałem. Odziedziczył go po ojcu, a ojciec po swoich rodzicach. Jego dziadek pomagał w budowie elektrowni czy coś w tym stylu. David mieszkał nad firmą ze względów praktycznych, ale myślę, że od czasu do czasu lubił tam jeździć. Nigdy nie sądziłem, że kiedyś...

– A jego ojciec? Mieszkał tutaj czy w domku?

– Zawsze tutaj. Wolał wynajmować domek turystom, którzy lubili takie odludne miejsca. Trzeba przyznać, że okolica jeziora Noir jest bardzo malownicza. I miał z tego interesu ładny grosz.

– Korzystał z usług jakiejś agencji?

– A widział pan tutaj jakąś agencję? Nie, wynajmował na czarno. Nidy nie miał z tego powodu problemów. Rozwieszał nawet ogłoszenia w piekarni czy sklepach, ze zdjęciami i swoim numerem telefonu.

Nie istniał żaden prosty sposób, by sprawdzić lokatorów z dwa tysiące siódmego, ale w głowie Paula coraz wyraźniej rysował się scenariusz, który się rozegrał. Zakazany kochanek Julie wynajmował domek od ojca Davida. Być może wcześniej mieszkał w hotelu Falaise i rozglądał się za wygodniejszym lokum. Trafił na ogłoszenie. Zrezygnował więc z gościny Romualda Tanchona, wprowadził się do domku i w największej tajemnicy zaprosił tam Julie.

– Wiem, że to było dawno temu, ale gdybym pana zapytał o lato dwa tysiące siódmego roku, zanim zaginęła Julie Moscato... Wie pan, czy domek był wtedy wynajmowany? Przez jakiegoś artystę, może pisarza?

Wyglądało na to, że Denis Huron nie zamierza wysilać szarych komórek, od razu wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jakkolwiek by było, o żadnym pisarzu nie słyszałem. Dlaczego pan o to pyta? Jaki to ma związek z Davidem?

– Po prostu prowadząc śledztwo, musimy sprawdzać wszystkie tropy. Chcemy się upewnić, że za śmiercią, która wygląda na samobójstwo, nic się nie kryje, rozumie pan?

Huron skinął głową. Słyszając samego siebie, Paul pomyślał, że zrobiłby oszałamiającą karierę jako aktor.

– Chciałbym zobaczyć salę przygotowania zwłok.

Denis Huron ruszył korytarzem znajdującym się na lewo od schodów. Otworzył drzwi w głębi, zapalił światło i zszedł po trzech stopniach. Przeszli przez pomieszczenie, w którym wisiały kombinezony, maseczki i furażerki. Paul zauważył pudło z poskładaną niebieską odzieżą i prześcieradłami.

– Poprosiłbym pana o włożenie tego na buty – zwrócił się do niego Huron i podał mu ochraniacze. – Nie mamy w tej chwili żadnego zmarłego, ale chodzi o higienę.

Pracownik zakładu pogrzebowego poradził sobie z zadaniem w jednej chwili: stanął najpierw na jednej nodze, a potem na drugiej w doskonałej równowadze. Paul musiał w tym celu usiąść na taborecie.

– Ile osób tutaj pracuje?

– Pięć, ale tylko dwóch tanatopraktyków. David i ja. Był szefem, ale papierologia i sprzedaż to nie była jego bajka. Wolał, jak to się mówi, działać w terenie.

– Czyli często pracował ze zwłokami?

– To zależy, co pan rozumie przez słowo „często”. Poza tym to nie Chicago. W najlepszych tygodniach dwa, może trzy razy. Resztą zajmowałem się ja.

Paul wstał, krzywiąc się i opierając obie ręce na zdrowym kolanie. Przeszli przez ciężkie wodoszczelne drzwi. Temperatura w nisko sklepionej sali bez okna, zalanej ostrym światłem potęgującym jej kliniczny wygląd, wynosiła najwyżej dziesięć stopni. Pomieszczenie miało jakieś piętnaście metrów kwadratowych i znajdował się w nim sprzęt niezbędny do konserwacji zwłok. Duży zlew, syfony odpływowe, system wentylacyjny, autoklawy do sterylizacji narzędzi, sprzęt do drenażu. Wszystko było czyste, sterylne. Paul zauważył dwie na wpół otwarte, puste szuflady na zwłoki. Podeszedł do stojącego pośrodku stołu ze stali nierdzewnej. Przez chwilę trwał bez ruchu, zamyślony, po czym odwrócił się do rozmówcy.

– W jaki sposób przywożone są tu ciała?

– Przez garaż, tuż obok drzwi, przez które pan wszedł. Ma bezpośrednie połączenie z korytarzem. Stoi tam wózek, który ułatwia pokonanie ostatnich kilku metrów. Po skończonych zabiegach przewozimy zmarłych do sali pożegnań, żeby rodziny mogły przyjść i złożyć wyrazy szacunku.

– Czy ciała mogą tu zostawać na noc?

– Tak. Jeśli przyjeżdżają późno wieczorem albo w weekend, umieszczamy je w jednej z dwóch chłodni i zazwyczaj zajmujemy się nimi na drugi dzień.

Paul przesunął palcami po lodowatym metalu, przyjrzał się kantom blatu, następnie podszedł do wspomnianych szuflad, których wewnętrzną temperaturę kontrolował termostat. W tym miejscu trupi zapach był szczególnie intensywny.

– Proszę, żeby był pan ze mną szczery. Czy niektóre zachowania pańskiego szefa mogłyby sugerować, że rozwijał się u niego jakiś rodzaj pociągu do zmarłych?

– Pociągu? Co pan ma na myśli?

– Czy lubił fotografować swoich klientów? Czy dotykał ich w inny sposób niż tylko profesjonalnie? Czy kiedyś poczuł się pan w związku z tym zakłopotany?

Huron poczerwieniał ze złości.

– Ma nas pan za jakichś świrów czy co? Oczywiście, że nie! Nigdy nie było tu takich rzeczy! David był wysoko cenionym profesjonalistą. Nie można wykonywać tego zawodu, jeśli nie ma się szacunku dla zmarłych.

Paul dotknął go do żywego, ale nie zamierzał się cackać. Otworzył galerię w swoim telefonie i pokazał ją mężczyźnie.

– Nie pytam pana o to ot tak. Znaleźliśmy te zdjęcia w kanciapie przyległej do domku Davida. Były wydrukowane i starannie ułożone w albumie. Jest ich około trzydziestu. Proszę zerknąć.

Huron założył okulary wiszące na jego szyi na czarnym sznureczku. Zmarszczył brwi, które schowały się za grubymi oprawkami. Przesuwał palcem po wyświetlaczu.

– O cholera...

– Czy pańskim zdaniem mogły zostać wykonane w tej sali?

– Trudno powiedzieć. Mamy taką tkaninę, ale mają ją wszystkie inne sale tanatopraksji. Stół jest słabo widoczny. Poza głównym obiektem wszystko jest rozmyte. Ale, u diabła, co to wszystko ma znaczyć?

Paul stanął obok niego.

– David mógł się tym zajmować, kiedy był sam, na przykład nocami. Mógł tu schodzić bezpośrednio z piętra, nikt by go nie nakrył. Miał wolne pole do działania.

Z Hurona wyparowała cała złość. Oszołomiony, oparł się o ścianę.

– Niech się pan uważnie przyjrzy tym kończynom, tym szczegółom, tym ranom – mówił dalej Paul. – Czy to panu coś mówi? Czy widział pan już zwłoki z takimi znakami szczególnymi? Niekoniecznie ostatnio. Proszę się nie śpieszyć. To ważne.

Mężczyzna poprawił okulary na nosie i na dłużej zatrzymał wzrok na każdym zdjęciu. W końcu pokręcił głową.

– Przykro mi.

Paul schował telefon.

– W najbliższych dniach zostanie pan wezwany na posterunek, żebyśmy mogli to wszystko spisać. Spokojnie, to formalności, wszystkich pracowników poprosimy o to samo. Chcemy tylko nakreślić profil osobowości pańskiego szefa.

Denis Huron skinął głową i opuścił salę ze zwieszonymi ramionami, jak pobity zawodnik schodzący z ringu. Paul został sam pośród buczenia wentylacji i zapachu szpitalnych środków czystości. Przez chwilę oczami wyobraźni widział Julie leżącą na stole z rozłożonymi rękami i nogami, jej ciało pokrywały plamy opadowe. Poczul, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mu zimny dreszcz. Pośpiesznie zgasił światło i wyszedł z pomieszczenia.

Aż po horyzont ciągnęły się smutno białe łacińskie krzyże. Wzdłuż drogi krajowej prowadzącej do Arras wyrastały cmentarze wojskowe. Połacie żałoby i wspomnień po bezwzględnej rzezi, jaką była druga wojna światowa, zwłaszcza w tych okolicach, w których przebiegała linia frontu.

Gabriel toczył własną wojnę – bezlitosną walkę przeciwko dziurze w swojej pamięci i porywaczom swojej córki. Zadzwonił jego telefon. Paul. Od razu go zaatakował.

– Dlaczego próbowałeś się ze mną skontaktować? To ja miałem się odezwać.

Gabriel zaparkował na poboczu.

– Posłuchaj. W drodze na północ wpadłem do Orleanu, do Josiane Lourmel, matki innej zaginionej dziewczyny.

– Orlean? Inna dziewczyna? Co ty wygadujesz?

– Dwa miesiące temu poprosiłem Solenne, żeby wyciągnęła dla mnie z bazy DNA profile genetyczne Julie i niejakiej Mathilde Lourmel. Nie wiem dlaczego. Żeby się tego dowiedzieć, pojechałem się spotkać z matką Mathilde. Dziewczyna została porwana któregoś wieczoru w dwa tysiące jedenastym, kiedy wyszła pobiegać nad Loarą. Śledztwo do niczego nie doprowadziło, ale widziałem jej zdjęcie. Usiądź sobie: Mathilde miała na udzie plamę urodzeniową w kształcie końskiej głowy.

– Taką jak ta z albumu Esquimeta?

– Identyczną.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Gabriel wyobrażał sobie, jakie wrażenie zrobiły jego rewelacje na byłym koledze. To, że Solenne działała za plecami przełożonego, powiązania między kilkoma porwaniami, udział Esquimeta w tej coraz bardziej odrażającej sprawie.

W słuchawce rozległ się poważny głos Paula:

– Jeżeli to prawda, jeśli ta Mathilde rzeczywiście nie żyje i Esquimet uwiecznił ją w swoim albumie, to w jaki sposób zdołałeś powiązać ze sobą te

sprawy? Po co był ci jej profil DNA i dlaczego przy tej okazji prosiłeś też o profil Julie?

– Nie mam zielonego pojęcia. Być może tutaj, na północy, trafiłem na jakiś trop i uznałem, że jest między nimi związek. Ktoś się włamał do mojego mieszkania w Lille. Prawdopodobnie sprawca albo sprawcy szukali czegoś, co schowałem w sejfie u matki. Właśnie do niej jadę. A co nowego u ciebie?

– Śledztwo idzie swoim torem, ale nie w takim tempie jak twoje. Później ci o tym opowiem. Uważaj na siebie. I zadzwoń, jeśli będziesz miał jakieś wieści.

Gabriel się rozłączył i przekręcił kluczyk w stacyjce. Podobnie jak Paul nie potrafił poskładać wszystkiego w całość. Miał nadzieję, że wizyta u matki dostarczy mu innych rozwiązań.

Gdy słońce malowało horyzont żywymi barwami, na wysokości Neuville-Saint-Vaast skręcił w poprzeczną drogę i wjechał do miasteczka złożonego z identycznych, niewymownie smutnych, otynkowanych na szaro domków pokrytych dachówkami w kolorze ciemnego różu. Wszystko trwało w stagnacji, bez życia. Kiedy wysiadł na chodnik, miał wrażenie, że wdycha zapach śmierci.

Ze ściśniętym gardłem trzy razy zastukał do drzwi. W szparze załśniło dwoje zimnoniebieskich oczu. Jeannine zdjęła łańcuch i otworzyła. Gabriel był porażony spustoszeniami, jakie wyrządziła u niej starość. Choć jej topazowe oczy się nie zmieniły, ona sama przypominała teraz wątłą gałązkę o nienaturalnie długich rękach i sękatych łokciach. Jej włosy jakby nagle posiwiały i sterczały w rozproszonych kępkach. A tak przecież dbała o wygląd, o stroje. Zgarbiona, opierała się na lasce.

Gabriel objął ją czule i popędził do toalety. Załatwił się w milczeniu, przyciskając pięść do ust. Przypominał więźnia, który po latach spędzonych w zamknięciu zderza się z wolnością, odkrywa zmienione twarze, uświadamia sobie, że czas spędzony za kratami nigdy nie wróci.

Potarł powieki, zrobił głęboki wdech i wyszedł. Jeannine odgrzewała zupę porową w maleńkiej kuchni, na którą składały się mikrofalówka, dwa palniki elektryczne i lodówka. Okno wychodziło na pola i odległe hałdy kopalniane, które o tej porze były tylko grą cieni.

– Coś cię trapi – powiedziała, stawiając na stole dwie miseczki.

– Wszystko w porządku, mam. Ciągle mam problem z pamięcią. Ale lekarz twierdzi, że niedługo wszystko wróci do normy.

Wypił zupę, łapczywie pochłonał kilka pajd chleba z masłem. Ciepło w żołądku dobrze mu zrobiło. Posiedział trochę z matką, porozmawiał z nią. Nie mógł tak od razu wyjechać jak złodziej, poza tym zbieranie cegiełek przeszłości, które pomagały mu odbudować mur wspomnień, przynosiło mu ogromną ulgę.

Wreszcie czuł, że istnieje, nareszcie była osoba, która mogła mu o nim coś powiedzieć.

I matka opowiadała. Zanim sprowadził się do Lille, wynajmował dom na peryferiach Arras, niedaleko stąd. To on umieścił ją w tym ośrodku i wziął na siebie część kosztów jej utrzymania – środki były automatycznie pobierane z jego konta. Początkowo miał się dorywczych prac, a wreszcie zatrudnił się w firmie budowlanej, gdzie przepracował prawie rok, po czym bez uprzedzenia wprowadził się do stolicy Flandrii.

Potwierdziła to, co wcześniej powiedziała mu przez telefon: po tym, jak rzucił pracę i zamieszkał w Lille, widziała go tylko raz, w związku z tą historią z sejfem. Zauważyła wtedy, że zmienił wygląd i stał się nerwowy.

Po posiłku zaprowadziła go do pokoju i wskazała na szafę.

– Tu jest ten twój sejf. Jest tak ciężki, że musiałeś go tu przewieźć na wózku i poprosić o pomoc syna sąsiada.

Gabriel odsunął drzwi. Sejf o wysokości pięćdziesięciu centymetrów był przytwierdzony do kamiennej podstawy zalanej betonem. Wyniesienie go było niemożliwe.

Przyklęknął i zdjął sznurek z szyi. Kiedy stwierdził, że klucz doskonale pasuje do zamka, poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach. Tuż za plecami słyszał świszczący oddech matki. Ona także chciała wiedzieć.

W środku były dwa pakunki. Jeden duży, w matowym papierze, ułożony na ukos, żeby się zmieścił: najprawdopodobniej jakiś obrazek w ramce. Bez otwierania położył go na łóżku. Najpierw zainteresował się drugim: kopertą z szarego papieru o klasycznych wymiarach. Wyjął z niej paszport, dowód osobisty, kartę do bankomatu i prawo jazdy wystawione na Gabriela Moscato – i poczuł głęboką ulgę: wreszcie na powrót stał się sobą.

Rozpieczętował inną kopertę, która była schowana razem z jego papierami. Cztery kartki spięte po dwie i zgięte na pół. Na tych, które znajdowały się z wierzchu, zobaczył wykresy opatrzone skomplikowanymi liczbami i adnotacjami. Własnoręcznie dopisał:

Profil DNA Mathilde Lourmel przesłany przez Solenne 30.07.2020

Profil Julie przesłany przez Solenne 30.08.2020

– Co to jest? – zapytała jego matka.

Gabriel, zamyślony, odpowiedział dopiero po chwili.

– Nic, to tylko informacje techniczne, które jakieś trzy miesiące temu przekazała mi była koleżanka z Sagas.

Pochylił się nad kartkami, które znajdowały się pod spodem. Z emocji musiał usiąść na łóżku. Znowu miał przed sobą wykresy i profile DNA, ale te pochodziły z innego źródła. I znowu własnoręcznie opisał każdą z kartek:

*Profil DNA 1 przesłany przez prywatne laboratorium z internetu,
wykonany na podstawie próbki krwi 24.08.2020*

*Profil DNA 2 przesłany przez prywatne laboratorium z internetu,
wykonany na podstawie próbki krwi 24.08.2020*

Porównał ze sobą wyniki i doznał szoku. Próbki krwi dokładnie odpowiadały danym wyciągniętym z policyjnej bazy danych. Innymi słowy, kilka dni przed tym, jak poprosił Solenne Peltier o profile DNA, dostarczył do prywatnego laboratorium próbki krwi swojej córki i Mathilde Lourmel.

Kiedy Paul dojechał na miejsce, szybko zgasił światła i wysiadł z samochodu. Po zachodzie słońca w okolicach domku Davida Esquimeta panowała atmosfera rodem z filmów grozy. Zachwycający pejzaż zastąpiły cienie jodeł. Sylwetki gór zaciskały się wokół niego jak zęby piły albo jak szczęki potwora z morskich otchłani. Jezioro w dole błyskało zimnym okiem przyczajonego gada.

Z latarką w dłoni żandarm doszedł do budynku, odkleił taśmy i przekroczył próg. Wcisnął włącznik. Wisząca pod sufitem żarówka oświetliła szklane oczy wypchanych zwierząt. Wnętrze było przygnębiające.

Jego ludzie przez całe popołudnie przetrząsali dom z góry na dół, ale nie znaleźli nawet śladu po rękopisie, którego zakończenie trafiło w ich ręce. W mieszkaniu w centrum miasta Brunet również niczego nie znalazł.

Paul nie zgadzał się na to, by trop urwał się w tym miejscu, by zagadki, które wysyłał Esquimet, pozostały nierozwikłane. Brakujące strony musiały być gdzieś ukryte. Musieli za wszelką cenę zrozumieć konstrukcję psychiczną mężczyzny, który rzucił się z zapory: zyskaliby dzięki temu szansę na dotarcie do tego, co dałoby im przynajmniej załóżek rozwiązania.

W pomieszczeniach panował ostry chłód. Paul chuchnął w dłonie i ruszył przed siebie. A więc to tutaj, w tych murach rozegrał się romans między Julie a nieznanym. Paul był coraz bardziej przekonany, że kochanek był pisarzem, autorem kryminałów. Julie musiała być olśniona. Łatwo wyobraził sobie stan ducha dziewczyny: oto ona, miłośniczka kryminalnych intryg, miała okazję obcować z jednym z ich autorów, zyskać dostęp do sekretów pisania i twórczości. Młoda kobieta z Sagas, której wakacyjne dni znaczyła nuda i monotonia pracy w hotelu, mogła o czymś takim tylko pomarzyć. Kto by się oparł takiej okazji?

Pisarz... Mówi się, że ci ludzie wymyślają albo tworzą swoje książki w ukryciu przed światem. Że izolują się na długie tygodnie, czekając na

natchnienie. Czy można sobie wyobrazić lepsze miejsce na takie odosobnienie?

Rozejrzał się po salonie i przypomniał sobie rysunki z pamiętnika: naga Julie wydana na pastwę zachcianek tego człowieka. Perwersyjne zabawy, odrażające listy wyrazów na zniszczonych stronach. I to wszystko wydarzyło się w otoczeniu tych gór. Pomyślał o ostatnich słowach zanotowanych przez dziewczynę we wrześniu dwa tysiące siódmego roku: „Oszalał z tymi labiryntami”.

Paul z uwagą przeczytał ostatnie strony rękopisu. Rozpoznał mroczny, udreńczony styl potwornego zakończenia, które rozegrało się na klifach Étretat. Zakończenia bez światła, bez perspektyw, przywodzące na myśl cięcie maczetą. Nie był szczególnym miłośnikiem tego rodzaju literatury, ale miał wrażenie, że rzadko która książka kończy się w aż tak mroczny sposób: czyż czytelnicy nie potrzebują nadziei, nawet na zakończenie powieści grozy?

Domyślał się, że rzeczony pisarz był ponurym, pełnym niepokoju maniakiem. Człowiekiem, który być może nie potrafił już odróżnić rzeczywistości od wyobrazonego uniwersum i realizował swoje fantazje w realnym świecie. Podszedł do stołu i zajął miejsce, na którym poprzedniego dnia usiadł David Esquimet, by oznaczyć litery układające się w zdanie: „Ta książka daje odpowiedź na wszystkie wasze pytania”.

Ta książka. A może należało szukać nie kupki kartek, ale już wydanej powieści? Wrócił do biblioteczki. Znalezienie książki, której końcówka rękopisu znajdowała się w jego rękach, oznaczało zidentyfikowanie jej autora. A zidentyfikowanie autora dawało szansę na przejrzenie ukrytego mechanizmu tej chorej maszyny zniszczenia.

Ależ odkrycie! Gabriel był oszołomiony. Nagle zrobiło mu się słabo, przed jego oczami zatańczyły czarne muszki. Położył się na łóżku. Głowę miał pełną wirujących obrazów. Głos matki docierał do niego z przerwami.

– Wszystko w porządku – wybełkotał. – To tylko zmęczenie, nic poważnego.

Po dwóch minutach mroczki zniknęły. Wstał i skołowany poszedł po szklanekę wody. Krew... Czy to oznaczało, że jego córka jest gdzieś żywa, jak mu sugerował sen? Może nie był w stanie jej uratować ani nawet zobaczyć, ale zdołał pozyskać jej materiał biologiczny. Gdzie? Jak? I o co chodziło z Mathilde Lourmel?

Wrócił do matki i zastał ją siedzącą z nosem w jego kartkach.

– Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego tutaj jest imię mojej wnuczki? Gabriel, co ty przede mną ukrywasz? Chcę wiedzieć.

Odebrał jej papiery i włożył je do koperty. Następnie zaprowadził ją do salonu i pomógł usiąść na sofie.

– Sam nie wiem, czego szukam. Potrzebuję przez minutę побыć sam, okej?

Wrócił do drugiego pokoju i rozerwał opakowanie pierwszego pakunku. I przeżył szok. Dwie twarze. Na płótnie namalowano dwie twarze, jedną prosto, drugą do góry nogami. Matowobiała karnacja, jakby naniesiona szybkimi, gwałtownymi pociągnięciami szpachelki, kontrastowała z ciemnoczerwoną siecią żył na szyjach. Na policzkach i czołach widać było ciemnobrązowe nacięcia. W tle czarne ściany łączące się łukiem w sklepienie, z którego zwisały korzenie drzew. Jak w jego koszmarze.

Jedna z twarzy była twarzą Julie: przestraszony wzrok, cienka linia ust, błysk w oku przypominający odłamek szkła. Była to Julie starsza niż ta, która zapisała się w jego pamięci. Kobieta dobrze po dwudziestce. Dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata.

Gabriel poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. Widok tego obrazu był dla niego jak cios pięścią w brzuch, uderzenie, które odbiera dech w piersi. Zachwiał

się. Nie miał najmniejszych wątpliwości: druga twarz miała rysy Mathilde Lourmel. Jej długie włosy były rozsypane i układały się w sieć, która łączyła się z włosami Julie. Mathilde również wyglądała, jakby się bała. Czegoś. A może kogoś.

Dzieło szaleńca. Gabriel miał przed sobą przerażający obraz, przeszywający do głębi. Obraz, który przypominał mu najmroczniejsze dzieła Goi i niemal w całości wyjaśniał jego świadomy sen. Tematem były dwie dziewczyny uwięzione w lustrze i na płótnie. Scenografia, atmosfera – wszystko tutaj było. Jego koszmar był retranskrypcją tego obrazu.

Poszukał podpisu i znalazł, niewielki, w prawym dolnym rogu obrazu: „A.G.”. Trzęsły się pod nim nogi. Julie i Mathilde z pewnością pozowały autorowi tej potworności jako modelki. Kiedy? I co to miało wspólnego z Davidem Esquimetem i jego ohydnyimi zdjęciami?

Dwie dziewczyny porwane w odstępie kilku lat przez demonicznego artystę. To przerastało wyobraźnię Gabriela. Przesunął palcami po twarzy córki. Farba zostawała na skórze, wywołując nieprzyjemne uczucie, spotęgowane, kiedy dotknął palcem szyi, na której widać było realistyczną płataninę naczyń krwionośnych i mięśni. I wtedy na czerwonych wypukłościach zauważył ślady – jakby ktoś drapał farbę. Jakby...

Przeniósł wzrok niżej. Takie same ślady zauważył na szyi Mathilde Lourmel. Zeskrobał paznokciem z tego miejsca odrobinę materiału, tak jak musiał to zrobić kilka tygodni wcześniej. Rozgniół go i roztarł w palcach, aż pod wpływem ciepła lekko się rozpuścił. Powąchał. Zapach, kolor, konsystencja. Krew. Nie było wątpliwości.

Roztrzęsiony, jakby wiedziony objawieniem, Paul podszedł do imponującej biblioteczeki. Pozostawało mieć nadzieję, że książka, której zakończenie posiadał w postaci rękopisu, znajduje się w prywatnej kolekcji Esquimetów. Wydawało się to więcej niż prawdopodobne. Wziął głęboki wdech i postanowił podejść do sprawy metodycznie: w pierwszej kolejności wykluczyć książki sprzed dwa tysiące siódmego roku. Wyjmował tomy jeden po drugim i sprawdzał daty. Kiedy trafiał na dzieło francuskiego autora wydane po dwa tysiące siódmym, odkładał je na podłogę. W następnej kolejności zamierzał otworzyć każde z nich i rzucić okiem na zakończenie.

Na szczęście dla niego bardzo dużo książek nie spełniało kryterium. Wyglądało na to, że Claude Esquimet był miłośnikiem literatury anglojęzycznej: Connelly'ego, Ellroya, Hammetta, a także starych francuskich i belgijskich klasyków: Boileau-Narcejaca, Leblanca, Simenona. Mimo to jednak po kwadransie kupka do przejrzania miała już niemal metr wysokości, a po godzinie się potroiła, a sprawdził dopiero połowę biblioteki. Niektóre książki zostały opublikowane po śmierci Claude'a: oznaczało to, że jego syn David również czytał kryminały i kontynuował zasilanie kolekcji.

Nagle Paul poczuł się zmęczony. Zdjął okulary do czytania i pomasaował powieki. Nie był już całkiem przekonany o słuszności swojego przedsięwzięcia. Być może początek tego rękopisu w ogóle nie istniał, a może został spalony czy wyrzucony. Może zrobiłby lepiej, gdyby wrócił do Corinne, żeby ocalić swój związek od katastrofy. Podszedł do kranu, wypił szklankę wody i spryskał twarz, by się obudzić. Prawa noga bolała go, jakby ktoś w nią wbijał pęczek gwoździ.

Instynkt kazał mu jednak powrócić do przeglądania książek na półkach. Nagle jego wzrok zatrzymał się na pewnym tytule. *Senones*. Palindrom.

Wyjął powieść z rzędu i przyjrzał się zimnej, niebieskawej okładce przedstawiającej widzianą z góry linię asfaltu zagłębiającą się w nieprzenikniony

sosnowy las. W dolnej części lśniącej powierzchni widniał napis „Thriller”. A na czwartej stronie okładki...

Zima dwa tysiące ósmego roku. Senones, niewielkie miasto liczące piętnaście tysięcy mieszkańców, leżące na końcu doliny, jest w szoku: w jednej z turbin elektrowni wodnej znaleziono zwłoki dziewięcioletniego dziecka. Scenografia przypomina nierozwiązaną sprawę morderstwa sprzed dwudziestu pięciu lat. Dla porucznika Bernarda Miniera i jego grupy zaczyna się długie zstępowanie do piekieł, diabelny pościg za bezlitosnym mordercą, niewidzialnym potworem, który poprowadzi ich od wnętrza Alp po wyżyny Szkocji.

Paul wstrzymał oddech, otworzył powieść na ostatniej stronie, ale w jednej chwili wypuścił powietrze: końcówka w najmniejszym stopniu nie przypominała tej, której szukał. Ze sceptycyzmem zamknął książkę: Senones, data publikacji, elektrownia wodna. Nie wierzył, że to przypadek: śledztwo doprowadziło go do tego tomu. Być może pisząc tę historię, autor inspirował się Sagas i jego okolicami. Przyjechał tutaj, żeby obejrzyć te miejsca.

Na próżno szukał zdjęcia pisarza. Gość nazywał się Caleb Traskman i jak głosiła notka na okładce, był autorem ponad dziesięciu książek, z których większość opowiadała o śledztwach prowadzonych przez powracającego bohatera – Bernarda Miniera.

Caleb Traskman. Paul nigdy o nim nie słyszał. Czy to Francuz? Nazwisko wskazywało raczej na korzenie anglosaskie, ale mogło chodzić o pseudonim. Nie był w stanie wyszukać informacji na komórce: mógł dzwonić, ale internet był niedostępny. Będzie musiał sobie radzić tak jak do tej pory.

Podniósł wzrok na rząd, który przeglądał przed chwilą, i zauważył więcej książek tego autora. Wyjął tyle tomów, ile mógł pomieścić w rękach, i poszedł z nimi do stołu. Wyglądało na to, że Traskman był wyjątkowo płodnym pisarzem.

Okładki w większości były mroczne, tajemnicze, a nawet przerażające. Pod streszczeniem – krótkie opinie dziennikarzy: „Mistrz waszych nieprzespanych nocy”, „Napięcie sięga zenitu”, „Architekt horroru”. Traskman specjalizował się w kryminałach i dreszczowcach. Jego powieści były prawdziwymi cegłami, najcieńsze musiały mieć jakieś czterysta stron. Jedna z okładek przyniosła Paulowi odpowiedź na jedno z jego pytań: Caleb Traskman to pseudonim francuskiego autora, który mieszka na północy kraju.

Przestudiował daty publikacji, przeczytał streszczenia i zakończenia. Wreszcie trafił na książkę zatytułowaną *Niedokończony rękopis* – tytuł, który dziwnie współbrzmiał z odkryciem dokonany tego ranka: czyżby znaleźli końcówkę tego rękopisu?

Burzowe niebo i rozszalałe morze. Okładka utrzymana w kolorystyce szarej i zielono-niebieskiej. Nazwisko Caleba Traskmana wybite ładnymi, posrebrzonymi, dużymi literami. Książka wyszła w roku dwa tysiące osiemnastym, długo po śmierci Claude'a Esquimeta. Kupił ją więc dla siebie jego syn David.

Streszczenie przyprawiło go o skurcz żołądka. Była w nim między innymi mowa o zwłokach znalezionych w bagażniku, a przede wszystkim o porwaniu siedemnastoletniej dziewczyny z plaży na północy Francji. Julie była w jej wieku. Kiedy po raz kolejny doszedł do końca, z nerwów drżały mu palce. Powieść miała czterysta osiemdziesiąt siedem stron – więcej niż rękopis – ale układ stron nie był taki sam. Paul uznał, że to się może trzymać kupy.

Pochłonął ostatni rozdział. Zakończenie różniło się od tego, które znaleźli, ale nazwiska postaci, na przykład Léane Morgan, i miejsce końcowego starcia – klify Étretat – były takie same. Paul nie miał wątpliwości: strony, które były w posiadaniu Davida Esquimeta, zostały napisane ręką Caleba Traskmana.

Musi przeczytać ten kryminał. Dotrzeć między wierszami do mrocznych sekretów pisarza. Ma na to całą noc.

Trzaskały płomienie w palenisku kominka. Suche drewno jesionowo-dębowo-sosnowe regularnie pękało. Lśniące na czerwono ogniki unosiły się zygzakiem w powietrzu i opadały, a wreszcie rozbijały się o żar w kolorze lawy.

Paul siedział z nosem w *Niedokończonym rękopisie*. Każda przeczytana strona była dla niego jak dźgnięcie nożem w samo serce. Był tak pochłonięty lekturą – i swoimi niesamowitymi odkryciami – że podskoczył, kiedy poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Za jego plecami stała Corinne, opatulona w niebieski szlafrok z haftowanymi kieszeniami. Zmartwienia wyłłobiły pod jej oczami szare cienie.

– Louise wreszcie zasnęła. Dałam jej tabletkę, żeby jej trochę pomóc.

– Okej...

Paul zerknął na zegarek. Dochodziła północ. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu.

– Idę się położyć – powiedziała Corinne.

– Świetnie.

Westchnęła.

– Rozmowny jak zwykle. Nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje? Nie jadłeś i wolisz czytać książkę, zamiast porozmawiać o tym potwornym dniu. Paul, mam już tego dość.

Odłożył książkę na ławę, obok notesu i długopisu. Jego oczy lśniły ze zmęczenia, ale również z jakiegoś podekscytowania.

– Corinne, właśnie coś się dzieje, coś naprawdę poważnego, na co czekaliśmy od dwunastu lat. Nie wiem jeszcze, jaki będzie wynik, na pewno będzie okrutny i trudny do udźwignięcia, ale może poznamy prawdę. W końcu.

Przyciskała do siebie kołnierz szlafroka. Jej wzrok przykuło burzowe niebo na okładce.

– Czy to ma jakiś związek z tym, co było w tamtym domku? Z tą książką? Skinął głową.

– Czy Julie mówiła ci o tym autorze? O Calebie Traskmanie? Pisał wybitnie pokręcone i niepokojące rzeczy. Morderstwa, porwania...

Corinne wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, nie wydaje mi się. Dlaczego?

Paul wstał i wyszedł do przedpokoju.

– Chodź. Chciałbym ci coś pokazać.

W milczeniu minął pomieszczenie, w którym spała Louise, i pchnął drzwi pokoju Julie. Był nietknięty. Corinne co tydzień go odkurzała i starannie odkładała wszystkie przedmioty na swoje miejsce. Paul skierował się ku biblioteczkę – pięknemu dębowemu meblowi wykonanemu własnoręcznie przez Gabriela. Było tam około setki pozycji, od Juliusza Verne’a po Stephen’a Kinga. Wskazał na książki stojące w lewym dolnym rogu.

– Miała trzy powieści Caleba Traskmana.

Wyjmował je po kolei i otwierał. W każdej z nich brakowało pierwszej strony, na której zazwyczaj umieszczano tytuł.

– Sprawdziłem to przed chwilą, po powrocie. Postąpiła tak tylko z książkami tego autora.

– Nie rozumiem...

– Sądzę, że na tych stronach były dedykacje.

Corinne trzymała w rękach jedną z powieści. Kartkowała ją machinalnie, bez czytania.

– Dedykacje? Gdzie i w jaki sposób miałyby dostać dedykacje? W księgarni w Sagas nigdy nie pojawił się żaden pisarz. Dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Sądzę, że Caleb Traskman ma coś wspólnego z zaginięciem Julie. Myślę, że ten autor thrillerów, którego popularności nie trzeba udowadniać, jest głęboko zamieszany w tę sprawę. Jestem o tym wręcz przekonany. Sam się do tego przyznaje w *Niedokończonym rękopisie*. Nie wprost, ale za pomocą szyfrów i aluzji, które nie mogą być przypadkowe. Jakby chciał donieść na samego siebie. Wiadomości w elektrowni, listy, ta powieść: wszystko jest ze sobą powiązane.

Usta Corinne drżały.

– Jak to możliwe?

Do jej oczu napłynęły łzy. Paul przytulił ją i głaskał po plecach.

– Będziemy próbowali to odkryć. Ale możliwe, że dawno temu Traskman odwiedził Sagas. Incognito, jako zwykły turysta. Możliwe, że wynajął od ojca Davida domek, w którym pisał swoją książkę, o czym świadczy fragment, który tam znaleźliśmy. Mógł spotkać Julie, kiedy pracowała w hotelu, o ile wcześniej się tam zatrzymał, i może... ekhm, może do czegoś między nimi doszło. Mam na myśli coś natury uczuciowej. A David Esquimet był tego świadkiem.

Odsunął się i spojrzał żonie w oczy. Dostrzegł w niej delikatność kryształu.

– Caleb Traskman nie żyje, ale żyje jego syn – powiedział pewnym głosem. – Na pewno coś wie.

– Nie żyje – powtórzyła machinalnie Corinne.

– Trzy lata temu strzelił sobie w głowę. Tak jest powiedziane w przedmowie do *Niedokończonego rękopisu*, jego ostatniej książki. Przedmowę napisał jego syn. Ale porozmawiamy o tym później, ledwie się trzymasz na nogach. Ile proszków na sen wzięłaś?

– Dwa. A do tego xanax.

Prawie codzienny koktajl od lat. Paul nawet się nie zdziwił. Podtrzymując ją, odprowadził do łóżka, przykrył kołdrą, pocałował w policzek i przez chwilę się jej przyglądał. Od jak dawna nie patrzył na nią w ten sposób, z czułością? Może jednak nie wszystko w nim umarło.

Wyszedł na palcach. Zajrzał do Louise. Leżała zwinięta w pościeli, przytulona do poduszki. Wyglądała, jakby spała głęboko, spokojnie. Zamknął drzwi i wrócił do salonu. Corinne, Louise – to było wszystko, co mu pozostało. Nie miał prawa tego zniszczyć.

Książka Traskmana czekała na niego na ławie. Srebrne litery zdawały się tańczyć w rytmie płasających płomieni. Kiedy po nią sięgnął, miał wrażenie, jakby trzymał w dłoni jakiś przeklęty przedmiot. Tak, o to chodziło. Ta książka – to było Zło. Zło absolutne, które tysiące osób musiały mieć przed oczami, nie pojmując jego ukrytego znaczenia. Nie pojmując, że chodzi o wyznanie.

Umościł się w fotelu i wrócił do lektury. Skończył czytać o trzeciej w nocy. Przeczytał zakończenie wymyślone przez syna, a następnie podstawił w to miejsce oryginalną wersję napisaną przez ojca. Kiedy przewracał ostatnią kartkę, drżała mu ręka. Rzucił się do barku, nalał sobie szklanek whisky i opróżnił ją jednym haustem. Jezu Chryste.

Zmrożony wielogodzinnym tête-à-tête z Traskmanem, które sam sobie zgotował, wysłał wiadomość do Gabriela:

Kiedy tylko będziesz mógł, kup książkę Caleba Traskmana *Niedokończony rękopis*. Przeczytaj ją natychmiast. Przesyłam ci skany zakończenia, które znaleźliśmy u Esquimeta. Traskman to człowiek, którego szukamy, autor kryminałów. Zrozumiesz to już po przeczytaniu przedmowy, ale doczytaj do końca. To jest porażające. Sprawdzę, czy syn Traskmana nadal mieszka na północy. Jeśli tak, to jutro przyjadę. Usuń tę wiadomość.

Angażując wszystkie siły swojego umysłu i wytyżając wzrok, Gabriel przystąpił do milczącej lektury pierwszych stron *Niedokończonego rękopisu Caleba Traskmana*.

Przedmowa J.L. Traskmana

„Jedno słowo na początek: mieczyk”.

Tak się zaczyna książka mojego ojca Caleba Traskmana. Jej rękopis znalazłem w pudle na strychu: ojciec miał taki paskudny zwyczaj, że wszystko tam składował. Plik kartek formatu A4 od roku leżał w tej rupieciarni, nagrzaney od dachowego okna, przez które tamtego lata wpadało piękne północne światło. Ojciec nigdy nikomu nie zdradził istnienia tego rękopisu; musiał nad nim pracować w swojej ogromnej willi z widokiem na morze, w ciągu tych dziesięciu miesięcy, kiedy moja matka odchodziła w szpitalu, gdzie stopniowo wyniszczała ją choroba Alzheimera.

Powieść – wówczas bez tytułu – była niedokończona. W mojej ocenie jednak do dopełnienia prawie pięćsetstronicowego manuskryptu brakowało zaledwie dziesięciu stron. Niby nic, ale dla gatunku literackiego, którego mój ojciec był jednym z najświetniejszych przedstawicieli – prawdziwa katastrofa. Thrillery Caleba Traskmana wywoływały dreszcze u setek tysięcy czytelników, a plik, który trzymałem w dłoni, był bez wątpienia jedną z jego najlepszych powieści. Najbardziej zawilg, zagmatwaną, przerażającą, jak to tylko możliwe. I jedną z najmroczniejszych. Historia pisarki Léane, kobiety ulepionej z tej samej gliny co mój ojciec, zachwyciła mnie i przypomniałem sobie, jak bardzo jego książki odzwierciedlały jego najgłębsze lęki i najgorsze obsesje. Myślę, że doświadczał

spokoju tylko wtedy, gdy przelewał swoje strachy na papier. A strachów jest w tej książce wiele, słowo Traskmana.

Co więc z tym wybitnym zakończeniem? – zapytacie. Co, u diabła, z finałem, w którym wszystko miało się rozwiązać? Dlaczego Caleb Traskman, król intrygi i mistrzowskich rozstrzygnięć, pozostawił nas bez odpowiedzi? Dlaczego nie dokończył swojej siódmej książki?

Byłbym skłonny uwierzyć, że skończył z pisaniem z powodu śmierci matki, porzucił rękopis ze świadomością, że trzy miesiące później strzelił sobie w głowę z policyjnej broni. Albo że nie wiedział, jak domknąć tę historię. Tak, byłbym gotów w to uwierzyć, gdyby pewne wątki tej powieści nie mówiły czegoś wręcz przeciwnego, gdyby nie sugerowały, że mój ojciec od samego początku wiedział, że jej nie skończy. Tak jakby ów brak zakończenia był integralną częścią intrygi, „tajemnicy Caleba Traskmana”. Jego ostatnim przedśmiertnym popisem.

Czytelnicy o najbardziej kartezyjskich umysłach zapytają jednak, po co się zabierać do pisania książki, która nie ma końca? Po co poświęcać rok życia na budowę domu, jeśli nie zamierza się położyć na nim dachu? Teraz, gdy o tym piszę, pytanie to wciąż jest nierozwiązaną zagadką. Zagadką, która odnosi się raczej do życia prywatnego.

Kiedy Évelyne Laconte, wydawczyni, u której opublikował wszystkie książki, dowiedziała się o istnieniu tego rękopisu, skakała pod sufit. Ale gdy go przeczytała i odkryła, że kończy się on sztuczką pozbawioną ostatecznego efektu, wpadła w głęboką rozpacz. Było nie do pomyślenia, by wydać pośmiertne dzieło Caleba Traskmana bez błyskotliwego zakończenia – choć sądzę, że i tak na książkę rzuciłoby się wielu czytelników.

Nastąpił więc etap szukania rozwiązań, wymiany myśli, by rozwiązać łamigłówkę, którą pozostawił po sobie mój ojciec. Burze mózgów w paryskich biurach trwały kilka tygodni. Na każdym zebraniu siadaliśmy w dziesiątkę wokół stołu, po raz kolejny czytaliśmy rękopis, wgryzaliśmy się w każdą stronę, usiłując zrozumieć, dlaczego Caleb podkreślił palindromy i dlaczego z tej książki emanuje jego obsesja liczb.

W takich chwilach niezrozumienia i zwątpienia patrzyliśmy na siebie bez słowa. Długo walczyliśmy z frazą otwierającą powieść: „Jedno słowo na początek: mieczyk”. Skąd to zdanie? Co ono właściwie oznacza? Wiercie mi, nie ma dziś w wydawnictwie ani jednego pracownika, który nie wiedziałby, że mieczyk to rybka żyjąca w słodkich tropikalnych wodach, a jej nazwa pochodzi od kształtu płetwy ogonowej. To wiele wyjaśnia, nieprawdaż?

A potem Évelyne, która znała autora od ponad trzydziestu lat, zaproponowała pewne rozwiązanie. Rozwiązanie przez duże „R”. Wreszcie znalazła klucz, rozgryzła maniackalny mechanizm pokręconego umysłu mojego ojca. W sumie

jeśli się dobrze zastanowić, takie zakończenie było oczywiste i już na samym początku (a także na końcu) mieliśmy przed oczami wszystkie jego elementy. Ale na oczywiste rozwiązanie bardzo trudno wpaść, jeśli zostało odpowiednio zakamuflowane; na tym właśnie polegał geniusz Caleba Traskmana.

Trzeba było je napisać. Wtedy wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie. Nie mam talentu mojego ojca, ale jako jego godna odrośl kilka lat wcześniej opublikowałem dwa skromne kryminały. Pod koniec tej książki zaznaczyłem miejsce, w którym przejąłem pióro. Zauważycie też, że zostawiliśmy w tekście podkreślenia autora: dotyczą one kilku słów i innych ważnych elementów intrygi. Macie przed sobą tekst, który ubiegłego lata trafił do moich rąk.

Pozostaje kilka problemów, których podczas pisania zakończenia nie udało nam się rozwikłać i których rozwiązanie musieliśmy znaleźć sami. Trudno odgadnąć, dokąd dokładnie mój ojciec zamierzał dojść i jak chciał zakończyć swoją opowieść. W obliczu luk, których w oryginalnej historii nie dało się wypełnić, musieliśmy arbitralnie podejmować decyzje i dokonywać wyborów – być może autor postąpiłby inaczej. Aby zrozumieć, jak złożone było to zadanie, wyobraźcie sobie, że macie namalować oblicze Giocondzie, która nie ma twarzy. Mam nadzieję, że moje zakończenie mimo wszystko zaspokoi wasze oczekiwania. Zrobiłem wszystko, żeby tak było.

Bo aby rzeczywiście uszanować pracę Caleba i do ostatniego słowa utrzymać ducha tej książki, trzeba było właśnie takiego zakończenia. Jeżeli będziecie uważnie czytać, z pewnością sami odkryjecie rozwiązanie.

Ach, i jeszcze jedno. Zwracam się teraz do najgorliwszych czytelników Caleba, którzy sceptycznie przyjmą już samą przedmowę. Domyślam się waszego sposobu rozumowania: sądzicie, że to, co teraz czytacie, pisze sam Caleb Traskman – rzeczywiście byłby do tego zdolny. Przecież przedmowa należy do historii, a to oznacza, że zakończenie również napisał Caleb, trawestując własny styl. Macie do tego prawo i nigdy nie zdołam udowodnić, że tak nie jest. Ale ostatecznie to bez znaczenia. Powieść to gra iluzji, wszystko jest tak samo prawdą, jak i fałszem, a historia zaczyna istnieć w chwili, gdy ją czytacie.

Książka, której lekturę zamierzacie zacząć (ale czy już jej nie zaczęliście?), nosi tytuł Niedokończony rękopis. To mój pomysł. Wszyscy członkowie redakcji go zaakceptowali, bo po prawdzie – nie mieli wyboru ².

Ciągnąc za sobą chorą nogę, Paul ruszył na drugie piętro. Przy domofonie widniała wizytówka „Walter Guffin”. Blok nie wyglądał zbyt atrakcyjnie, światło na klatce schodowej nie działało. Kiedy wszedł do mieszkania, Gabriel z wysiłkiem przekręcił klucz w zamku, do którego wkrótce powinien wezwać ślusarza. Jego były partner stał w progu z powieścią Caleba Traskmana pod pachą. Miał na sobie dżinsy, a sweter z pagonami zamienił na wełnianą kurtkę zapinaną na zamek.

– Czytałeś? – zapytał, nie bawiąc się w uprzejmości.

Gabriel wskazał głową na stół, na którym leżał jego egzemplarz.

– Z obydwoma zakończeniami.

Miał ponurą minę, a jego oczy wyglądały na jeszcze czarniejsze niż zazwyczaj: w oczywisty sposób widać w nich było niedobory snu. Paul zobaczył wokół jego tęczówek dużą liczbę żyłek i zastanawiał się, czy jego były kolega części nocy nie przepłakał. Szybko rozejrzał się dookoła. Zimny nastrój tego miejsca przypominał kostnicę. Bez trudu wyobraził sobie życie, jakie musiał tu prowadzić Gabriel, zanim zjechał do Sagas i stracił tam pamięć.

– Masz wodę? Jechałem bez przystanków. Ponad osiem godzin jazdy ciurkiem.

Gabriel podał mu szklankę. Patrzył, jak tamten wielkimi haustami przełyka płyn. Paul przejechał siedemset kilometrów sam, bez żadnego kolegi – kwintesencja żandarma pracującego w terenie. To było jego śledztwo. I jego porażka.

– Martini nadzoruje sprawę w Sagas – powiedział, jakby czytał mu w myślach. – Po drodze dzwoniłem do sędziego, opowiedziałem mu ze szczegółami o tym, co odkryliśmy u Esquimeta i o powieści Traskmana. Zachęcałem go, by ją szybko przeczytał, żeby miał pojęcie o tym, jakie to ważne. Wszyscy są teraz na bieżąco z najbardziej prawdopodobną hipotezą: latem dwa tysiące siódmego Traskman wynajął domek od ojca Davida

Esquimeta, żeby tam pisać, miał przygodę z Julie, po czym pół roku później zorganizował jej porwanie. Wszyscy wiedzą to, czego ty i ja dowiedzieliśmy się z pamiętnika. Poziom poinformowania zainteresowanych jest więc prawie taki sam. – Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. – Podkreślam: prawie, bo oczywiście nie mówiłem jeszcze o znamieniu ze zdjęcia w albumie i że mogło ono należeć do innej ofiary. Trudno byłoby mi wyjaśnić, skąd wiesz o tych fotografiach, i nie chcę ryzykować. Wykluczone, żeby ktoś miał pomyśleć, że byłeś w domku w dniu śmierci Esquimeta, i zakwestionować jego samobójstwo. Na razie, wyłącznie na potrzeby śledztwa, wiadomo, że Esquimet fotografował po prostu „klasycznych” zmarłych, których miał poddać zabiegom konserwatorskim. Z naszego punktu widzenia priorytetem jest Julie. I Traskman. A potem zobaczymy.

Gabriel przytaknął, a następnie wskazał głową w stronę przedpokoju.

– Najpierw muszę ci coś pokazać.

Zaprowadził go do sypialni. Obraz leżał na środku łóżka, obok porzucanych papierów. W świetle dziennym przerażone twarze postaci splecionych ze sobą włosami zdawały się unosić nad płótnem jak dwie Meduzy zdolne zmienić oglądającego w kamień.

– Boże... Czy to Julie?

– Julie i Mathilde Lourmel.

Intensywne spojrzenia mężczyzn na chwilę się skrzyżowały, jakby każdy szukał odpowiedzi w oczach drugiego.

– W niektórych miejscach zamiast farby ktoś użył ich krwi – wyjaśnił Gabriel. – Pod koniec sierpnia wysłałem tę krew do prywatnego laboratorium. Dlatego poprosiłem Solenne o profile genetyczne obu dziewcząt. Żeby móc je porównać. Wykresy są dokładnie takie same.

Podobnie jak zrobił to wcześniej Gabriel, kapitan poskrobał suchą czerwoną materię na odrapaną już szyi Julie. Przyjrzał się niewielkiemu płatkowi na swoim palcu.

– Krew... – powtórzył oszołomiony.

– Tylko w niektórych miejscach. Przynajmniej tak sędzę. Schowałem ten obraz w sejfie u mojej matki. Prawdopodobnie to o niego chodziło włamywaczowi.

Obaj przyglądali się temu plugawemu dziełu. Gabriel zrobił głęboki wdech, żeby się znowu nie rozsypać.

– Te ich przerażone miny – szepnął. – To znaczy, że ten zwyroł zrobił im krzywdę. Nie wystarczyło mu, że kazał im pozować. Zabrał im najbardziej osobistą rzecz: krew.

Z wahaniem wsunął rękę do kieszeni i zmiął karteczkę, którą dała mu matka Mathilde. Przez część nocy się nad tym zastanawiał, przypomniał sobie o ciepłe, które się między nimi rozlało, o błagalnym wyrazie twarzy kobiety w chwili, gdy wręczała mu swój numer. Po co? Lepiej, żeby dalej żyła w niewiedzy, niż musiała stawić czoło takiej potworności. Tak czy owak, nie było już najmniejszych wątpliwości w sprawie powiązań między obydwojma porwaniami.

Gabriel wskazał na róg obrazu.

– Tutaj jest podpis, ledwie widoczny. Tylko malutkie inicjały: A.G.

– Czyli to nie Caleb Traskman namalował te twarze.

– Ani David Esquimet.

– Wiesz może, w jaki sposób zdobyłeś ten obraz?

Gabriel sięgnął po jeden z wyciągów z konta leżących wśród papierzyśk rozrzuconych na łóżku. Zaznaczono na nim jedną linijkę.

– Dziesiątego sierpnia kupiłem coś za trzysta osiemdziesiąt euro w miejscu o nazwie Chez Jacob w Belgii. Sprawdziłem w sieci, Chez Jacob to sklep niedaleko dworca Bruxelles-Nord, coś w stylu antykwariatu. To by pasowało.

Paul odłożył papiery. Ten obraz naprawdę zaczął budzić w nim lęk.

– Zabiorę go do naszego laboratorium. Daj mi też twoje wyciągi z banku i faktury. Powinny rzucić trochę światła na te ostatnie miesiące.

Wrócili do salonu i w milczeniu usiedli przy stole. Gabriel przyniósł dwie puszki piwa i chipsy do chrupania. Może i zapomniał część swojego życia, ale na pewno nie zapomniał tego wzroku, który płonął w tej chwili tak, jakby kolega chciał go utrzymać przy życiu, ani długich wieczorów, które spędzali tylko we dwóch, zamknięci w pokoju, pracując nad toczącymi się śledztwami. To było jak powrót do przeszłości.

Paul podał mu jakieś zdjęcie.

– A teraz zajmijmy się Calebem Traskmanem.

— **H**mmm... – To jedyne jego zdjęcie, jakie znalazłem. Wyciąłem je z okładki jednej z jego książek. Pochodzi z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego, miał wtedy trzydzieści pięć lat. W rzeczywistości gość nazywał się Christian Lavache: rozumiem, dlaczego pisał pod pseudonimem.

Gabriel przyjrzał się fotografii, którą pokazał mu Paul. Trzydzieści pięć lat w dziewięćdziesiątym trzecim. To oznaczało, że kiedy spotkał Julie, miał czterdzieści dziewięć.

– Widać, że mimo sukcesów Caleb Traskman potrafił chronić swoje prywatne życie, tak samo jak główna bohaterka jego ostatniej powieści, Léane Morgan. W internecie nie ma o nim żadnych informacji, nic. Ale znalazłem kilka artykułów w prasie. W rzadko udzielanych wywiadach mówi tylko o swoich książkach, nigdy o życiu osobistym. Nie pozwalał, żeby go fotografowano. Zdaje się, że był bardzo udręczony; w wielu miejscach wspominał, że, uważaj, gdyby nie pisał tych wszystkich mrocznych historii, prawdopodobnie zostałby kryminalistą. I to nie brzmiało jak żart.

Długowłosego bruneta nosił duże okulary o lekko przyciemnianych szklach, dzielące jego twarz na dwie części. Równo przycięta broda kontrastowała z niemal chorobliwie białą cerą. Pozował z półprofilu, z poważną miną, patrząc w obiektyw tak, jakby miał coś do ukrycia.

– Byłeś z tym zdjęciem u Romualda Tanchona? – zapytał Gabriel.

– Tak, tuż przed wyjazdem. Oczywiście nie miał pojęcia, czy go kiedyś widział. Jak miałyby pamiętać po tylu latach? O ile mi wiadomo, nikt w tamtym czasie nie wspominał, żeby w Sagas był jakiś pisarz. Traskman przyjechał bez rozgłosu, wtopił się w tłum. Moi ludzie podzwonili w kilka miejsc. Zgodnie z tym, co jest napisane w przedmowie, pisarz zmarł w dwa tysiące siedemnastym, to było ewidentne samobójstwo. Zabił się czterysta metrów od swojego domu, strzelając sobie w głowę. Plażą przechodziło akurat dwóch

świadków. Twarz miał w takim stanie, że własny syn nie mógł go rozpoznać, ale badania DNA potwierdziły jego tożsamość. W związku z tym śledztwo szybko zamknięto: żona Traskmana zmarła kilka miesięcy wcześniej i facet leczył się na depresję. No i tyle. – Paul wskazał na okładkę. – *Niedokończony rękopis* to pośmiertna książka Traskmana. Czytałeś ją, akcja toczy się pod koniec dwa tysiące siedemnastego, przedstawione aktualności i techniki policyjne świadczą o tym, że musiał ją pisać wtedy, a nie w okolicach dwa tysiące siódmego. W przedmowie jego syn wyjaśnia, że ojciec nie dopisał zakończenia, ale my wiemy, że je ukrył.

– U Davida Esquimeta.

– Tak jest. To zmusiło syna do sięgnięcia po pióro. Zakończenia oczywiście różnią się od siebie, ale facet potrafił rozszyfrować różne motywy wymyślone przez ojca i zaproponować spójne rozwiązanie. – Paul upił łyk piwa. – Trudno wyjaśnić, jak Esquimet zdobył te kartki, jedno jest pewne: swoimi wskazówkami chciał nas naprowadzić na *Niedokończony rękopis*. Podobnie jak Caleb Traskman poprzez tę książkę chciał się subtelnie, między wierszami przyznać do swojej odpowiedzialności za zaginięcie Julie. W pewnym sensie to jego pośmiertna spowiedź. Sposób na wyznanie swoich win czytelnikom, tak żeby tego nie zauważyli. Perwersja do kwadratu.

Zapadła chwila milczenia. Paul odchrząknął i mówił dalej:

– Ta książka, cała ta historia rękopisu w rękopisie jest cholernie pokręcona. Jest jak rosyjska matryoszka, co świadczy o wyjątkowo skomplikowanej i niespokojnej osobowości Traskmana.

– Mentalny labirynt...

Paul wyjął zeszyt, w którym robił notatki.

– Tak, można tak powiedzieć. W każdym razie zrobiłem listę elementów znalezionych na kolejnych stronach i niepozostawiających cienia wątpliwości co do udziału Traskmana w sprawie. Również w treści, ale przede wszystkim w formie. Najpierw treść. *Niedokończony rękopis* to jedna z niezależnych powieści tego pisarza, z postaciami niewystępującymi w innych książkach. Siedemnastolatka Sarah Morgan znika pewnego wieczoru w trakcie treningu. Tak jak twoja córka. Ten sam wiek, bardzo podobny wygląd. W dygresji na temat własnego zawodu Traskman charakteryzuje pisarzy jako istoty o udreńczonym umyśle, nikczemników zdolnych do największych potworności. Na przykład: „To raczej długa spowiedź wielokrotnego gwałciciela i mordercy, który nigdy nie został złapany i który u kresu życia za pośrednictwem powieści chce wyznać swoje winy”. – Jakby na poparcie swoich słów Paul położył dłoń na książce. – Ale to, co w powieści jest fikcją, dla nas jest rzeczywistością. Kiedy zna się całą historię, staje się oczywiste, że Traskman mówi o własnej

osobowości, o własnych demonach i zbrodniczych popędach. Opisuje sceny z chirurgiczną dokładnością, tak że czytając, człowiek ma wrażenie, że bierze w nich udział. Pamiętasz bliźniaka syjamskiego o dwóch głowach w pamiętniku Julie? To on jest tym potworem. Kryjąc się za pozorami względnej normalności, popełnia zło. Nie zabił się dlatego, że umarła mu żona albo był w depresji, ale...

– ...żeby się ukarać za to, co zrobił w rzeczywistości.

Paul skinął głową i znowu pogрузzył się w notatkach.

– Wspomina również o „nieśmiertelnej” Kasparowa. Ten motyw zajmuje kluczowe miejsce w całej historii i poszukiwaniach sprawcy. Nie mówiąc już o tym, że na początku powieści pojawia się szary ford na fałszywych tablicach, w którym znaleziono zwłoki. Wypisz wymaluj wóz, z którego korzystał porywacz Julie.

Gabriel również zauważył te szczegóły. Jak mogłoby być inaczej? Historia przedstawiona w *Niedokończonym rękopisie* przeorała go do głębi. Tym bardziej że – poza szczegółami, które wymienił Paul – jedna z głównych postaci podobnie jak on ma amnezję. Milczał, ale jego były kolega, nie zważając na to, ciągnął swój wywód:

– Przedstawiona historia nie jest jednak opowieścią o twojej córce, a śledztwo prowadzone przez policjantów ani trochę nie przypomina naszego, jako że tamci rozpracowują morderstwo, do którego doszło w pobliżu Grenoble. Fabuła trzyma się po prostu typowego schematu tego gatunku: porwania, morderstwa, suspens. Na podstawie wyłącznie tych elementów, to znaczy na podstawie treści, trudno byłoby w stu procentach udowodnić winę Traskmana. Ostatecznie sprawa zaginięcia Julie była tak nagłośniona, że każdy mógł ją śledzić w mediach i na jej podstawie napisać książkę. Ale w naszym wypadku liczy się również forma. – Otwierał swój egzemplarz na stronach z wcześniej pozaginanymi rogami. – „Laval”, „Noyon”, „Abba”, „xanax”. Wszystkie palindromy wymalowane na ścianie w elektrowni są w książce podkreślone. W przedmowie syn autora przyznaje, że nie wie, dlaczego jego ojciec tak je wyróżnił. Ale czyż to nie jest sztuka iluzji opanowana do perfekcji? Pokażę wam coś, ale tak, żebyście tego nie widzieli. Kierując reflektor na palindromy, Caleb Traskman z pewnością wskazywał na Sagas, nazwę, która również jest palindromem. Ale tego oczywiście nie widać i tylko mając obraz całości, można zrozumieć poszczególne części. Traskman był wielkim strategiem, skonstruował zaszyfowaną, prawie niemożliwą do rozkodowania spowiedź. Użył szeregu trików, które zebrane razem i odpowiednio zinterpretowane, prowadzą do pewnej formy prawdy: on sam jest sprawcą niewypowiedzianej zbrodni.

– Tak jak w przypadku nazwisk niektórych postaci.

Paul skwapliwie przytaknął.

– Ty też to zauważyłeś? Jullian Morgan, Judith Moderoi: dwie pierwsze litery imion i nazwisk, Ju Mo, to nawiązanie do Julie Moscato. Książka jest wypełniona takimi szczegółami. Numer rejestracyjny skradzionego samochodu: JU-202-MO. I jeszcze ten niezrozumiały cytat na początku powieści, „Jedno słowo na początek: mieczyk”, złapałeś?

Gabriel pokręcił głową.

– Mieczyk, czyli *xiphophorus*. Przedwczoraj widziałem to słowo w słowniku, kiedy szukałem dokładnego znaczenia terminu *xiphopagus*. Ten cytat odsyła nas więc do podwójnego potwora narysowanego w pamiętniku Julie. Jedna postać z jowialną twarzą, druga wyjątkowo przerażająca.

– To symboliczne – stwierdził Gabriel. – Istnieje jedna część widoczna dla wszystkich i druga, upiorna.

– Właśnie. Zresztą Caleb Traskman w swoim zakończeniu historii używa terminu *xiphopagus*. To znaczy, że jest to dla niego ważne. W książce nieustannie operuje tą ambiwalencją. W pewnym sensie w *Niedokończonym rękopisie* ukrył swoją zbrodnię, a jednocześnie wszystkim pokazał, ale nikt jej nie widzi. Chryste, ależ on ma tupet! Myślę, że było tak: Caleb Traskman przyjechał anonimowo do domku Esquimetów latem dwa tysiące siódmego, żeby napisać albo wymyślić inną swoją powieść, *Senones*, opublikowaną rok później. *Senones* to nazwa fikcyjnego miasta, które kropka w kropkę przypomina Sagas. Najpierw zatrzymał się w hotelu Falaise, gdzie poznał Julie, a następnie zamieszkał nad jeziorem Noir. Tam kontynuował sekretny romans z twoją córką. Ich przygoda, która miała wymiar zarówno intelektualny, jak i fizyczny, źle się skończyła. Być może w przypływie szaleństwa Traskman chciał zabrać Julie ze sobą, a ona odmówiła. Kiedy wrócił do siebie, zaczęły go dręczyć wewnętrzne demony. Nie potrafił o niej zapomnieć, myśl o niej go prześladowała, chciał mieć Julie przy sobie, na własność.

– Więc pół roku później zlecił jej porwanie.

– Prowadząc kwerendę do swoich powieści, musiał rozwinąć sporą sieć znajomości z jednej strony wśród policjantów i sędziów, a z drugiej wśród gangsterów, którzy być może kiedyś podzielili się z nim swoją wiedzą. I dzięki nim zdobył kontakt do gangu Wandy Gershwitz, najemników, którzy dla pieniędzy zrobią wszystko.

Gabriel próbował wyobrazić sobie ten scenariusz, powiązać go z historią opowiedzianą w *Niedokończonym rękopisie*. Do jakiego stopnia ta fabuła była autobiograficzna? Czy historia porwania dziewczyny z powieści, Sary Morgan, była w najdrobniejszych szczegółach inspirowana losem Julie?

– Jeśli to wszystko prawda – zauważył – to co w tym wszystkim robi Mathilde Lourmel? Jak się to ma do obrazu? A do tych ohydnych zdjęć

Esquimeta?

– Nie wiem, sprawa tych zdjęć i obrazu to na razie tajemnica. Ale co do reszty, chłopaki sprawdzili w internecie: dom na północy nad morzem, o którym Jean-Luc Traskman mówi, że znalazł w nim rękopis ojca, ten, w którym w książce mieszka Léane Morgan, naprawdę istnieje. Czytałeś, podobnie jak ja, jak bardzo Traskman podkreśla jego odizolowane położenie. Píše, że nawet gdyby ktoś tam krzyczał, nikt by niczego nie usłyszał.

Gabriel w milczeniu skinął głową. Paul, który teraz przed nim siedział, był tym Paulem, którego od zawsze znał. Rozsądnym, rzetelnym, całym sercem zaangażowanym w swoje śledztwa.

– Jak twierdzi Traskman, jego ojciec, zanim się zastrzelił, ukrył ten tekst głęboko na swoim strychu. Czy Julie wtedy żyła i była przy nim? Przejścia takich osób jak Natascha Kampusch dowodzą, że jeśli chodzi o to, jak długo można kogoś więzić, nic nie jest niemożliwe. Poza tym w oryginalnym zakończeniu jest ten dialog zabójcy z bohaterką. Więził ją, a mimo to mówił, że ją kocha. – Wyjął swoją kopię. Podkreślił na niej kilka linijek. – Cytuję: „Wzbudzała we mnie uczucie, którego nigdy nie doświadczałem. Może to kwestia genów. Zatrzymałem ją więc przy sobie, u siebie, w specjalnym pokoju. Nie skrzywdziłem jej. To okoliczności sprawiły, że musiałem się jej pozbyć, przekazać ją człowiekowi, który wiedział, jak się nią zająć”.

Gabriel słuchał z uwagą, ale w układance brakowało jeszcze wielu elementów. Co się tak naprawdę wydarzyło? Jak to się stało, że Julie znalazła się na jednym obrazie z inną zaginioną dziewczyną? Jaki impuls pchnął pisarza do samobójstwa? Czy po długim okresie uwięzienia Traskman wydał ją Rosjanom, żeby ją zlikwidowali?

Paul spojrzał na zegarek.

– Już piąta. Rano przed wyjazdem zdobyłem adres syna Traskmana. Pojadę z nim pogadać i zobaczyć, czy da się z niego wyciągnąć jakieś informacje. Jeśli tak, uruchomię oficjalne procedury razem z lokalną policją: przeszukanie starego domu Traskmana i tak dalej. – Wygrzebał z torebki ostatnią garść chipsów. –

Chcę wziąć syna z zaskoczenia. Mieszka dziesięć kilometrów stąd i zgodnie z danymi skarbowki nadal jest właścicielem willi ojca.

Kiedy już stał i wciągał na siebie wełnianą kurtkę, dodał:

– Daj mi worek na śmieci, zapakujemy ten obraz na wszelki wypadek. Ty pracuj po cichu nad tropem sklepu w Brukseli, spróbuj się dowiedzieć, skąd pochodzi to płótno, ale nie rób głupstw. Jeśli się dowiesz czegokolwiek, nie posuwaj się dalej, tylko daj mi znać. Myślę, że w takiej sytuacji trzeba będzie włączyć do sprawy belgijską policję. Ale na razie kontaktuj się tylko ze mną.

Zaglądając do szafek w poszukiwaniu worka, Gabriel wskazał na róg salonu.

– Gdybyś potrzebował się gdzieś przespać, to... hmm, mieszkanie nie jest duże, ale w razie czego zawsze jest sofa i...

– Nie kłopotz się. Już zaplanowałem nocleg w hotelu na koszt armii. Faktury to świetny dowód na to, że nic nas nie łączy. Im większy dystans zachowamy, tym będzie lepiej. Jutro do ciebie wpadnę.

Zanim spakowali obraz, Gabriel go sfotografował. Kiedy zobaczył, jak twarz jego córki znika za czarną folią, poczuł, że ogarnia go smutek.

– Paul, ona nie żyje. Nie ma już co do tego najmniejszych wątpliwości.

Paul wsunął obraz pod łóżko. Tak, Julie najprawdopodobniej nie żyła, jak mogłoby być inaczej? W nocy zapoznał się z jedną z najmroczniejszych historii, jakie kiedykolwiek czytał. *Niedokończony rękopis* był absolutną negacją światła, pochłaniającą wszystko czarną dziurą. Nie znalazł w sobie sił, by pocieszyć przygnębionego mężczyznę, który stał obok. Kłamałby, gdyby robił mu jakieś nadzieje. Zamiast odpowiedzieć, poklepał go więc serdecznie po plecach, tak jak zrobiłby dawniej, gdy byli przyjaciółmi.

Trawa, drzewa, zieleń. Widok na pole golfowe Brigade. Jean-Luc Lavache, alias J.L. Traskman, mieszkał w Villeneuve-d'Ascq, na wschód od Lille. Jego parterową willę, stojącą na zupełnym odludziu, chroniła ciężka brama z kutego żelaza. Paul rozglądał się za jakimś sposobem poinformowania mężczyzny o swojej obecności, ale nie znalazł domofonu. Nie zamierzał odpuszczać: Traskman był w domu, świadczyły o tym samochód zaparkowany w alejce i światło w oknie. Przeszedł górą i ruszył przez przestronny ogród.

Musiał być cierpliwy, kilka razy wołać: „Zandarmeria, proszę otworzyć!”, żeby ktoś raczył wyjść mu na spotkanie. Mimo że było widać, iż Traskman o siebie dba, mężczyzna wydał się Paulowi o wiele starszy, niż go sobie wyobrażał. Krótkie, przerzedzone włosy w kolorze szary blond, obwisła skóra na szyi, pod podbródkiem pozbawionym zarostu. Skóra opalona jednolicie aż po koniuszki palców sugerowała albo niedawne wakacje, albo seanse w solarium. Paulowi bardzo się nie spodobał sposób, w jaki tamten na niego spojrział, z góry do dołu, z pełną wyższości miną.

– Czego pan chce?

Paul pokazał mu legitymację.

– Kapitan Lacroix, oficer wydziału kryminalnego brygady terytorialnej w Sagas, w Sabaudii. Chciałbym panu zadać kilka pytań na temat pańskiego ojca.

Jean-Luc Traskman spojrział na książkę oraz zapinaną na gumki teczkę w dłoni Paula. Następnie oparł dłoń na futrynie, by uniemożliwić mu wejście. Rozchylił usta, odsłaniając olśniewająco białe zęby.

– Na temat mojego ojca zostało już powiedziane wszystko, co miało zostać powiedziane. W sprawie pytań odsyłam do prawników albo nawet do pańskich kolegów z policji, którzy zajmowali się sprawą samobójstwa.

– Nie chcę rozmawiać z prawnikami ani z policją. Chcę rozmawiać z synem. Nalegałem u mojego sędziego, żeby mógł pan odpowiadać z wolnej stopy, bez

żadnych środków przymusu, ale jeśli pan sobie życzy, możemy to zrobić *lege artis*: poproszę sędziego, żeby wezwał pana do naszej siedziby, siedemset kilometrów stąd.

Traskman zaczął niepewnie grzebać w telefonie, ale ostatecznie odsunął się bez słowa i zaprowadził gościa do gigantycznego salonu. Otwarta kuchnia, podgrzewane panele podłogowe, duże drzwi balkonowe. Paul rzucił okiem na biblioteczkę, na której nazwisko CALEB TRASKMAN występowało we wszelkich konfiguracjach wraz z tytułami we wszystkich językach.

Właściciel zaprosił go, by usiadł, ale nie zaproponował niczego do picia.

– Proszę się streszczać. Prawdę mówiąc, jestem w trakcie pisania kolejnej powieści.

Paul usiadł na skraju fotela, pochylając się do przodu.

– Pisze pan o morderstwie albo porwaniu, jak pański ojciec?

– Kiepskie podsumowanie prozy kryminalnej.

– Muszę przyznać, że nie jestem koneserem. Ale przejdźmy do tego, co mnie tu sprowadza. Przede wszystkim: czy nazwa Sagas coś panu mówi?

– Absolutnie nie.

Paul położył legitymację służbową na blacie w kształcie pióra i dotknął jej palcem wskazującym.

– Nic pan nie stracił. Sagas to miasteczko w górach, które nie ma w sobie ani krzty wyjątkowości, ale to tam latem dwa tysiące siódmego roku pański ojciec prawdopodobnie spędził kilka tygodni, ukryty przed światem. Przyjechał tam albo w poszukiwaniu natchnienia, albo żeby pisać książkę *Senones*. Senones i Sagas to palindromy, takie jak w *Niedokończonym rękopisie*, rozumie pan? Wiedział pan o tym wypadzie?

Paul śledził każdą reakcję rozmówcy, ale ten nie wykazywał żadnych symptomów wzmożonej nerwowości.

– Nie wiedziałem. Wyprowadziłem się do Paryża, do pracy w branży audiowizualnej. Prawie nie widywałem się z ojcem, nasze stosunki były raczej napięte. Kiedy się urodziłem, miał zaledwie siedemnaście lat, w tym wieku człowiek na pewno nie jest gotowy na ojcostwo. Zawsze podświadomie miał mi za złe, że zepsułem mu młodość. – Ostatnie słowa prawie z siebie wypluł. –

Kiedy jeszcze mieszkałem w domu, zdarzało mu się znikać na całe tygodnie w poszukiwaniu natchnienia czy informacji, bez mówienia komukolwiek, dokąd się wybiera. Czasem jeździł do Paryża spotkać się z policjantami, czasem do Bretanii, żeby zwiedzić starą latarnię morską. Możliwe więc, że był też w tym Sagas, ale ja nic o tym nie wiem.

– A pańska matka wiedziała?

Pokręcił głową, z irytacją zaciskając wargi.

– Nie jest pan zbyt dobrze poinformowany. Moja matka w dwa tysiące drugim roku została umieszczona w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym w Châlons-en-Champagne, ponieważ w wieku czterdziestu lat, wskutek niekończącego się okresu zamknięcia w sobie i kolejnych epizodów depresyjnych, zaczęła sobie wyrывать włosy i uszkadzać skórę do tego stopnia, że stanowiła dla siebie zagrożenie. Nic nie mogło jej uleczyć, przez ostatnich piętnaście lat życia prawie bez przerwy była w kaftanie, bo tylko w ten sposób można było uniknąć samookaleczeń. Jeśli chciałby pan znaleźć jakieś wytłumaczenie tego stanu rzeczy, to go nie ma. Była szalona, po prostu zwyczajnie szalona, w najbardziej pospolitym znaczeniu tego słowa.

Paul zmarszczył brwi.

– Ale w przedmowie do *Niedokończonego rękopisu* mówi pan, że...

– Nie skłamałem. – Sięgnął po książkę. – W przedmowie napisałem tak: „musiał nad nim pracować w swojej ogromnej willi z widokiem na morze, w ciągu tych dziesięciu miesięcy, kiedy moja matka odchodziła w szpitalu, gdzie stopniowo wyniszczała ją choroba Alzheimera”. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Moja matka naprawdę zmarła w szpitalu na alzheimera. Dla takiej osoby to w sumie szczęście. Zapomniała nas, ale zapomniała też o samookaleczeniach. Jej utrata pamięci ostatecznie okazała się wyzwoleniem.

„Dla takiej osoby”. Empatia na miarę proktologa. W każdym razie gość miał ciekawe życie: szaloną matkę, którą zabrała choroba, i ojca samobójcę, a sam mieszkał w chałupie wartej blisko milion euro.

– Więc po dwa tysiące drugim pański ojciec był jedynym mieszkańcem willi nad zatoką Authie.

– Błyskotliwy wniosek – odpowiedział ironicznie mężczyzna. – Ale musi pan wiedzieć, że nawet w otoczeniu rodziny czy tłumu łowców skandali, którym zależało tylko na odcinaniu kuponów od jego sławy, mój ojciec zawsze był samotnikiem. Nie znosił ludzi. Najbardziej się bał, że nie będzie w stanie więcej tworzyć, i mówił, że tylko odosobnienie przynosi mu ulgę. Czy coś w tym stylu. Ale chyba wciąż nie wyjawiał mi pan powodu swojej wizyty.

Mimo punktowych reflektorów salon był pogrążony w cieniu. Paul podał Traskmanowi zdjęcie Julie wyjęte z akt śledztwa. Miała na szyi wisiołek.

– Ta dziewczyna.

Jean-Luc Traskman z uwagą przyglądał się fotografii, a Paul przyglądał się jemu. Wzrok pisarza był obojętny.

– Nigdy jej pan nie widział?

– Nigdy. Kto to jest?

Nie wyglądało na to, żeby kłamał. Paul postanowił potrząsnąć rozmówcą i wyłożyć kawę na ławę.

– Nazywa się Julie Moscato, zaginęła ósmego marca dwa tysiące ósmego roku podczas przejażdżki rowerowej w okolicach Sagas. Mamy konkretne powody, które dzisiaj, dwanaście lat później, pozwalają sądzić, że pański ojciec mógł być zamieszany w jej porwanie.

Mężczyzna, który siedział naprzeciwko, zerwał się na równe nogi.

– W porwanie? Mój ojciec? Co pan wygaduje?

– Tamtego lata, w dwa tysiące siódmym, pański ojciec potajemnie spotykał się z tą siedemnastolatką w samotnym domku położonym wysoko nad Sagas. Chciał ją zabrać na północ, ale odmówiła. Pół roku później zniknęła, wsadzono ją siłą do szarego forda. Mamy bardzo poważne powody, by sądzić, że ci ludzie działali na zlecenie pańskiego ojca.

Jean-Luc Traskman oparł się o brzeg fotela. Był wyraźnie przybity. Paul sięgnął po *Niedokończony rękopis*.

– Wszystko jest w jego ostatniej książce. Nazwiska bohaterów, wydarzenia, gry słów, wszystko prowadzi do Sagas i do Julie Moscato. Te strony, jak sam pan stwierdził, najmroczniejsze, jakie napisał, to jego spowiedź.

– Nie, nie... Pan nie ma prawa pojawiać się tutaj ot tak i mówić mi w twarz takich rzeczy. Zwłaszcza teraz, kiedy mój ojciec nie żyje. Jego książki to fikcja. Jasne, straszna, ale do cholery, to nie jest rzeczywistość. Historia opisana w jakiejś tam książce niczego nie dowodzi.

– Chyba że jest w niej tak wiele aluzji i punktów wspólnych ze sprawą kryminalną.

– Nigdy pan nie słyszał, że pisarze inspirują się aktualnościami? Że mają kontakty w policji, w sądach, że często opowiadają historie prawdziwsze od faktów? – Zaczął chodzić wte i wewte, zdecydowanym krokiem adwokata wygłaszającego mowę obrończą. – Mój ojciec grzebał w policyjnych archiwach, buszował po muzeach i kostnicach, a gdyby ktoś mu polecił spanie w towarzystwie nieboszczyka, żeby się dowiedzieć, jak szybko stygną zwłoki, zrobiłby to, niech mi pan wierzy. Miał obsesję na punkcie mrocznych klimatów, zbrodni, rozkładu ciała. To był jego konik, rozumie pan? Więc niech mi pan nie mówi, że ta powieść wskazuje na jego winę.

Paul nie mógł mu powiedzieć o zawartości pamiętnika Julie, żeby nie zdradzić siebie i Gabriela, gdyby sprawa trafiła do akt, ale miał inne, równie przekonujące argumenty. Z teczki wyjął cienki plik kartek.

– To kopie. Oryginały są u nas. Niech pan spojrzy.

Traskman sięgnął po plik wściekłym ruchem, jednak w miarę lektury wyglądał na coraz bardziej skonsternowanego.

– Pismo mojego ojca... To... to jest oryginalne zakończenie *Niedokończonego rękopisu*!

Oszołomiony, zatrzymał się dłużej na ostatniej stronie. Miał przed sobą skarb i nie mógł w to uwierzyć. Przebiegał linijki jasnymi oczami, przeskakiwał od jednego akapitu do drugiego. Paul domyślał się, że wielka ekscytacja gospodarza miesza się z szokiem wywołanym ostatnimi odkryciami. Gdy euforia minęła, mężczyzna znowu się nachmurzył.

– Gdzie znaleźliście te kartki?

– W Sagas, w domku w górach, w którym mieszkał pański ojciec. Były w posiadaniu człowieka, który wiedział o jego potajnym związku z Julie Moscato i zamieszkaniu w jej porwaniu. Chciał nam wysłać ostatnią stronę powieści. Jak pan widzi, zaznaczył litery, które zestawione razem układają się w zdanie: „Ta książka daje odpowiedź na wszystkie wasze pytania”.

Pokazał mu kopie pozostałych listów Davida Esquimeta.

– Ten gość od ponad trzech lat wysyła nam anonimowe listy, z których wynika, że wie, co się stało. Ma pan przed sobą kartki wyrwane z powieści kryminalnych. Zaznaczone na nich litery tworzyły zdania, których celem było doprowadzenie nas do konkretnego człowieka: Caleba Traskmana.

Syn pisarza nie potrafił ukryć poruszenia. Kartki drżały w jego rękach. Położył plik na stole i zapatrzył się w dal. Usiadł, ale po zaledwie dziesięciu sekundach wstał i spojrzał na Paula jak chory budzący się z narkozy.

– Zaraz wrócę.

Bez słowa zniknął na końcu korytarza. Paul skorzystał z okazji, by się rozejrzeć. Żadnych rodzinnych zdjęć. Minimalistyczny wystrój ograniczający się do książek ojca, których mężczyzna najwyraźniej szczególnie nie lubił. Minutę później Jean-Luc Traskman wrócił: on również trzymał w ręku teczkę z gumkami. Podał ją Paulowi i usiadł naprzeciwko niego.

– Proszę, niech pan otworzy.

Żandarm odchylił tekturowe skrzydełko i jego oczom ukazał się plik kopert zaadresowanych do znanego autora. Górne koperty były rozcięte nożem do papieru. Sięgnął po pierwszą z nich i wyjął zawartość.

Jakby po raz drugi wyświetlano mu ten sam film. Przed oczami miał kartki wyrwane z książki. Litery obwiedzione niebieskim atramentem.

Caleb Traskman również otrzymywał anonimowe listy.

E teryczne pasma mgły, a w tle dźwięk radiowych wiadomości. Gabriel zanurzał się w noc, jadąc niekończącymi się prostymi i monotonnymi belgijskimi autostradami, przecinającymi pola i przyprawiającymi o chandrę. Jak wyczytał w internecie, sklep Chez Jacob był czynny od czternastej do dwudziestej trzeciej codziennie oprócz niedziel.

Z regularnością metronomu pojawiały się pomarańczowe poświaty podkreślające kształt mijanych hut, których kominy pluły niebieskimi i zielonymi płomieniami. Gabriel wiedział, że jego poszukiwania prowadzą go do Tartaru, najgłębszego zakątka piekieł. Wracając do Belgii, zanurzał się we własnej połamanej przeszłości.

Dotarł do stolicy około dwudziestej. Niebo wyglądało groźnie. Odstawszy swoje w kilku korkach na obwodnicy, pół godziny później skręcił w kierunku Espace Nord i jechał wzdłuż torów kolejowych wciśniętych między wysokie wieżowce i hotele o dużych lustrzanych oknach. Na ulicach nie było tłumów, ostatnie pociągi z prowincji zdążyły już wysadzić wyczerpanych pasażerów. Pod murami dworca przemykały ciemne postaci. Przedstawiciele nocnego świata wracali na swoje terytorium, czujni jak przyczajone wampiry.

Gabriel nie pamiętał, by kiedykolwiek tu był, by prowadził tu swoje śledztwo. Belgijska ziemia była dla niego równie obca jak powierzchnia Księżyca. Zaparkował niedaleko postoju taksówek i wysiadł opatulony w kurtkę. Północny wiatr świstał w szarych stalowych elementach budynków i poruszał przewodami elektrycznymi. Dzielnica nie była zbyt atrakcyjna, jak to w okolicach dużych dworców. Kierując się nawigacją w telefonie, po pokonaniu stu metrów skręcił w rue d'Aerschot. Poczul opary seksu i gotówki przekazywanej z ręki do ręki. Samochody jeździły powoli, omiały przechodniów blaskiem reflektorów i zatrzymywały się przy postaciach na wysokich obcasach. Minimum słów, trzaśnięcie drzwiczek, warczenie silnika znikające w ciemności i obiecujące igraszki z diabłem.

Nie minęło trzydzieści sekund, a zaczęła go prostytutka o mlecznobiałej cerze i wyzywającej powierzchowności, z ofertą usług płatnych według taryfikatora. Miała najwyżej dwadzieścia lat i słowiański akcent – biedna niewolnica współczesnych wyzyskiwaczy. W rodzimych mieścinach ma się je pracą, zabezpieczeniem rodziny, pięknym życiem na Zachodzie, a nawet małżeństwem. A kiedy znajdą się na miejscu, zabiera się im papiery i lądują na ulicy, bite, zastraszane przez burdelmamy.

Kawałek dalej w witrynach oświetlonych na różowo, zielono i bladoniebiesko tańczyły nagie dziewczyny. Demony do wynajęcia lub zbiorowej konsumpcji na wilgotnych zapleczach, gdzie lepiły się do siebie zwiotczałe ciała. Po drugiej stronie ulicy mężczyźni – z papierosem w ustach, oparci o mur lub ukryci w ciemnych zakamarkach, stręczyciele czuwający nad swoją stajnią i zerkający na Gabriela, który szedł szybko, z pochyloną głową i był jak ziarnko piasku w doskonale naoliwionej maszynie.

Pokonał jeszcze trzysta metrów i skręcił w prostopadłą ulicę, przyspieszając kroku, z uporczywym poczuciem, że jest śledzony. Pomyślał o lokalizatorze GPS pod fotelem swojego samochodu, o włamaniu do mieszkania, o sponiewieranych zwłokach na brzegu rzeki. Zabójca z pewnością się ukrywa, może nawet czai się tutaj.

Miał zresztą wrażenie, że kiedy po raz ostatni zerknął za siebie, skręcając w lewo, zauważył jakiś ruch. Kiedy znalazł się za rogiem, puścił się biegiem, po czym wpadł do jakiejś bramy. Cień wychynął zza węgła, lekko się zawahał, po czym szybkim krokiem ruszył dalej pierwszą ulicą. Czy Gabriel rzeczywiście był śledzony? Odczekał jeszcze pięć minut i wreszcie uznał, że jest bezpieczny: jak to możliwe, by ktoś za nim szedł?

Doszedł do popularnej ulicy z kramami i witrynami uginającymi się od bibelotów – większość z nich była zamknięta i zabezpieczona kratami. Lokale gastronomiczne jeszcze działały. Milczący przechodnie, po nos okutani w szale, pośpiesznie przemierzali chodniki.

Wreszcie dotarł do małego zakurzonego sklepiku, na którego wystawie piętrzyły się dziwne przedmioty: wąż owinięty wokół szczebli miniaturowej drabiny, drewniana figurka baranka połączonego z niemowlęciem, „zestaw wampira” czy wreszcie smocze dziecko pływające w słoiku z mętnym płynem. Za szybą wyeksponowano też dwa czy trzy obrazy prześcigające się w potworności: kobieta z głową meduzy, las z powykręcanymi drzewami, których gałęzie wchodziły do paszczy wyjącego lwa. Sklep Chez Jacob nie mieścił się w żadnej kategorii. W sieci figurował jako „gabinet osobliwości”.

Nie było żadnych wątpliwości, Gabriel trafił pod właściwy adres. Jeszcze raz ostrożnie obejrzał się dookoła, po czym pchnął drzwi. Wnętrze było większe, niż

się spodziewał – głębokie i słabo oświetlone, z pewnością dla zbudowania właściwej atmosfery. Były żandarm miał wrażenie, jakby zapuszczał się na strych zwariowanego zbieracza. Miejsce stanowiło zlepek normalności i niesamowitości, niczym dziobak, słynny zwierz z dziobem kaczki, ogonem bobra i łapami wydry.

Z zaplecza wyszedł mężczyzna około sześćdziesiątki. To dopiero była osobliwość. Chudzielec w czerwonym golfie i sztruksach w kolorze khaki, o ustach zbyt wąskich, by mogły zasłonić górne zęby rosnące pod kątem, jakby specjalnie do wyskrobywania resztek z talerzy. Skinął klientowi na powitanie i z miną starego, zmęczonego gargulca usiadł za ladą, zanurzając nos w gazecie. Gabriel podszedł do niego.

– Chciałbym pana zapytać o pewien obraz, który kupiłem tutaj w sierpniu ubiegłego roku.

– Co to za obraz?

Gabriel pokazał mu zdjęcie na wyświetlaczu komórki. Antykwariusz wyszedł zza lady i stanął przy nim, żeby lepiej widzieć. Kiedy rozpoznał dzieło, spojrzał na niego posępnym wzrokiem.

– Ach, to pan. Nie poznałem pana. Pańska głowa... Miał pan włosy. I był pan o wiele bardziej niespokojny. Zresztą po co ja to panu mówię, przecież pan wie.

– Właśnie. Mam problem z pamięcią. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak to dokładnie było?

Sześćdziesięciolatek wskazał kciukiem w stronę zaplecza.

– Sekundkę, podgrzewałem wosk do odlewu i... zważywszy na ten zapach, myśle, że zapomniałem wyłączyć kuchenkę. Zaraz wracam.

Zatem Gabriel był tutaj, jeszcze zanim przybrał tożsamość Waltera Guffina. Skorzystał teraz z okazji, by się rozejrzeć wśród piętrzących się i wiszących bibelotów. Wciągnął w nozdrza zapach taniny, skóry, lakierowanego drewna. Każdy z przedmiotów opowiadał jakąś historię. Skąd pochodzą? Do kogo należały? Dlaczego ich właściciele kupili je, a następnie się ich pozbyli? Każdy z nich był świadkiem jakichś przeżyć, obraz, który trafił w jego ręce, również. Z jakiegoś powodu powstał. Obejrzał płótna wystawione tu i tam, spróbował odczytać podpis artysty, jeśli były sygnowane. Ale nic nie przypominało potwornego portretu Julie i Mathilde.

Sprzedawca wrócił do niego. Wycierał dłonie ręcznikiem.

– No więc tak – powiedział, prowadząc go w stronę wystawy. Wskazał na kąt, w którym stał słoik ze smoczątkiem. – Obraz znajdował się w tym miejscu. Jakies trzy miesiące temu przyszedł pan tutaj i rzucił się na niego, żadnego dzień dobry ani nic. Złapał go pan i zaczął płakać. Ale pański smutek nie trwał długo, bo zaraz potem, kiedy do pana podszedłem, chwycił mnie pan brutalnie za

kołnierz i przycisnął do ściany. O mało mnie pan nie pobił. Chciał pan wiedzieć, skąd ten obraz pochodzi.

Gabriel z łatwością wyobraził sobie swój stan po tym, jak z chodnika dostrzegł twarz córki – po tak długim czasie i tak daleko od Sagas. Domyślał się swojego poruszenia, ekscytacji zmieszanej ze strachem i złością.

– I skąd pochodzi?

– Kupiłem go od pewnej bogatej wdowy, która wyprzedawała dużą część kolekcji swojego męża. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, stary zmarł na zawał serca. Zamieściła ogłoszenie w prasie branżowej, pojechałem do niej, żeby zobaczyć, czy ma coś, co może mi się spodobać. – Szerokim gestem wskazała na wnętrze sklepu. – Jak pan widzi, gustuję raczej w osobliwościach: przyrodniczych, naukowych czy etnograficznych. Sądzę, że przede mną pojawili się tam inni nabywcy z grona jej znajomych i wykupili najciekawsze eksponaty. Nie było już wielkiego wyboru, za to zauważyłem tamten obraz. Był taki... okropnie niezdrowy, ale pasował do mojego świata. Kiedy pan wpadł, zalegał w kącie od co najmniej czterech lat.

Cztery lata. Okropne, pomyślał Gabriel: przerażone twarze jego córki i innej porwanej dziewczyny były wystawione na widok publiczny i nikt nie powiązał obrazu z dawnymi zaginięciami we Francji.

Człowieczek podszedł do komputera i wystukał coś na klawiaturze.

– Kiedy pan zrozumiał, że jestem zwykłym kupcem i sprzedawcą i nie mam nic wspólnego z samym płótnem, uspokoił się pan. I całe szczęście, bo miał pan cholernie dużo siły i był pan gotów mnie zabić. – Zaśmiał się nerwowo. –

Wyjaśnił mi pan powody swojej histerii: na płótnie ktoś namalował pańską córkę, która zaginęła przed laty. Twierdził pan, że została wepchnięta do samochodu porwanego z Ixelles, a artysta, który użył jej i drugiej dziewczyny jako modelek, musiał być zamieszany w sprawę.

Kliknięcie myszką. Facet przesunął językiem po górnym dziąśle. Gabriel zapytał go, czy opowiadał mu wtedy coś jeszcze.

– Tak. Powiedział pan, że to z powodu tego samochodu przyjechał pan do Belgii. Przeszukiwał pan Ixelles i ościennie gminy, a potem przez kilka lat ogromną Brukselę. Spędził pan mnóstwo czasu w piekielnej Espace Nord: prostytutka, bandy ze Wschodu, mafia i tak dalej. Przemierzał pan ze zdjęciem córki rue d'Aerschot i najciemniejsze zakątki miasta. I miał pan szczęście, bo jakaś prostytutka rozpoznała twarz ze zdjęcia. Nie widziała jej w rzeczywistości, ale na mojej wystawie.

I tak Gabriel poznał początek tej historii. Trafił więc na to płótno trochę przez przypadek i na pewno bez cienia nadziei. To, co odkrył, uruchomiło całą resztę. Powiększył inne zdjęcie na ekranie.

– Proszę spojrzeć. Obraz jest sygnowany przez niejakiego A.G. Ma pan jakiś pomysł, który artysta może się kryć za tymi inicjałami?

– Już mnie pan o to pytał. Nie, nie mam pojęcia. – Mężczyzna nabazgrał coś na samoprzylepnej karteczce. – Ale możliwe, że właścicielka, która mi go sprzedała, wie. Więc tak jak trzy miesiące temu, podam panu jej adres – powiedział, wręczając mu karteczkę. – A co z pana pamięcią, to coś poważnego?

Gabriel przeczytał: „Simone Chmielnik. Ransbèche”.

– Na tyle, że nie pamiętam, że już pana spotkałem. Ale daję radę. Ransbèche, gdzie to jest?

– Jakieś pół godziny stąd, pod lasem Brabant-Walloon. To dzielnica bogaczy, pozna pan po domach. Simone Chmielnik mieszka w secesyjnym dworku. To znaczy jeśli się nie wyprowadziła. Tak jak panu mówiłem, to było cztery lata temu, a taki dom jest stanowczo za duży dla samotnej kobiety.

Precyzyjnym ruchem mężczyzna poprawił wiszącą tuż za Gabrielem ramkę z zasuszonymi owadami i wyciągnął szyję, ponieważ do sklepiku weszła para o gotyckiej aparycji. Gestem dał gościom do zrozumienia, że zaraz do nich podejdzie, po czym ściszył głos i konfidenicznym tonem zwrócił się do Gabriela:

– Muszę przyznać, że jeszcze przed pana pierwszym przyjściem i wyjaśnieniami uważałem, że ten obraz jest jakiś dziwny.

– Dlaczego?

– Stał w dworku w dużym pomieszczeniu wśród innych przedmiotów, które wdowa przeznaczyła na sprzedaż. Kiedy jej powiedziałem, że interesuje mnie tylko on, wetknęła mi go w rękę i kazała spieprzać. I wie pan co? Nie chciała ode mnie ani grosza.

Jean-Luc Traskman patrzył na oszołomionego Paula. Żandarm siedział na skraju kanapy i nie mógł oderwać wzroku od pliku listów wyjętych z teczki.

– Znalazłem je kilka dni po tym, jak mój ojciec rozstał się z tym światem – wyjaśnił syn pisarza. – Kursowałem między moim domem a willą, żeby uporządkować jego rzeczy i sprawy spadkowe. Te listy znalazłem w sejfie w jego gabinecie. Były wysyłane regularnie od dwa tysiące piętnastego roku do jego śmierci z bardzo wielu miejsc na wschodzie Francji. Tak jak u pana, są to kartki z kryminałów. I tak jak u pana, z pozaznaczanymi literami, które tworzą zdania typu „Wiem, co pan zrobił” czy „Kiedyś wszyscy się dowiedzą, jakim pan jest potworem”.

Paul był w szoku.

– I pana ojciec nie poszedł na policję?

– Wygląda na to, że nie. Wszystko zachował, ale nikomu o tym nie powiedział.

Teraz żandarm lepiej rozumiał, co się stało: David Esquimet grał na dwa fronty. Nie wystarczyło mu, że mścił się na Corinne, torturując ją swoimi zagadkami. Zamierzał też ukarać Caleba Traskmana za krzywdę, którą wyrządził Julie. Możliwe nawet, że jego pogróżki przyczyniły się do samobójstwa pisarza.

Jean-Luc Traskman sięgnął po zapisane odręcznie kartki.

– Czyli to zakończenie istniało, nie pozostawił historii bez finału. Teraz wszystko jest o wiele jaśniejsze. Muszę panu powiedzieć, że podczas jednego z pobytów w willi, na dwa tygodnie przed tym, jak otworzyłem jego sejf, zauważyłem, że ktoś ją odwiedził. Z tyłu była wybita szyba, ktoś wszedł do środka, ale nie było widać, żeby coś ukradł. Przyjechała policja i pobrała jakieś próbki, ale nic z tego nie wynikło. Nic dziwnego, zważywszy na architekturę domu.

– Dlaczego? Co w niej takiego szczególnego?

Jego rozmówca przez dłuższą chwilę rozmyślał, wpatrując się w kartki, wreszcie usiadł.

– Nieważne. Oryginalnego tekstu *Niedokończonego rękopisu* nie znalazłem na strychu, jak to napisałem w przedmowie. To był taki zabieg, żeby podkreślić wyobraźnię czytelników Caleba. Wie pan, stary, zakurzony manuskrypt, wygrzebany z pudła leżącego na samym dole sterty. Takie coś się o wiele lepiej sprzedaje.

Na wszystkim można robić biznes, nawet na śmierci, pomyślał Paul. Ukrył obrzydzenie i skinął głową, by zachęcić syna do dalszej opowieści.

– Tak naprawdę plik kartek leżał razem z tymi listami. Mój ojciec działał według starej szkoły, nie cierpiał komputerów. Zapisywał swoje historie odręcznie i nie miał żadnych kopii. Robił tak już w czasach, kiedy byłem dzieckiem: ilekroć skończył rozdział, odkładał go do swojego sejfu, w którym leżały już gotowe wcześniejsze fragmenty. Może pan sobie wyobrazić, w jakim byłem stanie, kiedy na to trafiłem. Miałem w ręku oryginalne dzieło mojego ojca, którego istnienie ukrywał w najgłębszej tajemnicy. A to nie było w jego stylu. – Ruchem głowy wskazał na egzemplarz Paula. – Chyba nigdy tak szybko nie czytałem. Książka w książce, tortury, napięcie. To była jedna z jego najlepszych powieści. I jedna z najmroczniejszych. Więc kiedy zauważyłem, że nie ma zakończenia, byłem zdruzgotany. To było jak...

– Gioconda bez twarzy.

– Tak, Gioconda bez twarzy. Ciąg dalszy pan zna, wszystko opisałem w przedmowie. Wielu czytelników zarzucało mi, że zakończenie, które wymyśliłem, jest zbyt otwarte, ale to dlatego, że nie potrafili go rozszyfrować. Aby do końca pozostać wiernym ojcu, a on uwielbiał umieszczać zagadki na końcu swoich powieści, ukryłem rozwiązanie w ostatnim zdaniu. Wystarczy złożyć ze sobą pierwsze litery wyrazów, z których jest zbudowane, i ma pan odpowiedź. Ale – podniósł plik kartek – to, co zaproponowałem, bardzo się różni pod względem konstrukcji od jego zakończenia. To znaczy, owszem, moje zakończenie jest mroczne, ale to nic w porównaniu z zakończeniem Caleba Traskmana. Miałem pięćdziesiąt procent szans na to, że się uda: mogłem wybrać zwycięstwo dobra lub zła. W tym sensie się myliłem.

Paul coraz lepiej rozumiał całą układankę. Kolejne elementy wskakiwały na swoje miejsca.

– Czyli pański ojciec dokończył pisanie, tylko po prostu nie włożył tych ostatnich stron do sejfu. Można by się zastanawiać dlaczego, skoro mówi pan, że zawsze to robił. A później popełnił samobójstwo. Palindromista z Sagas dowiaduje się o tym z prasy. Bo zakładam, że o śmierci Caleba Traskmana było głośno?

– Tak, oczywiście.

– Facet postanawia więc odwiedzić willę, być może żeby spróbować dowiedzieć się więcej na temat losów Julie Moscato. Wybija szybę, przeszukuje dom, papiery, szuflady, znajduje te kartki i zabiera je, zanim pan zdążył na nie trafić. I kilka lat później znajdujemy je w jego domu.

Mężczyźni przez dłuższą chwilę w milczeniu przetrawiali te rewelacje. Paul wiedział, że jego wnioskowanie jest spójne. Jean-Luc Traskman, który stał naprzeciwko niego, wyglądał na znokautowanego. Przyłożył dłoń do czoła, jakby zdjęty nagłą migreną. Wtedy żandarm wpadł na pewien pomysł. Odszukał coś w telefonie i pokazał rozmówcy.

– U domniemanego włamywacza znaleźliśmy też takie zdjęcia. Były w albumie. Zdjęcia różnych części ciała zmarłych: kończyny, nosy, podbródki. Mówił pan, że pański ojciec buszował po kostnicach i muzeach medycyny. Czy te chore obrazy mogły należeć do niego? Czy one też mogły zostać skradzione?

Traskman szybko popatrzył na wyświetlacz i oddał mu komórkę.

– Zapisywał, rysował, ale z tego, co wiem, nie robił zdjęć. A w każdym razie nie takiej jakości. W tych widać jakieś artystyczne zacięcie.

Paul, choć rozczarowany, nie odpuszczał i wskazał na kupkę listów.

– Pański ojciec zastrzelił się z rewolweru. Kilka tygodni później znalazł pan tę korespondencję. Nie pomyślał pan, że te pogróżki mogły być powodem, dla którego odebrał sobie życie?

– Tak, oczywiście, przyszło mi to do głowy.

– Wiec dlaczego nie zaniósł ich pan na policję?

Jean-Luc Traskman wyglądał na zaskoczonego. Wzruszył ramionami.

– Co się stało, to się nie odstanie. Mój ojciec podjął decyzję. To było niekwestionowane samobójstwo.

Chciał przyciągnąć teczkę do siebie i zakończyć rozmowę, ale Paul go powstrzymał.

– Pokazał mi pan to wszystko, chociaż pan nie musiał – powiedział żandarm.

– W głębi serca chce się pan dowiedzieć, dlaczego pana ojciec otrzymywał te listy i dlaczego dokonał tak radykalnego wyboru. Czy się mylę?

Cisza.

– Szukam Julie Moscato od dwunastu lat, więc zapewniam pana, że nie porzucimy tego tropu i przekopimy do samego dna przeszłość Caleba Traskmana i wszystkich, którzy byli z nim związani. Przetrząśniemy dom w Berck-sur-Mer, dojdziemy do prawdy. Jeśli jest jeszcze coś, co powinien mi pan powiedzieć, to lepiej, żeby pan to zrobił teraz.

Po kilku sekundach namysłu Traskman zerknął na zegarek, wstał i kciukiem wskazał na korytarz.

– Proszę mi dać dwie minuty, wyłączę komputer i pogaszę światła. Zakładam, że nie boi się pan nocnej jazdy?

Paul pokręcił głową.

– W takim razie zabiorę pana na wybrzeże, do willi, czyli jakieś dwie godziny stąd. Kiedy pokazywał pan zdjęcia zwłok, nie powiedziałem wszystkiego. Widziałem już takie u ojca i nie jest wykluczone, że palindromista zabrał je stamtąd przy okazji włamania. – Spojrzał na Paula absolutnie mrocznym wzrokiem. – Dopiero teraz naprawdę pan zrozumie, jakim zwyrodnialcem był Caleb Traskman.

Ozдобny staw i angielski ogród, którym otoczony był dworek Chmielników, zalewało subtelne światło przypominające niebieskawą mgiełkę. Sama budowla wznosiła się zwartą bryłą na tle czarnej paszczy lasu, a jej dwie okrągłe wieżyczki dorównywały wysokością bezlistnym koronom drzew.

Kiedy Gabriel parkował samochód, dochodziła dwudziesta pierwsza, ale brama była jeszcze otwarta. Wolał spróbować szczęścia tego samego wieczoru niż wracać do Lille i nazajutrz pokonywać tę samą drogę.

– Czym mogę panu służyć? – powitał go mężczyzna, który najwyraźniej zobaczył gościa zbliżającego się pieszo do głównych drzwi.

Wyszedł z dobudówki usytuowanej po lewej stronie okazałego dworku. Przedstawił się jako jeden z członków personelu zajmującego się utrzymaniem posiadłości.

Gabriel w krótkich słowach wyjaśnił, że przyjechał z Francji i chciałby porozmawiać z właścicielką o pewnym obrazie, którego pozbyła się po śmierci męża. Kiedy tamten kategorycznie stwierdził, że nie będzie przeszkadzał gospodyni, były żandarm pokazał mu wyświetlacz telefonu ze zdjęciem obrazu.

– Proszę jej powiedzieć, że to ogromnie ważne, że jestem ojcem jednej z dziewcząt przedstawionych na tym płótnie. Zrozumie.

Po chwili wahania mężczyzna wszedł do budynku z telefonem Gabriela w dłoni. Nie minęło pięć minut, jak wrócił i zaprosił go, by szedł za nim. Zamknął za sobą drzwi, po czym zniknął, zostawiając Paula w oszałamiającym holu. Podłogę zdobiły mozaiki, a ściany wyglądały jak pokryte płatkami złota. Na szczycie kopułowego sklepienia znajdował się świetlik z malowidłami w żywych kolorach, przypominającymi zdobienia florenckich pałaców.

Wdowa czekała na niego na wózku inwalidzkim w progu salonu, obok marmurowej kolumnady. Gabriel spodziewał się starej, zmanierowanej mieszcanki o twarzy ponaciąganej za sprawą operacji plastycznych, a tymczasem miał przed sobą kobietę naznaczoną upływem czasu, o długich

siwych włosach, w szalu z szarej wełny na szczupłych ramionach. Stanowczo zbyt kruchą na tak wielkie pomieszczenie. Pomyślał o Corinne, która siadała na krześle w taki sam sposób, gdy było jej zimno. Kiedy podszedł, by ucisnąć jej dłoń, dostrzegł pytające spojrzenie orzechowych oczu.

– Co z pańską córką? Znalazł ją pan? – brzmiały jej pierwsze słowa.

Gabriel poczuł, jak żołądek skręca mu się w supeł. Być może jego mózg zapomniał, ale ciało pamiętało. Nie wiedząc czemu, natychmiast poczuł wobec tej kobiety głęboką czułość.

– Jeszcze nie.

Założyła ręce na piersi. Gabriel czuł wokół siebie prądy chłodnego powietrza przypominające natarczywe duchy i patrząc na wdowę – samotną i przemarzną, mimo że za jej plecami palił się kominek – pomyślał, że cała ta chawira za miliony euro to jeden wielki grób.

W kilku słowach wyłożył jej przyczynę swoich odwiedzin. W oczach wdowy malowało się raczej współczucie niż zaskoczenie. Operując manetką, wjechała do salonu i naląła sobie whisky. Jemu również zaproponowała: nie odmówił. Karafka stała na okrągłym stoliku obok sofy. Leżała tam też książka z widoczną zakładką. *Do zobaczenia w zaświatach*³. Najwyraźniej nie była to jej pierwsza szklaneczka tego wieczoru.

– Szuka pan A.G. To Arvel Gaeca.

– Znała go pani?

– Był moim mężem.

Zapadła cisza, którą przerwał trzask polana w kominku. Gabriel o mało nie upuścił szklanki. Nie był przygotowany na taki szok. Simone Chmielnik wskazała palcem obraz na drugim końcu salonu, w pobliżu biblioteczki. Na płótnie, w uderzającym światłocieniu więziennego dziedzińca, widać było leżącego na ziemi mężczyznę z rękami związanymi z tyłu i częściowo odciętą głową, którą podtrzymywał jego kat.

– *Ścięcie Świętego Jana Chrzciciela*. Doskonała kopia obrazu Caravaggia, którą mój mąż kupił za kilkadziesiąt tysięcy euro od pewnego angielskiego malarza. Niech pan spojrzy, skopiował nawet podpis artysty, jak w oryginale wykonany krwią męczennika: „f. Michela”. Ciekawostka: Caravaggio nie podpisywał swoich obrazów. Tylko ten. Z pewnością chciał w ten sposób pokazać, że w prawdziwym życiu sam przelał krew.

Gabriel nie znał się na sztuce, ale słuchając wdowy, przypomniał sobie, że Caravaggio to słynny malarz morderca.

– Henri bezgranicznie uwielbiał włoskiego geniusza – mówiła dalej. – Do tego stopnia, że jako pseudonim wybrał sobie imię i nazwisko „Arvel Gaeca”, anagram francuskiego „Le Caravage”.

Gabriel upił spory łyk alkoholu. Czuł się jak na krawędzi otchłani. Musi się rozluźnić, w przeciwnym razie jego ciało eksploduje. Podszedł do obrazu, zza pleców dobiegł go szum elektrycznego silnika. Rzeczywiście zauważył podpis.

– Twórczość mojego męża nie miała nic wspólnego z dziełami Caravaggia, ale mówiła o śmierci: o tym, jak śmierć rujnuje ciało, jak je pustoszy, aż do nicości. Henri długo malował martwe zwierzęta, okrutne sceny polowań, w których psy czy wilki rozrywają swoje ofiary. Szczegółowo znał proces rozkładu ciała z jego etapami, sposób powstawania zasinień. Zważywszy na jego znajomość chemii organicznej, to nic dziwnego. – Pokręciła głową, z obrzydzenia marszcząc nos. – Musiałby pan zobaczyć, co robił tymi swoimi nożami, szczypcami, nawet kawałkami drzewna czy metalu: miażdżył materię, szczególnie pastwiąc się nad ranami, nad pomarszczoną, zakrwawioną skórą. Być może te jego inscenizacje pomagały mu egzorcyzmować własne lęki, a może nam wszystkim, którzy nie chcemy patrzeć, chciał pokazać, dokąd zmierzamy. Ostatecznie odszedł cztery lata temu, bezboleśnie, podczas gry w tenisa. Niektórzy powiedzą, że to była piękna śmierć, choć miał zaledwie siedemdziesiąt lat. – Kobieta zawiesiła wzrok na kopii Caravaggia. – Nie cierpiałam tego, co robił, brzydziłam się tym, ale wielbicieli jego płócien nie brakowało. Cóż, o gustach się nie dyskutuje. W każdym razie o jego sprawach i malarstwie nie można było rozmawiać, bo wtedy wybuchał. To było jego prywatne terytorium. Zabronił mi nawet wstępu do swojej pracowni. – Zaśmiała się nerwowo. – Zamykał ją na klucz. Drań.

– A co w tym wszystkim robi moja córka?

– Przykro mi, na temat tamtego obrazu nie potrafię panu powiedzieć nic więcej niż za pierwszym razem. Kiedy pojawił się pan tutaj kilka tygodni temu, opowiedział mi pan swoją historię i oskarżył mojego męża o straszne rzeczy. Działał pan pod wpływem gniewu i mówił głupstwa. – Spojrzała na swoją whisky i pokręciła szklanką, żeby na powierzchni bursztynowego płynu zobaczyć tańczące refleksy światła. – Twarze na płótnie mogły pochodzić z jakichkolwiek źródeł w internecie. O porwaniach było głośno w mediach, łatwo było zdobyć zdjęcia. Sama to sprawdziłam po pana wyjeździe, gdy trochę poszukałam. Znalazłam sporo artykułów na temat pańskiej córki. Mój mąż był człowiekiem o niezaspokojonej ciekawości, czerpał z otaczającego go świata, a drastyczne informacje go fascynowały. Nie jest trudno postarzyć twarz. Każdy malarz to potrafi. Wiem, że to odrażające, ale może wyobrażał sobie, jak te dziewczyny wyglądałyby po latach, i uwieczniał je na swoich obrazach?

– On miał te twarze przed sobą.

– Nie będziemy znowu o tym rozmawiać. Ja...

Przerwał jej:

– Krótco po tym, jak panią odwiedziłem, zeszkrobałem z obrazu trochę materiału i wysłałem go do prywatnego laboratorium. To była krew. Badania genetyczne są jednoznaczne: pani małżonek posunął się dalej niż Caravaggio, w niektórych miejscach do malowania użył krwi mojej córki i drugiej zaginionej dziewczyny. Niech mi pani nie mówi, że pani o tym nie wie. Kiedy to odkryłem, musiałem tutaj przyjechać z wynikami i podetknąć je pani przed nos.

Wstrząśnięta, pokręciła głową.

– Jezus Maria, krew?... Jest pan tego pewien?

– Wykresy nie kłamią.

– Przysięgam, że nie wiedziałam. Nie spotkaliśmy się więcej, dopiero dziś.

Gabriel przyjrzał jej się uważnie. Przykuta do wózka kobieta sprawiała wrażenie szczerzej i do głębi poruszonej. Dlaczego nie wrócił tu i nie skonfrontował jej ze swoim odkryciem? Dlaczego nie poinformował policji, żeby zbadała przeszłość tego gościa?

– W ten czy inny sposób pani mąż był zamieszany w porwanie tych młodych kobiet. Sprzedawca obrazu powiedział mi, że wcisnęła mu go pani do rąk, jakby chciała się go pani pozbyć. Nie zażądała pani pieniędzy. Wie pani o rzeczach, o których mi pani nie mówi. Musi mi pani pomóc w odkryciu prawdy. Proszę.

Gabriel nie odpuszczał. Nastąpiła długa chwila milczenia. Kobieta dopiła swoją whisky, odebrała od niego pustą szklanekę i zręcznie manewrując wózkiem, podjechała, by odstawić naczynia na blat.

– Pokażę panu. Proszę za mną.

Trzymając się poręczy, ruchem, który z pewnością powtarzała już tysiąc razy, podciągnęła się na windę schodową i wcisnęła guzik. Gabriel ruszył na górę po stopniach z drogocennego drewna.

– Henri był nie tylko malarzem. Był przede wszystkim wielkim przedsiębiorcą, z wykształcenia specjalistą w przemyśle chemicznym. Część kariery przepracował jako inżynier, a następnie zaczął skupować zadłużone firmy, stawiać je na nogi i odsprzedawać. Zbił na tym fortunę. Miał wszystko: pieniądze, wpływy, władzę. Wiecznie podróżował w interesach po całej Europie albo siedział w jakimś klubie dla palaczy cygar. Przez resztę czasu snuł się po muzeach i artystycznych przyjęciach, aż do znudzenia.

Biznes i sztuka. Dwie twarze jednej osoby. Gabriel pomyślał o xiphopagusie Traskmana. Wdowa spojrzała na niego ze smutkiem.

– On tam, a ja tutaj. Poza wszystkimi kręgami jego znajomych. Udawałam niczego nieświadomą, kiedy wracał w środku nocy z jakiegoś przyjęcia czy hotelu, gdzie z pewnością bawił się w dobrym towarzystwie, i zamykał się na górze, bo wolał malować te swoje koszmary niż spędzać czas ze swoją żoną. –

Westchnęła. – Te wielkie posiadłości są takie praktyczne. Można w nich mieszkać całymi tygodniami bez spotykania się. I bez miłości. Nawet już ze sobą nie sypialiśmy. A jedynym powodem, dla którego się nie rozwiedliśmy, była ochrona jego imperium.

Gabriel podniósł wzrok. Naprzeciwko niego, na półpiętrze, uwieczniony na płótnie Henri Chmielnik, z przypakowaną klatą i ubrany w drogie futro, patrzył na niego z półprofilu. Stał w śniegu, na prawo od domku otoczonego drzewami. Pięści trzymał złączone przed sobą, celując palcami wskazującymi w ziemię. Mężczyzna miał zimny wyraz twarzy drapieżnika na polowaniu, lekko unosił górną wargę. Uosobienie arogancji i dominacji.

– Uwielbiał kontemplować samego siebie – podkreśliła wdowa. – Ten dom również należał do niego. Znajduje się w Bieszczadach, w polskich Karpatach.

Mąż jeździł tam kilka razy w roku polować na wilki. Utrzymywał w ten sposób związek ze swoimi korzeniami, ponieważ jego rodzice pochodzili z Krakowa. Oczywiście ja od lat nie brałam w tym udziału. Najpierw samolot, a potem tamten dom, trudno dostępny dla osoby niepełnosprawnej. – Nie ruszała się z miejsca, zanurzona w otchłaniach przeszłości. – Powinnam się pozbyć tego obrazu, ale nie mogę się na to zdobyć. Jakby... jakby jego oczy mi tego zabraniały.

Gabriel wpatrywał się w mężczyznę tak długo, jak tylko mógł. Ten drań odszedł razem ze swoimi tajemnicami i nawet przy tym nie cierpiał. Wreszcie dotarli na górę. Czekał tam drugi wózek inwalidzki. Winda zatrzymała się dokładnie naprzeciw niego, tak że kobieta przesiadła się bez trudu. Ułożyła poprawnie nogi i za pomocą manetki wprawiła wózek w ruch.

Mijali ciąg pokoi, sypialni i łazienek. Dotarli do zamkniętych drzwi na końcu korytarza.

– Pracownia była jego kryjówką. Jak już panu mówiłam, ilekroć wyjeżdżał, zamykał ją na klucz. Ale zrobiłam sobie kopię. Czasem tu przychodziłam i zastanawiałam się, co jest nie tak z jego głową.

Oczom Gabriela ukazało się maleńkie zagracone pomieszczenie, w którym panował chaos. Potłuczone naczynia, pootwierane słoiki z farbą, palety z zaschniętymi pigmentami, tubki gwaszy w różnych kolorach, stosy rozmaitych papierów i zdjęć – uszkodzonych, poplamionych, wymiętych. Na stołach brudne próbówki, butelki z odczynnikami chemicznymi. Żałosna zakurzona graciarnia o niskim suficie, doskonale kontrastująca z lśniąca resztą domu.

Gabriel stwierdził, że Gaeca nie mógł sprowadzić tutaj Julie i Mathilde, by je namalować. Zrobił to gdzie indziej.

– Czy pani tu czegoś dotykała?

– Nie, niczego. Myślę, że Henri potrzebował tego bałaganu, tego rozjechania perspektyw, żeby tworzyć; tak jak Giacometti przy swoich rzeźbach. Kiedy zmarł, zabrałam tylko obrazy, żeby je sprzedać razem z pozostałymi rzeczami. Chciałam się ich jak najszybciej pozbyć. – Wskazała na róg pomieszczenia. –

Ten pański stał tam, wśród tego żelastwa. Chyba mu na nim zależało, w przeciwieństwie do... – Spojrzała na Gabriela. Jej dłonie spoczywały na szalu. – Chodzi mi o to, że było tu wiele innych obrazów z twarzami. Kobiety, mężczyźni o sponiewieranych, udręczonych ciałach, zawsze w takiej makabrycznej scenerii. I ten kolor, ta ziarnista czerwień. I ich oczy, przerażone albo patrzące w przerażający sposób. Nazywałam je „twarzami z horroru”. Kiedy wchodziłam tu po kryjomu, widziałam te płótna, a gdy wracałam po jakimś czasie, niektórych już nie było. Ale to z pana córką nigdy nie zniknęło.

– Co się z nimi stało?

– Myślę, że je rozdawał.

– Ile takich obrazów namalował? Ile było twarzy?

– Nie wiem. Ze dwadzieścia? Wie pan, kilka dni po tym, jak mnie pan odwiedził, coś się wydarzyło... Byłam tak poruszona pana wizytą i tym, co mi pan opowiedział, że nie mogłam spać. Miałam potrzebę porozmawiać o tym z moimi przyjaciółkami z klubu brydżowego w Brukseli. Nigdy wcześniej im nie mówiłam o obrazach mojego męża. Jedna z nich powiedziała mi wtedy, że widziała taki obraz u swojej znajomej.

Gabriel poczuł, jak jego puls przyśpiesza.

– Któraś październikowego popołudnia kierowca zawiózł mnie tam. Płótno wisiało w gabinecie męża tej znajomej, bogatego biznesmena. Rzeczywiście był to obraz Henriego. Przedstawiał twarz młodego mężczyzny. Był przerażający. Kobita nie wiedziała, skąd pochodzi, ale twierdziła, że wisi w tym miejscu od wielu lat.

– Czy jej mąż jeszcze żyje?

– Tak, tak.

– A czy mogłaby mi pani podać jego adres?

– To jakieś trzydzieści kilometrów stąd, dam go panu na dole. Myśli pan, że... że on też jest malowany krwią?

– Tak, to możliwe.

Skuliła się w sobie, niezgrabnie jak poparzony pająk. Nie tylko było jej zimno. Bała się człowieka, którym mógł się okazać jej mążzonek.

– Dobrze, a co się tyczy w szczególności pańskiego obrazu: krótko po antykwariuszku pojawiła się tu pewna kobieta. Dziwna. Młoda, wytatuowana, ze wschodnim akcentem. Z początku sądziłam, że to Polka, ale okazała się Rosjanką. Jedni i drudzy nie wymawiają naszego „r”.

W półmroku pokoju Gabriel wstrzymał oddech. Wanda.

– Dowiedziała się o śmierci Henriego i pytała, czy zostały mi jakieś obrazy z twarzami. Wyjaśniła, że jej przyjaciel jest gotów dobrze zapłacić za jeden czy dwa. Skrzywiła się, kiedy zrozumiała, że nie mam żadnych informacji na temat nabywcy. Zostawiła mi swoje nazwisko i numer telefonu, żebym się z nią skontaktowała, gdyby mężczyzna przyjechał po inne przedmioty. Nazywała się Wanda jakaś tam.

– Wanda Gershwitz – odpowiedział Gabriel bezbarwnym głosem.

– Tak, właśnie. A po czterech latach po nich przyjechał pan i miał pan pod pachą obraz, którego wtedy szukała. O wszystkim panu opowiedziałam, ze szczegółami, tak jak przed chwilą. Poprosił mnie pan o numer telefonu tej Wandy. I sądzę, że teraz też pan to robi. Zachowałam go, jest zapisany w notesie, który mam na parterze. – Westchnęła. – Teraz, kiedy pan przyjechał

i zadaje mi te wszystkie pytania, czuję się tak, jakby cały ten cykl zaczynał się od nowa. Tyle że trzy miesiące temu nie powiedział mi pan o krwi. O tym, że mój mąż mógł być zamieszany w coś tak potwornego. Te wszystkie twarze... I jego bezgraniczna fascynacja śmiercią. Mój Boże, co to oznacza?

W głowie Gabriela połączyły się wszystkie kropki. Odkrycie, którego dokonał latem u antykwariusza, przyprowadziło go do tego domu. A stąd dotarł do Wandy. Z łatwością wyobraził sobie swoje napięcie w chwili, gdy Simone Chmielnik wspomniała o Gershwitz: wreszcie po dwunastu latach był na tropie kobiety, która podała fałszywe dane w hotelu Falaise. Z pewnością skierował na nią całą swoją energię i swój gniew: zmusić ją do mówienia oznaczało odnaleźć Julie.

Zmienił więc wygląd zewnętrzny i tożsamość i przeniknął do jej świata. Wolał pójść najprostszą drogą, nie zdawać się, jak należało, na policyjne śledztwo, w oczywisty sposób dłuższe i bardziej uciążliwe, a w każdym razie prowadzone przez kogoś innego. A on chciał zachować kontrolę.

Wdowa zapisała coś na kartce. Wyrwała ją i wetknęła Gabrielowi do ręki.

– To mój numer. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli się pan dowie... czegoś.

Gabriel skinął głową i włożył karteczkę do kieszeni kurtki. Za pozwoleniem gospodyni przystąpił do przeszukania pracowni, czego najwyraźniej za pierwszym razem nie zrobił, oszołomiony informacją o Wandzie. Może gdzieś jest jeszcze jeden obraz? Przesuwał słoiki i puszki, szeleścił kartkami z gazet.

– Czy on te twarze od początku do końca malował tutaj? – zapytał. – To znaczy czy widziała pani, żeby w tej pracowni zaczynał lub kończył te obrazy?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Wydaje mi się, że kiedy wchodziłam do tego pomieszczenia, zawsze były skończone lub prawie skończone, stały na sztaludze. Ale... gdzie miałyby je malować?

Gabriel milczał. Wiedział, że musi zawiadomić Paula, który poinformuje sędziego, a ten nawiąże kontakt z belgijskim wymiarem sprawiedliwości. Niekończące się procedury, których nie uprosczą różnice między systemami sądowymi obu krajów. Gabriel uznał, że zanim stanie się zwykłym widzem, sam może trochę pchnąć sprawy do przodu. Wdowa da mu numer Wandy, ale przede wszystkim adres człowieka, który także jest w posiadaniu obrazów Arvela Gaeki.

Już zamierzał porzucić przeszukanie, kiedy spośród żelastwa wydobyl kwadratową stalową tabliczkę o boku około dwudziestu centymetrów, z wygrawerowaną nazwą, która uruchomiła alarm w jego głowie.

„Sodebin”.

Tabliczka jakich wiele. Zardzewiała, podziurawiona, stara, poplamiona, jednak z czymś mu się kojarzyła. Zebrał myśli, ale nie był w stanie sobie

przypomnieć, gdzie widział to słowo.

– Co to jest? – zapytał, odwracając się do wdowy.

Podał jej tabliczkę. Kobieta dotknęła dłoni Gabriela. Jej skóra była lodowata.

– Sodebin. Magazyn produktów chemicznych, który mój mąż kupił i próbował zrestrukturyzować. Nabył teren i skład na początku lat dwutysięcznych. Ale firma od lat nie działa, była nierentowna. Pracowników trzeba było zwolnić dawno temu, może z dziesięć lat, pamiętam, że pisała o tym prasa. Dziś jest tam pewnie ugór, nie wiem, czy mój mąż cokolwiek odsprzedał. Jego interesy były dla mnie zbyt skomplikowane, wszystkim zajmują się adwokaci i pełnomocnicy.

Nagle oczami wyobraźni Gabriel ujrzał pamiętnik Julie i jej grę z Traskmanem – listy rzeczowników. Pisarz wpisał nazwę „Sodebin” wśród środków umożliwiających pozbycie się zwłok. Gabriel poczuł zimny dreszcz, a energia, która utrzymywała go przy życiu, zawrzała w jego wnętrzu. W sposób absolutnie nieoczekiwany duch autora thrillerów objawił się w pracowni belgijskiego malarza.

– Czy pani mąż znał niejakiego Caleba Traskmana? To Francuz, pisał powieści kryminalne.

– Henri spotykał się z ludźmi, z ogromną ilością ludzi, także ze świata artystycznego i literackiego. Na pewno znał jakichś pisarzy. Ale tego nazwiska nie kojarzę. Mówiłam panu, nie miałam dostępu do jego życia.

Gabriel czuł, jak rozgrzewa mu się mózg. Traskman, Chmielnik, a może i inni, byli trybami jakiegoś mechanizmu, którego działania jeszcze nie pojmował. W jaki sposób te ogniwa się ze sobą łączyły? Co było ich spoiwem? Przyjrzał się pozłacanym literom na tabliczce odłożonej przed chwilą przez wdowę.

– Gdzie leży Sodebin?

– W szczerym polu, niedaleko Mons, na granicy z Francją. Ale wie pan, tam nic nie ma, tylko ziemia i opuszczone zabudowania. Nieskończenie smutne i odludne miejsce.

W jednej chwili Simone Chmielnik doznała wrażenia, jakby miała przed sobą zbiegłe z zoo dzikie zwierzę. Gabriel Moscato na powrót stał się tygrysem, który prawie rzucił się na nią z pazurami, jak podczas ich pierwszego spotkania. Wielki samiec poszukujący swojego dziecka.

– Otóż to.

O d razu rozpoznał to miejsce.

Przebiegła pod murem L'Hôpital Maritime – znakomita sceneria dla filmu grozy – i minęła latarnię z jej cyklopim okiem. Na kempingu stało, o dziwo, jakieś dziesięć kamperów, wciśniętych między hangary na łódzie a zwały piasku. Migocące światła wewnątrz świadczyły o obecności niezłomnych przybyszów, którzy mimo mroźnych temperatur dotarli na wybrzeże. Widziała, jak opatuleni w pizamy nudzą się przed telewizorami albo upijają się czerwonym winem przy niekończących się partiach kart.

Tak, to było to. Paul poruszał się po świecie rodem z *Niedokończonego rękopisu*, podążał śladem jego bohaterki Léane Morgan. Latarnia morska, wijąca się asfaltowa droga, wiatr miotający piaskiem w przednią szybę samochodu, wielka bryła anglo-normandzkiej willi wznosząca się jak golem, zagubiona wśród wydm Berck-sur-Mer i odcięta od reszty świata. Nawet gdyby w środku ktoś krzyczał, nikt by nie usłyszał.

Kiedy parkował za porsche Traskmana, przyszedł esemes od Gabriela:

Mam numer Wandy: 07 XX XX XX XX. Facet, który namalował obraz, to Henri Chmielnik, pseudonim artystyczny: Arvel Gaeca, czyli nasz A.G., przemysłowiec, który zmarł cztery lata temu. Jest bardzo prawdopodobne, że Chmielnik i Traskman się znali. Wszystko ci wyjaśnię.

Paul wpatrywał się w wyświetlacz. Traskman, francuski pisarz, oraz Chmielnik, belgijski malarz i przemysłowiec. Klan rosyjskich mafiozów, którego jedna z członkiń wreszcie miała zostać zidentyfikowana na podstawie numeru telefonu komórkowego. A pośród tego wszystkiego Julie i druga zaginiona dziewczyna.

Przeczytał jeszcze raz i zrozumiał, że Gabriel ciągnie właśnie za nitkę spaghetti, za którą pojawi się reszta dania. Odpowiedział mu, że on także posuwa się naprzód, że przyjechał do domu Caleba Traskmana i zadzwoni wieczorem. Schował telefon i podbiegł do Traskmana juniora, który niecierpliwiał się na progu. Ostry wiatr z głębi zatoki chwycił go za gardło. Zanim wszedł do środka, mimo wszystko szybko rzucił okiem w stronę świateł miasta, migocących w oddali po lewej stronie, i na wielką czarną paszczę kanału La Manche, ziejącą na wprost.

Traskman trzymał w dłoni zwiniętą kopię rękopisu ojca. Zatrzasnął za sobą drzwi i włączył światło. Żandarm był zaskoczony wystrojem wnętrza. W żadnym calu nie odpowiadało ono temu, które zostało opisane w powieści, ani jego wyobrażeniom o stylu anglo-normandzkim. Znajdował się w pomieszczeniu przypominającym półkolisty westybul o nienaturalnie niskim, zaokrąglonym sklepieniu, przywodzącym na myśl jaskinię prehistorycznego człowieka. Miał przed sobą sześcioro zamkniętych, umieszczonych w regularnych odległościach drzwi, a nad każdymi paliła się lampka w innym kolorze.

– Niech pan wybierze jedno – zachęcił go Traskman.

Paul nacisnął na klamkę po lewej i znalazł się przed ścianą, na której namalowano przerażającą twarz istoty o spiczastych zębach i wydłużonej, jajowatej głowie. Palcami w kształcie brzytw postać rozcinała gardło nagiej młodej kobiety. Diaboliczne oczy potwora lśniły jak pancerz karalucha.

– Oto kim się stał mój ojciec – powiedział Jean-Luc Traskman. – Człowiekiem, który po zamknięciu matki oddał się w posiadanie własnym demonom.

Za innymi drzwiami zobaczył równie szokujący obraz: nijaka istota o długich, giętkich ramionach wbijała kołek w czoło starca. W tle znajdował się czarny łabędź unoszący się na chmurach.

– Miał obsesję na punkcie morderstwa, pod wszelkimi postaciami. Jest wszechobecne w jego utworach i w tym domu. Gwałtowna i tajemnicza śmierć bliźniego, ten krótki moment, kiedy człowiek łamie piąte przykazanie, to był motor jego twórczości.

Paul przypomniał sobie wywiad z Traskmanem: „Gdybym nie napisał moich historii, prawdopodobnie zostałbym kryminalistą”.

– Chciał, żeby ten dom był podobny do niego – ciągnął syn. – Z zewnątrz wygląda klasycznie, bez zarzutu, jest solidnie zakorzeniony w krajobrazie wydm.

Ale w środku... w środku jest ciemność. Tak naprawdę nie znajduje się pan w jego domu, ale w tym, co miał w głowie przed samobójstwem.

Ruszyli wąskim korytarzem po podłodze z czarnego betonu. Tutaj także mijali drzwi, po obu stronach, w rozmaitych kształtach, z wymalowanymi gigantycznymi okładkami książek. Paul pomyślał o mrocznym hotelowym korytarzu w stylu *Lśnienia*, a następnie zrozumiał słowa Jean-Luca Traskmana: oto zanurza się w pokręconym umyśle powieściopisarza. Miał wrażenie, że autor horrorów z brodą przyciętą w sierp, w dużych przyciemnianych okularach, może wyskoczyć nie wiadomo skąd i zacząć go dusić.

Przesunął wzrokiem po drzwiach z okładką *Senones* i wszedł przez *Twarze w lustrze*. Znaleźli się w pokoju bez okna. Wyżłobione w ścianach nisze wypełnione dziwnymi przedmiotami, obłe komody, które wyglądały jak odlane z plastiku, wymyślna sofa i dziwaczna biblioteczka: wbrew prawu grawitacji znajdowała się na suficie, wypełniały ją setki książek, które powinny spaść, a tymczasem grzecznie wisiały na miejscach.

– Są przyklejone albo przykręcone, nie wiem, jak się trzymają. Ale oczywiście nie można ich czytać. Przyzna pan, efekt robi wrażenie.

Paul nic nie powiedział, paraliżowała go myśl, że mebel mógłby spaść i go zmiażdżyć. Odsunął się i spojrzał na wciąż otaczające ich liczne drzwi. Ile spośród nich było atrapami? Ile prowadziło donikąd?

– Mój ojciec przerabiał dom od dwa tysiące trzeciego do dwa tysiące czwartego. Zatrudnił jednego z najlepszych artystów z północnej części Paryża oraz kilkudziesięciu rzemieślników i artystów, którzy z czasem przekształcili czterystumetrową willę w prawdziwy labirynt. Miał bzika na punkcie logiki, iluzji, skomplikowanych mechanizmów. Przekładnie fascynowały go tak samo jak magia.

Skierował się ku entym drzwiom i znowu zobaczył korytarz z mnóstwem drzwi, zakrętów pod kątem prostym, zawrotek. Na ścianach obłąkane rysunki, ponaklejane kartki z gazet, rozmaitości, emocjonujące tytuły w stylu: *Ośmioletnia dziewczynka utonęła w wąwozie Verdon* czy *Zderzenie samochodu osobowego z ciężarówką w Villepinte: dwie osoby ranne*. Setki, tysiące zachodzących na siebie artykułów. W tej niesamowitej galaktyce niektóre zdania podkreślono markerem – okoliczności, w jakich odkryto ciała, opisy scen zbrodni, ślady znalezione przez kryminalnych. Paul był pewien, że gdyby pogrzebał, trafiłby na artykuły o zaginięciu Julie.

Zeszli i weszli po trzech kompletnie bezużytecznych stopniach prowadzących na ten sam poziom. Paul czuł się zagubiony. Bez trudu wyobraził sobie popłoch, w jaki wpadł David Esquimet po wtargnięciu w tę obłąkaną przestrzeń. Syn Traskmana zatrzymał się pośrodku korytarza wytapetowanego czarno-białymi

i kolorowymi zdjęciami. Zdawał się czegoś szukać, zawahał się, zawrócił, a następnie wskazał na połąć ściany.

– Tutaj.

Mężczyzna o otwartych ustach, z dolną wargą zmiądzoną na stole sekcyjnym. Miał złamane kły i siekacze. Po lewej stronie twarzy elegancko udrapowano niebieskie prześcieradła, tak aby stworzyć atmosferę zażyłości między widzem a obiektem.

– Podobne do zdjęć, które mi pan pokazywał, prawda?

Paul uważnie przyjrzał się fotografii. Nie było jej w albumie, który znaleźli u Esquimeta, ale emanowało z niej to samo zacięcie. Potoczył wzrokiem po ścianie. Inne zdjęcia zmarłych – część z nich stanowiły oczywiste ofiary nagłych wypadków – wymieszane z absolutnie obrzydliwymi ujęciami: fakir z długimi igłami powbijanymi w policzki, pies powieszony na sznurku, kilkadziesiąt kurzych łapek usiłujących się wbić w dolną część krucyfiksu, ludzkie monstra: osoby bez kończyn, bliźnięta syjamskie, giganci, liliput w cylindrze siedzący na trąbie słonia.

– Pamiętam, że było więcej fotografii – stwierdził Traskman. – Niektóre zostały zdjęte. Niech pan spojrzy, tutaj i tutaj ściana jest odsłonięta, widać ślady kleju. Wszystko jasne: ma pan odpowiedź.

Miał rację. Ale dlaczego Esquimet je zabrał? Z powodu swojego zamiłowania do śmierci? Czyżby miał ochotę stworzyć własną kolekcję? Żandarm uważnie przyjrzał się pozostałym fotografiom. Kończyny, żołądki, plecy uwiecznione na błyszczącym papierze, zawsze w przybliżeniu.

– Skoro, jak mi pan powiedział, to nie pański ojciec jest autorem tych zdjęć, to kto?

– Nie wiem, nawet nie jestem w stanie panu powiedzieć, czy to jest robota tego samego artysty. Zważywszy na temat, pachnie transgresją, czyli sztuką współczesną. Mój ojciec był jej wielkim miłośnikiem, zamawiał obiekty i zdjęcia, które widział w muzeach i galeriach. Są wszędzie w tym domu, pochodzą z całego świata.

Paul zrobił kilka ujęć telefonem. Ruszyli dalej i dotarli do gabinetu. Żandarm czuł się tu jak na wystawie dokumentującej historię kryminalistyki: stare, pożółkłe czaszki poukładane na półkach, imponujący szkielet anatomiczny oznaczony czarnymi symbolami i cyframi, plakaty z pomiarami antropometrycznymi na ścianie: twarze kryminalistów z początków dwudziestego wieku, którym, by ocenić ich skłonność do popełniania przestępstw, zmierzono rozstaw oczu, długość nosa, wysokość czoła.

Na lewo od innej biblioteczki, tym razem stojącej pionowo i dostępnej, wyeksponowano starożytnie narzędzie tortur: masywne krzesło najeżone

metalowymi kolcami, z szerokimi pasami do mocowania nadgarstków i kostek. Było zakurzone, zachowane w oryginalnym stanie, ale polakierowane, jakby ktoś chciał upiększyć to potworne urządzenie. Paul próbował się pocieszyć, mówiąc sobie, że nie było używane, przynajmniej w ostatnich latach.

Jean-Luc Traskman, stojący za jego plecami, jakby czytał w jego myślach.

– To krzesło zawsze tutaj było, jak daleko sięgam pamięcią. Nawet kiedy ta willa wyglądała jeszcze normalnie, bałem się tutaj przychodzić. Widział pan te twarze przestępców? Pochodzą z czasów Bertillona, jednego z założycieli kryminalistyki. A to... – Wskazał na rząd ohydnych laleczek z juty, gazy, plastra, o ciałach powiązanych nicią i mrocznych, jakby wydrażonych oczodołach, ubrudzonych jakąś ciemną substancją organiczną: ziemią, błotem, kredą. –

Zaczął je produkować, kiedy byłem dzieckiem. „Laleczki-trupy”, tak je nazywał. Dlaczego je robił? Nie mam pojęcia. Pewnie dlatego, że już wtedy miał nierówno pod sufitem. Nie znosiłem tego pokoju. Byłem przekonany, że te lalki w nocy się przemieszczają i wszystkiego dotykają. Oczywiście ojciec nie robił nic, żeby mnie uspokoić, przeciwnie. Opowiada o tym w jednej ze swoich pierwszych książek, w *Duchach piasku*.

– Mówi pan o nim jak o zimnym osobniku pozbawionym uczuć.

– Bo taki był. Bardziej by się mną interesował, gdybym był martwy. Podam panu prosty przykład: moja matka zawsze mówiła, że chce być pochowana na cmentarzu. Była praktykującą katoliczką i co niedziela chodziła na mszę. Ojciec ją skremował, a potem dowiedziałem się, że badał jej prochy. Sprawdzał, czy da się ustalić, że pochodzą od człowieka. Tego dnia go znienawidziłem.

Co za kanalia z tego Traskmana! Jak można sprzeciwić się ostatniej woli własnej żony tylko po to, żeby zaspokoić własną ciekawość? Paul poczuł dreszcz. To miejsce, w którym nie było ani jednego zdjęcia pisarza, ani jednej rodzinnej pamiątki, wydało mu się jeszcze zimniejsze. Jaki właściwie był Caleb Traskman?

Biurko było duże i majestatyczne, prawdopodobnie wykonane ze szlachetnego drewna. Na blacie panował nieskazitelny porządek: pliki czystych kartek, długopisy w stojakach, stary globus i lampka, której klosz wyglądał na zrobiony ze skorupy żółwia. Traskman wyjął z biblioteczki rząd książek i oczom Paula ukazał się ukryty za nimi uchylony sejf.

– To tutaj leżał *Niedokończony rękopis* i listy.

Paul podszedł bliżej. Sejf był pusty. Na półkach biblioteczki stały podręczniki z zakresu medycyny, anatomii, kryminalistyki, chemii organicznej, kompendia wiedzy o dziwolągach, o filmach grozy, zbiory kronik kryminalnych. Cały dział poświęcony był sztuce, malarstwu – wystarczyło spojrzeć na okładki, by stwierdzić, że chodzi wyłącznie o tematykę związaną ze śmiercią.

Paul odwrócił się do swojego rozmówcy. Wyświetlił na ekranie smartfona zdjęcie obrazu Julie i Mathilde.

– Czy nazwisko Arvel Gaeca albo Henri Chmielnik coś panu mówi? To belgijski artysta. Malował wychudzone twarze w tym stylu.

Traskman pokręcił głową.

– Przykro mi.

Mężczyzna stał przy okrągłym oknie. Blask latarni przelotnie rozjaśniał jego twarz, ale oczy pozostawały w cieniu.

– Ale dam panu to, czego pan szuka. Coś, co od lat nie daje mi spokoju, coś więcej, znacznie więcej niż zwykle zdjęcia nieboszczyków wiszące na ścianach.

Pascal Croisille, biznesmen, o którym wspomniała wdowa, został multimilionerem dzięki masowym inwestycjom w centra handlowe, a pod koniec lat osiemdziesiątych – we francuskie winnice. Miał ponad siedemdziesiąt pięć lat i wyglądało na to, że wciąż nie przeszedł na emeryturę. W wyszukiwarce jego nazwisko nigdy nie występowało obok nazwiska Chmielnika.

W esemesie wysłanym do Paula Gabriel nie wspomniał, że zamierza złożyć nocną wizytę przedsiębiorcy i wpaść do Sodebinu. Nie było mowy, by oficjalne procedury miały go spowolnić. Chciał działać sam, żeby nikt nie rzucał mu kłód pod nogi.

Dom Croisille'a, znajdujący się na wsi niedaleko Brukseli – odsunięty od ulicy, bez sąsiedztwa, oświetlony latarniami gazowymi rozszanymi w przestronnym ogrodzie – wyglądał skromniej niż posiadłość malarza, choć był równie duży. Tego wieczoru przedsiębiorca najwyraźniej miał gości: w alejce stały dwa porsche, audi i bentley szeroki jak morski statek.

Gabriel zaparkował pod murkiem, w centrum miejscowości, i ruszył wprost do drzwi, nie siląc się nawet na to, by obciągnąć skórzaną kurtkę. Miał świadomość, że z twarzą sponiewieraną zmęczeniem wygląda niezbyt atrakcyjnie, jak menel, ale niewiele go to obchodziło. Po wielu dzwonek otworzył mu wreszcie Croisille we własnej osobie, z papierosem w kąciku ust. Garnitur, krawat, siwe włosy zaczesane do tyłu na żel, opalona cera kuracjusza. Zlustrował go lśnięcymi oczami.

– Kim pan jest?

– Ojcem, który szuka swojej córki. Chciałbym z panem porozmawiać o Henrim Chmielniku.

Gospodarz zmarszczył krzaczaste brwi.

– O Chmielniku? Chmielnik nie żyje, o ile się nie mylę. Widział pan, która jest godzina? Radzę panu spadać z mojego terenu.

– Spotykał się pan z nim?

Mężczyzna cofnął się, by zamknąć drzwi, ale przybysz, nie bawiąc się w uprzejmości, odepchnął drewniane skrzydło. Kiedy wszedł do środka, zobaczył, że Croisille zbladł, jakby wysypał sobie na głowę torbę mąki. Gabriel o ponad dwadzieścia centymetrów przewyższał chudzielca o ptasiej szyi, kościstych rękach i oczach czarnych jak ropa. Z tyłu, w salonie, wokół pokerowego stolika siedziało w chmurze dymu trzech równie siwych gości.

– Niech pan stąd spada albo wezwę policję – powtórzył gospodarz.

Gabriel podsunął mu pod nos swój telefon ze zdjęciem obrazu Julie i Mathilde.

– Poznaje pan?

Croisille zerknął na swoich kumpli. Jeden z dziadków wstał.

– Dzwon po policję.

Gabriel był teraz o dwa kroki od pokoju. Groźnie wyciągnął w stronę Croisille’a palec wskazujący.

– Niech pan to zrobi, a rozwałę panu głowę o te żetony. Siadaj pan. Jeśli nie będzie pan robił głupstw, za parę minut pan o mnie zapomni.

Gabriel poszedł na całość – i zadziałało. Stary go posłuchał, a pozostali nawet nie mrugnęli okiem.

– Więc co z tym obrazem?

– Nic mi to nie mówi – odpowiedział chłodno Croisille. – Czego pan, do cholery, chce?

– Zobaczyć obraz, który Arvel Gaeca powiesił w pańskim gabinecie.

Prawa powieka Croisille’a zaczęła nerwowo drgać.

– Dlaczego? Co jest nie tak z tym obrazem?

– Nie wie pan?

Pokręcił głową na znak, że nie rozumie. Gabriel poczuł, że jego czoło robi się mokre od potu, zaczął go ogarniać demon złości. Musiał wyglądać przerażająco, ponieważ Croisille nakazał swoim gościom, by zachowali spokój, dając im do zrozumienia, że chodzi o jakieś nieporozumienie, które zostanie szybko rozwiązane. Gabriel ruszył za nim przez wielkie pomieszczenie o wysokim rzeźbionym sklepieniu i ścianach ozdobionych płótnami mistrzów. Przeszli do gabinetu urządzonego w ciężkim stylu, przeładowanego najrozmaitszymi przedmiotami: statuetkami, maskami, narzędziami astronomicznymi. Croisille wskazał na ścianę na prawo od biblioteczki.

– Tutaj pan ma swój obraz.

Płótno wisiało na wysokości człowieka, pięknie podkreślone przez dwa łagodne reflektory. Była to twarz młodego, mniej więcej dwudziestoletniego mężczyzny o okrągłych z przerażenia oczach. Część jego podbródka i prawy policzek były pozbawione skóry. Szyja z czerwonawą siecią ścięgien i mięśni

wyglądała, jakby zaczął ją trawić jakiś enzym. Gabriel go nie rozpoznał, nie widział go w żadnych kronikach osób zaginionych, ale to nic nie znaczyło. Na drugim planie znowu korzenie drzew zwisające ze sklepienia i kamienne ściany. Podszedł bliżej i pogłodził obraz. Był podpisany: „A.G.”. Poskrobał. Croisille za jego plecami zaprotestował. Gabriel podstawiał mu pod nos palce, w których roztarł zdrapany materiał.

– Rozpoznaje pan tę fakturę? Ten zapach?

– Niech pan przestanie! Co to...

Były żandarm chwycił go za koszulę.

– Co pan wie o tym obrazie? Czyja to twarz? – rzucił zniecierpliwiony.

Głowa starucha wystająca znad ściśniętego kołnierzyka wyglądała, jakby zaraz miała wyskoczyć jak korek szampana.

– Jezu, nie wiem. Robiliśmy interesy z Chmielnikiem lata temu. Był potężnym biznesmenem, ceniłem go. Zostaliśmy w kontakcie, dwa czy trzy razy do roku spotykaliśmy się na kolacji. Któregoś dnia wyznał mi, że jest też malarzem, i podarował mi ten obraz. To wszystko.

Gabriel puścił go gwałtownym ruchem.

– Podarował go panu. Nie wybrał go pan? Nie kupił? Ot tak przyszedł i go panu podarował?

– Dokładnie tak. To był prezent.

Gabriel miał ochotę roztrzaskać mu głowę. Chmielnik nie żyje, Croisille nie zamierza mówić. Chyba że rzeczywiście nic nie wie. Może biznesmen czerpał perwersyjną przyjemność z rozdawania portretów porwanych osób swoim bogatym znajomym? Podszedł do biurka, odsunął skórzany fotel i usiadł w nim. Wskazał na wiszący trzy metry dalej obraz.

– Podoba mi się to oświetlenie. Cholernie ładne rozwiązanie jak dla obrazu, którego pan nawet nie wybrał. I nie bardzo współgra z resztą wystroju, nie? Miedziane lunety, hebanowe figurki. Dlaczego nie wcisnął pan tego szkaradztwa w jakiś kąt? Co takiego wyjątkowego pan w nim zobaczył, że je pan powiesił dokładnie naprzeciwko siebie?

– Najwyraźniej umykają panu subtelności sztuki. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, nie rozumiem, czego pan chce.

Gabriel wstał i podszedł do niego zdecydowanym krokiem.

– Przeciwnie, sądzę, że doskonale pan wie, czego chcę. Widzi pan, to jest moja córka – wyjaśnił, znowu pokazując mu wyświetlacz telefonu. – Moja córka, która zaginęła ósmego marca dwa tysiące ósmego roku. Tę drugą dziewczynę spotkało to samo, tyle że w dwa tysiące jedenastym. Jej matka jest na dnie, o krok od samobójstwa. – Podsunął Chmielnikowi smartfon pod oczy, prawie miażdżąc mu nos. – Pieprzony perwers Chmielnik, z którym spędzał pan

czas, namalował ten obraz ich krwią. Ich krwią, kuma pan? To samo zrobił z tym chłopakiem, na którego na pewno gapi się pan każdego dnia przez wiele minut. Z chłopakiem, którego jacyś dranie zabrali rodzicom. – Gabriel coraz bardziej dociskał Croisille’a do biblioteczki. – W kogo się pan bawi, kiedy jest pan sam w tym pokoju? Wali pan konia? Fantazjuje pan na temat tragicznego losu tych dzieciaków? Czuje się pan wszechmocny, bo w pewien sposób posiada pan tego chłopaka? Pan wie... Kurwa, niech mi pan powie, co Chmielnik im zrobił. Gdzie oni są?

Biznesmen gwałtownie pokręcił głową.

– Pan jest stuknięty – szepnął. – Kompletnie stuknięty.

Za plecami Gabriela rozległ się niepewny głos:

– Zadzwońmę po policję. Są w drodze.

W drzwiach stał jeden ze staruchów, opierając się drżącą ręką o futrynę. Gabriel rzucił Croisille’owi ostatnie mordercze spojrzenie i podszedł do obrazu, by go zdjąć. Żaden z mężczyzn nie próbował stanąć mu na drodze. Natręt, który zepsuł im spotkanie, był jak rozszalały byk na arenie.

– Wkrótce wyląduję pan w pierdłu – ostrzegł gospodarza Gabriel. – Będzie pan za to płacił do końca swoich dni, pan i cała reszta bogatych wyskrobków pańskiego pokroju.

Z obrazem pod pachą rzucił jeszcze okiem na bibliotekę: same skórzane okładki, żadnej książki Caleba Traskmana. Przeciął salon i zniknął równie szybko, jak się tu pojawił. Nikt go nie gonił.

Okrągłe okno niczym bulaj, Traskman wpatrujący się w mrok. Snop światła latarni regularnie wydobywający z ciemności łagodne garby wydm.

– Po śmierci ojca chciałem zrozumieć sposób, w jaki urządzony jest ten dom. Choćby przychodziło się tu setki razy, jego architektura pozostaje zagadką. Ale nigdy nie udało mi się zdobyć planów. Po dokumentach nie ma śladu. Próbowałem się nawet skontaktować z architektem, ale wyjechał do Nowego Jorku i nie odpowiadał na moje prośby. Moim zdaniem dostał przykaz, żeby milczeć, i tak to załatwił, że cała dokumentacja zniknęła.

Jean-Luc Traskman włożył słabego, cienkiego papierosa do lufki i zapalił. Dookoła rozszedł się nieśmiały zapach angielskiego tytoniu.

– Sprowadziłem więc swojego architekta i swojego mierniczego. Zrobienie rysunku dwustu metrów korytarza i czterystu czterdzieściora czworga drzwi zajęło kilka tygodni. Tutaj na parterze jest tylko salon, kuchnia, toaleta i ten gabinet, wszystko to razem zajmuje zaledwie sześćdziesiąt pięć metrów kwadratowych. Śmieszna powierzchnia, kiedy spojrzeć na wymiary całego budynku. Mój ojciec zlikwidował wszystkie pozostałe oryginalne pokoje i zamurował większość okien, żeby puścić tędy ten labirynt. I choć wszystkie drzwi są identyczne, tylko, ekhm, czterdzieścioro czworo prowadzi do innych korytarzy albo do tych czterech pomieszczeń.

Te liczby przyprawiały o zawrót głowy i utwierdzały Paula w jego wyobrazeniach na temat Traskmana. Zaburzony, niebezpieczny człowiek, którego logiki nie rozumiał.

– Ale nie to było najbardziej niepokojące. Dom jest jednopiętrowy, nie ma piwnicy ani strychu. Jego powierzchnia mierzona z zewnątrz na poziomie gruntu to równo dwieście osiem metrów kwadratowych. Jeśli próbować wyliczyć powierzchnię wnętrza, uwzględniając grubość murów i ścian, na piętrze otrzymujemy również dwieście osiem metrów kwadratowych, to się zgadza. Ale powierzchnia parteru to tylko sto osiemdziesiąt dziewięć metrów kwadratowych.

Specjaliści wiele razy powtarzali pomiary i obliczenia: zawsze brakowało dziewiętnastu metrów kwadratowych.

Światło latarni morskiej przesunęło się po twarzy Paula, odsłaniając ciemne wory pod jego oczami.

– Jak pan to wyjaśni?

Zamiast odpowiedzieć, Traskman poprosił, by żandarm poszedł za nim. Weszli w głąb dziwnego domostwa o ścianach pokrytych graffiti, o skomplikowanych korytarzach, które to skręcały, raz w prawo, raz w lewo, to zwracały. W labiryncie rozbrzmiewał głos Traskmana, którego Paul chwilami tracił z oczu.

– Mój ojciec zawsze był bardzo płodnym pisarzem. Do śmierci wydał szesnaście powieści, niezliczoną ilość opowiadań, był scenarzystą kilkudziesięciu projektów dla telewizji. Nigdy nie pisał tak dużo jak pod koniec życia. Coraz bardziej skomplikowane, coraz grubsze książki, jakby miał potrzebę nieustannego tworzenia. Niektórzy, oddając się takiej wybujałej twórczości, rozkwitają, inni przeciwnie, zapadają się w otchłań, ponieważ sztuka ich przytłacza, bierze w posiadanie i unicestwia. To był jego przypadek. Czy pan wie, że wśród artystów jest trzy razy więcej samobójstw niż w reszcie populacji? Rozdarci wewnętrzne, eksplodują w locie. Piją, ćpają, niszczą swoje rodziny, okaleczają siebie i innych. Mój ojciec, jak wielu do niego podobnych, upadł do tego stopnia, że odebrał sobie życie. Nie będę panu opowiadał, jakie miny mieli policjanci, którzy weszli do willi w ramach rutynowego śledztwa.

Przez chwilę wydawało się, że sam się zgubił. Zawrócił i ruszył inną drogą. Wreszcie zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Gdy je otworzył, oczom Paula ukazało się ponure malowidło: dokładna replika xiphopagusa narysowanego w zeszycie Julie. Stuknął pięścią w dwa różne miejsca na ścianie.

– Słyszysz pan różnicę? – zapytał Traskman.

– Brzmi, jakby tam było pusto – stwierdził Paul.

– Sekretne przejście. Jedyne w całym domu.

Jean-Luc Traskman wcisnął palec wskazujący do lewego ucha postaci o złowrogim obliczu. Rozległo się lekkie kliknięcie i ścianka się odsunęła; w tej samej chwili zapaliła się żarówka. Przestrzeń była bardzo ciasna – miała zaledwie czterdzieści centymetrów szerokości – a ściany nie były równoległe i zbliżały się do siebie, w miarę jak posuwali się naprzód. Trzy metry dalej na haczyku wbitym w ścianę wisiał jakiś klucz. Traskman włożył go do zamka w ciężkich drewnianych drzwiach.

Znaleźli się w sali w kształcie litery „T”, która była jak klocek tetrisa, doskonale wpisujący się w architekturę budynku. Ściany pokrywała czarna pianka z wgłębieniami. Przytulne gniazdko do życia, sympatyczny loft

składający się z kąpka sypialnego, łazienki oraz salonu z fotelem, telewizorem i dobrze zaopatrzoną biblioteczką. W aneksie kuchennym, pozbawionym urządzeń do gotowania, stały wyłączona z kontaktu lodówka i puste koszyki. Paul, oszołomiony, obrócił się wokół własnej osi. Czuł potrzebę, by się o coś oprzeć.

– Julie była tutaj zamknięta – szepnął.

Na stole leżała rozłożona szachownica z rozpoczętą partią. Jean-Luc Traskman skrzyżował ramiona na piersi: on też nagle poczuł chłód.

– Kiedy odkryliśmy to miejsce, był ze mną mój architekt. Niczego tutaj nie dotykałem. Lodówka była pusta, łóżko zaścielone, wyglądało jak nowe. Żaden przedmiot, żaden ślad na ścianie nie wskazywał, że ktoś mógł być tu przetrzymywany. – Spojrzał na Paula szczerym, uroczystym wzrokiem, jakby chciał podkreślić swoją uczciwość. – To miejsce spokojnie mogło być jakimś bezużytecznym wymysłem mojego ojca. A może zamykał się tu sam? Może to był jego sposób na odosobnienie, na totalne odcięcie się od świata. Minotaur w swoim labiryncie, rozumie pan. – Wskazał na szachy. – Nic też nie stoi na przeszkodzie, żeby grać samemu ze sobą. Białe przeciwko czarnym. Zło przeciw dobru. Xiphopagus.

Po tych słowach, jakby nagle wyczerpany, usiadł w fotelu, rozwinął kartki, które wciąż trzymał w dłoni, i zatopił w nich wzrok. Paul pozwolił, by otuliła ich cisza, i z uwagą przyglądał się pomieszczeniu. Jakieś piętnaście metrów kwadratowych, bez okien, bez możliwości ucieczki. Bez nadziei. Nie śmiał sobie nawet wyobrazić, jakie było życie Julie w tych murach. Jak długo Caleb Traskman przetrzymywał ją w tym strasliwym labiryncie? Była tu sama czy w towarzystwie Mathilde? Czy w ogóle miała okazję zobaczyć światło dzienne, poczuć zapach morza? I to odwieczne pytanie: gdzie jest teraz?

Jakie to szczęście, że nie ma tu Gabriela, bo pewnie wpadłby w obłęd i rzucił się na syna pisarza, żeby go udusić. Paul odwrócił się do mężczyzny, ledwie powstrzymując wściekłość.

– Powinien był pan o tym powiedzieć policjantom. I dać im listy z pogrózkami. Pobraliby próbki DNA, które na pewno uruchomiłyby alarm w bazach danych i pozwoliły na powiązanie śmierci pańskiego ojca z naszą sprawą. A pan wolał milczeć, obawiając się tego, co moglibyśmy odkryć. Ale rozumiem, książki pana ojca ciągle się sprzedają, i to o wiele lepiej niż pańskie. Nie kocha go pan, ale kocha pan pieniądze, które panu przynosi.

Jean-Luc Traskman spojrzał na szachownicę. Automatycznie wykonał zagranie. A potem zamarł w bezruchu, trzymając się za głowę.

– I co teraz będzie?

– Zrobimy to, co powinniśmy zrobić od początku. Zadamy panu wszystkie niezbędne pytania i przeszukamy dom tego szaleńca. W tym miejscu była więziona co najmniej jedna młoda kobieta. I ona gdzieś jest, z pewnością od dawna martwa. Jeżeli się okaże, że aby znaleźć jej ciało, trzeba będzie zrównać tę chałupę z ziemią, zapewniam pana, że to zrobimy.

W deszczu, nie robiąc przystanków, Gabriel coraz bardziej zagłębiał się w belgijską wieś. Niedaleko Mons, rzut kamieniem od granicy z Francją, zjechał w sieć podrzędnych dróg – nieoświetlonych, zagubionych w ciemności. Rozpadało się pół godziny po tym, jak opuścił dom Pascala Croisille’a. Twarde jak grad krople, które rozbijały się o samochód, mimo pracujących pełną parą wycieraczek zmuszały do wzmożonej koncentracji. Gabriel zdał się na wskazania GPS-u. Na ramionach ciążyło mu bolesne napięcie, raz po raz czuł strzykanie w karku, ale w jego wnętrzu płonął ogień. Później będzie miał czas na odpoczynek.

Wciąż był pod wrażeniem odkryć z ostatnich godzin. Zauważył, że im dalej posuwa się naprzód, tym więcej rodzi się pytań. Co naprawdę łączyło Caleba Traskmana z Henrim Chmielnikiem? Wyglądało na to, że obaj artyści szczególnie gustowali w makabrycznych tematach. Ale o co dokładnie chodziło? Czy Croisille wiedział, skąd naprawdę pochodził obraz będący w jego posiadaniu? Gabriel odbijał się od ścian. Upływ czasu działał na jego niekorzyść. Czuł, że zwariuje.

Syntetyczny głos w GPS-ie kazał mu skrócić w lewo, w drogę, którą mężczyzna zauważył w ostatniej chwili. Kilometr dalej w świetle samochodowych reflektorów ukazało się wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego. Ciągnęło się po obu stronach rozsuwanej bramy, zabezpieczonej od góry płataniną szpikulców i ostrzy, które w oczywisty sposób miały odstraszać ciekawskich. Tablica z symbolami groźnych substancji chemicznych głosiła: „Teren niebezpieczny, zamknięty, pod nadzorem/Własność prywatna/Wstęp kategorycznie wzbroniony, nadużycie będzie karane”.

Gabriel zatrzymał samochód na ślepej drodze i włączył długie światła. Nic nie widział z powodu strumieni wody, ale zdawał sobie sprawę, że znajduje się na pustkowiu, a raczej wśród pól. Horyzont był czarny, od najbliższych zabudowań

musiało go dzielić jakieś dziesięć kilometrów. Żadnych oznak ludzkiej obecności. Anarchicznie wybujała roślinność przebijała się nawet przez asfalt.

Zasunął do końca zamek kurtki i wyszedł naprzeciw chaosowi. Próbował otworzyć bramę, ale była zamknięta na potężną kłódkę w kształcie litery „U”. Obejrzał ją dokładnie i stwierdził, że w przeciwieństwie do skobli czy drutu kolczastego nie ma na niej śladów rdzy. Po drugiej stronie dostrzegał ledwie widoczne serpentyny rur i potężną czarną bryłę magazynu.

Ruszył w prawo wzdłuż ogrodzenia. Brodził w błocie, a po policzkach ciekły mu strugi wody. Co on tutaj robi? Dał się ponieść emocjom, przecież treść zeszytu pochodziła sprzed ponad dwunastu lat. Nie ma nic do szukania w tym starym, opuszczonym miejscu.

Szedł jednak dalej, pchany niewytłumaczalną siłą. Miał nadzieję, że znajdzie jakąś przerwę, miejsce, w którym stalowa siatka będzie osłabiona, dziurawa – na próżno. Przejście przez płot nie wchodziło w grę: drut kolczasty miał podwójne ostrza – blaszki, które mogą przeciąć żyłę, jak w bazach wojskowych – i był umieszczony w grubych zwojach dwa metry nad jego głową. Wrócił więc do mercedesa, wyjął z bagażnika lewarek i zaczął nim walić w kłódkę jak opętany. Wibracje wywołane uderzeniami czuł aż w kręgosłupie.

Myślał, że nigdy nie skończy, ale po kilku minutach podkowa wreszcie pękła. Miał poobcierane obie dłonie. Pozwolił, by obmył je kojący deszcz, poszedł wyłączyć światła i wszedł na teren składu. Minął opuszczoną budkę wartowniczą, prześlizgnął się obok wysokiego na kilka metrów okrągłego pojemnika. Dalej zobaczył cztery pionowe cylindry, przypominające gotowe do wystrzelenia pociski. Wijące się rury, drabiny wspinające się w ciemności po stalowych ścianach, na zbiornikach kolorowe, prawie nieczytelne etykiety. Symbole chemiczne, zakazy. Z pewnością wszystko zostało opróżnione, wyczyszczone, wyszorowane do ostatniej cząsteczki.

Gabriel nie wiedział, czego właściwie szuka. Przeszedł między dwiema szarymi cysternami umocowanymi poziomo na betonowych cokółach i ruszył w kierunku magazynu znajdującego się jakieś dwadzieścia metrów od niby-pocisków. Obok stalowych drzwi piętrzyły się góry beczek. A na samych drzwiach – kłódkę w kształcie litery „U”, identyczna z tą na bramie wjazdowej. Nie było sposobu, by się dostać do środka, nawet po rampie rozładunkowej, której metalowa kurtyna została zaspawana. Gabriel był przemoczony, bolały go mięśnie, a jego morale pełzało po ziemi.

A jednak wykrzesał z siebie siłę i znowu zaczął walić w żelazo. Aby się zmotywować, mówił sobie, że wszystkie te przeciwności miały tylko go zniechęcić, uniemożliwić mu osiągnięcie celu. Ale jakiego celu?

Pięć minut później był w środku. Wyczerpany. Zesztywniały z bólu. Jedyny plus był taki, że przynajmniej nie lał już na niego przenikliwie zimny deszcz. Wyjął telefon i uruchomił tryb latarki, która rozbliła żywym światłem. Gdy ruszył przed siebie, w powietrze wzbiły się drobinki złocistego pyłu.

Potoczył wzrokiem po wnętrzu i przyjrzał się ścianom: nie zauważył ani jednej kamery. Najwyraźniej tablica przy wejściu była tylko straszakiem. Rozejrzał się, minął otwarty, pusty kontener stojący na bloczkach i ruszył dalej w czeluście magazynu. Pokonawszy szeroki korytarz, znalazł się w systemie alejek prowadzących wśród komórek o wysokości kilkunastu metrów. Miał wrażenie, jakby wszedł do gigantycznego ula. W prawie wszystkich sześciokątnych wnękach leżały poziomo różnokolorowe beczki. Na pierwszy rzut oka było ich kilkaset.

Przyjrzał się tym, które znajdowały się na wysokości jego wzroku. Na pokrywki nałożono opaski, tak aby nie dało się ich zdjąć. Gabriel popukał w kilka z nich: puste. I całe szczęście, zważywszy na ich pierwotną zawartość. Z etykiet wyczytał, że zielone beczki zawierały amoniak, czerwone – sodę kaustyczną, a żółte – kwas solny. W czarnych natomiast, największych i wykonanych z najgrubszego materiału, przechowywano kwas fluorowodorowy, jeden z najbardziej żrących kwasów. I nie chodziło o rozcieńczoną wersję dostępną w sprzedaży, ale o tysiące litrów kwasu o bardzo wysokim stężeniu.

Czy istnieje lepszy patent na pozbycie się zwłok? Niektóre z tych odczynników mogły rozłożyć ludzkie ciało aż do ostatniej komórki w mniej niż dzień. Nie było więc mowy o pochówku, kremacji czy wrzuceniu nieboszczyka do oceanu. Po prostu usuwano cały organizm z powierzchni ziemi, nie pozostawiając po nim ani miligrama DNA.

I Caleb Traskman o tym wiedział. Zamieszkały zaledwie sto kilometrów stąd pisarz wymienił to miejsce na liście najlepszych sposobów na pozbycie się zwłok. Gabriel poczuł, że robi mu się niedobrze. To niemożliwe, żeby Julie trafiła w to miejsce i została... – nie śmiał wypowiedzieć w myśli tego słowa, które wbrew jego woli stuknęło do drzwi jego świadomości – ...rozpuszczona.

Idąc ostrożnie dalej – z tym potwornym słowem wyrytym w mózgu – Gabriel przysiągł sobie, że wytropi aż do ostatniego tych, którzy w jakimkolwiek stopniu przyczynili się do cierpień jego córki. Żałował, że Chmielnik i Traskman nigdy nie zapłacą za swoje zbrodnie, że odeszli z tego świata i zabrali swoje tajemnice do grobu.

W innej alejce pełnej wnek snop światła latarki padł na wózek widłowy, porzucony na samym środku, jakby jego operator nagle się ulotnił. Widły były opuszczone na podłogę. Gabriel podszedł bliżej. Skoro magazyn nie jest używany, dlaczego ta maszyna ciągle tutaj stoi? Przesunął palcami po siodełku operatora i stwierdził, że nie jest zakurzone. Wszystko wskazywało na to, że korzystano z niego niedawno.

Napięcie wzrosło, a on stał nieruchomo, wstrzymując oddech. Od chwili gdy wjechał na ulice Brukseli, wyczuwał czające się niebezpieczeństwo. Deszcz miarowo bębnił w dach. Beczki, alejki, zastygłe w bezruchu wewnątrz w końcu go jednak uspokoiły. Oczywiście, że nikogo tu nie ma. Nie zauważył żadnego samochodu, magazyn był zamknięty od zewnątrz, a jadąc tutaj, Gabriel wielokrotnie patrzył we wsteczne lusterko. Nikt nie mógłby niezauważony śledzić go na wiejskich drogach.

Jeszcze raz spojrzął na urządzenie, a następnie podniósł wzrok na sufit. Jak okiem sięgnąć pojemniki, w których kiedyś przechowywano skrajnie niebezpieczne substancje. Idąc dalej, stukał w kolejne plastikowe kanistry. Bang, bang. Puste. Wszystkie były puste. Więc po kiego grzyba ten wózek?

„Zakopanie, spalenie, rzucenie na pożarcie świniom, Sodebin”.

Doszedłszy na drugi koniec budynku, rozsunał kurtynę z plastikowych listewek i znalazł się na pomoście części przeładunkowej, której zamknięte drzwi widział z zewnątrz. To tutaj zabezpieczone ciężarówki przywoziły beczki i stąd je odbierały. Z sufitu opadały łańcuchy z dużymi hakami; wciągarki, kołowrotki i zaciski hydrauliczne do chwytania towarów wisiły w powietrzu jak

narzędzia diabła. Po prawej stała wielka, pusta cylindryczna kadź z pleksi o wysokości może dwóch i pół metra, z zaworem na poziomie klatki piersiowej. Gabriel zauważył też liny, dziesiątki kanistrów; w kącie, obok przesuwnych drzwi, w blasku latarki zalśniły dwie czarne plandeki.

Kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że to nie plandeki, ale worki na zwłoki. Dwie plastikowe torby, jedna przy drugiej, do samej góry zamknięte na suwak. Ich kształt i grubość nie pozostawiały żadnych wątpliwości: w środku były ciała.

Ukląkł w geście niemal religijnym. Czuł się jak wyczerpany wędrowiec, który wreszcie dotarł do kresu drogi, świadom, że powrót będzie jeszcze trudniejszy i boleśniesz. W nozdrza uderzyła go woń jakiegoś szpitalnego antyseptyku, jakby siedemdziesięcioprocentowego alkoholu, ale to nie było dokładnie to. Zapach był bardziej cierpki i drapał w płucach. Prawa ręka drżała Gabrielowi tak bardzo, że aby naprowadzić ją na zamek, musiał chwycić nadgarstek lewą dłonią. Dźwięk rozsuwania metalowych zębów był dla niego nie do zniesienia.

Miał przed sobą białe jak kreda ciało kobiety z zamkniętymi oczami, o ogolonej czaszce, brwiach i łonie. Wysokie czoło, wystające kości policzkowe, kwadratowa żuchwa. Ulżyło mu, że nie rozpoznał w niej Julie – na pierwszy rzut oka denatka miała rysy wschodnioeuropejskie. Opuszką palca wskazującego przesunął po jej ramieniu: skóra przypominała plastik. A to oznaczało, że ciało nasączono formaliną. Tak jakby istota, której wiek szacował na około pięćdziesiątkę, została wyjęta z wanny konserwatorskiej.

Ukrywając nos za przemoczoną kurtką, przesunął się w stronę drugiej torby. Nagle wydało mu się, że słyszy szcęk żelaza dochodzący z wnętrza magazynu. Natychmiast wyłączył światło w telefonie, wstał i przyczał się za zasłoną. Alejki z komórkami, długi główny korytarz – wszystko było pogrążone w ciemności. Jego rozszerzone źrenice wypatrywały najmniejszej drobinie światła. Skupił się na rytmie deszczu bębniącego o dach, wstrzymał oddech, nasłuchując nietypowych odgłosów. Nic. Nikogo.

Zachował czujność. Osoba, a może osoby, które zostawiły te zwłoki, na pewno tu wrócą. Po dobrej minucie bez ruchu wrócił do pakunków i rozpiął drugi suwak. Zasłonił usta dłonią. Do zapachu formaliny doszła woń zaczynającego się rozkładu.

Drugie ciało, bardziej uszkodzone, również należało do kobiety. Ona także została ogolona i pozbawiona wyróżniających ją cech. Była podobnego wzrostu i w podobnym przedziale wiekowym jak pierwsza. Nie miała lewej piersi, a w jej miejscu widać było bliznę po mastektomii. Gabriel wycelował w zwłoki swój telefon i sfotografował je z każdej strony. Blask flesza rozjaśnił pomieszczenie, bezwłose twarze wychynęły z ciemności jak przerażające maski i tak zostały

uwiecznione w pamięci urzędzenia. Nie mógł pojąć, dlaczego zwłoki znalazły się w tym miejscu. Skąd się wzięły? Kto je tu zostawił? Co mają wspólnego z jego śledztwem i z Julie?

Błyszczący dach jęknął od nagłego podmuchu wiatru, deszcz chlusnął z taką mocą, że Gabriel miał wrażenie, jakby nad jego głową rozbił się gigantyczny kryształowy puchar. Mężczyzna dygotał w wilgotnej odzieży. Ta pogoda doskonale odzwierciedlała jego uczucia – mieszaninę gniewu, łez i chaosu. Postanowił zadzwonić do Paula. Musiał pilnie zdać mu sprawę z biegu zdarzeń, tym razem niczego nie ukrywając. Nadszedł czas, żeby belgijska policja zainteresowała się tą ponurą sprawą.

Znowu łomot metalu, a potem dreszcz przenikający go od głowy do stóp. Zwiastuny rychłego niebezpieczeństwa. Nie wstając z kolan, obejrzał się za siebie. Zrozumienie, co się dzieje, zajęło mu o ułamek sekundy za dużo: z ciemności wypadł poruszający się po doskonale parabolicznym torze brunatny łańcuch uzbrojony w hak. Kiedy w ostatnim odruchu usiłował zejść z jego pola rażenia, kawał mokrej stali trzasnął go w lewą skroń. Gabriel z impetem poleciał do tyłu, jak bokser uderzony potężnym sierpowym. Ostatnią rzeczą, jaką poczuł, było miękkie ciało jednej z nieboszczyk przyklejone do jego policzka.

Eksploracja terenu o tej porze nie wchodziła w grę: o północy zatoka Authie była jedną wielką piekielną atramentową studnią, a woda z dyskretnym łoskotem wdzierała się między kamienie. W każdym punkcie tej wielkiej piaszczystej połaci człowieka mogły otoczyć wody przyływu, a prądy – pochwyć, wciągnąć na głębie, wyczerpać i zatopić.

Z mola, na którym trzy lata wcześniej Caleb Traskman zabił się strzałem w głowę, Paul z telefonem przy uchu spoglądał w stronę wybrzeża. Światło latarni przy każdym obrocie rysowało szybki roboczy portret okolicy. Za dnia z tego miejsca na pewno widać było chroniony przez wydmy dom pisarza. Spacerowicze, którzy przychodzili tu, by pooddychać świeżym powietrzem, musieli w nim widzieć spokojną przystań. Woda, cisza, przyroda... Kto choć przez chwilę pomyślałby, że rozgrywał się tam taki horror? Kto by sobie wyobrażał, że mieszkający tam autor stoczył się w absolutny mrok i krążył po swoim labiryncie niczym mitologiczny potwór?

– Obudziłem cię?

– Nie, tato, w porządku.

– Nie mów, że jeszcze jesteś w biurze.

– Jestem. Nie chce mi się spać ani wracać. Tutaj mi dobrze.

Paul z westchnieniem usiadł na kamieniu. Z oddali niczym przeciągła skarga doszedł go krzyk foki. Kiedy wprowadził się do hotelu Neptune, nad samym nabrzeżem, wyjaśniono mu, że na ławicach piasku w zatoce zdomowiła się kolonia ponad pięćdziesięciu fok. Kilka kilometrów dalej, w zatoce Somme, było ich więcej, około czterystu osobników.

– Jak się czujesz?

– Obleci. Brunet poszedł na... ekhm, sekcję. Badania toksykologiczne nie wykazały niczego poza obecnością antydepresantów. Według lekarza prowadzącego David od lat brał diazepam. Nie mówił mi o tym, a ja nie

zauważyłam. Pracownicy też nie widzieli niczego, co by wskazywało na jego zamiary. Zachowywał się tak normalnie...

Normalność, pomyślał Paul. To coś gorszego niż szaleństwo. Szaleństwo przynajmniej widać.

– Jutro ma się z tobą skontaktować Martini, ale ta śmierć zostanie uznana za samobójstwo – dodała Louise.

Paul zamknął oczy. Słyszając te słowa, poczuł ulgę.

– Okej...

Louise dokądś się przemieszczała. Domyślił się, że idzie do kuchenki zaparzyć sobie zioła.

– Jeśli chodzi o album z tymi strasznymi zdjęciami, to przesłuchiwanie pracowników nie zauważyli u Davida żadnych dziwnych zachowań – mówiła dalej. – Technicy na razie też na nic nie trafili, ani w jego komputerze, ani w telefonie. Być może usunął dowody i...

– Albumy zostały ukradzione z willi Caleba Traskmana. David działał na dwa fronty, do niego też wysyłał listy.

– No nie...

– Po śmierci Traskmana przyjechał do jego domu, jeśli tak można nazwać to miejsce. Nie wiem, może szukał śladów Julie. Ale te zdjęcia zwinął razem z ostatnimi stronami *Niedokończonego rękopisu*. Znalazłem też inne rzeczy, sędzia Cassoret już o wszystkim wie. Zwróci się do miejscowego sędziego, a ten z kolei zwróci się do komisariatu w Berck-sur-Mer o wspólne dochodzenie. Tutejsi ludzie znają Traskmana, zajmowali się sprawą jego samobójstwa. Jutro albo pojutrze przeszukają jego chatę i pobiorą próbki. Nie będziecie musieli tutaj przyjeżdżać.

– Co znalazłeś?

Paul się zawahał. Nagły podmuch uderzył go w twarz i mężczyzna schował nos za kołnierz. Było mu zimno, ale zapach soli i alg sprawiał mu przyjemność.

– Tato, powiedz mi.

– Ukryty pokój, w którym facet prawdopodobnie więził Julie przez kilka miesięcy, a może nawet lat.

Zapadło milczenie przesycone smutkiem i poczuciem winy Louise. Paul otarł kącik oka. Lodowaty wiatr niosący bryzgi wody strącał łzy z jego policzków. Wstał i ruszył w dalszą drogę w kierunku ośrodka sportów wodnych. Wszystko było pogrążone w ciemnościach, bez życia: miał wrażenie, jakby poruszał się na napiętej linii nad przepaścią.

– Słuchaj, Louise. To, co powiedziałem ci tamtego dnia, kiedy od ciebie wychodziłem... Nie myślałem tak. Po prostu byłem zły.

– Nie, miałeś rację. Gdybym wtedy nie milczała, dotarlibyście do Traskmana i znaleźlibyście Julie. Może teraz byłaby tutaj, ze mną, i...

– To już przeszłość, nie da się cofnąć czasu. David też mógł coś powiedzieć, wiedział o wszystkim, ale postanowił zaspokoić swoją potrzebę zemsty. A ty się bałaś. Przyjmij moje przeprosiny, wybacz temu twardemu, odległemu ojcu, jakim byłem przez te wszystkie lata. Zrobię wszystko, żeby się ułożyło. Z tobą, z Corinne. Jesteśmy razem, jesteśmy zdrowi: szczęściarze z nas. Czy jest coś ważniejszego?

Wiedział, że w bezpośredniej rozmowie nigdy by się tak nie obnażył. To było jak napisanie do Corinne esemesa: Kocham cię. Nie zdołał wypowiedzieć tych słów nawet przez telefon, gdy zadzwonił do niej przed rozmową z Louise. Czuł się taki mały i żalorny.

– Nie ma nic ważniejszego – potwierdziła po prostu Louise. – Muszę się rozłączyć, pada mi bateria w telefonie, a zapomniałam ładowarki. Jesteśmy w kontakcie. Do jutra, okej?

– Do jutra.

Rozłączył się i westchnął: kolejny pretekst Louise, żeby skrócić rozmowę. Oddzwonił do Gabriela. Znowu poczta głosowa. Psiakrew, dlaczego nie odbiera? Nie zostawił żadnej wiadomości i wrócił na nabrzeże. Kiedy tak szedł zupełnie sam, utykając, pod pomarańczowymi kulami latarni, w głowie kołatał mu się krótki fragment *Niedokończonego rękopisu*:

Z nabrzeża ledwie było widać znużone białe bałwany. Berck dryfowało ku morskim głębinom niczym martwy wieloryb.

Paul wystukał kod wejściowy do hotelu, przeszedł przez pusty hol i zastanawiał się, kto przyjeżdża tu w listopadzie. Ludzie tacy jak ja, pomyślał, wygnańcy albo rodziny pacjentów przebywających w szpitalach. Ostatecznie w hotelu w Sagas zawsze jest sporo gości, dlaczego więc w Berck miałyby być inaczej?

Ruszył prosto do swojego pokoju z widokiem na morze. Ale nawet gdyby za oknem miał wysypisko śmieci, nie dostrzegłby różnicy. Nie widział żadnej gry świateł, która wskazywałaby, że ma przed sobą lustro wody. Nic prócz bezkresnej pustyni ciemności.

Po wizycie w willi-labiryncie Paul nie był w stanie jeść, ale teraz głód przywołał go do porządku. Wygrzebał z barku wszystkie paskudztwa – orzeszki, baton Toblerone – i pożarł je, siedząc na łóżku. Przekąski na obiad, chipsy na

kolację: dieta ludzi, którzy się śpieszą. Śmiejąc się nerwowo, otworzył piwo i wznosił toast w stronę białej ściany naprzeciwko.

– Za wygnańców!

Otworzył laptop i już na poważnie zabrał się do przeszukiwania internetu. Wpisał w Google słowa kluczowe: „fotografia, sztuka współczesna, karzeł trąba słonia”, przeszedł do galerii obrazów i po chwili znalazł człowieka w wysokim kapeluszu, którego widział wcześniej. Pozostałe zdjęcia wyświetliły się same. Rozpoznał zwłaszcza fakira i powieszzonego psa.

Kliknął w zdjęcie psa i przechodząc od jednego linku do drugiego, dotarł do artykułu na blogu. Fotografie pochodziły z wydanej w dwa tysiące dwunastym roku książki *Révélation*, która zebrała same entuzjastyczne recenzje. Publikacja zawierała prace niejakiego Andreeasa Abergela.

Według autora Andreas Abergel należał do „współczesnych artystów transgresyjnych”, zainteresowanych wszystkim, co szokuje i rzuca wyzwanie moralności. W swoich dziełach uwieczniają oni seks, choroby, zjawiska odbiegające od normy, szydzą z religii, zakazów – wszystko to rzucają na żer publiczności. Strona internetowa mówiła niewiele więcej, ale Paul wiedział, że jest na właściwej drodze. Zdjęcia z książki były szokujące, prowokujące – podobnie jak ich tytuły. Na przykład obraz *Christ Piss* przedstawiał krucyfiks zanurzony w szklance z moczem i miał być krytyką lukratywnych interesów Kościoła katolickiego.

Te amatorskie analizy nie przemawiały do Paula. Widział szklankę sików z plastikowym krzyżem w środku. Wrócił do wyszukiwarki i wystukał personalia „Andreas Abergel”. Artysta miał własną stronę internetową i obszerny wpis w Wikipedii.

Urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku w Rouen. Nieproporcjonalna twarz o bawolim czole, lewa powieka odstająca od chyba szklanego oka, spłaszczony nos przypominający ryj. Uosobienie brzydoty. Facet miał najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu.

Mieszkał w Nowym Jorku, Londynie, Berlinie, a potem w Paryżu. Miał wystawy na całym świecie, a oryginały swoich prac z autografem sprzedawał za ogromne pieniądze. Jak głosiła nota biograficzna, w wieku dziesięciu lat Andreas Abergel dowiedział się, że jego dziadek Yoram Abergel był ocalańcem z Auschwitz. Należał do Sonderkommando, które zajmowało się masową eksterminacją więźniów w komorach gazowych. Żydzi, którzy własnoręcznie zaganiali innych Żydów do pieców. Strażnicy tajemnic, pozbawieni kontaktu z resztą osadzonych. Yoram zdołał zrobić pięć zdjęć w pobliżu komór gazowych: ukrył je i w dniu wyzwolenia zabrał ze sobą.

Młody Andreas Abergel odkrył te makabryczne pamiątki. Na odwrocie jego dziadek napisał: „Mogłem się rzucić na przewody elektryczne, jak wielu moich towarzyszy, ale chcę żyć”, a także: „W tej pracy jest tak, że jeśli człowiek pierwszego dnia nie zwariuje, to się przyzwyczajają”.

Podobno ta chwila tak głęboko naznaczyła Andreasa Abergela, że – jakby na mocy duchowego dziedzictwa – doświadczył on bezmiaru okrucieństwa i traumy tysięcy ofiar Zagłady. Sztuka pomagała mu wyrzucić z siebie to ogromne cierpienie.

Następnie Paul zaczął przeglądać zakładkę „cykle/kolekcje/wystawy”. Lista nie miała końca. *Historia przemocy, 1986; Palenie kościołów, 1988–1990; Głębokości, 1992; Deformacje, 1994; Ludzkie błędy, 1995–1996*. Nie mając nawet trzydziestu lat, Andreas Abergel uchwycił straszliwą rzeczywistość ciał – poranionych, torturowanych, dotkniętych wadami rozwojowymi lub błędami genetycznymi. Utrwalał koszmarne obiekty ze skandaliczną brutalnością. Chciał zaszokować widzów, sprawić im ból i rzucając im to wszystko w twarz, wyrwać ich z ich poukładanego świata: te rzeczy istniały, tworzyły rzeczywistość – należało je pokazywać.

W wywiadach wielokrotnie wspominał o najbardziej transgresyjnym, ostatecznym dziele sztuki, które chciał kiedyś stworzyć i które miało stanowić nieodwołalne zamknięcie jego pracy: pragnął na oczach widzów uwiecznić własną śmierć. Uchwycić ten niesamowity moment, kiedy ciało się rozpada, narządy przestają działać, a w płucach nie ma już powietrza. Artysta twierdził, że poważnie rozważa ten pomysł. Paul trafił zresztą na link do strony z obrazem z kamery ukazującym ścianę i podłogę z białych płytek. Sekretne miejsce, w którym facet zamierzał „dokonać” swojego ostatecznego dzieła. Kliknąwszy w link, Paul dzięki wbudowanemu licznikowi stwierdził, że w tej samej chwili obraz ogląda około setki osób. Cierpliwie czekały na transmisję na żywo z umierania fotografa.

Ostateczne dzieło sztuki. Ten szalony świat go przerastał. Żandarm wrócił do zdjęć. Zostały tak skadrowane, że eksponowały twarze, modele pozowali z groźnym, mrocznym spojrzeniem, a ich gniew podkreślał jeszcze fakt, że fotografie były czarno-białe. Zgodnie z opisem każdy cykl składał się z kilkudziesięciu elementów, ale żeby zobaczyć je wszystkie, trzeba było kupić książki albo odwiedzić którąś z wystaw: na stronie podano daty i miejsca ekspozycji.

Paul przełknął garść orzeszków ziemnych, oblizał usta i kontynuował poszukiwania. *Zanurzenie, 1999. Tenebra Lux, 2001. Jerozolima, 2003*. Przestał przeżuwać, kiedy kawałek dalej jego wzrok padł na serię *Kostnica, 2010–2016*. Rozgorączkowany, odłożył paczkę orzeszków i kliknął w link.

Cykl reprezentowały tylko dwa zdjęcia. Stare dłonie mężczyzny – fioletowawe, leżące jedna na drugiej na brzuchu, z przydługimi paznokciami i krzyżem oplecionym przez przykurczone palce. Paul zobaczył martwy członek spoczywający na jądrach w kolorze jeżyn. Na drugiej fotografii, pod spodem, odrażająca obrzmiała kostka. Tuż pod skórą drobne czarniawe żyłki przypominające sieć neuronalną. Żandarm rozpoznał cechy charakterystyczne dla topielca. I wszędzie te niebieskie prześcieradła i jasne stalowe blaty, na których leżeli denaci.

Paul sięgnął po telefon i wyświetlił kilka zdjęć z albumu Esquimeta. Nie trafił na te konkretne obrazy, ale choć był nowicjuszem, czuł rękę autora w sposobie kadrowania, oświetlenia, scenografii. Czy istniał choćby cień wątpliwości, że te zdjęcia zostały skopiowane z cyklu Andreasa Abergela *Kostnica*?

Czuł, że jest blisko celu. To było jak fragment jakiegoś przedmiotu znaleziony w piasku: człowiek szybko kopie od góry i z boku, żeby zobaczyć, o co chodzi. Z zapartym tchem wrócił do strony internetowej poświęconej *Kostnicy* i zabrał się do przeglądania wszystkich informacji z nią związanych. We wprowadzeniu Andreas Abergel pisał, że inspirował się dziełem Théodore’a Géricaulta i fascynacją śmiercią u dziewiętnastowiecznych romantyków.

Korzystam z techniki fotografii, tak jak malarz korzysta z płótna. Zwłoki leżące na stołach sekcyjnych, uchwycone w śmiertelnym śnie, mają w sobie wyjątkową estetykę, coś szlachetnego, a zarazem ulotnego, czego nie sposób znaleźć gdzie indziej. Emanują niesamowitym pięknem. Widać w nich cały ból, jakiego zaznały, można go rozpoznać po przykurczonych palcach, wykrzywionych ustach, po powiekach ciężko opadających na oczy. Lubię patrzeć, jak goście zatrzymują się przy moich pracach, lubię obserwować, jak wykrzywiają twarze na widok obrazów, których nie zwykli oglądać, i jak zadają sobie pytania: Na co ten człowiek umarł? Jaki jest powód śmierci tej kobiety przykrytej prosektoryjną draperią, spod której widać tylko kawałek jej barku?

Prosektoryjna draperia... Co za pieprzenie! Paul przeczytał kilka artykułów i skupił się na tym, w którym Abergel opowiadał, gdzie robił te zdjęcia. To interesowało go najbardziej.

Aby stworzyć cykl Kostnica, złożony z ponad trzystu zdjęć, musiałem znaleźć fachowca, który zgodzi się otworzyć przede mną podwoje tych sanktuariów, jakimi są kostnice czy instytuty medycyny sądowej. Nie było to łatwe. Na zwłokach ciężą straszliwe tragedie, a wobec części z nich toczą się jeszcze postępowania sądowe. Patolodzy nie lubią się dzielić swoimi tajemnicami, bronią tego terytorium jak wilk własnej nory. Moja podróż do krainy zmarłych stała się możliwa dzięki mojemu wyjątkowemu przewodnikowi, który obdarzył mnie pełnym zaufaniem. Anonimowość ofiar została zachowana. Ten długodystansowy projekt powstawał między rokiem dwa tysiące dziesiątym a dwa tysiące szesnastym w pewnym szczególnym miejscu we Francji, którego nazwy oczywiście nie zdradzę.

„W pewnym szczególnym miejscu”. Paul kipiał z podniecenia: zidentyfikowanie kostnicy oznaczało dotarcie do punktu, do którego trafiały te zwłoki. Możliwe, że w którymś momencie do jednej z szuflad w miejscu pracy wspomnianego patologa trafiła Mathilde i że Abergel zrobił jej zdjęcie, nie wiedząc, kogo fotografuje. W każdym razie ów anonimowy patolog musiał wiedzieć, skąd pochodziło ciało ze znamieniem w kształcie końskiej głowy: wszystko to z pewnością było udokumentowane.

Pochylił się nad umieszczoną w dolnej części strony niekończącą się listą miast, w których wystawiano kolekcję *Kostnica*. Mimo początkowych wielkich kontrowersji i zakazu pokazów w niektórych krajach w ostatnich latach muzea i galerie sztuki biły się o artystę. Jack Shainman Gallery w Nowym Jorku, Huis Marseille w Amsterdamie, Galleria Alfonso Artiaco w Neapolu. Liczba widzów, którzy przyszli, by podziwiać prace Abergela, sięgała dziesiątek tysięcy.

Paul zatrzymał wzrok na Palais de Tokyo w Paryżu, a zwłaszcza na okresie od dziewiętnastego października do dziewiętnastego grudnia dwa tysiące dwudziestego roku. Właśnie wtedy w tym słynnym muzeum sztuki współczesnej odbywała się wystawa zdjęć artysty.

Nie wierzył własnym oczom. To prawdziwe błogosławieństwo! Będzie mógł sprawdzić, czy znamię urodzeniowe rzeczywiście zostało sfotografowane przez Abergela, a jeśliby tak było – zdobyć jakoś nazwisko patologa. Aby uczcić swoje małe zwycięstwo, poszedł otworzyć kolejne piwo. Wiedział, co robić dalej. Jego euforia trwała jednak zaledwie krótką chwilę: już teraz miał świadomość, że na końcu drogi będą tylko smutek i ból.

Jeszcze raz spróbował dodzwonić się do Gabriela. Bezskutecznie. Było już po pierwszej w nocy. Zostawił mu wiadomość: „Jestem w Berck-sur-Mer, w hotelu

Neptune. Oddzwoń do mnie, choćby była trzecia nad ranem. Twoje milczenie zaczyna mnie poważnie niepokoić”.

Świadomy, ale otumaniony, Gabriel miał wrażenie, jakby skopał go galopujący koń. Kiedy chciał otworzyć oczy, posłuchała go tylko prawa powieka. Lewa była sklejona z rogówką, nabrzmiała krwią.

Najpierw pojawił się ból, potem zapach. Poczuł ostre pieczenie, jakby przy każdym oddechu w jego gardle włączał się miotacz ognia. Palilo go aż do ostatniego pęcherzyka w płucach.

A potem miał wizję – tak straszliwą i surrealistyczną, że mogła pochodzić tylko z głębin sennego koszmaru. Naprzeciwko, za ścianką pleksiglasowego cylindra, widział czerwone skrawki ciała, które usiłowały przylgnąć do kości jak glony do skały. Tysiące banieczek niczym maleńkie żarłoczne kraby stopniowo pochłaniały materię – ścięgna, wapń, tłuszcz, keratynę. Patrzył, jak w otoczeniu rozżarzonego pióropusza unoszącego się w mroźnym powietrzu magazynu dosłownie znika twarz, potem czaszka i wszystko, co było dookoła.

Zwłoki ulegały rozpuczeniu. Przewrócił zdrowym okiem. Stał z rękami z tyłu, skuty tym samym łańcuchem, który w niego uderzył. Poczuł, jakby przy najdrobniejszym ruchu coś rozrywało mu skórę. Odwrócił głowę i zobaczył, że jego nadgarstki są przypięte trytytką do jednego z dużych ogniw. Mógł zrobić trzy kroki w przód i w tył, ale za każdym razem łańcuch cofał go do punktu wyjścia. Był jak kukielka.

Płyn w pojemniku z pleksi miał teraz kolor brązowego smaru. Po jego lewej stronie stała otwarta beczka z czarnego plastiku, pokrywka leżała na podłodze. Inna beczka wisiała w powietrzu, w uchwycie szczypiec hydraulicznych. Na środku stał wózek widłowy, który w tym ogromnym pomieszczeniu zdawał się maleńki: jego okrągłe reflektorki rzucały snop światła na tę koszmarną scenę.

Na zewnątrz wciąż szalała ulewa, ściany drżały, woda spływała strumieniami. Gabriel zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny. Nagle usłyszał szcęk łańcucha i całkowicie otrzeźwiał. Poczuł nad głową prąd zimnego powietrza, podniósł wzrok i zobaczył wiszące za nogę zwłoki kobiety z jedną piersią. Do

brzucha miała przymocowany obraz z twarzami Julie i Mathilde, owinięty kilkoma warstwami taśmy klejącej. Martwe ramiona kołysały się bezwładnie, wprowadzone w ruch siłą przesuwu. Znajdująca się pod sufitem wciągarka przesuwała się w szynach wzdłuż stalowej belki.

Spoglądając w czarną czeluść za światłami wózka widłowego, zauważył, że za jego sterami ktoś siedzi. W ciemności zaślniła maska gazowa. Postać rzuciła czarną kostkę, która odbiła się od podłogi i wylądowała u stóp Gabriela. Lokalizator GPS.

– Zawsze trzeba uważać – odezwał się jakiś głos z rosyjskim akcentem. – Drugi lokalizator zamontowany od strony podwozia, na wypadek gdyby pierwszy został znaleziony. Jesteś najgorszym psem, jakiego spotkałem w życiu. Powinienem rozwalić ci łeb w hotelowym pokoju, wtedy gdy załatwiłem Wandę.

– Gdzie moja córka?

Gabriel miał trudności z mówieniem. Musiał mieć spuchniętą całą lewą część twarzy. Ale nic go nie bolało. Strach działał jak znieczulenie.

– Ta kretynka Wanda zerwała wszelki kontakt ze środowiskiem trzy lata temu. Ustawiła się, ale ciągle ją śledziłem. Zawsze byłem podejrzliwy wobec ludzi, którzy kręcili się wokół niej, a ty byłeś jednym z nich. Obserwowałem cię. Przeprowadziłem własne dochodzenie i odkryłem, że jesteś wilkiem. Kiedy zobaczyłem, że wracasz do Sagas, zrozumiałem. Jesteś ojcem jednej z nich.

– Co to znaczy: jednej z nich? Dlaczego pan to robi?

– Bo mi za to płacą. To moja robota.

Mężczyzna skupił się na swoim zadaniu. W masce z podwójnym filtrem, długich żółtych rękawicach i niebieskiej roboczej bluzie wyglądał jak przerażająca gigantyczna mrówka. Zwłoki nad ich głowami kołysały się jak straszliwe wahadło.

– Soda kaustyczna zmienia ciało w mydło, ale nie działa na kości. Kwas fluorowodorowy jest jeszcze mocniejszy, uwielbia wapń, usuwa wszystko. Mamy go tu spory zapas, ukryty wśród pustych beczek. Wystarczy na długo.

Jak w popularnej na festynach grze w dźwig, w której łapie się pluszaki, przesunął zwłoki nad pojemnik, z którego wciąż wydobywał się trujący dym. Zaczekał, aż przestaną się kołysać.

– Wpadłem do ciebie jeszcze raz po obraz. Wanda miała po prostu go zabrać po śmierci Chmielnika, bo nie lubimy zostawiać po sobie takich rzeczy. To dane wrażliwe, rozumiesz? Ale ten jebany handlarz starzyzną musiał nam go sprzątnąć sprzed nosa. A ty musiałeś go znaleźć. Wkurwiłem się. A teraz muszę posprzątać.

Pchnął manetkę. Biały kształt powoli zsunął się do cylindra. Ręce, głowa, a potem całe ciało zanurzyły się w płynie, wydając przy tym dźwięk podobny do

tęgo, jaki powstaje przy otwieraniu wstrząśniętej puszkę z napojem gazowanym. Kraby rzuciły się na każdy milimetr skóry i zaczęły swoją ponurą robotę. Gabriel o mało nie zwymiotował: substancja organiczna roztopiała się na jego oczach. Pierwsze ciało zdążyło się już zmienić w nieforemną kulkę tłuszczu.

– Śmierć Chmielnika nie zmieniła niczego w działaniu jego magazynu, zostawił mi nawet klucze. Bardzo gościa lubiłem. Wiesz, to najlepsze miejsce na świecie, jeśli potrzebujesz posprzątać. Patrz.

Po niespełna dwóch minutach od całkowitego zanurzenia wciągarka wróciła na swoje miejsce. Został na niej tylko kawałek sznura, którym wcześniej związane były nagie stopy kobiety. Gabriel zaniósł się długim kaszlem i wypłuł strużkę żółci. Ledwie zdążył otworzyć oko, gdy nagle poczuł uderzenie w żuchwę. Mężczyzna, teraz w masce gazowej zsuniętej na szyję, chwycił go za kołnierz. Niewysoki, ale potężny raptus o krótkich blond włosach układających się w kształt ośmiornicy. Część jego szyi pokrywał tatuaż w kształcie pajęczyny. Na lewym policzku miał blizny po zadraniach – prawdopodobnie rany zadała mu Wanda, zanim zdążył ją zabić nad rzeką.

– Nie jesteś z tych, co odpuszczają, draniu. Zdajesz sobie sprawę, że kiedy pojawiłeś się z powrotem na północy, musiałem przerwać robotę z tymi dwiema? Udało ci się umknąć psom, mimo że całe ciało Wandy było w twojej spermie. Jesteś twardy jak pieprzony grizzly.

Kolejny potężny policzek. Gabriel poczuł w ustach smak krwi i splunął mu w twarz. Mężczyzna nieśpiesznie otarł się wierzchem dłoni i wyszczerzył zęby jak rekin.

– Twoja córka była niezła, przeleciałem ją w aucie. Zanim ją dostarczyłem do adresata, trochę się z nią pobawiłem.

– Zabiję cię.

– Zabijesz mnie? Ty? Zobaczmy, czy będziesz taki groźny, kiedy cię zanurzę w kwasie. Zacznę od czubka głowy i zatrzymam, aż pokaże się czaszka. Podciągnę do góry, żebyś tak powisiał. Potem powtórzę operację, aż substancja dobierze ci się do kości. Jak myślisz, jak to będzie, kiedy kwas wyżre ci mózg? A, czekaj no, mam dla ciebie coś jeszcze.

Wyjął z kieszeni bluzy komórkę Gabriela i odtworzył wiadomość od Paula:

„Jestem w Berck-sur-Mer, w hotelu Neptune. Oddzwon do mnie, choćby była trzecia nad ranem. Twoje milczenie zaczyna mnie poważnie niepokoić”.

– Hotel Neptune. Kiedy skończę z tobą, pojedę zabić twojego kolegę. A potem twoją starą matkę. Zagotuję wodę w garnku i chlusnę jej w twarz. A następnie własnoręcznie połamię jej ręce i nogi.

Gabriel chciał się na niego rzucić, ale mężczyzna zrobił unik jak matador. Schował telefon i poszedł do jakiegoś zakątka magazynu. Jego głos zniknął

w oddali. Gabriel na próżno się szarpał, zdzierając sobie skórę – więzy były zbyt ciasne.

– Wróć tu, żeby dokończyć. Zanim kwas usunie wszystko do ostatniego grama, potrzeba dobrych dziesięciu godzin. Wierz mi, mam doświadczenie. Trzysta litrów kwasu na ciało to najlepsza dawka. Wlałem tysiąc, dokładnie dwie beczki. Spokojnie wystarczy, żeby ciebie też zmienić w kleik.

Po kilku chwilach pojawił się z powrotem z dużymi pustymi kanistrami, które postawił obok kadzi.

– U nas to się nazywa „morderstwo bez trupów”. Żadnych zwłok, żadnego sposobu, żeby cokolwiek znaleźć. Zmieniają się w frrru! – Pomachał dłonią. Stał przed Gabrielem i wycelował w niego pistolet.

Gabriel rozpoznał starego makarowa PM. Rosyjska broń.

– Ładna spluwa, co? Nie da się jej namierzyć, nie ma jej w żadnej bazie. Ostrożność. I fałszywe tablice. Mam ich pełny bagażnik. Nie noszę przy sobie papierów. Nieznajomy, duch. Nikt nie wie, kim jestem, nikt nie jest w stanie się dowiedzieć, skąd pochodzę. A jeśli ktoś jest zbyt ciekawski, pif-paf! Życie jest łatwe, kolego!

Kilka razy chodził tam i z powrotem, znosząc pojemniki.

– W kwasie niesamowite jest to, że nie niszczy plastiku. Jedno ciało to sześć kanistrów. Otwierasz kurek i jeden po drugim napełniasz. A potem wylewasz tu i tam, do studzienek, rzek, nawet do kibli. Tak właśnie skończysz. Połączysz się z podziemnym głównem, rozrzucony jak pieprzony nawóz.

Gabriel poczuł, że uginają się pod nim nogi. Nie upadł tylko dzięki napiętemu łańcuchowi. Wyobraził sobie Julie, Mathilde i tyle innych osób zlikwidowanych na wieki wieków, usuniętych z powierzchni ziemi przez tego szaleńca.

– Skoro i tak mnie zabijesz, powiedz, co zrobiłeś z moją córką.

Rosjanin zdawał się go ignorować, skupiony na opuszczaniu haka wciągarki między Gabriela a kadź. Wrócił z nowym sznurem.

– Nie pocieszy cię to, ale nic – odparł, mrużąc oczy z powodu toksycznych oparów. – Jestem zwykłym kurierem. Twoja córka była po prostu specjalną przesyłką, którą dostarczyłem do adresata. Resztą zajmują się inni, nie jestem na bieżąco. To ich tajemnica, rozumiesz? Ale myślę, że zginęła niedługo potem.

– Ty draniu.

Mężczyzna posłał mu szeroki uśmiech. Odczepił resztkę sznura, który wciąż zwisał z wciągarki, i wrzucił ją do kadzi z mętym płynem. Potem szybkim, ale precyzyjnym ruchem doświadczonego marynarza zawiązał na haku końcówkę drugiej liny. Gabriel musiał znaleźć jakieś wyjście. Nie chciał umierać. Nie w ten sposób. Nie widział żadnej możliwości ucieczki. Pozostawał jedynie maleńki

promyk nadziei: aby zanurzyć go w kadzi, oprawca będzie musiał uwolnić mu ręce. W którymś momencie przetnie trytytkę.

– Kim są te trupy, które teraz likwidujesz?

– Nie wiem, mam to gdzieś. A teraz się zamknij.

Uderzył Gabriela z całej siły, co częściowo go ogłuszyło, i złapał za obie nogi, które uniósł na wysokość bioder, by go przywiązać do wciągarki. Następnie poszedł uruchomić dźwignię i hak podjechał w górę. Gabriel znalazł się metr nad ziemią z ramionami z tyłu, tak że prawie wychodziły mu ze stawów. Wisząc w pozycji hamaka między łańcuchem a wciągarką, płakał z bólu. Łzy zalewały mu oczy, tak że nic nie widział.

Oprawca przeciął trytytkę szczypcami – i zdecydowanie nie wykazał przy tym należytej ostrożności. W chwili gdy Gabriel poczuł, że uścisk się rozluźnia, wywinął się jak ryba wyjęta z wody i na oślep chwycił maskę Rosjanina. Przyciągnął go do siebie i zatopił zęby w pierwszym fragmencie ciała, jaki znalazł się w jego zasięgu. Odgryzł mu kawałek ucha. Jednocześnie w skórę kata tuż powyżej jabłka Adama wpił się gruby pas maski i zmiażdżył mu tchawicę.

Charcząc, purpurowy na twarzy Rosjanin usiłował chwycić pas. Rzucił się najpierw do przodu, potem do tyłu i uderzył o ścianę kadzi, próbując złapać Gabriela za głowę, on jednak wciąż miał dużo sił. Trudno powiedzieć, jak długo trwał ten uścisk, ale z pewnością kilka długich minut. Kiedy wreszcie Gabriel poczuł wyczerpanie rannego bizona – który wciąż stawiał opór, ale stopniowo ugiął się pod ciężarem własnego ciała – miał skurcze w mięśniach. Chcąc się wyswobodzić, bandyta szarpał jeszcze głową, aż nagle jego ręce opadły, a nogi stały się miękkie. Podłoga przyciągała go do siebie, ale Gabriel nie odpuszczał, dopóki widział ruchy jego klatki piersiowej.

Kiedy zwolnił gumę, oczy mężczyzny wyglądały jak dwie studnie pełne krwi. W ostatnim odruchu Rosjanin zamknął usta i odgryzł sobie koniuszek języka, który zwisał teraz na skrawku skóry.

Leżąc karkiem i barkami na ziemi, z rękami wykręconymi do tyłu i nogami w powietrzu, Gabriel łapał powietrze. Wypluł mieszanek ciała i krwi. Po minucie poruszył się i zdołał wyswobodzić stopy ze sznura. Spadł.

Obolały, wykrzesał z siebie siły, by się podnieść. W gardle czuł bicie kurczącego się i rozkurczającego serca – a więc żył. Oprawca wpatrywał się w niego z przerażeniem na twarzy. Gabriel przeszukał go, ale mężczyzna nie kłamał: nie miał przy sobie dokumentów – żadnej karty czy paragonu z kasy albo parkingu.

Sięgnął po swój telefon i obrócił się wokół własnej osi, trzymając się dłońmi za głowę. Paliło go w płucach. Zabił tego gościa. Oczywiście, to była obrona

własna, ale teraz u jego stóp leżał nieboszczyk cały w odciskach palców i śladach jego DNA. Zaciskając szczęki, wlepił w niego wzrok.

– Nie pójdę za ciebie do więzienia. To ty dołączysz do podziemnego gówna.

Obwiązał stopy Rosjanina sznurkiem. Zrobił mu zdjęcie telefonem – to będzie jedyny ślad po nim, jaki zachowa – sfotografował też rozkładające się zwłoki drugiej kobiety. Ruszył ku dźwigniom. Szybko nauczył się obsługiwać urządzenie. Jednym ruchem uniósł wciągarkę, drugim przesunął ją w wybranym kierunku, a następnie opuścił do kadzi.

– To za Julie, draniu.

Kraby natychmiast zabrały się do pracy. Z błyskiem zemsty w oku Gabriel przyglądał się, jak oczy oprawcy znikają w brązowej pianie, aż zostały po nich dwa ziejące wgłębienia. Przez dłuższy czas stał bez ruchu, szybko oddychając i zastanawiając się, co robić dalej.

Przetarł manetki jakąś szmatą, wrzucił trytytkę i lokalizator GPS do kadzi, a następnie lekko odkręcił kurek. Kapiące z cylindra kraby zatańczyły na zimnym betonie. W tym tempie trzeba będzie wielu dni, zanim kadź się opróżni – zwłoki Rosjanina spokojnie zdążą się w tym czasie rozpuścić – a w wielkim jeziorze takiej melasy wszelkie badanie miejsca zbrodni będzie niemożliwe. Gabriel wyobraził sobie miny policjantów, którzy się tu pojawią – bo w końcu przyjadą, za miesiąc, może za rok...

Kiedy wreszcie wyszedł, ulewa wciąż waliła w ściany budynku, krople deszczu eksplodowały w kałużach. Przemoczony, utykając, pozbierał rozwalone kłódki, pobiegł do furgonetki Rosjanina zaparkowanej obok głównej bramy i sfotografował prawdopodobnie fałszywą tablicę, nie dotykając auta, by nie zostawić odcisków palców. Rzucił się w stronę własnego samochodu.

Dziwnie świstało mu w płucach, zapewne poparzonych od trujących wyziewów. Otworzył okno – potrzebował poczuć wodę na skórze i powietrze w tchawicy. W lusterku zobaczył przerażający obraz: lewa strona jego twarzy była cała opuchnięta i fioletowa. Pięć minut później na pełnym gazie wjechał na drogę prowadzącą wśród pól. Wyrzucił kłódki do jakiegoś rowu. Uciekać, byle dalej. Za wszelką cenę opuścić to przeklęte miejsce. Wybrał numer Paula, który natychmiast się odezwał.

– Umierałem z niepokojem! Psiakrew, coś ty wyprawiał?

– Powiedz mi, że tylko ty wiesz o Chmielniku, że nikomu nie powiedziałeś o treści mojego esemesa.

– Wiesz, która jest godzina? Jutro to zrobię.

– Nie, musisz skasować tę wiadomość. Nie ma już Chmielnika, nie ma Belgii. Wystąpił pewien problem. Porywacz Julie, gość, który wtedy prowadził szarego forda... Ktoś musiał zginąć: on albo ja.

- Porywacz? On albo ty? Chcesz powiedzieć, że...
- W tej chwili rozpuszcza się w kwasie.

Czekał na Gabriela w drzwiach, w miękkich kapciach z logo hotelu. Zaniepokojony, wpuścił go do holu. Była prawie czwarta w nocy. Na ulicy przerażająco skrzeczały mewy, a zachodni wiatr jeszcze się wzmógł.

– Jezus Maria!

Jego były partner ledwie trzymał się na nogach i cały dygotał. Obiema dłońmi ścisnął postawiony kołnierz skórzanej kurtki. W ciągu trzygodzinnej jazdy kilka razy o mało nie zasnął. Na jego lewej skroni i uchu widać było plamy zakrzepłej krwi. Pod pachą trzymał płótno Pascala Croisille’a.

Paul bez słów zaprowadził go do swojej łazienki, pomógł zdjąć sweter i buty, przygotował szlafrok i odkręcił kurek z ciepłą wodą. Gabriel wszedł pod gorący prysznic i stęknął z ulgą. Uniósł twarz w stronę deszczownicy. Spadające krople sprawiały mu ból, ale szeroko otworzył piekące usta, by wypłukać z gardła smak krwi i kwasu. Przeżył. Ocalał z piekła.

Mydląc się najdelikatniej, jak potrafił, przyjrzał się siwiejącemu zarostowi na klatce piersiowej, sękatym łokciom, pokiereszowanym długim dłoniom. Tak długo zaciskał pas na szyi Rosjanina, że przeciął sobie skórę. To za Julie, pomyślał. Dla niej to zrobiłem.

Narzucił na siebie szlafrok. Paul czekał na niego z obrazem w rękach. Obejrzał siniak na jego skroni i ocenił stan powieki.

– Wyglądasz jak bokser, który ostro oberwał. Powinienem cię zabrać do szpitala.

– Jest okej. Myślę, że jestem cały. Widziałem już złamania, inaczej wyglądają. Żadnego szpitala. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

– Mów, co się stało. Wszystko, od początku do końca – poprosił Paul, siadając na krawędzi łóżka.

Gabriel usiadł obok, krzywiąc się z bólu. Zaczął od prywatnego śledztwa, które przeprowadził kilka miesięcy wcześniej w okolicach Ixelles po odkryciu szarego forda; opowiedział o obrazie, który doprowadził go do jego twórcy,

Henriego Chmielnika *alias* Arvela Gaeki, bogatego przedsiębiorcy z branży chemicznej, zmarłego na zawał serca; i o wdowie, która nakierowała go na ślad Wandy.

– Znalazłem Wandę, ale zerwała już ze środowiskiem mafijnym. Wszedłem w jej życie i pewnie przeszukałem jej mieszkanie, grzebałem w papierach, poznałem jej znajomych, ale do niczego mnie to nie doprowadziło. Może dlatego postanowiłem zabrać ją do Sagas. Żeby odświeżyć jej pamięć i zmusić ją, żeby mi opowiedziała, co się zdarzyło po porwaniu. Najwyraźniej słuchanie tego wszystkiego mnie przerosło: straciłem przytomność i ocknąłem się z pamięcią w rozsypce. – Palcem wskazującym musnął obrzmiałe oko, marszcząc przy tym twarz. – Ten Rusek od początku miał nas na muszce. Na podwoziu mojego auta był zamontowany drugi lokalizator GPS. Kiedy zauważył, że wróciłem na północ, ruszył za mną, zdecydowany, żeby mnie zlikwidować raz a dobrze.

Paul powoli skinął głową, zaskoczony obecnością dwóch nadajników. Jego ludzie tego nie zauważyli.

– Wczoraj byłem w sklepie ze starociami, w którym w sierpniu kupiłem tamten obraz. W nocy, to znaczy wieczorem odwiedziłem wdowę po Gaecie. Dowiedziałem się dwóch nowych rzeczy. Po pierwsze, wygląda na to, że Gaeca rozdawał swoje potworne płótna ludziom równie bogatym jak on sam. Wpadłem do jednego z nich, Pascala Croisille'a, na oko sześćdziesięcioletka. Ten portret wisiał w jego gabinecie. Oczywiście facet oświadczył, że nie ma pojęcia, kim byli modele. Może mówił prawdę, a może kłamał, trudno to stwierdzić. Tak czy owak, ten młody człowiek to chłopak, który kiedyś zaginął. Jak Julie, Mathilde i pewnie inni. Tutaj także Gaeca użył krwi.

Znowu spojrzeli na portret. Paul poczuł głęboki niepokój. Kim jest ten chłopak? Kiedy zaginął? Gdzie? Odwrócił głowę i popatrzył na Gabriela.

– Opowiedz mi o tym Rosjaninie.

– Dochodzę do tego. W pracowni Gaeki była stara metalowa tabliczka z nazwą Sodebin. Przypomniał mi się zeszyt Julie. Pamiętasz, Caleb Traskman wymieniał to słowo wśród najlepszych sposobów na pozbycie się zwłok.

– Tak, przypominam sobie.

– Sodebin to stary skład bardzo groźnych substancji chemicznych. Pojechałem tam. Kiedy rozglądałem się po magazynie, ten Rosjanin się na mnie rzucił. Zaczekaj...

Najpierw pokazał mu zdjęcie napastnika. Z nadgryzionym językiem i oczami na wierzchu. Paul zmarszczył nos. Następnie Gabriel wyświetlił fotografię zwłok zanurzonych w kwasie i wreszcie dwóch trupów w pokrowcach.

– Kiedy przyszedłem, leżały w kącie magazynu. Całkowicie ogolone, łącznie z czaszką. Przed zapakowaniem do worków zostały chyba zanurzone

w formalinie. Facet korzystał z tego opuszczonego magazynu, żeby pozbywać się ciał, miał beczki z kwasem ukryte wśród tysięcy pustych pojemników. Wygląda na to, że Gaeca jeszcze za życia dał mu dostęp do budynku i odczynników. To trwało całe lata. Od dawna rozpuszczali zwłoki w tych swoich kadziach.

Paul na próżno usiłował dopasować wszystkie elementy układanki. Co robiły w tej historii dwa nasączone formaliną trupy? Czy to też były zwłoki zaginionych osób?

– Ten zwyrol zdążył wrócić do mojego mieszkania i zabrać obraz z Julie i Mathilde. Na moich oczach utopił go w kwasie. Prawie mnie zabił. Nie miałem wyboru. Wrzuciłem go do kadzi.

Zaplótnszy obie dłonie na głowie, żandarm omiół wzrokiem pokój wzdłuż i wszerz.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że gliny trafią na twój ślad?

– Wszystko, co znajdą, i to nieprędko, to furgonetka na fałszywych numerach i jezioro obrzydliwego płynu, w którym nie będzie już ani jednej ludzkiej komórki. Te rozpuszczone ciała... Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Jakbyś wrzucił do wody tabletkę aspiryny.

Pograżył się w myślach. Co by było, gdyby to nie on wygrał starcie w magazynie? Pewnie wisiałby teraz nad kadzią, do połowy oskalpowany przez kwas.

– Możliwe, że policja w końcu pojedzie do wdowy i zapyta ją o Sodebin. W najgorszym wypadku kobieta przypomni sobie o moich odwiedzinach, a wtedy mnie przesłuchają. Ale powiem, że nigdy nie byłem w tamtym miejscu. Nasza dzisiejsza rozmowa nie istnieje. O niczym nie wiedziałeś. Nie musisz się martwić o swoją przyszłość.

– Mam się nie martwić. Nie, jasne: opowiadasz funkcjonariuszowi żandarmerii, jak rozpuściłeś gościa w kwasie, ale nie, nie mam żadnych powodów do zmartwień.

Paul przeżywał koszmar, z którego nie mógł się wywikłać. Od momentu, gdy zaczął kłamać, gdy wyszedł poza ścisłe ramy śledztwa, uruchomił groźny mechanizm. I Gabriel o tym wiedział. Jedyнным sposobem, by wyjść z tego cało, było nieuleganie panice.

– Dobra, pomyślmy – mruknął. – Nie możemy teraz włączyć w to belgijskiej policji, to by było zbyt ryzykowne. A to oznacza, że oficjalnie nie informuję nikogo ani o twojej eskapadzie, ani o twoich odkryciach za granicą. A zatem nie było Gaeki, nie było Sodebinu, nie było Rosjanina. Nic. Zapominamy o tym.

Gabriel mechanicznie skinął głową. To było jedyne wyjście.

– Powiemy, że numer Wandy znaleźliśmy zapisany na kartce w twoim mieszkaniu. Zwrócę się do operatorów i zapytam, do kogo on należy. A co do tego obrazu: czy istnieje szansa, że jego właściciel zgłosi kradzież?

– Jeżeli jest w to w jakikolwiek sposób wplątany, w jego interesie jest milczeć. A jeśli nie, to i tak nic o mnie nie wie.

– Czyli portret nie istnieje. To znaczy, że nie zbadamy DNA i nie ma żadnej nadziei na zidentyfikowanie modelu. Całe szczęście, że jeszcze nie powiedziałem moim ludziom o obrazie, na którym była Julie. Bo jak miałbym wytłumaczyć jego zniknięcie? Kurwa, Gabriel, wiesz co? Wkurzasz mnie.

Gabriel zignorował złość kolegi i zanurzył dłoń w paczce orzeszków. Kiedy tylko zaczął gryźć, od razu tego pożałował. Któryś z ciosów Rosjanina uszkodził mu dziąsła.

– A co tam w sprawie Traskmana?

Paul usiłował się uspokoić. Przedstawił mu swoje odkrycia: listy z pogrózkami otrzymywane przez pisarza, labirynt w willi, fakt, że David Esquimet ukradł ostatnie strony rękopisu i zdjęcia, które znaleźli w straszliwym albumie, wreszcie samo pochodzenie tych fotografii.

– Akurat teraz Andreas Abergel ma wystawę w Paryżu. Jeśli trop jest właściwy, powinienem się dowiedzieć, co się działo ze zwłokami Mathilde Lourmel, i zidentyfikować zamieszane osoby. Ale robię to wszystko w ścisłych ramach mojego śledztwa. Więc nie chcę, żebyś za mną laził, okej?

– Jak wybrniesz przed sędzią ze sprawy tego znamienia? Przecież to ja pojechałem do madame Lourmel i skojarzyłem fakty.

– Powiem, że tam pojechałeś, bo mimo dziurawej pamięci miałeś w głowie to nazwisko. Potem przyszedłem do ciebie, żeby zabrać twoje papiery, i pokazałem ci album Esquimeta, a wtedy zobaczyłeś to znamię.

– Trzyma się to kupy.

– Jutro rano, a raczej za kilka godzin wrócisz do siebie i pójdziesz opatrzyć rany. I usuniesz te wszystkie zdjęcia z telefonu, do czysta. Gabriel, najwyższy czas, żebyś spauzował, bo skończy się tak, że padniesz gdzieś po drodze, w najlepszym razie z wyczerpania, a w najgorszym od kulki w łeb.

Gabriel musiał przyznać, że były kolega ma rację. Skinął głową.

– A u Traskmana... nie było żadnych śladów Julie?

Paul cedził słowa, kiedy musiał go poinformować o tajnym pokoju, w którym pisarz prawdopodobnie przetrzymywał jego córkę. Gabriel zdawał się nie reagować. Siedział zgarbiony, trzymając splecione dłonie między rozstawionymi nogami. Tyko skurcz w kąciku ust wyrażał ogromne napięcie, dzięki któremu wciąż był przytomny.

– Zanim wrócę do siebie, chcę zobaczyć, gdzie była przetrzymywana.

Spuścił głowę, a potem ją uniósł – Paul zobaczył, że były kolega ma zaczerwienione zdrowe oko – zadał szereg pytań, ale, o dziwo, nie wykazywał żadnych symptomów agresji czy złości na Traskmana juniora, który trzymał sprawę w tajemnicy. Tej nocy nie miał już na to siły.

– Nie angażujemy belgijskiej policji, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy sami spróbowali zrozumieć, co się dzieje – wymamrotał. – Ten Rosjanin dla kogoś pracował, sam to przyznał. Ktoś jest za to wszystko odpowiedzialny, Paul. I musi za to zapłacić.

Żandarm poszedł po krzesło i usiadł naprzeciwko Gabriela.

– Czy Rusek powiedział ci coś, co mogłoby mi pomóc?

Gabriel obmacał spuchniętą powiekę. Czuł się tak, jakby pod gałką oczną miał sprężynę, która chce wystrzelić.

– Niewiele. Najwyraźniej robił w porwaniach, początkowo wspierany przez Wandę, a potem na pewno sam. Zajmował się też... zanurzaniem trupów w kwasie w magazynie Sodebin. Gaeca o tym wiedział.

– Traskman, jak widać, również był poinformowany, i to już w dwa tysiące siódmym. A to znaczy, że tamci dwaj blisko się znali. Obaj wiedzieli, że zwłoki trafiają do magazynu, by już stamtąd nie wrócić. Ale skąd Gaeca mógł wziąć twarz Julie, skoro więził ją Traskman?

– Dzielili się swoimi potwornymi pomysłami. Każdy wiedział, co robi drugi. Ci goście nie byli ulepieni z tej samej ziemi co my. Byli inni, myśleli w odmienny sposób, kierowali się motywacjami, których kompletnie nie rozumiemy.

Zapadła cisza. Przyjaciele zbrodniarze. Paul poruszał palcami w powietrzu, jakby usiłował pochwycić jakąś myśl zablokowaną na progu świadomości. W końcu rozmasował sobie skronie.

– Nie myślimy już jasno. Musimy się przespać. Najlepiej będzie, jak zostaniesz tu tych parę godzin. Materac jest szeroki, powinniśmy jakoś przeżyć.

Poszedł zawiesić na kłamce tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”, a potem on także narzucił na siebie szlafrok, który wisiał w łazience. Wrócił do Gabriela i usiadł obok niego, zwieszając ramiona.

– Gdyby tydzień temu ktoś mi powiedział, że będę spał z tobą w jednym łóżku w jakiejś pipidowie na końcu świata... W tych szlafrokach wyglądamy jak dwaj starzy kuracjusze na talasoterapii.

I znowu Gabriel był sam. Szedł samotnie nabrzeżem w kierunku swojego samochodu. Wielka zatoka, w której morze cofnęło się tak daleko, że już go nie było widać, emanowała jakimś głębokim pięknem i melancholią. Szarość nieba zderzała się z szarością morza – oba odcienie równie mocne jak błękity południa – kontrastując z żółcią dzikich, prastarych połąci piasku.

Gabriel przystanął i zapatrzył się w srebrną linię horyzontu. Lodowaty wiatr, który smagał zeszywniałą część jego twarzy, utrzymywał jego ciało w stanie optymalnego napięcia. Widział ten dom wariatów z niekończącymi się korytarzami – odbicie chorej psychiki Caleba Traskmana – i sekretny pokój, w którym prawdopodobnie mieszkała Julie. Spotkał Traskmana juniora i jego przygnębione spojrzenie, i nie miał siły, by się na niego rzucić. Zresztą przyniosłoby to tylko dodatkowe problemy.

Ruszył dalej. Minęły go dwa radiowozy pędzące w stronę latarni. Paul czekał na policjantów na miejscu, by nadać bieg procedurom. Koledzy z północy przeszukają labirynt, pobiorą próbki, przeczeszą okolice willi za pomocą różnego sprzętu w poszukiwaniu jednego lub więcej ciał. Zajmie to wiele tygodni, ale nie znajdą Julie, Gabriel to czuł. Bo od dawna jej tam nie ma.

Prawdziwy trop to ten, którym miał teraz pójść Paul: fotografia ze znamieniem urodzeniowym, wykonana, miał nadzieję, aparatem Andreeasa Abergela. Gabriel musiał się powstrzymać siłą, by nie ruszyć do stolicy i osobiście nie przeczesać Palais de Tokyo. Paul wystarczająco dużo już dla niego ryzykował. I obiecał, że będzie go na bieżąco informował o swoich odkryciach. Jeśli Abergel zna jakieś nazwiska czy fakty, Paul będzie wiedział, jak je z niego wyciągnąć.

Zszedł na plażę i znowu spojrzął na morze, prawie płosząc sieweczki skupione w małych pierzastych grupkach. Nigdy się nie dowie, co Julie przeżyła w tym miejscu. Jak długo miała nadzieję na ratunek? A jego tu nie było. Nie potrafił jej pomóc.

Smutny wrócił do Lille, do dzielnicy Wazemmes. Wszedł do mieszkania. Rosjanin był tak miły, że zamknął za sobą drzwi i tym razem nie wyrzucił wszystkiego do góry nogami. Zadzwoił do ślusarza, który pojawił się po godzinie. Na widok twarzy Gabriela nie zadawał żadnych pytań. Wykonał swoją robotę, wziął pieniądze i poszedł. Gabriel połknął dwa dafalgany, posmarował policzek i skroń maścią z apteczki, którą znalazł w łazience. Przy ucisku na łuk brwiowy czuł przeszywający ból, który jednak przypominał mu, że żyje i że naprawdę ledwie się wywinął. Wyczerpany, padł na łóżko, jakby jego ciało nagle postanowiło zrzucić z siebie napięcie ostatnich dni. Zapadł w ciężki sen pozbawiony jakichkolwiek obrazów.

Obudził się około czternastej. Zajrzał do lodówki, znalazł próżniowe opakowania z szynką i tartą marchewką i zjadł wszystko bez smaku. Niedługo będzie musiał zrobić zakupy, zadzwonić do właściciela, by go poinformować o wymianie zamka, zajrzeć do papierów i umówić się na wizytę lekarską w związku z problemami z pamięcią. A potem oczywiście poszukać jakiejś pracy, bo saldo na jego koncie nie będzie wiecznie dodatnie. Ale jak znaleźć robotę, jeśli człowiek ma mózg w rozsypce? Co wpisać w CV? Był żandarmem, śledczym. Sagas i dom w Albion to było całe jego życie. Poprzednie życie.

Rozejrzał się dookoła po tych nędznych pokojach, pozbawionych kolorów i dekoracji. Doskonale się wpisywały w stereotyp samotnego mężczyzny bez przeszłości i przyszłości, bez projektów na życie. Już teraz drżał na myśl o kolejnych tygodniach: co z nim będzie? Dopóki był w ciągłym ruchu, dopóki usiłowano go zabić, nie miał czasu na rozmyślanie. Czy jest coś gorszego niż siedzieć samemu przy stole i gapić się na pustą ścianę? Niż słyszeć ponure stukanie widelca o własny talerz? Oto dlaczego nigdy nie przestał szukać córki. Te poszukiwania były maleńkim płomykiem, który utrzymywał go przy życiu. Bez tego chimerycznego celu skończyłby jak matka Mathilde.

Gdy tylko o tym pomyślał, wygrzebał z kieszeni karteczkę z numerem Josiane Lourmel. Wciąż nie mógł zapomnieć jej twarzy, a teraz poczuł ochotę, by do niej zadzwonić. Ale po co? By jej opowiedzieć, że jej córka wpadła w łapy sadysty, a potem została sfotografowana na stole sekcyjnym? Że jakiś szaleniec namalował jej portret jej własną krwią? Z żalem zmiął karteczkę i wyrzucił ją do kosza. Kiedy to zrobił, zaczął się zastanawiać, czy podczas tych zapomnianych lat miał jakieś życie uczuciowe. Czy spotykał się z jakimiś kobietami poza Wandą?

Włożył naczynia do zlewu i sięgnął po telefon. Już teraz czuł szaloną potrzebę, by zadzwonić do Paula. Czy jest już w Paryżu? Czy udało mu się porozmawiać z fotografem i zdobyć nazwisko prawnika? Gabriel wściekał się, że musi tutaj tkwić bezużyteczny, podczas gdy Paul był tam. Kręcił się w kółko.

Żeby się czymś zająć, uruchomił wyszukiwarkę internetową w telefonie. Nawet zamknięty w mieszkaniu mógł próbować ustalić, co łączyło Caleba Traskmana z Henrim Chmielnikiem. Może Google pokaże mu powiązania między nimi – choćby jak i gdzie się poznali.

Wstukał hasło „Caleb Traskman, Henri Chmielnik” oraz „Caleb Traskman, Arvel Gaeca”, ale ani jedno, ani drugie wyszukiwanie nie przyniosło sensownych rezultatów. Nie było żadnego wspólnego zdjęcia tej dwójki ani artykułów, w których obydwaj byliby wymieniani. W wirtualnym świecie ci artyści mieli ze sobą tyle wspólnego, co papież z żółwiem z Galapagos. Jeśli się spotykali, robili to w absolutnej dyskrecji.

Samo hasło „Arvel Gaeca” też nie dało żadnych wyników. Chmielnik był więc zupełnie nieznany jako malarz. Jego dzieła pozostawały anonimowe, poufne, z pewnością przekazywane z ręki do ręki poza oficjalnym obiegiem. Z założenia były to więc prezenty, które rozdawał tym i owym. Gabriel pomyślał, że „prezent” to nie jest najwłaściwsza nazwa. Bardziej pasowało słowo „trucizna”.

Skasował hasło „Arvel Gaeca” i wpisał „Caravaggio”, nazwisko ulubionego artysty belgijskiego przedsiębiorcy. Pogрузzył się w lekturze. Tak, to było to: genialny włoski malarz zabił swojego przeciwnika w pojedynku i musiał dokonać żywota na wygnaniu.

Gabriel wczytał się w jego biografie. Przebiegł wzrokiem fragment o jego młodości – samobójstwo ojca, śmierć matki, gdy artysta miał czternaście lat, straszliwa samotność. Skubany Caravaggio, prawdziwy geniusz, tworzył jedno za drugim wspaniałe dzieła, które jednak były przesiąknięte przemocą. Zmieniał sceny z Ewangelii na obrazy z życia codziennego. Pod jego pędzlem przestępca mógł mieć łagodne oblicze, a człowiek niewinny – emanować brzydotą. Skupiał się na tym, co negatywne, na ukazywaniu drugiej strony medalu, na przemocy w jej szokującym, niepokojącym, urzekającym pięknie.

Na widok obrazu *Judyta i Holofernes* Gabriel zadrżał. Odcinanie głowy, poderżnięte gardło, krew tryskająca z żył. Pod względem siły przyciągania te płótna były o lata świetlne przed obrazami Gaeki, ale Gabriel dostrzegał między jednymi i drugimi punkty wspólne. Zwłaszcza w przypadku obrazu *Głowa Meduzy*, z którego Belg z całą pewnością czerpał inspirację, gdy malował mrozące spojrzenia i wijące się włosy Julie i Mathilde.

Ostatnie lata Caravaggia były szczególnie mroczne. Po ucieczce na Malte, oskarżony o gwałt i sodomie, trafił do więzienia. Udało mu się stamtąd uciec i schronić w Neapolu. Namalował samego siebie jako pokutującą ofiarę: wiele obrazów, które stworzył, miało za cel odkupienie popełnionego morderstwa. Gabriel zatrzymał się przy *Dawidzie z głową Goliata*. Caravaggio namalował na

nim siebie jako „wcielenie zła”. Wypukłe nerwy i ścięgnięta na szyi, ogromne czarne oczy wyrażające absolutny chłód – podobieństwo do obrazów Gaeci było niezaprzeczalne.

Dalej Gabriel wyczytał, że zdaniem niektórych specjalistów Caravaggio przedstawiał najpodlejsze okrucieństwo, niczego przy tym nie odczuwając. Aby ocenić sugestywność swoich dzieł, chciał zobaczyć lęk i odrazę w oczach widzów, którzy przychodzili podziwiać jego prace. Czyżby Arvel Gaeca go naśladował, ofiarując te przekłete portrety swoim znajomym? Czy kiedy po raz pierwszy patrzyli na jego obrazy, obserwował każde drgnienie ich źrenic, wyraz ich oczu? Czy odczuwał wtedy szczególną rozkosz i mówił sobie w duchu: „Widzicie te potworności, ale nie wiecie, że one istnieją naprawdę”?

Gabriel w zamyśleniu wypił szklanekę wody. Przeczuwał głęboką więź między Traskmanem i Gaecą, nic Ariadny, która wykraczała daleko poza zwykłe fizyczne spotkania, niewidzialne połączenie na poziomie umysłu. Tak jakby – jak powiedział Paul – ci dwaj mężczyźni nie byli tacy jak reszta ludzkości. Istnieli osobno, malowali czy pisali zakazane treści. Zamknięte w sobie istoty, owładnięte przez swoje demony.

Otworzył galerię w swoim telefonie. Paul miał rację, powinien usunąć fotografie zwłok. Wyświetlił w powiększeniu zdjęcie Rosjanina i oczami duszy ujrzał siebie w magazynie, twarzą w twarz z wcieloną śmiercią. Przypomniał sobie, jak stał związany, poczuł na twarzy oddech oprawcy i brutalność jego ciosów. Zobaczył, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Spróbował się uspokoić.

Znowu spojrzął na kata. Arvel Gaeca udostępnił mu – wyglądało na to, że od lat – pomieszczenie i kwas do likwidacji zwłok. Traskman o tym wiedział. I z pewnością wiedział ktoś jeszcze. „Bo mi za to płacą. To moja robota”, powiedział Rosjanin. Kim jest człowiek, który wciąż siedzi za sterami tej potwornej maszynierii? Co za demon płaci za rozpuszczanie innych ludzi? Kim były nagie ofiary nasączone formaliną? Skąd pochodziły? Dlaczego zginęły?

Gabriel przeszedł do zdjęć ofiar. W mocnym świetle lampy błyskowej ich twarze wyglądały jak wykonane z tłustego wosku i przeraźliwie odcinały się na tle czarnych worków na zwłoki. Dwie kobiety. Czterdzieści, pięćdziesiąt lat, trudno powiedzieć, zważywszy na gumowaty wygląd ich skóry. Przesunął palcem po ekranie i wyświetlił kolejne ujęcia wykonane pod różnymi kątami.

Nagle cofnął obraz. Na lewym biodrze, na granicy suwaka, znajdował się jakiś napis. Powiększył. Wyglądało to jak pieczęć – napis był wykonany kursywą, a dookoła widać było czarną obwódkę. Część była zakryta, ale drugą dało się odczytać:

**Medyczny
stoku: K417**

Przypominało to jakiś wschodnioeuropejski język. Kobieta została opieczętowana jak zwierzę. Poczuli uderzenia serca aż w opuszkach palców, przejrzał zdjęcia drugiej denatki, wybrał to, na którym również widać było biodra. Szczęśliwym trafem ten zamek rozpiął bardziej i brzegi pokrowca były szerzej rozsunięte. Tym razem napis, również w obwódce, widać było w całości:

**Uniwersytet Medyczny
w Białymstoku: K442**

Serce zaczęło mu walić jak szalone. Wrócił do internetu i wstukał tekst w okienko translatora, który natychmiast rozpoznał język. Polski.

Kiedy wszystkie elementy układanki w jego głowie wskoczyły na właściwe miejsca, Gabriela zalały kaskady emocji. Opieczętowane i ponumerowane zwłoki, uniwersytet, zapach formaliny: to musiały być ciała oddane do celów medycznych, nasączone substancjami konserwującymi, żeby studenci mogli na nich ćwiczyć. Gabriel miał już do czynienia z tym zjawiskiem przed co najmniej dwudziestu laty w ramach jakichś zwariowanych otrzęsin. Przypominał sobie, że na uczelni widział odcięte głowy w akwariach, trupy pływające w głębokich przezroczystych basenach, ręce i nogi rozkładane na stołach sekcyjnych z taką swobodą, jakby rozdzielano pocztę. One również były obowiązkowo oznakowane, by można je było zidentyfikować i określić ich miejsce pochodzenia.

Ale po co wywozić zwłoki przeznaczone do celów naukowych w Polsce, by następnie rozpuścić je w kwasie w Belgii? To nie miało żadnego sensu. Całkowicie zdezorientowany i pełen niedowierzania szukał dalej. Białystok. Mniej więcej trzystutysięczne miasto na wschodzie Polski, kilkadziesiąt kilometrów od granicy z Białorusią.

Polska. Inny element – z innego etapu śledztwa. Bieszczady, część polskich Karpat, okolica, w której dom miał Henri Chmielnik. Pięćset kilometrów na południe od Białegostoku, dwa kroki od Słowacji i Ukrainy. Jak twierdziła jego żona, Chmielnik jeździł tam kilka razy w roku, by polować na wilki.

To nie mógł być przypadek. Gabriel uważnie przyjrzał się mapie. Zagubiony domek w sercu Karpat. Ta część Polski przyciągała jego oczy jak magnes. Przypomniawszy sobie chaotycznie zwisające korzenie na obrazach malarza:

drzewa... A potem monstrualny autoportret Chmielnika w jego dworku. Tę jego minę pełną wyższości i pobłażliwości. Jakby chciał powiedzieć, podobnie jak w przypadku obrazów z twarzami: „Widzicie, ale nie wiecie”. Co ukrywało to spojrzenie? Co się kryło w domku? Czy to tam Chmielnik malował te potworności?

Szybko przeszukał kieszeń kurtki i wyjął karteczkę, na której Simone Chmielnik zanotowała swój numer telefonu. Zawahał się: jeśli zadzwoni, znowu zwróci na siebie uwagę. Ale nie widział innego sposobu, żeby zdobyć potrzebne informacje. Odebrała po dwóch dzwonekach. Powiedziała, że dom nadal należy do niej i że od śmierci jej męża nikogo w nim nie było. Kiedy chciała wiedzieć, dlaczego się nim interesuje, Gabriel wyjaśnił, że wciąż szuka obrazów podobnych do tego, który jest w jego posiadaniu. Może jej małżonek jeszcze jakieś namalował i zostawił w Bieszczadach? Był gotów nawet wybrać się do Polski, żeby to sprawdzić.

Nie widziała przeszkód, ale nie wiedziała, gdzie jest klucz od domku – nie zdołała go znaleźć. Gabriel przekonał ją, by mimo wszystko podała mu adres. Poradzi sobie z wejściem do środka bez włamywania się. Jest żandarmem, wie, co robić. Obiecał jej, że ona również pozna prawdę, i zakończył rozmowę, wpatrując się w zabazgraną kartkę. Jego oczy znowu załśniły: wracał na polowanie.

W internecie wyszukał potrzebne informacje: do Polski leciało się dwie godziny i jak w przypadku wszystkich krajów Europy, do przekroczenia granicy wystarczał dowód osobisty. Szybko wszedł na stronę rezerwacji: połączenie Lille–Kraków istniało. Samolot startował o osiemnastej pięć, a bilet kosztował śmieszne pieniądze. W jego głowie powstał klarowny plan: w Krakowie wynajmie samochód, którym pojedzie w Bieszczady, a stamtąd do Białegostoku.

Zostały mu mniej niż trzy godziny. Od lotniska Lille-Lesquin dzieliło go jakieś dziesięć kilometrów. Da się zrobić.

Tropił fotografię jak podejrzanego, którego trzeba za wszelką cenę złapać. Paul wiedział, że kiedy pozna pochodzenie tego zdjęcia, odsłoni się przed nim jakaś część prawdy. To było tak, jakby od wielu godzin jechał niekończącym się tunelem i stopniowo dostrzegał jakiś blask, który rósł i rósł, by w końcu uderzyło go w oczy światło dnia.

Zadzwoił jego telefon. Martini.

– Mam informacje w sprawie telefonu Wandy Gershwitz – oświadczył prosto z mostu. – Tak naprawdę nazywała się Rada Boïkov, miała trzydzieści pięć lat i od trzech lat mieszkała w niewielkim bloku w centrum Halluin, miasteczka leżącego na granicy z Belgią. Dwadzieścia kilometrów od Lille.

Paul jechał zachodnią obwodnicą Paryża, zakorkowaną, choć nie było jeszcze szesnastej. Podkreślił głośność w słuchawce bezprzewodowej.

– Wygląda na to, że papiery ma w porządku, nienotowana, nic podejrzanego. Na razie niewiele więcej wiemy o niej i o jej pochodzeniu. Sprawdzamy połączenia przychodzące i wychodzące, ale jest jeden numer, który w ostatnich dniach wiele razy próbował się z nią połączyć: należy do Remiego Barteau, właściciela knajpki w Halluin. Skontaktowałem się z nim. Rada Boïkov pracowała dla niego jako kelnerka, odkąd zamieszkała w pobliżu. Martwił się, że się nie odzywa.

– No coś takiego – prychnął Paul, hamując gwałtownie na widok zwalniających samochodów.

– Barteau opowiadał mi o Moscato. Twierdzi, że pod koniec sierpnia Gabriel zaczął się regularnie stołować w jego lokalu. Rozmowy, żarty. Kilka razy widział, jak po zmianie zabiera jego pracownicę do samochodu. To tam się między nimi zaczęło.

Wszystko się zgadzało z wersją Gabriela. Boïkov zerwała z branżą i wtopiła się w ludność granicznego miasteczka, gdzie znalazł ją dzięki numerowi telefonu

od wdowy Chmielnikowej. Obserwował ją, a potem poderwał i zabrał do swojego mieszkania w Lille. Ciąg dalszy Paul znał.

Poinformował zastępcę, że ruszyły procedury w związku z willą Traskmana: śledztwem ma się zająć komendant lokalnej policji, poinformowany o sprawie. Szybko zakończył rozmowę. Musiał się skupić: samochody i motocykle pojawiały się ze wszystkich stron, zajeżdżały mu drogę, trąbiły. Pół godziny później cały w nerwach skręcił w zjazd porte Dauphine i ruszył avenue Bugeaud i rue Copernic. Przez pięć minut szukał miejsca, by wreszcie zaparkować przy parku Kléber-Trocadéro. Wysiadł z samochodu i odetchnął z ulgą. Był niedźwiedziem rzadko opuszczającym swoje góry, więc ostatnia godzina bardzo go wyczerpała.

Palais de Tokyo przywodził na myśl imponującą, olśniewająco białą grecką świątynię. Stał przy szerokiej alei z dużą liczbą drzew i haussmannowskich kamienic. We wschodnim skrzydle mieściło się paryskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Żandarm spojrzął na widoczną w tle wieżę Eiffla – miał wrażenie, że nie było go tu ponad dwadzieścia lat – zrobił pamiątkową fotkę i kolebiąc się jak kulawa kaczką, ruszył po schodach, które miał przed sobą. Celowo włożył cywilne ciuchy, kupił nawet bilet, wyłącznie na wystawę *Kostnica*. Wtopił się w tłum jako jeden z licznych zwiedzających. Szedł za strzałkami przez chaotyczną architekturę pałacu. Budynek żył i był codziennie kształtowany przez artystów, którzy rysowali lub malowali na jego ścianach, rozwalali korytarze, ryli w podłodze. Dzieło sztuki samo w sobie, pijane wolnością i nadmiarem.

Po niewysokich stopniach zszedł do podziemia, pokonał dwoje drzwi – w jednym stał ochroniarz, który sprawdził mu bilet – minął prywatną salę kinową i ruszył ciemnym korytarzem, ozdobionym czarno-białymi obrazami. Przeszedł obok dwóch czy trzech milczących osób opatulonych w kurtki i trafił do pierwszej sali. By stworzyć niecodzienną, niepokojącą atmosferę, odtworzono wszystko z najdrobniejszymi szczegółami: podłogę z białego linoleum, przytłaczający niski sufit, osiemnaście szuflad na zwłoki – po sześć w trzech rzędach. Nawet temperatura została sztucznie obniżona – było tu najwyżej dziesięć stopni. Paul musiał przyznać, że organizatorzy osiągnęli zamierzony efekt.

Na ścianach wisiały tablice z biografią artysty, jego inspiracjami, źródłami pomysłu na projekt *Kostnica*. Za pomocą guzików można było uruchomić autoprzewodniki z tymi samymi informacjami. Paul wcisnął jeden z nich i przestrzeń wypełnił monotony męski głos. Słuchając go, podszedł do rzędu szuflad, otworzył na chybił trafił jedną z nich i zobaczył wielkie zdjęcie umieszczone pod szkłem. Rozpoznał fotografię z albumu Esquimeta

przedstawiającą twarz przyciśniętą do metalowego blatu. Była podpisana „A.A.” i nosiła tytuł *Atak serca, 2014*.

Postanowił zajrzeć do kolejnych szuflad. Ponure zdjęcia wychynęły ze swoich grobów. *John Doe, śmiertelny upadek, 2013. HIV, 2011. Śmierć wskutek uduszenia, 2015. Oparzenia, 2016*. Kiedy na prowadnicach umieszczonych na czterech wałeczkach wyjechała dziesiąta szuflada, Paul poczuł, jak ściska mu się gardło. *Przyczyna śmierci nieznana, 2013*. Zbliżenie na udo ze znamieniem w kształcie końskiej głowy. Znalazł ją. Andreas Abergel rzeczywiście miał przed swoim obiektywem zwłoki Mathilde Lourmel.

Usłyszał jakiś szelest za swoimi plecami. Z przedsionka po lewej wyszła pięcioosobowa grupka. Usta w ciup, nikt się nie odzywał. Kątem oka popatrzył na Paula i wyszli. Trzasnęły drzwi i znowu zapadła cisza.

Żandarm zajrzał do ostatnich szuflad, po czym również ruszył w stronę tamtego przedsionka. Odsunął przypominającą kurtynę na budowie zasłonę z przezroczystego plastiku, a potem drugą, za którą jego oczom ukazało się jeszcze bardziej ponure pomieszczenie: środek zajmowały dwa wyłożone białymi płytkami stoły sekcyjne oświetlone przestarzałą lampą. Ściany również były wykafelkowane, stały przy nich imitacje gablot z wyposażeniem. Paul pomyślał o dawnych prosektoriach z lat czterdziestych dwudziestego wieku, jeszcze gorszych niż to, które znajdowało się w szpitalu w Sagas.

Odwróceniu do niego plecami kobieta i mężczyzna rozmawiali o jednym z wiszących obok nich zdjęć. Kiedy Paul zobaczył twarz faceta, zacisnął dłonie w kieszeniach w pięści: Andreas Abergel. Gestem dał mu do zrozumienia, że chciałby porozmawiać. Artysta skinął głową i uniósł palec, jakby chciał powiedzieć: „Chwileczkę”, i wrócił do rozmowy. Na jego plecach, na prążkowanej sztruksowej marynarce w kolorze słomy, leżał wystający spod czarnego kaszkietu kucyk: Paul pomyślał o śmiesznym hobbicie rodem z *Władcy Pierścieni*.

W oczekiwaniu na fotografa oglądał dalej. Przedmioty wystawione w gablotkach bardziej przypominały narzędzia kowala niż instrumenty chirurgiczne. Piły do sternotomii, młotki, szczypce. Na ścianach wirujące w tańcu śmierci części ciała – pozszywane żołądki, zwęglone twarze, podziurawione skóry. Sam był ze śmiercią za pan brat, bez trudu jednak wyobrażał sobie szok zwiedzających na widok tych mrozących krew w żyłach eksponatów – ofiar wypadków, oparzeń, uduszeń...

Jedno zdjęcie zostało wykonane z poziomu stalowego blatu. Na pierwszym planie widać było palce u stóp nieboszczyka, a dalej, początkowo wyraźne, a dalej rozmyte, nieregularne cięcie wykonane przez patologa od wzgórka łonowego aż po obojczyk. Paul zastanawiał się, co powoduje ludźmi

przychodzącymi podziwiać te potworności. Czego szukają w nędznej śmierci bliźniego? Co ich podnieca w tych nieboszczykach?

Zatrzymał się przy olbrzymim oku na prawo od wejścia. Ekspонат znajdował się pod kwadratową szybą o boku długości co najmniej metra. W wielkim czarnym słońcu rozszerzonej źrenicy wyraźnie odbijał się jasny owal lampy. Powieka zdawała się zbyt ciężka, niebieskawy kolor kości nosowej przypominał, że zimna, nieuchronna śmierć dopełnia swego dzieła.

Ta wizja przeniknęła go na wskroś. Trwało to nie dłużej niż ułamek sekundy, nieuchwytny moment, w którym miał wrażenie, jakby obcował z czymś znajomym. Nie chodziło o spojrzenie, ale raczej o czyjaś obecność, która kryła się w tym oku.

Podszedł do zdjęcia *Otruta, 2017*. Z bliska oko przypominało gigantyczną mroczną studnię.

– Zauważył pan światło lampy bezcieniowej? – zapytał jakiś głos za jego plecami. – To okno, obraz życia, który stopniowo gaśnie, żeby zostawić miejsce śmierci. To właśnie ono przyciąga pańską uwagę i łączy pana z *Otrutą* w chwili dramatycznej kontemplacji.

Paul znieruchomiał. Dlaczego to zdjęcie tak go poruszyło? Andreas Abergel obserwował go kątem oka. Miał rzadkie brwi przypominające wykarczowany las i mięsiste wargi, które wyglądały jak dwie przylegające do siebie opony.

– Czym otruta?

Artysta zdawał się zaskoczony jego pytaniem. Przez moment wpatrywał się w rozmówcę ostrym, palącym, zbijającym z tropu wzrokiem, po czym trochę się odsunął. Inne zdjęcie ukazywało pulchne stópki dziecka: na jednej zawiązano niebieską wstążkę. *Zapalenie opon mózgowych, 2011*. Abergel milczał dłuższą chwilę, jakby się zachwycał własnym dziełem.

– Mogłem nazwać tę pracę *Bezwstydna śmierć*. Pokazuję tu coś, czego nie powinno się pokazywać: śmierć zabierającą niemowlę. Czy istnieje coś okrutniejszego? To zdjęcie zawsze wzbudza gwałtowne reakcje, nie żebym był z tego niezadowolony. W dziewiętnastym wieku nieboszczyków traktowano tak jak żywych, ubierano ich, układano w odpowiedni sposób, żeby umieścić ich podobizny w rodzinnym albumie. Jest przecież wiele portretów matek ze zmarłymi dziećmi w ramionach. A sławni ludzie, taki Hugo czy Proust, których zdjęcia na łożu śmierci wystawiono na widok publiczny?

– Czym otruta? – powtórzył Paul, który wciąż stał bez ruchu.

Mężczyzna wrócił do niego i bez mrugnięcia wpatrywał mu się w oczy.

– Taką informację otrzymałem z mojego źródła. Otruta, to wszystko.

Paul skinął głową i powoli ruszył dalej. Abergel szedł za nim.

– Zanim sfotografuje pan te ciała, wie pan, skąd pochodzą?

– Niekoniecznie. W moim zawodzie rzeczywiście niezbędne jest poznanie obiektu, żeby go nie zdradzić, ale kiedy ma pan przed sobą nieboszczyka, to inna sprawa. W przypadku *Kostnicy* wyzwaniem nie było to, żeby poznać, jacy byli ci ludzie, ale żeby przekazać piękno formy, niejako nadpisać osobowość zmarłego na brzydocie tematu. Właśnie to jest takie poruszające. Żeby osiągnąć zamierzony efekt, musiałem dużo pracować kolorami i materiałami.

– Czy mogę panu pokazać jedno zdjęcie po drugiej stronie? Chciałbym, żeby je pan skomentował.

– Po to tu jestem w każde popołudnie.

Przeszli przez przedsionek. Paul wysunął szufladę numer dziesięć i ich oczom ukazało się udo ze znamieniem. Abergel stanął naprzeciw rozmówcy, po drugiej stronie metalowej platformy.

– *Przyczyna śmierci nieznana* – wyrecytował głosem niemal nabożnym. – To sprzed kilku lat. Co panu mówi to zdjęcie?

– To pana chciałem o to zapytać.

Artysta zdawał się puszczać mimo uszu ton, jakim Paul się do niego zwracał.

– Czy pan wie, że istnieje około stu czterdziestu sposobów umierania? Niektóre są widowiskowe i łatwe do nazwania, nawet dla nowicjusza: utopienie, uduszenie, powieszenie, zastrzelenie z broni palnej. Inne trudniej określić, wymagają oględzin specjalisty: zawał, tętniak, zator płucny. Najczęściej, dysponując zdobyczami dzisiejszej nauki, patologowi udaje się wskazać przyczynę zgonu, nawet w bardziej skomplikowanych sytuacjach. Ale istnieją jeszcze tak zwane białe sekcje. Z braku jednoznacznego wniosku jedyna diagnoza, jaką może postawić patolog, polega na wykluczeniu: przyczyną zgonu nie jest to ani tamto. Nie ma jednak możliwości, by dojść prawdy. Tak było w przypadku tej ofiary. – Wskazał na znamię urodzeniowe. – Bardzo lubię to zdjęcie. To swoisty paradoks, a raczej rodzaj kompensacji. Pomyślałem, że choć przyczyna śmierci jest nieznana, sama nieboszczyka nie powinna być anonimowa. Nie pokazując jej twarzy, pokazuję, kim jest, za pośrednictwem tego charakterystycznego znamienia na udzie. W przeciwieństwie do innych fotografii ten obraz emanuje spokojem. Być może śmierć z nieustalonej przyczyny jest łagodna, bezbolesna dla osoby, która jej zaznała. Chciałem pokazać tę łagodność.

Paul słuchał tej gadki jednym uchem. Wyjął telefon i pokazał Abergelowi zdjęcie Mathilde, które znalazł w internecie.

– To ona?

Artysta przez kilka sekund z uwagą przyglądał się fotografii. Wzruszył ramionami.

– Nawet gdybym wiedział, nie mógłbym panu powiedzieć ze względu na poufność. Ale w tym przypadku akurat nie pamiętam. To było siedem lat temu, a człowiek po śmierci może wyglądać zupełnie inaczej niż za życia, wszystko zależy od jego stanu. Poza tym niech pan sobie wyobrazi, że w ciągu trochę więcej niż pięciu lat widziałem kilka setek trupów. Na tej wystawie jest tylko część, ale w albumie, również zatytułowanym *Kostnica*, do nabycia w tutejszej księgarni, znajdzie pan obszerniejszą ikonografię. – Musiał podnieść głowę, żeby spojrzeć Paulowi w oczy. – Ale kim pan jest? Dziennikarzem?

Nadszedł czas, by podnieść poprzeczkę. Podstawił mu pod nos legitymację.

– Paul Lacroix, kapitan żandarmerii. Jestem tutaj w związku z zaginięciami kilku osób. Dziewczyna, którą panu pokazałem, nazywa się Mathilde Lourmel, została porwana w dwa tysiące jedenastym roku w Orleanie. Na lewym udzie miała dokładnie takie samo znamię urodzeniowe w kształcie głowy konia.

Weszła jakaś para. Fotograf się obejrzał. Skinął na Paula i razem oddalili się od ciekawskich uszu. Zdjął kaszkiet, który trzymał teraz oburącz przed sobą.

– Chce mi pan powiedzieć, że to ta... Że ona leżała przede mną na stole sekcyjnym dwa lata po porwaniu?

– Otóż to.

Oparł się o ścianę, jego wzrok stał się mętny. Paul zauważył krótkie i pulchne palce mężczyzny – wypisz wymaluj kielbaski koktajlowe.

– Niech mi pan jeszcze raz pokaże to zdjęcie. Chcę się jej przyjrzeć.

Paul spełnił jego prośbę. Andreas Abergel wpatrywał się w wyświetlacz, jakby zagubiony w zakamarkach własnej pamięci.

– Mój kontakt wyjął ciało z szuflady kostnicy, potem umieściliśmy je na stole sekcyjnym. Tak, pamiętam, że to była kobieta. Uderzyło mnie, że jest taka młoda. Jak ścięty polny kwiat. Niewykluczone, że to ona.

Paul gotował się od środka.

– Wspominał pan o białej sekcji. Czyli denatka trafiła pod skalpel patologa, zanim ją pan zobaczył?

– Tak, miała charakterystyczne nacięcia.

– To znaczy, że musiało się odbyć policyjne śledztwo. Czy wie pan, w jakich okolicznościach znaleziono ciało?

– Nie, nie. Mówiłem panu, patolog nie przekazywał mi aż takich szczegółów. Musi pan sobie wyobrazić kontekst: spotykaliśmy się dwa, trzy razy w roku, wpuszczał mnie nocą do kostnicy, ryzykował utratę zawodu, im mniej mi opowiadał, tym lepiej dla niego. Sprawdzał wszystkie moje zdjęcia, żeby mieć pewność, że żadna twarz nie zostanie zidentyfikowana. Podczas spotkań przedstawiał mi przyczyny zgonu i mówił dwa, trzy zdania na temat ofiar, to wszystko.

Paul nie rozumiał. Jeżeli odbyło się śledztwo, musiały zostać pobrane próbki DNA do identyfikacji. Wyniki powinny być się pokrywać z danymi Mathilde Lourmel w bazie. O co tu chodziło? O zamknięte w szufladzie, niezgłoszone ciało po wykonanej sekcji? O przemyt zwłok?

Przez głowę przemknęła mu straszna myśl i nagle oblał go pot. Jak więzień odtwarzanego w zwolnionym tempie filmu odwrócił się w stronę gigantycznego oka, tej wielkiej, wciągającej go atramentowej studni, tej tęczątki ograniczonej do cienkiej obwódki, przypominającej słońce podczas całkowitego zaćmienia. Już wiedział, co nim tak wstrząsnęło w chwili pierwszego spotkania z tym dziełem.

Jego dłoń z telefonem zaczęła drżeć. Z trudem wyświetlił zdjęcie.

– A ta? Widział ją pan?

Tym razem Andreas Abergel nie wahał się ani przez chwilę.

– Tak, widziałem. Niestety w takich samych okolicznościach. Ta kobieta to *Otruta*, którą uwieczniłem w dwa tysiące siedemnastym. Wydaje mi się, że była starsza niż na pana zdjęciu, ale jestem pewien, że to ona.

Paul miał wrażenie, że tonie w objęciach bezlitosnej fali, która ponieważ nim, odbierając mu tlen. Oto znienacka, w ponurej sali centrum sztuki współczesnej, z ust nieznanego człowieka dowiedział się, że *Otruta* to Julie. Julie nie żyje.

Zaszeleściła plastikowa zasłona przedsionka, para kontynuowała zwiedzanie. Paul przyskoczył do nich z legitymacją służbową. Miał nogi jak z waty i przez chwilę zastanawiał się, czy się nie przewróci.

– Spadajcie stąd.

Goście zawrócili bez słowa, zbici z tropu. Paul wrócił do Abergela, usiłował się nie rozsypać. Wiedział, że dopóki płynie niesiony falą, dopóki jej prądy szarpią go i rzucają nim na wszystkie strony, dopóty się nie załamie. Ale musiał działać szybko, bo wkrótce morze miało się cofnąć i wyrzucić go na plażę. Dopiero wtedy będzie mógł wypłakać oczy.

Fotograf podszedł do ogromnego oka i przyglądał mu się, jakby po raz pierwszy widział własne dzieło. Jego policzki przecinały dwie pionowe bruzdy przypominające skrzela rekina.

– Niech mi pan nie mówi, że ona też zaginęła.

– Potrzebne mi dane tego patologa.

Andreas Abergel ujął głowę w obie dłonie.

– Chyba nie mam wyboru?

– Albo mi je pan poda, albo od razu pana zgarniam. Tak czy owak do niego dojdziemy. Więc proszę, niech mi pan pomoże zyskać na czasie.

Artysta zaciskał zęby. Przez kilka sekund wpatrywał się w źrenicę, po czym westchnął i stanął naprzeciw żandarma.

– Ten lekarz to kobieta. Pracuje w instytucie medycyny sądowej w Lyonie i nazywa się Coralie Fritsch.

O budził się, kiedy podwozie airbusa A320 gwałtownie uderzyło o nawierzchnię pasa startowego portu lotniczego imienia Jana Pawła II w Krakowie. Tuż po starcie z Lille-Lesquin Gabriel zapadł w sen i ani się obejrzał, jak minęły dwie godziny lotu. Lekko otumaniony, wyjął sportową torbę ze schowka nad fotelem i szybko włączył komórkę. Żadnych nieodebranych połączeń.

Gdy wsiadał z innymi pasażerami do autokaru, który miał ich przewieźć do gmachu lotniska, uderzył go przenikliwy chłód. Musiało być niewiele powyżej zera. Gabriel uświadomił sobie, że w dwa tysiące dwudziestym roku wszystko odbywa się o wiele szybciej niż kiedyś: odprawa pasażerów, kontrole – z racji obrażeń twarzy przyglądano mu się tylko odrobinę baczniej. Wymienił euro na złotówki, a następnie odebrał z parkingu Avis niewielki wynajęty samochód – zasugerowano mu opcję viaTOLL, dzięki której nie będzie musiał płacić za przejazd autostradą na każdej bramce. Włączył GPS i wpisał adres domku Chmielnika: Nasiczne. To właściwie nie był adres, ale nazwa miejscowości. Zdaniem wdowy powinien przejechać drogą wojewódzką numer 896 i około sześciu kilometrów od granic wsi skręcić w las, w dróżkę, która doprowadzi go do miejsca przeznaczenia.

Jego urządzenie wskazywało, że czeka go mniej niż dwieście kilometrów – około czterech godzin jazdy. Jego plan był prosty. Dojedzie na miejsce około północy. Znajdzie jakiś nocleg, nazajutrz skoro świt pojedzie rzucić okiem na domek, a potem ruszy do Białegostoku, na tamtejszy Uniwersytet Medyczny. Wjeżdżając na autostradę A4, Gabriel wciąż nie mógł uwierzyć, że z plaży na północy Francji, którą spacerował tego ranka, intuicja zaprowadziła go aż do Polski.

Przed odlotem zrobił jeszcze rozeznanie na temat Bieszczadów i polowań na wilki, których wielbicielem miał być Arvel Gaeca. Takie polowania rzeczywiście się odbywały, i to na szeroką skalę. Ta część Karpat znana była z licznych

agencji polowań, które zajmowały się organizacją całego pobytu. Za kilka tysięcy euro majątni obcokrajowcy, miłośnicy flinty, fundowali sobie zastrzyk emocji: wyjątkową eskapadę z pozwoleniem polskiego rządu na wywóz trofeum w postaci czaszki i skóry zwierzęcia. Krwawa gałąź turystyki, która umożliwiała przetrwanie jednemu z najbiedniejszych zakątków kraju. Jednym z takich drapieżników był Arvel Gaeca. Pośród mroźnych gór i lasów miał własną tawernę, tak jak zwierzęta, które łąpał. Wilk wśród innych wilków.

Autostrada przecinała niekończące się pustkowia, światła skody drażyły noc. Im dalej na wschód, tym ruch był mniejszy. Minął kilka tirów z lśniącymi cysternami na ukraińskich i niemieckich tablicach, na wysokości Pustyni opuścił autostradę i dalej jechał nieoświetlonymi drogami krajowymi. Kiedy po raz pierwszy wjechał w dziurę w asfalcie, myślał, że rozwalił przednią oś. Zaczął bardziej uważać.

Krajobraz – łyse równiny i lasy – zdawał się to rozciągać, to ścisnąć. Gwiazdy lśniły, a blask księżyca w nowiu kładł się na okolicy delikatną bursztynową poświatą. Termometr na desce rozdzielczej wskazywał jeden stopień. Później, kiedy samochód zaczął się wspinać na wzgórze, pod sklepieniem z gałęzi, które w wyobraźni Gabriela były jak ręce zaciskające się na masce, temperatura spadła do minus jednego. Karpaty nie były w tym miejscu granitowymi olbrzymami, jak sądził wcześniej, ale ciągnącą się po granice z Ukrainą i Słowacją ziemią dziewiczych dolin i lesistych wzgórz.

Od tej chwili aż do Nasicznego nie minął ani jednego samochodu. W ciemności zobaczył garstkę domów z bali i betonowych bloczków, puste obozowisko harcerzy i starą drewnianą cerkiew. Dalej zauważył tablicę w kształcie głowy wilka, z namalowanym łóżkiem, strzałką w lewo i napisem: „Wolf Inn”. Wilczy Zajazd. Cały program.

Zaparkował niedaleko wielkiej nowiutkiej terenówki. Wszedł do recepcji i poczuł się jak obserwowana zwierzyna. Siedząca przy barze mieszczącym się w kolejnej sali grupa mężczyzn w bluzach khaki i drelichowych spodniach, z kufkami piwa w rękach, odwróciła głowy w jego stronę. Gdyby Gabriel szukał atmosfery bardziej zawieszistej niż w hotelu Falaise, znalazłby ją tutaj. Pomyślał o klimatach rodem z *Drakuli* Brama Stokera. Cały wystrój, wszystkie elementy dekoracji były związane z polowaniem i podaniami o wilkach. Na drewnianym cokole królował nawet jeden wypchany osobnik. Z uniesionymi wargami i zmarszczonym pyskiem uosabiał bestię, którą trzeba zabić.

Recepcjonista zagadnął do niego łamanym angielskim. Gabriel nic nie rozumiał z tego bełkotu i poprosił o konkrety. Cena za nocleg zwałała z nóg – ekwiwalent stu pięćdziesięciu euro – ale zapłacił bez szemrania. Zabrał klucz, wszedł na piętro i otworzył drzwi. Wbrew jego oczekiwaniom pokój był wart

swojej ceny: łóżko *king size*, duża wanna z jacuzzi, szlachetne materiały. A do tego niezwykle efektowny szczegół: ślady wilczych łap odbite w posadzce z woskowanego betonu.

Dochodziła pierwsza w nocy. W dalszym ciągu nie miał wieści od Paula. Czyżby trop zdjęcia był ślepą uliczką? Może Paul nie znalazł na wystawie Abergela fotografii znamienia? Jedno wiedział na pewno: jego były kolega spadłby z krzesła, gdyby się dowiedział, gdzie Gabriel jest w tej chwili.

Umył się szybko. Zdjął dżinsy, ale wyjął z kieszeni zapalniczkę i teraz trzymał ją w dłoni: miała wygrawerowany kształt wilczej głowy. Cóż za dziwny zbieg okoliczności. Wszedł do zimnej jeszcze pościeli i wykrzesał iskłę. Z eleganckim westchnieniem zapalniczka zassała tlen i rozbłysła w ciemności. Zdmuchnął płomień z głębokim przekonaniem, że jego wyprawa do tego dziwnego kraju nie będzie daremna.

Już o świcie Benjamin Martini był w drodze. Musiał pokonać dwieście kilometrów, by dotrzeć do Lyonu i spotkać się z Paulem w hotelu B&B przy rue Antoine Lumière, pięć minut od instytutu medycyny sądowej. Umundurowany szef czekał na niego w barze nad filiżanką kawy. Wory pod jego oczami wskazywały na ciężką noc. Mężczyźni powitali się solidnym uściskiem dłoni. Martini zamówił espresso.

– Nie mówiłeś nikomu oprócz sędziego? – zaczął Paul prosto z mostu.

– Nie. Mogę zerknąć na to zdjęcie?

Paul przekartkował katalog wystawy *Kostnica*, który osobiście podarował mu Abergel w księgarni Palais de Tokyo, i znalazł właściwą stronę.

– Jakież dziwne. Trudno mi uwierzyć, że to jej oko.

– Tutaj wygląda inaczej – wyjaśnił Paul. – Żebyś to zobaczył w rzeczywistych rozmiarach! Skóra cierpnie. Porównałem z cyfrowymi portretami Julie w powiększeniu, tymi, które były obrabiane w programie do postarzania zdjęć. Układ kolorów, plamki na tęczę: to ona, nie ma żadnych wątpliwości.

Martini pobieżnie przejrzał książkę i z poważną miną oddał ją Paulowi.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Będę musiał im powiedzieć. Corinne, Gabrielowi... – Przesunął dłońmi po twarzy. Westchnął. – Szlag. To jest moment, którego zawsze się bałem w tym śledztwie. Chwila, w której się dowiemy, że ona nie żyje. Ale co innego przeczuwać, a co innego wiedzieć. Gdzieś tam zawsze się tliła iskierka nadziei.

Kelner przyniósł espresso. Martini przyłożył brzeg filiżanki do ust i w milczeniu upił łyk. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Jego szef wyglądał na wstrząśniętego. Paul pokręcił głową i wrócił do śledztwa.

– Coralie Fritsch ma czterdzieści cztery lata i od piętnastu lat pracuje w Lyonie jako patolożka. Andreas Abergel mówi, że zaprosiła go do

prosektorium, ponieważ sama jako miłośniczka sztuki współczesnej podziwiała jego twórczość. W ciągu pięciu lat był tam jakieś dwadzieścia razy.

– I wpuszczala go do budynku w nocy, żeby nikt nie zobaczył.

– Właśnie. Zadzwoń tam z samego rana. Sekretarka powiedziała, że Coralie Fritsch jest w grafiku i ma dziś przeprowadzić dwie sekcje, z których pierwsza jest o dziesiątej. Złapiemy ją na miejscu, zanim zabierze się do roboty. Przyciśniemy ją, zobaczymy, jak zareaguje. Nie jest tu jedynym patologiem, mogła pokazywać Abergelowi zwłoki, których sama nie badała. Musimy mieć pewność.

Benjamin Martini w skupieniu skinął głową.

– Przez ręce tutejszych lekarzy przeszły Julie, Mathilde Lourmel i być może inne ofiary. Jedna z Sagas, druga z Orleanu. W sprawę zamieszanych było dwoje Rosjan i jeden pisarz, który przetrzymywał Julie w swoim domu ponad siedemset kilometrów stąd. Cholera, Paul, co tu jest grane?

Nie wspominając już o strasznych obrazach Arvela Gaeki i bezimiennych ciałach rozpuszczonych w kwasie, pomyślał Paul. Martini widział tylko końcówkę włóczki z całego motka i już to wystarczyło, żeby nic z tego nie rozumiał. Paul zerknął na zegarek.

– Niedługo dowiemy się więcej. Kończ kawę, idziemy.

Ruszyli do samochodu Martiniego. Instytut medycyny sądowej mieścił się w ósmej dzielnicy, przy avenue Rockefeller. Budynek na planie litery „U”, o szarej fasadzie w stylu z lat trzydziestych, na terenie miasteczka uniwersyteckiego, w pobliżu szyn tramwajowych i supermarketu z żywnością ekologiczną. Zaparkowali samochód żandarmerii na parkingu zarezerwowanym dla personelu i weszli do środka. W recepcji dowiedzieli się, że Coralie Fritsch przyszła przed kwadrans i jest w swoim biurze. Wskazano im właściwy korytarz, piętro wyżej.

Paul zapukał w drzwi i od razu wszedł do środka. Patolożka w rozpiętym niebieskim fartuchu, spod którego widać było beżowy sweter, siedziała w fotelu i pisała coś na komputerze. Włosy w kolorze jasny blond okalały kanciastą, jakby wyrzeźbioną dłutem twarz, naznaczoną ciężkimi przeżyciami. Na widok mundurów przestała stukać w klawisze.

– O co chodzi?

Zimny, ochryply głos doskonale pasował do jej wyglądu. Paul podszedł bliżej i pokazał jej legitymację. Martini zamknął drzwi, zerknął na stary portret Alexandre'a Lacassagne'a – lekarza, który między innymi założył szkołę kryminologii – i stanął obok szefa.

– Żandarmeria z Sagas. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań w ramach prowadzonego śledztwa.

Popatrzyła na zegarek.

– Z tym że za piętnaście minut mam sekcję. Zaczynamy, jak tylko pojawią się kryminalni.

Paul podał jej katalog Andreasa Abergela, jednocześnie bacznie ją obserwując. Chciał zobaczyć, jak zmienia się jej twarz, jak strach ogarnia ją niczym zwierzę schwyte w pułapkę. Kiedy się zorientowała, z czym ma do czynienia, zacisnęła szczęki i mimowolnie zaczęła gładzić okładkę dłonią.

– Rozumiem, że pani poznaje? – zapytał Paul.

Podniosła wzrok i skinęła głową.

– Czy Andreas Abergel ma jakieś problemy?

– Jak na razie to pani ma problemy.

– Nie pogwałciłam tajemnicy zawodowej – rzuciła po chwili, jeszcze się usztywniając. – Pilnowałam, żeby zwłoki były niemożliwe do zidentyfikowania, sprawdzałam wszystkie zdjęcia, które robił. Cokolwiek pan na ten temat sądzi, robiłam to wszystko bardzo dokładnie, z szacunkiem dla integralności ciał.

Usiadła na fotelu. Choć usiłowała zachować dyrektywny ton, widać było, że jest mocno poruszona.

Paul pokazał jej zdjęcie artykułu poświęconego Mathilde Lourmel, opatrzonego wielkim tytułem *Zaginiona w Orleanie*. Na załączonym zdjęciu widać było uśmiechniętą twarz młodej kobiety.

– Niech mi pani o niej opowie.

Patolożka pokręciła głową.

– Nie wiem, o co chodzi. Nie rozumiem. Czego pan właściwie chce?

Kapitan pochylił się nad leżącym przed Fritsch katalogiem i zaczął przewracać kartki.

– Nie wie pani, o co chodzi. Proszę spojrzeć, to było dość dawno. Odświeżymy pani pamięć.

Znalazł właściwą stronę i zatrzymał palec wskazujący na znamieniu urodzeniowym w kształcie głowy konia. U dołu strony widniał podpis: *Przyczyna śmierci nieznana, 2013*.

– Takie znamię miała dziewczyna, która zaginęła w Orleanie. To znaczy, że zwłoki Mathilde Lourmel trafiły tutaj w dwa tysiące trzynastym. Z pewnością toczyło się w związku z nimi jakieś śledztwo. Rozumiem, że dysponuje pani stosownym raportem z sekcji?

Paul chciał ją przyprzeć do muru. Pokazać jej, że się nie wywinie. Znowu przyjrzała się zdjęciu, marszcząc brwi.

– Nie, nie kojarzę. Nie tylko ja tutaj pracuję, denaci, których fotografował Abergel, niekoniecznie byli moi. Mógł się nią zajmować któryś z kolegów.

Paul i Martini wymienili spojrzenia: spodziewali się takiej obrony.

– Proszę poszukać – nakazał stanowczo chorąży. – Chcemy mieć nazwisko.

Chwyliła myszkę. Kliknęła kilka razy, po czym wystukała coś na klawiaturze. Paul stanął obok niej za biurkiem. Poszukiwanie Mathilde Lourmel po nazwisku nie dało żadnych wyników.

– Nic. Ale wie pan, wykonujemy tu ponad osiemset sekcji rocznie i...

Kapitan podetknął jej pod nos zdjęcie Julie.

– Niech się pani uważnie przyjrzy i nie opowiada mi, że jej też pani nie pamięta. To było w dwa tysiące siedemnastym, raptem trzy lata temu. Też inny patolog?

Znowu pokręciła głową. Kiedy Paul poprosił ją, żeby pokazała mu akta Julie Moscato, nie znalazła ich. Poirytowany, przesunął ją, chwycił katalog z wystawy i pokazał jej zbliżenie martwego oka. Z impetem uderzył dłonią w blat, tak że kobieta aż podskoczyła.

– Widziała pani ten tytuł? *Otruta*. To znaczy, że znała pani przyczynę zgonu. Widziała pani tę młodą kobietę, wyjęła ją pani z szuflady i świadomie dała Abergelowi do sfotografowania, więc niech pani nie mówi, że pani nie wie, kto to jest!

– Jak się pani domyśla, nie przyjechaliśmy tutaj ot tak, mamy pewne informacje – dodał Martini. – To oko i znamię, które Abergel sfotografował w pani obecności, należą do ofiar, które zostały porwane i po których wszelki ślad zaginął. Nie trafiły tutaj przez przypadek. Pani nazwiska nie da się pominąć w tej sprawie.

– Cholera... Nie mam z tym nic wspólnego. To wszystko nie ma sensu. Dlaczego miałabym ryzykować wystawianie tych zdjęć na widok publiczny, gdybym miała sobie coś do zarzucenia? To nie ja je... – Nagle zamarła i nachyliła się nad okiem. Opuszką palca wskazującego dotknęła lśniącego prostokątka widocznego w rozszerzonej źrenicy. – To światło...

W nagłym przypiływie energii zaczęła szybko kartkować katalog. Paul i Martini popatrzyli po sobie bez słowa. Fritsch zatrzymała się na innym oku, wszystko wskazywało na to, że męskim, do połowy zasłoniętym niebieskawą martwą powieką.

– Jest. *Wypadek motocyklowy, 2015*.

Popatrzyła najpierw na jednego, a potem na drugiego z żandarmów.

– Pamiętam tego mężczyznę i większość zdjęć z tego albumu, ale tych, które mi pokazaliście, w ogóle sobie nie przypominam. I myślę, że wiem dlaczego. Muszę wam coś pokazać.

Wstała i wzięła katalog pod pachę. Ruszyli korytarzem, zeszli piętro niżej i dotarli do przestronnego holu z drzwiami do licznych pomieszczeń. Na wózku czekały jakieś zwłoki, pilnowane przez dwóch pracowników zakładu

pogrzebowego i jednego policjanta. Przez pomieszczenie przechodzili lekarze w towarzystwie studentów. Patolożka i żandarmi minęli szatnię pełną fartuchów oraz białych i zielonych gumowych butów. Prawdziwa fabryka, jak w Sagas, pomyślał Paul. Fritsch pchnęła podwójne drzwi, za którymi mieściło się puste prosektorium. Położyła katalog na stalowym blacie i otworzyła na *Wypadku motocyklowym*. Następnie jednym ruchem chwyciła i obróciła lampę bezcieniową na wysięgniku.

– Od ponad dziesięciu lat wszystkie nasze prosektoria są wyposażone w okrągłe lampy, takie jak ta, z jedną żarówką. Dla pewności możecie zapytać dyrektora. Pamiętam, że Abergel zwracał szczególną uwagę na oświetlenie, żeby uzyskać najlepszy efekt, przynosił własny sprzęt, aluminiowe reflektory. Chciał, żeby źródło światła wyraźnie się odbijało w źrenicy obiektu. Spójrzcie na zdjęcie i na tę lampę. Jest okrągła. Taka sama.

Żandarmi potwierdzili obserwację lekarki, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza. Fritsch znowu przekartkowała album, tym razem zatrzymując się na oku Julie. Zanim wyjaśniła, co ma na myśli, Paul zrozumiał. Jakby to było oczywiste.

– A przyjrzyjcie się teraz kształtowi lampy w źrenicy: jest eliptyczna i przede wszystkim są dwa źródła światła. Dwie żarówki. To jest inna lampa. Możecie przeszukać ten budynek wzdłuż i wszerz, znajdziecie tu tylko ten typ lamp. Zdjęć, które was interesują, Andreas Abergel nie zrobił w tym instytucie.

Kapitan poczuł, jak zżera go złość, jakby właśnie pociąg odjechał mu sprzed nosa. Abergel sam, z całą bezczelnością, zwrócił jego uwagę na odbicie światła w źrenicy. Jakby chciał mu pokazać prawdę, której w tamtej chwili Paul oczywiście nie był w stanie dostrzec. Posyłając go do Lyonu, zaśmiał mu się w twarz.

Energicznym ruchem Gabriel zapiął suwak skórzanej kurtki z futrzanym kołnierzem sięgającym po same uszy i wyszedł z hotelu. Był skostniały z zimna. Żałował, że nie wziął ze sobą czapki i rękawiczek. Była dziewiąta rano i jeden stopień powyżej zera. Gęsta, nabrzmiała wilgocią mgła owijała się wokół drzew: horyzont był teraz na wyciągnięcie ręki.

Wsiadłszy do samochodu, podkręcił ogrzewanie do maksimum, wrócił na drogę wojewódzką numer 896 i od momentu wyjechania z wioski obserwował drogomierz. Pięć kilometrów dalej zwolnił i zgodnie z instrukcją wdowy zaczął się wpatrywać w prawe pobocze. Znalazł skręcającą w las lekko pochyłą żwirową drogę, której obecności nie sygnalizował żaden drogowskaz. Po przejechaniu stu metrów trafił na ogrodzenie, które uniemożliwiło mu dalszą jazdę. Tablica z napisem w języku polskim: „Własność prywatna”. Domyślił się, co to znaczy. Metalowa brama zamknięta była na zwyczajną kłódkę.

Przez kilka minut szedł wzdłuż ogrodzenia rozciągniętego między pniami drzew. Wyglądało na to, że teren jest spory. Chwyając się gałęzi, bez trudu przeszedł na drugą stronę. Już sam spacer przez zamglony las robił wrażenie – a wilki zamieszkujące polskie Karpaty na pewno wyczuły go z odległości wielu kilometrów. Tylko czekał na wycie, które rozedrze ciszę, ale słyszał jedynie odgłos własnych kroków.

Dom stał pośród buków, klonów i białych świerków. Była to spora parterowa budowla z bali, o drzwiach rzeźbionych w rozety. Ciężkie okiennice były zamknięte. Doprowadzony do dachu przewód elektryczny ginął w ciemności: być może prowadził do posiadłości innego bogacza. Gabriel szybko obszedł budynek dookoła. Uznał, że jedynym sposobem na to, by się dostać do środka, będzie sforsowanie okiennic. Przyciągając skrzydło ze wszystkich sił, wygiął zasuwę, a następnie wybił szybę.

„Jestem żandarmem, wiem, co robić”, zapewniał wdowę. Pocieszał się, że nikt nie wniesie skargi. Przełożył rękę przez otwór, odblokował klamkę,

otworzył okno i wślizgnął się do środka. Dotknął kaloryfera: ogrzewanie ustawione było na minimum, co oznaczało, że w domu było co najmniej dziesięć stopni. Podłoga skrzypnęła mu pod stopami. Pokój dzienny z widoczną więźbą przecinały pionowo masywne drewniane bale. Z jednej strony duża kuchnia, z drugiej – salon pełniący funkcję jadalni. Na lewo od kamiennego kominka, obok trzech powieszonych jedna nad drugą strzelb, królowało popiersie wilka. Duży egzemplarz. Na ścianach obrazy: łagodne, kojące pejzaże. Wnętrze diametralnie się różniło od pretensjonalnego belgijskiego dworku.

Od czasu nagłej śmierci Chmielnika nikt tu podobno nie zaglądał, jednak Gabriel nie miał wrażenia, że miejsce jest opuszczone. Prawie nie było kurzu. Podszedł do poduch tapicerowanego narożnika naprzeciw kominka i wyobraził sobie siedzącego tu przemysłowca, jak przegląda broń, przygotowując się do polowania na wilki.

Wyszedł na korytarz, zajrzał do dużej łazienki, wykończonej wysokiej jakości materiałami, z wanną z jacuzzi, po czym wszedł do pierwszego pokoju. W szafie znajdowały się stroje myśliwskie, ciężkie buty, pudełka z nabojami. Po włożeniu tych ubrań w Chmielniku z pewnością budził się instynkt łowczy. Tropienie drapieżników w takim lesie, strzelanie do nich, przelewanie ich krwi musiało mieć w sobie coś cholernie ekscytującego.

Drugi pokój, kawałek dalej, był zapewne przeznaczony dla przyjaciół. Puste szafy, podstawowy wystrój. To pomieszczenie również wyglądało, jakby ktoś niedawno z niego korzystał. Obok wieszaka Gabriel dostrzegł dwa czyste płótna owinięte celofanem, dwie butelki benzyny lakowej i komplet pędzli spiętych gumką. Omiótł pomieszczenie wzrokiem, przekonany, że gdzieś w tym domu Chmielnik musiał mieć pracownię. Wydawało mu się oczywiste, że mężczyzna nie przyjeżdżał do tego lasu kilka razy do roku tylko po to, by polować.

Gabriel obejrzał każdy metr kwadratowy domu, otworzył wszystkie drzwi, zajrzał do każdej szafy. Na zewnątrz obszedł całą posiadłość w obrębie siatki, poszukując jakiejś chatki czy budynku gospodarczego, ale niczego nie znalazł. Przypomniawszy sobie płótno z Julie i Mathilde oraz portret młodego mężczyzny znaleziony u Pascala Croisille'a: nieregularne kamienne ściany, a przede wszystkim korzenie drzew zwieszające się z niskiego sklepienia.

A może należało nie tylko rozglądać się dookoła, ale też patrzeć pod nogi? Wszedł do środka i z nosem przy podłodze wznowił poszukiwania: przesunął narożnik w salonie, zajrzał pod inne meble. W pokoju gościnnym zobaczył rozłożony pod łóżkiem szaro-czarny dywan, jedyny w całym domu – i jego puls przyspieszył.

Kiedy odsuwał łóżko, zauważył, że podłoga w okolicy nóg jest porysowana, co potwierdzało jego intuicję. Wyobraził sobie Chmielnika wykonującego

dokładnie te same ruchy: zwinął dywan i jego oczom ukazała się kwadratowa kłapa o boku przynajmniej jednego metra. W parkiecie znajdowało się wgłębienie, w którym spoczywała stalowa obręcz. Gabriel doznał uczucia jakiegoś zwieńczenia, jakby rozpaczliwe poszukiwania wreszcie dobiegały końca. Uniósł metalowe kółko: w twarz uderzył go podmuch ciemności.

S tanął nad włazem. Pod jego stopami rozbłysły lampy. Najwyraźniej podniesienie kłapy uruchomiło automatyczny system. Zszedł jakieś dziesięć stopni po drabinie i znalazł się w półokrągłym tunelu o ścianach z płaskich kamieni, leżących jedne na drugich. Sztuczna grotka wykopana pod lasem. Gabriel nie wiedział nic o tym regionie, ale słyszał już historie o Żydach ukrywających się lub ukrywanych w Karpatach podczas drugiej wojny światowej. Może miało to jakiś związek ze sprawą, a może nie, ale fakty były takie, że do domu Chmielnika można było się dostać od podziemia. W tej samej chwili Gabriel przypomniał sobie sposób, w jaki biznesmen stał na swoim autoportrecie, przede wszystkim zaś jego dwa palce wskazujące skierowane ku ziemi: tak jakby na oczach wszystkich wyjawiał swoją tajemnicę.

Ruszył za ciągiem żarówek. Schylił się, by nie uderzyć o korzenie drzew, które zwisały z góry, przerastając kamienie. Na ścianach w regularnych odstępach umieszczono oprawione w ramki sentencje. Białe papier, piękny charakter pisma – Gabriel dałby sobie uciąć głowę, że to pismo Traskmana. „Jak wyjaśnić obrazy martwemu zającowi”, „Skomplikowana koegzystencja z dzikim kojotem”, „Jednolita infiltracja na pianino” czy jeszcze „Waga i względne przemieszczenie nerwomierza w ortonormalnym układzie odniesienia”. Jeśli przyjąć, że istnieją zdania, z których można wyczytać ludzki obłęd, to ten zbiór sentencji był tego doskonałym potwierdzeniem.

Wreszcie dotarł do Graala: w niszy po lewej znajdowała się pracownia malarska. Wszystko było jeszcze na miejscu, w nienaruszonym stanie. Pigmenty w pojemnikach, zeszywniałe pędzle, dziesiątki próbek z czerwono-czarnym dnem w drewnianym stojaku obok gwaszy. Gabriel schylił się, by je powąchać: nie było wątpliwości, zawierały krew. Obok leżała kupka z obciętych paznokciami, zwinięte w kłęb kępki czarnych włosów, przypominające obłąkane pająki, i wszelkiego rodzaju nierozkładające się organiczne odpady. Przesunął

wzrok w stronę rogu pomieszczenia i koło kuchenki benzynowej zobaczył umocowany w skale łańcuch z metalowymi obręczami.

Przykucnął, musnął zimny metal i zasłonił usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Julie była zamknięta tutaj, pod ziemią, to tutaj ten szalony oprawca uwiecznił jej wizerunek na płótnie. Jak długo Chmielnik ją przetrzymywał? Co musiała wycierpieć? Nie było resztek pożywienia ani materaca – niczego, co by wskazywało na dłuższe więzienie. Co zrobił z nią i innymi modelami po tym, jak ich namalował?

Kiedy wstawał, musiał się przytrzymać ściany, żeby nie upaść. Wyobrażał sobie różne okropności, ale nie to. Czy w tym mrocznym, głęboko ukrytym, odludnym miejscu, przesiąkniętym takim szaleństwem, istniała jakaś nadzieja? W nagłym przeblysku ujrzał matkę Mathilde, która błagała: „Może pan do mnie dzwonić bez względu na porę. Gdyby pan miał jakąkolwiek informację, gdyby przypomniało się panu coś w związku z moją córką, chcę, żeby mi pan o tym powiedział. Niech mnie pan nie zostawia, dobrze? Błagam, niech mnie pan wyrwie z tego piekła”. To tutaj było piekło. W tych anonimowych wnętrznościach ziemi.

Gabriel wrócił do głównego korytarza. Przestrzeń zwężyła się, po czym znowu się rozszerzyła, jakby przeszedł przez przełyk. Na końcu czekała na niego jeszcze jedna nisza, tym razem po prawej. Ruszył w jej stronę. Jego oczom ukazała się jakby tajna, przytulnie urządzone łoża. Na podłodze duże tkane dywany. Kamienne ściany pokryte pluszowymi kotarami ze złotą obwódką, której blask podkreślało zamontowane oświetlenie. Pośrodku królował okrągły stół ze świecznikiem: świece były do połowy wypalone. Wokół niego cztery również pluszowe fotele. Wszędzie łukowate sklepienia i znowu niezrozumiałe zdania opracowane w ramki: „Symfonia syberyjska z pępkiem otchłani”, „Spalone żołądki wampirów oraz inne rytuały unicestwienia”, „Próżne pomrukiwania martwej sosnowej gałęzi”.

Gabriel nie czuł już zimna, dusił się. W pomieszczeniu znajdowały się przenośne grzejniki, przeszklony kredens zaopatrzony w kieliszki i butelki bursztynowego płynu – bardzo starego koniaku – oraz biblioteczka ze szlachetnego drewna, a w niej około pięćdziesięciu książek.

Przekartkował je pobieżnie. W większości były to albumy ze zdjęciami słynnych dzieł sztuki: wyłącznie krwawe sceny, masakry, morderstwa. Mord odgrywał główną rolę na obrazie przedstawiającym scenę religijną, pole bitwy czy podejrzaną ciemną uliczkę. *Udużona kobieta* Cézanne’a. Odcięta głowa spoczywająca na lirze w *Orfeuszu* Gustave’a Moreau. Leżące ciała zmasakrowane maczetą olbrzyma na obrazie Henri-Camille’a Dangera. Gabriel brał do rąk, przeglądał i odstawiał kolejne książki. Rodin, Delacroix, Degas,

Munch, Beksiński i wielu innych. Malarze, rzeźbiarze, pisarze – wszyscy w którymś momencie życia obsesyjnie zainteresowani mordem: ostatecznym, zakazanym czynem, który poprzez swoje dzieła ofiarowali potomnym.

Kartkował, odkładał i znowu kartkował. Sztuka Francisa Bacona obrazowała czystą przemoc, dzieło van Gogha było wyrazem zawrotnego upadku w przepaść autodestrukcji. Szaleni, przekłęci artyści, którzy tworzyli swoje arcydzieła na krawędzi otchłani. Ta twórczość – tyleż zbawcza, co dewastująca – jednych uzdrawiała, a innych doprowadzała do obłądu. Gabriel pomyślał o domu Traskmana, o całym tamtejszym szaleństwie. Zrobił krok w tył i wyjął album Davida Bowiego, który stał na półce obok *Zbrodni i kary* oraz *Z zimną krwią* Trumana Capote'a. Płyta 1. *Outside* z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego. Pamiętał, że wokalista śpiewał na niej o morderstwie i sztuce. Jedno na usługach drugiego.

Mord i sztuka. Zawartość tych półek była ni mniej, ni więcej, tylko właśnie owocem tego straszliwego związku. Gabriel podszedł do stołu, pogładził fotele, zauważył przetarty materiał na siedziskach. Nie było wątpliwości: w pomieszczeniu, w najgłębszej tajemnicy strzeżonej przez ciemności polskiego lasu, spotykały się cztery osoby. Cztery potwory, które popijały dobre alkohole w otoczeniu książek opisujących różne potworności, w ciepłe płynącym z grzejników, podczas gdy dwie ściany dalej w ciemnościach i zimnie przetrzymywano ofiary. Sztuka i mord... Słowa tańczyły w głowie Gabriela. Pomyślał o Gaece i Traskmanie, wyobraził sobie, jak siedzą naprzeciwko siebie i dzielą się sekretami, obsesjami i łupami.

Na lewo od świecznika leżał jakiś przedmiot zawinięty w czarne płótno. Gabriel rozchylił brzegi tkaniny i jego oczom ukazała się powiększona wersja wisiorka Julie: książka wykonana ze stopu z mosiądzu i cyny o wymiarach zbliżonych do naturalnych. Była bardzo ciężka. Potrząsnął nią – miał wrażenie, że środek jest pusty. Z uwagą obejrzał przedmiot. Jak przez mgłę przypomniał sobie ruchy, za pomocą których Paul otwierał wisiołek. Wcisnąć ukryty guzik, obrócić książkę i pchnąć wypukłość w lewej górnej części. Klik. Przyciągnąć drugą wypukłość. Po kilku próbach rozpracował mechanizm. Pozostawało wcisnąć ostatnie kółko pośrodku rysunku w dolnym rogu.

Okładka się odsunęła, jakby zapraszając go do środka. W schowku znajdowała się jeszcze jedna książeczka, nie większa od notesu, oprawiona w jasnobrązową skórę, z wygrawerowanym mieczykiem – takim samym jak na sekretnych drzwiach u Traskmana. Tytuł wydrukowano złotym tuszem:

Tajne stowarzyszenie Xiphopagus

Gabriel wyjął przedmiot z przegródki i oglądał ze ściśniętym gardłem, jakby miał w ręku przekłętą, toksyczny tom zawierający najgorsze informacje. Książeczka miała pięćdziesiąt stron zapisanych czarnym atramentem. Od razu rozpoznał piękne, regularne odręczne pismo. Przystąpił do lektury.

Traskman pisał:

Lato 2005 (lipiec)

Od czasu mordu, którego Kain dokonał na Ablu, zabójstwo zawsze było w kręgu zainteresowań artystów. Przedstawienia zakazanego czynu u Goi czy Géricaulta to poruszające arcydzieła. „Śmierć Sardanapala” pędzla Delacroix to czysta przemoc, a widzowie, którzy oglądają ją w muzeach, przeżywają ekstazę. Kino i literatura zmieniają sceny mordu w ukrytą dla oczu przyjemność. Człowiek, który czyta czy ogląda, jest zaangażowany na równi z tym, który działa, przez swoją fascynację przelewem krwi staje się współnikiem zbrodni. Tak jesteśmy stworzeni. Podglądactwo i upajanie się bestialstwem.

Nas czterech, emerytowanych artystów, założycieli tajnego stowarzyszenia Xiphopagus, łączy odmienność od mas, której źródłem są przemoc i niemoralność części stworzonych przez nas dzieł. Spotykamy się z osądem, czasem z nienawiścią, często z brakiem zrozumienia. Nieistotne, skąd przychodzimy, jakie trudności napotykamy na swojej drodze, jakich cierpień doświadczył każdy z nas: nad tym wszystkim przeważa szafot osądu, który nas poniża i niszczy.

Gabriel siedział w fotelu i zszokowany, w milczeniu przerzucał kartki. Ta książka istniała od ponad piętnastu lat.

Czy istnieje coś bardziej odrażającego, budzącego większy sprzeciw niż zamordowanie ludzkiej istoty? Ale zarazem czyż jest coś bardziej rozkosznego dla człowieka, który opanował sztukę pozbawiania życia i w dodatku potrafi się swoim talentem dzielić z innymi? Przez nasze przymierze w ramach stowarzyszenia Xiphopagus pragniemy przesunąć granice, doprowadzić współczesną sztukę transgresyjną do ostatecznego kształtu i udostępnić ją jak najszerszemu gronu widzów.

Poprzez ten manifest zobowiązujemy się wszyscy czterej do przestrzegania wymienionych reguł i zasad postępowania, tak aby nasze przedsięwzięcie mogło być realizowane jak najdłużej. Zwykle poszanowanie dla treści spisanych na kolejnych stronach zapewni trwałość naszej twórczości i na zawsze pozostawi jej ślad w historii sztuki. Różnica między nami a artystami-mordercami polega na tym, że pozwolimy się złapać, gdy tego zapagniemy – kiedy uznamy, że nasze dzieło jest już na tyle bogate, że odsłania swój prawdziwy cel.

Gabrielowi zrobiło się niedobrze. Czytał zdania, które nigdy nie powstałyby w jego umyśle. Miał przed sobą nieludzkie słowa, metody, ścisłe zasady i instrukcje obsługi sformułowane przez bandę degeneratów.

Pierwsza część manifestu poświęcona jest sztuce zbrodni doskonałej, absolutnie niezbędnej dla powodzenia naszego przedsięwzięcia. Do tej sztuki od zawsze starali się stosować najsłynniejsi mordercy, pisarze próbowali ją opisać w swoich powieściach, malarze przedstawiali ją na płótnach w rozmiarze całej ściany. W kontekście naszych działań musimy sformułować naszą własną definicję zbrodni doskonałej, dodając do niej zbiór zasad będących owocem naszego długiego wspólnego namysłu oraz pogłębionej wiedzy w zakresie kryminalistyki, wiedzy nabytej w toku badań związanych z dziedziną sztuki, którą każdy z nas uprawia.

Gabriel czytał dalej. Reguły zbrodni doskonałej następowały po sobie w porządku ważności. Pierwszą z nich był brak denata. Niemożność odnalezienia zwłok to koszmar śledczych. Wymieniono rozmaite metody, jak w zeszycie Julie. Rozkład chemiczny zajmował pierwsze miejsce na podium, ponieważ płyn można rozlać, może zostać wchłonięty do gruntu lub wylany do kanalizacji. Gabriel miał przed sobą instrukcję obsługi. Dalej wymieniono inne

tyleż konkretne, co mrozące krew w żyłach zasady. „Uderzać na chybił trafił”. „Nigdy nie pokazywać się razem”. „Zostawić dość czasu między morderstwami”. „Nie utrzymywać żadnych więzi z ofiarą”. W tekście była też mowa o podmianie zwłok, do której niezbędny był „wspólnik w służbach zajmujących się śledztwem, który umożliwi fałszowanie badań”. Ustalono też, że stowarzyszenie będzie się spotykać w tym miejscu regularnie w każdy pierwszy piątek miesiąca, a w międzyczasie jego członkowie nie będą się ze sobą kontaktować. W ich kalendarzach, papierach, danych cyfrowych nie może się znaleźć nic, co sugerowałoby jakieś więzi między członkami.

Gabriel pochłaniał te lodowate zdania. Inna część mówiła o „wystawie” i popularyzacji ich pracy. Chodziło bowiem nie tylko o samą zbrodnię, ale też o to, by potem rzucić ją na publiczne pożarcie. To był główny motor ich działań. Rozpowszechniali swoje prace wśród znajomych i nieznajomych, aby uzyskać jak najmocniejszy efekt, gdy nastąpi odkrycie kart. Wszyscy, którzy czytali i oglądali, staną się integralną częścią projektu artystycznego tych zwyrodniałców. Czytając ten wywód, Gabriel był świadkiem narodzin nowego, najbardziej nikczemnego trendu w sztuce: sztuki kryminalnej.

Będziemy czerpać zysk z każdego widza. Będą mieli przed sobą zbrodnię doskonałą: nie będą tego świadomi, ale gdzieś tam, w najgłębszych zakamarkach duszy, będą to wiedzieć. Caravaggio lubił obserwować obrzydzenie w oczach wielbicieli swoich obrazów. Nasze zbrodnie będą tym doskonalsze, że te potworności obejrzą tysiące osób. Które za to zapłacą. I które, kiedy już wszystko się skończy, odkryją siłę tego projektu i potęgę naszego podejścia.

Więc o to chodziło. Tyle cierpienia, tak wielkie ryzyko dla pieprzonego tajnego stowarzyszenia, które postawiło sobie za cel przerobienie morderstwa na spektakl kostiumowy? Wyobraził sobie szok tysięcy czytelników Traskmana, kiedy prawda ujrzy światło dzienne. Pomyślał o Pascalu Croisille’u, który najwyraźniej o niczym nie wiedział i który codziennie wpatrywał się w portret młodego mężczyzny – porwanego i z pewnością zamordowanego.

Pewnego dnia, kiedy podejmiemy decyzję, nadejdzie chwila objawienia. Ale jak w dobrej książce z suspense, nadejdzie ona najpóźniej, jak to tylko możliwe. W normalnych warunkach to objawienie powinno wyjść od nas, ale może też pochodzić

z zewnętrznego źródła, na które nie mamy wpływu, a źródłem najbardziej oczywistym, choć czysto hipotetycznym, jest policja.

[...] Gdyby jakaś osoba postronna zaczęła podejrzewać kogoś z naszych członków, każdy z nas proszony jest o zastanowienie się i zaproponowanie skutecznego sposobu na uwolnienie się od intruza, tak aby nie narazić działania stowarzyszenia. Nasze przymierze – nawet zranione, przecięte czy oskarżane – musi trwać do ostatniego z nas lub do ostatecznego objawienia.

Nie wszystkie metody działania organizacji zostały wymienione. Nie wspomniano o sposobach przeprowadzania porwań (nigdzie nie było mowy o Rosjanach czy mafii), cały tekst pozostawał na poziomie ogólnym. Żadnych nazwisk, żadnych miejsc. Ani słowa na temat natury rozpowszechnianych prac. Gabriel wiedział, że Chmielnik do swoich przedstawień zbrodni używał portretów, a Traskman książek, ale dwaj pozostali?

Po części otrzymał odpowiedź, kiedy na ostatniej stronie zobaczył cztery umieszczone obok siebie parafki. Ci zwyrodnialcy podpisali manifest własnymi inicjałami.

C.T., A.G., A.A. i D.K. Caleb Traskman i Arvel Gaeca. A dwaj pozostali? Nagle zwrócił uwagę na inicjały A.A. To było takie oczywiste. Andreas Abergel, fotograf.

Co za historia! Z manifestem w dłoni Gabriel popędził do samochodu i zamknął się w kabinie.

– Abergel jest w to zamieszany!

Po drugiej stronie słuchawki słyszał odgłosy ruchu ulicznego: Paul dokądś jechał. Kapitan odpowiedział mu dopiero po chwili.

– Skąd wiesz?

– Możesz rozmawiać?

– Dawaj. Martini jedzie za mną służbowym autem. Niecałą godzinę temu odkryliśmy, że fotograf miał w tym swój udział. Ale skąd ty, do kurwy nędzy, wiesz, skoro powinienes być w swoim mieszkaniu i odpoczywać?

Gabriel wyczuł napięcie w jego głosie, ale postanowił wyjawić część prawdy. Opowiedział mu o swoim pomysle wyjazdu do Polski, o wyprawie do podziemi wakacyjnej rezydencji Arvela Gaeki i istnieniu tajnego stowarzyszenia Xiphopagus. Nie wspomniał natomiast o pieczęciach Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku na zwłokach, ponieważ zamierzał się tam wybrać po tej rozmowie.

Dwa tysiące kilometrów stamtąd Paul pędził na pełnym gazie autostradą A6. Spojrzał w lusterko, jakby się bał, że ktoś ich słyszy, ściszył dźwięk podłączonych przez Bluetooth głośników.

– Gabriel, do cholery! Nie tak się umawialiśmy.

– Było ich czterech – mówił dalej były żandarm, nie zważając na wymówki. –

Traskman, Gaeca, Abergel i jeszcze jeden świr o inicjałach D.K. Ponad pięć lat temu spisali manifest, który zawiera zbiór zasad dotyczących popełniania zbrodni doskonałej i wystawiania jej na widok publiczny tak, żeby nie wpaść. Ci goście spotykali się raz w miesiącu, porywali ludzi i... malowali ich albo uwieczniali w inny sposób, zależnie od praktykowanej dziedziny sztuki. Jeśli iść za ich logiką, to jest duże prawdopodobieństwo, że nie tylko *Niedokończony rękopis*, ale większość powieści Traskmana wydanych po dwa tysiące piątym

zawiera opisy rzeczywistych zbrodni. Arvel Gaeca uwieczniał ich na obrazach, które na bank malował tutaj, w Polsce, i które rozdawał nieświadomionym znajomym.

Paul nie wierzył własnym uszom. To, co opowiadał mu Gabriel, to było czyste szaleństwo.

– W przypadku Andreasa Abergela to były zdjęcia. Ujęcia martwych ofiar na stalowych blatach. Patolożka nie ma z tym nic wspólnego. Abergel z pewnością miesza swoje zdjęcia ze zdjęciami innych zwłok, które sfotografował w prosektorium, żeby mniej rzucały się w oczy. Żebyśmy podziwiali jego przestępstwa, tak naprawdę ich nie widząc, żebyśmy się stali jakby świadkami mimo woli.

– Nie rozumiem. Mówisz o podziemiach. Kto więził Julie? Traskman czy Gaeca? Przecież widziałeś razem ze mną tajny pokój pisarza.

– Obaj. Myślę, że... że Traskman naprawdę był zakochany w Julie i że przetrzymywał ją przez te lata w swoim domu, być może za plecami organizacji. Jedną z podstawowych zasad ich stowarzyszenia głosi, że nie wolno utrzymywać żadnych więzi z ofiarami. Tymczasem Traskman poznał Julie w Sagas. Związał się z nią, czyli zdradził manifest, który własnoręcznie spisał dwa lata wcześniej. Moim zdaniem z jednej strony było stowarzyszenie z jego ohydnyimi zbrodniami, a z drugiej Julie. Do momentu, w którym... Nie wiem co. Może jego przyjaciele w końcu się dowiedzieli i ją zabrali. A może, jeśli iść za jego oryginalnym rękopisem, Traskman sam wydał moją córkę tym draniom, a potem wpakował sobie kulkę w łeb, ponieważ nie potrafił już tego wszystkiego wytrzymać. Nie zapominajmy, że dostawał anonimowe listy od Esquimeta. Tak czy owak, Julie jest na obrazie Gaeki. Czyli... czyli była zamknięta w jego podziemiu w Polsce. I teoretycznie wśród zdjęć Andreasa Abergela powinno być... – Gabriel nie był w stanie dokończyć zdania.

Paul przywarł potylicą do zagłówka. Zacisnął dłonie na kierownicy. Chciałby się powstrzymać, ale to było niemożliwe.

– I jest – szepnął na jednym oddechu. – Na wystawie w Palais de Tokyo było jej zdjęcie, datowane na dwa tysiące siedemnasty rok, ten sam, w którym Traskman popełnił samobójstwo. Przykro mi, że informuję cię o tym w ten sposób, ale nie mogę ci nie powiedzieć. Nie powinienesz być do mnie dzwonić, nie powinienesz... Gabriel, ona nie żyje.

Gabriel poczuł, jak telefon wysuwa mu się z dłoni. Do oczu napłynęły mu łzy, nozdrza zadrżały. Paul usłyszał odgłos otwieranych samochodowych drzwi, odległy szloch, ochryple krzyk. Żandarm poczuł, że jego oczy robią się wilgotne, i wziął głęboki wdech, żeby odsunąć od siebie emocje. Pierdolony świat. Dwie czy trzy minuty później znowu usłyszał głos Gabriela.

– Powiedz mi, że przyskrzynicie tego Abergela.

– Mamy jego adres, jedziemy do niego. A ty masz wsiąść w samolot i szybko wracać. Zostaw to całe gówno. Daj nam się tym zająć.

Gabriel kręcił głową, by przekonać samego siebie, że nie posłucha. Bolała go cała twarz spustoszona ojcowskim cierpieniem.

– Tak, tak... Wrócę.

– Ale naprawdę, okej? Będę cię informował na bieżąco. O jedno cię tylko proszę, nie mów Corinne. Chciałbym to zrobić, kiedy będę przy niej. Wiem, że Julie była waszą córką. Ale to moja żona.

– To twoja żona – powtórzył mechanicznie.

– Gabriel, przykro mi. Z całego serca.

Gabriel się rozłączył, oszołomiony. Julie nie żyje. Naprawdę nie żyje. Nagle w głębi lasu rozległ się wystrzał, który przegnał obrazy córki z jego umysłu. A już widział ją uśmiechniętą, słyszał jej głos, była tutaj, przy nim. Ale teraz wszystko skończone, Julie na zawsze pozostanie przerażającym krzykiem rozpacz na obrazie Gaeki.

Kiedy ten psychopata uwiecznił ją na płótnie, jeszcze żyła, zamknięta tam na dole. Potem trafiła przed okrutny obiektyw Abergela. Martwa, leżąca gdzieś na lodowatym blacie. Kto odebrał jej życie? W jaki sposób? Wyobraził sobie fotografa krążącego wokół jej zwłok w poszukiwaniu najlepszego kąta – ten obraz do tego stopnia wyprowadził go z równowagi, że Gabriel wysiadł z samochodu. Walił pięściami w pień drzewa, aż poczuł ból.

Literatura, malarstwo, fotografia. I co jeszcze? Jaka była czwarta dziedzina „sztuki”? W jakiej „formie” zobaczy Julie w jej ostatniej podróży? Usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce i wstukał w GPS adres Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Tam znajdzie ostatni element tej ponurej układanki.

Ażandarmi zatrzymali się na parkingu od strony rue de Rivioli i quai de l’Hôtel-de-Ville, w pobliżu Marais, między trzecią a czwartą dzielnicą. Ruszyli pieszo rue du Roi-de-Sicile, wciśniętą między kilkupiętrowe kamienice z restauracjami, sklepami z czekoladą i luksusową spożywką. Paul miał gdzieś całe otaczające go piękno; prawdę mówiąc, nic nie widział. Napięcie zaciemniało całą przestrzeń wokół niego. Było już po piętnastej, a Andreas Abergel nie pojawił się w Palais de Tokyo, choć przychodził tam codziennie na czternastą.

Stanęli przed ciężką bramą wjazdową. Nazwisko Abergela widniało wśród kilkudziesięciu innych na panelu domofonu. Paul wciskał wszystkie guziki oprócz dzwonka artysty. W końcu ktoś im otworzył. Kiedy pchnęli ciężkie skrzydło, jego niepokój sięgnął zenitu.

Znaleźli się na dużym wybrukowanym podwórzu otoczonym budynkami mieszkalnymi, pracowniami, zakładami produkcyjnymi i kancelariami adwokackimi. Fasady były porośnięte roślinnością, a okna maleńkie i zakurzone jak w starym antykwariacie. Wszelki hałas nagle zniknął, jakby Paryż wstrzymywał oddech. Paul nie mógł się nadziwić, że w sercu wielkiego miasta może panować taki spokój. Kiedy zaskoczenie minęło, żandarmi zaczęli rozpytywać mijanych ludzi i stukać do kolejnych drzwi. Po kilku nieudanych próbach jakaś pani wreszcie wskazała im klatkę schodową w przeciwległym rogu podwórza: Andreas Abergel zajmował mieszkanie na ostatnim piętrze.

Drewniane schody były strome jak drabina, a ściany znajdowały się tak blisko siebie, że Paul miał wrażenie, jakby poruszał się po ładowni starego hiszpańskiego galeonu. Piął się po skrzypiących stopniach z bolącym kolaniem, a Martini szedł tuż za nim. Prawda była tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, nie zamierzał stchórzyć w takiej chwili. Słyszał było tykanie włącznika czasowego, który zapalił światła.

Wreszcie znaleźli się na szóstym piętrze. W milczeniu odbezpieczyli się saury. Na czole Martiniego perlił się pot: umierał ze strachu.

– Wszystko okej? – szepnął Paul.

– Powinniśmy byli zawiadomić naszych. Robimy głupstwo.

– To ja tu decyduję, nie ty.

Martini się zamknął. Paul przyłożył ucho do drzwi: nic. Czyżby Abergel uciekł? Ledwie zastukał, rozległo się kliknięcie okrągłej gałki, a pchnięte drzwi ustąpiły. Szybko wymienił spojrzenia z partnerem: czekali na nich.

Przedpokój był zavalony plastikowymi pudełkami, akcesoriami cyrkowymi, kupkami kolorowych kostiumów. Ze ściśniętym gardłem, celując z broni, Paul przekroczył próg.

– Andreas Abergel? Żandarmeria Narodowa!

Żadnej odpowiedzi, nawet skrzypnięcia parkietu. Ruchem głowy kapitan dał znać Martinemu, że wchodzi. Minęli śmieszny aneks kuchenny, w którym leżał jeszcze talerz i brudne sztućce. Po lewej pusty pokój. Na końcu korytarza ich oczom ukazało się duże pomieszczenie na podwyższeniu – z fotelami, draperiami z niebieskiej, zielonej i czerwonej tkaniny na ścianach, stołem i różnymi stołeczkami. Pracownia fotograficzna.

I pośród tego wszystkiego – nagi mężczyzna siedzący w pozycji lotosu na nieskalanej białym kawałku materiału. Natychmiast wycelowali w niego broń. Jego ciało było mlecznobiałe, bez jednego włoska. Czaszka, również ogolona, lśniła w świetle licznych halogenów. Za jego plecami wisiało płótno, również białe, przypominające kinowy ekran. Dookoła liczne lampy fotograficzne z parasolami, a także kamera i dwa aparaty fotograficzne na statywach.

– Wiedziałem, że przyjdziecie.

Trzymając Abergela na muszce, Paul zrobił dwa kroki w jego stronę. I wtedy zobaczył jego dłonie: w jednej trzymał pilota, w drugiej lekki, kompaktowy pistolet z krótką lufą. Precyzyjnym gestem artysta przyłożył broń do brzoju dolnej wargi, kierując lufę ku górze. Jego palec spoczywał na cynglu. Wydawał się spokojny niczym pogrążony w medytacji buddysta.

– Tuż przed waszym przyjściem rzuciłem okiem na widownię – powiedział. – Wiecie, ile osób jest teraz online? Ponad siedemdziesiąt tysięcy. Siedemdziesiąt tysięcy anonimowych widzów, którzy z niecierpliwością czekają, aż rozwałę sobie mózg i udostępnię ostatni cykl ze zdjęciami mojej własnej śmierci. Chciałbym poczekać, aż zbierze się sto tysięcy, ale przyszedliście. Więc chyba trzeba będzie się streszczać.

– Niech pan tego nie robi.

Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, Paul nie dostrzegł w źrenicach Abergela nic poza destrukcyjnym obłędem. Facet był chory. Nie zamierzał się

cofnąć. To, co się działo, było integralną częścią jego dzieła. Jakby wtórując myślom żandarma, Abergel zaczął mówić monotonnym głosem:

– Między dwudziestym pierwszym maja a dwudziestym dziewiątym lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku van Gogh namalował osiemdziesiąt swoich najwybitniejszych obrazów, po czym strzelił sobie w klatkę piersiową. Osiemdziesiąt obrazów, które dzisiaj sprzedają się za miliony euro, powstało w ciągu zaledwie siedemdziesięciu dni. Malując w swoich ostatnich chwilach *Pole pszenicy z krukami*, van Gogh osiągnął swoją prawdę, doszedł do kształtu wieczności, dalej nie było już nic. Co miałby malować? I po co? Jako artysta był już martwy. Jego samobójstwo było punktem kulminacyjnym. Prawdopodobnie bez niego van Gogh nie byłby van Goghiem.

Martini również trzymał fotografa na muszce. Od ściekającego potu piekły go oczy, wycierał twarz w górną część rękawa i nie rozumiał ani słowa z przemowy Abergela.

– To, co zamierzam zrobić, na zawsze naznaczy umysły współczesnych ludzi sztuki. Pamiętajcie, jak Banksy uruchomił mechanizm, który zniszczył jego pracę, gdy tylko została sprzedana? Dziś jest bezcenna. Sztuka może być czasem taka niezrozumiała i głupia. Ale zrozumiecie moje zdjęcia, kiedy będą na wagę złota. – Wycelował pilotem w komputer. – Dopilnowałem, żeby te, które zostaną zrobione za chwilę, zostały automatycznie przesłane na adres mailowy mojego agenta. Nie będziecie mogli nic zrobić. Ale to jeszcze nie jest *clou* tego spektaklu. To, co nastąpi potem, zawiedzie mnie o wiele dalej. Goście tacy jak wy będą nas brać za uzurpatorów, za szaleńców, ale staniemy się przywódcami, ekranem dla najdziwniejszych fantazji, umożliwimy prawdziwym koneserom podróż na drugą stronę lustra. Nikt nie będzie w stanie dojść dalej niż my.

To wszystko nie miało sensu – przynajmniej dla logicznego umysłu twardo stąpającego po ziemi Paula. Podobnie jak Traskman i Gaeca, ten gość był po prostu groźnym szaleńcem, którego krwawy marsz należało powstrzymać.

– „My” to znaczy kto? – zapytał Paul.

Abergel rozchylił wargi. Metalowa lufa stuknęła o jego zęby, po czym zniknęła w ustach. Martini cofnął się o krok, unosząc obie dłonie, by uspokoić sytuację.

– Nie, niech pan tego nie robi. Nie...

Wtem rozległy się trzaski jak na linii wysokiego napięcia, po czym w niewiarygodnym tempie zaczęły strzelać flesze, a dwa aparaty robiły serie zdjęć. Padł strzał i białe płótno za plecami Abergela w jednej chwili zamieniło się w purpurowy nieboskłon. Krople krwi wytrysnęły na wysokość kilku metrów, wyrzucone energią pocisku eksplodującego w tylnej części czaszki. Mężczyzna

upadł. Pod jego prawym policzkiem rozlała się ciemna, gęsta kałuża. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w obiektyw jednego z aparatów.

Po dziesięciu sekundach flesze przestały błyskać i w pomieszczeniu zaległa cisza.

Łagodne równiny ciągnęły się jak okiem sięgnąć, lasy szumiały, bagna i rzeki lśniły jak ostrze noża. Droga Gabriela wiodła wśród dziewiczej roślinności, pośród różnych odcieni zieleni poprzetykanej intensywną rudoccią. Czasem przejeżdżał przez miejscowości z kościołami, których dachy rzucały złote refleksy. Mijał cmentarze, drewniane domy, drogi wyłożone brukiem i otoczkami. Miał wrażenie, że zanurza się w nieskażonym wszechświecie, z dala od hałasu, betonu, odwiecznego wyścigu człowieka z czasem. Że znalazł się w zakątku planety, w którym ktoś zdrapał lakier, usunął kłamstwa, tak że pozostała sama prawda. Może prawda czekała na niego właśnie tutaj, w tym pierwotnym zakątku Polski.

Wiele razy bezskutecznie próbował się dodzwonić do Paula. Czy złapali Abergela? Brak wieści nie wróżył niczego dobrego. Nagrał mu kilka wiadomości i około szesnastej dotarł do Białegostoku. Znalazł się w różnorodnej przestrzeni z barokowym pałacem, starymi szwalniami, prawosławnymi i katolickimi świątyniami. Kolorowe fasady, nowoczesne szerokie aleje kontrastowały z ponurym stereotypowym wyobrażeniem miast dawnego bloku wschodniego. Na każdym rogu widział słowo „Esperanto”: Hotel Esperanto, Esperanto Cafe... Kiedy w zwolnionym tempie mijał fotografowany przez turystów mural Ludwika Zamenhofa, zrozumiał, że ten międzynarodowy język powstał właśnie tutaj, kilka metrów od niego. Urodzonego tutaj twórcę esperanto upamiętniała duża tablica.

Zaparkował pięć minut od akademii medycznej, mieszczącej się w samym sercu miasta, w imponującym osiemnastowiecznym pałacu Branickich. Gabriel nie spodziewał się, że obiekt – z ogrodami w stylu francuskim, otaczającymi je zabudowaniami uniwersyteckimi, dwoma szpitalami i obiektami sportowymi – będzie tak ogromny. Studenci byli wszędzie, dyskutowali, obsiadali ławki. Młodzi, którzy mieli przed sobą przyszłość, przyszli lekarze, radiolodzy,

naukowcy. Gabriel nigdy nie miał szczęścia uczestniczyć w rozdaniu dyplomów. Ta uczelnia uosabiała to, co jemu już odebrano: nadzieję.

Podszedł do grupki, której po angielsku wyjaśnił, że szuka miejsca, gdzie przechowuje się ciała oddane na cele naukowe. Jakiś student trzeciego roku szybko stwierdził, że chodzi o laboratorium anatomiczne, i zaprowadził go do stosownego skrzydła. Mężczyzna zasięgnął języka: studiowało tu ponad pięć tysięcy osób z Polski, ale także goście z Niemiec, Norwegii czy Hiszpanii. Uczelnia była znana za granicą dzięki zaawansowaniu technologicznemu i wysokiemu poziomowi nauczania.

Zostawiwszy za sobą otwarte dla publiczności Muzeum Historii Medycyny, weszli pod arkady barokowego budynku. Pokonali kilka korytarzy i schody prowadzące w dół. Wreszcie młody człowiek zatrzymał się przed przeszklonymi drzwiami z napisem: *Hic est locus ubi mors gaudet succurrere vitae*. Oto miejsce, w którym śmierć raduje się, że pomaga życiu. Laboratorium anatomiczne. Po drugiej stronie drzwi za biurkiem siedziała sekretarka i rozmawiała przez telefon. Gabriel podziękował swojemu przewodnikowi, po czym wszedł.

Czekając, aż kobieta zakończy rozmowę, udał, że przegląda ulotki, które prawdopodobnie reklamowały korzyści z oddania ciała na cele nauki. Poczul w nozdrzach lekko drapiący zapach odczynników konserwujących. Otoczenie, uczelnia, bliskość studentów: w jaki sposób zwłoki mogły opuścić te mury i trafić do Belgii?

Kiedy recepcjonistka się rozłączyła, Gabriel, znowu po angielsku, wyjaśnił jej, że chciałby porozmawiać z osobą z kierownictwa laboratorium.

– Przykro mi, wszyscy są na spotkaniu. Musi pan się umówić. Nasi profesorowie są zajęci. A o co chodzi?

Gabriel czuł straszliwe napięcie.

– To bardzo ważne, chodzi o ciała pochodzące od was, znalezione w miejscu, w którym nie powinno ich być. Przyjechałem specjalnie aż z Francji i nie ruszę się stąd, dopóki się nie spotkam z kimś z szefostwa.

Zawahała się przez chwilę, po czym wstała z westchnieniem. Minutę później wróciła z ubranym w fartuch olbrzymem o brwiach i włosach w kolorze lodu. Jego trupi wygląd potęgowały ciemnoniebieskie oczy, widoczne zza okularów w okrągłych oprawkach. Gabriel dałby mu co najmniej siedemdziesiąt lat. Miał wrażenie, że podmuch wiatru mógłby go złamać na pół.

Kiedy sekretarka wróciła za biurko, starszy mężczyzna uważnie przyjrzał się pokiereszowanej twarzy przybysza. Międląc w palcach płatek lewego ucha, zagadnął do Gabriela poprawną francuszczyzną. Na fartuchu miał plakietkę z napisem „Prof. Stefan Adamowicz”.

– Jestem profesorem anatomii na tej uczelni, całe kierownictwo jest w tej chwili w innym skrzydle. Asystentka wspominała, że jest problem z jakimiś ciałami?

Gabriel podał mu karteczkę z notatką: „Uniwersytet Medyczny w Białymstoku: K417 i K442”.

– Szukam informacji na temat ciał figurujących pod tymi numerami. Chciałbym się więcej dowiedzieć o tym, w jaki sposób opuściły wasze mury i skończyły w workach na zwłoki w pewnym magazynie w Belgii.

Profesor zmarszczył brwi.

– W magazynie? W Belgii? Co też pan opowiada?

Gabriel pokazał mu telefon. Przewinął zdjęcia i powiększył miejsca, w których było widać pieczęcie.

– Wygląda na to, że nie są to jedyne ciała, które tam trafiły – wyjaśnił. –

Pewien człowiek od lat zwozi tam zwłoki wzięte od was i likwiduje je, rozpuszczając w przemysłowym kwasie.

Inne zdjęcie: kadź, twarz trawiona przez kwas, ręce oderwane od reszty ciała pływającego w melasie koloru amazońskiej ziemi. Siedemdziesięciolatek bez słowa wpatrywał się w zdjęcie.

– Sprawą zajmują się żandarmi z Belgii i Francji – mówił dalej Gabriel. – Jeśli mi pan nie odpowie, wkrótce będzie pan miał do czynienia z nimi.

Adamowicz zdjął okulary i ścisnął je w dłoni.

– To znaczy, że pan nie jest z policji. Kim pan jest w takim razie?

– Ojcem szukającym prawdy. Jeśli będzie trzeba zaczekać kilka godzin, aż zebranie się skończy i kierownik mi ją przyniesie, tę prawdę, to zaczekam.

Zbity z tropu profesor jeszcze raz przyjrzał się jego oszpeconej twarzy, a następnie obejrzał przerażające fotografie. Powoli pokiwał głową.

– Kwas... W całej prawie czterdziestoletniej karierze nie słyszałem czegoś podobnego. Wszyscy tutaj odpowiadamy za te ciała, a ja chciałbym poznać prawdę tak samo jak pan. Śmierć pana nie przeraża?

– Jestem przyzwyczajony.

– W takim razie proszę za mną.

Mężczyźni ruszyli korytarzem. Przeszli przez drzwi z magnetycznym zamkiem i pokonali ciąg schodów, które zaprowadziły ich do przestronnego pomieszczenia; tam wokół jakiegoś profesora przy stole sekcyjnym tłoczyła się grupa studentów. W pomieszczeniu stały w szeregu dziesiątki innych nieskazitelnie czystych stołów podłączonych do systemu wentylacyjnego i kanalizacji. Powietrze krążyło, ale woń formaliny zmieszana z zapachem zwłok i tak była wyczuwalna. Profesor Adamowicz skinął koledze i ruszył dalej.

– Przyjmujemy tu około setki ciał rocznie – powiedział, przykładając kartę do czytnika. – Większość jest wykorzystywana na miejscu w celach dydaktycznych. Ze składu, do którego teraz wejdzimy, są przekazywane do przygotowania, a następnie do rozczłonkowania. Następnie są... – przez chwilę szukał odpowiednich słów – ...kremowane. Otaczamy naszych dawców najwyższym szacunkiem. Nie ujawniamy ich tożsamości. Jedyne informacje, jakie otrzymują studenci, to wiek i przyczyna zgonu.

– Powiedział pan „większość”?

Adamowicz pchnął drzwi prowadzące do pomieszczenia dwukrotnie większego niż poprzednie, zamknął je i zapalił światło. Gabriel znajdował się teraz w świetle, w którym panowała śmierć, w którym słychać było delikatny szmer jej zaostrej kosi. Stało tu osiem przezroczystych prostopadłościennych kadzi pokrytych grubymi plandekami zamocowanymi za pomocą gum. Miały co najmniej po trzy metry wysokości. W środku, stłoczone jedne przy drugich jak kostki domina, dziesiątki nagich kobiet i mężczyzn. Widoczne za grubymi szklanymi ścianami ich kończyny były zdeformowane, a twarze obrzmiałe i brzydkie.

– Powiedziałem „większość”, ponieważ część jest odsprzedawana polskim firmom zajmującym się produkcją sprzętu medycznego. Są potrzebne na przykład do doskonalenia protez, klamer czy narzędzi chirurgicznych. Zaopatrujemy też różne ośrodki badawcze.

Handel zwłokami, śmierć jako biznes... Gabriela przerastały te potworności. W absolutnej ciszy podszedł do jednego z basenów. W blasku lamp płyn konserwujący miał kolor jasnożółty, prawie syropowaty. Milczący mieszkańcy tych aseptycznych wód przypominali wielkie gumowe lalki.

– To wszystko podlega ścisłym regulacjom i kontroli – mówił dalej profesor. – Osoby trzecie, którym wysyłamy ciała, muszą udokumentować interes naukowy. Kiedy dostają zielone światło, nasze kierownictwo wystawia certyfikaty potwierdzające pochodzenie zwłok. Firmy i ośrodki, które zaopatrujemy, muszą starannie przechowywać dokumentację, ponieważ jest ona niezbędna do identyfikacji materiału. Każdy nieboszczyk, który od nas wyjeżdża, jest rejestrowany, a informacje o nim są szyfrowane i duplikowane na serwerach. Certyfikat u klienta danego laboratorium jest legalny tylko wtedy, gdy istnieje również w naszych bazach danych. Jak się pan domyśla, ta podwójna kontrola pomaga uniknąć przemytu zwłok.

„Przemyt zwłok”: sformułowanie utorowało sobie drogę w mózgu Gabriela. Napotkał pusty wzrok istoty o nieproporcjonalnej – ponieważ zbyt obrzmiałej – głowie, po czym spuścił oczy i zauważył pieczęć na jej biodrach: numer K324.

– Do kogo wysłano ciała K417 i K442? – zapytał.

Stefan Adamowicz ruszył do komputera stojącego na blacie w głębi sali.

– Mam ograniczony dostęp do bazy danych, nie mogę na przykład poznać tożsamości tych zwłok ani ich pochodzenia, ale mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie.

Wstukał hasło i uruchomił jakiś program. Gabriel, który stał naprzeciw niego po drugiej stronie blatu, poczuł, jak zasycha mu w gardle. Osiągnął cel, wreszcie otrzyma ostateczne odpowiedzi. Adamowicz się skrzywił. Ponurym wzrokiem przyglądał się rozmówcy, a w jego okularach odbijał się jasny kwadrat monitora.

– Rzeczywiście K417 i K442 są w rejestrze. To zwłoki dwóch kobiet o identycznym wzroście i wadze, które wyjechały stąd dwanaście dni temu do Piaseczna, miasta w pobliżu Warszawy. To tam znajduje się słynne plastynarium profesora Dmitriego Kalinina.

Dmitri Kalinin. D.K. Czwarty członek stowarzyszenia. Gabriel spijał słowa z ust wykładowcy, a wzdłuż kręgosłupa przebiegał mu gwałtowny dreszcz.

– Plastynarium, to znaczy?

– Miejsce, w którym Dmitri Kalinin zdejmuje skórę z ludzkich zwłok.

Aby stawić czoło naporowi czarnych motyli, które opanowały jego pole widzenia, Gabriel oparł się o ścianę. Czuł się oszołomiony, a w dodatku odurzony wonią formaliny. Poprosił profesora Adamowicza, by wyszedł z nim na zewnątrz. Pięć minut później usiedli na ławce. Gabriel był blady. Chwytał powietrze wielkimi haustami.

– Niech mi pan to wyjaśni – wymamrotał.

Profesor kiwnął głową przechodzącym studentom, którzy mu się uklonili. Wcisnął dłonie do kieszeni fartucha, jakby mu było zimno. Na jego twarzy malowała się powaga, której słońce nie było w stanie złagodzić.

– Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Dmitri Kalinin wynalazł technikę na bazie acetonu, polegającą na usuwaniu całej wody z organizmów ludzi i zwierząt, tak aby denat nie był podatny na gnicie. Następnie przeprowadza polimeryzację przy użyciu silikonu, żywicy epoksydowej lub poliestru, przez co ciało staje się miękkie, całkowicie podatne na kształtowanie. Następnie zdejmuje skórę, by odsłonić cały złożony układ mięśni, żył, tętnic lub trzewi. Wtedy może nadać pozbawionym skóry i niegnijącym nieboszczykom pozy żywych ludzi oddających się różnym aktywnościom: piechurów, tancerzy.

Gabriel został skonfrontowany z lawiną obrazów. Słyszał już o tym, miał do czynienia z tymi koszmarnymi wizjami w reportażach i telewizji.

– Kalinin jest z pochodzenia Rosjaninem. Świetny specjalista od anatomii, który przez długi czas pracował na renomowanej akademii medycznej w Nowosybirsku na Syberii, a potem przyjechał do Polski, gdzie poświęcił się badaniom i rozwinął swoją unikalną w skali światowej technikę. Powołał do życia prywatny instytut plastynacji. Wtedy nasz uniwersytet oraz dwie inne uczelnie na terenie kraju zaczęły mu dostarczać ciała do celów naukowych.

Syberia, Rosjanie... Gabrielowi trudno było się skupić na słowach profesora. W jego głowie kiełkowała przerażająca myśl, jakby zwieńczenie wszystkich dotychczasowych odkryć.

– Kalinin dokonał prawdziwej rewolucji w anatomii makroskopowej. Z początku jego intencje były czysto pedagogiczne i godne pochwały: chciał udostępnić wiedzę anatomiczną nie tylko studentom, ale wszystkim ludziom. W jaki sposób funkcjonuje ludzkie ciało? Z czego się składa? Pod pretekstem tej działalności szybko zgromadził trzydzieści oskórowanych zwłok i zorganizował pierwszą w Polsce wystawę. Odbyła się tuż przed rokiem dwutysięcznym. To było prawdziwe wydarzenie, spektakularny sukces. Z całego kraju, a nawet z państw ościennych przyjeżdżały tysiące ludzi, żeby podziwiać fascynujące ludzkie rzeźby. Wobec tak wielkiego zainteresowania „plastynaty”, jak je nazywa, opuściły plastynarium i były pokazywane na całym świecie, od Tokio po San Francisco, w ramach wystawy zatytułowanej *Inside Body*. Wywołała ona liczne dyskusje i ostrą krytykę, co z pewnością przyczyniło się do tego, że w dwa tysiące trzecim stała się najpopularniejszą ekspozycją objazdową na świecie.

Gabriel wyobrażał sobie widzów wpadających w ekstazę na widok zwłok obdartych z intymności, pozbawionych prawa do spokojnego spoczynku. Bezimiennych ludzi, którzy kiedyś żyli i oddychali, a ostatecznie – nadzy, oskórowani, pocięci na plasterki – zostali wystawieni na widok publiczny. Pomyślał o Julie, o Mathilde. I ta myśl była dla niego nie do zniesienia.

– Pociągnął to dalej? – zapytał, obserwując, jak jego otwarte dłonie drżą. – Muzeum, skórowanie zwłok: dalej to robi?

Profesor skinął głową.

– A jakże. Do dzisiejszego dnia wystawę obejrzało dwadzieścia pięć milionów ludzi. Fascynacja jest większa niż lęk przed trupem. Żeby usprawiedliwić kontrowersyjną pracę, Kalinin wciąż powołuje się na swoje liczne tytuły naukowe i tradycje anatomiczne renesansu. Leonardo da Vinci, Wesaliusz. Sekcja zwłok zawsze stanowiła istotną część kształcenia specjalistów. Aby uniknąć kontrowersji, Kalinin zatrudnił nawet lekarzy, którzy prowadzą zajęcia w jego plastynarium. Jest tam wszystko: wykłady, wystawy i pomieszczenia wyposażone w sprzęt do preparowania zwłok. Ma też stronę internetową, za której pośrednictwem odsprzedaje splastynowane fragmenty anatomiczne: narządy, mięśnie, kości, ponad czterystu laboratoriom i uniwersytetom w celu „kształcenia i szkolenia przyszłych pokoleń”. Kilka z nich mamy nawet tutaj, w naszych pracowniach. Jeśli chodzi o liczbę oskórowanych ciał, z których większość znajduje się na stałe w plastynarium, to jest ich około czterystu, w tym sto martwych zwierząt.

Czterysta... Gabriel nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

– Ale nikt nie jest naiwny – przyznał profesor. – Pod płaszczkiem naukowca kryje się artysta, który pragnie uznania i chce pozostawić po sobie ślad. Każda „rzeźba” opatrzona jest tytułem, datą powstania, opisem i sygnaturą Kalinina.

Taki sposób postępowania wpisuje się w tradycję historii sztuki, pozwala na odróżnienie produkcji artystycznej od nieartystycznej i nie ma w nim nic naukowego. Kalinin stworzył nową dziedzinę sztuki. Lubi wywoływać skandal za skandalem. Wspiął się na wyżyny transgresji i profanacji. Posuwa się do tworzenia plastynatów kopulujących par, kobiet w ciąży. I przelewa dożywną rentę cierpiącemu na poważną chorobę polskiemu koszykarzowi, który ma dwa metry i czterdzieści osiem centymetrów wzrostu, na poczet jego przyszłych zwłok. Kościół próbował interweniować w tej sprawie: na próżno, bo nie ma podstaw prawnych, żeby go oskarżyć. – Adamowicz westchnął. – Gdyby Kalinin wystawił na widok publiczny zwykłe ciała w trumnach, nikt nie miałby ochoty ich oglądać. Ale kiedy robi z nich dzieła sztuki, przyciąga tłumy. Ludzie oglądają anatomię tak, jakby oglądali obraz przedstawiający drastyczną scenę. Czyż sztuka nie jest wcieleniem materii ożywionej w nieożywioną? Niektóre z jego, że tak powiem, „dzieł” przypominają prace Salvadora Dalego, Michała Anioła czy Josepha Beuysa, którego jest żarliwym wielbicielem.

– I mimo tego wszystkiego nadal zaopatrujecie w ciała człowieka, który traktuje je jak zwykły surowiec.

– Ja nie. Ale ja jestem tylko profesorem, który nie zawsze zgadza się ze swoim kierownictwem, zwłaszcza w tej kwestii. Mogę panu powiedzieć, że toczy się na ten temat wiele dyskusji, nawet w obrębie uczelni. Ale dla nikogo nie jest tajemnicą, że w grę wchodzi duże pieniądze. Kalinin płaci fortunę za każde ciało. Co więcej, dawcy, którzy do niego trafiają, za życia wyrazili zgodę na to, by ich zwłoki ewentualnie zostały wykorzystane w ten sposób. Może się wydawać dziwne, ale dla niektórych możliwość trafienia do muzeum, w ręce Kalinina, to alternatywa dla rozkładu, sposób na wieczne życie. Niektórzy profesorowie żartują nawet, że ludzie oddają ciała do plastynarium po to, żeby za życia mieć tam wstęp wolny. – Zamilkł, jakby jego twardy dysk nagle się zatrzymał. – A teraz kolej na pana, niech pan opowiada.

Gabriel rozszerzonymi źrenicami wpatrywał się w ziemię, pogrążony we własnych myślach. Oczami wyobraźni widział tamte dwa ciała: przenoszone przez wciągarki i zanurzone w kwasie, by na zawsze zniknąć z powierzchni ziemi. Zwłoki, które Kalinin kupił tutaj, w laboratorium anatomicznym, by je – taka była oficjalna wersja – oskórować. Ale nigdy tego nie zrobił.

– Chodziło mu tylko o certyfikaty – wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

– Słucham?

Gabriel wstał i krótko spojrział w twarz rozmówcy, który wciąż siedział na ławce.

– Dziękuję.

Zanim lekarz zdążył zareagować, oddalił się szybkim krokiem, chowając głowę w ramionach. Wmieszał się w tłum studentów, przeszedł przez bramę i zniknął na ulicy. Jeśli polscy policjanci zainteresują się kiedyś sprawą, Adamowicz pewnie opowie im o pewnym Francuzie, którego wyglądu nie sposób opisać z powodu pokiereszowanej twarzy. Powie, że ten dziwny gość szukał informacji na temat dwóch ciał, K417 i K442, i pokazywał mu potworne zdjęcia, w tym zdjęcia rozpuszczających się zwłok. Śledczy będą próbowali się dowiedzieć, co kierowało cudzoziemcem. Na pewno pojedą do plastynarium, znajdą legalne certyfikaty wystawione przez Uniwersytet Medyczny w Białymstoku i poproszą o pokazanie oskórowanych zwłok. Zobaczą je. I nic z tego nie rozumieją, ponieważ prawda przerasta wyobraźnię przeciętnego człowieka.

Kiedy dotarł do samochodu, przyszedł lakoniczny esemes od Paula: Abergel popełnił samobójstwo. Rzucił telefon na fotel pasażera, oparł kark o zagłówek i rozmasował obolałe gałki oczne. Kolejny drań wyślizgnął im się z rąk.

Ustawił na GPS-ie adres plastynarium znaleziony w internecie. Za trzy godziny będzie na miejscu. Nie cofnie się. Odetnie łeb tej szkaradnej hydrze, która od lat w imię sztuki czyniła zło. Julie, Mathilde i na pewno wiele innych osób zostało wydanych na pastwę pióra Caleba Traskmana, pędzla Arvela Gaeki, aparatu fotograficznego Andreasa Abergela i skalpela Dmitriego Kalinina. Na tym krwawa epopeja się zakończy.

Kalinin zaopatrywał się w zwłoki na uniwersytecie, część z nich unicestwiał w kadziach z kwasem, by je zastąpić ciałami anonimowych osób, które porywał wraz ze swoją bandą degeneratów. Odzierał te ciała ze skóry i wystawiał na widok publiczny, mając alibi w postaci certyfikatów. Zbrodnia doskonała.

Gabriel zacisnął dłonie na kierownicy. Panowanie tego zwyrodnialca dobiegało końca. Zabije go własnymi rękami.

Mknął na pełnych obrotach, aż dojechał do Piaseczna, miasta sypialni na obrzeżach Warszawy. Nowoczesne centra handlowe, hotele, ładne szeregowce stojące w otoczeniu drzew. Przy długiej ulicy prowadzącej przez strefę handlową – szarawy dwupiętrowy równoległoscian z przyciemnianymi oknami od frontu, samodzielny, otoczony dużym parkingiem, na którym stało jeszcze około czterdziestu samochodów. Gdyby nie wielkie podświetlone czerwone litery na krawędzi płaskiego dachu, układające się w napis: PLASTYNARIUM, można by niemal pomyśleć, że to lotniskowy hotel, miejsce, w którym zatrzymują się przejazdem anonimowi pasażerowie. Paul odczuł jeszcze głębszy smutek, widząc, że to po prostu jeden z wielu dużych budynków, a w dodatku stoi dwa kroki od Decathlonu, jak miejsce rozrywki, do którego się zachodzi po sobotnich zakupach.

Dochodziła osiemnasta piętnaście, zapadł zmrok, ale ośrodek był jeszcze otwarty. Gabriel zaparkował daleko, przy jakimś magazynie. Pogrzebał w wyszukiwarce i przyjrzał się zdjęciu Dmitriego Kalinina. Siedemdziesięciolatek o kościstej twarzy, nosie wąskim jak płoza łyżwy i głębokich oczodołach, z których wyzierały dwa szare gadzie oczka. Nawet na zdjęciach ze skalpelem w dłoni, wykonanych przy stole sekcyjnym, miał na głowie czarne borsalino. Pozujący drań uśmiechał się półgębkiem. Ale wkrótce przestanie. Już Gabriel o to zadba.

Włożył czarną czapkę z daszkiem, którą przed chwilą kupił w centrum miasta, zdjął kurtkę, którą zastąpił również nową, nieprzemakalną czarną parką, i wsunął dłonie w skórzane rękawiczki. Wciąż trzęsły mu się ręce. Jedną dłonią sięgnął pod sweter i położył ją płasko na klatce piersiowej. Serce biło mu zbyt szybko, zbyt mocno – było to jednak serce ojca, który miał świadomość, że w labiryncie tej nikczemnej wystawy może znaleźć ciało własnej córki. Ojca, który aby pomścić swoje dziecko, zamierzał z zimną krwią zabić człowieka.

Wysiadł z samochodu, na widok kamery przy drzwiach schylił głowę i wszedł do holu plastynarium. Zwiedzający chodzili tu i tam. Przy bramkach stała dwójka kontrolerów. Gabriel spojrział na tablice z informacjami w kilku językach, w tym po angielsku. Konferencje, sale projekcyjne, *exhibition center*. Ceny biletów dla grup, studentów, seniorów.

Kawałek dalej cytował z Kalinina: „Plastynacja ukazuje piękno ukryte pod skórą, utrwalone na zawsze w połowie drogi między śmiercią a rozkładem”. Oprawione w ramki liczne artykuły z zagranicznych gazet wychwalające sukces wystawy. Jedna z tablic informowała, że wszystkie ciała pochodzą z darów na rzecz nauki oraz że ich tożsamość, wiek oraz przyczyna zgonu są utajnione. Pod zieloną kopułą pośrodku korytarza leżało jak przystawka dziesięć serc uporządkowanych od najmniejszego – serca kolibra, po największe – serce wieloryba. Niebieskie żyły, czerwone tętnice. Podróż się zaczynała.

Budynek był olbrzymi. Gdzie się skrywało laboratorium, w którym Kalinin produkował swoje oskórowane eksponaty? Czy gość był na miejscu? Ochroniarz za ladą robił wszystko, by Paul zrezygnował ze zwiedzania. Na ten wieczór nie przewidziano już żadnego wykładu ani filmu, a wkrótce rozlegnie się komunikat zapraszający gości do wyjścia. Paul jednak po angielsku nalegał na wydanie biletu. Mężczyzna ustąpił mu z niechęcią.

– Jak pan sobie życzy.

– Czy pan Kalinin jest na terenie plastynarium? Bardzo chciałbym z nim porozmawiać.

– Pan Kalinin nie spotyka się z nikim poza ramami swoich wykładów i wystąpień publicznych. Ma pan dziesięć minut do komunikatów. Pierwsza część ekspozycji poświęcona jest zwierzętom, wchodzi się tędy. Nie zdąży pan zwiedzić następnych pięter, trzeba dobrych dwóch godzin, jeśli nie chce się niczego ominąć.

To znaczyło, że Kalinin gdzieś tu był i pracował. Gabriel próbował się uspokoić i nie zdejmując rękawiczek, poszedł wsunąć bilet do kasownika. Popatrzył na zamknięte drzwi po prawej, śpieszył się. Kontroler przyjrzał mu się uważnie i pozwolił mu przejść przez bramkę. Wystawa zaczynała się na końcu korytarza, ale na całej jego długości w ściennych wnękach umieszczono fragmenty kości i narządów opatrzone opisami. Gabriel wszedł do pierwszej, pogrążonej w półmroku sali z czarnymi draperiami. Nad ogromnymi sześcianami znajdowały się skupiska pomarańczowych reflektorów.

Za szkłem oskórowane zwierzęta. Gabriela uderzyła mieszanka grozy i absolutnego piękna, która emanowała z plastynatów. Wyglądały jak istoty z arki Noego – ciekawskie, zaintrygowane lub przestraszone, które brutalny powiew nieoczekiwanie pochwycił w ruchu, zdmuchując z nich ciało i skórę. Na

jednym z postumentów stały naprzeciwko siebie dwie kozice w pełnym starciu – na tylnych nogach, splecione rogami, mięśniami i nerwami. Z ukosa podejrzliwie przyglądała się im połowa byka, którego ciało rozcięto na całą długości. Z jednej strony zwierzę wyglądało na nietknięte: krótka brązowoczerwona sierść i lśniące oko. Z drugiej widać było niesamowitą wewnętrzną maszynię.

Zwierzęta były wszędzie – porozcinane, wydrążone, starte. Gabriel zanurzył się w milczącej dżungli. Z głośników płynęło już wezwanie do opuszczenia wystawy. Nieliczne osoby znajdujące się w sali zawróciły, on zaś ruszył naprzód. Zobaczył kozicę z wyeksponowanymi kilkoma układami organizmu – mięśniowym, nerwowym, kostnym, pokarmowym... – minął rozpędzonego strusia z wytrzeszczonymi oczami i rozłożonymi skrzydłami, pozbawionego kości, ciała i mięśni, za to ze świetnie widocznymi dziewięćdziesięcioma sześcioma tysiącami kilometrów żył, tętnic, tętniczek i naczyń włosowatych. Wyobraził sobie tytaniczną pracę, setki godzin, które musiało Kalininowi zająć osiągnięcie takiego rezultatu – tak czystego, tak estetycznego. A jednocześnie tak nikczemnego. Gdzie bowiem leży granica między życiem i śmiercią? Śmierć to spustoszenie, gnicie, padlina, definitywny koniec istnienia. Ale to?

Po przejściu przez działy z autentycznymi ludzkimi organami, zdrowymi, a dalej chorymi – były tam płuca szerniałe od papierosów, jelito strawione rakiem, wątroba zniszczona marskością – Gabriel dotarł do schodów, przy których widniała tablica: „Wystawa anatomiczna prawdziwych ludzkich ciał”. Każdy krok, każdy kolejny stopień był gehenną. Wszędzie dookoła czuł śmierć, unosila się w powietrzu jak ostre, szkodliwe wyziewy. Choć z jego pamięci zniknęło dwanaście ostatnich lat, w tej chwili przygniatał go ciężar każdego minionego dnia, wszystkich tych godzin, kiedy nadaremnie szukał Julie.

Jego piekielne poszukiwania miały dobiec końca. Możliwe, że jego córka była tam na górze, wtłoczona w formę sztucznego życia albo jeszcze żywej śmierci, jakiś niemożliwy do określenia stan, potworny i bezwstydnny. A on wchodził tam, żeby spojrzeć jej w oczy. Żeby jej dotknąć. Jaki straszliwy los zgotował jej Kalinin? W jaki sposób postanowił ją wyeksponować?

Przed salą na piętrze stał ochroniarz z krótkofalówką w dłoni i zachęcał niedyscyplinowanych gości do wyjścia. Gabriel szybko skręcił do toalety. Zgasił światło, po omacku zamknął się w kabinie, opuścił klapę muszli klozetowej, usiadł na niej i czekał. Jakies dziesięć minut później usłyszał ciężkie kroki i przeciągłe skrzywienie drzwi do sanitariatów. Mężczyzna się oddalił, nie pofatygowawszy się nawet, by sprawdzić kabiny.

Gabriel trwał bez ruchu jeszcze przez pół godziny z łokciami opartymi na kolanach i dłońmi splecionymi pod brodą, aż zapanowała absolutna cisza. Kiedy

wyszedł, całe piętro było pogrążone w ciemności, paliły się tylko zielone lampki wskazujące wyjścia ewakuacyjne. Z dołu jednak docierała delikatna niebieskawa poświata. Usłyszał też męskie głosy: być może ostatni pracownicy w recepcji kończyli liczyć utarg z kasy i przygotowywali plan zwiedzania na następny dzień. Najciszej, jak mógł, ruszył do pomieszczenia w głębi. Włączył latarkę w smartfonie. Powitały go oskórowane ludzkie ciała.

— **A**le dlaczego? Dlaczego oni to zrobili? – Corinne z bólem wydobywała z siebie słowa.

Paul mocno tulił ją w ramionach. Lała potoki łez w zagłębienie nad jego obojczykiem, wpatrując się w przygasający w kominku żar. Na stole w salonie leżał katalog z wystawy *Kostnica*, otwarty na martwym oku Julie. Corinne rozpoznała je od razu.

Opowiedział jej o ostatnich wnioskach ze śledztwa. Współczesny artysta Andreas Abergel przez lata fotografował z bliska ludzkie zwłoki z zamiarem zorganizowania wystawy. Wśród nich było ciało Julie i innej zaginionej dziewczyny, Mathilde Lourmel z Orleanu. Kto je zabił? Czy za tymi zdjęciami kryły się inne ofiary porwań, których historie zaszyfrował Traskman w swoich książkach? Tego Paul nie wiedział, ale Abergel i Traskman byli odrażającymi współnikami zbrodni, których mechanizm pozostawał jeszcze do odkrycia. Jeśli chodzi o kobietę zamordowaną na brzegu, to już wiedzą, że nazywała się Rada Boïkov i przed laty brała udział w porwaniu Julie. Wciąż szukają jej zabójcy, ale nie mają jeszcze żadnego tropu.

– W tej chwili nie wiemy jeszcze, co konkretnie łączyło Abergela z Traskmanem – mówił dalej. – W jaki sposób się poznali i co ich skłoniło do popełniania tak straszliwych czynów? Nie wiadomo. Ale ci goście nie byli tacy jak ty i ja. Mieli w sobie diabła.

Paul kłamał. I będzie musiał okłamywać wszystkich aż do końca swoich dni. Corinne odsunęła się od niego. Poszła usiąść na sofie i zapatrzyła się w żar, kiwając się lekko, pochylona do przodu.

– Chcę, żebyście znaleźli ciało mojego dziecka.

Paul stał za nią i masował sobie powieki. A więc to się nigdy nie skończy. Otworzył drzwiczki kominka i dorzucił polano, po czym popchnął je pogrzebaczem. Powoli ogień rozgorzał na nowo.

– Następne skomplikowane śledztwo właśnie się zaczyna. Będziemy musieli podjąć współpracę z policją w Orleanie, która prowadziła sprawę zaginięcia Mathilde Lourmel. A potem z policją w Paryżu w związku z samobójstwem Abergela. Trwa też przeszukanie domu pisarza. Krótko mówiąc, czeka nas męczące, rozgałęzione dochodzenie.

Zamilkł. Usiadł obok żony i teraz on zapatrzył się w kominek. Jutro spotka się w Paryżu z Martinim, by skoordynować dalsze prace z komendantem dzielnicowego komisariatu. To było niepodważalne samobójstwo, potwierdzały to nagrania wideo i zdjęcia, ale policja z pewnością będzie próbowała zrozumieć czyn fotografa. A on będzie musiał się wykazać sprytem, nie ma potrzeby, żeby za dużo węszyli.

Potem, za kilka dni, znowu pojedzie do Gabriela, żeby go przekonać do zakończenia poszukiwań. To sprawa życia albo śmierci. Pozbędą się pamiętnika Julie, sformatują kartę pamięci w jego telefonie, by po Rosjaninie i trupach z magazynu nie pozostał żaden ślad. Gabriel bezwzględnie musi się odsunąć od tych wszystkich potworności, zadbać o siebie i wrócić do zwyczajnego życia. W przeciwnym razie obaj skończą w więzieniu.

Paul ucałował Corinne w czoło i kiedy położyła się na sofie, otumaniona lekami, naciągnął jej koc aż pod brodę. Podkreślił dźwięk w telewizorze i zszedł do piwnicy. Odpakował owinięty w prześcieradło obraz Pascala Croisille'a, położył go na betonowej wylewce, oblał benzyną i podpalił. Portret nieznanego młodego mężczyzny skurczył się, odkształcił pośród bąbli gotującej się farby, rozpadł, a wreszcie obrócił w nicłość.

Paul stwierdził, że stał się potworem: oto odebrał jakimś rodzicom wszelkie szanse na poznanie losów własnego dziecka. Mężczyźnie i kobiecie, którzy być może wciąż czekali przy telefonie albo wzdrygali się, ilekroć rozlegał się dzwonek do drzwi. Ale ta część śledztwa musiała zniknąć. Tajne stowarzyszenie Xiphopagus powinno na zawsze pozostać ukryte w mrokach karpackiego lasu. A jeśli D.K. pozostanie bezkarny, to trudno. I tak nic nie przywróci Julie do życia.

Zmiotł popiół, wrzucił go do wiadra i rozsypał w ogrodzie. Gorący pył zawirował w powietrzu jak czarne motyle. Niebo wciąż było przytłaczające. Spojrzał w kierunku doliny. Światła Sagas w dole migotały jak nieśmiałe lampiony – niektóre z nich niknęły na górskim zboczu, daleko za kwadratowym terenem więzienia. Ludzie żyli tu i umierali, ani specjalnie szczęśliwi, ani nieszczęśliwi. Paul chciał być taki jak oni. To życie, u boku żony i córki, w pełni mu wystarczało. A jednak, bez względu na to, jak było proste, wiedział, że będzie musiał o nie zawalczyć.

Wypłukał wiadro, zamknął drzwi i utykając, wrócił do salonu. Corinne już spała. Wyłączył telewizor i wsunął się za nią, obejmując ją ramionami. Kiedy poczuł spokojne bicie jej serca i kiedy jego klatka piersiowa ścisnęła się w przyływie czułości, wiedział, że nie wszystko umarło – że pośród tylu okrucieństw wciąż jest nadzieja na odzyskanie miłości.

Gabriel wkraczał w czeluści piekła wypełnionego ofiarami najgorszych tortur, przewyższających wszystko, co może sobie wyobrazić ludzki umysł. W wiązce światła pojawił się las plastynatów. Pierwszy wyciągał ku niemu rękę. Uścisk dłoni. Szkielet obciągnięty skórą aż do żeber, z zaschniętymi więzadłami przyczepionymi do kości pożerał go wzrokiem, unosząc wargi i szczerząc nagie dziąsła. Kiedy Gabriel go minął, miał wrażenie, że rzeźba idzie za nim, że zaraz go złapie i pogruchocze mu kręgosłup.

Następnie trafił na jeźdźca Apokalipsy – figura dokładnie pokrywała się z wyobrażeniem w jego głowie. Nie był to mężczyzna dosiadający oskórowanego narowistego konia, ale kobieta, a w każdym razie wewnątrz czegoś, co w przeszłości było kobietą. Jej pozbawione powiek oczy przeszywały go na wskroś, do tego stopnia, że już widział, jak wściekła postać rzuca się na niego, żeby mu oderwać głowę. W jednej ręce trzymała własny mózg, niczym trofeum skradzione nieprzyjacielowi.

Poczuł się całkowicie wyprany z energii, jakby ci zmarli ją z niego wysysali. Z każdym krokiem bał się, że się przewróci. Bo gdzieś tutaj mogła być jego córka. Mogła się kryć w którejkolwiek postaci, w dowolnym cielesnym przedstawieniu potworności. Jedna po drugiej mijał odrażające, wygłodzone bezimienne twarze. Czy to Julie dosiadała tamtego rumaka? A może była po prawej, pocięta na dziewięćdziesiąt plasterów? Chyba że kryła się w ciele tej umięśnionej wojowniczkę, dźwigającej przewieszoną na przedramieniu własną skórę, jakby chciała ją wręczyć pierwszemu napotkanemu gościowi?

Kawałek dalej zobaczył eksponat zatytułowany *Wysadzony mężczyzna*: było to nagromadzenie fragmentów ciała, monumentalna rzeźba o szerokości ponad pięciu metrów, przypominająca zdjęcie wykonane ułamek sekundy po eksplozji miny przeciwpiechotnej. Tuż za tym eksponatem znajdował się kolejny: rozcięte na pół ciało leżącej kobiety z co najmniej ośmiomiesięcznym dzieckiem w łonie. Płody w różnych fazach rozwoju umieszczone w małych gablotkach

pozwalają rozłożyć na czynniki pierwsze cały okres życia prenatalnego. Gabriel był zszokowany. I ludzie przychodzą to oglądać! W tym akcie transgresji do głosu dochodziły niskie instynkty kanibalizmu i nekrofilii. Zastanawiał się, kto tak naprawdę jest potworem.

Las otaczał go teraz ciaśniej, plastynaty były coraz bliżej, groźne, z wystającymi zuchwami, dłońmi wyciągniętymi w błagalnym geście. Gabriel czuł rozdzierający, palący ból, ponieważ nie sposób było sobie wyobrazić rysy twarzy tych odrażających eksponatów, odróżnić plastynaty wykonane ze zwłok dostarczonych przez uniwersytety medyczne od tych powstałych z ciał osób, które wpadły w ręce Kalinina żywe. Ile było wśród nich ofiar morderstw? Ile z tych ofiar torturowano? Wyobraził sobie tego sadystę, jak pracuje na żywych ludziach, jak precyzyjnymi pociągnięciami skalpela oddziela ścięgna od kości.

Właśnie minął *Człowieka-Szufladę* z przemieszczonymi częściami ciała, przypominającego organiczny sklep samoobsługowy, kiedy z ciemności dobiegło go skrzypnięcie drzwi, przez które wcześniej przechodził. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi czyjeś lśniące oczy, ale kiedy podszedł bliżej i włączył latarkę, okazało się, że były to oczy plastynatu stojącego w pozycji łucznika ze strzałą wycelowaną w jego stronę. Minął go i wpadł w sam środek armii trupów, z zaciśniętą pięścią gotową do wymierzenia ciosu. Niesiony siłą rozpędu i strachem, pokonał korytarz ze szklanymi ścianami: umieszczone po obu stronach części ludzkich ciał jakby próbowały się połączyć, przyklejone naczyńiami krwionośnymi do szyby. Czuł się przytłoczony.

Gdzie się znalazł, dokąd ma iść? Wybrał kierunek na chybił trafił i nagle zamarł: *Biegaczka* o odsłoniętych mięśniach i rozwartych szczękach, na próżno usiłująca złapać oddech, wyglądała, jakby miała się na niego rzucić. Na frotowej opasce wokół prawego nadgarstka widniał czarny rysunek końskiej głowy. Mathilde.

Wzdrygnął się, zrobił krok w tył i wpadł na drewniany postument. Odwrócił się. Miał przed sobą ostateczny koszmar, zwieńczenie swoich poszukiwań, spełnienie lat niepewności. To była ona. Znalazł ją. Po dwunastu latach.

I nskrypcja pod strasliwą rzeźbą głosiła, że nosi ona tytuł *Szachistka*. Kobieta siedziała przed szachownicą umieszczoną na szklanym stole i rozmyślała, opierając dłonie po obu stronach planszy, z gałkami ocznymi utkwionymi w toczącej się partii. Pod otwartą czaszką lśnił mózg, jej twarz, zgrabnie oderwana od reszty, przywodziła na myśl wenecką maskę, a plecy wyglądały jak obrane – płaty skóry i mięśni były odsunięte od reszty niczym skrzydła. Kręgosłup lśnił niczym potężny wąż z kości słoniowej.

Gabriel opadł na kolana. Musnął dłonią zimne kości jej palców, jej żyły. Poczuł bezgraniczną pustkę wypełniającą teraz każdą komórkę tego strasliwego eksponatu, który kiedyś był jego dzieckiem. Przyjrzał się wychudłej masce, rozpoznał znajome rysy, sposób, w jaki postać siedziała i rozmyślała, kształt ust...

Tak, to była ona. A jednocześnie nie była.

Była teraz niczym więcej, jak tylko splastynowaną materią organiczną, na którą nie dało się patrzeć, obiektem pozbawionym wody i naszpikowanym silikonem. Tyle w tym człowieczeństwa, co w zmarzniętym strachu na wróble. Wstrząsnął nim gorący powiew gniewu. Jeszcze raz spojrzął na kreaturę i spuścił wzrok na szachownicę. „Nieśmiertelna” Kasparowa. Wszystko zostało przemyślane w najdrobniejszych szczegółach. Brakowało jednak białej wieży: tej samej, która znalazła się na dnie żołądka Wandy Gershwitz. Dowód na to, że któregoś dnia Rosjanin odwiedził to miejsce.

Gabriel wypadł na korytarz, dusząc się od powstrzymanego szlochu. Nie, nie, nie! Przez dwanaście niekończących się lat jego córka była dotykana, oglądana, fotografowana, wożona z jednej wystawy na drugą. Nigdy nie spoczęła w pokoju. Zbiegł na dół, przeskoczył przez bramkę i znalazł się w pustym holu recepcyjnym: umieszczone nisko lampki rzucały na podłogę stożki niebieskawego światła. Taki budynek musiał być wyposażony w system

alarmowy, najwyraźniej jeszcze go nie włączono. A to oznaczało, że Dmitri Kalinin jeszcze jest na miejscu. Za którymiś z tych drzwi.

Gabriel bezszelestnie otwierał kolejne pomieszczenia. Sale konferencyjne, filmowe... Z półmroku wyłoniło się nagle pięć stopni. Zszedł po nich i ruszył kolejnym, węższym korytarzem, również delikatnie oświetlonym. Wtem usłyszał jakąś odległą melodię. Wstrzymał oddech: muzyka klasyczna, fortepian.

Ruszył przed siebie, prowadzony przez dźwięki, i zatrzymał się przed metalowymi drzwiami. Obok, na wysokości ludzkiego wzrostu, wisiała skrzynka – z pewnością klawiatura systemu alarmowego. Wyglądało na to, że jest nieaktywny, ponieważ paliła się zielona kontrolka. Przekręcił klucz pozostawiony w zamku. Pchnął drzwi i zobaczył, że prowadzą na zewnątrz, a dokładniej: na wybetonowany plac na tyłach budynku. Najwyraźniej było to wyjście przeznaczone dla personelu, które pozwalało uniknąć przechodzenia przez recepcję.

Z powrotem zamknął drzwi na klucz i ruszył dalej. Dźwięki płynęły lekkim nurtem. Wszedł do sali, w której znajdowała się przezroczysta trumna wypełniona lepkiem płynem w kolorze czerwonym: na jej dnie leżało ciało mężczyzny. Pompa z cichym pomrukiem zasysała płyn do rur, wlewając go następnie do kadzi, z której unosił się silny zapach acetonu: wszystko było zautomatyzowane i kontrolowane przez komputer. Na prawo od kadzi znajdował się metalowy stół z lampą bezcieniową wyposażoną w dwie żarówki oraz sprzętem chirurgicznym. Gabriel rozpoznał leżące w kącie niebieskie tkaniny i prześcieradła, tego samego typu jak te ze zdjęć Abergela. Z pewnością właśnie tutaj fotografował on zwłoki, a następnie Kalinin zajmował się resztą. Mordercy czystej krwi.

Nokturn Chopina. Pełna zniewalającego smutku melodia płynęła z przyległego pomieszczenia. Przez szparę w drzwiach na posadzkę z linoleum wpadał promień światła, który kończył się u stóp Gabriela. Zwyrodnialec musiał urzędować za ścianą.

Gabriel bezszelestnie podszedł aż na próg uchylonych drzwi i zamarł. Jego oczom ukazał się koszmarny widok: dwa kobiece ciała – nagie i ogolone – siedzące na stalowym sześcianie plecami do siebie, w doskonałej symetrii. Obie około dwudziestu lat, tego samego wzrostu i tuszy. Jedna jeszcze nietknięta, druga już częściowo rozczłonkowana, ze zwisającym z przodu płatem skóry zdjętej z okolic brzucha. Druty oraz setki igieł, gwoździ i śrub utrzymywały je w pozycji marionetek – z uniesionymi rękami, pochylonymi głowami i otwartymi ustami. Gabriel był pewien, że to one zajęły miejsce kobiet z magazynu. Biedne ofiary porwane przez Rosjanina.

Melodia odtwarzana z płyty kręcącej się na gramofonie w tempie trzydziestu trzech obrotów na minutę wydawała się niestosowna. Gabriela zaalarmował podmuch powietrza na karku i ledwie zdążył się odwrócić, gdy ostrze skalpela zamiast na rdzeń kręgowy spadło na jego policzek, żłobiąc w nim długą bruzdę. Dmitri Kalinin wykorzystał ból przeciwnika i wbił narzędzie w jego nową kurtkę dwa centymetry od gardła, ostatecznie jednak trafił w prawe ramię. Gabriel krzyknął i ze wszystkich sił odepchnął napastnika w bok. Profesor wpadł na postument, a jego borsalino wyleciało w powietrze. Plastynat stracił równowagę i spadł z cokołu. Podtrzymywany przez druty, zaczął konwulsyjnie wierzgać, jakby nagle wrócił do życia.

Gabriel rzucił się na próbującego wstać Kalinina i zaczął go tłuc z całej siły. Zwłoki zatańczyły wokół nich jak szaleni akrobaci. Mężczyźni upadli na podłogę. Gabriel szybko znalazł się na przeciwniku i okładał go pięściami jak rozwścieczony goryl. Nie czuł już nawet bólu ramienia.

– Ilu ich zabiłeś, co? Ilu trupów było trzeba, żeby zaspokoić twoje pierdolone szaleństwo?

Krew z jego policzka mieszała się z krwią Kalinina, którego opór już słabł. Kość nosowa starucha przemieściła się na bok, oddychał teraz głośno przez otwarte usta, odsłaniając lśniące czerwone zęby. Wybełkotał po rosyjsku coś, czego Gabriel nie zrozumiał, i mimo bólu posłał mu sadystyczny uśmiezek. Oczy lekarza zalśniły blaskiem, ale jego przeciwnik tego nie zauważył: nie było to spojrzenie człowieka, który boi się śmierci.

Gabriel objął szyję starca dłońmi w rękawiczkach i ścisnął. Jego twarz znalazła się dziesięć centymetrów od twarzy słynnego „D.K.”, którego oczy zasnuły się mgłą, a naczynka wokół tęczówek popękały.

– Za moją córkę. I za wszystkie inne ofiary.

Ciałem wstrząsnęły gwałtowne konwulsje, po czym osunęło się na ziemię. Gabriel z wściekłością potrząsał trupem, tak że głowa odchyliła się od tułowia pod nieprawdopodobnym kątem. A potem opadł na Kalinina i szlochał na jego ramieniu. Nie wiedział, jak długo to trwało, a kiedy się podniósł, zakręciło mu się w głowie. Zdjął kurtkę i sweter i wrócił do drugiej sali, gdzie znajdował się zlew. Przemył mniej więcej centymetrową ranę na wysokości obojczyka. Znowu zaczęła tryskać krew, ale nie tak mocno jak z uszkodzonej żyły czy tętnicy. Poszperał w sprzęcie, znalazł kompresy hemostatyczne i bandaże, udało mu się zrobić opatrunek. Rana na policzku była powierzchowna. Przeżyje.

Osunął się po ścianie i usiadł z rękami wzdłuż ciała i błędnym wzrokiem. To był koniec. Hydra została pokonana, nie będzie już porywać, zabijać ani ćwiartować. Nikogo więcej nie skrzywdzi. Teraz jej miejsce jest wśród piekielnych płomieni.

Po chwili Gabriel wstał, sięgnął po kanistry z acetonem i obficie wylał go na ciało profesora i podłogę. Spojrzał na akwarium wypełnione po brzegi tysiącami litrów tego łatwopalnego płynu. Kiedy zajmie się ogniem, będzie jak prawdziwa bomba.

Wrócił na korytarz, do holu, wszedł na piętro i stanął przed szachistką. To fakt, była wyzuta z człowieczeństwa, ale widział ją po raz ostatni. Zalała go fala emocji. Musnął lodowatą dłoń córki.

– Kocham cię, Julie. Tak bardzo cię kocham.

Ze łzami w oczach wylał resztę płynu na jej otwartą czaszkę. Z kieszeni dzinsów wyjął zapalniczkę. Kciukiem odchylił klapkę i wykrzesał płomyk, który przysunął do kałuży na podłodze. Kula niebieskawego ognia zmieniła kolor na intensywnie czerwony, wspięła się po chudych nogach plastynatu. Kiedy gorąco ogarnęło klatkę piersiową, rozległ się syk, straszliwy odgłos kurczącego się materiału przypominający ledwie słyszalny krzyk.

– Wybacz mi.

Płomienie obejmowały już podłogę. Wrócił do laboratorium i podpalił nasączone acetonem zwłoki Kalinina, leżące pomiędzy trupami zwisającymi na drutach. Następnie wyszedł przez metalowe drzwi, ruszył wzdłuż prawej ściany budynku i wybiegł na ulicę naprzeciwko parkingu. Kiedy wsiadał do wozu, grunt pod jego stopami zatrzęsł się od eksplozji, po której rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Z wszystkich otworów plastynarium wpełzały pomarańczowe płomienie.

Gabriel wrócił na drogę i wmieszał się w strumień samochodów. Jechał w przypadkowym kierunku. Przede wszystkim uciec, byle dalej stąd, potem oporządzić się w hotelu i wsiąść do samolotu, pewnie już jutro. Opuścić ten przeklęty kraj. A następnie dzień po dniu improwizować dalszy ciąg.

Nie wiedział, czy się z tego wywinie, ale było mu wszystko jedno. Przebijając się przez czarną dziurę swojej pamięci, przypomniał sobie, jakby to było wczoraj, to zdanie, które wypowiedział dwanaście lat wcześniej, tego wieczoru, kiedy spisywał nazwiska klientów hotelu Falaise. „Znajdę cię, Julie. Przysięgam, że cię znajdę”.

I dokonało się. Znalazł swoje dziecko. Uwolnił córkę i innych męczenników. Na wieczność.

EPILOG

A więc znowu. Znowu szpaki. Przyleciały ze wschodu, wyłoniły się zza szczytów, a potem opadały wzdłuż zboczy jak czarna, niszczycielska lawina. Gigantyczny cień nowej kolonii ogarnął dzwonnice kościoła w Sagas, posterunek żandarmerii, szkoły, zasłonił niebo nad więzieniem, tak że osadzonym, którzy stanęli jak wryci na spacerunku, wydawało się, że to początek końca świata. W pewnej chwili gęsta pierzasta chmura jakby się rozproszyła, po czym na granicy miasta skupiła się na nowo, jeszcze bardziej zwarta, by wreszcie rozpaść się na mnóstwo kłębków, które oplątały się wokół drzew nad brzegami Arve, tuż za wiaduktem.

W takich właśnie okolicznościach Gabriel wrócił do Sagas w odpowiedzi na wiadomość otrzymaną tydzień wcześniej od Paula.

Mam dwa tygodnie urlopu. Jeśli chcesz odebrać wisiorek Julie, przyjeżdżaj. Popołudnia spędzam na rybach, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Przed spotkaniem z kolegą Gabriel zjechał do hotelu Falaise, gdzie powitała go żona Romualda Tanchona. Ponad dziewięćdziesiąt procent miejsc było zajętych, ale klucz z numerem siedem wisiał na ścianie. Zarezerwował jeden nocleg i zaniósł do pokoju sportową torbę Waltera Guffina, której wciąż się nie pozbył.

Czuł się dziwnie. Nic się nie zmieniło – ani meble, ani zawartość barku. Nadal pachniało starym drewnem i wilgocią. Gabriel otworzył drzwi na parking. Zobaczył wapienne urwisko, tak samo imponujące jak w jego wspomnieniach. Sagas było niezmiennie, prawdziwa pocztówka zamknięta w rzadko przeglądany albumie.

Wszedł przed budynek i przez kilka długich minut stał bez ruchu. Ptaki znów poderwały się do lotu i krążyły w powietrzu, kreśląc symbol

nieskończoności: dwie idealne, stykające się ze sobą elipsy. Na chwilę ogarnął go niepokój. Miał wrażenie, że już przeżył tę scenę. Zerknął na datę na wyświetlaczu smartfona: szósty listopada. Minał dokładnie rok od dnia, kiedy obudził się w pokoju numer siedem.

Dziesięć kilometrów na północ od Sagas błękitne wody Arve płynęły leniwie pod szarym całunem jesiennego nieba. Od czasu do czasu Paul dostrzegał odblaski srebrzystych grzbietów pstrągów spokojnie myszkujących wśród kamieni. Stojąc w wodzie, zamachnął się wykonaną z włókna węglowego wędką, zarzucił muchę znajdującą się na końcu żyłki i zwinnym ruchem nadgarstków umieścił ją w miejscu, w którym dostrzegł ryby. Na krawędzi ciemnego sosnowego lasu czekała na niego lodówka turystyczna pełna chłodnych napojów i kanapek.

– Nie wyszedłeś z wprawy – rozległ się głos za jego plecami.

Paul odwrócił głowę. Podniósł wędkę, przyciągnął do siebie muchę i ostrożnie, opierając ciężar ciała głównie na lewej nodze, po śliskich kamieniach wrócił na brzeg. Odłożył sprzęt i serdecznie objął Gabriela. Cofnął się, by się przyjrzeć jego twarzy. Jego wzrok spoczął na chwilę na niewielkiej bliźnie nad prawym łukiem brwiowym.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Źle sypiam.

Paul pochylił się nad lodówką i otworzył dwa piwa. Ostatni raz spotkali się po powrocie Gabriela z Polski. Kilka razy do siebie dzwonili i esemesowali, a potem na miesiąc zapadła cisza. Usiedli na dużym okrągłym kamieniu.

– Jak tam twoja pamięć?

– Pustka. Mam dwunastoletnią dziurę, która być może nigdy się nie wypełni. W niektórych przypadkach tak się niestety zdarza.

– Słabo.

– Jakoś daję radę.

Paul upił łyk piwa.

– Nocujesz w hotelu Falaise?

– Właśnie stamtąd przyjechałem. Wracam jutro skoro świt.

– Widziałem, że jest pełny, więźniów nie ubywa, więc goście ciągle dopisują. Siódemka była wolna?

– Tak. I tam się zatrzymałem.

Przez twarz żandarma przemknął cień niezadowolenia.

– Dlaczego? Dlaczego akurat tam? I czemu pojawiaasz się dzisiaj, równo rok od tamtej wizyty? Przecież pisałem do ciebie tydzień temu.

– Nie zwracam uwagi na daty. Ale to prawda, niecałą godzinę temu uświadomiłem sobie, że minął równo rok. A jeśli chodzi o pokój, nie zastanawiałem się nad tym. Może chciałem przywołać wspomnienia.

– Tydzień temu mieliśmy tu piękne, błękitne niebo. I wiesz co? Ta cholerna zaraza spadła na miasto dzień po tym, jak wysłałem ci esemesa, sprawdziłem to. Niebo nagle zrobiło się czarne i ptaki wróciły w to samo miejsce, dokładnie po roku, tego samego dnia: trzeciego listopada. Słyszałem w radiu, że według specjalistów to niewiarygodny zbieg okoliczności, żeby stado ptaków wróciło tego samego dnia w to samo miejsce. Nie tylko do tego samego miasta, ale na te same drzewa. Nie uważasz, że to dziwne? Ty wracasz, ptaki wracają.

– Tak, to dziwne.

Paul w milczeniu patrzył na szmaragdowożłotego skarabeusza, który wspinał się po kamieniach. Rzadko widywał takie nad Arve.

– Nie mówiłem ci, ale ostatnim razem te szpaki wyniosły się z Sagas równo z tobą. O świcie. Przyjeżdżasz, one przylatują. Odjeżdżasz, one odlatują.

Gabriel wzruszył ramionami. To wszystko nie miało żadnego znaczenia, a jego kolega szukał powiązań tam, gdzie ich nie było. Paul pogrzebał w kieszeni spodni, które leżały złożone obok lodówki. Podał Gabrielowi torebkę, którą ten otworzył. Wisiorek wyslizgnął się z niej wprost na jego dłoń.

– Dzięki – powiedział Gabriel – ale to przecież jest dowód. Jak tego dokonałeś?

– Dowody czasem giną, to nie będzie pierwszy raz. Poza tym nie mówiłem ci, ale mnie przesunęli. Dostałem ochrzan za kozaczenie u Abergela. Żeby mnie ukarać, jakiś miesiąc temu oddelegowali mnie do eskorty. Jeżdżę z więźniami na rozprawy do sądu w Sagas i na leczenie do szpitala. Więc mam to gdzieś.

– Przykro mi.

– Okej, nie myśl, że mnie to smuci. Wręcz przeciwnie. Mam jeszcze cztery lata służby. I tak nie mógłbym żyć w kłamstwie jako śledczy. Przynajmniej Martini skorzystał na tej sytuacji, jest teraz szefem. Życzę mu powodzenia.

Gabriel wyglądał na nieobecnego, jakby się wyłączył. Paul odstawił puszkę, stukając denkiem o kamień.

– Samobójstwo Abergela ich rozwalilo. Nigdy się nie dowiedzą, co go tak naprawdę łączyło z Calebem Traskmanem. Nie ustalili żadnych powiązań, nie znaleźli żadnych śladów informatycznych czy telefonicznych, nie mają jak się dowiedzieć o istnieniu stowarzyszenia Xiphopagus. Wiedzą tylko, że Abergel sfotografował zwłoki Mathilde i Julie. Nie wiedzą gdzie. Nie wiedzą dlaczego, nie wiedzą, czy w ogóle są i kim są inni podejrzani. Martwy punkt.

Martwy punkt. W pewnym sensie tak było najlepiej. Ale nikt nie odpowie na pytania Gabriela o ostatnie białe plamy w tej historii. Nikt mu nie powie, jak

dokładnie wyglądała droga krzyżowa Julie od chwili jej porwania w Sagas do śmierci w Polsce.

– A ty, nie miałeś żadnych problemów z belgijską policją? Nie odwiedzili cię?

– To się nie zdarzy. Nic się już nie da znaleźć. Sodebin spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach piętnaście dni po pożarze plastynarium.

Paul zerknął na Gabriela. Nie miał do niego pretensji.

– Każdego dnia mam ochotę opowiedzieć Corinne całą prawdę. Żeby wiedziała.

– To, co zrobiłem w Polsce, nie nadaje się do opowiadania.

– Wiem. Ale to trudne.

– Mnie też jest trudno. Słono płacę za tę prawdę. *Szachistka* ciągle budzi mnie po nocach.

– Każdy ciągnie swoje demony za sobą.

Tuż przed nimi nad wodę wyskoczył pstrąg, jakby chciał sobie z nich zakpić. Paul patrzył, jak ryba znika w wartkim, szumiącym nurcie.

– A poza tym co u ciebie?

Gabriel westchnął.

– Opiekuję się matką. Z braku laku pracuję dorywczo tu i tam. Co dwa tygodnie jeżdżę do Orleanu.

– Do Orleanu? – Oczy Paula zalśniły. – Nie mów, że...

– Spokojnie, to dopiero początek. Ale to świetna babka. Trzeba będzie ją oderwać od butelki. Sprawa nie jest wygrana, ale warto zawałczyć.

Paul się zamyślił. Zastanawiał się, jaka może być przyszłość takiej pary. Ale Gabriel potrzebował niewykonalnych wyzwań, to był sens jego istnienia. Pełen współczucia, poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– To dobrze, Gabriel. Cieszę się.

Posiedzieli tak jeszcze godzinę, rozmawiając i sięgając po kolejne piwa, jak starzy przyjaciele razem kontemplujący świat. A potem się pożegnali. Może na zawsze. Może.

Kiedy Gabriel wrócił do pokoju, kręciło mu się w głowie. Za dużo wypił. Padł na łóżko, ściskając w dłoni wisiołek córki, i prawie natychmiast zasnął.

Tuż przed dwudziestą trzecią brutalnie wyrwał go ze snu dzwonek telefonu. Przewrócił się na bok, by sięgnąć na szafkę nocną po urządzenie. To była Josiane Lourmel. Źle się czuła, mówiła ciężkim, bełkotliwym głosem. Płakała, była w rozpacz. Gabriel obiecał jej, że będzie u niej przed świtem. Sięgnął po torbę, której nawet nie otworzył, sprawdził, czy niczego nie zapomniał, i wyszedł z pokoju numer siedem. Po drodze wrzucił klucz do koszyka na ladzie recepcji.

Usiadłszy za kierownicą swojego starego mercedesa, ostatni raz spojrzął na hotel Falaise, na jego blady szyld oświetlony blaskiem samochodowych świateł,

i ruszył. Sagas znikło za jego plecami. Światła miasta migąły w lusterku jego samochodu, a potem zniknęły za skalistym górskim grzbietem jak za opadającą kurtyną. Nie będzie tęsknił za tą przeklętą dziurą.

Dziesięć minut później był już na autostradzie. Na bramce minął innego mercedesa. Była dwudziesta trzecia jedenaście. Podkręcił radio na cały regulator i przy dźwiękach *Highway to Hell* AC/DC zanurzył się w noc.

OD AUTORA

Drogi Czytelniku!

Strony załączone poniżej to kopia oryginalnego zakończenia *Niedokończonego rękopisu* – te same, które znalazł Paul w domku Davida Esquimeta. Autorem tekstu jest Caleb Traskman. Na przedostatniej stronie zobaczysz litery zaznaczone przez Davida Esquimeta. Na pewno zauważysz kilka błędów czy niezręczności, ponieważ jest to rękopis, który nigdy nie przeszedł korekty ani nie został opublikowany.

Jeżeli nie czytałeś *Niedokończonego rękopisu*, gorąco radzę, żebyś to zrobił, zanim zapoznasz się z tym zakończeniem. W dużej części ujawnia ono bowiem kluczowe elementy całej historii, których poznanie przed zaznajomieniem się z ostatnią powieścią Caleba Traskmana zepsułoby ci lekturę.

Jeśli natomiast przeczytałeś *Niedokończony rękopis*, masz wybór: możesz przeczytać albo zakończenie napisane przez prawdziwego autora – bezpośrednio, zimne, pozbawione niedomówień, albo to drugie, błyskotliwe, choć nie tak jednoznaczne, które zaproponował jego syn Jean-Luc Traskman. Białe albo czarne: wybór należy do ciebie.

Ach, i jeszcze jedno, zanim sobie pójdę. Caleb Traskman lubił ukrywać zagadki w ciągu zdań, używając pierwszych liter każdego słowa albo całych słów. A gdyby tak prześledzić pierwsze litery rozdziałów tej powieści? Może i one kryją w sobie jakąś tajemnicę? Być może jest ona odpowiedzią na pytanie, które na koniec lektury zadają sobie najbystrzejsi czytelnicy. Twój ruch.

Léane leżała u jego stóp. Kiedy wkładała walizkę do bagażnika, uderzył ją brutalnie w tył głowy kawałkiem drewna. Nie krwawiła i nie przestała oddychać.

Panującą w garażu ciszę mąciły teraz tylko jego ciężki oddech i podmuchy wiatru uderzające w drzwi. Pierwszą rzeczą, o której pomyślał, było odłożenie kłody na miejsce.

Przede wszystkim bez pośpiechu. Panować nad każdym ruchem. Ci, którzy dają się złapać policji, zawsze z powodu pośpiechu pomijają jakiś ważny szczegół. Najpierw telefon. Przeszukał kieszeń kurtki Léane i wyjął urządzenie, które odłożył na fotel pasażera. Następnie podniósł nieruchome ciało i zamknął je w bagażniku terenówki.

Spokojnie wrócił z bagażami do mieszkania i ułożył rzeczy kobiety w szafach. Wsunął walizkę na kółkach na miejsce w kącie: nic nie mogło wskazywać na to, że kobieta zamierzała opuścić willę.

Przez okno sypialni długo wpatrywał się w długi czarny ogon zatoki Authie. W ostatnich miesiącach niezrównany mechanizm, który od dawna konstruował, zaciął się z powodu kilku ziaren piasku. Gdyby zostawił rzeczy ich biegowi, cała budowla by się zawaliła. Nie miał wyboru. Léane znalazła córkę Giordana, a potem Mistik, tropiła Moriarty'ego i niebezpiecznie się do niego zbliżała. Miała poważne wątpliwości. Zauważył jej podchody po południu, to, jak testowała jego amnezję, jej coraz bardziej podejrzliwe spojrzenia. Wyobrażał sobie chaos w jej głowie, gdy zastanawiała się, czy rzeczywiście ma przed sobą własnego męża, czy „kogoś innego”. Ostatecznie rozwikłałaby labirynt i odkryła, że sypia z mężczyzną, którego ściagała. Albo pękłaby i wygadała policji, jak się obeszli z Giordanem. Obie sytuacje oznaczałyby impas.

David Jorlain zszedł na parter i podszedł do stołu w salonie. Spojrzał na zdjęcie nierozpoznawalnego „kogoś innego”, ukrytego w ciemności i patrzącego, jak jego własny ojciec tonie, błagając o wybaczenie. Ale nie było przebaczenia. Nigdy go nie było. Gdyby Moriarty mógł sprawić, żeby jego ojciec cierpiał jeszcze bardziej, zrobiłby to. Nareszcie matka, ojciec i brat nie żyją. Koło się zamknęło. A on – kundel, którego wyrzucili na śmietnik, człowiek, który nie istniał, Moriarty, którego wszyscy ścigali – przeżył i zwyciężył.

David zamknął drzwi na klucz, zaciągnął zasłony i poszedł po whisky, żeby sobie dodać animuszu. Wkrótce będzie jedynym właścicielem tej wspaniałej willi. Odziedziczy fortunę po „żonie” i do końca swoich dni będzie otrzymywał wpływy z jej praw autorskich. Nie będzie już zmian tożsamości, nie będzie nowej skóry. Będzie mu tutaj dobrze.

Upił duży łyk i zamyslił się. Oczywiście, ten filmik nagrany w chwili, gdy jego ojciec biologiczny tonął, stanowił pewien problem, ale Claude Morgan wszedł do kanału sam. Policjanci nie będą mieli wyboru: będą musieli przyznać, że utopił się na własne życzenie. Rudy glina na pewno nie odpuści. W stosownym miejscu i czasie David się nim zajmie.

Dzięki wskazówkom, które rozsiewał, zanim sprowadził się do Berck, policjanci z Grenoble na pewno trafili do jego domu w Vienne. Odkryli zwęglone, niemożliwe do rozpoznania zwłoki Julliana, które po zbadaniu DNA uznają za niego, Davida. Bliźnięta nie mają może identycznych linii papilarnych, ale mają taki sam kod genetyczny. Przekonana o własnej słuszności nauka na zawsze pogrzebie Davida Jorlaina. Moriarty i Alain Thomas odprowadzą go na cmentarz.

Odstawił pusty kieliszek na stół. Do niedawna jego plan działał perfekcyjnie. Zdołał nawet bez większych problemów pozbyć się zwłok Giordana – pomimo środków, jakimi dysponowała policja ze swoimi badaniami, komputerami, kartotekami. David wydymał ich wszystkich na cacy. Delpierre nie żyje, Jeanson gnije w więzieniu. Z trójki kumpli z pokoju, którzy po latach odbudowali swoją bandę, z trójki mężczyzn o zrujnowanym dzieciństwie on jeden jako tako sobie radził. Policja uważała go za martwego, wszyscy uważali go za martwego – a on żył. Jak mówił Baudelaire, najsprytniejszym oszustwem diabła jest przekonanie ludzi, że nie istnieje.

Pozostała jednak ostatnia poważna przeszkoda, którą musiał się zająć: Léane. Na nią również miał plan. Podczas gry w szachy zawsze trzeba być o krok przed przeciwnikiem. Ubrał się ciepło, nie zapominając o czapce i rękawiczkach. Poszukał w internecie informacji na temat Étretat i szybko znalazł doskonałe miejsce na ostateczny akt. Prestiż, jak to się mówi w magii. W łazience pisarki znalazł xanax, oderwał od blistra trzy tabletki, a resztę włożył do kieszeni i szedł do garażu z butelką wody i lejkiem.

Pomysł był dziecinnie prosty: Léane nie udźwignęła informacji o śmierci córki. Wzięła leki przeciwłękowe i ruszyła w stronę Étretat, by rzucić się z klifu jak jej własna bohaterka w „Niedokończonym rękopisie”. Tragiczny koniec, na miarę pogrążonej w rozpacz autorki thrillera.

Otworzył bagażnik, uniósł bezwładne ciało kobiety i wepchnął pigułki do jej gardła. Następnie, podtrzymując jej głowę, przez lejek wlał jej wodę do przetyku. Léane odruchowo czknęła, nie odzyskując jednak przytomności. Znał się na xanaksie i wiedział, że pisarka z niego korzysta. Później badania toksykologiczne potwierdzą, że wzięła tabletki kilka godzin przed ostatecznym aktem. Wystarczająco dużo, by mieć nasilone skłonności samobójcze, ale nie na tyle, żeby nie mogła prowadzić samochodu. Po raz kolejny nauka zadziałała jak ziarnko piasku w umysłach policjantów, pokieruje ich wnioskowaniem i zwiedzie ich.

Włożył się sauera Julliana do schowka. Około północy usiadł za kierownicą terenówki, włączył GPS na telefonie Léane. Za niespełna cztery godziny będzie w Étretat. Nie było śniegu ani szronu, pogoda wydawała się raczej łagodna. Wszystko grało na jego korzyść.

Jechał tylko podrzędnymi nadmorskimi drogami. W pewnej chwili usłyszał dochodzący z bagażnika łomot i podkręcił radio. Léane wzywała pomocy, ale nie miało to potrwać długo: kiedy David przewoził Julliana z Berck do Vienne, tamten umilkł po kilku minutach.

Kabinę wypełniały teraz dźwięki „Thrillera”, jednego z największych przebojów Michaela Jacksona. David Jorlain uznał ten przypadek za co najmniej niepokojący. Léane również musiała słyszeć tę muzykę.

Przypadki: rozmyślał o nich przez sporą część drogi. To szalone, jak potrafią zmienić los. Jak kostka, która podejmuje decyzję za człowieka. Jedyńka – żyjesz. Szóstka – umierasz. Na przykład co by było, gdyby jego brat bliźniak wyszedł z brzucha ich kurwy matki przed nim? Jak wtedy dorastałby on, David, jak by się rozwijał? Czy miałby takie piękne życie jak Jullian?

Zacisnął dłonie na kierownicy. Wciąż rozbrzmiewały mu w głowie wyznania ojca, które usłyszał, kiedy przystawił mu pistolet do skroni. David chciał się dowiedzieć, w jaki sposób przyszedł na świat i dlaczego jego rodzice wyrzucili go w worku na śmieci do kontenera. Płacząc, Claude powiedział mu, że nigdy nie podejrzewał, żeby jego żona cierpiała na syndrom zaprzeczenia ciąży. Pewnego dnia po powrocie do domu zastał krwawą jatkę: kobieta leżała nieprzytomna na podłodze z noworodkiem między nogami. Natychmiast zawiózł ją do szpitala. Dziecko – Jullian – przeżyło. Nigdy, przenigdy Claude nie słyszał o bliźniaku wyrzuconym do śmieci. A tak się składało, że tym bliźniakiem był David.

Czy matka zdołała się pozbyć pierwszego oseska bez wiedzy Claude'a? Czy kiedy wróciła do domu, miała świadomość, że rodzi kolejne dziecko? Czy próbowała wydać je na świat, żeby jego również się pozbyć? David miał to gdzieś. Claude był winien na równi z jego rodzicielką. Nie musiał zresztą specjalnie zmuszać starego do tego, żeby wszedł do zatoki i zakończył żywot w objęciach jej prądów. Czasem lepiej umrzeć niż żyć z prawdą, której nie można znieść.

Inny przypadek zdecydował o tym, by David wynajął Morganom swoje mieszkanie w Annecy przez platformę rezerwacyjną. Sam mieszkał w starej chałupie w Vienne i za pośrednictwem kamer umieszczonych w mieszkaniu podglądał lokatorów. Obserwował, jak Morganowie się rozlokowują. I przez ekran, który go od nich oddzielał, znalazł się twarzą twarz z samym sobą. To był szok.

Wtedy pojechał przeszukać ich dom w Berck. Tak, miał brata bliźniaka, faceta, który był ojcem ślicznej dziewczyny, właścicielem wspaniałej willi, mężem pisarki. On, który był adoptowanym dzieckiem znalezionym w śmieciach, kameleonem o wielu tożsamościach, który spędzał wieczory w czeluściach Donjon Noir, staczał się coraz niżej, pogrążał się w rozpacz i cieszył się cierpieniem innych.

Miał prawdziwego bliźniaka, któremu wszystko się udało. Identycznego brata, który będzie doskonałym opakowaniem jego nowego wcielenia, na wypadek gdyby jego makabryczny biznes upadł. I kiedy rzeczywiście nadszedł czas wylinki, wrócił do domu Morganów, żeby się upewnić, że Jullian i on rzeczywiście mają takie samo DNA. Zebrał włosy Julliana Morgana z cebulkami i przeprowadził badania w laboratorium znalezionym w internecie. Nie było wątpliwości. Kody genetyczne jego i Julliana rzeczywiście były identyczne. Prawdziwe bliźnięta jednojajowe.

Droga przed nim zaczęła się wznosić jak asfaltowa ściana, po czym nagle opadła w stronę niecki, w której w oddali pulsowały nieśmiałe bursztynowe światła. Étretat gaśło w dole, wciśnięte między wapienne ściany. Zauważył tablicę wskazującą drogę do dworca kolejowego, nie chciał jednak, by ktoś go tu zobaczył. Kiedy przyjdzie czas, wsiądzie w pociąg na stacji Fécamp, piętnaście kilometrów dalej. Już zaplanował, że dojdzie do torów drogą prowadzącą wzdłuż klifów. A wtedy wtopi się w tłumek porannych pasażerów, wysiądzie w Abbeville i stamtąd weźmie taksówkę do granic Berck. Resztę drogi pokona pieszo przez plażę. Zabrał ze sobą wystarczająco dużo gotówki, by nie pozostawić po sobie żadnych śladów informatycznych. Telefon zostawił na szafce nocnej w willi. Oficjalnie kiedy Léane rzuci się z klifu, on będzie spał. Zbrodnia doskonała istniała – on był jej reżyserem.

Dochodziła trzecia. Podmuchy wiatru uderzały o przednią szybę. Termometr wskazywał dwa stopnie poniżej zera. Zamknięta w bagażniku Léane nie wydawała już żadnych dźwięków. Musiała sobie właśnie uświadamiać, co się dzieje. Poszczególne elementy łączyły się ze sobą w jej głowie, wątpliwości zmieniały się w pewniki: ostatnie dni dzieliła z potworem, człowiekiem o dwóch twarzach, rodzajem ohydnego, diabolicznego xiphopagusa. Została zmanipulowana i zgwałcona przez typa, który przez wszystkie te lata więził jej córkę. Wjechał w puste wąskie uliczki, kierując się na północ, i szybko znalazł drogę naprzeciwko Jardins d'Étretat, którą zauważył jeszcze przed wyjazdem, prowadzącą prosto do klifów. Powyżej jego oczom ukazał się duży parking. Zgasił światła, przejechał przez krawężnik i ruszył gruntową ścieżką dla spacerowiczów. Po trzystu metrach, kiedy miał pewność, że nikt go nie zauważy, z wielką ostrożnością wjechał na trawę. Ustawił samochód przodem do morza i ze wszystkich sił wcisnął guzik hamulca ręcznego po lewej stronie deski rozdzielczej. Stał na zboczu, zaledwie kilka metrów od przepaści. Jeden niewłaściwy ruch oznaczałby upadek.

Siedział w ciemności, głęboko oddychając. Już prawie po wszystkim. Położył xanax i telefon Léane na fotelu pasażera. Wyjął broń, włożył czapkę i rękawiczki. Czy o niczym nie zapomniał?

Za dnia miejsce musiało być uczęszczane przez spacerowiczów, nawet zimą. Z dużym prawdopodobieństwem samochód zostanie znaleziony u stóp klifu już za dziesięć godzin. David zaalarmuje policję po powrocie do domu. Powie, że obudził się sam, skacowany, zauważył, że terenówka zniknęła, i nie mógł się dodzwonić do żony. Czyżby Léane wyjechała, kiedy trzeźwiał? O której? Dokąd? Nie wiedział. On położył się około dwudziestej trzeciej po czterech czy pięciu szklaneczkach whisky. A potem wpadł w czarną dziurę.

Gdy wysiadł z samochodu, nagły podmuch od razu rzucił nim na około metr w stronę przepaści. Jakby gdzieś, w niekończących się ciemnościach kanału La Manche, z wody wynurzył się potwór, który wciąga wszystko, co znajdzie na swojej drodze. Na policzkach czuł powiew lodowatego wiatru. Nad jego głową migotały gwiazdy, tworzące na niebie mleczną smugę, a księżyc w nowiu wydobywał z ciemności imponującą iglicę, o której Léane pisała w swojej książce. Było pięknie.

Opadł na kolana i przywarłszy dłońmi do ziemi, przysunął się do krawędzi. Sto metrów niżej widział białe grzebienie fal rozbijających się o skały. Miejsce wprost wymarzone na samobójstwo. Na zakończenie thrillera. Samochód zmienił się w kupę blachy miotaną falami. Dzięki działaniu wody, soli i przyboju ślady biologiczne czy odciski palców będą nie do zbadania. Doskonale.

Szybko się wycofał i wrócił do samochodu. Ostrożnie, z pistoletem w dłoni, otworzył bagażnik. Léane leżała skulona, z oczami czerwonymi od płaczu, dygocąc na całym ciełe. Twarz napastnika tańczyła w jej polu widzenia jak czarny księżyc.

– Kim ty jesteś?

Złapał ją i zmusił do wyjścia. Trzymając ją na muszce, skrupulatnie sprawdził stan bagażnika. Niczego tam nie zostawiła? Nie wydrapała czegoś na blasze? Jego twarz wyrażała tylko gniew i determinację. To był jednocześnie Jullian i nie-Jullian. Dwie różne istoty w jednym ciełe. Léane poczuła zapach morskiej piany i zorientowała się, gdzie jest: bardzo dobrze знаła ten krajobraz. Klify Étretat.

David ścisnął ją za ramię i przyciągnął do siebie. Stali twarzą w twarz na lodowatym wietrze.

– Co do twojej córki, musisz jednak to wiedzieć: kochałem ją. Naprawdę ją kochałem.

Léane usiłowała się wyrwać. Chciałaby go zabić, zatłuc pięściami na śmierć, czuła jednak, że jest osłabiona. Jej mózg pracował na zwolnionych obrotach, a usta miała jakby znieczulone.

– Na początku chciałem zburzyć idealne szczęście mojego brata. Odebrać mu to, co miał najdroższego. Wydać jego córkę na żer dzikich bestii, które zapłaciłyby fortunę, żeby móc z nią robić, na co miały ochotę, aż do końca. No limit. – Brutalnie rzucił ją na maskę i przyłożył lufę sig sauera do jej podbródka. – Ale nie mogłem. Wzbudzała we mnie uczucie, którego nigdy nie doświadczałem. Może to kwestia genów. Zatrzymałem ją więc przy sobie, w moim domu, w specjalnym pokoju. Nie skrzywdziłem jej. To okoliczności sprawiły, że musiałem się jej pozbyć, przekazać ją człowiekowi, który wiedział, jak się nią zająć.

Léane jęczała, ale porywy wiatru odbierały jej głos. Mężczyzna naprzeciwko niej mówił dalej. Jakby nigdy nic. Jakby to wszystko było normalne, zgodne z logiką.

– Po aresztowaniu Jeanson różnego drobne sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli. Z policją na karku biznes stawał się ryzykowny. Zabrałem więc Sarę do Chapelle-en-Vercors, żeby Delpierre odwalił swoją robotę. Nie myśl, że łatwo było mi się z nią rozstać. Ale nadeszła pora, żebym zmienił tożsamość. I przyjechał do ciebie do willi. – Otarł nos, z którego mu kapało. Słowa wypadały z jego ust jak kryształki lodu. – I tak odpaliłem mój plan zbrodni doskonałej. Żeby wszystko działało, jeśli masz zniknąć, musisz znaleźć trupa, który zajmie twoje miejsce, i skutecznie oszukać naukę. To jest kluczowe. Porwanie Julliana, napad na mnie, amnezja... Umiałem symulować, zawsze to robiłem, żeby przetrwać i roztopić się w tłumie. I wszystko zadziałałoby doskonale, gdyby nie pojawił się Giordano, a przede wszystkim ta pieprzona czapka. Jak w twoich książkach, wszystko się sypie z powodu jednego niewinnego szczegółu.

Léane miała dość. Kręciło jej się w głowie. Chciała, żeby to wszystko się skończyło, tu i teraz. Umrzeć jak najszybciej, żeby powstrzymać ból. Wyzwolenie było o krok, na dnię przepaści.

– Co robiła czapka Sary w bagażniku? To jasne, że Jullian wsadził ją tam, kiedy go porwałem, ale ja nigdy w życiu nie widziałem tej czapki. Odpowiedzi udzielił mi Giordano. Miała ją na głowie ofiara, którą Jeanson dostarczył mu do domu w La Chapelle w ramach usługi „no limit”. Nie wiem dokładnie, jak to się stało, ale najwyraźniej czapka od miesiący walała się w kamperze, którym Jeanson porywał dziewczyny. Ale Giordano zabrał ją sobie na pamiątkę po zaszlachtowaniu tej laski. Świr lubił, jak nosiła ją jego własna córka, mógł wtedy na nowo przeżywać swoje fantazje. Rozumiesz? I właśnie z powodu tej czapki Jullian porwał Giordana. Ale nie martw się, zadbałem o to, żeby naprawdę cierpiał. Giordano. Chociaż był moim klientem, nigdy wcześniej się nie widzieliśmy. To jedna ze złotych reguł tego biznesu: żeby nikt nikogo nie spotykał. Więc kiedy się dowiedział, kim jestem... Musiałabyś widzieć jego minę!

Léane się chwiała, kiedy podniósł ją z maski, chciała się rzucić przed siebie, ale mężczyzna chwycił ją za włosy i odciągnął do tyłu, upadając przy tym na pochyłym

podłozu. Krzyknęła. Wstał, uderzył ją w głowę kolbą, tak że upadła. Posadził za kierownicą i zapiął pas. Opadała jej głowa. Wszystko wokół niej było niewyraźne, czuła tylko ciężkie dudnienie w uszach.

– Zabijasz swoje bohaterki, Léane. Zdajesz sobie sprawę, jaki wstrząs wywołujesz u czytelników? Historie opisane w książkach muszą się kończyć dobrze, ludzie za to płacą. Ale w prawdziwym życiu jest inaczej. Nie da się wrócić do sytuacji sprzed minuty. Wygrywa zawsze ten, kto trzyma spluwę.

Zapalił silnik, włączył światła, przysunął dłoń do przycisku hamulca ręcznego. Miał śmierć w zasięgu palca.

– Wierz mi, to jedna z najłagodniejszych możliwych śmierci. Szybka i bez cierpienia. Nie wiem tylko jednego: czy ludzie wjeżdżający samochodem do przepaści zapinają pasy. Zakładam, że tak, to kwestia instynktu przetrwania. Tak czy owak, efekt jest taki sam.

Wcisnął guzik, zatrzasnął drzwi i natychmiast się odsunął. Początkowo trawa i grząska ziemia stawiały opór, ale zadziałały prawa fizyki – siła grawitacji wprawiła koła w powolny ruch i samochód zaczął sunąć po zboczu. Coraz szybciej. Po dziesięciu sekundach dojechał do krawędzi i spadł w przepaść. Po kolejnych siedmiu rozległ się trzask metalu uderzającego o skały zmieszany z rykiem fal. Ostatnim obrazem, jaki ujrzała Léane, były tysiące odłamków szkła uderzających ją w twarz.

David Jorlain wrócił na ścieżkę. Jak w przypadku każdej magicznej sztuczki nadszedł czas na końcowy akt. Zniknąć. Na lewo Étretat. Na prawo, w zasięgu dwóch godzin marszu, Fécamp. Skręcił w prawo.

Autora bestsellerów również aż kusi, aby dopisać ambitniejsze, błyskotliwsze rozwiązanie akcji.

Przypisy końcowe

1. Maurice Leblanc, Wydrążona iglica, tłumacz nieznany, za Wolne Lektury. [\[wróć\]](#)
2. Tu i dalej: Franck Thilliez, Manuskrypt niedokończony, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Czarna Owca, Warszawa 2022. [\[wróć\]](#)
3. Do zobaczenia w zaświatach Pierre'a Lemaitre'a. [\[wróć\]](#)